

Kristin
Gore



SAMMY W WASZYNGTONIE



tête
à
tête

ZABAWNA OPowieść z POGRANICZA
POLITYKI, KOMEDII I ROMANSU.

DWUDZIESTOSZEŚCIOLETNIA SAMANTHA,
INTELGENTNA PRACOWITA IDEALISTKA,
KTÓRA MA TEŻ PEWNE SŁABOŚCI (CIERPI
NA HIPOCHONDRIĘ, HODUJE ZAWSZE TYLKO
JEDNĄ RYBKĘ I PROWADZI ZBYT DŁUGIE
ROZMOWY TELEFONICZNE Z ULUBIONYMI
TELEMARKETERAMI), ROZPOCZYNA PRACĘ
ASYSTENTKI W WASZYNGTONIE.

ODNALEZIENIE SIĘ W BEZLITOSNYM ŚWIECIE
BEZKOMPROMISOWEJ KAMPANII PREZYDENCKIEJ
NIE JEST PROSTE. SYTUACJĘ DODATKOWO
KOMPLIKUJE ROMANS Z CZARUJĄCYM,
ALE PODŁYM FACETEM, AUTOREM PRZEMÓWIEN
KONKURUJĄCEGO Z JEJ SZEFEM SENATORA.
CZY WŚRÓD POLITYCZNO-TOWARZYSKICH
INTRYG SAMMY UŁOŻY SOBIE SZCZĘŚLIWIE ŻYCIE?

KRISTIN GORE, NOMINOWANA DO NAGRODY EMMY,
URODZIŁA SIĘ W ROKU 1977. UKOŃCZYŁA STUDIA
NA HARVARDZIE, GDZIE PISAŁA DLA „HARVARD LAMPOON”.
JEST CÓRKĄ WICEPREZYDENTA ALA GORE'A.
WSPÓŁPRACUJE Z TELEWIZJĄ (PROGRAMY „SATURDAY
NIGHT LIVE” I „FUTURAMA”). MIESZKA W BOSTONIE.

CENA 34,90 zł

ISBN 83-7495-014-5



9 788374 950145 >

WWW.MUZA.COM.PL



Kristin
Gore

SAMMY W WASZYNGTONIE

PRZEŁOŻYŁA
MAGDALENA JATOWSKA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA

Ranny ptaszek

Impreza rozkręciła się na dobre, gdy kongresman Willie Nelson i królowa Nefretete zaczęli nalewać drinki. Opróżniłam kieliszek i natychmiast poczułam, jak mój żołądek zmienia się w wielkie likierowe ognisko, a płomienie rozchodzą się po klatce piersiowej i lizą wnętrze gardła. Willie nachylił się i wyszeptał, że Kubuś Puchatek ma na mnie oko. O rany! Uwielbiałam tego gościa! Patrząc na Kubusia rozłożonego na parkiecie i rzucającego w moją stronę gorące misiowate spojrzenia, nagle poczułam, że się unoszę. Machając rękoma, wzlatywałam coraz wyżej. Wkrótce znalazłam się na pułapie trzydziestu tysięcy stóp i poczułam lekki chłód. Chwyciłam brzeg najbliższej chmurki i otuliłam nią ramiona niczym cumulusowo-nimbusowym szalem. Tak niezwykle modnie przystrojona zlustrowałam krajobraz w dole. Dostrzegłam górskie szczyty, rozległe oceany, małe miasteczka...

- ... wyjątkowo długie kolejki na stacjach benzynowych. Kongresmanie Francis, oczekuje pan jakiegoś wsparcia finansowego dla Exxon'?

Poranny radiowy program informacyjny wdarł się do mojej świadomości, przypominając, że nie byłam imprezującą czarodziejką, lecz członkiem ekipy na wzgórzu Capitol Hill i miałam tylko dwadzieścia minut, by dotrzeć do pracy.

Największa firma paliwowa w Stanach Zjednoczonych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Hmm. Jeśli nie wypiłam paru głębszych z Williem Nelsonem i Nefretete, to skąd się wziął kac? Szybkie spojrzenie do kuchni przywróciło wspomnienia. Tak, butelka wina ze sklepu z towarami za dziewięćdziesiąt dziewięć centów. A wydawało się, że to taka świetna okazja.

Dobra, dwadzieścia minut. Postanowiłam, że będę medytować przez pół godziny dziennie, ale w tej sytuacji musiałam przełożyć to na później. Jak również zrezygnować z piętnastominutowego ćwiczenia brzuszku, samodzielnego manicure i nowego „słówka dnia” ze słownika. Obiecałam sobie zabrać się za wszystko później, ale wiedziałam, że kłamię. W rzeczywistości będę pracować do nocy i powlokę się do domu zbyt zmęczona, by zrobić cokolwiek, może tylko spróbować tequili za dziewięćdziesiąt dziewięć centów.

Jednak było jeszcze za wcześnie na taki cynizm. Jak zawsze mawiał tata, „rano wszystko jest możliwe”.

Nigdy nie byłam rannym ptaszkiem.

Spojrzałam na zegar. Siedemnaście minut, coraz mniej czasu. Gdy karmiłam Shackletona i rozpoczęłam poszukiwania czystych ubrań, przyszło mi do głowy, jak trudne byłyby te proste czynności, gdybym nie miała prawej ręki. Co bym zrobiła, gdybym straciła ją w jakiejś windzie albo podczas spotkania z głodnym lwem? Możecie się śmiać, ale mieszkam tylko kilka mil od zoo. Postąpiłam więc tak samo jak zawsze przy ataku neurozy. Ze stosu przyborów medycznych wydobyłam temblak, obwiązałam go wokół prawej ręki i kontynuowałam wykonywanie codziennych czynności z tym nowym upośledzeniem, pewna, że to ja będę się śmiać ostatnia, tak świetnie przygotowana do życia bez prawej ręki.

„Niestychane - powiedzą. - Widzicie, jak szybko się przystosowała? Doprawdy, radzi sobie równie dobrze jak wcześniej! Może nawet lepiej!”.

Dzięki mojej niewiarygodnej dalekowzroczności byłaby to prawda. Kiwałabym tylko głową, uśmiechałabym się i wiodła żywot dobrze przygotowanego jednorękiego geniusza.

Wyrwałam się z tego snu na jawie i skoncentrowałam na niesamowicie trudnym zadaniu otworzenia jogurtu tylko lewą ręką. Potem, gdy zbierałam materiały do pracy, sprytnie używając stopy, by postawić teczkę na stole, zauważyłam omszałe skrzela Shackletona. Och, nie. Skazany na śmierć przez omszałe skrzela.

W ciągu minionych jedenastu miesięcy udało mi się nie-umyślnie zamordować osiem bojowników wspaniałych. Nie zamierzałam ich zabić. Przeciwnie, stosowałam się do wszelkich zaleceń, ale i tak umierały. Pan Lee, właściciel sklepu zoologicznego, zapewniał mnie, że nie robię niczego źle. Po cichu podejrzewałam jednak, iż coś przede mną ukrywa - jakąś kluczową wskazówkę dotyczącą hodowli lub preparat do oczyszczania wody, który utrzymałby rybki przy życiu - cokolwiek by to było, nie zdradzając sekretu, zapewniał sobie regularny dochód. Mimo to udawał troskliwego doradcę i twierdził, że bojownicy, jeśli w ich otoczeniu nastąpi jakaś zmiana, czasami po prostu tracą chęć do życia i popełniają rodzaj rybiego harakiri. Trzy osłabły, dwa obrzydliwie spuchły, a Jacques, Moby i Ballard zapadły na chorobę omszałych skrzeli.

Spojrzałam smutno na dziewczątą, najbardziej długowieczną z moich rybek, sześciomiesięcznego wyjadacza, o którym sądziłam, że odmienił mojego pecha. Shackleton¹, nazwany tak z powodu cudownego przeżycia zimą nagłej przerwy w dostawie prądu, kiedy akwarium zmieniło się w skute lodem pustkowie, dzielnie odwzajemnił moje spojrzenie. O dziwo przetrwał rozmrażanie. W moich oczach oznaczało to, że jest jakimś rybim mesjaszem, potężnym duchowym przywódcą morskiego królestwa. Powinnam była jednak

¹ Badacz Antarktydy.

wiedzieć, że nawet najdzielniejsze z ryb nie mogły długo przetrwać w mych morderczych szponach.

Zaczęłam właśnie niepokoić się o swoje zadatki na przyszłą matkę - skoro nawet maleńkiej rybki nie potrafiłam utrzymać przy życiu dłużej niż kilka miesięcy - gdy spojrzałam na zegar. Dwanaście minut. Szybko chwyciłam kilka magazynów na drogę i wybiegłam, ledwo pamiętając, by po drodze zrzucić temblak.

Dobrą stroną pracy dla senatora, którego szanowałam, było poczucie, że mogę codziennie zmieniać świat na lepsze. Złą - że pracowałam tak ciężko, iż nie miałam czasu zauważać takich drobiazgów jak dwa różne buty na nogach, dopóki nie znalazłam się w wagonie metra szybko zbliżającego się do mojego przystanku.

Najgorsze, że pewnie wcale bym tego nie dostrzegła, gdybym nie pochwyliła rozbawionych spojrzeń dwóch idealnie zadbanych sekretarek i nie zerknęła w dół, by także się pośmiać.

W moim przekonaniu nie jest zupełnie bezsensowne pomylenie dwóch par butów w tym samym stylu, lecz nieco innego koloru, na przykład granatowego i czarnego pantofla. Zawstydzające, z pewnością, ale zrozumiałe, zwłaszcza gdy nie miało się wolnej prawej ręki, by zapalić światło w garderobie, i macało się na oślep jedyną zdrową kończyną. Ale sandał i jaskrawoczerwona tenisówka? Byłam całkowicie przekonana, że ludzie zdolni uczynić coś takiego musieli być w jakiś sposób upośledzeni umysłowo. Najwyraźniej się do nich zaliczałam.

Postanowiłam zachowywać się tak, jakbym dokładnie wiedziała, co robię, i rzuciłam obu panienkom współczujące spojrzenie - spojrzenie mówiące, jak bardzo mi ich żal, bo pomimo nieskazitelnych fryzur najwyraźniej nie słyszały o najnowszej modzie obowiązującej na wybiegach. A ja, która w drodze do pracy czytałam dla przyjemności „The Economist”, ponieważ owszem, byłam tak inteligentna i naprawdę interesowałam się tym, co mieli tam do powiedzenia,

należałam do awangardy mody. Jakie to dla nich przykre, zamruczało moje ego. Jak fantastycznie być mną.

Załatwiwszy tę sprawę, opuściłam metro na Union Station i z wysoko uniesioną głową udałam się wzdłuż First Street do Russel Senate Building, po cichu przeklinając, że nie mam czasu pobieć do sklepu obuwniczego i kupić czegoś, w czym nie wyglądałabym jak skończona idiotka. Ale, pomyślałam, nawet gdybym miała czas, pewnych rzeczy nie da się kupić za pieniądze.

Gdy weszłam do biura, Janet, ultrakompetentna pomocnica w średnim wieku, uniosła wzrok. Nie przerywając rozmowy przez zestaw słuchawkowy, przerzucała stos listów jedną ręką i nanosiła zmiany w planie drugą (niełatwa wielozadaniowość nawet z obiema rękoma w nienaruszonym stanie); zdołała również rzucić mi uśmiech.

- RG będzie za pięć minut. Trzeba mu natychmiast przedstawić sytuację w komisji - powiedziała miłym, ale niedopuszczającym głupich odpowiedzi tonem.

- Wszystko gotowe, nie ma sprawy - uśmiechnęłam się, starając się promieniować pewnością siebie i profesjonalizmem, co przed wypiciem kawy stanowiło nie lada osiągnięcie.

RG było używanym przez pracowników biura skrótem oznaczającym Roberta Gary'ego, młodszego senatora z mojego rodzinnego stanu Ohio. Chodziło zaś o przesłuchanie w senackiej komisji do spraw opieki zdrowotnej na temat przepisywania leków osobom starszym. Byłam odpowiedzialna za informowanie o tym senatora oraz za nadzór nad obywatelem mającym zeznawać, ponieważ pełniłam funkcję doradcy Gary'ego w kwestiach polityki wewnętrznej.

Fakt, że w wieku dwudziestu sześciu lat udało mi się zostać analitykiem w dziedzinie opieki zdrowotnej, pracującym dla senatora Stanów Zjednoczonych, wciąż mnie zdumiewał. Żyłam w ciągłym strachu, iż ktoś wreszcie dostrzeże, jak śmieszne było udzielenie mi tego rodzaju władzy, i z miejsca mnie zwolni.

Urodzona i wychowana w Ohio, swoją polityczną pasję za-
wdzięczałam matce, profesorowi nauk politycznych, dla której
krzewienie zainteresowania służbą publiczną było czymś na-
turalnym. Już na samym początku okazałam się pilną i pełną
zapału uczennicą. I co zapewne najważniejsze, jedyną uczen-
nicą mamy w pełnym wymiarze godzin.

Pod jej kierownictwem wcześniej doszłam do przekonania,
że najbardziej liczy się udział i że wielkie zmiany wymagają
tylko odrobiny wysiłku. Razem przygotowywałyśmy plakaty
wyborcze lokalnych kandydatów, rozdawałyśmy formularze
zgłoszeniowe dla wyborców i werbowaliśmy sąsiadów do
udziału w akcjach, w które wierzyłyśmy. Rano, nim poszłam
do szkoły, mama pomagała mi czytać gazetę i odpowiadała
na moje pytania. Wieczorami poprawiała błędy ortograficzne
w listach pisanych przeze mnie do prezydenta. Nigdy nie
przyszło mi do głowy, że w rezultacie staję się monstrualnym
dziwadłem. Uwielbiałam to wszystko.

W szkole podstawowej zaczęłam podejmować własne ini-
cjatywy. Próbowałam ratować lasy deszczowe, walczyć o czy-
ste autostrady, protestować przeciwko testom na zwierzę-
tach, wysyłać przybory szkolne dla ubogich dzieci na Haiti
i ogólnie ocalać świat, organizując kiermasze domowych wy-
pieków.

W szkole średniej zafascynowały mnie kwestie wolności
słowa i walka z cenzurą. Apelowaliśmy do autorów gazetki
szkolnej, by się wznieśli ponad ograniczenia. Pisałam namięt-
ne wypracowania o tym, że wolność i bunt stanowią bijące
serce demokracji. Nie bałam się poruszać tych tematów ani
demaskować tyranii przepisów dotyczących ubioru i godziny
policyjnej dla nieletnich.

Od czasu do czasu ubiegałam się o miejsce w samorządzie
klasowym, ale na ogół poświęcałam się szerszej działalności.
Dopiero w czasie studiów na Uniwersytecie Cincinnati po-
głębiłam swoje zainteresowanie polityką zdrowotną. Zrodziło

się ono na pierwszym roku podczas niezwykle fascynującego seminarium dotyczącego chorób zakaźnych - seminarium, które wzbudziło we mnie zarówno żarliwe poparcie dla reformy opieki zdrowotnej, jak i przerażenie kruchością i nieczystością ludzkiego ciała. Odtąd ból gardła nigdy nie był już tylko bólem gardła - podejrzewałam raczej początkowy etap gorączki krwotocznej, krzywicy lub przewlekłej choroby wyniszczającej. I od tej pory robiłam co w mojej mocy, by przygotować się na nieszczęścia, które z pewnością miały dotknąć me stosunkowo bezbronne ciało.

Poświęciłam się również studiowaniu złożoności i wad państwowego systemu opieki zdrowotnej. Jego niedociągnięcia i niesprawiedliwości raziły mnie i zdumiewały. Nie rozumiałam, jak rząd mógł pozwalać, by prawie czterdzieści cztery miliony Amerykanów, w tym wiele dzieci, było nieubezpieczonych. Z przerażeniem odkryłam praktykę śrubowania cen oraz żniwo, jakie zbierała ona wśród rodzin ubogich i z klasy średniej. A jako córka mojej matki postanowiłam zrobić, co tylko mogłam, by wprowadzić zmiany.

Ślęcząc nad pracą magisterską, przeprowadziłam wywiady z dziewiętnastoma członkami Izby Reprezentantów ze stanu Ohio i dwoma senatorami. Senator Robert Gary zrobił na mnie dobre wrażenie jako inteligentny człowiek z głęboką znajomością systemu opieki zdrowotnej i dalekosiężną wizją. Gdy odpowiadał na moje pytania i mówił o planach reform, czułam podziw połączony z inspiracją.

Wysłałam Gary'emu kopię pracy magisterskiej i po zakończeniu studiów natychmiast zgłosiłam się do udziału w kampanii o jego reelekcję. Poczułam się doceniona i jednocześnie przerażona, gdy przypomniał mi sobie, pochwalił pracę magisterską i zaproponował, żebym pracowała w jego zespole do spraw wewnętrznych właśnie nad kwestiami opieki zdrowotnej. Z zapałem przystąpiłam do dzieła, napisałam kilka świetnych raportów, a gdy Gary wygrał polityczną bitwę,

poproszono mnie o dołączenie do ekipy w DC¹. I tak nagle znalazłam się na bardzo wpływowym stanowisku. Przerażające, ale prawdziwe.

Ledwo zdążyłam włączyć BlackBerry i przejrzeć e-maile, a już zadzwoniła Janet.

- RG jest na miejscu. Doszło mu przywitanie się i wymiana uprzejmości ze związkiem nauczycielskim, więc masz tylko dziesięć minut właśnie teraz, żeby poinformować go o przesłuchaniu. Ruszaj.

Gdy wpadłam do biura RG, zastanawiałam się, czy byłabym w stanie przekazać mu wszystkie informacje w zaledwie dziesięć minut, gdybym nie miała języka. Pewnie by mi się to udało, gdybym posiadała markery i plansze oraz bardziej rozwiniętą umiejętność przedstawiania kalamburów niż obecnie, ale zadanie nie byłoby łatwe. Mówiono mi, że mam bardzo wyraziste spojrzenie, więc jeśli mogłabym je wykorzystać... Oj, brak języka i ślepotą, to by mnie pewnie pograżyło. Jak bym sobie poradziła z...

- Mogę w czymś pomóc?

Niecierpliwy sarkazm senatora Gary'ego położył kres rozmyśleniom i uświadomił mi, że pewnie przez dobre dziesięć sekund stałam jak jakaś idiotka w transie. Szybko postanowiłam zrezygnować z tłumaczenia, że wyobrażałam sobie egzystencję na ślepo i bez języka, i po prostu przesłam od razu do raportu.

- Przyszłam przygotować pana na przesłuchanie, sir. To odpowiednia pora?

Popatrzył na mnie przez chwilę i skinął głową. Zauważyłam, że był zmęczony. Przystojny mężczyzna - według mnie siwe pasma w ciemnych włosach nadawały mu dystyngowany wygląd - ale pogłębiające się zmarszczki na czole i worki pod oczami pogarszały wrażenie. Był pracoholikiem, ojcem

¹ Waszyngton jest zazwyczaj nazywany przez jego mieszkańców DC albo The District, gdyż obecnie miasto całkowicie wypełnia Dystrykt Kolumbii.

jednorocznych bliźniaków, co stanowiło pewnie częścią przyczynę, ale miałam wrażenie, że po cichu martwi się czymś innym, w ten typowy dla niego mrukliwy sposób.

Niebieski garnitur, biała koszula i czerwony krawat były świeże i wyprasowane jak zawsze, ale zauważyłam, że ma na kołnierzyku żółtawą plamę. Postanowiłam delikatnie wspomnieć o tym po zakończeniu raportu. RG będzie wdzięczny i nie okaże zawstydzenia. Wiedziałam już, jakiego tonu użyję.

- W porządku, sir, dziś komisja wysłucha zeznań Alfreda Jackmana, wyborcy z pana dawnego okręgu. Jackman ma osiemdziesiąt trzy lata i cierpi na schorzenie nerek, przez większość czasu bardzo bolesne. Jego ubezpieczenie społeczne i emerytura nie pokrywają kosztu leków, których potrzebuje, więc regularnie jeździ do Kanady, by kupić tańsze odpowiedniki, jakie powinny być dostępne w kraju.

- A Medicare¹ w obecnym wcieleniu nie pokrywa jego potrzeb, zgadza się?

- Nawet nie w części, sir.

- Dzięki kontroli cen w Kanadzie może oszczędzić około czterdziestu do sześćdziesięciu procent?

- Na kosztach leków oszczędza średnio pięćdziesiąt pięć procent.

RG kiwał głową, a ja znowu poczułam się szczęśliwa, że pracuję dla kogoś, kto naprawdę rozumie kwestie, które mu przedstawiam. Jednym z największych szoków, jakich doznałam w ciągu dwudziestu sześciu lat życia, było odkrycie, że przerażająco dużo osób trzymających cugle naszej demokracji było zabiegającymi o popularność zerami. Lecz nie RG. Jemu rzeczywiście zależało.

- To wszystko? Jeśli tylko tyle przygotowałaś, to leżymy.

I jedynie dlatego, że mu zależało, warto było wytrzymywać jego głupie uwagi.

¹Rządowy system ubezpieczeń zdrowotnych dla ludzi po 65 roku życia.

- Cóż, sir, nie, mam listę odpowiednich pytań, które powinien pan zadać, naszkicowałam również uwagi pozwalające osadzić zeznania pana Jackmana w szerszym kontekście, czyli obrazie opieki zdrowotnej, który stał się parodią państwowego systemu.

- Chciałbym uniknąć słowa „parodia”, Samantho. Nie możemy jedynie wskazać problemu. Ludzie tego nie lubią. Czy uwagi zawierają plany przyszłej przebudowy?

Uwielbiałam to wyrażenie. Zawsze sprawiało, że czułam się jak architekt, którym chciałam zostać w trzeciej klasie. W ramach ćwiczeń przygotowałam nawet kilka projektów, a najbardziej zaawansowanym była wioska w pudle po butach pracowicie stworzona dla wiewiórek zamieszkujących podwórze. Z wielkimi nadziejami umieściłam pudełko w gałęziach dębu blisko okna mojej sypialni, ale zostało ono brutalnie zignorowane. Zawsze uważałam, że wiewiórki poniosły stratę - Reebokville było prawdziwym rajem dla gryzoni, z olśniewającymi drucikami, a nawet słupem do zjeżdżania w kurorcie w Żołędziowym Holu.

- Oczywiście, sir. Standardowe przemówienie z nakreśleniem kroków w kierunku stworzenia powszechnego systemu jednego płatnika.

- Dobrze. Ważne, żeby się dziś udało. C-SPAN transmituje na żywo.

- Będzie pan świetny, sir.

- Nie o siebie się martwię. Ten Jackman został dokładnie sprawdzony?

Spędziłam około stu trzydziestu sześciu godzin przy telefonie, rozmawiając z Alfredem Jackmanem, jego licznymi lekarzami, kanadyjskimi aptekami, kim chcecie. Znałam historię chorób Jackmana lepiej niż własnych. Na przykład wiedziałam, że miał kciuk z podwójnym stawem, który rwał, gdy zbierało się na deszcz, ale nie wiedziałam, czy nadal byłam w posiadaniu wyrosli adenoidalnych. Zostały usunię-

te, kiedy miałam sześć lat, a może nie? Mama twierdziła, że celem operacji było jedynie wycięcie migdałków, ale w takim razie dlaczego nazwałam lalkę, którą wtedy dostałam, Adenoida? Nie mógł to być przypadek, niezależnie od tego, jak ładne to było imię.

- W moim przekonaniu pan Jackman złoży wstrząsające zeznanie, sir.

- Wstrząsające? Naprawdę? Czy wszyscy odczują te wstrząsy?

RG potrafił w mgnieniu oka przejść od niecierplivej irytacji do żartobliwego przekomarzania się. To jednak dobry znak, bo nie drażniłby się ze mną, gdyby nie był zadowolony z raportu.

- W którymś momencie musimy przedyskutować wieczorne przyjęcie, będzie tam paru...

Umilkłam, widząc, że RG powraca do e-maili, całkowicie mnie ignorując. Po kilku chwilach uniósł wzrok.

- Wciąż tu jesteś?

Janet wetknęła głowę w drzwi.

- Nauczyciele przyjechali, senatorze - powiedziała, rzucając w moim kierunku pytające spojrzenie.

- Przyślij ich, ale przerwij mi za dziesięć minut z powodu ważnego telefonu.

- Oczywiście.

Pora iść. Jeśli zamierzałam wspomnieć o plamie na kołnierzyku, musiałam to zrobić teraz albo nigdy. Nie było czasu, by wyczarowywać idealny ton, którego wcześniej postanowiłam użyć. Rozważałam wycofanie się z misji. Może dzięki plamie na kołnierzyku RG wyglądał bardziej „ludzko”? A może byłam gigantycznym tchórzem.

- Hm, sir?

RG spojrział na mnie poirytowany.

- Ja tylko... Hm, ma pan coś na koszuli, sir. Coś żółtego. Nie białego. Jak reszta koszuli.

Wskazałam pomocnie w kierunku kołnierzyka. Zerknął w dół i dostrzegł plamę.

- Mleko w proszku. Zajmę się tym.

No, nie poszło tak źle. Nawet się do mnie uśmiechał. Dziwne, bo był to jakby kpiący uśmiech, ale postanowiłam brać wszystko za dobrą monetę. Ruszyłam w kierunku drzwi.

- Dzięki za rady dotyczące ubioru, Samantha. Widzę, że mogę się od ciebie wiele nauczyć.

Wpatrywał się przesadnie uważnie w moje niedopasowane buty. Świetnie.

Wyruczałam coś o nowej modzie, ale on już witał nauczycieli przepychających się obok mnie, podekscytowanych swoimi dziesięcioma minutami.

Gdy wróciłam, miałam na sekretarce pięć wiadomości od policji Capitol Hill. Przykładowa próbka: „Panno Joyce, mamy tu niejakiego Alfreda Jackmana. Powoduje włączanie się wykrywacza metali, ale odmawia zdjęcia kurtki lub butów, zanim z panią nie porozmawia. Proszę oddzwonić po otrzymaniu tej wiadomości”.

Czyżby to już dziewiąta? Zegar na komputerze wskazywał, że mógł być nawet kwadrans po. Telefon dzwonił oskarżycielsko.

- Idę! - krzyknęłam w jego stronę i wybiegłam z biura.

Gdy zenująco zasapana po pokonaniu trzech kondygnacji schodów znalazłam się przy stanowisku ochrony na parterze, służbę pełnił właśnie Ralph. Według mnie Ralph wyglądał jak basset po liftingu powiek. Leniwy i smutny, ale z nieustannym wyrazem nienaturalnego zdziwienia na twarzy. Pewnego wieczoru kilka miesięcy temu znaleźliśmy się w tym samym wagonie metra i wtedy zwierzył mi się, że jego nowa praca nie kryje w sobie ani odrobiny tego dreszczyku, który dawało mu dawniej jeżdżenie wózkami z hot-dogami po parku The Mall. Czuł się jednak zmuszony spełnić oczekiwania swojej dziewczyny i zamienić sprzedawanie hot-dogów na bardziej stateczną i poważaną pracę strażnika na Capitol Hill.

- Hej, Sammy - wycodził. - Twój chłopak został zatrzymany.

Wskazał kciukiem w stronę biura strażników, gdzie przez okratowany pleksiglas dojrzałam Alfreda Jackmana gapiącego się w sufit.

- Zrobił coś złego?

Alfred Jackman miał zeznawać przed komisją za trzynaście minut. Dlaczego męczyli nieszkodliwego, pomarszczonego, osiemdziesięcioletniego staruszka z chorobą nerek? Czulałam, jak mój nastrój przechyla się niebezpiecznie w stronę furii, ale zmusiłam się do uprzejmości.

- Nie wyobrażam sobie, by stanowił poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Uśmiechnęłam się, ale Ralph nie wyglądał na przekonanego.

- Zachowywał się bez cienia szacunku. Jest obywatelem Stanów Zjednoczonych?

O Boże. Nie bądź paranoikiem, Ralphie. Tylko nie dzisiaj.

- Oczywiście. Zrozum, tak naprawdę to moja wina. Miałam się z nim tu spotkać, gdy przyjedzie. On po prostu jest bardzo stary.

Zlituj się, nakazywałam w myślach Ralphowi. Już milion razy żalowałam, że nie jestem rycerzem Jedi stosującym wyjątkowo skuteczne metody kontroli umysłów za pośrednictwem Mocy. I milion razy musiało mi wystarczyć trzymanie kciuków.

- Twierdził, że przyjechał na spotkanie komisji - powiedział Ralph z wyraźnym sceptycyzmem.

Skinęłam głową potwierdzająco.

- Bardzo smutna historia choroby. Wiele przeszedł, by móc się tu dzisiaj znaleźć.

Jeśli poszukacie wyrażenia „profesjonalny, lecz poważny” w leksykonie tonów głosu, znajdziecie moje nazwisko obok „mistrz w jego stosowaniu”.

Ralph się zaśmiał.

- Założę się, że tak.

Dobra, bądź cyniczny, ty głuchy na subtelne tony bassecie po botoksie. Ale nie próbuj sabotować mojego przesłuchania w komisji.

- Proszę, Ralph, naprawdę muszę go tam doprowadzić. Nie możesz go wypuścić? Na pewno nie był aż tak niechętny do współpracy.

Ralph pokręcił głową. Żarty sobie stroił? Czy trzeba się było skontaktować z ACLU? Czy mieli oddział do spraw emerytów? Zerknęłam na zegarek i poczułam nadchodzące tsunami paniki. Chwyciłam Ralpha za ramię i intensywnie wpatrzyłam mu się w oczy.

- Ralph, los naszego narodowego systemu opieki zdrowotnej spoczywa w twoich rękach. Jeśli zależy ci na biednych, nieubezpieczonych dzieciach, jeśli poruszają cię cierpienia starszych obywateli, jeśli troszczysz się o sprawiedliwość... cóż, myślę, że wiesz, co powinienesz zrobić.

Niemal słyszałam akordy patriotycznej pieśni *The Battle Hymn of the Republic* pobrzmiwające echem w tle, gdy patrzyłam błagalnie w oczy Ralpha, po cichu starając się zmusić go do postąpienia słusznie.

On zaś odpowiedział na zew obowiązku wybuchem historycznego śmiechu.

- Jesteś nie do pobicia - wykrztusił między salwami śmiechu. - Uwielbiam nowicjuszy takich jak ty.

Uśmiechnęłam się przez zaciśnięte usta.

- Czy mogę teraz zaprowadzić pana Jackmana na posiedzenie komisji?

Ralph ledwo mógł złapać oddech.

- Biedne nieubezpieczone dzieci... - zachichotał zupełnie nie po męsku. - Pewnie, idź i weź go - machnął ręką. - Powodzenia.

Pokazałam plecy wesołkowi i pospieszyłam do Alfreda Jackmana. Wpadłam do biura z nadzieją, że Ralph nie zraził za bardzo naszego głównego świadka.

- Przepraszam za nieporozumienie, panie Jackman. Jeśli pójdzie pan ze mną...

Urwałam, albowiem w małym pomieszczeniu wykryłam znajomy zapach. Dobry Boże, czyżby strażnicy palili tu trawkę? Czy to tłumaczyło paranoję Ralpha i niekontrolowany chichot? Och nie, czy powinnam to zgłosić? Nie miałam zadatków na kapusia. Szybko postanowiłam udać, że jestem przeziębiona. Albo że straciłam węch po tragicznie nieudanym eksperymencie chemicznym. Mogło się przecież tak zdarzyć. Teraz też. Starłam się nie czuć niczego, a zwłaszcza ewidentnego zapachu marihuany dochodzącego z jednego z pomieszczeń policji Capitol Hill.

- Więc, hm, mam nadzieję, że nie było panu bardzo niewygodnie... - rzuciłam dzielnie.

Alfred Jackman utkwił we mnie nieprzytomne spojrzenie przekrwionych oczu.

- Patrzenie, patrzenie, to ładna panusia. - Uśmiechnął się głupkowato. - Czy masz czasami wrażenie, że mogłabyś po prostu usiąść i całymi dniami wpatrywać się w ściany? To takie piękne.

Nawet gdy dojrzałam buteleczkę kropli do oczu wystającą z kieszeni Alfreda Jackmana, desperacko starałam się nie dostrzegać prawdy. Ale on nie przestawał mówić.

- Czy na przesłuchaniu będą chipsy? Wziąłem coś na uspokojenie nerwów, ale teraz obawiam się, że muszę czymś przegryźć.

Prawda przedarła się do mnie. Osiemdziesięcioletni, chory na nerki pacjent, którego wybrałam, by przekonał senacką komisję do spraw zdrowotnych do przyjęcia projektu senatora Gary'ego dotyczącego refundowania leków - ten siedzący przede mną mały pobladły dziadek dwunastu wnuczęt - był na niezłym haju.

Lipcowe wzloty

Tylko spokojnie, powiedziałam do siebie. Podejdz do problemu w sposób konstruktywny.

- Nie wiedziałam, że pan pali - zdołałam wykrztusić.

- Och, nie papierosy, nigdy nie tykam papierosów. Przez to można umrzeć.

Aha.

- Ale uwielbiam trawkę!

No właśnie.

- A ty lubisz trawkę? - zapytał Alfred Jackman, gdy starałam się spowolnić hiperwentylację.

Okay, przejmij kontrolę. Poradzisz sobie. Albo uciekniesz. Rzuciłam spojrzenie na Ralpha wciąż chichoczącego przy wykrywaczu metali. Pokazał mi uniesiony kciuk.

- Nie, panie Jackman, nie lubię trawki - odparłam głosem tak napiętym, że wibrował. Czy byłam całkowicie szczerą?

- To niedobrze. Mam najlepszej jakości towar z Kanady. Powinnaś spróbować.

Musiałam usiąść. Na kilka miesięcy.

- Myślałam, że jeździ pan do Kanady po lipitor i nexium, i inne przepisane panu leki - rzuciłam oskarżająco. - Tak pan powiedział. Na to liczyłam.

Wyglądał na lekko urażonego, w naprawdę naćpany sposób.

- Owszem - odparł. - Ale gandzia też jest bardzo tania. I pomaga na ból.

Zebrałam w sobie resztki współczucia. Ten stary człowiek przez większość czasu bardzo cierpiał. To najważniejsze.

A z powodu braku odpowiednich leków w naszym kraju kilka pozostałych mu lat życia będzie koszmarem. Może nie było to takie straszne, że miał trochę narkotyku w organizmie, skoro było tam duże kochające serce. Staralam się spojrzeć na ten kryzys świeżym, mniej mściwym spojrzeniem.

- Jeśli nie macie chipsów, wystarczy popcorn - zaproponował.

BlackBerry, brzęcząc, wwiercało mi się w udo i nawet nie patrząc na zegarek, wiedziałam, że minęła 9.30. Przesłuchanie się zaczęło. Musiałam coś zrobić. Gdy do wejścia zbliżyła się grupa dziennikarzy, ujęłam mojego wesołka pod ramię i poprowadziłam go zdecydowanym krokiem do komisyjnej poczekalni. Minęliśmy podwójne drzwi pokoju Russella Caucasusa, gdzie ujrzałam przewodniczącego komisji zwracającego się właśnie z wstępными uwagami do zatłoczonej, wypełnionej kamerami sali. Pozostali senatorowie w ciemnych garniturach i z posępnymi minami otaczali go z obu stron, tworząc jednolity potężny łuk. Gdy przechodziliśmy, RG spojrział prosto na mnie. Zauważyłam w jego oczach zaniepokojenie i poczułam, że spadam w otchłań bez dna. Musiałam zebrać wszystkie siły, by rzucić mu pewny siebie uśmiech, ale nie wyglądał na pocieszonego. Nie było to wcale zaskakujące, bo zgodnie z licznymi dowodami w postaci zdjęć moje nieszczerze uśmiechy nadawały mi wygląd pijanej ofiary apopleksji. Co czyniło mnie tylko nieco lepszą kandydatką do składania zeznań niż Alfred Jackman.

Stanęliśmy w drzwiach poczekalni. Obróciłam się do mojego palacza trawki z epoki kamienia łupanego i ponownie obezwładnił mnie ostry zapach marihuany, który zdawał się wydobywać przez jego skórę. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że nie było ratunku. Nie mógł tam wejść i zeznawać, niezależnie od tego, jak poruszająca była jego historia. A wielkie zwycięstwo RG miało się zmienić w kompletną porażkę. Cholera, cholera, cholera.

Zamiast wprowadzić Alfreda Jackmana do poczekalni, skierowałam go przez korytarz do prywatnej łazienki. Nieco przytomniejszy pewnie zdziwiłby się, dokąd go zabieram. Jednak w tym momencie całą uwagę Jackmana zdawał się pochłaniać wpływ mieszanki trawki i przepisanych leków na jego organizm. Człapał radośnie obok mnie, wskazując na purpurowe plamy, które, jak twierdził, wypełniały korytarz niczym ciepłe błyszczące bańki.

- A jedna jest na twoim nosie, jak wielki fioletowy pieprzyk - powiedział, lekko dotykając mojej twarzy swoim osiemdziesięcioletnim, całkowicie znarkotyzowanym palcem.

- Dzięki, pójdę z tym do dermatologa - odpowiedziałam, mocując się z dużym oknem w łazience. Wreszcie ustąpiło i otworzyło się na tyle, by staruszek pod wpływem zbyt dużej ilości medykamentów i wkrótce mająca stracić pracę doradczyńni do spraw opieki zdrowotnej mogli się wydostać.

Proszę, niech tam będzie taksówka, proszę, niech tam będzie taksówka, modliłam się do Taksówkowego Boga, pomagając Alfredowi Jackmanowi wylądować na chodniku. W chwilach stresu często zwracam się do zgrai bardzo wyjątkowych bogów w nadziei, że może usłyszą moje bezpośrednie i płynące z głębi serca błagania. Jak często ktoś modlił się do bóstwa w rodzaju Taksówkowego Boga? Liczyłam, że nagrodi moje oddanie odrobiną miłości.

Gdy zakończyliśmy ucieczkę przez okno, niczym manna z nieba zjawiła się taksówka i zatrzymała tuż obok nas. Pomogłam Alfredowi Jackmanowi usadowić się na tylnym siedzeniu i w lusterku dojrzałam, jak kierowca marszczy nos.

- Jest bardzo stary i źle się czuje - wyjaśniłam oficjalnym tonem. - Czy mógłby pan, proszę, odstawić go do pokoju w Hyatt Regency na skrzyżowaniu New Jersey i Constitution Avenue?

Kierowca odpowiedział całkowicie znudzonym wzruszeniem ramion. Alfred Jackman zwrócił się do mnie:

- Czy jedziemy na przesłuchanie? - zapytał, odganiając jakieś wyobrażone zjawisko atmosferyczne, jakie odkrył we wnętrzu taksówki.

- Przesłuchanie odłożono do jutra. Wpadnę po południu do pańskiego hotelu i omówimy nowy plan, dobrze? - uśmiechnęłam się do niego promiennie.

Poklepał moją dłoń.

- Jasne, jasne - powiedział. - Pomogę ci, jak tylko będę mógł, kochanie.

Nie, doprawdy, zrobił pan już dość.

Wręczyłam taksówkarzowi mój ostatni banknot dziesięciodolarowy przed odebraniem w tym tygodniu pensji (która zapewni mi niewiele więcej niż dziesięć dolarów - dobre, stare stawki rządowe) i posłałam dynamiczny duet w drogę.

Ralph sprawdzał grupę turystów i rzucił mi tylko zdziwione spojrzenie, gdy kilka chwil później wpadłam do budynku frontowymi drzwiami. Nawet gdyby nie był zajęty, wątpiłam, by zadawał wiele pytań. Pomimo spotkania w metrze z zasady należałam tylko do licznego grona młodych pracowników, których obserwował, wchodzących i wychodzących, przez kolejne lata. Dopóki nie włączałam alarmu, naprawdę nie obchodziło go ani trochę, dlaczego ponownie wkraczam do budynku, skoro rzekomo właśnie w nim przebywam.

Wpadłam do sali przesłuchań w chwili, gdy przewodniczący mówił: „Być może jednak nie wysłuchamy zeznania pana Alfreda Jackmana. Ostatni raz pytam, czy pan Alfred Jackman lub ktoś z jego przedstawicieli jest obecny?”.

Czułam, że RG wbija we mnie spojrzenie niczym jastrzęb, ale nie mogłam na niego popatrzeć. Biorąc głęboki wdech, choć powietrze na sali przepełnione było zapachem potu, podeszłam do mikrofonu umieszczonego na stole naprzeciwko zespołu senatorów. Nawet w stanie całkowitej trzeźwości umysłu świadomość, że skupia na mnie uwagę cała masa ważnych polityków i dziennikarzy, była przerażająco surrealistyczna.

- Pana Jackmana zmogła choroba - zapiszczałam cieniem, roztrzęsionym głosem. Ha, nie był to ów szorstki, ociekający inteligencją ton, którego zawsze planowałam użyć w podobnej chwili. A do tego wszystkiego drżałam na całym ciele. Cudownie.

- Bardzo nam przykro - zagrział przewodniczący.

Wbiłam paznokcie w udo, starając się powstrzymać drgawki, zanim obecni zainteresują się moim stanem.

- Tak - usłyszałam własny głos - był obecny i gotowy zeznawać, ale nagle odczuł przykre skutki uboczne leku, który stosował.

Dobra, do tej pory bez kłamstw. Błagałam Boga Przekonujących Wyjaśnień, by się do mnie uśmiechnął.

- Jak komisja wie, pan Jackman musi podróżować do Kanady, by nabyć leki konieczne do złagodzenia intensywnego bólu. Ma osiemdziesiąt trzy lata i taki rodzaj stresu łatwo prowadzi do wyczerpania. Mimo to bardzo chciał podzielić się dziś z komisją swymi doświadczeniami w nadziei, że przyczyni się do poprawy życia milionów starszych obywateli. Oczekują oni od swoich przedstawicieli tu, w Waszyngtonie, by opracowali zbiorczy plan refundacji leków na receptę.

Kątem oka ujrzałam, że kilku reporterów zaczęło coś gwałtownie notować. Czyżby naprawdę miało mi się udać?

- Jednak mimo ogromnych chęci pan Jackman nie był w stanie zeznawać dziś rano.

To na pewno.

- Ze względu na okoliczności miał nadzieję, że będzie mu wolno przedłożyć składanie zeznań do jutra.

Wreszcie zamilkłam i wstrzymałam oddech. Może lepszym pomysłem byłoby oddychać regularnie, ale zbyt się denerwowałam. W piątej klasie byłam niekwestionowaną mistrzynią organizowanych w czasie przerwy na lunch zawodów we wstrzymywaniu oddechu, więc miałam pewność, że zdołam wysłuchać odpowiedzi, nie tracąc przytomności.

Przewodniczący poprawił okulary i odchrząknął. Czy już zrobiłam się sina? Wysłałam nieco z wprawy.

- Komisja ma nadzieję, że pan Jackman poczuje się lepiej, i czeka na jego zeznania jutro rano - zaintonował przewodniczący.

Cudowny, cudowny oddech. Fe, zatęchłe powietrze. Zapomniałam o tym. Jednak najważniejszym i nieprawdopodobnym wydarzeniem było, że z ledwością, ale zdołałam zapobiec katastrofie. Skinęłam głową komisji i wycofałam się, w myślach tańcząc taniec zwycięstwa.

Prawdopodobnie powinnam była powstrzymać się od mentalnego świętowania, ponieważ całkowity brak koncentracji sprawił, że idąc w tył, potknęłam się o kabel kamery i runęłam w bok na rząd dziennikarzy. Wyjątkowo pulchny reporter w średnim wieku z Associated Press przyjął na siebie znaczną część uderzenia, a moje ramię przejechało po twarzy siedzącemu obok młodemu mężczyźnie z „Washington Post”.

Usłyszałam, że RG szybko pyta przewodniczącego o kwestie proceduralne, i po cichu podziękowałam mu za odwrócenie uwagi od miejsca wypadku.

- O mój Boże, tak mi przykro - wyszeptałam do swoich ofiar, gdy odzyskałam kontrolę nad rozrzuconymi członkami i odnowiłam układy z grawitacją.

- Nie ma sprawy, nic nie poczułem - baryłkowaty reporter mrugnął do mnie.

Uwierzyłam mu, jednak jego młody sąsiad raczej nie wyszedł z tego bez szwanku. Na przystojnej twarzy widniało paskudne zadrapanie, a okulary leżały na podłodze gdzieś pod krzesłem. Na podstawie zakłopotanej miny i ruchów rąk przywodzących na myśl szukającego drogi ślepego domyśliłam się, że niewiele bez nich widział. Pospieszyłam z pomocą, po drodze nadeptując mu mocno na stopę. I to nie miękką, jaskrawoczerwoną tenisówką, ale wrednym sandałkiem na wąskim obcasie. Zawył z bólu i zamachał rękoma, chcąc

się obronić przed szaloną wojowniczą bestią, która zjawiła się znikąd z zamiarem zmasakrowania go. Wiedziałam, że pewnie tak mnie odebrał, ale naprawdę starałam się zrehabilitować. Zlokalizowałam okulary w czarnych oprawkach i umieściłam je pojednawczo w jego dłoni.

- Tak mi przykro - spróbowałam raz jeszcze.

Założył okulary i obrócił się do mnie, przy czym okazało się, że z wyglądu jest zaskakująco podobny do Clarka Kenta. Poczułam mocniejsze bicie serca, gdy nasze spojrzenia się spotkały, ale przypomniałam sobie, że pomimo fizycznego podobieństwa nie znalazłam się w obecności prawdziwego superbohatera. Czyż nie? Tylko jego zawód powstrzymał mnie przed uznaniem go za zbyt atrakcyjnego. Dziennikarze nie byli w moim typie.

- W porządku, niech się pani nie przejmuje - stwierdził nieprzekonująco.

- Och nie, zadrapałam pana - odparłam, widząc, że rana na jego twarzy zaczyna krwawić.

Dosłownie upuściłam komuś krwi. Jakie to okropne. Skierowałam oskarżycielskie spojrzenie na swoje paznokcie. Nie tak należało traktować Clarka Kenta.

- Nic mi nie jest, nic mi nie jest - wymamrotał wymijająco, kartkując notatnik i szukając w kieszeni marynarki innego długopisu.

Skierował uwagę z powrotem na komisyjne przesłuchanie, a ja bezradnie gapiłam się na jego podrapany, oszpecony profil, podczas gdy gdzieś za mną senator Rollings z ciężkim południowym akcentem wygłaszał gniewne przemówienie o ubezpieczeniach zdrowotnych. Clark Kent kreślił jakieś notatki, a ja poczułam przemożną potrzebę, by dotknąć zadrapania na jego twarzy. W kieszeni miałam chusteczkę. Czy mogłam tak po prostu zetrzeć krew? Zapewne nie bez pytania.

- Czy mogę przynajmniej dać panu plaster? - wyszeptaliśmy mu do ucha.

- Naprawdę muszę się skoncentrować - odparł wyraźnie poirytowanym tonem.

O Boże, nienawidził mnie.

- Cóż, no dobrze. Jeszcze raz przepraszam - wyjąkałam w kierunku jego odwróconych pleców. - Do zobaczenia.

Gdy uciekałam z sali, poczułam, że oblewam się szkarłatnym rumieńcem. Przynajmniej kolor pasował do połowy mojego obuwia.

O 17.30, gdy nadeszła pora, by towarzyszyć RG na przyjęcie Amerykańskiej Fundacji Badań nad AIDS w Washington Hilton, jeszcze nie doszłam do siebie. Popołudniowa wizyta w pokoju Alfreda Jackmana przyniosła odkrycie, że stracił przytomność otoczony butelkami z barku. Zdołałam przekonać go, by oddał mi resztę swoich zapasów do czasu zakończenia przesłuchania, i przysięgłam, że osobiście dopilnuję, żeby były bezpieczne. Chwilowe poczucie triumfu szybko zastąpił paraliżujący niepokój, gdy uświadomiłam sobie, iż dobrowolnie przejęłam w posiadanie dużą plastikową torebkę pełną kanadyjskiej marihuany w najlepszym gatunku.

Byłam intensywnie świadoma jej obecności w najgłębszej kieszeni mojej torby, którą babcia z ufnością podarowała mi na Boże Narodzenie, gdy spieszyłam z RG w stronę czekającego sedana z przyciemnianymi szybami. Przysięgam, że idąc, słyszałam szelest liści i plastiku - i sądziłam, że każdy w pobliżu też go słyszy oraz jest w stanie natychmiast rozpoznać jego źródło. Czułam się jak skołowany bohater we współczesnej wersji opowiadania *Serce oskarżycielem* Poego. W tej wersji, przeznaczonej dla tłumu próżniaków, moja szmuglerska torebka z ziołem szeleściłaby tak głośno, że doprowadziłaby mnie do szaleństwa i spowodowała wykrzycie przestępstwa. Gdy usadowiłam się w samochodzie za RG, czułam mdłości.

- Jak się ma pan Jackman? - spytał senator z uniesioną brwią, kiedy samochód ruszył z parkingu przy Russell Building i włączył się do ruchu. RG wiedział, że coś się stało, ale nie chciał znać szczegółów. Co, biorąc pod uwagę treść owych szczegółów, było mi całkiem na rękę.

- Jutro będzie w porządku, sir. Nie ma się czym martwić. Przykro mi z powodu opóźnienia.

- Dobrze - padła krótka odpowiedź. Nie było sensu ciągnąć rozmowy, RG miał na głowie znacznie więcej niż tych kilka kwestii dotyczących mojej specjalizacji. Wymagał od pracowników inteligencji i skuteczności, a ja zwykle potrafiłam sprostać zadaniom, nawet jeśli z niejakim trudem. Dziś szło mi nieco gorzej.

Wyjęłam notatki dotyczące fundacji Amfar.

- Mam listę gości z zaznaczonymi nazwiskami osób wymagających większej uwagi. Na przykład Nick Simon czuł się zaniedbywany. Wspomniał coś o rzucaniu słów na wiatr, a ja zapewniłam go...

- Samantho... - przerwał mi RG.

Uniosłam wzrok znad papierów.

- Tak, sir?

- Wszystko w porządku? - spytał nieco opryskliwie.

O Boże, chodziło mu o torbę. Wiedział. Czyżby rozpoznał szelest? Czy Alfred Jackman sypnął? To koniec. Wyleje mnie.

- Sir, wiem, że to kiepsko wygląda, ale musi pan wiedzieć, że paliłam trawkę tylko pięć razy w życiu, ostatni raz przeszło osiem lat temu, i nawet mi się nie podobało, bo następnego dnia nie mogłam sobie przypomnieć podstawowych rzeczy, na przykład swojego numeru telefonu. A poza tym nigdy się niczego nie dopuściłam oprócz picia, ale tylko w odpowiedzialny sposób.

RG popatrzył na mnie z całkowitą dezorientacją.

- Masz paskudny siniak.

Spojrzałam w miejsce, na które wskazywał. Żółtawe pstre znamię na ramieniu, tuż poniżej uchwytu torby. Wiedziałam, skąd się wzięło - ostra sprzączka paska Clarka Kenta zostawiła ślad.

- Och, to. Tak, w porządku. Wypadek niezwiązany z narkotykami - stwierdziłam słabo.

RG wpatrywał się we mnie badawczo przez kilka sekund, potem pokręcił głową i zaczął przerzucać dokumenty na temat Amfaru. Gapiłam się przez okno osłabiona po swoim gwiazdorskim wystąpieniu. Staralam się myśleć o tym, że RG spędza większość czasu, rozważając poważne kwestie polityczne, więc istniała drobna szansa, iż przypadkowe wyznanie dotyczące brania narkotyków zostanie natychmiast zapomniane wobec znacznie ważniejszych przemyśleń.

Eh, byłam kretynką.

Zagłębianie się w spiralę nienawiści do samej siebie przerwał dzwonek alarmowy BlackBerry, a terminarz głośno powiadomił mnie o stu dwudziestej pierwszej rocznicy powstania mostu Brooklińskiego. Wyłączyłam dźwięk i po cichu odnotowałam w myślach święto, podczas gdy RG nadal był pogrążony w lekturze.

W szkole średniej wzbudziła moje zainteresowanie *Wielka księga świąt*, którą szkolny doradca trzymał przy biurku. Początkowe postanowienie, by obchodzić mniej popularne święta w rodzaju Dnia Sadzenia Drzew czy Święta Dozorców, stopniowo przerodziło się w wielką fascynację nietypowymi świętami i rocznicami. Gdy poważnie przystąpiłam do dzieła, mój kalendarz szybko się zapełnił, a w efekcie każdy dzień stał się radosnym świętem czegoś. Obchodziłam je na różny sposób, czasami tylko odnotowując w myślach, czasami bardziej aktywnie. Na przykład żeby uczcić czternastą rocznicę wydania pierwszej książki Deepaka Chopry i w rezultacie powstania wydawniczego imperium poradników, udałam się do nowej indiańskiej restauracji przy Dupont Circle. A co

zrobić dla mostu Brooklińskiego? Może założę do spania koszulkę z napisem „I * NY”.

Spoglądałam przez okno na oddalające się ambasady przy Massachusetts Avenue, po czym skręciliśmy w Connecticut Avenue i zwolniliśmy, by stanąć obok tłumu reporterów, lobbystów oraz aktywistów na rzecz walki z AIDS.

RG odłożył folder i zamknął oczy. Gdy je ponownie otworzył, spojrzenie miał czyste i ostre.

- Czas do pracy - powiedział, emanując energią, co wywarło na mnie wielkie wrażenie. Staralam się zebrać w sobie coś zbliżonego.

- Oczywiście, sir. To pański tłum.

Ujął klamkę i rozluźnił mięśnie karku.

- Świetna robota z wypisaniem tych kwestii do poruszenia w rozmowach - dodał.

Skinęłam głową. Wiedziałam, że były dobre. Spędziłam nad nimi dwie godziny.

- I Samantha... - ciągnął.

- Tak, sir?

Patrzył prosto na mnie, kącik ust lekko uniesiony.

- Naprawdę powinnaś częściej gdzieś wychodzić.

I znikł. Setki dłoni do uściśnięcia, tyle samo obietnic do złożenia. Przez chwilę starałam się dojść ze sobą do ładu, ale narastało we mnie przeświadczenie, że to nieosiągalne zadanie. Potem chwyciłam BlackBerry, notatki i torebkę z trawką i podążyłam za senatorem Garym przez tłum.

Letnia niespodzianka

Nadal stanowiło dla mnie zagadkę, jak Liza zdołała mnie namówić, bym spotkała się z nią następnego dnia na *happy hour* w Irish Times. Była moją najlepszą przyjaciółką i zastosowała dość przekonujący argument o świętowaniu dwudziestoczworgodzinnego stanu trzeźwości Alfreda Jackmana, ale 18.30 była zbyt wczesną porą na opuszczenie biura, nawet w piątek wieczór. Nie miało znaczenia, że RG już wyszedł, żeby polecieć na weekend do Ohio, czy że Janet wróciła wcześniej do domu na urodzinowy obiad z synem - nadal odpowiadałam sama przed sobą i przed tonami nieskończonej pracy. A żadna ze stron nie dawała się łatwo zbyć.

Poszłam na kompromis, postanawiając, że wypiję parę piw za Lizę i Alfreda, po czym wrócę do biura dokończyć pracę nieco podchmielona. I wszyscy będą zadowoleni.

- Więc przesłuchanie poszło świetnie! - wykrzyknęła Liza, witając mnie z barowego stołka.

- Tak, niesamowicie, panu Jackmanowi się udało. - Nadal było mi trudno w to uwierzyć.

- To znaczy tobie się udało - stwierdziła lojalnie Liza. Jako jedyna osoba w moim życiu konsekwentnie mnie dopingowała i ta niewdzięczna, często pozornie bezsensowna rola zdawała się jej nie przeszkadzać. Lizę wyróżniała poza tym dziwna fascynacja dokumentami o nawróconych entuzjastach S&M, gorąco kibicowała też Red Soxom, więc już wiele razy przyszło mi na myśl, że może nieświadomie pragnęła być karana. Wysoka i smukła, charakteryzowała się

wystudiowaną elegancją i naturalnym niezwykle pięknem. Spotkałam ją na balu charytatywnym w Cincinnati - RG potrzebował jedzenia na wynos, gdy uciekał przed dłuższymi pogaduszkami, a Liza odpowiadała za catering. Kilka miesięcy później przeprowadziła się do DC, by poprowadzić sprawy w Mayflower Hotel, i zostałyśmy bliskimi przyjaciółkami.

Liza stanowiła typ dziewczyny, która wzbudza zazdrość i zarazem szokuje. Była naprawdę słodka i urzekająco atrakcyjna, ale uparcie dokonywała złych wyborów, głównie dlatego, że była romantyczką. A w wielu sytuacjach jedynie z powodu swojego charakteru. Zadawała się z zadbanymi, dowcipnymi, niewiernymi mężczyznami. W DC było takich mnóstwo i łatwo na nich trafiała. Ostatni leczył uraz kolana, którego nabawił się podczas weekendowej gry w rugby w miejskim parku. Upierał się, by za każdym razem przed seksem zakładać na nogę ochraniacz, a potem zostawił Lizę dla rehabilitantki - drobnej rudej kobiety, która najwyraźniej lepiej sobie radziła z takim sprzętem. Liza czuła, że przez wykonywany zawód znalazła się na gorszej pozycji, i rozstanie nadal ją bolało. Ja natomiast byłam zachwycona, że pozbyłyśmy się faceta razem z jego upodobaniem do wciągania mnie w dyskusje o wyższości restauracji Hooters i klubów zrzeszających tylko mężczyzn.

- Za Sammy Joyce i Alfreda Jackmana, dzisiejsze gwiazdy senatu. - Liza trąciła się ze mną butelką budweisera i upiła łyk.

Ja także wypięłam. Alfred Jackman naprawdę odwalił niezłą robotę. Jego zły humor spowodowany odstawieniem marihuany został zinterpretowany jako frustracja z powodu nieodpowiedniego systemu opieki zdrowotnej, a lista legalnych leków, których potrzebował przy swoim schorzeniu, wraz z wygórowanymi cenami wywarła przekonujące wrażenie na komisji. Senator Gary dowiódł swoich racji, a Alfred

Jackman znalazł się poza moją jurysdykcją, więc łatwo przełknęłam piwo. To znaczy, dopóki Liza nie trąciła mnie łokciem w bok gestem przypominającym nieco ratowanie dławiącego się.

- Co? - parsknęłam.

Niemal niezauważalnie skinęła głową w prawo. Odwróciłam się bez skrępowania, by sprawdzić, co też sygnalizuje, i prowokując kolejny atak łokciem.

- Au! Przestań.

Jednak zrozumiałam, o co chodziło. Facet zamawiający drinka, siedzący o stołek dalej, był niezaprzeczalnie atrakcyjny, i to nie tylko jak na DC, ale atrakcyjny w standardach prawdziwego świata. Uśmiechnął się zaciekawiony, gdy pochwycił moje spojrzenie. Natychmiast obróciłam się spanikowana.

Liza spojrzała na mnie piorunująco.

- Czy kiedykolwiek nauczysz się, jak kogoś taksować?

- Nie - odparłam uczciwie.

Liza westchnęła. Ona była tą wyrafinowaną i fajną. Ja wносиłam coś innego. Można powiedzieć, że rodzaj niewyrafinowanej niefajności.

- Przepraszam - powiedziałam. - Ale on i tak nie jest w twoim typie, prawda? Myślałam, że kozie bródki są na czarnej liście.

Liza chodziła kolejno z trzema facetami z bródką i jej wrażliwa skóra dopiero niedawno wróciła do normalnego stanu. Ostatnio często perorowała na temat nowej polityki antybródkowej - którą z gotowością poparłam, jako że zawsze uważałam owłosienie twarzy za niehigieniczne. Miałam jednak niepokojące wrażenie, że wygląd naszego sąsiada mógł skłonić mnie do różnych brudnych myśli.

- Nie on - wyszeptała Liza. - On.

Tym razem jej ledwo zauważalny ruch głową dokładniej wskazał mi nowego barmana, który musiał właśnie zacząć

zmianę. Okay, to miało większy sens. Również był atrakcyjny, ale w bardziej muskularny i mniej godny zaufania sposób. Dokładnie w typie Lizy.

Właśnie zaczęłam się zastanawiać, czy nasza *happy hour* nie przerodziła się w spotkanie pod hasłem „tylko mężczyzna może mnie uszczęśliwić”, kiedy Liza ponownie skierowała uwagę na mnie.

- Poznamy ich później. Opowiedz mi więcej o swoim dniu.
- Uśmiechnęła się.

I to była kolejna cudowna rzecz, jeśli chodzi o Lizę. Odpowiednio po kobiecemu zauważała obecność facetów, ale nie wariowała na ich punkcie. Miałam kilka znajomych, które udawały, że chcą się spotkać na pogaduszki, a potem na pierwszy powiew zapachu płynu po goleniu zmieniały się w rozchichotane zdrajczynie. Te kobiety nie stroniły od upokarzających żartów lub lekceważących gestów, by tylko wydać się ładniejszymi, dowcipniejszymi czy zgrabniejszymi w oczach nocnego stada męskich barowych ciem. Ale nie Liza. Była lojalna i szczerą, nie w agresywny, feministyczny sposób, ale w zdrowy i jakże cenny.

Kolejną godzinę spędziłyśmy, rozmawiając i śmiejąc się, napędzane jeszcze paroma piwami i powstrzymywane jedynie przez moje małostkowe poczucie winy, że nadal nie wróciłam do biura. Nie ma sprawy, powiedziałam sobie. Zabieranie się do pracy było zabawniejsze w stanie ciepłego piwnego upojenia. W końcu szczęśliwy pracownik to bardziej produktywny pracownik. I, dzięki Bogu, pijany pracownik nie mógł zostać wylany, jeśli jego szef już wyjechał na weekend do domu.

Właśnie zdołałam przekonać Lizę, że naprawdę muszę już wracać, ale że spotkam się z nią później, gdy dojrzałam mężczyzną na wózku usiłującego przedostać się do drzwi. Próby udaremniała noga stołowa, w którą ciągle uderzało przednie koło, niezależnie od tego, pod jakim kątem kierował wózek. Nikt nie zauważał jego wysiłków, a już na pewno nikt nie

zaoferował pomocy. Coś w tej nieprzystępnej determinacji przypomniało mi trzeźwego Alfreda Jackmana, więc bez zastanowienia zerwałam się na nogi i pospieszyłam w kierunku mężczyzny, podczas gdy Liza pod pozorem zamawiania kolejnego piwa starała się zwrócić na siebie uwagę atrakcyjnego barmana.

Zbliżyłam się do klientów siedzących przy stanowiącym przeszkodę stole - młodej, sztywnej pary prawdopodobnie na pierwszej randce - i rzuciłam im uprzejmy uśmiech.

- Muszę państwa tylko na moment przesunąć, nie ma potrzeby wstawać - rzuciłam, mocno chwytając stolik.

Zanim zdołali odpowiedzieć, szarpnęłam blat i odsunęłam stół z drogi wózka, jednocześnie przewracając zamówiony przez parę dzban piwa na otuloną w białą jedwabną bluzkę pierś spłoszonej kobiety.

Przez chwilę stałam bezradnie, starając się przeliczyć ostatnie wydarzenia na rachunek mojej karmy. Czy pomoc upośledzonemu rekompensowała atak przypuszczony na niewinną kobietę za pomocą taniego piwa?

- Co z tobą, do cholery? - zażądał wyjaśnień mężczyzna na wózku.

Ciekawe. Oczekiwałam od niego wdzięczności, a gniewu ze strony pary. Całkowicie zbił mnie z pantałyku.

- Chciałam tylko pomóc - wyjaśniłam słabo. - Żeby mógł pan przedostać się do drzwi.

- Potrafię o siebie zadbać. Nie potrzebuję pomocy od ciemajd - warknął dość głośno, by usłyszeli to wszyscy w barze.

Dobra. Może zmoczona piwem para także zareaguje zaskakująco, ale w pozytywnym sensie. Z nadzieją zwróciłam się do nich z przeproszającym wyrazem twarzy. Kobieta delikatnie popłakiwała, próbując zakryć efekt mokrego podkoszulka, spowodowany przez wylane piwo, lichą serwetką, która w żaden sposób nie mogła sprostać zadaniu. Jej towarzysz wyglądał na oszołomionego i zatroskanego.

Hm. Zatem obraziłam inwalidę i doprowadziłam ładnie ubraną kobietę do płaczu. Jeśli chodzi o karmę, byłam pewna, że znalazłam się pod kreską.

Oczy zaczęły mnie niebezpiecznie szczypać, gdy poczułam utkwione na sobie nieprzychylnie spojrzenia sąsiedniej klienteli. Trzy piwa, które wypiałam, niestety zmiękczyły moją zazwyczaj nieco grubszą skórę, i wiedziałam że w tym stanie nic nie doprowadzi mnie do pijackiej rozpaczki tak szybko jak gniew obcych.

- Naprawdę bardzo mi przykro - wyszeptalam do pary. Mój głos najwyraźniej uciekł przed falą palącego wstydu nabrzmiewającą w piersi.

Już miałam się obrócić i wycofać do Lizy (tak przy okazji, gdzie się podziewała? Czy patrzyła, jak cierpię?), gdy poczułam na ramieniu czyjąś silną dłoń.

- Dzięki Bogu, że ktoś rozkręcił ten wieczór - rzucił jakiś głos nade mną.

Popatrzyłam w górę, by drugi raz tego wieczoru natrafić na wzrok bardzo atrakcyjnego, nawet w rzeczywistym świecie, faceta z sąsiedniego stołka.

- Cześć - wyszeptalam, zastanawiając się, czy mój głos udał się na długie wakacje.

Uśmiechnął się do mnie i poczułam, jak na szyi pojawia mi się wysypka.

Zawsze okazywałam podenerwowanie w bardzo wyszukany fizyczny sposób - niekontrolowane drżenie, gdy odczuwałam nieśmiałość wobec osób z autorytetem, napady śmiechu w obecności przerażających zwierząt, a w konfrontacji z niezwykle atrakcyjnymi mężczyznami, na których sympatii mi zależało, ostra wysypka na szyi.

Zaczęło się od głębokiego rumieńca, który szybko przeszedł w małe czerwone kropki pokrywające skórę od obojczyków po uszy. Nie było to zjawisko częste - facet musiał naprawdę wyrzucić na mnie wrażenie - i nigdy, przenigdy nie wyglądało ładnie.

W torebce trzymałam modną apaszkę, którą na takie nagłe wypadki podarowała mi mama, ale torebka została przy barowym stołku, nie miałam więc wyboru i musiałam otulić szyję rękoma, co mogło zostać odebrane jako nieokreślony dziwaczny gest, ale z większym prawdopodobieństwem wyglądało na próbę samouduszenia. Być może nowo poznanego faceta kręciły takie rzeczy? Odwrócił wzrok ode mnie i spoglądał życzliwie na wstrząśniętą parę.

- Może poda pan znajomej swoją marynarkę? - zasugerował mężczyźnie, który szybko postąpił według wskazówki, okrywając towarzyszkę znacznie skuteczniej, niż zdołała to uczynić marna serwetka.

- I może oboje wypijecie jeszcze kolejkę na mój koszt? - ciągnął rycersko. - To znaczy, kiedy barman przestanie podrywać twoją przyjaciółkę. - Uśmiechnął się ponownie do mnie.

Obróciłam się i ujrzałam, że barman rzeczywiście rozmawiał konspiracyjnie z Lizą, która zapisywała chyba swój numer telefonu na tekturowej podkładce. Moja irytacja na Lizę pierzchła, ustępując miejsca ogromnej wdzięczności, że nie zauważyła katastrofy, ponieważ dzięki temu mógł mnie uratować...

- Mam na imię Aaron - przedstawił się, wyciągając dłoń.

- Sammy.

- Cóż, miło cię poznać, Sammy. To naprawdę ładnie z twojej strony, że chciałeś pomóc tamtemu facetowi. Niestety, jest zręczliwym pijakiem, bywa tu co wieczór. Nie wiedziałś, w co się pakujesz.

Nie, z pewnością nie wiedziałam.

- A czy teraz mogę tobie postawić drinka?

Tak, pewnie, że możesz. Patrzył na mnie i z każdym uderzeniem serca pulsującym mi w uszach wyglądał coraz przystojniej. Przystojniej i... wyczekująco. A tak, pora odpowiedzieć mu na głos.

- Hm, pewnie. Pokaż, na co cię stać!

Pokaż, na co cię stać? Pokaż, na co cię stać?! Skąd u diabła przyszło mi to do głowy? Czy nie był to slogan ze starego programu komediowego? Co mnie sprowokowało, żeby tak odpowiedzieć? A ton, którego użyłam, wcale nie zabrzmiał zabawnie, co może jeszcze uratowałoby kwestię, tylko lekko gardłowo, przez co wydawał się po prostu głupi i arogancki. To nie byłam ja! Jakiś duch sabotażysta z lat siedemdziesiątych wyzywał mnie z zaświatów. Postanowiłam zemścić się później za pomocą tabliczki Quija, ale teraz musiałam natychmiast podreperować swój wizerunek.

- Hm, zobaczmy... czy podają tu Martini Ciamajda? - spytałam znacznie przyjemniejszym, miałam nadzieję, tonem.
- To drink w sam raz dla mnie.

Aaron się roześmiał.

- Hm, obawiam się, że nie. Ale mają chyba Dobrego Samarytanina z Kiepskim Wejściem na popitkę. - Uśmiechnął się.

- Brzmi świetnie.

Wróciliśmy do stolików właśnie w chwili, gdy Liza wyjrzała z uścisku atrakcyjnego barmana. Zerknęła na moją szyję, po czym szybko i sprawnie podała mi z torebki apaszkę.

- Lizo, to Aaron.

Gdy ściskali sobie dłonie, owinęłam apaszkę wokół szyi.

- A to Ryan - Liza wskazała na barmana.

Ryan z pewnością przyciągał spojrzenia, ale w tej chwili sam ukradkowo otaksował mnie od stóp do głów. Och, Lizo, nie. Nie znowu.

- Ryan pokaże mi miksery, które mają na zapleczu. Rozglądam się za czymś lepszym do Mayflower. - Liza uśmiechnęła się do mnie, znikając z Ryanem w drzwiach za barem.

- Cóż, to się dobrze składa. Teraz nie będę nieuprzejmy, kierując całą uwagę tylko na ciebie - powiedział Aaron.

Nie, nie będzie w tym nic nieuprzejmego. I nawet jeśli przypominało to trochę typowy tekst na podryw, w jego

ustach zabrzmiało czarująco. Cóż to był za akcent? Gdzieś z południa. Może na południe od nieba?

W myślach rozpaczałam nad tym popadnięciem w sztampe i niewiele pocieszał mnie fakt, że nikt nigdy się nie dowie, iż te słowa przemknęły mi przez myśl. Ale ja wiedziałam. Pora zebrać się w sobie. Nie był aż tak świetny.

- Pracujesz dla senatora Gary'ego, prawda? - ciągnął Aaron. - Widziałem cię parę razy.

Naprawdę? Kiedy? Gdzie? Czy zdawałam sobie sprawę, że jestem obserwowana? Czy zrobiłam coś żenującego? Szanse na to były rozpaczliwie duże.

- Tak, jestem doradcą senatora Gary'ego do spraw polityki wewnętrznej. - Posłałam mu szeroki uśmiech, starając się ołsnąć go niedawno wybielonymi zębami oraz stosunkowo imponującą nazwą stanowiska.

- O, to super. Jestem pod wrażeniem.

Te paski wybielające zakładało się diabelsko trudno, ale naprawdę działały.

- A ty? - spytałam, czując się nieco pewniej.

Wydawało się, że również pracuje na Capitol Hill. Miałam taką nadzieję. Chciałam się związać z kimś, komu zależało na tych samych sprawach co mnie. Och, a jeśli zajmował wyjątkowo niskie stanowisko? Nie przeszkadzało by mi to, ale czy on nie czułby się zagrożony moim sukcesem? Nie chciałam go wykastrować - nie byłby to dobry początek poważnego związku, który najwyraźniej przeznaczył nam los.

- Jestem głównym autorem przemówień senatora Brame-
na - odparł.

John Bramen. Starszy senator z New Jersey, członek najbardziej wpływowej senackiej komisji, uważany za jednego z najmocniejszych kandydatów na prezydenta, generalnie gruba ryba. Według pogłosek świnia, ale z ogromnymi sukcesami na koncie. Za niespełna piętnaście miesięcy odbędą

się wybory, po których Bramen może zostać prezydentem. Ego Aarona zapewne zbytnio nie ucierpiało.

- Rany, to musisz mieć masę roboty.

Czyż mogłam być bardziej mdła? Lepiej nie stawiać sobie takich wyzwań.

- Sporo pracy, ale i satysfakcji. Piję tylko co drugi wieczór - uśmiechnął się skromnie.

Czy opowiem naszym dzieciom, że najpierw zakochałam się w jego uśmiechu? Zakładając, że będę zdolna wydobyć z siebie choć słowo, gdy ich ojciec przez resztę życia będzie mnie zasypywać namiętymi pocałunkami.

Aaron zerkał na zegarek. O nie, zły znak. Powiedz coś dowcipnego, krzyknęłam do siebie. Wyglądaj ponętnie, do diabła! Poczulałam, że wysypka na szyi pali mnie mocniej pod wpływem narastającego napięcia.

- Właściwie Bramen występuje dziś w programie *Dwadzieścia na dwadzieścia* i powinienem go oglądać - powiedział Aaron.

Otóż to. Zostałam spławiona po ledwie dziesięciu minutach. Co gorsza, nie był to nawet osobisty rekord. A naprawdę na niego leciałam. Beznadzieja.

- Chodzi o to, że... Wolałbym zostać tutaj i porozmawiać z tobą - ciągnął.

Naprawdę?

- Poza tym dla bezpieczeństwa strojów pozostałych klientów uważam, że nie należy cię zostawiać bez opieki - dodał.

- Wybaczysz mi na chwilę? Muszę zatelefonować.

Natychmiast poczułam, że popadam w głębokie zauroczenie. By upamiętnić ten moment, uśmiechnęłam się głupawo, gdy on odwrócił się, wybierając numer w komórce. Ścisłe rzecz biorąc, powinnam właśnie wracać do biura, ale może ten facet miał się okazać miłością mojego życia? Co było ważniejsze w wielkim biegu zdarzeń - zabijanie się dla kariery czy odnalezienie bratniej duszy? Podłamujące, że na tym etapie życia tak wiele mogło się nie udać.

Postanowiłam mądrze wykorzystać czas, gdy telefonowałam, na znalezienie dobrych tematów do rozmowy i przygotowanie kilku zabawnych historii. Wiedziałam, że kawałek o parkach wodnych to pewniak, ale co dać na wstępie? Czy powinnam rozpocząć od zenujących opowieści o telefonach komórkowych? To na pewno naturalne przejście, a ja miałam ich w zanadru mnóstwo. Jednak czasami, udając zakłócenia na linii, kluczowe w podobnych historiach, nieopatrznie plułam, co zapewne nie było zbyt uwodzicielskie. Najwyraźniej musiałam go po prostu jak najszybciej upić.

- Obawiam się, że mam tragiczne wieści.

Wrócił. Okazało się, że jego zmarszczone brwi były równie zniewalające co uśmiech. Sprawiały, że wyglądał na niezadowolonego, ale w seksowny sposób.

- Nie mogłem się dodzwonić do nikogo, kto nagrałby dla mnie program, a mój domowy sprzęt nie odbiera telefonów, więc, niestety, muszę lecieć. Zaprosiłbym cię, ale wiem, że dama taka jak ty nie pozwoliłaby mi na podobne zbliżenie, gdy nie byliśmy jeszcze nawet na prawdziwej pierwszej randce.

- Nie, jasne, że nie.

- Sądzę, że musimy poczekać na taką zażyłość. Może na rozgrzewkę jakieś stare dobre *Sześćdziesiąt Minut*.

- To takie odświeżające, spotkać prawdziwego dżentelmena.

Śmiejąc się, ujął moją dłoń i pochylił się, by złożyć na niej pocałunek.

- Zatem do zobaczenia. - Uśmiechnął się zniewalająco po raz ostatni i wyszedł.

Tej nocy, gdy wróciłam do domu, bez końca odtwarzałam w głowie każdą sekundę spotkania z Aaronem, bezlitośnie karząc się za brak mądrzejszych odpowiedzi, które parę godzin później wydawały się takie oczywiste. Leżałam, dręcząc się i przeklinając spóźniony refleks do ciętych uwag.

Byłam też ciekawa, jak senator Bramen wypadł w programie. Zapewne bardzo dobrze, był taki obyty i profesjonalny - fakt, że nigdy wcześniej nie ubiegał się o prezydenturę, graniczył z cudem, biorąc pod uwagę jego niewiarygodnie wysokie mniemanie o sobie. Nigdy osobiście nie spotkałam Bramena, ale odkąd przybyłam do DC, wiele się o nim dowiedziałam pocztą pantoflową.

Choć Bramen i RG zostali wybrani do Kongresu w tym samym roku, obecnie Bramen poświęcał zdecydowanie więcej czasu na niez mordowane podlizywanie się i autopromocję. Nieskrywana ambicja połączona z agresywnymi posunięciami doprowadziła go do etapu, na którym był skazany na start w wyścigu prezydenckim. Słyszałam, że podobno każdy, kto naprawdę znał Bramena, nie podejrzewał go o prawdziwą chęć poprawy życia współobywateli. Wręcz przeciwnie, rozumieli, że chodziło mu jedynie o własne dobro.

W moim przekonaniu Bramen był całkowitym przeciwieństwem RG pod względem uczciwości i sposobu działania. A jednak właśnie te cechy, którymi pogardzałam, zapewniły mu wyjątkowo mocną pozycję na Capitol Hill. Miał zdecydowanie większe wpływy niż RG, choć osobiście wydawało mi się to niezwykle niesprawiedliwe.

Zastanawiałam się, jak dobrze Aaron zna Bramena. Czy był świadomy poważnych niedostatków szefa? Miałam nadzieję, że nie, bo czułam, że trudno byłoby mi związać się z kimś, kto pracował dla tak podejrzanej osoby. Ale mógł przecież istnieć dobry powód ignorancji Aarona, przekonywałam samą siebie. Na przykład dopiero niedawno dołączył do zespołu. Zdecydowanie był zbyt przystojny.

Postanowiłam, że w trakcie dalszego śledztwa wątpliwości będą przemawiały na korzyść Aarona, istniała bowiem realna szansa, iż po prostu nie znał prawdy. Może moim zadaniem będzie go oświecić! Gdy Aaron szaleńczo się we mnie zakocha, przekonam go, by porzucił Bramena, zrezygnował z po-

sady i zaczął pracować dla RG, tym samym doprowadzając do harmonijnego połączenia mojego życia osobistego i zawodowego - cel, na którym od miesięcy skupiałam energię feng-shui. Wpatrując się w świecące w ciemnościach konstelacje, zdobiące sufit, miałam wrażenie, że gwiazdy wreszcie mi sprzyjają, i z tym złudzeniem zapadłam w sen.

Poniedziałkowy poranek nadszedł znacznie szybciej, niż się spodziewałam. W sobotę wpadłam na kilka godzin do biura, a większość niedzieli spędziłam, jeżdżąc na rolkach z Lizą wzdłuż brzegu Potomacu. Nie można mnie nazwać sprawną rolnarką, więc Liza często musiała się wracać, by mnie dopinguować. Nigdy nie sądziłam, że kółka przyczepione do stóp to dobry pomysł, ale przyjaciółka upierała się, iż jazda na rolkach stanowi świetne ćwiczenie. Zresztą dobrze było mieć wreszcie jakieś wytłumaczenie upadków. Poza tym mogłam założyć fajne ochraniacze na kolana i łokcie oraz kask. Dzięki nim czułam się groźna i ważna, a gdy zamykałam oczy, wyobrażałam sobie, że biorę udział w czymś znacznie bardziej niebezpiecznym i ekscytującym. Biorąc pod uwagę zamknięte oczy, tak właśnie było.

Zwlokłam się z łóżka wyraźnie obolała, co nie było uczuciem, które sprawiało mi przyjemność. Pod prysznicem zaczęłam myśleć o pewnym niedawno przeczytanym artykule na temat osób urodzonych bez zakończeń nerwowych, przez co nie były zdolne odczuwać bólu. Nie wiedziałam, czy można na coś podobnego zachorować, ale jeśli tak, z pewnością nie byłam na to gotowa. Jednak po krótkiej myślowej debacie uznałam, że podobna choroba jest zbyt odległa, by przygotowywać się na nią w poniedziałkowy poranek. Zaaprobowałam natomiast pomysł, żeby w trakcie brania prysznica przypomnieć sobie odpowiednie reakcje obronne na wypadek ataku różnych zwierząt.

Gdy byłam młodsza, rozpoczęłam trening, umieszczając w różnych miejscach w domu pluszowe zwierzątka. Zgodnie z zasadami żyłam codziennym życiem, ale gdy tylko napotkałam wzrokiem jedno z tych stworzeń, natychmiast musiałam przećwiczyć reakcję awaryjną. Doprowadziło to do najróżniejszych sytuacji, na przykład kiedyś w środku nocy powlokłam się do łazienki i wpadłam na pluszowego aligatora, więc kontynuowałam wyprawę szybkim biegiem zakosami (ponieważ aligatory potrafiły biegać tylko po linii prostej, należało często zmieniać kierunek, by przetrwać pościg). Albo zmywając naczynia po obiedzie, dostrzegałam wypchanego niedźwiedzia i natychmiast rzucałam się na ziemię zwinięta w ciasny niedostępny kłębek. Rodzice byli przejściowo zaniepokojeni tym, co w ich oczach wyglądało na syndrom Tourette'a występujący w stosunkowo młodym wieku. Gdy wytłumaczyłam im zasady treningu, mama zaprenumerowała dla mnie „National Geographic”, a tata stwierdził, że powinnam częściej wychodzić z domu.

Skończyłam się właśnie ubierać i powtarzałam wskazówki na wypadek ataku rekina, gdy nawiązałam kontakt wzrokowy z Shackletonem. Spoglądał na mnie nieszczęśliwie z akwarium, zbyt zmęczony, by pogryzać swoje rybnie płatki śniadaniowe. Skrzela przez weekend jeszcze bardziej mu omszały, choć sobotnia wyprawa do sklepu pana Lee nie przyniosła nic oprócz zapewnień, że wszystko robię dobrze. To spowodowało nasilenie moich wątpliwości co do ogólnej wiarygodności pana Lee. Nie powinnam mu była zaufać, gdy po raz pierwszy zjawiłam się w sklepie - czy ktokolwiek mógł uwierzyć, że mężczyzna nazwiskiem Lee, który na okrągło puszczał piosenkę z lat pięćdziesiątych *Mr Lee* na sklepowym zestawie stereo, interesował się czymkolwiek poza własną korzyścią?

Biedny Shackleton. Zastanawiałam się, jakie są szanse, że cierpi na rybią odmianę braku zakończeń nerwowych, co

oszczędziłoby mu bólu powolnego umierania. Posiałam rybce całusa i ustawiłam przy akwarium najpiękniejszy japoński wachlarz, by poczuła się bardziej jak w domu. Shackleton docenił gest, słabo machając ogonkiem.

BlackBerry zapiszczało, przynosząc pilną wiadomość od Janet, żebym zjawiła się w biurze jak najszybciej. Nie ma czasu na śniadanie na siedząco. Na szczęście była to osiemdziesiąta pierwsza rocznica wynalezienia lodowych batonów czekoladowych Klondike Bar i dla jej uczczenia kupiłam w weekend całe pudełko. Chwyciłam loda z zamrażarki i wybiegłam z mieszkania.

Gdy wpadłam do biura, Janet zerknęła na moje mokre włosy wzrokiem inspektora od bezpieczeństwa i higieny pracy zapamiętującego restaurację łamiącą przepisy. Przez ułamek sekundy czułam się niepewnie (choć w moim przypadku taka fryzura nie była czymś niezwykłym), ale Janet skinęła w stronę biura RG.

- Przyszedł dziś wcześniej. Chciał cię widzieć - poinformowała, odbierając telefon.

Zastałam RG przy biurku; czytał, kończąc śniadanie złożone z połówki grejpfruta i garści witamin - tak znacznie ustępowało mojemu czekoladowemu lodowi, że niemal współczułam RG.

Dopóki nie przypomniałam sobie, że jest ważnym senatorem Stanów Zjednoczonych, a ja skromną asystentką, która miała właśnie zostać... co? Przetestowana? Upomniana? Promowana? Byłam zupełnie pewna, że można wykluczyć ostatnią możliwość.

- Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie John Bramen - powiedział RG po dobrych dwóch minutach ignorowania mnie, kiedy kończył czytać wiadomości.

Naprawdę? Cóż za zbieg okoliczności. Ojej, czyżby już się rozniosło, że Aaron i ja mamy wkrótce zostać parą? Mało prawdopodobne.

- Był pod wrażeniem piątkowego przesłuchania przed komisją i chce współpracować z nami w bardziej oficjalnym wymiarze - ciągnął RG.

- Chce być współautorem ustawy? - spytałam.

- Tak jest. Proszę zatem, żebyś poinformowała jego ekipę o wszelkich zawiłościach.

O rany. Szukaliśmy wpływowego partnera, bo wiedzieliśmy, że uzyskanie go nada ustawie rozpęd potrzebny do przejścia, ale to była niespodzianka. Bramena nigdy nie braliśmy pod uwagę. Jednak jeśli spodobał mu się projekt i chciał się pod nim podpisać, nie widziałam nic złego w wykorzystaniu go do zrobienia czegoś dobrego.

- Cóż, to świetnie, sir. Prawda?

RG spojrział na mnie znad okularów.

- Zapewne dobrze dla ustawy. Z czasem zobaczymy, czy dla nas też.

Patrzyłam na RG z zaciśniętą szczęką przerwającego papiery i poczułam niepokój. Choć wcześniej nauczyłam się, że senatorowie często muszą pracować z partnerami, którzy nie byli idealnie dobrani, po zachowaniu RG widziałam, że on i Bramen po prostu do siebie nie pasują. Wyczuwałam pokłady szczerej niechęci.

- Co ma pan na myśli, sir? - spytałam, licząc na wyjaśnienie.

RG westchnął.

- Posłuchaj, czułem się zobligowany przyjąć propozycję Bramena dla dobra ustawy, ale niechętnie z nim współpracuję, ponieważ nie można mu ufać. I jego ekipie też nie. Musisz się mieć na baczności.

O rany. Więc propozycja Bramena nie była wcale taką świetną wiadomością. Co gorsza, RG wyraźnie mnie ostrzegął przed jego pracownikami ledwie dwa dni po tym, jak się w jednym z nich zadurzyłam. Marzenia o idealnym połączeniu życia osobistego i zawodowego wydawały się skazane na porażkę. Lecz nie byłam jeszcze gotowa zrezygnować z fantazji.

- Okay. Ale czy sądzi pan, że żadnemu z pracowników Bramena nie można ufać? - usłyszałam własny głos. - Bez wyjątków? To znaczy, czy niektórzy z nich nie są w porządku? Na przykład jeśli dopiero zaczęli pracować czy coś podobnego?

Zdumione spojrzenie RG ukróciło moje rozważania.

- Nieważne, sir - dodałam szybko. - Ja tylko, ehm... Tylko zbierałam myśli.

Postanowiłam od tej pory robić to po cichu. Choć bardzo pragnęłam błogosławieństwa dla mego hipotetycznego związku, rozumiałam, że nie warto z tego powodu robić z siebie idiotki przed szefem. A przynajmniej nie robić tego w przeszłości. RG spojrział na mnie twardo.

- Jesteś na to gotowa, Samantha? - spytał z lekką niepewnością.

Oczywiście, że byłam. Zrobiłabym wszystko, żeby ta ustawa przeszła. W tym dowiodła znacznie większego profesjonalizmu, niż by na to wskazywało moje niedawne zachowanie.

- Zdecydowanie, sir. Nie ma się pan czym martwić.

RG skinął głową usatysfakcjonowany.

- Świetnie. Nie pozwól więc, żeby ludzie Bramena powstrzymywali cię bzdurami o grupach nacisku. I miej oko zwłaszcza na sprawy ubezpieczeń, które spróbują doczepić. To znak firmowy Bramena - wiele go łączy z koncernami ubezpieczeniowymi, ale masz dopilnować, żeby w ustawie nie pojawiły się te śmieci. Daj mi znać, jeśli napotkasz problemy.

Z tymi słowy powrócił do dokumentów i wydawało się, że zapomniał o moim istnieniu - znajomy sygnał, że spotkanie skończone.

Dokładniejsze instrukcje dotyczące popołudniowego spotkania z ludźmi Bramena otrzymałam od Janet, po czym wróciłam do biurka, by odkryć, że mój ulubiony kubek do kawy - ten z magicznym obrazkiem Snuffalufagusa - został skradziony.

Jęknęłam przerażona. Uwielbiałam ten kubek. Wygrałam go na kiermaszu w Ohio, gdy udało mi się zatopić trzy piłeczki pingpongowe w szklanej butli z wąską szyjką. Trening piwnego ping-ponga na studiach wreszcie się opłacił, przynosząc wspaniały podyplomowy triumf.

Kubek był jedną z najcenniejszych posiadanych przeze mnie rzeczy - po cichu wierzyłam, że stanowi potężny talizman szczęścia, więc od razu zaniiosłam go do pracy. Stał wiernie na moim biurku przez siedem miesięcy. A teraz zniecka został skradziony. Kim był przestępca zdolny popełnić tak łajdacki czyn?

Wkrótce poznałam odpowiedź. Mark Herbert, nowy sekretarz prasowy RG, pochylał się nad kopiarką w korytarzu, paplając z jakimś niewidzialnym konspiratorem i zaciskając mój kubek ze Snuffalufagusem w ohydnej złodziejskiej łapie. Marka przyjęto na podstawie świetnych referencji, ale od początku zachowywał się dziwnie i trzymał na uboczu. Teraz wyszło na jaw, że jest złodziejem! Wiedziałam, że niepotrzebnie mam poczucie winy z powodu niechęci, którą od razu zaczęłam do niego żywić.

Uczucie to było w znacznym stopniu wywołane przez wyszukaną gestykulację, jaką Mark podkreślał swe monologi, ale mimo to najwyraźniej okazało się uzasadnione. Czy powinnam powiadomić RG, że dobrowolnie zatrudnił przestępcę?

Skierowałam się w stronę niczego niepodejrzewających pleców Marka, a w mojej głowie rozbrzmiewała mściwie muzyka ze *Szczęk*. Głupi Mark Herbert, przychodzi i zabiera moje rzeczy - nawet jeśli tylko „pożyczał” kubek, to i tak zostawił na nim swoje bakterie. Co za pacan.

Był właśnie w środku wypowiedzi, gdy odchrząknęłam.

- Tak, słuchaj Mark, wiem, że jesteś tu nowy i nie poznałeś jeszcze wszystkiego, ale trzymasz mój ulubiony kubek i byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś po prostu mi go oddał, dzięki.

No, udało mi się stłumić sycząco-wściekły ton, który we mnie wzbierał, i naprawdę, jeśli wolno mi zauważyć, zabrzmiało to uprzejmie. Ukoronowałam wypowiedź nieszczęrym (a zatem zdeformowanym) uśmiechem.

Wyglądał na zaskoczonego.

Nie sądziłeś, że tak prędko cię przyłapię, co?

Wydawało się, że nie miał czasu wypić ani jednego łyka.

Tak jest, gamoniu, właśnie taka jestem szybka. Teraz wiesz, że ze mną lepiej nie zadzierać.

- Mark zrobił dziś kawę dla wszystkich.

Jego niewidzialny towarzysz zbrodni był teraz widoczny i okazał się Moną od układania harmonogramu, spokojnie popijającą kawę ze swojego kubka stowarzyszenia Pi Phi.

- E, właśnie niosłem ci twoją. - Mark zwrócił się do mnie.

- Mocno słodzona, prawda? - Gestem udał wrzucanie kilku kostek cukru.

Byłam pewna, że nie użył go dość, by zwalczyć gorzki smak głębokiego wstydu.

- Dzięki - rzuciłam słabo. - Przepraszam, nie chciałam sugerować, że jesteś...

Odchodząc, zastanawiałam się, dlaczego to on wyglądał na zażenowanego. I czy powinnam dokończyć ostatnie zdanie? Pewnie nie - wyrządziłam już dość szkody, nie było potrzeby, by głośno nazwać moje nazbyt szybko powzięte podejrzenia.

- Muszę wracać do telefonu. Mam wynegocjować artykuł na pierwszą stronę „Harper's” - powiedział szybko Mark, podając mi Snuffalufagusa w nienaruszonym stanie i przykładając dłoń do ucha na kształt słuchawki, a potem się zmył.

Mona rzuciła mi oskarżycielskie spojrzenie.

Próbowałam ją zbyć wzruszeniem ramion mówiącym „o rany, nic się nie stało” i wrócić tam, skąd przyszłam, ale nie byłam dość szybka.

- Podobasz mu się, wiesz?

Co?

Mona kiwała spokojnie głową, a ja gwałtownie kręciłam swoją.

- Tak - zapewniła mnie. - Najpierw sądziłam, że to ja mu się podobam, ale potem zrozumiałam, że rozmawia ze mną tylko po to, by dowiedzieć się czegoś o tobie.

Nie wyglądało na to, by Mona była zachwycona tym odkryciem. Jak mogłam się podobać Markowi? Poza różnymi krótkimi interakcjami, w których zaprezentował zamiłowanie do pantomimy i języka migowego, w ciągu tych trzech tygodni, odkąd dołączył do zespołu, ledwie zamieniliśmy parę słów. Może właśnie dlatego mu się podobałam. Nie poznał mnie bliżej.

- Och, jestem pewna, że nie - spróbowałam. - Pewnie tylko się zastanawia, jak zdołałam wytrwać na tym stanowisku.

Zaśmiałam się ironicznie. Mona wyglądała na zbyt zamyśloną, żeby mnie pocieszyć.

- Może. Tak czy siak, byłabyś nim zainteresowana? Jest milutki.

Okay, Mark nie był milutki. Ale ponieważ Mona tak uważała, jeszcze bardziej pragnęłam, by przeniósł swe rzekome uczucia na nią. Zachowywała się nieco obcesowo i ostro, ale nie miała złego charakteru. I spędzała tyle czasu, układając harmonogram RG, że wątpiłam, by zostawało jej go choć trochę na życie osobiste. Przydałby się jej romans. Wypiłam łyk kawy.

- Naprawdę niezła.

Mona po prostu spojrzała na mnie z uniesioną lekko krzaczastą brwią.

- Hm, właśnie zaczęłam się z kimś spotykać, więc i tak nie ma o czym mówić - ciągnęłam, modląc się do Boga Niewinnych Kłamstw, by połączył siły z Bogiem Potencjalnie Fantastycznych Chłopaków i zmienił to ulotne zmyślenie w solidny fakt, najszybciej jak się da. W zbożnym celu.

Mona jakby odetchnęła.

- Och, cóż, przekażę mu to łagodnie - powiedziała. - To ktoś, kogo znam?

Czy znała Aarona? Czy mogła być cennym źródłem niezbędnych informacji? Wątpiłam, a i tak nie powinnam pytać, skoro rzekomo już z nim chodziłam.

- Nie, nie sądzę. Jest świetnie, ale to wciąż początki, więc nie chcę zapeszać. Jestem nieco przesądna, jak wiesz.

Przynajmniej ostatnia część była prawdziwa. Na szczęście zabrzączało moje BlackBerry, więc uśmiechnęłam się do Morny i wróciłam do biurka.

Bezpiecznie odstawwszy Snuffalufagusa na należne mu królewskie miejsce, przejrzałam stos materiałów na temat ustawy o refundowaniu leków przygotowywanej przez RG i wybrałam te, które według mnie powinny się przydać zespołowi senatora Bramena. Projekt był dobry, ale śmiały, i dlatego z pewnością napotka spore trudności na drodze do uchwalenia. Przyłączenie się Bramena stanowiłoby dla wszystkich sygnał, że sprawę należy traktować poważnie. Pomimo wad senatora potrzebowaliśmy go. Projekt mógłby w przyszłym miesiącu uzyskać aprobatę komisji, a następnie musiałyby przetrwać debatę i głosowanie w senacie.

Po drodze piętrzyło się tak wiele przeszkód, że starałam się nie myśleć o tym, co oznaczałoby uchwalenie tej ustawy. Jednak nie mogłam nic poradzić na to, że perspektywa mnie uskrzydlała. Krótki czas spędzony w DC uświadomił mi, jak trudno dokonać pozytywnych zmian, lecz jednocześnie praca dla RG wzmocniła moją wiarę w postęp i chciałam, by moje zaufanie zostało nagrodzone namacalnym osiągnięciem - na którym mogłabym się podeprzeć, wiedząc, że przyniosło poprawę życia wielu ludzi. Mocno wierzyłam, iż dla milionów Amerykanów z trudem opłacających świadczenia zdrowotne zmianą na lepsze będzie właśnie spójny system refundacji leków.

Gdy już posegregowałam stosowne materiały dla ludzi Bramena, przypominałam sobie w myślach wskazówki RG,

jak ich traktować. Wspomniał, żeby uważać na „bzdury o grupach nacisku” i wyraźnie odniósł się do bliskich układów Bramena z lobby ubezpieczeniowym. Słyszałam plotki na ten temat i z innych źródeł, ale do tej pory nie miałam powodu interesować się nimi bliżej. Znałam na wylot stanowisko RG w sprawie opieki zdrowotnej, jednak nadal uczyłam się podstaw, jeśli chodziło o pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu senatorów.

Skoro RG był zbyt zajęty, by udzielić mi szczegółowych wyjaśnień, wyszukałam odpowiednie informacje w Google'u. Najwyraźniej ojciec Bramena zbił majątek na ubezpieczeniach zdrowotnych, a John Bramen Junior kontynuował tradycję pomimo powstającego niekiedy konfliktu interesów dotyczącego zapewnienia świadczeń zdrowotnych dla wyborców o niższych i średnich dochodach. Z artykułów, które pobieżnie przeczytałam, wynikało, że Bramen był w tej kwestii niejakim hipokrytą - bronił idei taniej opieki medycznej, a jednak nieustannie wchodził w układy z najróżniejszymi firmami ubezpieczeniowymi, które konsekwentnie śrubowały ceny. Właśnie te firmy zapewniały stałe wsparcie finansowe dla jego kampanii.

Z tego, co wyczytałam, Bramen nigdy nie został zmuszony do wytłumaczenia się z tych związków przez pozostałych członków partii, głównie dlatego, że udawało mu się dobrze kryć.

Ha. Gdy przetrawiałam kolejne aspekty tych niepokojących informacji, zaczął mnie boleć żołądek. W miarę nasilania się złego samopoczucia, zaczęłam się zastanawiać, czy ból mógł mieć związek z lodowym batonikiem na śniadanie.

Szybkie przeszukanie biurka zaowocowało kilkoma tabletkami, które ginekolog polecił mi na próbę w nadziei, że zacznę przyjmować więcej wapnia. Postanowiłam dać im szansę - może za jednym zamachem zażegnam perspektywę osteoporozy i uspokoję żołądek. Cudowne podwójne uderzenie!

W chwili gdy moje usta osiągnęły maksymalną pojemność tabletek, zadzwonił telefon.

- Ha-o? - spróbowałam dzielnie.

- Cześć, tu Natalie Reynolds z biura senatora Bramena. Czy rozmawiam z Samanthą Joyce?

- Mm-hmm.

- Słucham?

Przełknęłam duży łyk kawy.

- Przepraszam, tu Samantha. Czym mogę służyć?

Natalie zaczęła mówić o popołudniowym spotkaniu, a mnie przyszło do głowy, że przez urywanie słów brzmiała niczym energiczna telemarketerka - i niezależnie od treści wypowiedzi trudno było uwierzyć, iż nie czyta ze skryptu.

Tak się składało, że uwielbiałam telemarketerów i oczekiwałam ich telefonów. Uważałam ideę telemarketera jako ludzkiej postaci za nieskończenie fascynującą. Kim byli? Czy praca sprawiała im przyjemność? Ile obelg usłyszeli danego dnia i czy doceniali, że witam ich z otwartymi ramionami?

Skoro to oni dzwonili do mnie i robili wszystko, co w ich wy trenowanej mocy, by przyciągnąć moją uwagę i zainteresować tym, co mieli do zaoferowania, czułam, że nie ma powodu, dla którego nie powinnam im zadawać mnóstwa osobistych pytań. Zawsze zabawnie było wrócić do domu, odsłuchać nagrań na sekretarce i oddzwaniać tylko po to, by pogawędzić. Prawie nigdy niczego nie kupowałam, ale rozmowa zawsze sprawiała mi przyjemność.

Z czasem wytypowałam swoich ulubieńców. Zelda z firmy telefonicznej była jedną z gwiazd. Miałam jej numer wewnętrzny w szybkim wybieraniu na komórce i od czasu do czasu dzwoniłam, żeby spytać, co słyszą. Mieszkała w Daytonie na Florydzie z mężem i dwoma małymi synkami i pracowała przy telefonie sześćdziesiąt godzin tygodniowo, starając się oszczędzić na edukację dla dzieci. Ona sama przebrnęła tylko przez pierwszy rok szkoły średniej, a jej mąż skończył dwa lata studiów, ale oboje marzyli o czymś lepszym dla synów.

Gdy Natalie „telemarketerka” Reynolds skończyła mówić, zgodziłam się wysłać jej mailem większość danych dotyczących projektu i spotkać się z nią w biurze senatora Bramena w Hart Building o drugiej. Tam postanowiłam użyć całego swojego wdzięku, by nawiązać przyjazne stosunki z zespołem Bramena, a jednocześnie obronić integralność ustawy. Nie było potrzeby się denerwować. Wszystko zależy ode mnie, a ja zadbam, by poszło dobrze. Zanotowałam w pamięci, by kupić więcej tabletek na żołądek.

Planowałam wykorzystać godzinną przerwę na lunch („godziną” jako eufemizm oznaczający dwadzieścia minut), by zrobić się na bóstwo na wypadek, gdybym wpadła na Aarona. Rozumiałam, że plany na wspólną przyszłość mogą się rozpaść, jeżeli odkryję, że wie o przestępstwach szefa. Tak czy siak, nie zaszkodziło dobrze wyglądać. Co dokładnie oznaczało zrobienie się na bóstwo, pokaże czas i zawartość torebki. Zwykle mogłam liczyć, że będzie tam przynajmniej jakaś pomadka i szczotka, ale wolałam nie rozbudzać w sobie zbytnej nadziei. W tej chwili zresztą nawet nie miałam na to czasu - czekało mnie zbyt dużo pracy. Skończyłam kawę i zabrałam się do roboty.

Była za dwadzieścia druga, gdy wreszcie dotarłam do łazienki, by ocenić kwestię wyglądu. Widok był żalospny. Przede wszystkim ubranie zdecydowanie nie nadawało się na randkę, oprócz tej wieczornej z pralką. Długa do kolan spódnica była pomarszczona, niestety nie w modny sposób, a jedwabny top szpeciła duża plama po sosie sojowym. Z przerażeniem stwierdziłam, że rozpinany sweter, który wyciągnęłam ze spodu szafy, by zakryć sojową plamę, miał kołnierz obszyty świecidełkami. Skąd się wzięły? Jak mogłam ich nie zauważyć? Z rozpaczą odkryłam również, że zostawiłam szczotkę w domu, a włosy po wyschnięciu ułożyły się w mizerny minikłęb. Co najgorsze, zauważyłam nieładny wyprysk na czubku nosa, który pojawił się gdzieś po śniadaniu. Całe rano czułam, że nadchodzi, ale wypierałam ten fakt ze świa-

domości. Niestety, lustro nie było litościwe. Jak przyszcz mógł się tak rozrosnąć w równie krótkim czasie? Nie miałam ani przyborów, ani czasu, by się nim zająć - musiałam się udać do biura Bramena.

Gdy schodziłam po schodach, rozległ się dzwonek mojej komórki będący orkiestrową wersją *Like a Virgin* Madonny, który Liza ku mojej lekkiej irytacji wybrała na swój sygnał. Głośność była ustawiona na maksimum i kilku przechodniów popatrzyło na mnie dziwnie, gdy grzebałam w torebce w poszukiwaniu telefonu. Uśmiechnęłam się do nich, jakbym dokładnie wiedziała, co robię - pewność siebie, która w moim odczuciu pasowała do Madonny.

- Hej, nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię później.

- Oj, szkoda, jestem przed budynkiem. Wracam właśnie z pikniku z Ryanem.

Barman Ryan już ją zaprosił na randkę? Najwyraźniej miałam opóźnienia w rozkładzie. Choć wątpiałam, czy swoim obecnym wyglądem skuszę Aarona, by się ze mną umówił.

- Zaczekaj chwilę, Lizo, jesteś tuż przed budynkiem?

- Tak, wyjdź do mnie! Zrób sobie przerwę!

- Nie mam czasu na przerwę, ale proszę cię o przysługę. Masz trzy minuty, żeby zrobić mi makijaż, używając wszystkiego, co znajdziesz w torebce. Do zobaczenia za trzydzieści sekund.

Gdy się rozłączyłam, w uszach pobrzmiwał mi pisk radości Lizy. Uwielbiała wszelkie konkursy - cecha, którą w dzieciństwie umiejętnie wykorzystywali jej starsi bracia, pozwalając Lizie odwać za siebie całą robotę, czy chodziło o wyniesienie śmieci, czy też o wyprowadzenie psa. Po prostu twierdzili, że ich nie prześcignie. Choć nigdy świadomie nie zamierzałam czerpać korzyści z tej słabości Lizy, musiałam przyznać, że czasami bywała przydatna.

Gdy mijałam punkt ochrony, kierując się ku drzwiom, Ralph kontrolował właśnie dużą gromadę marines. Grupa złożona

z samych mężczyzn wydała mi się niesamowicie męsko jednolita - zdołali nawet jak na sygnał obrócić głowy, by za mną spojrzeć. Poczulałam się niepewnie i postanowiłam przejąć kontrolę, machając do Ralpha. Choć nie wybaczyłam mu jeszcze kpin w trakcie zajścia z Alfredem Jackmanem, wiedziałam, że w przyszłości chcę go mieć po swojej stronie, więc w myślach zawarłam pokój i wznowiłam przyjazne stosunki. Ralph przerwał obowiązki, by odmachać.

- Powinnaś to wycisnąć - odpowiedział, przyjaźnie wskazując na czubek nosa.

Koniec pokoju. Zwracanie kobiecie uwagi na jej niedostatki przed szwadronem pełnokrwistych młodych marines to pogwałcenie praw człowieka.

Usłyszałam, jak kilku z nich chichocze, więc pospiesznie minęłam drzwi i wypadłam na oślepiające światło.

Był to jeden z tych lipcowych dni, które nie pozwalają zapomnieć, że DC zbudowano na bagnach - drażniąca wilgoć zmieniła powietrze w coś lepkiego i nabrzmiałego, a moje skłębione włosy pod wpływem potu szybko przywierały do szyi.

- Tutaj! - zawołała Liza kryjąca się w minimalnym cieniu pobliskiego drzewa. Zerknęłam na zegarek i zbiegłam do niej po schodach. Dziesięć minut, by stawić się w biurze Bramena. Jasne, Hart Building był w pobliżu, ale musiałam doliczyć czas na przedostanie się przez ochronę i błędzenie po korytarzach.

- Mam spotkanie, na którym muszę dobrze wyglądać. Aaron może tam być.

- Już się za to biorę - odparła Liza z całkowitą powagą. Była niezastąpiona.

W ciągu trzech minut zmieniła nasz mały fragment chodnika w awaryjny salon piękności. W torebce miała oczywiście nie jedną, ale trzy szczotki, różne nadające włosom objętość spraye oraz żele, które wprawnie nałożyła i klepała w moje

związłe loki. Świetnie się znała na takich produktach, a dla mnie były zbyt tajemnicze i onieśmielające, bym umiała się do nich zbliżyć. W sklepach kosmetycznych patrzyłam na półki niczym przybysz z obcej planety, który właśnie wysiadł z kosmicznego statku - z ciekawością, ale i ogromną dezorientacją.

Ta nieporadność sprawiała, że tym bardziej doceniałam mistrzostwo Lizy w stosowaniu wszelkich rodzajów kosmetyków. Skończyła właśnie układać mi włosy, z satysfakcją skinęła głową i cofnęła się, by ocenić mój strój.

- Dziś rano nie zauważyłam tych błyskotek - zapewniłam.

- Lepiej załóż to - stwierdziła Liza, podając mi swój o nieco modniejszy żakiet i wyjmując korektor, żeby zabrać się do podłego superpryszczu.

- Hmm... Trochę się boję go wycisnąć w tym stanie - zaniepokoiła się.

- Wiem. Mógłby się rozjątrzyć w nieprzewidywalny sposób.

- Dokładnie. Głosuję tylko za zatuszowaniem. Zajmę się też twoją szyją, gdyby wysypka wróciła. Nie ruszaj się.

Liza zrobiła, co mogła, i właśnie pokrywała mnie odrobiną różu, gdy otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Aaron stoi tuż za nią, obserwując cały proces z przekrzywioną głową i bezczelnym uśmiechem.

- Czy też mógłbym się załapać? Całe rano miałem wyjątkowo blade policzki - powiedział.

Rękawy jego koszuli były podwinięte, a marynarkę trzymał przerzuconą przez ramię. Gdy próbowałam zapanować nad swoim zauroczeniem, zauważyłam, że krawat podkreśla głęboką zieleń oczu Aarona. Poczulałam skurcze żołądka i w rezultacie dostałam lekkich mdłości.

- Hej - powiedziałam z wysiloną nonszalancją.

- Oj, muszę lecieć - rzuciła Liza, zerkając na zegarek przekonująco zmartwiona. - Dzięki, że pozwoliłaś mi na siebie

potrenować, skarbie. Zadzwoń do ciebie później. Miło cię było zobaczyć. - Pomachała do Aarona i oddaliła się pośpiesznie.

- Jest specjalistką od makijażu? - spytał.

- W pewnym sensie - odparłam, zdecydowana zachowywać się tak, jakbym to ja właśnie wyświadczała Lizie przysługę. - Więc dokąd zmierzasz?

- Cóż, właściwie powinienem wracać do biura, ale mogę się dać przekonać do wypadu na lody, jeśli towarzystwo byłoby odpowiednie. Zainteresowana?

- Naprawdę bym chciała, lecz ja też powinnam się teraz udać do twojego biura.

- O?

Zwykł podkreślać pytania oczami. Iskrzyły badawczo, ale brwi się nie unosiły, choć sugerowały, że mogłyby, gdyby je odpowiednio pobudzić.

- Tak. Skoro senator Bramen postanowił wesprzeć ustawę o refundacji leków, senator Gary wysłał mnie, żebym spotkała się z Natalie. I tak naprawdę - spojrzałam na zegarek - jestem już dwie minuty spóźniona.

- O rany, przygotuj się na jej gniew.

Aaron towarzyszył mi do Hart Building.

- Pamiętaj, że gryzie znacznie dotkliwiej, niż szczeka. Ale wyglądasz na kogoś, kto potrafi sobie z tym poradzić.

Nie byłam pewna, jak wyglądałam - nie miałam okazji ocenić pracy Lizy przed lustrem, nim Aaron nas zaskoczył. Czułam palącą wysypkę i przyszcz zdradziecko pulsujący na nosie, więc mogłam tylko żywić nadzieję, że korektor zrobił swoje. Idąc u boku Aarona, starałam się znaleźć w nim cechy, które uznawałam za nieatrakcyjne. Zdołałam zauważyć tylko tyle, że miał dość małe stopy, ale wielu rzeczy nie byłam w stanie dostrzec. Może palce u nóg porastała mu błona czy coś takiego. Choć kiedy się nad tym zastanowiłam, uznałam, że byłoby to całkiem fajne.

Zostawił mnie przed drzwiami biura Bramena, udając salut, który przywróciłby bolesne wspomnienia o zdradzie Ralphi, gdybym nie była przyjemnie skoncentrowana na powstrzymywaniu kolan przed drżeniem. Uśmiechnął się i odszedł w głąb korytarza.

Gdy weszłam, recepcjonistka przerwała rozmowę telefoniczną.

- A tak, Natalie pani wyczekuje. Chwileczkę.

Wyczekuje? Spóźniłam się siedem minut. To nie dość czasu, żeby kogoś wyczekiwać. Nie podobało mi się to sformułowanie.

Natalie wyłoniła się z wewnętrznego korytarza, całe półtora metra wzrostu. Perfekcyjny wygląd pasował do głosu - drogi żakiet, dłonie po manicure i włosy z jasnymi pasemkamisplecionewn i e n a g w a n n yfrancuskiarkocz. Jej lejny zastanowiłam się, czy podobne jej kobiety rzeczywiście dokonywały takich wyczynów samodzielnie, używając technologii dostępnej dla wszystkich? Uznałam, że trudno w to uwierzyć. Wyglądała, jakby zrobiono ją z plastiku.

Wyciągając dłoń, zamrugła gwałtownie. Dotyk miała chłodny i nabalsamowany.

- Dobrze, martwiłam się już, że się zgubiłaś - powiedziała słodko.

- Nie, nie zgubiłam się, tylko zwyczajnie, tradycyjnie spóźniłam! - Rzuciłam jej serdeczny uśmiech.

Zaśmiała się szybko, jakby nie miała na to czasu.

- Więc cóż, zaczynajmy. Tędy proszę.

Podążyłam za nią korytarzem do biura poprzedzianego ściankami działowymi. Było podobne do tego u RG, ale w jakiś sposób okazalsze.

- Siadaj, proszę. - Wskazała krzesło przy swoim nienaganie zorganizowanym miejscu pracy.

Obróciła się do komputera i nie odzywała przez kilka długich sekund, co natychmiast wyzwoliło we mnie odruch

bełkotania. Żyłam w strachu przed niezręcznymi zastojami w rozmowie, nawet tymi wyimaginowanymi czy koniecznymi, i w rezultacie pospiesznie je zapełniałam, nim zaczynały się dłużyć.

- To naprawdę wspaniała przestrzeń. Tyle światła. Możecie tu trzymać prawdziwe rośliny? Ja u siebie nie mogę - wyrzuciłam nieprzytomnie.

- Dzięki - odparła zwięźle, najwyraźniej zdecydowana odpowiedzieć na początkowy komplement i zignorować dalszą część.

Przesuwała myszkę, szukając czegoś, po czym nagle urwała.

- Och, i pytałaś o coś w związku z roślinami? - Spojrzała znad ekranu, co mnie nieco zdezorientowało.

Skinęłam głową, czując się jak idiotka.

- Tak, mówiłam, są prawdziwe. Ktoś musi o nie dbać.

Powróciła do pracy, zbywając tę kwestię machnięciem dłoni.

Po następnych dziesięciu minutach ciszy spróbowałam inaczej, poruszając bardziej, jak mi się wydawało, odpowiedni wątek.

- Cieszymy się, że mamy senatora Bramena po naszej stronie - powiedziałam pogodnie.

- Mmm - odparła Natalie. - Upewnijmy się tylko, że mu to na dłuższą metę nie zaszkodzi, dobrze?

Słucham?

- To całkiem dobry projekt - ciągnęła - ale niektóre zwroty są zbyt dosadne. Będziemy musieli nieco je rozluźnić, żeby zyskać konieczne poparcie.

Nie, nie, nie. Ta ustawa miała przynieść prawdziwe zmiany, a nie być kolejną przegadaną próbą na pół gwizdka, która na koniec okazałaby się zupełnie oderwana od rzeczywistości. Ludzie Bramena musieli to zrozumieć. W przyływie rozdrażnienia stopiły się resztki mojego poczucia niepewności.

- Sądzę, że to śmiałość projektu czyni go tak atrakcyjnym. Ma bardzo jasno sprecyzowane cele - oświadczyłam.

- Właśnie to się ludziom nie spodoba. Nie martw się, słyszałam, że jesteś jeszcze zielona. Stopniowo człowiek wszystkiego się uczy.

Gapiłam się na nią, gdy klikając, otwierała jakieś foldery. Miała może trzydzieści dwa lata. Najwyżej trzydzieści cztery. Według mnie z pewnością nie dość, żeby być tak protekcyjna i cyniczna. Czułam, jak puszczają mi nerwy.

- Może ludzie uznają taką jasność za korzystną odmianę - starałam się mówić rzeczowym tonem, jakbym tylko rozważała podobną możliwość i wspominała o niej głośno.

Natalie parsknęła. W przeciwieństwie do dziwnie pospieszonego śmiechu to parsknięcie zabrzmiało na bliższe jej prawdziwej naturze.

- Ależ ja mówię poważnie! - powiedziałam.

Teraz byłam prawdziwie oburzona.

Natalie rzuciła mi protekcyjny uśmiech.

- Uspokój się, wszystko będzie okay. Odwaliłaś kawał dobrej roboty. Musimy nieco wypolerować ten projekt, zanim Bramen zacznie go sprzedawać.

Aż chciałam się rozejrzeć w poszukiwaniu czteroletniej dziewczynki, do której najwyraźniej przemawiała. Bo nie użyła chyba tego tonu w stosunku do mnie?

Dobry Boże, a jednak. Zaczynałam podejrzewać, że nie zostaniemy z Natalie bliskimi przyjaciółkami. Kilka minut spędziłam na rozważaniu możliwości, że naprawdę była złym robotem lub inną złowieszczą futurystyczną maszyną wysłaną, by unicestwić dobro na ziemi. Gdy wróciła do komputera, rozejrzałam się po jej stanowisku, próbując znaleźć ślady na poparcie tej teorii.

Poza kilkoma komputerowo retuszowanymi i idealnie oprawionymi zdjęciami oraz misiem w koszulce z napisem „Znoś to z uśmiechem”, który wyglądał na takiego prosto ze

sklepu (pochwyciwszy jego wzrok, padłam w myślach na ziemię zwinięta w ciasną ochronną kulkę), Natalie umieściła na widoku bardzo niewiele osobistych rzeczy. Jeśli mimo wszystko była człowiekiem, to najwyraźniej należała do typu utrzymującego miejsce pracy w klinicznej czystości - zdecydowanie nie mogłam nawiązać z nią bliższych stosunków.

Powtarzałam sobie, że Natalie pracuje dla senatora będącego rzekomo po naszej stronie i że do tej pory wspomniała o zmianie języka, a nie treści ustawy, lecz mechaniczna oziębłość, którą promieniowała, tylko siedząc i uderzając w klawiaturę, sprawiła, iż bezwiednie się wzdygałam.

- Już ci zimno? Chyba się spóźniłem.

Głos Aarona wyrwał mnie z tego nieprzyjemnego stanu. Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że wyciąga w moją stronę czekoladowy lodowy rożek.

- Nie mów mi, że cały dzień nie miałaś po cichu na taki ochoty. Wyświadczyć mi ten zaszczyt i pozwól być mężczyzną spełniającym twoje pragnienia.

Choć byłam zwrócona tyłem do biurka i przodem do Aarona, wyczułam, że powietrze wokół Natalie gwałtownie gęstnieje. Jednak z mojej perspektywy nastąpiła miła odmiana.

Uśmiechnęłam się i postanowiłam nie mówić Aaronowi, że wobec lodowego batonika na śniadanie musiałyby być w moim mieszkaniu o siódmej rano, żeby zyskać zaszczyt ofiarowania mi pierwszego lodu tego dnia. Potem zaczerwieeniłam się na myśl o tym, w jaki sposób mógłby się znaleźć w moim mieszkaniu o siódmej rano.

Zirytowane westchnienie Natalie wyrwało mnie z marzeń.

- Aaronie, usiłujemy tu pracować.

Aaron mrugnął do mnie, zwracając się do Natalie.

- Tobie też bym coś przyniósł, ale nie mieli beztluszczowego jogurtu, a wiem, że nie tknęłabyś niczego innego.

Natalie na pewno go usłyszała, ale całą uwagę skupiła na ekranie komputera.

- Powodzenia, dziewczyny. - Aaron pomachał mi, znikając w korytarzu.

Natalie wydawała się wkurzona. Nie miałam nic przeciwko beztłuszczowemu jogurtowi i naprawdę żałowałam, że nie odpowiada mi jego smak, a co więcej drażniło mnie, kiedy irytująco seksowni faceci nabijali się z kobiecej diety, ale sytuacja była skomplikowana. Aarona mógł przeznaczyć mi los, a Natalie po prostu nie lubiłam.

- Hm, mogę w czymś pomóc? - spytałam, liżąc loda.

Zdawało się, że drgnęła na dźwięk mojego głosu.

- Wiesz co, może po prostu sama nad tym popracuję, a potem prześlę ci szkic e-mailem.

To nie było pytanie.

Wracałam do Russell Senate Building miotana sprzecznymi uczuciami. Celowo zignorowałam Ralpha w drodze do windy i przygotowałam plan poradzenia sobie z Natalie. Poczekam, aż wprowadzi zmiany, a potem za zgodą RG po prostu je odrzucę. Problem z głową.

Byłam znacznie bardziej zadowolona ze spotkania z Aaronem. Co prawda nakazałam sobie ostrożność, ale całe popołudnie nie potrafiłam przestać się uśmiechać. A potem o szóstej dostałam od niego maila z zaproszeniem na randkę.

Wahałam się, lecz niedługo. Głupio byłoby odmówić tylko dlatego, że pracował dla Bramena, prawda? Kogo obchodziło, co powiedział RG - nie pozwolę, żeby jego paranoja decydowała o tym, z kim się mogę spotykać, a z kim nie. Postanowiłam dać Aaronowi szansę. Zgodziłam się na spotkanie w czwartkowy wieczór, podziękowałam różnym bogom i zaczęłam planować, jak w ciągu trzech dni dokonam przemiany w supermodelkę.

Z myślą o wygranej

Następnego ranka podjęłam drastyczny krok i wstałam godzinę wcześniej, by poćwiczyć. Ponieważ była to trzydziesta rocznica nakręcenia *Egzorcysty*, zdecydowałam się pomknąć na skrzyżowanie M i Prospect Street, by wykonać aerobik na schodach tak pamiętnie uwiecznionych w filmie. Sama jeszcze nigdy nie oglądałam (i nie obejrzę) *Egzorcysty*, ponieważ byłam strasznym mięczakiem, jeśli chodzi o horrory, a sporadyczne próby nabrania odwagi zawsze kończyły się katastrofą.

Gdy koledzy z akademika namówili mnie do obejrzenia *Lśnienia*, wytrzymałam tylko piętnaście minut, a i tak musiałam zrezygnować z oddzielnego pokoju, bo w ciągu następnych trzech miesięcy nie mogłam przebywać sama. Nie przyszło mi do głowy, że być może na tym właśnie polegali ich plan.

Doceniałam jednak kulturowe znaczenie *Egzorcysty* i uznałam rocznicę jego nakręcenia za wartą uczczenia. W dodatku liczyłam, że wbiegnięcie i zbiegnięcie kilka razy po schodach zrekompensuje tygodnie niezbyt zdrowego stylu życia i natychmiast poprawi moją kondycję.

Siedemdziesiąt pięć stopni to naprawdę dużo. Z jakiegoś diabelskiego powodu przez cały ten wypocony odcinek dokonywałam w myślach przeglądu byłych chłopaków. Rzadko okazywało się to dobrym pomysłem. Nie miałam za sobą wielu poważnych związków - tylko trzy przetrwały dłużej niż kilka miesięcy. I choć nie żałowałam, że się skończyły, nadal istniało wiele nierozwiązanych kwestii, nad którymi mogłam obsesyjnie dywagować.

Pamiętałam też mnóstwo żenujących sytuacji, przez które chciałam się zapaść pod ziemię. Cały drugi odcinek schodów spędziłam, wspominając ze wstydem telefoniczne łowy na Jasona Shambersa, przystojnego konsultanta, z którym umówiła mnie przyjaciółka matki, gdy przeprowadziłam się do DC. Zjedliśmy lunch w czarującej atmosferze wypełnionej obiecującą chemią i umówiliśmy się na weekend do kina. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście - świeżo przybyła do DC, nieznająca tu żywej duszy, a już miałam randkę z niezwykle atrakcyjnym tubylcem.

Powiedział, że odezwie się w sobotę rano. Nie zrobił tego. O szóstej wieczorem uznałam, że jedyną sensowną rzeczą, jaką mogę uczynić, jest zacząć do niego regularnie dzwonić i odkładać słuchawkę, gdy włączała się automatyczna sekretarka. Zgłosił się następnego ranka o dziesiątej i powiedział, że odebrał ode mnie sześćdziesiąt dwa połączenia, ale nie zostawiłam wiadomości, więc czy wszystko u mnie w porządku?

Nie, najwyraźniej nie było w porządku. Udałam całkowite zaskoczenie i spędziłam okropną minutę, rozważając na głos, co mogło spowodować tak dziwną sytuację - czyżby jakieś spięcie w kablach? Stwierdziłam, że zadzwoniłam do niego, zanim wyszłam z domu, po prostu żeby sprawdzić, co z kinem, ale na pewno nie więcej niż raz. Z pewnością nie zbliżyłam się nawet do sześćdziesięciu dwóch połączeń, rany - musiał uznać, że jestem nienormalna! Ale teraz wiedział już, że to usługom telefonicznym odbiło i... oj, jak już późno, muszę lecieć.

Uprzejmie zaakceptował tę wersję i zgodziliśmy się przenieść spotkanie na później. Ale tym razem to ja miałam do niego zadzwonić, a tak dusił mnie wstyd, że nawet nie przyszło mi do głowy, by próbować ponownie rozbudzić jego zainteresowanie.

Dlaczego nie wpadłam na to, że w przypadku połączenia zawsze podawany jest numer dzwoniącego? Tą kwestią zadreślałam się w podobnych sytuacjach.

Ze wszystkich sił starałam się wymazać ten incydent z pamięci. Niestety, numer telefonu Jasona (którego oczywiście nauczyłam się na pamięć w ciągu tego fatalnego wieczoru) wyróżniał się tym, że trzy pierwsze cyfry były identyczne z domowym numerem Lizy, więc żyłam w strachu, iż zadzwonię do niego niechcący i zmuszę do ponownego rozważenia, czy nie warto zgłosić mojego przypadku na policję.

Masochistyczne analizowanie na schodach tego żenującego epizodu oraz całej serii innych randkowych gaf i romantycznych nieporozumień spowodowało tylko, że mocniej i boleśniej wypaliły się w mojej pamięci.

Gdy wreszcie ukończyłam wyczerpujący czwarty odcinek stopni, uświadomiłam sobie, że ostatnie pół godziny spędziłam nie tylko na wzmacnianiu nóg, ale również prześladyjących mnie demonów. Uderzyło mnie to jako działanie zdecydowanie nieproduktywne i autoironiczne, biorąc pod uwagę lokalizację. Zasapana ruszyłam w drogę do domu, mając wrażenie, jakbym straciła jakąś szansę.

W biurze, trzy kawy później, uznałam, że przeszłość, nieważne jak nieodwracalnie bolesna, stanowiła tylko wstęp do wymarzonego związku, który właśnie miał powstać między mną a Aaronem. Byłam teraz silniejsza i mądrzejsza, ponieważ uczyłam się na błędach i z pewnością nigdy już ich nie powtórzę. Pod innymi względami również się zmieniłam - stałam się pewna siebie, spokojna i zdecydowana. Może nie obiektywnie, ale w porównaniu z okresem tuż po przeprowadzce do Waszyngtonu.

Częściowo z powodu wysokiego poziomu kofeiny w moim krwiobiegu dzień okazał się zaskakująco produktywny. Większość czasu spędziłam, przygotowując serię spotkań otwartych, które RG zamierzał poprowadzić w Ohio w trakcie przerwy w obradach senatu pod koniec sierpnia.

Spotkania otwarte były dużymi zaplanowanymi imprezami służącymi jako platforma dialogu między RG i jego wy-

borcami. Każdy mógł przyjść, by zadać pytanie lub przedstawić swoją opinię, a RG stał godzinami i zapewniał, że wszyscy zostaną wysłuchani.

Uwielbiałam te spotkania nie tylko dlatego, że RG wyjątkowo dobrze na nich wypadął. Uważałam je za święta odpowiedzialności i komunikacji (choć oczywiście czasem bywały nieudane i nudne), a biorąc pod uwagę, iż wyrażały podstawowe relacje leżące u serca demokracji przedstawicielskiej - te między wybranym a wyborcami - dziwiło mnie, że nie organizowali ich inni senatorowie.

RG chciał, by sierpniowa tura spotkań otwartych dotyczyła głównie kwestii opieki zdrowotnej, więc miałam dołączyć do podróżującej z nim ekipy. Oczywiście zależało mi, żeby wszystko przebiegło tak gładko, jak to tylko możliwe, i głęboko zaangażowałam się w planowanie. Trzeba było wybrać lokalizację, wynająć samochody, przyciągnąć uwagę, zwięźle i w przystępnym języku przedstawić projekty ustaw oraz zrobić mnóstwo innych rzeczy, przez które byłam bardzo zajęta.

Środa minęła w równie chaotycznym pośpiechu i zanim zdołałam się zorientować, nadszedł czwartek. O 5.30 obudził mnie telefon od mamy. Chciała się upewnić, czy wszystko w porządku, ponieważ właśnie miała sen, w którym zmiażdżył mnie gigantyczny spinacz.

Mama zwykle nie przywiązywała dużej wagi do snów, więc byłam nieco zaskoczona tym telefonem. Gdy opowiadała, jak spinacz po prostu spadł o świcie z nieba, słyszałam w tle *Yellow Submarine* i zastanowiłam się, czy jak zwykle ma płytę ustawioną na odtwarzanie w kółko. W latach sześćdziesiątych mama nie tylko studiowała nauki polityczne w Berkeley, była też fanką brytyjskiego rocka. Powitała brytyjską inwazję z otwartymi ramionami, a szczególnie uczuciem obdarzyła Beatlesów, Rolling Stonesów oraz The Who, by wymienić tylko kilka przykładów. W jej przekonaniu muzyka zrodzona w Wielkiej Brytanii znacznie przewyższała

wszystko, czym mogły się pochwalić Stany. Mając dwadzieścia kilka lat, organizowała fankluby, przekonała tatę, by zapuścił włosy, i mówiła z brytyjską nutą w środkowozachodnim akcencie.

Po ukończeniu studiów doktoranckich odrzuciła propozycję pracy w Stanford, by zamieszkać w Ohio z mężem, który poświęcił się modernizacji mlecznej farmy od pokoleń należącej do jego rodziny. W zabieganej codzienności tego nowoczesnego i kwitnącego przedsięwzięcia matka zaraziła mnie zainteresowaniem służbą publiczną, sama zaś zajęła się nauczaniem w miejscowej szkole wyższej.

Od czasu do czasu mamie zdarzało się zrobić coś, co przypominało mi, że jest nie tylko profesorem nauk politycznych, ale również nieuleczalnym anglofilem. Na przykład oglądała godzinami BBC America lub mówiła „pissed”, żeby oznajmić, że ktoś jest pijany, a nie wkurzony. Choć czasem jedno i drugie było prawdą.

Gdy skończyła relacjonować niepokojący sen, zapewniłam ją, że jestem w nienaruszonym stanie, obiecałam zadzwonić później i postanowiłam wykorzystać niespodziewaną dodatkową godzinę na uczynienie się nieodparcie piękną, ponieważ najprawdopodobniej miałam spotkać się z Aaronem zaraz po pracy.

Stojąc pod prysznicem, zamknęłam oczy i ujrzałam obraz samej siebie zgniatanej przez gigantyczny spinacz. Dzięki, mamó. Trochę mnie niepokoiło, że macierzyńskie przecucia co do mego nieuchronnego losu jako ofiary przerośniętych przyborów biurowych mogą okazać się uzasadnione, więc postanowiłam być tego dnia wyjątkowo czujna.

Krytycznie przyjrzałam się odbiciu w lustrze i z niezadowolaniem stwierdziłam, że wbrew zamierzeniom nie dokończyłam przemiany w supermodelkę. Powiedziałam sobie jednak, że nie wyglądam tak źle. W dodatku, jak irytująco powtarzała każda fałszywie skromna modelka na świecie,

liczyło się wewnętrzne piękno. Na szczęście nadal miałam dość czasu, by poprzez intensywną medytację osiągnąć duchowy spokój i jedność, zanim popędzę do pracy.

Codzienna medytacja była jednym z moich postanowień na chiński Nowy Rok, choć części „codzienna” trzymałam się tylko przez tydzień. Nie przeszkadzało mi siedzenie spokojnie przez pół godziny, wręcz przeciwnie, byłam zachwycona, że udało mi się włączyć do rozkładu dnia takie duchowo usankcjonowane lenistwo - jednak z wielkim trudem przychodziło mi oczyścić umysł z myśli. Nawet jeśli moją jedyną myślą było: „No dalej! Nie może być aż tak trudno nie myśleć o niczym!”, ponosiłam klęskę.

„Ostatni raz medytowałam trzy tygodnie temu”, wyznałam małemu drewnianemu Buddzie, którego umieściłam w pobliżu dla inspiracji. Jego pyzata dębowa twarz błyszczała wybacząco. Zamknęłam oczy i zaczęłam odrzucać od siebie myśli, pragnąc osiągnąć spokój płynący z duchowego oświecenia.

Godzinę i piętnaście minut później obudziłam się gwałtownie, podskakując na odgłos sunącej po ulicy śmieciarki, który przypominał trzęsienie ziemi. Otarłam ślinę z ust i rozejrzałam się zdezorientowana. Zegar diabelsko wyszczerzył zęby. To jakiś żart. W mgnieniu mantry nadmiar czasu przekształcił się w deficyt i zostało mi tylko siedem minut, by dotrzeć do pracy. Tyle jeśli chodzi o wewnętrzny spokój.

Przyjechałam wykończona i spocona i przez resztę poranka nie mogłam się wyrwać z maniakałnego zabiegania. Trafiłam do windy z Markiem Herbertem, który wyglądał na mocno spanikowanego tym, że musi dzielić ze mną zamkniętą przestrzeń. Cały czas wpatrywał się w swoje stopy, a ja, zbyt zestresowana, by walczyć z krępującą ciszą, udawałam, że moją uwagę bez reszty pochłania BlackBerry.

Na biurku powitał mnie świeży wydruk „The Hotline”. Przejrzałam szereg mniejszych i większych nagłówków, rejestrując po drodze wszystkie godne uwagi wypowiedzi

prawników i dziennikarzy. Oprócz „The Note”, codziennego podsumowania wiadomości politycznych dostępnego na ABCnews.com, „The Hotline” należało do lektur obowiązkowych na Capitol Hill.

Trudno było nie przejść od razu do części satyrycznej, zawierającej najlepsze dowcipy polityczne z zeszłego wieczoru autorstwa Jona Stewarta, Cofana, Lettermana i Leno, ale cierpliwie studiowałam artykuły po kolei, na zmianę ucieszona i oburzona informacjami.

Kongresman Harris najwyraźniej porównał homoseksualizm do manii robienia zakupów swojej żony - „straszna choroba, z którą trzeba walczyć z surowością i współczuciem”. Rewelacja. Dobrze, że tacy inteligentni postępowi liderzy kształtowali narodową politykę.

Laura Harris w ciągu sześciu miesięcy, odkąd zamieszkała w DC, kupiła w różnych sklepach markowe ubrania warte ponad czterysta tysięcy dolarów. Gdy jej trzecia karta kredytowa została odrzucona, plotkarska sprzedawczyni zadzwoniła do „Washington Post”.

Powstałe zamieszanie nie zostało dobrze przyjęte w okręgu Harrisa, Nowym Meksyku. Harrisowi nie pomogło z pewnością, że był to jeden z najbiedniejszych stanów, który wyjątkowo ucierpiał w ciągu ostatnich sześciu lat recesji. Oburzeni wyborcy i wydawcy gazet żądali wyjaśnień.

Początkowo kongresman odpowiedział żartem o tym, jak trudno mu kontrolować swoją damę, skoro zawsze wygląda tak ślicznie, lecz ku jego zaskoczeniu nie uciszyło to krytyków. Przeszedł więc do smutnych opowieści o „problemie” żony w programie Diane Sawyer, a teraz zdawało się, że chcąc odzyskać poparcie, postawił na hasło „kochajcie mnie, jestem homofobem”.

Ponieważ kongresman Harris był jednym z głównych zbierających fundusze na kampanię reelekcyjną prezydenta, już przygotowywałam się na nieuniknione oświadczenie Pile'a,

że może „spojrzeć Jebowi Harrisowi prosto w oczy i stwierdzić, że to dobry człowiek”. Ale czy naprawdę można się przygotować na taki nonsens?

W gronie amerykańskich prezydentów Pile był prawdziwą katastrofą. W ciągu ostatnich siedmiu lat administracja narobiła straszego bałaganu, a rządy Pile'a pod praktycznie każdym względem okazały się porażką. Polityka gospodarcza, społeczna czy w zakresie ochrony środowiska, lub dokładniej rzecz biorąc, jej brak, pogrzyżyła kraj w brutalnej recesji i cofnęła Amerykę o dekadę lub nawet więcej. Społeczność międzynarodowa kręciła głową wobec problemów Stanów i starała się powstrzymać administrację Pile'a przed rozprzestrzenieniem właściwych jej arogancji i nieudacznictwa poza granice państwa.

Taki był smutny stan rzeczy. Nawet członkowie partii Pile'a czuli, jak źle sprawy stoją, i większość z nich za wszelką cenę starała się zdystansować od administracji. Wiceprezydent Dan Linkey nawet nie usiłował prowadzić kampanii. Unurzany w licznych skandalach musiał mocno lawirować, by uniknąć aktu oskarżenia.

Jedyną dobrą stroną strasznej prezydentury Pile'a było to, że kraj desperacko pragnął nowego przywódcy, który oczyściłby sytuację. Z tą świadomością spędziłam kilka chwil, studiując najświeższe wieści o rozpoczynającej się kampanii prezydenckiej. Odległa o piętnaście miesięcy, już zajmowała znaczną część gazetowych kolumn.

Oprócz Bramena w jego partii rywalizowało o nominację jeszcze sześciu kandydatów, jednak do tej pory zdawało się, że tylko dwóch było zdolnych poważnie mu zagrozić. Melanie Spearman, senator z Illinois, była jedyną kobietą, której udało się zejść tak daleko. Przyciągała moją uwagę lodowatym profesjonalizmem i uporem. Zastanawiałam się, czy wytrwa. Nigdy nie spotkałam jej osobiście, ale obserwowałam ją z zainteresowaniem. Według „The Hotline” miała mocne

poparcie w New Hampshire, a posunięcia pani senator bacznie śledziła prasa.

Choć fascynowała mnie wizja kobiety w roli kandydatki na stanowisko prezydenta, skłaniałam się bardziej ku Wilsonowi Rexfordowi, ostatniemu z czołowej trójki. Rexford, trzydziestosiedmioletni kongresman z Seattle, był najmłodszym z pretendentów. W moim przekonaniu roztaczał wokół siebie aurę radosnego zaangażowania, której nie zaobserwowałam u żadnego innego kandydata. Jako syn bardzo popularnego, zmarłego młodo gubernatora uważał chyba, że nie ma czasu do stracenia. Zachowywał się jak człowiek gotowy na wszystko, by pokazać, co potrafi, łącznie z wypowiedzianiem się w niezwykle ostry sposób, czego bardziej umiarkowani rywale unikali. Zawsze lubiłam o nim czytać i podejrzewałam, że jest zdolny do wielkich rzeczy.

Nadrabianie zaległości w informacjach o kampanii przebrwała mi Liza. Zadzwoiła, by wyzalić się na pracownika, który głośno trząskał stawami.

- Nie, nie jesteś nierozsądna, to naprawdę paskudne - wyraziłam swoje współczucie. - Zwróciłaś mu uwagę?

Nie.

- Najgorsze jest to, co wyrabia z szyją. Wezniej po kolei zajmuje się kłykciami i kostkami u nóg. Potem kręci głową i wyzwała ten obrzydliwy finał chrupiących trząsków.

- Okay, przestań, niedobrze mi.

- Wiem! To wstrętne. Słyszę te małe bulgoty, dochodzące jakby z jego żył, i...

- Liza, mówię poważnie.

- Och, w porządku. Przepraszam.

Za późno - poczułam miękkość w członkach.

Jak na analityka do spraw służby zdrowia z obsesją na punkcie dziwacznych chorób miałam wyjątkowo niski próg tolerancji na wszelkie rozmowy o szyjach, nadgarstkach czy piętach. Była to niezwykła potrójna fobia, o której starałam

się nie opowiadać nikomu poza bliskimi przyjaciółmi. Moja współlokatorka z akademika studiująca psychologię powiedziała, że to normalne, iż ludzie czują obawy w związku z tymi częściami ciała, ponieważ są one najbardziej podatne na urazy, ale nigdy nie spotkałam nikogo, kto miałby na ich punkcie podobną obsesję co ja.

Zmuszona myśleć intensywnie o którejs z tych trzech części ciała, zwykle potrzebowałam pięciominutowej przerwy, by dojść do siebie. A w przypadku jakiegokolwiek formy wizualnej prezentacji urazów szok był znacznie silniejszy. Istniało niewiarygodnie dużo filmów pokazujących samobójstwa poprzez uszkodzenie nadgarstka i wielokrotnie trzeba mi było pomóc wyjść z kina i podać papierową torebkę, że- bym przez nią oddychała.

Krótko mówiąc, Liza powinna była wiedzieć lepiej.

- Możesz już poruszyć ramionami? - spytała z poczuciem winy.

- Nic mi nie będzie - wyszeptalam dzielnie.

Dziesięć minut później nadal czułam się nieco słabo, ale musiałam przygotować RG na popołudniową telekonferencję z grupą administratorów szpitali.

Znowu wyglądał na zmęczonego i zestresowanego, jednak wyraźnie chłonał wszystkie podawane przeze mnie informacje. Bawił się zegarkiem, gdy podsumowywałam raport.

- Okay, brzmi dobrze. Czy przygotujesz rozmowę? - spytał.

- Tak, sir. I zostanę, żeby omówić na koniec dodatkowe kwestie.

Skinął głową i zwalczył ziewnięcie. Zastanawiałam się, jak długo spał tej nocy. Może udało mu się trochę pome- dytować.

RG sprawdził zegarek po raz ostatni i nagle się rozpogodził.

- Jenny i chłopcy wpadną za parę godzin, wracając z mu- zeum - zwrócił się do mnie bez żadnego widocznego powodu oprócz tego, że najwyraźniej go to cieszyło.

Kolejna cecha, którą lubiłam u RG - gdy był szczęśliwy, okazywał swe uczucia w bezpośredni chłopięcy sposób, a żona i synowie zdawali się uszczęśliwiać go bardziej niż cokolwiek innego. Zawsze uznawałam takie nastawienie za miłą odmianę, zwłaszcza w środowisku, gdzie wiele osób traktowało członków rodziny jako niezbędne dodatki, które należało czasem pokazywać, ale zazwyczaj się ich unikało.

- To świetnie, chętnie ich zobaczę. Chłopcy musieli sporo urosnąć.

Czułam się dziwnie, rozmawiając z RG na temat niezwiązany z pracą, zwłaszcza w tak nieformalny, przyjazny sposób. I choć tylko odpowiadałam na ton przełożonego, bałam się, że to mimo wszystko niestosowne.

Ale naprawdę chciałam zobaczyć chłopców. Jack i Jeffrey Gary urodzili się w tym samym tygodniu, w którym zaczęłam pracować dla RG w Waszyngtonie. W rezultacie miałam wrażenie, że moja kariera wiąże się jakoś z ich rozwojem. Z pewnością kojarzono nas z tym samym senatorem.

Przestałam rozmyślać o tym, jak bliźniacy i ja w ciągu minionych miesięcy uczyliśmy się rączkować, i nastawiłam uszu z niemiłym uczuciem, że RG właśnie powiedział coś, co do mnie nie dotarło.

- Tak, sir?

- Pytałem - odparł rzeczowo - co tu jeszcze robisz. Czy nie skończyliśmy?

Okay, przyjazna chwila minęła.

Popędziłam do biurka, by zacząć organizować telekonferencję, ale przerwała mi wiadomość od Aarona.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Najlepsza randka

Sammy, wieczorne wyjście aktualne? Nie dręcz mnie, zgódź się. Może spotkamy się około ósmej w Oval Room (barze, a nie

w tym prawdziwym, chyba że załatwisz wejście, wtedy pójdziemy na całego)? Pomyślałem, że wylejemy na parę osób trochę piwa, zanim coś zjemy. Daj znać.

Znowu przez chwilę się wahałam. Tak łatwo byłoby odmówić. Ale wiedziałam, że nie chcę.

Do: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Re: Najlepsza randka

Do zobaczenia o ósmej. Będę damą szukającą ratunku przed rozwścieczonym tłumem.

Z nieco większym niż zwykle trudem przyszło mi skoncentrować się na pracy, ale zdołałam bez problemu zorganizować konferencję. Kilka godzin później przechodząc obok biura RG, usłyszałam chichot dzieci. A zatem Jenny i bliźniacy przyjechali.

- Samantho, wejdź, proszę, i pomóż to rozstrzygnąć, dobrze? - zawołał RG.

Rozstrzygnąć co? Czy mam się opowiedzieć po jednej ze stron? Wybrać między szefem a jego żoną? Nie było dobrego wyjścia z tej sytuacji.

- Oczywiście, sir - rzuciłam radośnie.

Weszłam do biura. Jack i Jeffrey raczkowali dookoła sofy.

- Co mogę dla pana zrobić, sir? - spytałam profesjonalnie, ukrywając strach.

- Jenny i ja mamy serię ostatnich rzutów do wykonania, ale bliźniaki właśnie się obudziły. Możesz ich przez chwilę przypilnować?

Jenny trzymała małą piłkę do koszykówki. Kosz wisiał z tyłu, na drzwiach prywatnej łazienki. Zwykle go tam nie było, RG korzystał z niego tylko przy specjalnych okazjach.

Jenny spojrzała na męża z wyrzutem. Miała czterdzieści jeden lat i delikatną urodę, a lekko falowaną fryzurę nosiła ze śmiałością świadczącą o wysoce żywym umyśle. Wciąż nie znałam Jenny zbyt dobrze, ale słyszałam różne opowieści innych pracowników. Na studiach najwyraźniej byli z RG parą gołąbków, a gdy on wspinał się po szczeblach kariery w Kongresie, Jenny pracowała na pół etatu i desperacko starała się zajść w ciążę. Trwało to ponad dziesięć lat i wymagało najróżniejszych terapii, ale wreszcie została matką. Rok temu po urodzeniu bliźniaków poświęciła się macierzyństwu i pomimo śladów zmęczenia promieniała, jakby wygrała los na loterii. Jednak w tej właśnie chwili spoglądała z lekką dezaprobatą.

- Robercie, nie możesz tego od niej wymagać - powiedziała.
RG odwrócił się do mnie.

- Słuchaj, wiem, że jest sprzeczne z zasadami, by prosić cię o taką rzecz jako pracownika, więc czy zrobisz to jako przyjaciółka? W ramach rekompensaty wyjdź dziś na przykład dziesięć minut wcześniej.

- Oczywiście. Niech pan rzuca - odparłam.

Jack i Jeffrey byli stereotypowo rozkoszni - dołeczki w policzkach i ogromne błękitne oczy. Rozglądali się ciekawie ze stosu poduszek, gdzie wcześniej odbyli drzemkę, wchłaniając tyle widoków i dźwięków, ile się dało. Spojrzałam na nich ponownie zadziwiona tym, że wyglądali zupełnie identycznie. Doprawdy, można ich było odróżnić jedynie po śpioszkiach w różnych kolorach. Jack był w niebieskich, Jeffrey w zielonych. A może na odwrót?

Ten w zielonych zaczął płakać. Rodzice natychmiast się odwrócili.

- Wszystko w porządku - powiedziałam pewnym tonem i zaczęłam delikatnie kołysać go na kolanie.

- Już dobrze, Jeffrey - zawołała uspokajająco Jenny przed powrotem do gry.

Skoro potwierdziła się tożsamość Jeffreya, zagruchałam do niego macierzyńsko i zakołysałam. Jack przestał raczkować i wpatrzył się we mnie - sądząc po wyrazie twarzy, nie przypuszczał, że mogę wydawać takie dźwięki. Przyzwyczaiłam się do bycia niedoceniałą.

Powoli Jeffrey przestał płakać. Połączyłam gruchanie z kwiczeniem i muczeniem, żeby utrzymać zainteresowanie Jacka. Nagle przypomniał mi się ohydny artykuł w jednym z tych magazynów ukierunkowanych wyłącznie na to, jak skupić uwagę mężczyzny na kobiecym ciele świetnie przygotowanym do noszenia bikini. Artykuł sugerował wypróbowanie nowych rzeczy w łóżku, na przykład odgrywanie ról. Pisano tam: „Nawet jeśli nie kręci cię zoofilia, udawanie hodowlanego zwierzęcia może naprawdę podniecić faceta”.

Nawet jeśli nie kręci cię zoofilia? Zwrot ten sugerował, że bycie za lub przeciw stanowiło zwykłą decyzję na tak lub nie. Sięgnęłam po magazyn, chcąc mieć twarde jak kamień pośladki w dziesięć minut lub mniej, i oto stanęłam w obliczu sugerowanej tolerancji dla seksu ze zwierzętami. Wtedy byłam zszokowana i z niepokojem przypominałam sobie o tym teraz, gdy intensywnie wpatrywali się we mnie jednoroczni bliźniacy. Miałam nadzieję, że wspomnienie tego wstrętnego artykułu nie emanuje ze mnie i nie plugawi ich aury.

Raczej nie. Obaj szczerzyli się do mnie radośnie. Naprawdę byli niesamowici. Gdy macierzyńsko odwzajemniłam ich spojrzenia, poczułam nieznaną ciepło.

Dopiero po chwili odkryłam przyczynę.

Jeffrey radośnie siusiał przez pieluszkę na moją zamszową spódnice.

Zachowanie spokoju było moim drugim odruchem. W chwili gdy zdecydowałam, że najlepiej postąpić właśnie w ten sposób, nie mogłam już cofnąć pierwszej reakcji, jaką był paniczny okrzyk na widok zniszczonego zamszu.

Państwo Gary podbiegli i chwycili chłopców, pytając z niepokojem, czy coś im się stało.

Szybko zapewniłam, że wszystko w porządku, wskazałam na plamę moczu i przeprosiłam za przesadną reakcję.

- O Boże, zamsz - powiedziała współczująco pani Gary.

- To źle? - spytał RG.

Domyśliłam się, że szczegóły dotyczące materiałów nie znajdowały się na długiej liście rzeczy, na których RG znalazł się świetnie. Szczerze mówiąc, z ledwością zasługiwały, by znaleźć się na liście rzeczy, o których ja sama miałam choćby mgliste pojęcie. Kiedy mama dała mi na urodziny zamszową spódnicę - zaskakująco fajny prezent jak na nią - wspomniała, że nie należy na nią wylewać płynów, i kazała obiecać, że nie będę w niej wychodzić na deszcz. Ostry ton sugerował, iż według niej, jeśli mnie specjalnie nie upomni, pobiegnę włożyć spódnicę, jak tylko zobaczę pierwszą oznakę nadciągającej burzy. Wybrałam ją na randkę z Aaronem, ponieważ sądziłam, że wyglądam w niej na osobę bardziej elegancką, niż byłam w rzeczywistości.

- Tak mi przykro, Samantho. Oczywiście zapłacimy za pralnię - powiedziała Jenny Gary.

Czy w pobliżu znajdowała się ekspresowa pralnia, której właściciel nie miałby nic przeciwko temu, żebym poczekała w lokalu w samej bieliźnie? Nawet jeśli tak, to prawdopodobnie udanie się do takiego zakładu nie było dobrym pomysłem.

- Och, proszę się nie przejmować. To żaden problem - mówiłam, wycofując się do drzwi.

Odparowałam jeszcze kilka przeprosin i uciekłam do łazienki, gdzie zdołałam przemienić średniej wielkości plamę moczu w gigantyczną plamę wody, zanim zrezygnowana powróciłam do biurka.

Miałam się spotkać z Aaronem za czterdzieści pięć minut, a wciąż czekała mnie długa lista osób, do których należało oddzwonić, oraz raport do napisania na temat najnowszych badań przeprowadzonych przez Narodowe Instytuty Zdro-

wia. A co najgorsze, ogarnęła mnie panika, przynajmniej w tej chwili. Nie zdążę popędzić do domu, by się przebrać, a jedynym innym wyjściem był strój sportowy, który optymistycznie i bezowocnie trzymałam w torbie pod biurkiem.

Zatem albo Aaron zaakceptuje mnie w poplamionej spódnicy, albo będzie to jego strata.

Gdy czterdzieści minut później ruszyłam do Oval Room, zastanawiałam się, czy mój niezwykle spokojny był objawem niedawno nabytej, wpływającej na stan umysłu choroby. Czy w jakiś sposób mogłam zarazić się zapaleniem opon mózgowych? Gdy już o tym pomyślałam, to stwierdziłam, że mam sztywną szyję, a w głowie mi nieco dzwoni. Jeśli te obawy by się potwierdziły, niewiele mogłam zrobić, oprócz postarania się, by jeden z moich ostatnich wieczorów wśród żywych był godzien zapamiętania.

To sprawiło, że czekając na Aarona, zamówiłam tequilę. Tylko mały kieliszek dla dodania sił, po którym natychmiast przyszła kolej na miętówkę dla ochrony reputacji.

Aaron przybył spóźniony piętnaście minut, ale z paczką cukierków zdobioną w kwiatki.

Kwiaty i słodczyce w jednym. Mocne posunięcie.

Natychmiast zwróciłam jego uwagę na plamę na spódnicy i zapewniłam, że jestem świadoma jej obecności. Roześmiał się, słysząc opowieść, więc cały wypadek z siusianiem nieskończenie na tym zyskał.

Aaron poprowadził mnie w kierunku małego stolika przy ścianie i zamówił wino. Siedziałam naprzeciwko niego, czując, że oblewa mnie gorąco i mam skołowaciały język, a znane fale paniki paraliżują mój układ nerwowy. Niedawno osiągnięty spokój znikł. Przynajmniej oznaczało to, że lęk przed zapaleniem opon mózgowych był nieuzasadniony.

Aaron zapytał o wrażenia z Waszyngtonu i jak mi się tu podoba. Poruszył temat rodziny i życia w Ohio. Jednak głównie to on mówił, a ja z zadowoleniem słuchałam.

Był fascynujący, czysty urok i elokwencja. Miał dwadzieścia dziewięć lat, dorastał na zachodnim krańcu Florydy, lecz jego rodzice pochodzili z Alabamy, co tłumaczyło akcent. Uczęszczał do Tulane Law School, ale nie został prawnikiem. W przypadku kogokolwiek innego uznałabym takie posunięcie za stratę czasu, jednak u Aarona wydawało się to oznaką silnego charakteru. Choć zawsze chciał być nauczycielem angielskiego, dzięki kontaktom z pisma prawniczego wciągnął się w pisanie przemówień. Z opisu jego życie wyglądało na pełne, zachęcające i dojrzałe do partnerstwa, miał też poważny sposób bycia, który sprawiał, że chciałam go zaintrygować.

Po drugim kieliszku wina ujął moją dłoń, a ja poczułam, że w odpowiedzi na ten gest mocniej bije mi serce.

- Co powiesz na chińszczyznę? - spytał intymnie.

Pragnęłam odpowiedzieć mu płynnym mandaryńskim, ale stać mnie było tylko na całkiem zwyczajne skiniecie głową.

Gdy wychodziliśmy, położył dłoń na moich plecach. Poczułam się prowadzona, nawet jeśli nie całkiem bezpieczna. I chciałam więcej jego dotyku.

Przy wieprzowinie mushu i kurczaku kung pao rozmawialiśmy o pracy. Nie o nudnych szczegółach, lecz o charakterystycznych doświadczeniach, które co pewien czas przypominały nam, że jesteśmy częścią wyjątkowego świata. Postanowiłam sprawdzić go dokładniej, nim opowiem o incydencie z Alfredem Jackmanem. Opisałam jednak kilku innych starszych obywateli, którzy dostarczali mi motywacji, ale nie byli odpowiedzialni za to, że niecały tydzień temu znalazłam się w posiadaniu karalnej ilości marihuany.

Opowiedziałam o Florze Henderson, siedemdziesięciosześcioletniej owdowiałej babci, która zadzwoniła do mojego biura po radę w kwestii wyboru między dwoma lekarstwami - potrzebowała obu, ale stać ją było tylko na jedno, a lekarze odmówili udzielenia jej w tej sprawie pomocy. Głosowała na senatora Gary'ego i uważała go za „bardzo mądrego czło-

wieka naprawdę troszczącego się o ludzi", więc chciała go spytać o opinię. W efekcie spędziłam przy telefonie czterdzieści pięć minut i zrobiłam wszystko, co mogłam, by jej pomóc. Gdy odłożyłam słuchawkę, głos i problem Flory zostały w mojej głowie i tej nocy pracowałam dłużej niż zwykle nad projektem ustawy, która poprawiłaby sytuację.

Gdy skończyłam opowiadać o Florze, Aaron popatrzył na mnie przez długą, rozpalającą wysypkę na szyi chwilę.

- Jesteś inna - powiedział po prostu.

Inna w dobrym znaczeniu, czy inna jako eufemizm na dz i w a c z k ę? Nie potrafiłam tego ocenić po jego odległym, zadumanym wyrazie twarzy. Jakąż to myśl obracał w głowie? Nagle wrócił i całą uwagę skupił na mnie.

- Naprawdę mówisz to, co myślisz. I trzymasz się czystej strony tego interesu. Większość dziewczyn tutaj jest już wypalona albo się poddała, ale ty masz w sobie iskrę - dokończył.

Pochlebilo mi to i zażenowało mnie.

- Och, daj mi tylko trochę czasu - powiedziałam żartobliwie.

- Nie, mówię poważnie. Dosłownie cię dziś obsikano, a mimo to sprawiasz wrażenie, że nie możesz się doczekać powrotu do pracy. To nietypowe, wierz mi.

Czyżby naprawdę udało mi się go zaintrygować? Dzięki, Floro.

Uśmiechnęłam się skromnie i sączyłam wino.

- Cóż, nie martw się, teraz nie chciałabym być nigdzie indziej - uśmiechnęłam się do niego. - Pracę mam świetną, ale to spotkanie jest niemal równie dobre.

Aaron roześmiał się czarująco.

- Cieszę się, że zajmuję zaszczytne drugie miejsce - powiedział. - Zrobię, co w mojej mocy, by pod koniec wieczoru wypaść lepiej.

Właśnie wyobrażałam sobie, że nie będzie miał z tym wielkich problemów, kiedy przypomniało mi się, iż planowałam być rozsądna. Nie mogłam się zagalopować. Nadal bardzo wielu rzeczy o nim nie wiedziałam.

- Więc jak się pracuje dla Bramena? - spytałam, mając nadzieję, że odpowiedź albo ujawni, że Aaron ma świadomość, iż jego szef nie jest najlepszym człowiekiem, albo że pracuje dla niego zbyt krótko, by to wiedzieć.

- Świetnie - odparł.

Hmm... nie była to odpowiedź, na jaką liczyłam.

- Ma opinię nieco... skoncentrowanego na sobie - stwierdziłam ostrożnie. - Odniosłeś takie wrażenie?

Aaron roześmiał się.

- A wpuszczają do senatu takich, którzy nie są? - spytał z uśmiechem.

Cóż, właściwie tak. Z radością dostarczyłabym na to dowodów, lecz Aaron mówił dalej.

- Słuchaj, Bramen jest ambitnym facetem - ciągnął. - Robi to, co trzeba, żeby się przebić. I ja go rozumiem. Nie jestem do niego jakoś bardzo przywiązany. W jednej chwili odszedłbym do lepszej pracy, ale nie ma wielu lepszych zajęć niż pisanie przemówień dla przyszłego prezydenta.

Wpatrywałam się w niego przez chwilę. Której części jego wypowiedzi powinnam najpierw zaprzeczyć? Zamierzałam utrzymać pozytywne podejście do kwestii dzieci, jakie możemy mieć pewnego dnia, ale czułam coraz większą potrzebę dyskusji.

- Bramen nie ma jeszcze nominacji w kieszeni - stwierdziłam. - Każdy inny kandydat może ją dostać.

Aaron pokręcił głową.

- Spearam i Rexford stanowią pewne wyzwanie, ale inni się nie liczą - powiedział zdecydowanie.

Tymi innymi byli Ellis Conrad, Hank Candle i Max Wye. Moim zdaniem wszyscy mieli jeszcze czas, by się rozkręcić.

Conrad był wybranym na czwartą kadencję senatorem z Michigan i jedynym afroamerykańskim kandydatem do prezydentury. Uważałam go za elokwentnego i przekonującego, zauważyłam też, że koledzy w senacie zawsze uważnie słuchają, gdy przemawia.

Kongresman z Rhode Island, Hank Candle, mniej porywał jako mówca, ale słynął z bezspornej uczciwości i w konsekwencji przewodniczył dochodzeniom w kwestiach naruszenia etyki oraz kierował działaniami legislacyjnymi w dziedzinie obrony praw człowieka. Na fotografiach wyglądał jak skrzat, symbol firmy Keebler, choć wątpiłam, że taki właśnie wizerunek był jego celem.

Max Wye, gubernator Luizjany, był jedynym kandydatem spoza Waszyngtonu. Choć niektórzy zachwycali się jego inteligencją i niezwykłą umiejętnością nawiązywania kontaktów z ludźmi, do tej pory nie zdołał przyciągnąć uwagi prasy. W rezultacie nadal niewiele o nim wiedziałam. Ale na tak wczesnym etapie nie skreślałabym nikogo.

- Naprawdę uważasz, że nie mają szans? - spytałam.

Aaron wzruszył ramionami.

- Żaden z nich nie zdoła zebrać forsy - odparł po prostu.

Wydawał się bardzo pewny siebie i świata polityki. Czy udzieliła mu się arogancja Bramena? A może taki już się urodził? Tak czy siak, czułam potrzebę, by nim potrząsnąć.

- Nie lubię Bramena - oświadczyłam.

Zwykle nie oznajmiałam swojej niechęci do ludzi, dopóki ich choć raz nie spotkałam, a jeśli już, to nie wobec kogoś, kto bezpośrednio dla nich pracował, ale chciałam, żeby to zabrzmiało szokująco.

- Tak, wyczułem to - odparł Aaron. - Dlaczego?

- Uważam, że jest arogancki i śliski i że znacznie bardziej przejmuje się swoją karierą niż pomaganiem ludziom.

Proszę. Miałam nadzieję, że Aaron jest odpowiednio wstrząśnięty. Zamiast tego wyglądał tak, jakby powstrzymywał uśmiech.

- Co? Co jest takie śmieszne?

Położył dłoń na mojej.

- Jesteś taka zapalczywa i idealistycznie nastawiona do wszystkiego - oznajmił. - I taka nowa w DC.

- Uważasz, że jestem naiwna? - przerwałam mu.

Nienawidziłam, kiedy nazywano mnie naiwną.

- Nie, nie naiwna - odparł Aaron. - Tylko... młoda. W dobry sposób. I piękna.

Popatrzył mi w oczy. Ku mojej irytacji natychmiast zapomniałam wszystkie zaplanowane ostre riposty. A niech to! Z całych sił starałam się je sobie przypomnieć.

- Rozumiem, że nie lubisz Bramena - rzekł łagodnie. - Ale czy możemy jak dorośli zgodzić się, że mamy różne opinie? Bo ja naprawdę lubię ciebie.

Przez kilka chwil się nie odzywałam. Aaron wciąż trzymał swoją dłoń na mojej i czułam, jak wysypka pali mnie pod ciasnym golfem bez rękawów, który specjalnie włożyłam, by ją ukryć. Chciałam czy nie, podobał mi się. Może na razie powinnam zrezygnować z dyskusji.

- Okay - powiedziałam w końcu. - Za dorosłość. - Uniosłam kieliszek.

- Dopóki oznacza dobrą zabawę - uściślił z uśmiechem Aaron.

- Tak jest.

Wypiliśmy jeszcze trochę wina, omawiając bezpieczniejsze tematy, dopóki wyraźnie nie powróciliśmy do etapu flirtu. Aaron naprawdę zachowywał się czarująco. Może byłam zbyt drażliwa na punkcie tej całej kwestii Bramena. Czy to naprawdę takie ważne?

Gdy przyniesiono rachunek, otworzyliśmy ciasteczka z wróżbami i przeczytaliśmy na głos przepowiednie. Moja zapewniała, że czeka mnie wielkie szczęście. Skrytykowałam ją jako mglistą i ogólnikową, ale po cichu uznałam to za świetny znak dla naszego związku.

Z wróżby Aarona wynikało, że ma wyjątkowy talent w rękach. Choć zwykle nie lubiłam, gdy ciasteczka zawierały raczej opisy niż przepowiednie, z tą nie miałam problemu.

Aaron uniósł dłonie, bym je obejrzała.

- Jak sądzisz? Narzędzia geniusza? - spytał.
- Zdecydowanie - potaknęłam energicznie.
- Hmm - zastanowił się. - Cóż, do tej pory nie dokonały jeszcze niczego spektakularnego, ale może czekają na odpowiednią muzę - powiedział sugestywnie, odgarniając włosy z mojej twarzy i zatrzymując dłoń na policzku.

Może to przez trzy drinki, które wypiałam, a może przez glutaminian sodu w chińskim jedzeniu czułam, że się zakochuję. Gdy wyszliśmy z restauracji w parną noc, Aaron otoczył mnie ramieniem.

- Byłaś kiedyś nocą przy Washington Monument? - zapytał.

Nie byłam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to zabawne czy bezpieczne. Ale teraz nagle uznałam ten pomysł za świetny.

- Mm. Czy to moja szczęśliwa noc? - spytałam, mając szczerą nadzieję, że tak.

- Cóż, właściwie to budują wieżę o przecznicę od mojego mieszkania i jeśli zmrużysz oczy, patrząc na nią z balkonu, bardzo przypomina Washington Monument - stwierdził.

- Chyba sama powinnam to osądzić - powiedziałam.

I wyruszyliśmy.

Aaron dzielił mieszkanie z przyjacielem Mikiem, który na szczęście był poza miastem. Otworzyliśmy butelkę szampana i sprawdziliśmy widok z balkonu.

- Szczerze mówiąc, bardziej mi to wygląda na wieżę Eiffla - stwierdziłam, mocno mrużąc oczy.

Odrzekł jakimś zdaniem po francusku, którego nie rozumiałam, ale uznałam za niesamowicie seksowne.

Nie miałam talentu do języków. Nawet te obce słowa, które już dawno weszły do codziennego użytku, wywoływały moją niepewność. Na przykład nie potrafiłam odpowiednio wymówić „croissant”, więc zwykle jąkałam coś i mamrotałam. A zwrotów takich jak „joie de vivre” czy „pied-a-terre” całkowicie unikałam.

- Pardon? - rzuciłam z płaskim amerykańskim akcentem.
- Zasugerowałem, że jeśli całkiem zamkniesz oczy, możesz ją nazwać, jak chcesz.

Posłuchałam i już miałam powiedzieć coś, co mój nasycony szampanem mózg uznał za bardzo dowcipne, gdy poczułam jego ciepłe wargi na swoich.

Moje poprzednie doświadczenia dowodziły, że rzadko zdarza się dobry pierwszy pocałunek. Ten był naprawdę bardzo dobry.

Wszystkie myśli uleciały, a za nimi pospiesznie kilka części garderoby.

W objęciach dotarliśmy z powrotem na kanapę, gdzie wylałam na spódnice resztę szampana.

- Zdaje się, że dziś nie był najlepszy dzień na założenie tej spódnicy - wyrzuciłam zdyszana, gdy Aaron uwolnił mnie ze stanika.

- Całkowicie się zgadzam - odparł, zsuwając dłoń wzdłuż moich pleców. - Lepiej zaraz ją zdejmijmy.

O tak.

Dostosuj się do gry

Obudziłam się o szóstej rano w łóżku Aarona z radośnie otumanioną głową. Oddychał regularnie tuż obok, a ja wpatrzyłam się w jego rozczochrane włosy i umięśniony nagi tors, układając w myślach fakty.

Tak, przespałam się z nim pomimo długoterminowej polityki niespania absolutnie z nikim na pierwszej randce. Miałam teraz jednak całkowitą pewność, że nie był miłośnikiem żadnych perwersji stanowiących powód, by z miejsca zakończyć znajomość. Seks natychmiast wykazałby wszelkie dziwne skłonności, co oznaczało, że pod pewnymi względami była to sprytna metoda sprawdzająca. I oczywiście się zabezpieczyliśmy.

Z drugiej strony RG niedawno ostrzegł mnie, żebym uważała na pracowników Bramena. A oto leżałam naga w łóżku z jednym z nich, co dowodziło, że odrobinę obniżyłam czujność.

Czy właśnie przespałam się z wrogiem? Czy doradcy polityczni James Carville i Mary Matalin czuli się tak samo po pierwszej spędzonej razem nocy? Nawet jeśli, to najwyraźniej udało im się stworzyć funkcjonujący związek, Aaron zaś i ja mieliśmy tę przewagę, że pracowaliśmy dla ludzi rzekomo stojących po tej samej stronie. Postanowiłam nie roztrząsać dłużej problemu, ponieważ wolałam pozostać w radosnym nastroju. A noc naprawdę była świetna.

Szczęście sprawiło zatem (dobre, stare, dokładne przepowiednie), że obudziłam się pierwsza, ponieważ był to jedyny niezawodny sposób uzyskania pewności, iż Aaron nie był

świadkiem, jak niedelikatnie chrapię. W dodatku dawało mi to trochę czasu, by zaplanować poranną interakcję, przynajmniej na tyle, na ile byłam w stanie.

O Boże, co się stanie, gdy się obudzi? Czy będzie dziwnie i krępująco w pozbawionym szampana świetle dnia? Ile czasu powinnam tu spędzić? Czy on musi wyjść do pracy? Czy mój oddech okropnie pachnie? Czy mogę się wymknąć do łazienki, użyć płynu do płukania ust, i wśliznąć się do łóżka, przyjmując atrakcyjną pozę, a jednocześnie go nie budząc?

Zdołałam zrealizować dwie trzecie planu, nim wracając do łóżka, nie nastąpiłam na coś ostrego. Zawylałam i oparłam stopę na kolanie, oglądając uszkodzenia - zgięty spinacz, który wczepił się w dywan, przebił delikatną skórę na podszwie mojej lewej stopy.

Usunęłam spinacz i starałam się obejrzeć ranę, jednak straciłam równowagę i przewróciłam się na mały stos rzeczy do prania, które nie były ani miękkie, ani aromatyczne.

Może obudziło go wycie, a może głuchy odgłos mojego nagiego ciała padającego na podłogę, tak czy siak, Aaron stanął nade mną z prześcieradłem owiniętym wokół bioder.

- W porządku? - spytał.

Wyglądał na zaskoczonego i zmartwionego zarazem.

- Całkowicie - powiedziałam pogodnie. - Zaatakował mnie po prostu podstępny spinacz - wyjaśniłam, wskazując na kawałek metalu.

Zdusiłam westchnienie, gdy uświadomiłam sobie, że matka wykazała się umiejętnością przewidywania. Oczywiście nie był to gigantyczny spinacz, ale zapewne w macierzyńskiej podświadomości każde niebezpieczeństwo grożące jednemu dziecku jawiło się jako większe niż w rzeczywistości. Co najważniejsze, doznałam urazu dokładnie tak, jak przepowiedziała. Powinnam przy najbliższej okazji zadzwonić do niej i poinformować o niezwykłym talencie.

- Rany, przepraszam - rzekł Aaron. - Powinienem być tu posprzątać.

Postawił mnie na nogi, a gdy znalazłam się tuż przy nim, zastanawiałam się, czy świeży oddech pomoże mu zapamiętać, że pierwszym obrazem mojej osoby po wspólnej nocy było dziwacznie rozłożone ciało zaplątane w rzeczy do prania, a nie zaplanowana poza „anielsko śpiącej z uwodzicielsko owiniętym wokół prześcieradłem”.

Całował mnie, więc była nadzieja.

Czy spędzimy przyjemny poranek, a może nawet pojedziemy razem do pracy? Rozważałam to, choć wiedziałam, że ubrana w zmaltretowaną spódnicę wzbudzałabym niechcianą uwagę. Ale i tak moglibyśmy poleżeć jeszcze trochę w łóżku, a on bawiłby się moimi włosami.

- Obawiam się, że muszę dziś pędzić do biura - powiedział smutno, uprzejmie niszcząc w zarodku moje marzenia.

- Och, ja też - odparłam zdecydowanie.

Pomógł pobierać moje rzeczy i zadzwonił po taksówkę. Próbował dać mi pieniądze na przejazd, ale odmówiłam. Po seksie na pierwszej randce naprawdę chciałam uniknąć wszelkich zachowań, przez które poczułabym się chociaż odrobinę zdzirowato. Nie naciskał, żebym przyjęła pieniądze, ale powiedział, że zadzwoni, i długo całował mnie na pożegnanie.

Piętnaście minut później weszłam do swojego mieszkania. Czułam się nieco rozmęczana i skacowana. Shackleton pływał w akwarium brzuszkiem do góry.

Natychmiast zalałam się łzami. Moja dzielna mała rybka umarła samotnie tej jedynej nocy, gdy nie spałam w pobliżu. Czy moja nieobecność przeważała szalę? Czy nieświadomie podsycalam wolę życia w Shackletonie i bezmyślnie zaniedbałam obowiązków? Ogarnęła mnie fala poczucia winy.

Choć przetrwał niezwykle katastrofy i żył dłużej, niż którykolwiek z poprzedników, to i tak jego egzystencja była

tragicznie krótka, a ja czułam się za to odpowiedzialna. Zostałam płaczliwą i nieco oskarżycielską wiadomością na automatycznej sekretarce w sklepie pana Lee, po czym podeszłam do akwarium, by wydobyć rybkę za pomocą siatki.

Gdy tylko plastik dotknął ciała, Shackleton lekko się wzdrygnął, wyprostował i popłynął na dno akwarium. Byłam tak zaskoczona, że wrzasnęłam po raz drugi tego ranka. A nie należałam do krzykaczy. Co u diabła się ze mną działo?

Skrzela Shackletona nadal były omszałe i pływał z niejakim trudem, ale niezaprzeczalnie żył. Nigdy wcześniej nie widziałam, by w podobny sposób drzemał brzuszkiem do góry, i choć szalałam z radości z powodu drugiego zmartwychwstania, miałam nieprzyjemne wrażenie, że po prostu wypróbowywał śmiertelną pozycję, przygotowując się na nieuniknione. Tak jak ludzie, którzy planują swoje pogrzeby i sprawdzają, jak się leży w różnych trumnach.

Wrzuciłam do akwarium trochę rybiego pokarmu i osuszyłam łzy. Shackleton będzie żyć i pływać kolejny dzień. Czułam ulgę, ale również wyczerpanie i lekkie oszołomienie wywołane uczuciową jazdą na kolejce górskiej.

Gdy szykowałam się do pracy, próbowałam odzyskać część porannego szczęśliwego nastroju, rozmyślając o tym, że Aaron i ja świetnie do siebie pasujemy pod niemal każdym względem. Oczywiście istniały pewne kwestie, nad którymi musieliśmy popracować, jeśli chodzi o naszą lojalność wobec pracodawców, ale poza tym wszystko układało się idealnie.

Miał zaskakująco silne ramiona - zaskakująco tylko dlatego, że koszule, które nosił do garnituru, nie pozwalały się domyślić, jak wspaniale zbudowane ciało osłaniają. Te ramiona idealnie nadawałyby się do ładowania toreb do naszego lśniącego, lecz umiarkowanie drogiego kombi, gdy zabieralibyśmy trójkę dzieci na wakacje do ślicznego nadmorskiego miasteczka, gdzie wygodny, choć nie ostentacyjny domek czekałby, aż wypełnimy go radosnym śmiechem.

Doprawdy nieco się zagalopowałam. Najpierw trzeba zaplanować wesele.

Poczułam chwilowe wyrzuty sumienia, gdy uświadomiłam sobie, że w wyobraźni mówię „tak” komuś innemu niż Steve Martin, którego zawsze wyobrażałam sobie jako przyszłego małżonka, odkąd w wieku dwunastu lat nieprzerwanie oglądałam na zmianę *Szajbusa*, *Roxanne* i *Trzech Amigos*. Nawet gdy wiązałam się z innymi mężczyznami, nikt nie zdołał mu zagrozić - w moich oczach był ideałem. Kiedy poznałam jego pozostałe role, gorące uczucie tylko dojrzało. Jedyne dla niego zaczęłam sporadycznie kupować „The New Yorker”, a oprócz płyty, na której gra na banjo z Earlem Scroggsem, posiadałam również kilka kopii jego książek oraz wydanie magazynu „People”, gdzie słusznie został uznany za jednego z pięćdziesięciu najprzystojniejszych mężczyzn.

Co jakiś czas stawiałam czoło myśli, że z dość wysokim prawdopodobieństwem nigdy nie poznam Steve'a Martina, nie mówiąc już o poślubieniu go. A nawet gdyby udało mi się go spotkać, jak miałabym sprawić, żeby się we mnie zakochał? Przejściowo ogarnęła mnie nadzieja, kiedy przeczytałam, że przez kilka lat był związany z Anne Heche, co sugerowało otwartość na kobiety „stabilne” w mniej konwencjonalny sposób. Może mimo wszystko miałam szansę.

Teraz jednak skończyłam już dwadzieścia sześć lat i spotkałam Aarona. Nie chciałam ich porównywać, ale może nadszedł czas, by zagłębić się w inną rzeczywistość. Czy byłam na to gotowa?

Osiągnęłam satysfakcjonujący kompromis, wyobrażając sobie ślub z Aaronem, na którym Steve Martin również odgrywałby znaczącą rolę. Nie jako pan młody, lecz ksiądz! Genialne! Jeśli nie mogłam poślubić Steve'a Martina, przynajmniej mogłam zostać zaślubiona przez niego.

Bo któż lepiej nadawał się do tej roli? Był inteligentny, dowcipny, poważny w razie potrzeby - wiedziałam, że Aaron

będzie zachwycony. Nie byłam pewna, czy Steve Martin udzielał ślubów, ale teraz każdy mógł przecież dostać licencję przez internet. Aaron i ja będziemy mieli najlepszy ślub wszech czasów!

Opracowawszy ów romantyczny trójkąt, poświęciłam uwagę sukni, jedzeniu i kwiatom. Właśnie zaczęłam rozważać wady i zalety przybycia na wesele balonem bądź na elektrycznej hulajnodze i dochodzić do wniosku, że zapewne żaden sposób się nie nadawał, gdy zadzwonił telefon. Czy to Aaron chcący dowiedzieć się, czy bezpiecznie dotarłam do domu? Nie pamiętałam, żebym podawała mu domowy numer, ale z pewnością był w książce telefonicznej. Kiedy się przeprowadzałam, szybko upewniłam się, że w niej figuruję, żeby telemarketerzy łatwo mogli mnie znaleźć. Zapisywałam się również na mnóstwo rzeczy w sieci i zamieszczałam swój numer nawet wtedy, gdy o niego nie prosili, z tego samego powodu.

To była mama.

- Skarbie, jest szansa, żebyś przyjechała do domu na moje urodziny? - spytała.

Urodziny mamy wypadają za trzy tygodnie, czyli w czasie podróży z RG do Ohio, ale tego dnia mieliśmy być w innej części stanu.

- Naprawdę bym chciała, mamo, ale muszę pracować. Przykro mi - odparłam.

- Och, okay - rzekła, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

- Po prostu poświętujemy kiedy indziej.

- Cóż, jestem pewna, że tata coś dla ciebie zaplanował - powiedziałam, starając się poprawić jej nastrój. - Zwykle to robi.

- Tak, zwykle - westchnęła. - Ale w tym miesiącu na farmie naprawdę sporo się działo. I choć wiesz, jak uwielbiam twojego tatę, to kiedy jest zajęty, nie potrafi zorganizować nawet oblewania w browarze.

Chwilę zabrało mi odcyfrowywanie uwagi mamy. Po chwili namysłu wykorzystałam wiadomości o brytyjskim slangu zdobyte w czasie, gdy z nią mieszkalam, i ustaliłam, że „oblewanie w browarze” oznaczało sesję picia w barze lub innym miejscu, gdzie warzono piwo i gotowe podawano do spożycia. Sugerowała więc, że tata czasami był zbyt zajęty, by zorganizować nawet najprostsze i najoczywistsze rozrywki. Ciekawe. Niekiedy rozmowy z mamą przypominały zajęcia z lingwistyki.

- Och, mamó! - krzyknęłam, zadowolona, że mogę zmienić temat dzięki niezwykłym wiadomościom.

- Co, skarbie? - spytała lekko zaniepokojona poziomem głośności z mojej strony.

- Pamiętasz ten sen, w którym miałam wypadek ze spinaczem?

- Zostałaś zgnieciona, a to był gigantyczny spinacz - uściśliła.

Triumfalnie uraczyłam ją historią o mojej rzeczywistej przygodzie ze spinaczem, pomijając kluczowe szczegóły tego, gdzie byłam i z kim się właśnie przespałam.

- Umówiłaś się na zastrzyk przeciwtężcowy? - spytała.

Hę?

Jak można się domyślić, biorąc pod uwagę mój stosunek do horrorów i przeczulenie na punkcie nadgarstków, szyj i kostek, nie byłam wielką fanką zastrzyków. Przerazały mnie nawet niewielkie ukłucia w palec w celu pobrania próbki krwi. Przywykłam, że u lekarza dzieci zachowywały się dzielniej niż ja, i nie czułam wstydu, pocieszając się darmowym lizakiem zwykle przeznaczonym dla najmłodszych, gdy z trudem wracałam do poczekalni, rzucając wokół bolesne spojrzenia.

Wizja zastrzyku, który nie był konieczny, by zapobiec śmierci spowodowanej straszną chorobą, napawała mnie lekkiem. Z tego też powodu nigdy nie wybrałam się na wakacje do egzotycznych krajów - nie wiedziałam, czy zdołam znieść te wszystkie szczepionki.

- Jestem przekonana, że nie muszę się obawiać tęcza - powiedziała niepewnie.

- Jeśli nie masz stuprocentowej pewności, powinnaś iść do lekarza - nakazała mama.

Na pewno nie potrzebowałam zastrzyku. Teraz czułam się bardzo przygnębiona z powodu historii ze spinaczem. Odłożyłam słuchawkę i obejrzałam ranę. Czy to moja wyobraznia, czy skóra na brzegach nabrała lekko zielonego koloru? Dobry Boże, niemal czułam, jak gangrena rozprzestrzenia się wzdłuż nogi.

Recepcjonistka w przychodni powiedziała, że nie potrzebuję kolejnego zastrzyku jeszcze przez dwa lata, ale w takim razie dlaczego zaczęłam tracić czucie w stopie?

Zapewniła mnie, że wszystko w porządku. Rozłączyłam się z wręcz przeciwnym uczuciem. Jeśli to nie tęzec, to jaką okropną chorobę złapałam? Posmarowałam stopę kremem antybakteryjnym, zabandażowałam ją i resztę poranka spędziłam na zapasowych kulach, przygotowując się na życie bez lewej stopy na wypadek, gdybym rozpoczęła leczenie za późno. Będę heroicznym odpowiednikiem postaci granej przez nagrodzonego Oscarem Daniela Day-Lewisa. Podczas gdy on używał wyłącznie swojej lewej stopy, ja będę miała władzę nad całym ciałem poza tym jednym wyjątkiem. Po niewielkich przygotowaniach sprostam roli.

Kilka godzin później w biurze bezmyślnie masowałam obolałe od kul pachy, przeglądając w internecie „The Hotline” i „The Note”. Gdy kliknęłam na link do artykułu z „Washington Post”, pojawiło się mgliste wspomnienie dziennikarza, którego zaatakowałam na przesłuchaniu Alfreda Jackmana. Czy zadrapanie już się zagoiło? Czy pojawiła się infekcja? Blizny? Rozmyślałam o tym przy czytaniu.

Po przejrzeniu najświeższych wieści o ostatnich spotkaniach towarzyskich w New Hampshire, na których pojawili się Bramen, Spearam, Rexford, Conrad, Candle i Wye (lista

kandydatów brzmiała niczym firma prawnicza ze zbyt wieloma wspólnikami), przez chwilę modliłam się, by ktoś z nich zebrał dość siły i wygrał wybory. Pan Bóg wiedział, że potrzebowaliśmy zmian w kierownictwie.

Choć naród z utęsknieniem czekał na odejście Pile'a z urzędu, członkowie jego partii chcieli uniknąć podobnego losu i w pośpiechu układali strategie, by pokazać się w bardziej korzystnym świetle w czasie kampanii prezydenckiej. Niepopularność rządów Pile'a ograniczała pole manewru; zgłoszono tylko trzech kandydatów. Do tej pory prowadził Will Frand, drugi senator z New Jersey obok Bramena, i obecny przywódca większości w senacie, który służył jako zaufany człowiek administracji. Frand zdawał się rozumieć, że aby zdobyć poparcie Ameryki, będzie musiał uwolnić się od tego wizerunku.

Jeszcze trudniejsze zadanie miał przed sobą Ken Pile, gubernator Nebraski i młodszy brat prezydenta. Pomimo niepopularnego nazwiska wydawał się zdecydowany wypełnić to, co jak mocno wierzył, było jego przeznaczeniem, za pomocą wszelkich koniecznych środków. Klan Pile'ów często sprawiał wrażenie, że uważa demokrację za niewygodną. Korporacyjna oligarchia znacznie bardziej pasowała do ich ambicji i w ciągu podejrzanie długich rządów zrobili, co mogli, by popchnąć kraj w tym kierunku.

Jedynym z trzech kandydatów zachowującym przyzwoity dystans do administracji był gubernator Cain Brancy z Georgii. Wielokrotnie przeciwstawiał się ludziom Pile'a i w rezultacie zgromadził wdzięcznych popleczników. Ale gdyby to on miał przejąć władzę, czy rzeczywiście wprowadziłby dramatycznie potrzebne zmiany?

Mocno zagryzałam wargę, kończąc czytać podsumowanie kampanii. Stawka w następnych wyborach była ogromna, jednak nadal jawiły się one jako zbyt odległe, by usprawiedliwiać zaharowywanie się do nieprzytomności. Szybko

przeskoczyłam do sekcji satyrycznej w „The Hotline” w nadziei, że ulżę lękom i zapobiegnę dalszym urazom.

E-mail od Aarona, który nadszedł po chwili, wprawił mnie w jeszcze lepszy nastrój.

Do: Samantha Joyce Csrjoyce@gary.senate.gov

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Re: Najlepsza randka

Nie sądziłem, że temat mojego wczorajszego maila okaże się hiperbolą. Jesteś niesamowita. Myślę o tobie i zacząłem się zastanawiać, co oznacza to „R”?

PS Wziąłem cztery aspiryny i nadal czuję się tak, jakby przejechała mnie ciężarówka z wódką.

Przez chwilę świętowałam fakt, że nie zaciągnął mnie do łóżka jeden z tych facetów, którzy później zrywali kontakty. Aaron był troskliwy. Obiecałam upewnić się, że Steve Martin dobrze zrozumie głębię wrażliwości Aarona, by mógł przygotować kazanie odpowiednio wychwalające tę kluczową zaletę. Czułam, iż będzie to jedna z kolumn, na których wesprze się nasze małżeństwo.

Moja odpowiedź:

Do: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Re: Najlepsza randka

Najlepiej klina klinem. Wypiłam podwójną whisky z cytryną i wszystko wygląda jaśniej. Dzięki za wspaniałą noc. „R” oznacza „Riley”, moje drugie imię. A „I”?

Byłam z niej całkiem zadowolona. Przyjazna, ale krótka, świadcząca o tym, że miałam własne życie i nie chciałam się do niego przyczepić jako nowa dziewczyna. Zachowałam też dla siebie informację, że „Riley” było imieniem, które wy-

bratam dla mojej pierwszej córki (oczywiście zarazem i jego pierwszej), co, jak czułam, było strategicznie dobrym posunięciem. Żeby nie wydać się zbyt odległą, zakończyłam pytaniem zachęcającym do dalszego kontaktu.

Mogłabym pewnie prowadzić kursy na temat uważnego czytania i literackiej analizy e-maili. Ranek spędziłam, przepokopując się przez sterty roboty, a w porze lunchu otrzymałam odpowiedź:

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Do uroczej damy Riley

Imię Riley jest super. „I” to skrót od „Ice-Fool”, mojego rapowego imienia. We Francji mnie uwielbiają.

W ciągu dnia jeszcze kilka razy wymienialiśmy wiadomości i zyskałam pewność, że zobaczę go ponownie wieczorem. Więc odrzuciłam zaproszenie Lizy na film z Willem Smithem, co w moim wypadku było wielkim wyrzeczeniem. Jednak w związku chodziło o poświęcenia. Powiedziałam Lizie, że pójdę z nią następnego dnia na pokaz poranny, zakładając, że Aaron i ja nie będziemy spać zbyt długo.

Wyobraźcie więc sobie moje zaskoczenie, gdy o 7.15 wieczorem, kiedy kończyłam właśnie spis tematów, które miał poruszyć RG na spotkaniach dotyczących opieki zdrowotnej w przyszłym tygodniu, otrzymałam to:

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Re: Sądzę, że „smerf” powinien się znaleźć w słowniku Webstera

Wychodzę na spotkanie. Moje BBerry traci zasilanie, więc muszę je wyłączyć, dopóki nie smerfnę ładowarki. Mam nadzieję, że czeka cię udany wieczór. Do zobaczenia, Riley.

Co proszę? Nie spotkamy się? W rekordowym tempie przeszłam od zaskoczenia przez zdenerwowanie do poczucia niepewności. Nie mogąc skutecznie zwalczyć wrażenia, że zostałam olana, zadzwoniłam po wsparcie do Lizy. Siedziała znowu w Irish Times, towarzysząc Ryanowi w pracy. Nakłaniała mnie, żebym do niej dołączyła, lecz nie byłam w nastroju. Zapewniła mnie, że Aaron na pewno wolałby spędzić wieczór ze mną, ale pewnie nie chciał się zbyt narzucać i mnie odstraszyć.

To prawda, że byłam dynamiczną niezależną kobietą, która nie chciała zbyt wielu zobowiązań, a przynajmniej tak mógł myśleć Aaron, więc uznałam takie wytłumaczenie za akceptowalne. Poczułam się lepiej, ale już trzydzieści sekund po zakończeniu rozmowy z Lizą zaczęłam się zastanawiać, czy „spotkanie” nie oznaczało randki z inną kobietą, co technicznie byłoby legalne dla niego, psychologicznie zaś katastrofalne dla mnie.

Przerażające. Nie chciałam się pogrzązać w tych czarnych myślach, ale nie potrafiłam ich powstrzymać. Musiałam zyskać pewność. Przejrzałam „Roll Call”, gazetę dotyczącą Capitol Hill, i wszystkie obiegowe maile z zaproszeniami, żeby sprawdzić, czy odbywało się jakieś oczywiste wydarzenie, które Aaron musiałby zaszczyścić swoją obecnością. Hmm, trudno stwierdzić. Była kolacja związana z kontrolą posiadania broni, wieczorek edukacyjny i kilkanaście innych imprez, na których mógł pojawić się Bramen. Dlaczego nie zdobyłam kopii jego terminarza? Powinnam się tym natychmiast zająć.

Wykręcałam właśnie numer biura Bramena i odświeżałam fałszywy polski akcent, żeby wydobyć jakieś informacje z recepcjonistki, gdy nagle przypomniała mi się katastrofa telefoniczna z Jasonem Shambersem. Odłożyłam słuchawkę i wzięłam głęboki wdech. Nie będę psychopatką. Te dni minęły, błędy zostały popełnione. Byłam gotowa na dojrzałe, pewne, dorosłe podejście do związków.

Co, jak się okazało, czasem oznaczało samotny piątkowy wieczór w domu i wyżalenie się przed telemarketerką z Darytona na Florydzie.

Liczyłam na to, że Zelda pomoże mi właściwie ocenić zachowanie Aarona, ponieważ pochodziła z tego samego stanu. Do tej pory nie miałam najlepszych doświadczeń z Florydą. Na wycieczce do Disney Worldu dostałam silnego zatrucia pokarmowego, poparzeń trzeciego stopnia w czasie wiosennych ferii i złapałam wszy w sklepie z kapeluszami w Palm Beach. Ale gorąco wierzyłam, że Aaron odmieni moje życie.

W przeszłości Zelda udzielała mi porad na wszelkie tematy, łącznie z teoretycznymi rozważaniami, gdzie umieścić tatuaż, jeśli chciało się czuć jak najmniejszy ból podczas zabiegu (tylko z ciekawości), więc czułam, że naprawdę mogę na niej polegać. Czy będzie umiała rzucić trochę światła na sposób działania mężczyzn z Florydy?

Zelda powiedziała, że Aaron zachowuje się podejrzanie, i ostrzegła, żebym miała oczy szeroko otwarte.

- Co masz na myśli? - spytałam. - I dlaczego tak twierdzisz?

- Cóż, mówisz, że pracuje dla tego Bramena, a to zły facet - odparła Zelda. - Więc kim w takim razie jest Aaron? Czy ty pracowałabyś dla dupka, gdybyś nie musiała? Nie. Bo za bardzo ci zależy. Ale wielu osobom nie zależy i, wierz mi, znam ten typ. Albo sam Aaron to dupek, albo nie przeszkadza mu, że dla takiego pracuje, co jest równie złe.

Skrzywiłam się na słowa Zeldy. W kilku zdaniach zdołała podsumować wszystkie moje wątpliwości związane z Aarodem. Właśnie te, na których ostatnio postanowiłam się nie koncentrować.

- Ale już z nim o tym rozmawiałam - zaprotestowałam. - I tak, chciałabym, żeby pracował dla kogoś innego, lecz to nie takie ważne. Nie uwielbia Bramena, tylko podziwia jego osiągnięcia. A pisanie dla niego przemówień to jest

prestiżowa praca. Więc widzisz, potrafię podejść do tego jak dorosła.

I rzeczywiście potrafiłam. Sama na zawsze pozostanę idealistką, lecz nie muszę być nierealistycznie wymagająca względem innych osób. To wcale nie jest fajne.

- A co ma z tym wspólnego dorosłość? - odparła Zelda.
- Jeśli nie jest dla ciebie odpowiednim facetem, nie ma znaczenia, ile masz lat. Obiecuj przynajmniej, że nie będziesz się z nim za bardzo spieszyć.

Na to było już za późno. Czułam, że powoli Zelda zaczyna mnie denerwować.

- Dobrze, w porządku, muszę lecieć - powiedziałam zirytowana.

Odłożyłam słuchawkę i sfrustrowana przygotowałam się do pójścia spać. Byłam przyzwyczajona, że w pracy mówili mi, co mam robić, ale w życiu uczuciowym chciałam decydować samodzielnie. Niepotrzebnie dzwoniłam do Zeldy. Miałam dość sił, by poradzić sobie ze wszystkim sama.

Jednak starając się zasnąć, nie potrafiłam odegnać przecucia, że coś było nie tak. Jeśli nie w życiu uczuciowym, to w jakiejś innej sferze.

W podobnych chwilach zawsze bardzo się martwię kwestią alibi. A jeśli moje dziwne przecucie stanowiło intuicyjne ostrzeżenie (co było jeszcze bardziej prawdopodobne teraz, gdy wiedziałam o zdolnościach parapsychologicznych mamy)? Czy słusznie podejrzewałam, że właśnie w tej chwili, gdy zostałam w domu sama, bez świadków, ktoś wrabiał mnie w okropne przestępstwo?

Niesłuszne aresztowanie należało do moich najgorszych lęków. Za każdym razem, gdy czytałam o nowych testach DNA powodujących, że uwalniano kogoś po dziewiętnastu latach spędzonych w więzieniu za przestępstwo, którego nie popełnił, moje ciało przeszywał dreszcz. Cóż za okropne marnotrawstwo. I chociaż więzień cały czas twierdził, że jest

niewinny, system zamknął go w celi. Jeśli przytrafiło się to jemu, drżałam, mogło się przydarzyć także mnie.

Moim jedynym obrońcą przeciwko tak przerażającemu zbiegowi okoliczności był aparat polaroid, który trzymałam w rogu mieszkania. Urządziłam tam „kącik fotograficznego alibi” i oprócz aparatu umieściłam krzesło, a na ścianie na wysokości głowy zawiesiłam zegar.

Udałam się do kącika, by uśmierzyć lęk, po drodze chwytając „Washington Post”. Trzymając aparat w wyciągniętej ręce, zrobiłam sobie zdjęcie, po czym odetchnęłam z pewną ulgą. Pomachałam polaroidem i obserwowałam, jak powoli materializuje się przede mną wybawienie.

Zdjęcie wyszło dobrze. Ukazywało wszystkie ważne szczegóły, widoczne i wyraźne - godzinę na zegarze umieszczonym dokładnie nad moim prawym ramieniem oraz datę w gazecie, którą trzymałam przy klatce piersiowej. Idealnie.

Pozostało tylko wysłać zdjęcie do samej siebie listem poleconym. Wtedy, niezależnie od planów przeciwników, zyskam niezaprzeczalny dowód, że byłam w mieszkaniu dziewiątego sierpnia o 22.22 wieczorem i nie popełniłam przestępstwa, o które mnie oskarżano.

Przeklinając pocztę za brak okienek czynnych do późna w nocy, uspokoiłam się nieco na myśl, że na obecną chwilę zrobiłam wszystko, co mogłam. Czując się trochę bezpieczniej, wrzuciłam polaroid do przygotowanej koperty i zapadłam w sen.

Następnego dnia, gdy przed kinem czekałyśmy w kolejce po bilety, Liza zapewniła mnie, że ona zawsze dostarczyłaby mi alibi. Wyliczenie w odpowiedzi wszystkich powodów, dla których nie byłoby to możliwe bądź korzystne, wymagałoby zbyt wiele wysiłku. Jeden z tych powodów stanowiło poczucie winy, które nękałoby moją duszę, kiedy gniłabym w celi, wiedząc, że Liza gnije tuż obok, uwięziona za lojalne krzywoprzysięstwo. Skinęłam więc tylko głową i podziękowałam przyjaciółce. Liczyły się dobre chęci.

Według Lizy znajomość z Ryanem rozwijała się dobrze. W zeszłym tygodniu widzieli się cztery razy, rozmawiali co wieczór i sześć razy się pokłócili. W jej oczach uchodziło to za bardzo udane zaloty. Dla Lizy kłótnie były niczym gra wstępna, a tym samym stanowiły istotną część romantycznego związku. Jeśli nie potrafiła się nieprzerwanie kłócić ze swoim chłopakiem, to po prostu im się nie układało.

Pogratulowałam jej, lecz po cichu zastanawiałam się, ile minie czasu, zanim przyłapie Ryana z kimś innym. Żeby zdradzać Lizę, facet musiałby być nienormalny, ale ona miała talent do wyszukiwania tych zupełnie stukniętych.

Gdy zgasły światła, na ekranie pojawiła się zapowiedź wybuchowego filmu akcji z Bordenem Dentem. Borden Dent był multimilionową gwiazdą hollywoodzkich filmów, a ostatnio ogłosił zamiar ubiegania się o prezydenturę. W „Entertainment Weekly” skrytykował obie największe partie i wyjaśnił, że proponuje inną drogę, nie podając jednak żadnych szczegółów na temat tego, którędy miałyby ona wieść. Jedyłą oczywistą kwestią, jaka wynikała z wywiadu, było to, że aktorskiego ego nie zadowalało już regularne pojawianie się na premierach i rozdaniach nagród. Borden Dent chciał więcej i liczył, iż publiczność pokocha go także w nowej roli. Pokręciłam głową i zaczęłam pogryzać karmelki.

Komórkę i BlackBerry miałam nastawione na wibrację na wypadek, gdyby Aaron chciał się ze mną skontaktować. Niestety, nie chciał, ale Will Smith jak zawsze zdołał mnie pocieszyć. Po filmie poszłyśmy z Lizą na kawę, przy której debatowałyśmy, czy on i Jada są szczęśliwym małżeństwem. Ja twierdziłam, że oczywiście tak, ale Liza miała wątpliwości, co po cichu uznałam za potwierdzenie, iż to ja mam słuszość.

Aby podwyższyć własną samoocenę, przeszłyśmy do poważniejszej rozmowy na temat sytuacji na Środkowym Wschodzie, ale zmieniłyśmy zdanie co do tego posunięcia, gdy obie popadłyśmy w przygnębienie. Na tym polegał problem z wia-

domościami. Rzadko miały dobry wpływ na zdrowie psychiczne oglądającego.

Wchodziłam właśnie po schodach do mieszkania, gdy Aaron wreszcie się odezwał. Napisał:

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Och, gdzieżeś jest?

Uroczą damo Riley, co porabiasz? Jeśli jesteś wolna, zadzwoń do mnie na komórkę.

Przez chwilę zastanawiałam się, jak bym się czuła, będąc osobą, która po otrzymaniu tej wiadomości weszłaby po schodach i spokojnie usiadła przed wykonaniem telefonu. Przerwałam jednak rozważania, by całkowicie skoncentrować się na szaleńczych poszukiwaniach komórki jedną ręką i podwójnego sprawdzania numeru Aarona drugą.

- Cześć - powiedziałam, gdy odebrał siedem sekund później.

- O, to było szybkie - odparł.

Nie pomyślałam o tym. Przekleństwo.

- Jestem najszybsza w DC. Dziwię się, że o tym nie slyszaleś.

Aaron wybuchnął śmiechem, dzięki Bogu.

- Hej, nie narzekam. Lubię natychmiastowe zaspokojenie tak samo jak każdy facet.

Czyżby nazwał mnie zdzirą? Miałam nadzieję, że nie. To mogło stanowić przeszkodę w naszych planach małżeńskich.

- Słuchaj, zastanawiałem się, co masz dziś wieczorem w planach - ciągnął.

Tak, tak, tak, chciał się znowu spotkać.

Starałam się, by mój głos brzmiał normalnie.

- Jeszcze nie zdecydowałam. A co? Rzucasz rękawicę?

No. To było całkiem dobre.

- Wybieram się na wieczór kawalerski w twoim sąsiedztwie, ale chciałbym się zmyć, kiedy przejdzie do części ze striptizem, więc miałem nadzieję, że będę mógł wpaść z wizytą.

Hm. Ciekawy dylemat. Czy mam się zgodzić i w zasadzie siedzieć w domu cały wieczór, czekając na niego? To nie brzmiało dobrze.

- Okay, świetnie. Nie wiem, gdzie się wybiorę, więc puść mi sygnał, i jeśli będę w pobliżu, możemy zorganizować rendez-vous - poszłam na kompromis.

- W porządku. Mam nadzieję, że się zobaczymy - powiedział.

Gdy tylko się rozłączyliśmy, zaczęłam panikować. Czy zachowałam zbyt dystans? Czy byłam zbyt uległa? Czy w zasadzie właśnie wyraziłam zgodę na seks na telefon? Czy to źle?

Jedyne, z czego byłam zadowolona, to użycie słowa „rendez-vous”. Po pierwsze pochodziło z francuskiego, a ja wymawiałam je bez zarzutu. Jednak przede wszystkim cieszyło mnie, że nadawało mi bardziej tajemniczy image. Nigdy do końca nie wyrosłam z pielęgowanych w czwartej klasie marzeń o zostaniu szpiegiem. Rozkwitły one po porażce z Wieściórczym Kurortem Reebokville, kiedy to zrezygnowałam z zawodu architekta i zaczęłam gonić za innym powołaniem.

Gołębie odchody spadły mi na ramię i przywróciły do rzeczywistości. Choć w opinii niektórych taki wypadek oznaczał szczęście, zakładałam, że jest to pogląd osób nieświadomych, iż ptasie kupy stanowią mieszankę pełną zarazków i grzybów. Jednak ja w pełni zdawałam sobie sprawę z tego faktu, a moje ramię wymagało wymycia gąbką z użyciem silnego środka dezynfekującego.

Dotarłam do mieszkania, gdzie znalazłam Shackletona leżącego apatycznie na żwirku pokrywającym dno akwarium. Nadal żył, lecz wyglądał wyjątkowo źle. Wypróbowywanie przez niego śmiertelnej pozycji bardzo mnie niepokoiło, ale czułam się bezradna i niezdolna temu w żaden sposób prze-

ciwdziałać. Minęła szósta, co oznaczało, że pan Lee zamknął już sklep na noc. Poza tym pan Lee sądził pewnie, iż Shackleton nie żyje, na podstawie dramatycznej wiadomości o jego zgonie zostawionej przeze mnie na sekretarce. Prawdopodobnie w oczekiwaniu mojej nieuniknionej wizyty podniósł już cenę pozostałych bojowników. Shackleton musiał przeżyć. Musieliśmy pokonać system.

- Nie pozwól, żeby te dranie cię dorwały - powiedziałam zachęcająco.

Szkliste spojrzenie, które rzucił mi w odpowiedzi, zdawało się mówić, że już tak się stało.

Po wysterylizowaniu ramienia chciałam wziąć prysznic, wystroić się i wyjść na miasto, ale nim się zorientowałam, była już dziewiąta, a ja nie zdążyłam zrobić niczego. Może ten wieczór powinnam przeznaczyć na pracę nad sobą. Sprawdziłam listę rzeczy, których zamierzałam nauczyć się przez lato. Było chyba nieco za gorąco na robótki na drutach czy studiowanie języka Morse'a. W trakcie przeglądania spisu i eliminowania po kolei każdej pozycji, przyszło mi do głowy, że jestem zapewne podenerwowana z powodu niskiego poziomu cukru we krwi. Na szczęście na liście znajdowała się nauka gotowania, pozycja druga od dołu.

Lodówka nie wydawała się skłonna do współpracy. Zawierała butelkę sosu sojowego, litr piwa korzennego i słoik pikli. Zamrażarka wyrzuciła pudełko bitej śmietany Cool Whip i butelkę wódki.

Wsadziłam do ust łyżkę Cool Whip, by dostarczyć organizmowi nieco cukru, i zaczęłam czytać napisy na opakowaniu. Zachęcały, by z wszelkimi pytaniami i uwagami zadzwonić pod numer zaczynający się od 1-800. Brzmiało niezłe.

W oczekiwaniu posłuchałam łagodnej muzyki, po czym zgłosiła się kobieta o imieniu Beverly, pytając, w czym może pomóc.

- Miło cię poznać, Beverly. Jestem Samantha. I właśnie z przyjemnością zjadłam nieco Cool Whip - zaczęłam.

- Cool Whip to wspaniały produkt, bardzo nam przyjemnie, że pani smakował - rzuciła w odpowiedzi. - Czy wie pani, że jest to produkt uniwersalny? - ciągnęła. - Można go zastosować do przygotowania różnych smacznych potraw.

- Naprawdę? W tej chwili eksperymentuję z piklami i sosem sojowym. Mam jakieś szanse? - spytałam. Postanowiłam nie wspominać o wódce i piwie korzennym. Nie chciałam ułatwiać jej sprawy.

Beverly wydawała się oszołomiona.

- Na pewno nie ma pani galaretki lub czegoś podobnego? - spytała desperacko po kilku sekundach ciszy.

Właściwie przypomniało mi się, że zeszłej zimy w obawie przed gruźlicą kupiłam jakąś galaretkę. Jak się okazało, miałam tylko grypę i niepotrzebnie ograniczałam się do szpitalnego jedzenia. Sprawdziłam w szafce. Rzeczywiście leżała tam pokryta kurzem mała paczka galaretki truskawkowej.

- Mam - oznajmiłam triumfalnie. - O smaku truskawkowym.

- Świetnie - powiedziała Beverly z wyczuwalną ulgą.

Gdy już wyjaśniła, jak przyrządzić deser udekorowany warstwą bitej śmietany, na którego widok ślinka cieknie do ust, spytała, ilu osobom chce go podać. To doprowadziło do dyskusji o Aaronie i moim świeżym związku oraz o popołudniowym telefonie w sprawie wieczoru kawalerskiego. Pospiesznie wyjaśniłam, że jest dżentelmenem, więc gdyby wpadł, to tylko z miłą wizytą, żeby sprawdzić, jak się miewam. Nie miałyby to nic wspólnego z seksem na telefon, bo nie należeliśmy do takich osób. Może poczęstuję go Cool Whip, jeśli udowodni, jakim jest czułym mężczyzną, rezygnując z wieczoru z kumplami, by poświęcić uwagę mnie.

Beverly zamokła sceptycznie.

- Założę się o kontener Cool Whip Lite, że zjawi się po północy zupełnie zalany - powiedziała mądrym i proroczym

tonem. - Jeśli mam rację, kupisz cały karton, jeśli nie, wyślę ci jeden darmowy.

Czy ona i Zelda się znały? Mało prawdopodobne, ale obie miały tak samo złą opinię o Aaronie. Nawet nie dawały mu szansy!

- Stoi - powiedziałam, obiecując zadzwonić następnego dnia i poinformować, że z kretesem przegrała zakład.

- Zobaczymy - odparła spokojnie. - Smacznego deseru!

Ale po zakończeniu rozmowy z Beverly nie miałam już ochoty na gotowanie. Zjadłam trochę pikli i wróciłam do łóżka z bitą śmietaną i łyżką.

Była 1.15 w nocy i właśnie kończyłam oglądać film *Harold i Maude*, kiedy Aaron wysłał wiadomość, że czeka przed wejściem do mojego domu.

Dwie minuty później rozwalił się na kanapie, przewiesił cuchnącą pijacką nogę przez oparcie i mamrotał coś niewyraźnie o wspaniałym pomysle na sklep z pączkami dla kierowców.

Czułam narastający ból brzucha. Głupia wszystkowiedząca Beverly. Bitą śmietaną wywracała mi się w żołądku.

Ale przynajmniej w ogóle się pokazał, przekonywałam samą siebie.

- Jak się udał wieczór kawalerski? - spróbowałam, siadając na krześle naprzeciwko niego.

Wyglądał na zdezorientowanego, a potem długą chwilę mrugał.

- Och, dobsze, dobsze. Pewnie powinienem zarasz wrazać - bełkotał.

Aha.

Naprawdę się schlał. Próbowałam zdefiniować, co czuję. Z pewnością byłam w szoku pomimo ostrzeżeń dziewczyny od Cool Whip. Byłam też przygnębiona, że nie nadawał się do całowania, ponieważ nawet spocony i zalany nadal wyglądał nieźle. Czułam się rozdarta - szczęśliwa, że poprzez

Zerknęłam na zegarek. Druga w nocy, z soboty na niedzielę. Sprawdziłam kalendarz i z lekkim westchnieniem zauważyłam, że zbliżała się dwudziesta dziewiąta rocznica finału epickiego serialu *The Partridge Family*, w którym występował David Cassidy. To na pewno nie przypadek, lecz sygnał, że w moim życiu pojawiła się prawdziwa miłość. Było za późno, by dzwonić do kogokolwiek z dobrymi wieściami, więc uczciłam okazję samotnie wódką i galaretką, a potem odpłynęłam w pijany sen, w którym Aaron i ja radośnie dokazywaliśmy w krainie bitej śmietany.

Powstań, padnij

Zadzwoił o trzeciej po południu następnego dnia.

- Słyszałem, że mój diabelski sobowtór spił się i napastował cię zeszłej nocy. Daj znać, czy posunął się za daleko, a ja go odnajdę i skopię mu tyłek - powiedział, gdy odebrałam telefon.

- O, jestem pewna, że kac już dał mu się we znaki - odparłam. - Ale dzięki za propozycję, właściwie to całkiem ekscytujące, taka pijacka nocna wizyta. Miał pewne biznesowe plany związane z kupowaniem pączków bez wychodzenia z samochodu.

- Ha, ha. Tak, słyszałem, że facet daleko zajdzie.

- Wiesz, sieć Krispy Kreme chyba wprowadziła już coś podobnego - dodałam.

- Nie wiedziałem. Pewnie on też nie był tego świadomy. To fascynujące - powiedział.

Czułam, że Aaron jest zawstydzony, co mnie uspokoiło. Nie zachował się aż tak skandalicznie, a złożył oszałamiające wyznanie, że mnie „ocha”, więc byłam skłonna mu wybaczyć.

Spytał, jaki mam rozkład zajęć w tym tygodniu, i poczyniliśmy kuszące plany na lunch we wtorek i coś więcej w czwartek wieczorem, o ile nasze obowiązki pozwolą. Komisja RG miała w środę głosować nad projektem ustawy o refundacji leków, więc nie byłam pewna, czy w środku tygodnia znajdę czas na życie osobiste, ale miałam nadzieję, że pod koniec będzie co świętować.

Resztę niedzieli spędziłam, nadrabiając zbieranie informacji i przekopując się przez olbrzymią księgę z opisami i cena-

mi leków. Starałam się zanotować w pamięci jak najwięcej ważnych medykamentów, ale nie czułam, bym odnosiła sukcesy. Miałam to samo wrażenie porażki i przytłoczenia, które zawsze ogarniało mnie, gdy próbowałam czytać słownik. Naprawdę powinnam mieć te materiały w jakiejś formie narracyjnej. Dlaczego Robert Ludlum nie napisał thrillera o lekach na receptę? Może było to nieco oksymoroniczne stwierdzenie, ale naprawdę taka książka by mi pomogła.

Gdy już szłam spać, zadzwoniła Zelda, by przeprosić, że była taka krytyczna. Powiedziała, że chce dla mnie jak najlepiej, ale martwi się, iż przekroczyła granicę. Łaskawie odparłam, żeby się tym nie martwiła, i zaproponowałam powrót do normalnych układów. Zdecydowanie nie zamierzałam zrywać z Aaronem tylko ze względu na jej rady, ale nie chciałam też zrywać z nią. Była moją ulubioną telemarketerką. I dobrą przyjaciółką.

Poniedziałek nadszedł wraz z e-mailem od Natalie zawierającym projekt ustawy, którą w jej opinii Bramen mógł „sprzedać”. Uzyskała już podobno jego aprobatę i chcieli rozpocząć promowanie „nowego, bardziej pragmatycznego podejścia”. Okazało się jednak, że była to rozwodniona, wybrakowana wersja, jakiej się obawiałam. W oczekiwaniu sprzeciwu zrezygnowano w niej z góry z wielu postępowych rozwiązań. Po tych poprawkach ustawa spowodowałaby wręcz podniesienie opłat o całe dwadzieścia pięć procent dla przeciętnego ubezpieczonego, a kwestia sprowadzania tańszych leków z Kanady i Europy nawet nie zostałaby poruszona. Wykluczone. Ustawa miała zmieniać system na lepsze, a nie być serią kompromisów pomijających najistotniejsze sprawy.

Gdy kończyłam czytać poprawki, czułam mocne bicie serca. Choć początkowo planowałam zwrócić się do RG o pozwolenie, by odrzucić wersję Natalie, teraz byłam przekonana, że

konieczna jest natychmiastowa odpowiedź, a RG do późnego popołudnia miał spotkania. Nie mogłam pójść do Joe'go Noona, szefa pracowników, bo nadal przebywał z przedłużającą się wizytą w Rosji. Musiałam zatem wziąć sprawę w swoje ręce.

Wściekła pognałam w kierunku Hart Building, po drodze rzucając groźne spojrzenie Ralphowi. Nie wydawał się ani trochę onieśmielony, co sprawiło, że poczułam się jeszcze bardziej rozdrażniona. Kiedy dotarłam do drzwi, przeciwiczyłam już w myślach kilka dobrych określeń (do „tchórzowsko tendencyjny” i „pragmatycznie powierzchowny” powracałam najczęściej, bo miałam słabość do aliteracji) i byłam gotowa stawić czoło wypolerowanej zbroi Natalie.

Na szczęście, bo gdy tylko wyszłam na ulicę, ujrzałam ją z jakimś starszym mężczyzną, którego nie poznałam. Nie planowałam wdawać się w dyskusję przed postronnymi osobami, ale poczułam się zmuszona do konfrontacji, gdy tylko nawiązałyśmy z Natalie kontakt wzrokowy.

- O, witam - powiedziała bez entuzjazmu na mój widok. Zwróciła się do mężczyzny.

- Tato, to ktoś, z kim pracuję. Hm...

Nie pamiętała mojego imienia, czym zdawała się w ogóle nie przejmować.

- Jestem Samantha. - Wyciągnęłam rękę do ojca Natalie.

- Doktor Reynolds - odpowiedział.

Dłoń miał równie wypielegnowaną jak córka.

- Samantha pracuje dla Roberta Gary'ego - ciągnęła Natalie. - To młodszy senator z Ohio. Senator Bramen rozważa udzielenie mu pomocy w sprawie ustawy o refundacji leków, którą Gary próbował skłecić.

Uch. Była okropna.

- Właśnie, przeczytałam twoje poprawki i muszę powiedzieć, że większość istotnych punktów została odrzucona. Naprawdę nie sądzę, żeby senator Gary się na to zgodził

- powiedziała wyjątkowo zrównoważonym tonem, przy najmniej taką miałam nadzieję.

- Naprawdę? - odparła Natalie. - Sądziłam, że Gary chce, by projekt przeszedł. Jedyne metody to być trochę mniej natarchywym, a trochę bardziej praktycznym.

- Myślę, że senator Gary zgodzi się ze mną, że pragmatyczna powierzchowność przyniesie całej sprawie więcej szkód niż korzyści - wypaliłam triumfalnie.

Natalie tylko zamrugła na ten aliteracki atak.

- Przepraszam, tato, nie przypuszczałam, że wdam się w chodnikową debatę w trakcie twojej wizyty - zwróciła się słodkim jak ulepek, drażniącym głosem do ojca. - Samantha, czy możemy o tym porozmawiać kiedy indziej?

- Nie odkładaj niczego z mojego powodu - nalegał ojciec.
- I tak muszę się skontaktować z biurem - powiedział, wyjął komórkę i się oddalił.

Ojciec Natalie wyglądał tak, jakby umiał docenić porządną dyskusję. Z kolei Natalie wydawała się niezadowolona, że musi odpowiedzieć na moje uwagi tu i teraz. Westchnęła głęboko i utkwiała we mnie wzrok.

- Samantha, wiem, że mi nie wierzysz, ale twój projekt nie ma szans na uchwalenie. Prezydent Pile nigdy nie podpisze takiej ustawy, jego ekipa ją zniszczy, zanim trafi mu na biurko. Nowa wersja umożliwi poparcie ze strony obu partii, przez co Pile'owi trudniej będzie ją odrzucić. Do tej kwestii należy podchodzić krok po kroku, a wierz mi, w waszym najlepszym interesie jest zgodzić się na naszą linię ataku. Kiedy Bramen przyszłej jesieni zostanie wybrany na prezydenta, masz moje słowo, że jego priorytetem będzie wprowadzenie bardziej całościowych regulacji. Do tej pory musimy zrobić, co w naszej mocy, by dać Amerykanom przedsmak tego, co nadejdzie.

Przez chwilę patrzyła na mnie cierpliwie, jakby czekała, aż mój mózg dogoni ją w myśleniu. Świetnie ją rozumiałam.

Machała mi przed nosem nagrodą w postaci pomocy w odległej przyszłości, by nakłonić nas do wypicia herbatki Bramena i włączenia się z uśmiechem do gry.

- Powiedziałaś, że nie sądzisz, by Gary zaakceptował tę wersję, co oznacza, że nie wiesz tego na pewno - ciągnęła.
- Być może on patrzy szerzej niż ty. Może się z nim skonsultujesz i porozmawiamy później.

Gdy skończyła ów monolog, wyglądała niemal jak męczennik, jakby rzeczywiście wielkim wysiłkiem było wyłuszczenie mi tego wszystkiego, ale ona godziła się na to, ponieważ działała dla nadrzędnego dobra, czyli wygranej Bramena. Rzuciłam jej wyzywające spojrzenie.

- Zrobię tak, ale nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że senator Gary patrzy szerzej. Jestem pewna, iż znacznie bardziej obchodzi go poprawa sytuacji starszych obywateli niż to, jak dobrze Bramen wypadnie przed kliką z Iowa - powiedziałam.

A masz, cyniczna wiedźmo.

Uśmiechnęła się protekcjonalnie.

- Cóż, może Gary będzie w stanie zapomnieć o osobistej zazdrości, żebyśmy wszyscy mogli się posunąć naprzód.

Uch, tego za wiele. RG nie był zazdrosny o Bramena. Prawda? Tak czy siak, nie powinien. A taka sugestia rzucona przez pracownika Bramena to obraza.

- O co twoim zdaniem senator Gary miałby być zazdrosny? - usłyszałam własne słowa. - O bezwstydne sprzedawanie się Bramena? A może łapówki od firm ubezpieczeniowych? Wierz mi, cieszę się, że senator Gary ma na głowie inne sprawy. I mam nadzieję, że nigdy, przenigdy nie stanęmy się tacy jak wy.

Nie zamierzałam posunąć się tak daleko, ale miałam wrażenie, że kontrolę nad moim głosem przejęła jakaś inna istota powstała wyłącznie z mego oburzenia i zdenerwowania.

Usta Natalie wygięły się jadowniczo.

- Och, nie sądzę, żeby istniało takie niebezpieczeństwo - wysyczała z wyższością.

Kichnęłam silnie i niespodziewanie - nawet nie miałam czasu zasłonić się dłonią. Skąd ta nagła reakcja? Czy do mojego organizmu dopiero teraz dotarło, że mam uczulenie na Natalię?

Cofnęła się i wróciła do ojca, wysokie obcasy wystukiwały rytm ucieczki.

Otrząsnęłam się po kichnięciu i podsumowałam swoje ostatnie osiągnięcia.

Utrata samokontroli i poniechanie talentów dyplomatycznych dla dziecinnej konfrontacji.

Tak.

Zrażenie osoby, której szef został zakwalifikowany jako główny sprzymierzeniec.

Tak.

Uciekanie się do zasadzek, niedojrzałych wyzwick i atak kichaniem zamiast rozsądnej dorosłej rozmowy.

Tak, tak, tak i tak.

Ha! Niezbyt imponująca lista. Lecz choć mój styl wymagał jeszcze nieco poprawek, czułam, że zasadniczo miałam rację. Broniałam integralności ustawy RG. I jego samego. To musiało być coś warte.

- Ma pięć minut? - spytałam Janet po powrocie do biura.

Planowałam złożyć mu sprawozdanie tego popołudnia, ale czułam, że powinien się dowiedzieć o odkryciu przeze mnie kart przed Natalią wcześniej. Janet spojrzała na mnie powątpiewająco.

- Zadzwoń, jeśli będzie wolny - powiedziała pesymistycznie.

Wróciłam do biurka, by zabrać się za plan spotkania otwartego w Cleveland, ale wkrótce moją uwagę odwrócił e-mail od Aarona.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Struś Pędziwiatr czy Kojot?

z kim się identyfikujesz? chcę się upewnić, czy jesteśmy kompatybilni.

W innych okolicznościach e-mail zostałby dobrze przyjęty, ale w takiej chwili przypomniał mi tylko, że Aaron pracował z paskudną Natalie w tym samym zespole, który starał się teraz zepsuć naszą ustawę. Przygotowałam niemiłą odpowiedź informującą, iż nie możemy się dłużej spotykać, skoro obstaje przy pracy dla tak okropnych osób, i właśnie miałam ją wysłać, gdy hasło „zachowujmy się jak dorośli” zabręczało w mojej głowie. Zawahałam się. Czy reagowałam przesadnie? Czy obwinianie go za postęпки Natalie było dziecinne? Skasowałam wiadomość i postarałam się odpowiedzieć łagodniej.

Do: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Re: Struś Pędziwiatr czy Kojot?

zdecydowanie kojot, struś jest irytujący, lepiej, żeby został zjedzony. Informuję cię, że twoja koleżanka natalie stara się zepsuć naszą ustawę i zastąpić jakimiś typowymi bzdurami, pracujesz z okropnymi ludźmi, uważam, że jest złym robotem, a nie człowiekiem, potwierdzasz czy zaprzeczasz?

Wysłałam wiadomość i wróciłam do pracy. Zarezerwowałam w Cleveland salę na spotkanie otwarte pod koniec sierpnia, a potem powiadomiłam lokalne związki zawodowe, że się odbędzie. Zawsze gwarantowali dobrą frekwencję. Właśnie skończyłam rozmowę z gderliwym szefem straży pożarnej, który chciał się upewnić, że na spotkaniu będą podawane napoje, gdy na BlackBerry pojawiła się odpowiedź Aarona.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Re: Struś Pędziwiatr czy Kojot?

ciekawe, żyłka strusiobójcza. bardzo sexy, naprawdę mi przykro z powodu problemów z ustawą, bądź spokojna, nie mam z tym nic wspólnego, co do nat, brak dowodów, przyłapałem ją podłączając się do gniazdka, żeby się naładować, i pijącą dietetyczne wd-40, jeśli to jakaś odpowiedź.

Hmm. To było zabawne i sprawiło, że poczułam się lepiej, ale wciąż nie miałam całkowitej pewności, że Aaron był poza wszelkimi podejrzeniami. Właśnie wtedy zadzwoniła Janet.

- RG może cię teraz przyjąć, ale musi wyjść za piętnaście minut, jasne?

Zapewniłam, że tak. Weszłam do biura i zastałam senatora zakreślającego fragmenty jakiegoś artykułu. Poczekalam chwilę, żeby skończył.

- Wiesz, że muszę wkrótce wyjść - powiedział, nie unosząc wzroku.

- Tak, sir, nie chciałam przeszkadzać - odparłam.

- Dalej, Samantho. Jeśli okaże się, że jednoczesne zakreślanie artykułu i słuchanie ciebie jest zbyt wyczerpujące dla mojego mózgu, dam ci znać.

Wolałabym, żeby był w nieco lepszym nastroju, by przyjąć nowiny, które miałam mu do przekazania. No cóż.

- Pewnie nie miał pan okazji przeczytać poprawionej wersji ustawy, którą odesłało biuro Bramena. Przesłałam ją panu dziś rano, ale wiem, że jest pan zajęty...

- Przeczytałem ją - przerwał mi RG.

Naprawdę? Kiedy mu się to udało? Janet upierała się kiedyś, że potrafi błyskawicznie czytać, ale nigdy nie wierzyłam w istnienie osób czytających tak szybko. Może czas się nawrócić.

- Okay, zatem zna pan już problem. W zasadzie ją wypatroszyli. Osoba odpowiedzialna za politykę wewnętrzną

u Bramena zdaje się uważać, że zmiany zwiększają szanse projektu, ale oczywiście powiedziałam jej, iż są całkowicie niezgodne z...

- Zaaprobuję je.

Co?

- Przepraszam, sir?

- Ta wersja ma większe szanse na uchwalenie - powiedział rzeczowo.

Okay, najwyraźniej nie zdołał błyskawicznie przeczytać wszystkiego. Zapewne przez nieuwagę ominął fragment, w którym podtrzymywali zakaz sprowadzania leków z Kanady i skutecznie podnosili ceny środków dla najbardziej chorych i najstarszych Amerykanów. Wiedziałam, że szybkie czytanie wcale nie było takie świetne, jak o nim mówiono.

- Zdaję sobie sprawę, że podnieśli stawki i odrzucili propozycje dotyczące importu, ale to nadal duży krok we właściwym kierunku.

Zaraz, przeczytał te fragmenty?

- Ale, sir, czy nie warto walczyć o lepszą ustawę? - zaprotestowałam w popłochu.

RG odłożył marker. O-o, wiedziałam, że przekroczyłam granicę. Co u diabła sobie myślałam, podważając osąd RG? Nawet jeśli się z nim nie zgadzałam, słowny atak był idiotycznym pomysłem. Przygotowałam się na nieuniknioną naganę.

- Wiem, że jesteś rozczarowana, Samantha, ale to nie koniec. Ta ustawa zostanie uchwalona, a później powalczymy o więcej - odparł spokojnie i wcale nie niemiło.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Poczułam ulgę, że nie zbyształ mnie za niesubordynację, ale miałam wrażenie, jakbym straciła ideologiczny grunt. RG powiedział mi, żebym miała się na baczności, żebym chroniła projekt przed czymś takim. A teraz po prostu się wycofywał?

- Wiedziałem, że współpraca z Bramenem będzie przypominać dogadywanie się z diabłem - ciągnął. - Bramen ma swoje plany i wykorzystuje tę ustawę jako polityczną dźwignię z myślą o wyborach. Ale szczerze mówiąc, spodziewałem się, że poprawki będą dużo gorsze. Jego zespół usunął kilka dobrych punktów, lecz nie dodali tylu bzdur, ilu się obawiałem. Więc przystańmy na kompromis dla dobra postępu. Choć nie jest to ustawa idealna, to i tak znacznie pomoże ludziom. Okay?

- Okay - wydusiłam szeptem, wpatrując się ogłupiała w swoje dłonie.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowana, by nadal dla mnie pracować - powiedział RG tylko na w pół żartem.

Też miałam taką nadzieję. Uniosłam wzrok i napotkałam jego badawcze spojrzenie.

- Oczywiście, że nie, sir. Jestem tylko, hm, zaskoczona - wyjąkałam. - Więc, hm, mam powiedzieć Natalie, że pan się zgodził? - spytałam, czując, że gruda oporu w moim gardle niebezpiecznie nabrzmiewa. Może nawet nie będę fizycznie zdolna tego zrobić.

- Po prostu zadzwonię bezpośrednio do Johna - odparł RG.

Przynajmniej to było miłe z jego strony. Opuściłam RG i wróciłam do biurka przytłoczona ciężarem tego nieoczekiwanego rozwoju wypadków. Przejrzałam kilka internetowych stron z wiadomościami, starając się zaprowadzić porządek we własnej głowie. Zapowiedź nowego filmu pod tytułem *Bunt maszyn* zyskała szczególny wydźwięk, gdy przetrawiałam bolesne zwycięstwo stronnictwa Bramena. Natalie mimo wszystko miała rację. Czy to możliwe, że jej sprytnie kalkulacje czyniły z niej skuteczniejszą specjalistkę od spraw polityki wewnętrznej? Czy moim przeznaczeniem była kariera pełna rozczarowań i gorzkich lekcji? Nigdy nie sądziłam, że RG może wycofać się z walki o lepsze jutro, nigdy nie sądziłam, że tak łatwo opowie się za lżejszą drogą

blżej głównego nurtu. Czy byłam zwyczajnie naiwna? Co się działo?

Recenzja filmowa sugerowała, że ludzkość w końcu zatriumfuje, więc może istniała nadzieja. Był to właściwie pochwalny tekst pełen zachwytów nad „przełomowym dziełem” aktorskim i reżyserskim, co nie dziwiło, wzięwszy pod uwagę, że strona, na której zamieszczono artykuł, była własnością tej samej firmy co studio filmowe. Ta podstępna taktyka reklamowa, choć coraz bardziej popularna, zawsze mnie oburzała. Poczułam się dziwnie, gdy na tej samej stronie przeczytałam bardzo pozytywny artykuł o pewnym polityku. Czy polityk również był własnością firmy? Nigdy nie wiadomo.

Uff, czułam, że koniecznie muszę wziąć prysznic, by zmyć z siebie nagromadzony w ciągu dnia brud.

Wrażenie to towarzyszyło mi do końca tygodnia pomimo wielokrotnego szorowania szczotką. Czułam się zdezorientowana i niepewna w nowy niewygodny sposób. A gdy tylko myślałam o kompromisie RG, ponownie ogarniało mnie rozczarowanie.

Komisja przyjęła poprawiony projekt ustawy o refundacji leków i miał on zostać przedstawiony przed całym senatem. Odnotowałam ten triumf bez radości i nie odczuwałam chęci udziału w dzikim świętowaniu, na które wcześniej liczyłam, gdyby sprawy ułożyły się po naszej myśli. Błyszczący kapeluszek kupiony zawczasu pozostał nietknięty w dolnej szufladzie biurka, tak samo jak kolorowe koraliki. Ludzie zdawali się wyczuwać, że jestem nie w humorze, i unikali interakcji, co tylko pogarszało mój nastrój.

Aaron był jedyną osobą, która próbowała mnie rozweselić, i został bezpośrednio ukarany za odwagę. Odwołałam naszą randkę, nie chciałam się z nim spotkać i przez kilka dni ignorowałam jego telefony i maile. Nie obchodziło mnie, czy

zachowuję się niedojrzale. Po prostu nie mogłam mu wybaczyć, że pracuje z Natalie i Bramenem.

Trzeba przyznać, że wykazał się wytrwałością. Zostawiał nagrania na sekretarce i zaczął wysyłać maile co godzinę. Wiadomości były niewiarygodnie słodkie i zabawne. Mimo wszystko zrobił na mnie wrażenie.

W środę przyrzekł, że nie będzie jeść nic oprócz ciasteczek z przepowiednią, dopóki nie zgodzę się z nim zobaczyć. Maile zawierały krótkie informacje na temat mąk, jakich przysparzał swemu ciału, jak również teksty przepowiedni, które interpretował jako zapowiedzi rychłego spotkania ze mną. Ostatnia brzmiała: „Pokonasz trudności i osiągniesz sukces”. Zapewnił mnie, że nie doda nawet „w łóżku”, co ludzie zwykle dopisywali na końcu wróżb, żeby brzmiały bardziej ekscytująco. Chciał, bym wiedziała, iż jest dżentelmenem. Z wolna umierającym z głodu dżentelmenem.

Wreszcie uległam i wyraziłam zgodę na spotkanie w piątek wieczorem. A gdy tylko się znalazłam przy Aaronie, poczułam się lepiej. Był czarujący, zabawny i bardzo troskliwy. Pod koniec kolacji postanowiłam tymczasowo wybaczyć mu współpracę z Bramenem, o ile przyzna, że ten jest wysłannikiem diabła.

- Ale to przecież Gary naprawdę cię rozczarował - zauważył Aaron.

Rzuciłam mu ponure spojrzenie.

- Nieważne. Okay, Bramen to szatan. Z pewnością. Wypijemy za to? - powiedział szybko z ujmującym uśmiechem, unosząc kieliszek.

W rezultacie spędziłam z nim weekend.

Tydzień później senat zakończył obrady z powodu sierpniowej przerwy parlamentarnej. Choć nie odbywały się posiedzenia, w związku z czym senatorowie nie musieli tkwić

w DC i stawiać się na głosowania, wielu z nich zostało, aby pracować nad różnymi projektami. Inni wyjechali na wakacje z rodzinami lub wrócili do swoich stanów, żeby prowadzić kampanie i odnowić kontakty z wyborcami. RG starał się robić wszystko naraz. Został na kilka dni, potem wyjechał na wakacje z Jenny i chłopcami, a resztę czasu spędził w Ohio, zabiegając o poparcie.

Ostatniego dnia pobytu RG w biurze obudziłam się z poczuciem ulgi. Od czasu jego „zdrady” zachowywałam wobec niego pełen szacunku ponury dystans (czego zdawał się w ogóle nie zauważać), a moje melodramatyczne próby unikania kontaktów zaczęły być męczące. Podczas jego nieobecności będzie to dużo łatwiejsze.

Udało mi się również załatwić wszystkie sprawy z Natalie wyłącznie poprzez korespondencję elektroniczną - medium tchórzy. Panowały między nami cywilizowane stosunki polegające na stukaniu w klawiaturę i choć wiedziałam, że wcześniej czy później będę musiała stanąć z nią twarzą w twarz, z radością odkładałam to tak długo, jak tylko pozwalał mi e-mail.

Aaron i ja odnowiliśmy relacje i spędzaliśmy razem wszystkie noce. Był teraz w moim łóżku, a ja jakiś czas leżałam bez ruchu, wsłuchując się w jego niepokojąco wolny oddech. Lekarka powiedziała mi, że, podobnie jak niespieszny puls, stanowiło to oznakę zdrowia. Nie skomentowała faktu, iż mnie samej dźwięk ten wydał się tak obcy, że zadzwoniłam do niej ogarnięta paniką. Doceniłam ów umiar i poczułam dumę, bo miałam kochanka w wyjątkowo dobrej formie. Lekarka przyznała, że należą mi się gratulacje.

Mój osobisty puls pędził, gdy próbowałam zamknąć oczy i cieszyć się spokojem, zanim budzik oznajmi rozpoczęcie dnia. Ostatnio pojawił się dodatkowy powód, by opóźnić otwarcie oczu - Shackleton uparcie ćwiczył śmiertelną pozę i byłam przekonana, że wkrótce stanę się świadkiem prawdziwej śmierci.

Jak zwykle z chwilą, gdy świadomie postanowiłam mieć oczy zamknięte, czynność ta zaczęła wymagać ode mnie herkulesowego wysiłku. Irracjonalnie bałam się, że stopień trudności nieotwierania oczu był wprost proporcjonalny do szans, iż Shackleton wreszcie ulegnie chorobie, więc walczyłam dzielnie z wykrzywioną twarzą podobną do dziwnej, zde-terminowanej maski.

Usłyszałam delikatny chichot Aarona.

- W porządku, wciąż żyje - powiedział, całując koniuszek mego zmarszczonego nosa.

Och! Rozluźniłam mięśnie twarzy i powoli otworzyłam oczy. Aaron już się ubierał, a Shackleton rzeczywiście nadal był wśród żywych, a dokładniej rzecz biorąc, wśród omszało-skrzelnych, umęczonych, pływających istot, co stanowiło niewielki i skazany na zagładę podzbiór.

- Muszę lecieć, skarbie - powiedział Aaron, kierując się niewiarygodnie lekko w stronę wyjścia (naprawdę był w dobrej formie!). - Zadzwoń później.

Uśmiechnął się do mnie i zamknął drzwi. Westchnęłam uszczęśliwiona tym nowym rytuałem. Zanim skończyłam się ubierać, Aaron wysłał wiadomość, żeby przypomnieć mi o strajku metra. Kompletnie o tym zapomniałam i w konsekwencji nie przygotowałam zastępczego planu dojazdu. Musiał to przewidzieć, ponieważ dołączył numer firmy tak-sówkowej, ostrzegając, że tego ranka będą mieć wielu klientów. Poczułam się zabezpieczona i pewna, dopóki nie przypomniałam sobie, iż nie mam gotówki.

Z nadzieją podeszłam do szuflady, gdzie trzymałam drobne do pralni, ale wpatrywał się tam we mnie pojedynczy dziesięciak, samotny i jakby nie na miejscu. Oj, naprawdę nie miałam pieniędzy. Choć pod wieloma względami byłam nie-pozbierana, nie należałam do osób, które natrafiają na zapomnianą gotówkę w kieszeniach spodni czy kurtek, więc nawet nie próbowałam szperać w poszukiwaniu niespodziewanych

zapasów. Jedynym, co kiedykolwiek zdarzało mi się znaleźć nieoczekiwanie, były zgubione nieopłacone rachunki.

Dokonałam szybkich obliczeń. Dwadzieścia minut, by dotrzeć do biura. Za mało, by dojść na piechotę. Ani nawet, by dobiec. Nie posiadałam skutera, roweru czy czegokolwiek w tym rodzaju. Chociaż, zaraz, chwileczkę - miałam rolki.

Piętnaście minut później osłonięta ochroniaczami na kolanach i łokcie, w rękawicach oraz w kasku niezgrabnie sunęłam wzdłuż Massachusetts Avenue z teczką przypiętą do ramion niczym plecak. Temperatura wynosiła już parne 37 stopni i szybko pokrył mnie pot. Skoncentrowałam się jak najmocniej, ponieważ byłam tak nienawykła do rolek, że mała nierówność podłoża mogła mnie posiać w powietrze. Próbowalam nie zwracać uwagi na okrzyki robotników, gdy chwiejnie mijałam budowę. Nie brzmiały jak zwykle nawoływania za panienkami, lecz dużo bardziej prześmiewczo. Brakowało mi czasu i równowagi, by odpowiedzieć, więc parłam naprzód.

Przejechałam niezdarnie przez podjazd do Russell Building, gdy przez drogę przemknęła wiewiórka, pędząc w kierunku najbliższego drzewa, by ratować cenne życie. Chciałam ją ominąć i wyprostowałam się w samą porę, żeby uchwycić widok zbliżającego się na rowerze kuriera. Zjechałam gwałtownie na bok, w jedno z nielicznych miejsc niechronionych przez trawę. Rękawiczki otarły się o beton, kiedy gwałtownie wpadłam w sam środek lepkiej kałuży uformowanej przez upuszczony przez kogoś, roztopiający się lód. Czy umarłam? Spojrzałam na mały tłumek gapiów szybko zbierający się wokół mnie. Czy chciałam umrzeć?

Kurier zahamował tylko po to, by przestawić koło, i popędził dalej. Byłam jedynie kolejną przeszkodą na trasie, którą musiał pokonać jak najszybciej.

- Nic pani nie jest? - spytała jakaś kobieta, sprawdzając pager.

- Dziękuję, chyba nie.

Skinęła głową i nie patrząc, odeszła. Gdy poczułam, że lodowa kałuża zaczyna przenikać przez materiał bluzki, wydało mi się, iż pochwyciłam widok znajomej twarzy na skraju przerzedzającej się rzeszy widzów. Czyżby Clark Kent? Trudno było stwierdzić, ponieważ włosy nadal wpadały mi w oczy. Wyczuwałam lekkie rozczarowanie większości tłumu, że wypadek nie był poważniejszy - coś, o czym mogliby opowiedzieć, plotkując w biurze przy kawie. Jednak mężczyzna wyglądający jak reporter Clark Kent, którego zaatakowałam na przesłuchaniu, wydawał się bardziej przejęty i zaniepokojony. O Boże, jeśli to naprawdę on, musiał mnie uznać za największą niezdarę na planecie. I w dodatku prawdziwe zagrożenie dla publicznego bezpieczeństwa. Tak czy siak, odszedł wraz z pozostałymi.

Skrzywiłam się, stając na nogi. Poprawiłam w miarę możliwości wygląd, założyłam buty i pokuśtykałam do budynku. Ralph wyglądał na przestraszonego moim zmaltretowanym wyglądem.

- Napadnięto cię? - spytał, a jego dłoń powędrowała do kabury, gdy sprawdzał horyzont w poszukiwaniu sprawców.

Czy rzeczywiście się o mnie martwił, czy tylko był spragniony emocji? Znajdowałam się w zbyt kiepskim stanie, by tego dochodzić, więc tylko pokręciłam głową i podreptałam przez punkt kontrolny.

- Wiesz, że wyglądasz, jakby cię napadli - zawołał za mną Ralph.

Zignorowałam go. Gdy zasiadłam przy biurku, Mark Herbert czekał na mnie z buteleczką aspiryny.

- Ja, ee... widziałem cię na dworze, kiedy... - zamachał ramionami, a potem klasnął w dłonie, co miało oznaczać widowiskowe zderzenie. - ... eee... pomyślałem, że możesz tego potrzebować. - Potrząsnął buteleczką aspiryny i wbił wzrok w podłogę. - Nic ci nie jest?

- Dzięki, Mark, to naprawdę miłe. Wszystko w porządku.

- To dobrze. Cóż, daj mi znać, jeśli będziesz chciała lodu czy czegoś innego - powiedział nieśmiało na odchodnym.

Z tyłu korytarza zobaczyłam Monę szybko chowającą się za biurkiem po tym, jak podsłuchiwała.

Aaron zadzwonił, by sprawdzić, czy dotarłam do pracy. Poinformowałam go, że dojechałam na rolnkach, omijając niepotrzebne szczegóły. Nazwał mnie odważną i zapewnił, iż chętnie pomasuje mi później wszystkie obolałe mięśnie. Zaklinałam opuchliznę na biodrze, by zmniejszyła się do bardziej uroczego guza.

Po południu RG wysłał wiadomość z prośbą o kopie wstępnych raportów na temat spotkań otwartych. Najwyraźniej chciał je zabrać ze sobą na urlop. Problem polegał na tym, że ich nie przygotowałam. Zakładałam, iż nie będzie nad nimi pracował na wakacjach, głupie założenie, patrząc wstecz, i planowałam napisać je w tygodniu, gdy wyjedzie. Zwalczyłam falę paniki i pobiegłam do Janet po radę.

- Cóż, wylatuje jutro o jedenastej rano, więc... - stwierdziła sceptycznie.

- Więc jeśli do tej pory przygotuję raporty, mogę mu je przesłać? - zakończyłam.

- Tak sądzę. W zasadzie. Jeśli się zgodzi.

Byłam całkiem pewna, że nie zapyta go o to w moim imieniu. Zapukałam do jego biura.

- Tak? - rzucił nieuważnie, gdy wsadziłam głowę do środka. - O, masz dla mnie te raporty?

Z całej siły pragnęłam je mieć, ale to niewiele dało.

- Właściwie, sir, właśnie otrzymałam kilka informacji, które chciałabym do nich dołączyć. Czy mogę je przesłać jutro z samego rana?

RG wyglądał na lekko zirytowanego, ale potem skinął głową.

- Dobrze, dobrze.

- Świetnie.

Zaczęłam się obracać do wyjścia.

- O, prawie zapomniałem - przerwał mi. - Mam coś dla ciebie.

Skinął, żebym weszła do biura, i zaczął przeszukiwać teczkę.

- Wpadło mi to w ręce w domu i pomyślałem, że może ci się spodobać. Jenny i ja mamy dwa egzemplarze.

Wręczył mi album nagrań zatytułowany *Blind Blake's Bad Feeling Blues* ze zdjęciem przedstawiającym bluesowego solistę, który wyglądał na pogrążonego w depresji. Czyżby moje przygnębienie zostało jednak dostrzeżone? Gdy spojrzałam na RG, miał na twarzy lekki uśmiech.

- Blind Blake pomógł mi w przeszłości w czasie kryzysów zaufania i pomyślałem, że może zechcesz go wypróbować.

Właściwie nie były to przeprosiny, ale RG z pewnością brał pod uwagę moje rozterki. Był współczujący w mądry dystansowany sposób, jakby czuł mój ból, ale uznawał go za nieunikniony, a może nawet konieczny i kształcący.

- Dziękuję, sir - zdołałam powiedzieć, czując szczerą wdzięczność. - Przepraszam, że ostatnio byłam trochę nie w humorze.

- Po prostu wykonuj swoją pracę, Samantho. Zatrudniłem cię, ponieważ zależy ci na tych samych sprawach co mnie. I jeśli wytrwasz przy mnie, będziesz miała szansę wprowadzić prawdziwe zmiany. Wiesz, że nie zawsze będę młodszym senatorem z Ohio. Blind Blake i ja mamy inne plany. Zrozumiano?

Sądziłam, że tak. Odkąd RG przybył do Waszyngtonu, uważano go za godnego uwagi. Z pewnością nie poświęcano mu jej tyle, co Bramenowi, ale i tak dostrzeżono jego możliwości. Nazwisko RG pojawiło się nawet w zeszłym roku w niedzielnych programach publicystycznych na temat potencjalnych kandydatów na prezydenta. Większość osób zakładała, że zrezygnował z kandydowania, ponieważ maszyna Bramena wyglądała na niepokonaną. Nie było wątpliwości, iż Bramen zaplanował start w tych wyborach ponad dziesięć

lat temu, podczas gdy RG wykorzysta! ten czas, by jak najlepiej służyć wyborcom. Czy RG był zazdrosny, że nie stworzył sobie zaplecza do zyskania większej chwały? Miałam nadzieję, że nie.

- Tak, sir. Jestem zaszczycona, mogąc dla pana pracować, sir.

- Świetnie. Do zobaczenia w Cleveland.

Zaniosłam płytę Blind Blake'a na biurko, czując znaczną ulgę. Nadal nie zgadzałam się z kompromisem RG w kwestii ustawy o refundacji leków, ale wierzyłam w jego wrodzoną dobroć i zaangażowanie w służbę. Był jednym z nielicznych spotkanych przeze mnie ludzi, w których ustach ambicja brzmiała jak poświęcenie, co było prawdą tylko w przypadku osób naprawdę oddanych służbie publicznej. RG nie uczestniczył w tym dla samego siebie, po prostu uczestniczył. I miałam nadzieję, że względu na wiele spraw, w które wierzyłam, że daleko zajdzie.

Świadomość, iż mam przed sobą co najmniej siedem godzin pracy, a dzień właśnie się kończy, dopełniła poczucia przywróconego porządku. Aaach, westchnęłam z zadowoleniem, szybko wypijając kawę, w moim świecie wszystko na powrót znalazło się na swoim miejscu.

O wpół do dziewiątej, gdy byłam w jednej szóstej drogi przez sprawozdania, które musiałam skończyć dla RG, Aaron przesłał wiadomość.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Re: sexy seniorita

wreszcie skończyłem na dziś. zaraz pochłonę bezwstydną ilość margarity i chipsów, masz ochotę na zabawę w przekraczanie granicy? i czy chciałabyś przedtem wybrać się ze mną na coś z kuchni meksykańskiej?

Po spłoszeniu i przekleśniu faktu, że nie mogłam przystać na plan Aarona, zadzwoniłam, by poinformować go o swoim smutnym losie.

- Będziesz tam całą noc? - spytał niedowierzająco.
- Większą część - odparłam z żalem.
- O rany. Okay, więc odwiedzę cię później. Aha, Sammy?
- Tak?
- Natalie powiedziała mi, że miałas rano paskudne zderzenie. Musiała je widzieć. Jesteś cała?

Poza gorącą nienawiścią do Natalie chyba wszystko było w porządku.

- O tak. Tylko kilka zadrapań i siniaków. Nadają mi wygląd zabijaki.

- Okay, seksowna bestyjko. Do zobaczenia.

„Do zobaczenia”, tak się ostatnio żegnaliśmy. Od czasu epizodu z wieczorem kawalerskim Aaron nie powtórzył pijackiego wyznania „ocham eie”, ale miałam pewność, że wreszcie wyjawi swe uczucia. Może nawet w trzeźwym świetle dnia.

O 22.00 wszyscy już dawno wyszli z biura. O 23.00 byłam roztrzęsiona od ciągłego wchłaniania kofeiny. O 24.00 posłuchałam nieco Jona Bon Joviego dla motywacji. O 1.00 zjadłam energetyczny batonik i boksowałam powietrze przez pięć minut. O 2.45 byłam o dwadzieścia minut od ukończenia pracy, gdy pojawił się Aaron. Pachniał tequila i niósł duże pudło ze sklepu sportowego.

- Dla mnie? - spytałam.

- Właściwie dla mnie. Ale ciebie też dotyczy. Prawie skończyłaś? - spytał radosnym pijackim głosem.

Wyglądał na bardzo dumnego z siebie. Gdy uporałam się z pracą, odpakował paczkę. Najwyraźniej gdzieś w nocy napędzanej margarita kupił sobie parę rolek i wydawał się podsekcytowany tym zakupem. Przygotowałam sprawozdania do wysłania rano i kątem oka patrzyłam, jak wkłada nowe obuwie.

- Umiesz jeździć na rolkach? - spytałam. - Bo to naprawdę dość trudne.

- Miałem nadzieję, że mnie nauczysz - odparł.

Przekonał mnie, bym włożyła swoje, argumentami w stylu „trzeba od razu złapać byka za rogi”, a potem pokierował mnie w stronę drzwi biura.

- Muszę zabrać swoje rzeczy - zaprotestowałam.

- Nie musisz. Rozgrzejemy się tutaj - odparł.

Miał na myśli wnętrza Russell Senate Building? Naprawdę?

Naprawdę. Następną godzinę spędziliśmy, ślizgając się po długich, gładkich, marmurowych korytarzach, które biegły wzdłuż i wszerz budynku, a kółka rolek wydawały delikatny terkoczący dźwięk. Przemierzałam te korytarze przez ponad rok, ale cicha ciemność wczesnej soboty zmieniła je w kusząco tajemniczy teren. Pozbawione przeszkód, idealnie wypolerowane podłogi były śliskie i zachęcające.

Nabierając prędkości, wytwarzaliśmy powiew, a Aaron odgarniał włosy, które opadały mi na twarz. Czułam się szybka i nieco pozbawiona kontroli. Zastanawiałam się też, jakim cudem to on mi pomaga. Albo robił to wcześniej, albo miał wrodzony talent.

Panowało między nami niepisane porozumienie, by się nie odzywać w czasie jazdy, aby uniknąć odkrycia przez ochronę stacjonującą trzy piętra niżej. Każdy odgłos odbijał się echem w pustych korytarzach, a w ciszy dostrajaliśmy się do śpiących skrzypnięć budynku i szeptu rur. Kiedy tak sunęliśmy, czułam, że poznaję to miejsce w sposób bardziej ukradkowy i intymny. Russel Building zawsze wydawał mi się gigantyczną bezosobową budowlą - fabryką pełną mocy, której nie obchodziło moje miejsce czy tempo. Lecz w tej chwili, po raz pierwszy, czułam się od niej szybsza - jakbym mogła podejrzeć jej sekrety, zanim mnie usłyszy i runie na mnie z całą imponującą bezwładnością. Może to miejsce jednak dało się pokonać. Może uczyłam się go, po prostu nasłuchując.

Wróciliśmy z Aaronem do biura RG i opadliśmy na kanapę w recepcji. Chciałam podzielić się z nim moimi nowymi, radosnymi odczuciami, ale zanim zdecydowałam, jak je wyrazić, zaczął całować mnie po szyi.

- Nie tu - wyszeptalam, gdy zabrał się za moje ubranie.
- Dlaczego nie? Nie ma kamer.
- To po prostu niewłaściwe - próbowałam wytłumaczyć.
- No dalej, robienie tego w biurze jest strasznie podniecające. Wierz mi.

Nie mógł powiedzieć niczego bardziej zniechęcającego do przespania się z nim. Dlaczego facetom w ogóle przychodziło do głowy, że rzucanie aluzji do dawnych seksualnych eskapad stanowiło mądre lub roztropne posunięcie? Umyślnie czy nie, z pewnością postąpił idiotycznie. To było gigantyczne wykroczenie. Niemal takie jak wtedy, kiedy chłopak ze studiów próbował nadać naszemu krótkotrwałemu związkowi nieco pikanterii, sugerując, bym zwróciła się po wskazówki dotyczące robienia loda do jego poprzedniej dziewczyny. Co było z nimi wszystkimi nie tak?

W ciemnościach spojrzałam na Aarona wilkiem. Nieświadomy tego lub niespeszony wsadził język w moje ucho. Odepchnęłam go.

- Co? Coś nie tak? - spytał z niewinną dezorientacją.
- Nie chcę znać szczegółów wszystkich doświadczeń seksualnych, jakie miałeś przede mną. I z pewnością nie mam ochoty odtwarzać żadnych mile wspomnianych scenariuszy, okay? - zasyczałam groźnie.
- Hej, hej, uspokój się, skarbie. Przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mówię. Źle to zrozumiałaś.
- A jak miałam zrozumieć?

Gdy tak obstawał przy niewinności swych intencji, seria niemilych obrazów przesunęła się w mojej głowie. Aaron z inną kobietą. Zdejmujący jej ubranie. Nie potrafiłam zatrzymać taśmy. I niestety, aktorka w mentalnych męczarniach

była boleśnie piękna. Wiedziałam też instynktownie, że to ona zerwała z Aaronem i że on ciągle za nią tęskni. Czy zechciałaby przyjąć go z powrotem? Czy czasem do niego dzwoniła? Czy mieszkała lub pracowała niedaleko?

Nie miałam najmniejszej ochoty zastanawiać się nad odpowiedziami, ale niewiele mogłam działać. Czemu mój umysł mnie nie słuchał?

- Okay, w porządku - przerwałam mu. - Po prostu chodźmy do domu.

Zebrałam swoje rzeczy. Jazda na rolnkach do jego mieszkania była zdecydowanie mniej romantyczna. Posuwaliśmy się z trudem, co znacznie przyczyniło się do naszego złego humoru.

Już chciałam się poddać i wrócić do siebie, żeby spędzić noc sama, ale czułam irracjonalny lęk, że taki ruch może skłonić Aarona, by zadzwonił do tej okropnej kobiety i odnowił romans, więc zostałam w wyczerpanej, nadąsanej chwale. Aaron wydawał się nieco skruszony, co doceniałam, lecz nie było to bardzo sexy. Przywitaliśmy się z jego współlokatorem Mikiem, który oglądał w salonie *Ścisłe tajne* i budował rodzaj piramidy z puszek po piwie, po czym szybko poszliśmy spać.

Następnego dnia wstałam wcześniej, by dopilnować doręczenia raportów dla RG. Gdy wracałam do domu, Aaron zadzwonił z informacją, że musi nagle wyjechać z Bramenem do New Hampshire i nie wróci na noc. Nie wybaczyłam mu jeszcze poprzedniej kobiety, ale nie ucieszył mnie jego nagły wyjazd. Obiecał zadzwonić z podróży.

Na progu czekał na mnie tuzin róż. Na karteczce napisano: „Sammy - nikt i nic nie może się z tobą równać. Kocham, Aaron”. Miało to dwie cudowne konsekwencje. Po pierwsze przez resztę dnia piosenka Sinead O'Connor rozbrzmiewała na okrągło w mojej głowie, gdy załatwiałam różne sprawy, przez co nie potrzebowałam słuchawek i iPod'a. Po drugie miałam kolejny dowód, że Aaron mnie kocha, niezależnie od tego, czy decydował się wyrazić swe uczucia werbalnie.

Wieczorem, gdy Sinead wreszcie odpłynęła, wydobylam spod łóżka zakurzony odtwarzacz płyt i nastawiłam *Blind Blake's Bad Feeling Blues*. To była poważna muzyka, niepodobna do niczego, co wcześniej slyszalam. Głos Blind Blake'a ociekał bolesnym rozczarowaniem, dźwięki zdawały się dochodzić z przepastnych otchłani. Zamknęłam oczy i odpłynęłam w sen, czując, że może mimo wszystko nie jestem w najgorszej sytuacji.

Objazdowy cyrk

Następny tydzień stanowił pasmo przygotowań i zatopienia się w Aaronie. Zaczęliśmy spędzać razem większość wolnego czasu, co najczęściej było cudowne, ponieważ moje zauroczenie nadal kwitło. Jednak gdy narzekał na wyjazd z RG, a ja odparłam, że to on przecież pojechał do New Hampshire z Bramenem, Aaron zasugerował, iż podróże Bramena są ważniejsze. Jak można przypuszczać, nie odebrałam tego dobrze. Aaron wycofał się i przysiągł, że naprawdę tak nie uważa, jest tylko smutny z powodu mojego wyjazdu. Pogodziliśmy się, ale czułam, jak w nasze szczęście z powrotem zakrada się napięcie.

Byłam wdzięczna, że trwa przerwa w obradach senatu, ponieważ spokojniejsza atmosfera bardziej sprzyjała temu, by RG poprowadził cztery najlepsze spotkania otwarte w karierze. Miały się one odbyć w Cleveland, Toledo, Columbus i Cincinnati, w tej kolejności. RG wyraził życzenie, by w miarę możliwości większość podróży odbyć pociągiem, a nie samochodem, czym byłam zarówno podekscytowana, jak i zdenerwowana. Choć znałam statystyki dotyczące liczby wypadków samochodowych przypadających na wykolejenia się pociągów, czułam, że mam większą kontrolę, siedząc za kierownicą lub znając osobę, która prowadzi. Może jeśli przed każdą jazdą przedstawię się maszyniście, odzyskam spokój.

Na dzień przed moim spotkaniem z RG w Cleveland Liza, Ryan, Aaron i ja poszliśmy do klubu w Adams Morgan, jednej z moich ulubionych dzielnic w DC. Liza namówiła

mnie, żebym z tej okazji zamieniła się w wampa i założyła wykręcające kostki szpilki, w których nie mogłam przejść wygodnie więcej niż kilka metrów. Czułam się jak inwalida. Zapewniła mnie, że jestem atrakcyjną inwalidką. Ryan wyznał, iż jego ulubionym filmem porno były *Szpitalne igraszki*. Zastanawiałam się, jak długo pozostanie na scenie.

Gdy zaczęły się tańce, po trzydziestu sekundach zdjęłam buty, dzięki czemu było mi znacznie wygodniej. Jako weteranka niezliczonych samotnych domowych potańcówek czułam się nieco skrępowana wobec tłumu i większość swoich popisów ograniczyłam do śmiesznych ruchów. Miałam wyjątkowy talent do odgrywania uciekającego człowieka i kilku bardziej zaawansowanych pokazów M.C. Hammera w balonowych spodniach. Aaron był raczej absolwentem wysokiej klasy kursów tańca i z trudem dotrzymywałam mu kroku. Choć podobało mi się, że mężczyzna potrafi mną obracać i przechylać z taką pewnością, nigdy nie byłam zwoleńniczką tradycyjnych szkół tańca. Gdy dorastałam, odrzucała mnie ich elitarna napuszoność, choć wiedziałam, że wychowankowie podobnych instytucji mogli zapewne uważać mój indywidualny styl za wulgarny i niedojrzały. Aaronowi zdawał się on nie przeszkadzać i nawet roześmiał się zachęcająco na widok hołdu, który złożyłam wideoklipowi Madonny *Vogue*.

Liza i Ryan całą noc tańczyli lambadę, niezależnie od piosenki. Gdy wreszcie o trzeciej nad ranem musieliśmy wyjść, bo zamykano, byliśmy spoceni, zmęczeni, a jednocześnie pełni energii. Nie mogłam znieść myśli, by ponownie uwięzić oswobodzone stopy, więc Aaron zaniósł mnie na barana do taksówki.

Kiedy zatrzymywaliśmy się, by mogli wysiąść Liza i Ryan, Ryan położył mi rękę na nodze i zaproponował, żebyśmy spędzili noc wszyscy razem. Liza wyglądała na przerażoną. Aaron na ubawionego. Staralam się nadać propozycji mniej

niepokojący wydzźwięk, żartując na temat imprezy z nocowaniem, ale mówiąc, że, niestety, muszę się dobrze wyspać przed podróżą. Ryan przykazał mi, żebym „nie siedziała tym fajnym tyłeczkiem cały czas na stołku”, i wygramolił się z wozu. Liza podążyła za nim cicho ze szklistym spojrzeniem i zamknęła drzwi bez pożegnania. Uff! Gdy dotarliśmy do domu, nie wiedziałam, czy natychmiast do niej zadzwonić i upewnić się, że wszystko w porządku, czy też udawać, że nic się nie stało. Aaron dość mocno się upierał, że Liza jest dużą dziewczynką, która potrafi o siebie zadbać. Na szczęście w czarujący sposób dodał, że pragnie mojej niepodzielnej uwagi, ponieważ nigdy nie ma mnie dość. Postanowiłam zadzwonić do Lizy rano.

Obudziłam się podekscytowana podróżą, ale nie miałam chęci wyjeżdżać. Aaron się ubierał, gdy ja kończyłam pakowanie. Czy naprawdę będzie tęsknił? Czy naprawdę chciałam zapakować paczkę grahamowych krakersów i słoik słodkiego kremu? Postanowiłam mieć coś do przegryzienia, ale może powinnam postawić na bardziej gotową formę. Prawdę mówiąc, krem był niezwykle smaczny.

- Nie zapomnij ładowarki - powiedział Aaron, rzucając ją w moją stronę. - Ja zawsze zapominam swojej.

Czy chciał się upewnić, że będę mieć naładowany telefon, żebyśmy pozostali w kontakcie? Faceci z moich poprzednich doświadczeń nie zwykli myśleć w ten sposób. Ale może on był inny.

- Więc... jakie masz plany na ten tydzień? - spytałam imponująco naturalnym głosem.

Wiedziałam, że czeka go dużo pracy, ale tak naprawdę chodziło mi o to, co będzie robił wieczorami w trakcie mojej nieobecności.

- Wiesz, to i tamto. Mam kumpla ze studiów, który może wpadnie na parę dni.

„Kumpel” zwykle oznaczał mężczyznę, prawda? Nie mogłam wypytywać dalej, by nie wyjść na paranoiczkę. Którą oczywiście byłam. Dobry Boże, czy zawsze odczuwałam równie silną zazdrość? Nie pamiętałam siebie takiej. Uznałam za frustrujące, że Aaron ma na mnie podobny wpływ. Pomimo wszystkich wad zdawał się posiadać jakąś cechę, która sprawiała, że chciałam tulić go do siebie, niemal dusząc, i musiałam wkładać wiele energii, by się od tego powstrzymać, dla naszego wspólnego dobra.

Zaniósł moje bagaże na stację metra (strajk na szczęście trwał tylko dwa dni).

- Lepiej niech Ohio mi cię nie skradnie - powiedział, całując mnie na pożegnanie. - Albo będzie musiało się mocno tłumaczyć.

Uśmiechnęłam się i całowałam go na tyle długo, by jakiś przejeżdżający na deskorolce chłopak krzyknął: „Idźcie do hotelu!”.

Pół godziny później, czekając na samolot na National Airport, przeglądałam magazyny przy bardzo drogim stoisku prasowym. Z jakiegoś powodu nie otrzymałam pocztą najnowszego wydania „Economist”, a okładka z zapowiedzią artykułu o europejskim spojrzeniu na amerykański system opieki zdrowotnej sygnalizowała, że ten numer powinnam przejrzeć. Oprócz niego dla kontrastu chwyciłam również „US Weekly”.

Lot do Cleveland trwał ponad godzinę - za mało czasu, by dokładnie przestudiować artykuł z „Economist”, lecz dość, by poznać najnowsze hollywoodzkie plotki. Siedziałam wciśnięta między dwóch biznesmenów w ciemnych garniturach - jeden otworzył laptop i z furią coś pisał, drugi z ważną miną przeglądał obszerny rękopis natury finansowej. Niepewnie ukryłam „US Weekly” między okładkami „Economist” w nadziei, że będę wyglądać bardziej profesjonalnie.

Zanim dotarłam do działu ze zdjęciami gwiazd, okazało się, że jestem w stanie cichej wojny o oparcia. Mocno wierzyłam,

iz osoba zajmująca środkowe miejsce, czyli ewidentnie będąca w najmniej wygodnej pozycji, miała prawo do dwóch lichych oparć, które ograniczały jej ciasną przestrzeń. Moi oponenti zdawali się z tym nie zgadzać, a walka była zaciekła. Kątem oka spojrzałam na przeciwników. Nie dość, że nierycerscy, to jeszcze nosiciele drobnoustrojów. Przeklinałam ich w myślach.

Wreszcie uzyskałam strategicznie dobrą pozycję z przodu obu oparć, skąd mogłam powoli się cofać, wiedząc, że łokcie przeciwników nie miały się dokąd przesunąć. Usatysfakcjonowana skoncentrowałam się na sprawianiu wrażenia, iż czytam bardzo poważne artykuły o polityce, a potajemnie wchłaniałam najnowsze ploteczki o gwiazdach.

Godzinę i piętnaście minut później, gdy przedzierałam się przez lotnisko w Cleveland, dostrzegłam małe zamieszanie przy najbliższym stanowisku z biletami. Grupa osób gorączkowo tłumaczyła nieszczęśliwej pracownicy linii lotniczych, że pomimo braku miejsc i sprzedania wszystkich biletów naprawdę muszą się dostać na ten konkretny lot.

- Mam być w Des Moines za dwie godziny. Czy może pani spytać, czy ktoś oddałby bilet?

Gdy tylko kobieta przemówiła, rozpoznałam jej głos i zwolniłam kroku, by się lepiej przyjrzeć. Tak, na pewno była to Melanie Spear, senator z Illinois ubiegająca się o stanowisko prezydenta. Przystanęłam, by popatrzeć, zadowolona z tej niespodziewanej okazji. Większość osób sądziła, że jest pierwszą kobietą w historii kraju z realną szansą zostania przywódcą wolnego świata. Bo choć to Bramen prowadził w grupie kandydatów, Spear znajdowała się tuż za nim i zyskiwała w sondażach.

Teraz najwyraźniej nie zdążyła na lot i traciła panowanie nad sobą - rzadki widok, przynajmniej w obecności kamer. Nie było ich tu w tej chwili, a ona korzystała z okazji, by pozwolić sobie na niekontrolowany wybuch.

Zastanawiałam się, dlaczego korzysta ze zwykłych linii, skoro jej mąż jest odnoszącym niewiarygodne sukcesy biznesmenem z Chicago z własną flotą samolotów. Powtarzano paskudne plotki, że Spearom nigdy nie zdobyłaby miejsca w senacie, gdyby nie układy męża - ludzie sugerowali nawet, iż niepoprawny kobieciarz kupił jej pozycję senatora, by się od niej uwolnić.

Zawsze uważałam, że to w dziewięćdziesięciu procentach brudna seksistowska propaganda, ale słuchając lodowatych obelg, którymi Melanie obrzucała przestraszoną pracownicę linii lotniczych, zastanawiałam się, czy w plotkach nie ma czasem odrobiny prawdy.

- Rozumie pani, jakie to ważne? - pytała senator Spearom po raz piąty. Pracownica dzwoniła po wsparcie.

W hotelu czekał na mnie własny kryzys. Zack Globerman kierujący biurem RG w Cleveland uśmiechnął się sztywno, gdy wygramoliłam się z taksówki. Był dziesięć lat starszy ode mnie i nigdy nie przywykł do myśli, że posiadam jakiegokolwiek kompetencje bądź umiejętności. W denerwująco świętoszkowaty sposób zwykł też sugerować, że pozostanie w Ohio było czystsza i bardziej zaszczytną drogą dla osoby poświęcającej się służbie publicznej. Często nazywał mnie „DC”, wywołując moje bezgranicznie rozdrażnienie.

- Mamy problem - stwierdził bez powitania. - Ronkin zebrał trochę ludzi oburzonych z powodu tej sprawy z Kanadą i przygotowują spory protest.

A niech to.

Don Ronkin był kontrowersyjną postacią. Prowadził radiowe dyskusje, nienawidził RG i w każdym programie starał się rozerwać wroga na strzępy. Słuchało go wielu ludzi, głównie dlatego, że bawiły ich jego ataki. Pluł takim jadem, iż zyskał wizerunek dzikusa z pianą na ustach, w szale wykrzykującego oszczerstwa. Któż nie uznałby tego za ciekawe? Oczywiście wielu twierdziło, że Ronkin jest odpychający, lecz

audycje cieszyły się niezaprzeczalną popularnością. Kiedyś usłyszałam, jak RG tłumaczył komuś, że wszystko, co odwołuje się do podstawowych ludzkich lęków i obaw, zwykle znajduje sobie stałą niszę, czy nam się to podoba, czy nie. Nie chciałam mu wierzyć, ale dowody zaczynały być przytłaczające.

Ronkin chwycił się ostatnio projektu ustawy o refundacji leków, a zwłaszcza poparcia RG dla sprowadzania tańszych leków z Kanady i Europy. Choć wobec kompromisu z Bramenem ta kwestia została na razie zawieszona, Ronkin nie mógł przebaczyć RG, że taki pomysł choćby przemknął mu przez głowę.

Regularnie ściągałam z internetu transkrypcje programów Ronkina (nadawano je tylko w Ohio, więc w DC nie mogłam ich słuchać), żeby być na bieżąco. Na planach RG nie zostawił suchej nitki.

„Kretyński Robert Gary chce po prostu odebrać zarobki ciężko pracującym Amerykanom i zalać kraj tanimi niebezpiecznymi lekami z zagranicy. Czy to dobry pomysł? Oczywiście, że nie. Dzwoncie i dzielcie się przemyśleniami”.

Strategia Ronkina opierała się na wykorzystywaniu tradycyjnego patriotyzmu dla własnych, zwodniczych celów. Niestety, była całkiem skuteczna. A teraz Zack informował, że mające się odbyć następnego dnia spotkanie, wielki start w Cleveland, może się stać medialną porażką.

Mark świetnie się spisał, informując większość lokalnej prasy o wydarzeniu i zapraszając wielu reporterów. Spotkanie miało być nagrywane lub relacjonowane na żywo, żeby wiedzieli o nim także nieobecni. Nie chodziło tylko o media, lecz o powiadomienie ludzi, że mogą się skontaktować ze swoim przedstawicielem.

Spotkania otwarte nie miały gotowego scenariusza i nie było gwarancji, że potoczą się korzystnie dla RG - naprawdę zależało to od tego, jak będzie odpowiadał na pytania. Zwyk-

le ludzie okazywali szacunek i jeśli się nie zgadzali, wyrażali to w uprzejmy sposób. Ale wiedziałam, że nie ma co oczekiwać, by tłum Ronkina dostosował się do tych cywilizowanych zasad. Kłopoty były nieuniknione.

Zack wyglądał na spanikowanego.

- Cały dzień ćwiczyli nękanie go kłopotliwymi pytaniami. Kto tak postępuje? I czy to w ogóle można wyćwiczyć?

- Można, jeśli dowodzi Ronkin - odparłam ponuro. - Czy planują zostać na zewnątrz na własnym terenie, czy wmie-szają się w tłum?

- Nie wiem! Usłyszałem o tym dopiero godzinę temu. Starali się zwerbować w swoje szeregi Karę, nie wiedząc oczywiście, kim jest.

Kara była studentką, mądrą i zaangażowaną, praktykującą w biurze RG w Cleveland w czasie letnich wakacji. Kiedy dzwoniłam, zawsze miałam nadzieję, że to ona odbierze telefon. Dobrze się z nią dogadywałam i zapewne przypominałaby mi mnie samą w jej wieku, gdyby nie była taka to-warzyska i pozbierana.

- Kara jest na miejscu? - spytałam.

- Tak, na górze, przygotowuje pokój RG.

Świetnie. Znacznie bardziej wolałam usłyszeć złe wieści od Kary niż od Zacka, więc to ją postanowiłam wypytać o szczegóły.

- Okay, uspokój się. Jakoś musimy sobie poradzić. Daj mi się zastanowić.

- Lepiej coś wymyśl, DC.

Naprawdę go nie lubiłam. Ale wiedziałam, że ma rację.

Na górze w pokoju RG Kara podłączała faks i internet. Uśmiechnęła się, gdy weszłam.

- Dzięki Bogu, że jesteś. Właśnie kombinuję, jak wsypać walium do pomarańczowego napoju Zacka - powiedziała do-brodusznie.

- Czy nadal tylko to pija?

- Nie, od czasu do czasu sok z papai, jeśli jest odpowiednio zmrożony. Napełnianie biurowej lodówki to koszmar. Zaczęłam nazywać go ZGło, żeby poprawić sobie humor, gdy haruję jak niewolnica.

Zaśmiałam się. Choć słyszałam, że JLo niesłusznie krytykowano za gwiazdorskie zachcianki. Nie twierdziłam, iż znam prawdę, po prostu uznałam dyskusję w prasie za kolejny dowód, że nie można wierzyć wszystkiemu, co się czyta. Co nie przeszkadzało mi w czytaniu wszystkiego.

- Więc jak oceniasz oddziały Ronkina? - odwróciłam myśli od Jennifer Lopez i zmusiłam się do koncentracji na problemie znacznie większym niż jej tyłek.

- Na pewno są rozjuszeni. Starają się zwerbować każdego przechodnia. Krzyczeli do mnie, że jeśli kocham swoich dziadków, powinnam zrobić wszystko, by Robert Gary ich nie otruł.

Hmm. Przemawiający argument.

- A czy kochasz swoich dziadków? - spytałam, dotykając od razu istoty problemu.

- Babcia nie daje mi spokoju z powodu zbyt wielu kolczyków, ale poza tym dziadkowie są w porządku - odparła Kara. - Nie chciałabym, żeby zostali otruci.

Czyli poplecznicy Ronkina mieli punkt zaczepienia.

- Postąpiłam tam trochę i pogadałam z nimi - ciągnęła Kara. - Nie dałam poznać, po której jestem stronie. Chciałam, by pomyśleli, że się dołączyłam.

Kara była sprytna. Zack na jej miejscu zacząłby awanturę i groził akcją policyjną. Ja zapewne próbowałabym przekonać ich wyważonymi kontrargumentami do poddania się.

- I czego się dowiedziałas? - spytałam.

- Są dobrze zorganizowani, mają masę plakatów przyciągających uwagę kamer i planują coś w rodzaju nękania RG kłopotliwymi pytaniami przez postacie w kostiumach. Ciągłe dyskutowali, czy ma to być gigantyczna łasica, czy kat, i czy powinien nosić wojskowy beret, czy turban.

- Więc to tłum wrażliwy kulturalnie - powiedziałam sucho.
- Tak. Jednym z argumentów jest to, że sprowadzanie tańszych leków z Kanady i Europy zapewniłoby stały dopływ gotówki innym rządów, które potem wykorzystałyby amerykańskie dolary, by finansować działalność terrorystyczną.

Jasne. Kanada była z tego znana.

- Okay, cóż, masz jakieś propozycje, jak rozprawić się z tymi geniuszami? Czy skusiłaby ich propozycja rozmów z RG?

Pewnie nie, ale uznałam, że warto to sprawdzić. Czasami grupy, którym naprawdę zależało na uwadze mediów, doceniały, jeśli ktoś, kim rzekomo pogardzały, traktował je poważnie, i w zamian lekko łagodziły swoje wystąpienia.

- Nie sądzę, bym miała odpowiednie doświadczenie, by to ocenić - odparła Kara. - Ale nie sprawiali wrażenia rozsądnych.

Pomogłam Karze dokończyć urządzenie przenośnego biura RG i jednocześnie rozmyślałam nad nowym problemem. RG zjawił się wkrótce, by pracować nad przemówieniem, które miał wygłosić rano przed spotkaniem. Postanowiłam być z nim szczerą w kwestii naszego kłopotliwego położenia.

Ale najpierw ustalić, w jakim jest nastroju.

- Jak się udały wakacje, sir?

Wyglądał na opalonego i wypoczętego.

- Dobrze, dziękuję. Jak tam sytuacja?

Koniec pogaduszek o wakacjach, więc od razu przeszłam do rzeczy. Gdy RG raz przestawił się na tryb pracy, nic nie mogło odwrócić jego uwagi.

- Cóż, sir, Don Ronkin zebrał zorganizowaną grupę, która ma protestować jutro na spotkaniu. Nie ma czasu, by zmienić lokalizację, ale pracuję nad alternatywnymi punktami wejścia i wyjścia, więc miejmy nadzieję, że uda nam się wyeliminować część demonstrantów.

RG rzucił mi czyste pytające spojrzenie.

- Spotkania otwarte nie są wyłącznie dla moich popleczników, Samantha - powiedział spokojnie.

Wiedziałam o tym. Niektóre z największych sukcesów RG dotyczyły sytuacji, gdy odpowiadał na czyjeś zarzuty. Tłumaczył swe stanowisko elokwentnie i nieodmiennie zyskiwał szacunek, a nawet poparcie dyskutanta.

- Wiem, sir, ale ten tłum wydaje się skoncentrowany wyłącznie na wprowadzaniu zamieszania.

RG skinął głową.

- W porządku. Zrób, co się da, a ja zajmę się resztą. Dzięki za ostrzeżenie.

Zostawiłam go przy pracy i resztę popołudnia spędziłam z Karą, sprawdzając miejsce spotkania.

Na piątą po południu RG miał zaplanowane posiedzenie z dziennikarzami w sali konferencyjnej hotelu i prosił, bym wzięła w nim udział. Stałam z tyłu z notatnikiem i długopisem, gotowa zapisać to, co wymagałoby udzielenia szczegółowych informacji. Na stole przed RG umieściłam magnetofon, by upewnić się, że będziemy mieli własną dokumentację wszystkiego, co zostanie powiedziane, ponieważ w przeszłości zdarzało się już, że niektórzy dziennikarze brali cytaty z sufitu.

Po jakichś dwudziestu pięciu minutach zaczęłam się odrobinkę nudzić. RG odpowiadał na ósme pytanie o etanol i choć wiedziałam, że kwestia jest ważna - zwłaszcza dla mieszkańców Ohio, gdzie produkowano biopaliwa - po prostu nie była to moja pasja. Ukradkiem wyłowiłam z torebki „Economist” i właśnie miałam przeczytać krytyczną europejską ocenę amerykańskiego systemu opieki zdrowotnej, gdy jakiś reporter litościwie odwrócił temat rozmowy od etanolu.

- Senatorze Gary, wielu starszych obywateli jest zaniepokojonych i zdenerwowanych obecną sytuacją w ubezpieczeniach zdrowotnych. Jak pańska ustawa miałaby uprościć system i usprawnić jego działanie? - spytał mężczyzna w średnim wieku z „Plain' Dealer”, największej gazety w Ohio.

¹ Plain (ang.) - zwyczajny, prosty.

Zawsze podobała mi się ta nazwa. W moim przekonaniu wydawcy prasy mogli się bardziej starać, jeśli chodzi o tytuły. Było już o wiele za dużo postów, gazet, time'ow itd. Doceniałam każdą pozycję wyróżniającą się z tłumu. Do moich faworytów należał też „Times-Picayune” z Nowego Orleanu. „Picayune” z nadwyżką rekompensował nudny początkowy „Times”. Fakt, że gazeta mogła mieć w tytule słowo oznaczające „małej wartości lub znaczenia, pośledni, ubogi”, uderzał mnie jako nieskończenie zabawny i świadczący o dużej samoświadomości.

Gdy RG mówił, zauważyłam, że niektóre z pytań stanowiły bardzo dobre przygotowanie do spotkania otwartego następnego dnia. Przez chwilę zastanawiałam się, jakich sama udzieliłabym odpowiedzi, co doprowadziło do fantazjowania o byciu władczynią wszechświata (czego nawet nie pragnęłam, ale jedno prowadziło do drugiego...), a to z kolei sprawiło, że nie miałam pojęcia, dlaczego RG nagle wymienił moje nazwisko.

- Nie masz nic przeciwko, Samantha? - pytał.

Przeciwko czemu? Ustaliłam już, że nie odpowiadałaby mi rola władczyni wszechświata (za wielką odpowiedzialność, za mało wolnego czasu), ale wątpiłam, by właśnie o to mu chodziło.

- Mogę go na chwilę pożyczyć? - spytał nieco ostrym głosem.

Ktoś, kto nie spędził z RG masy czasu, nie byłby w stanie wychwycić nuty irytacji w jego tonie. O czym mówił? Podążyłam za spojrzeniem. Mam. Chciał wydanie „Economist”. Oczywiście, pewnie w trakcie wypowiedzi odwołał się do artykułu na temat systemu opieki zdrowotnej, a ja właśnie wtedy zastanawiałam się, na jakiej planecie umieścić królewski zimowy apartament. Pewnie na jakiejś zimnej, na przykład Plutonie.

- Oczywiście, sir. Już podaję.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, gdy podskoczyłam i wręczyłam pismo RG. Żałowałam, że jeszcze nie przeczytałam artykułu, bo wtedy wiedziałabym, do czego chce się odnieść. No cóż, po prostu postaram się dostać gazetę z powrotem. Bo przecież mi ją odda, czyż nie? Kosztowała cztery dolce.

Śluchając, jak RG opowiada o szwedzkim systemie opieki zdrowotnej, który podziwiał, wróciłam na swoje miejsce. Artykuł w „Economist” najwyraźniej zawierał pomocną tabelę, zwięźle podsumowującą dane, i RG chciał się upewnić co do szczegółów, przedstawiając swoje poglądy.

- Więc zaczekajcie państwo, aż znajdę odpowiedni ustęp i... hmm - RG umilkł.

Cała sala wybuchła śmiechem, więc wyciągnęłam szyję, by zobaczyć, co wywołało zamieszanie.

O dobry Boże.

Szukając artykułu, RG otworzył ukryte w środku „US Weekly”. Konkretnie rzecz biorąc, otworzył je na stronie z gigantycznym zbliżeniem piersi Lii' Kim ledwie zakrytych biustonoszem w lamparci wzór.

Nie byłam pewna, czy reporterzy zdawali sobie sprawę z konsekwentnie ostentacyjnego stylu raperki - wszystko to należało do jej image'u i nie powinno zostać potraktowane jako chybiona pornografia. Byłam jednak przekonana, że RG tego nie wiedział. Nie spędzał zbyt wiele czasu na przeglądaniu magazynów z sekcjami mody pod hasłem „Co jej strzeliło do głowy?”.

Czułam, jak oblewam się głęboką purpurą. RG odchrząknął.

- Cóż, mam nadzieję, że nikt już nie śpi - powiedział.

Dziennikarze wybuchnęli śmiechem. Odłożył „US Weekly” i przeszedł do bardziej wyważonego artykułu o opiece zdrowotnej. Robiłam, co mogłam, by wtopić się w ścianę.

Później kilku dziennikarzy, opuszczając salę, rzuciło mi paskudne uśmieszki. Podeszłam do RG, by pomóc mu zbierać rzeczy.

- Naprawdę bardzo przepraszam, sir. Nie jestem pewna, skąd ten magazyn się tam wziął - skłamałam.

RG chyba podejrzewał, że nie jestem całkowicie szczerą.

- Samantha... - powiedział srogo. - Naprawdę proszę, żebyś odpowiedziała tylko na jedno pytanie.

- Tak, sir? - odparłam maksymalnie rozdygotana.

Czy wreszcie przeciągnęłam strunę? Wydawał się naprawdę wściekły.

- Chciałbym wiedzieć... - zamilkł na chwilę - co właściwie strzeliło jej do głowy?

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że chodzi mu o tytuł działu mody, w którym zamieszczono zdjęcie Lii' Kim, i że tylko żartuje. Zalała mnie fala ulgi. Dzięki Bogu, RG miał poczucie humoru.

- Do zobaczenia rano - powiedział z uśmiechem.

Oddał mi oba magazyny i odszedł.

Do ósmej wieczorem zrobiłam dosłownie wszystko, co mogłam, by przygotować się na wydarzenia następnego dnia, więc później siedziałam znudzona w pokoju, kiedy nagle uświadomiłam sobie, że nie zadzwoniłam do Lizy, by sprawdzić, jak się czuje po propozycji Ryana dotyczącej czworokąciku.

Wciąż była w pracy, ponieważ w Mayflower zorganizowano zjazd telemarketerów (zdążyłam już przekląć pecha, który sprawił, że byłam poza miastem i nie mogłam uczestniczyć w imprezie), ale od razu odebrała.

- Hej, jak leci? - spytałam wesoło.

- A, dobrze, dobrze - odparła zbywająco.

Najwyraźniej nie rozumiała magicznego charakteru wydarzenia, które właśnie miało miejsce.

- Słuchaj - ciągnęła. - Wczoraj wieczorem Ryan był niezłe wstawiony. Wypiliśmy kilka szotów Jagera, gdy tańczyłaś z Aaronem.

Aha, obrona Jagermeistera. Dobrze to znałam.

- A tak, oczywiście - powiedziałam łaskawie. - Wszyscy pod tym względem zaszałeliśmy. Ale zabawa była niezła.

- Więc przepraszam, że zachował się jak idiota - dokończyła.

Zachował się. Lecz naprawdę nie była to wina alkoholu.

- Hej, nie ma o czym mówić - powiedziałam. - O ile ty dobrze się czujesz, bo tylko to mnie obchodzi.

Miejmy nadzieję, że zaczęła rozumieć, iż Ryan nie był jej księciem z bajki. Zwykle mijały trzy dni od uświadomienia sobie tego faktu do początków narzekania na faceta, co z kolei oznaczało dwa kolejne tygodnie do zerwania. Liza gorąco upierała się, że ci okropni mężczyźni tak naprawdę byli cudowni, aż wreszcie nie mogła już dłużej zaprzeczać prawdzie, co stanowiło kluczowy moment. Za każdym razem starałam się przyspieszyć to olśnienie, ale Liza utrzymywała powolne tempo.

- Czuję się świetnie - zapewniła. - Wiesz, pod tyloma względami jest niesamowity. Sądzę, że naprawdę ma potencjał.

Więc będę musiała znosić Ryana jeszcze conajmniej miesiąc. No cóż.

Zakończyłam rozmowę, gdy Liza obiecała, że zwróci baczniejszą uwagę na zamiary telemarketerów, a później złoży mi wyczerpujący i satysfakcjonujący raport. Zostawiłam Aaronowi wiadomość na automatycznej sekretarce i wysłałam mu maila, ale nie odpowiedział. Zrezygnowałam z hotelowej obsługi z powodu horrendalnych cen, schrupałam nieco grahamowych krakersów z kremem, po czym sprawdziłam w informatorze, którędy prowadzi najszybsza droga ewakuacyjna z mojego pokoju. Była nieco skomplikowana, więc dla bezpieczeństwa postanowiłam ją przećwiczyć. Wracając po udanej próbnej ucieczce, wpadłam w korytarzu na Karę.

- Hej, chcesz pójść na drinka do hotelowego baru? - spytała.

Czy to możliwe, by ona także się nudziła, chociaż tu mieszkała? Och, miałam nadzieję, że tak. Potrzebowałam współnika zbrodni.

- Chętnie - odparłam z wdzięcznością.

Po dwóch kieliszkach wina Kara wyjawiała, że mogła być w tysiącu innych miejsc, ale jej chłopak pracował w pobliżu, więc czekała na niego, by wrócić w swoje okolice.

- Czym się zajmuje? - spytałam w nadziei, że z kolei ona zapyta o mojego nowego, wspaniałego chłopaka. Nie należałam do osób, które zawsze tylko mówią - właściwie zwykle byłam całkiem dobrym słuchaczem - ale chciałam dać Karze do zrozumienia, że tym razem zdarzyło się u mnie coś odmiennego i cudownego, na wypadek gdybym nadal kwalifikowała się jako wzór do naśladowania. Wiedziałam, że szanse nie są wielkie.

- Właściwie to jest aktorem - odparła nieoczekiwanie.

- Naprawdę? - poczułam zaciekawienie. - Wystąpił w czymś, co widziałam?

- Pewnie nie. Nadal mamy przed sobą rok nauki, więc gra! głównie w okolicach Cleveland, ale ostatnio załapał kilka reklamówek. Dziś też jedną nagrywa, dla Radio Shack'.

Uwielbiałam Radio Shack, głównie z powodu nazwy. Nie czuli potrzeby, by komukolwiek imponować, co doceniałam.

- To świetnie - powiedziałam ze szczerym entuzjazmem.

Kara sprawiała wrażenie bardzo zakochanej. Opowiedziała mi wszystko o swoim chłopaku, który wydawał się fajnym facetem na luzie, ale chyba całkowicie zapomniała, że jedynym celem tej konwersacji było przejście do moich spraw.

Wreszcie spytała o Aarona, pozwalając mi radośnie rozpocząć pogadankę o jego licznych uroczych cechach i cudownym stanie naszego związku. Postanowiłam nie wspominać o napięciu między nami, bo nie było to coś, czym można by

* Shack (ang.) - chalupa, buda.

się chwalić. Gdy Kara słuchała, wyobrażałam sobie przez chwilę, że jesteśmy siostrami. Sprawdziłam więc, jaki ma rozmiar stopy, by stwierdzić, czy opłacałoby się buszować w jej szafie. Potem pomyślałam, jakbyśmy się kłóciły, gdybym zrobiła to bez pytania, przez co przyszło mi do głowy, że na moim weselu wygłosiłaby wzruszający toast o tym, jak pomimo głupich sprzeczek i różnych poważnych prób, które zgotował nam los, tylko my dwie rozumialiśmy się naprawdę, i że zawsze będziemy się wspierać. Gdy skończyłam, Kara rzeczywiście wznosiła toast.

- Za mężczyzn w naszym życiu, oby zrozumieli, jakimi są cholernymi szczęściarzami - powiedziała z uśmiechem.

Wypiłam za to.

Gdy pojawił się chłopak Kary, wróciłam do pokoju. Przy mierzałam właśnie hotelowy szlafrok, kiedy cicho zabręczało BlackBerry.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: przemyślenia na temat przemierzania z nudów ulic **Cleveland**

hej przepiękna, cieszę się, że dotarłaś cała. moja komórka rozładowana, zadzwonię rano. powodzenia jutro, tęsknię.

Okay. Plusy wiadomości: 1) przymiotnik przepiękna - mocne otwarcie. Nie do końca dokładne, ale jeśli udało mi się go zwieść, to świetnie; 2) życzenie powodzenia w pracy - pokazywało, że przejmował się wszystkimi obszarami mego życia i nie czuł się zagrożony moją karierą - decydujący punkt; oraz 3) tęsknił - zawsze ważne. Bez wzmianki o intensywności uczucia, ale założmy, że jest intensywnie.

Teraz minusy: 1) rozładowana komórka? Nie podważam tego faktu, tylko zastanawia mnie jego oddalenie od innych telefonów. Dlaczego zadzwonienie z komórki było jedyną

możliwością? Czy miało miejsce jakieś spotkanie z Bramę - nem, które się przeciągało, więc będzie za późno na telefon, gdy Aaron wróci do domu? Dobrze, ale w takim razie wolałabym być dokładniej poinformowana; 2) kontynuując narzekania na rozładowaną komórkę - nie świadczyło to o dużej obowiązkowości. Jeśli zapomniał naładować telefon, to czy zapomni też, powiedzmy, odebrać naszą córkę Riley z przedszkola? Niedopuszczalne. Należy obserwować tę skłonność i ją wykorzenić; oraz 3) drobna uwaga, ale nie odniósł się do tematu czy treści mojej wiadomości. Nieco nieuprzejme, choć do wybaczenia po otrzymaniu paru bukietów róż.

Po zakończeniu tej analizy po raz ostatni przejrzałam rozkład zajęć na następny dzień, zamówiłam telefoniczne budzenie, zastanowiłam się, czy ktoś kiedykolwiek zmarł w pokoju, w którym nocowałam, wstałam, by zapalić światło w łazience na wszelki wypadek, i wreszcie zapadłam w sen.

We śnie Aaron i ja byliśmy na imprezie w Atlantis, tańczyliśmy w świetle stroboskopów z magicznymi stworzeniami i próbowaliśmy ustalić, czy przez nieuwagę zażyliśmy jakieś narkotyki, czy też w Atlantis po prostu roіło się od zmiennokształtnych nadnaturalnych istot. Nie zdołaliśmy uzyskać jednoznacznej odpowiedzi, choć skakaliśmy w jednym szeregu z nieustannie paplającym jednorozcem.

Obudziłam się zdezorientowana, jak zawsze w hotelach. Otworzyłam oczy ostrożnie, z drżeniem kierując wzrok w stronę, gdzie stałoby akwarium Shackletona, gdybym znajdowała się w swoim pokoju. Zamiast niego ujrzałam tanią imitację Georgii O'Keeffe na nieznanej beżowej ścianie. Mój umysł gorączkowo pracował, by wydobyć sens z tych danych. Gdzie też mogłam być? Czy zostałam porwana, a jeśli tak, to przez kogo i czy żądano za mnie odpowiednio gigantycznego okupu? Nagle mózg przełączył się na stan świadomości i wszystko stało się jasne. Racja. Cleveland. W podróży z RG. Spotkanie otwarte. Szybko sprawdziłam stan swego ciała. Tak,

wszystkie członki nietknięte, oznaki życia w normie. Ode-
tehnęłam z ulgą.

Telefon rozdzwonił się przeraźliwie, niszcząc odzyskany
spokój. Ucieszyłam się jednak, słysząc głos Aarona.

- Hej dziecinko, dobrze spałaś? - spytał.

Cudownie, że nazwał mnie „dziecinką”. Zwykle uznawa-
łabym taki zwrot za okropny, ale w jego ustach wydawał się
nie protekcyjny, a pełen uwielbienia.

- Mmm... chyba dobrze. Byłeś w moim śnie - odparłam.

Nie chodziło mi o żadne podteksty, ale się ich doszukał,
co u faceta nie było takie zaskakujące.

- Podaj mi wszystkie niegrzeczne szczegóły - zażądał i wy-
glądało na to, że jest szczerze zainteresowany.

Uśluchałam, lecz musiałam dwa razy tłumaczyć, że tań-
czenie z jednorozcem nie było eufemizmem. Wydawał się
rozczarowany.

- Okay, powodzenia dzisiaj. Zadzwoń później, dziecinko.

Odłożyłam telefon i dopiero wtedy uświadomiłam sobie,
że nie spytałam go o jego wieczór. Kara wkrótce zapukała
do drzwi z pudełkiem pełnym pączków i kubkiem kawy.

- Konkuruję z innymi biurami. Chcę, żeby Cleveland było
najlepszym przystankiem na trasie, więc sięgnęłam po naj-
mocniejsze argumenty - wyjaśniła.

Świetnie, uwielbiałam pączki.

Gdy tak siedziałyśmy, pochłaniając zawartość pudełka
i omawiając plan dnia, pomyślałam, że fajnie byłoby, gdyby
Kara po ukończeniu nauki przyjechała pracować do Waszyng-
tonu. Może delikatnie popchnę ją w tym kierunku, zainspi-
ruję własnymi doświadczeniami.

- Myślałaś już o tym, czym się zajmiesz po studiach? Przy-
dałabyś nam się na Capitol Hill - powiedziałam najbardziej
łaskawym i zachęcającym tonem. Będę świetną mentorką.

- Masz trochę czekolady na uchu - zwróciła mi uwagę Kara.

No tak, oczywiście, miałam.

Spotkanie otwarte z RG rozpoczęło się dwie godziny później w przepełnionym audytorium. Gdy przyjechaliśmy, demonstranci Ronkina krzyczeli, a ich maskotka (zdecydowali się na łasicę w berecie) tańczyła kpiąco dookoła, ale RG tylko się uśmiechał, machał do tłumu i wydawał się tym wcale nie przejmować.

W sali było tłoczno i parno - mniej przyjemny skutek świetnej frekwencji. Kara i ja w ostatniej chwili ustawiliśmy kilka pudełek pączków i butelek wody, które okazały się ogromnym przebojem. Nie planowałam podawania przekąsek na spotkaniach, ponieważ nie dysponowaliśmy odpowiednim budżetem, ale wobec entuzjastycznych reakcji na pączki uznałam, że warto było wydać nieco własnych pieniędzy, by zapewnić sukces imprezy. Marudny szef straży pożarnej, z którym rozmawiałam wcześniej przez telefon, głośno przypisywał sobie całą zasługę, wyjaśniając sąsiadom, że „przemówił mi do rozsądku”. Uśmiechnęłam się tylko i podziękowałam za poparcie dla RG.

Sam RG pocił się w dusznym upale, ale wyglądał spokojnie i pewnie. Rozpoczął od ogólnych uwag o tym, jak wspaniale wrócić do Cleveland, jak bardzo cieszy się z możliwości spotkania i porozmawiania z wyborcami, i że chętnie wysłucha wszystkich uwag każdego z obecnych.

Pewien starszy mężczyzna w kombinezonie wstał i spytał o dotacje dla farmerów. Jakaś matka poruszyła kwestię nadzbyt licznych klas w szkole jej dzieci. Młody policjant dowiadywał się o deficyt budżetowy. Starsza dama opowiadała o tym, jakie to irytujące, że jej sąsiad składa obornik tuż przy płocie - chciała, by RG zadzwonił do niego i nakazał zmianę miejsca.

RG słuchał uważnie pytań i na każde odpowiadał wyczerpująco. Wykręcił się od telefonu w sprawie obornika, ku zmartwieniu starszej damy, ale pozostali wydawali się całkiem zadowoleni. Potem przez pewien czas przedstawiał

projekt ustawy o refundacji leków, nad którym debatowano w Kongresie, i wyjaśnił, dlaczego jego zdaniem jest on korzystny. To sprowokowało serię pytań dotyczących poszczególnych punktów ustawy. W przeciwieństwie do debat na Capitol Hill, ta charakteryzowała się prostym językiem pozbawionym retorycznych ozdobników i fachowych terminów. Obywatele Cleveland chcieli wiedzieć, jakie bezpośrednie korzyści przyniosą im nowe przepisy. Moim zadaniem było docieranie do osób wymagających bardziej szczegółowych wyjaśnień, więc cały czas biegałam po sali z notatnikiem i drukami dotyczącymi ustawy, gdzie dla jasności wypunktowano i wytłuszczono pewne zagadnienia.

Po dwóch i pół godzinie niemal wszyscy obecni zdołali porozmawiać z RG, a ja dotarłam do ponad dwudziestu osób, zapisując nazwiska i dane kontaktowe oraz obiecując informować na bieżąco o poprawkach dotyczących interesujących ich kwestii. Właśnie wysłuchiwałam przykrych szczegółów historii walki Sandry O'Malley z poważnym przypadkiem nieświeżego oddechu. Sandra pytała, czy zgodnie z ustawą RG ubezpieczenie pokryłoby koszty leczenia, a ja starałam się wszystko wyjaśnić, jednocześnie za wszelką cenę unikając oddychania przez nos. Miała naprawdę, ale to naprawdę nieprzyjemny oddech. Współczułam jej, lecz ogarniały mnie coraz większe mdłości, a musiałam jeszcze porozmawiać z paroma osobami, zanim tłum całkiem się rozejdzie.

- Więc codziennie zużywam dwie lub trzy butelki płynu do płukania ust, ale widzi pani, że to nic nie pomaga - chuchnęła niebezpiecznie w moją stronę.

Tak, widziałam. Fuj. Zaczęłam się modlić o małe trzęsienie ziemi, które odwróciłoby uwagę Sandry, żebym mogła uciec ze szponów jej oddechu, kiedy stanęła przy mnie Kara.

- Obawiam się, że jesteś potrzebna na chwilę na dworze - powiedziała bardzo profesjonalnym tonem.

Przeprosiłam panią O'Malley i miałam właśnie cicho podziękować Karze, kiedy zorientowałam się, że nie była to wcale wymówka mająca na celu uratowanie mnie. Naprawdę byłam potrzebna. Łasica w berecie dostała do łap megafon i przyciągnęła tłumy kamer.

- Zrobiliśmy własną talię kart z głównymi wrogami publicznymi Ohio. Jak widać, Robert Gary to as pik - krzyczała łasica, wyciągając kartę z wyjątkowo niepoehlebnym wizerunkiem RG w cyfrowo dodanym wojskowym berecie.

Hm, talia kart. Jak oryginalnie.

Niestety, łasica zajęła pozycję naprzeciwko samochodu RG. Wobec ustawionych wokół kamer zasadzka zostanie dobrze udokumentowana. RG będzie musiał sobie poradzić z niewygodnymi pytaniami, a kamery uchwycą każdą wymianę zdań. Wiedziałam, że niezależnie od tego, jak udane było spotkanie, jedyne ujęcia, które pokażą w wiadomościach, będą dotyczyć konfliktu, bo tym właśnie karmiły się obecnie media. Zack Globerman stał obok łasicy z twarzą ukrytą w dłoniach. Wyglądał jak posąg biernej rozpacz - niczym załamany towarzysz *Myśliciela* Rodina.

Zwróciłam się do Kary.

- Musimy go wyprowadzić inną drogą - powiedziałam.

Kara skinęła.

- Zaparkowałam przy tylnym wyjściu na wypadek, gdyby coś takiego miało się zdarzyć - odparła, podając mi kluczyki.

- Mamy też wyjście z boku, ale tylne jest najbardziej odosobnione. Musisz tylko wyprowadzić tamtędy RG, a potem ruszyć w kierunku stacji. Samochód możesz zostawić z kluczykami pod kierownicą. Odbiorę go później.

Była bardzo zdecydowana.

- Ale demonstranci nas nie przepuszczą - odparłam, wskazując na wzburzony tłum blokujący właśnie podjazd do ratusza. - O ile nie masz przyciemnianych szyb, zobaczą RG i uznają, że ucieka, czego zdecydowanie nie chcemy.

Kara pokręciła głową.

- Zostaw to mnie, zadbam, żeby był przejazd. Pamiętaj, sądzą, że jestem po ich stronie. Zadzwoń po prostu, kiedy wsiądziecie do wozu. Okay?

Skinęłam niepewnie głową. Chciałam jej wierzyć, ale po prostu nie wyobrażałam sobie, jak plan Kary ma się powieść. Wysłuchałam łasicy krzyczącej o komunistycznym zapleczu RG i pospieszyłam do środka.

RG rozmawiał właśnie poważnie z młodym człowiekiem w mundurze marynarki wojennej. Gdy podeszłam, uniósł głowę.

- Samantha, czy mogłabyś spisać informacje od tego pana i upewnić się, że sprawdzimy status ubezpieczenia społecznego jego ojca? Nie otrzymuje należnych mu świadczeń, więc musimy zbadać tę sprawę.

- Oczywiście, sir - odparłam, otwierając notatnik.

Młody człowiek z wdzięcznością uściśnął dłoń RG i powiedział mi, jak się z nim skontaktować. Gdy skończyliśmy, RG był pogrążony w rozmowie ze starszym mężczyzną bardzo przejętym sprawą nielegalnych obcych. Nie rozumiał, dlaczego koszty ich opieki zdrowotnej mają być pokrywane z podatków prawomocnych obywateli. Słuchałam, jak RG cierpliwie tłumaczył, że w jego opinii Ameryka była krajem imigrantów i powinniśmy świętować ten fakt, oraz, choć zgadza się, iż legalna imigracja jest znacznie lepsza, nie może odmówić podstawowej opieki medycznej żadnej osobie, która zachorowała lub miała wypadek w stanie Ohio.

Mężczyźnie nie podobało się to, co usłyszał, a im spokojniej mówił RG, tym bardziej się denerwował.

- Ale jeśli przyjmimy tych obcych z otwartymi ramionami, co ich powstrzyma przed wyniszczeniem rodzaju ludzkiego? - odparł wyzywająco.

Hę?

RG wyglądał na równie zdezorientowanego jak ja.

- Dlaczego pan sądzi, że to zrobią? - spytał. - Też są ludźmi.

Czyżby ów mężczyzna naprawdę tak demonizował przybyszów z innych krajów, że uważał ich za nie ludzi? Była to ksenofobia posunięta do nielogiczności.

- Och, przecież widzieliście te wszystkie filmy - upierał się starszy. - Nigdy nie chcą się dostosować. Porywają ludzi, przeprowadzają na nich eksperymenty, niszczą miasta i jeśli nie będziemy z nimi walczyć, nie mamy najmniejszych szans. Na widok pierwszego nadlatującego statku kosmicznego powinniśmy ich posłać, gdzie pieprz rośnie.

RG i ja równocześnie uświadomiliśmy sobie dokładnie, z czym mamy do czynienia.

- Są już między nami, w przebraniu, wie pan - ciągnął mężczyzna. - To poważna sprawa.

- Bardzo panu dziękuję za poświęcony czas - powiedziałam napiętym, ale zrównoważonym głosem. - Żałuję, że nie możemy zostać dłużej, ale niestety muszę zabrać senatora Gary'ego na następne spotkanie.

Wróg obcych wyglądał na urażonego.

- Ta, dobra - wymruczał niechętnie. - Ale pamiętajcie, co powiedziałem. Mnóstwo ludzi uważa tak jak ja.

Naprawdę? RG i ja przeprosiliśmy, po czym udaliśmy się do wyjścia. Szybko wyjaśniłam sytuację z zasadzką i łasicą i choć widziałam, że RG chciałby stawić czoło demonstrantom, byłam ogromnie wdzięczna, że zgodził się na mój plan. Zapewne dyskusja o nielegalnych obcych przypomniała mu, iż pewnych sytuacji po prostu najlepiej unikać.

Gdy wysłiznęliśmy się tylnym wyjściem do samochodu Kary, zadzwoniłam do niej na komórkę.

- Gotowi - poinformowałam, modląc się, by jej plan zadziałał.

- Okay, w idealnym momencie - powiedziała. - Wabik właśnie przejechał. Zaczekajcie chwilę.

Brzmiało to tak, jakby włożyła telefon do kieszeni. I biegła.

- Hej, Ronnie - usłyszałam jak woła, podekscytowana, zdyszczanym głosem. - Właśnie widziałam tego mięczaka Roberta Gary'ego, jak wybiega bocznym wyjściem i odjeżdża vanem!

- Co? Którędy pojechali?

- Tamtędy! Złapiemy ich na światłach, jeśli pobiegniemy!

- Hej, wszyscy! Biegiem za Karą!

Usłyszałam, jak łasica podejmuje okrzyk przez megafon.

- Za Karą! Gary próbuje uciec!

Słyszac odgłos biegnącego tłumu, odpaliłam silnik i ruszyłam z werwą. Faktycznie, podjazd był wolny, a wszystkie kamery i demonstranci otaczali niefortunny van stojący na najbliższych światłach. Gdy zawróciłam w przeciwnym kierunku, dostrzegłam Karę na czele tłumu obok łasicy, zaczerwienioną, rozkrzyczaną i tłukącą w bok vana. Zack obserwował ją z pewnej odległości, niezmiernie zmieszany. Uśmiechnęłam się, szybko pojechałam na stację i akurat zdążyliśmy na pociąg.

Och, nie!

Konduktor był tak miły, że gdy wsiedliśmy, przyszedł uściśnić dłoń RG. To praktycznie czyniło z niego przyjaciela, więc natychmiast poczułam się znacznie swobodniejsza, jeśli chodzi o środek transportu. Przyjaciół na pewno nas nie wykolei. Wszystko będzie dobrze.

RG większość podróży spędził, telefonując - najpierw do Jenny, która miała dołączyć do nas w Cincinnati, a potem do różnych ważnych osób z Toledo, z którymi przez jakiś czas się nie kontaktował. Kątem oka patrzyłam, jak zagląda do przygotowanego przeze mnie raportu dotyczącego Toledo, by sprawdzić imiona członków rodzin.

- A jak tam Lydia i dzieci? - spytał kogoś.

Takie szczegóły się liczyły. Mnóstwo razy byłam świadkiem, że gdy RG wspominał o członkach czyjejs rodziny, osoba ta czuła się ważna i doceniona. A RG, sam bardzo rodzinny, naprawdę wykazywał zainteresowanie - po prostu imion było tak wiele, że nie dało się wszystkich zapamiętać bez jakiejś ściągawki.

Dwugodzinna podróż minęła szybko i zatrzymaliśmy się na stacji w Toledo, zanim zdążyłam poważnie zagłębić się w pracę. Wyrzłam przez okno i ujrzałam kamerę telewizyjną ustawioną tak, by nakręcić przyjazd RG.

- Sir, na zewnątrz jest prasa. Sfilmują pana wysiadającego z pociągu - powiedziałam.

RG przejechał palcami po włosach.

- Jak wyglądam? - spytał poważnie.

Wyglądał na nieco zmęczonego, ale ogólnie nieźle.

- Świetnie - powiedziałam.

- Powinienem założyć krawat? - spytał.

Zdjął go razem z marynarką w trakcie wykonywania telefonów, gdy usadził się wygodniej. Pomyślałam, że lepiej wyglądał bez krawata - bardziej swobodnie i przystępnie.

- Nie sądzę, sir. W ten sposób sprawia pan wrażenie bliższego ludziom - powiedziałam.

RG spojrział na mnie z rozbawieniem.

- Jesteś pewna?

RG nigdy nie tracił pewności siebie, poza kwestią wyglądu i stylu. Wizerunek nie był czymś, czym się przejmował lub na co zwracał baczną uwagę. Wiedziałałam, że Jenny kupowała mu większość ubrań, i przypuszczałam, że w tej jednej konkretnej dziedzinie przyzwyczyił się polegać na opinii innych, choć nigdy nie robił tego w żadnej sprawie.

Byłam szczęśliwa, że zwrócił się do mnie po radę, nawet jeśli nie czułam się w pełni kompetentna w kwestii mody. Miałam jednak zdecydowane poglądy i potrafiłam być stanowcza. Zwłaszcza, jeżeli miało to uspokoić RG.

- Jestem pewna. Można pan nie wkładać płaszcza i nie zakładać krawata, sir.

Wyglądało, że docenia moją pomoc. Czułam, że to pewien przełom w naszych stosunkach. Jeśli postanowił polegać na moich radach w kwestii garderoby i wyglądu, będzie miał do mnie więcej zaufania również w innych kwestiach. Może dzięki temu stanę się dla niego kimś niezastąpionym.

- Nie zgadzam się - powiedział stanowczo, wiążąc krawat, opuszczając rękawy i sięgając po płaszcz.

A może nie.

- Senatorze Gary, jak się pan czuje, wracając do Toledo?
- zakrzyknął reporter, gdy kamera skierowała się na RG wysiadającego z pociągu.

- Cudownie, cudownie. Chciałbym tu zostać jak najdłużej
- odpowiedział z uśmiechem, machając dłonią.

Szybko odnalazłam nasz samochód i poprowadziłam RG w jego kierunku, gdy pozostali pasażerowie i pracownicy kolei podeszli uścisnąć mu dłoń.

Godzinę później zdążyłam się rozgościć w hotelowym pokoju i rozważałam właśnie, czy warto zdrzemnąć się dwadzieścia minut, zanim udam się z RG na obrady z przedstawicielami Blue Cross Blue Shield oferującego prywatne ubezpieczenia zdrowotne, gdy BlackBerry zabrzęczało z wiadomością od Aarona.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: tęsknię

droga przepiękna, muszę się wybrać do iowa z jb na spotkanie ze związkiem zawodowym kierowców, sprawdzam wszystkie możliwości dojazdu do ohio, żeby cię odwiedzić, jak ci idzie? tęsknię za tobą jak pustynia tęskni za deszczem.

Choć była to rażąca kalka piosenki *Everything But the Girl*, doceniłam przyływ romantyzmu u Aarona. Co prawda nie zgadzałam się z twierdzeniem, że pustynia rzeczywiście tęskni za deszczem; według mnie nie odpowiadało to prawdzie. Pustynia nie byłaby pustynią, gdyby regularnie padało. Tęsknota za deszczem równała się zatem pragnieniu całkowitej zmiany tożsamości, a nie sądziłam, by właśnie to chciał osiągnąć Aaron.

Najważniejsze jednak, że tęsknił, co niemal wynagrodziło mi, iż tak słabo utrzymywał ze mną kontakt, odkąd wyjechałam. Starałam się pamiętać, że jest bardzo zajęty pisaniem przemówień dla ważnego senatora ubiegającego się o nominację prezydencką, ale to tylko sprawiło, iż ponownie zirytowała mnie jego praca u Bramena. Moim zdaniem powinien

nieustannie pokutować za ten grzech. Tak czy siak, nie mogłam zaprzeczyć, że również za nim tęskniłam.

Do: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Re: tęsknię

jestem w toledo. ledwie uciekłam przed ociekającą nienawiścią łąsica - dokładne sprawozdanie później, oprócz łąsicy, dość seksownej w satanistyczno-gryzoniowaty sposób, nie masz tu wielkiej konkurencji, też tęsknię, jak pustynia za bitą śmietaną, nie wiem, co to znaczy.

Gdy naciskałam „wyślij”, zadzwonił telefon. Odezwał się RG.

- Gdzie jest raport dotyczący spotkania z Blue Cross Blue Shield? - warknął oskarżycielsko.

Tam, gdzie go położył, ponieważ na pewno został dołączony do pliku.

- Powinien być w pańskim segregatorze, sir.

- Cóż, o to chodzi, że nie ma - uciał. - Za dziesięć minut zaczynam i zupełnie nie wiem, o czym mówić. Gdzie u diabła go schowałeś?

- Hm... powinien być... - Umilkłam niepewnie.

Już mu powiedziałam, gdzie powinien być, ale to nie poskutkowało. Westchnął z wyraźnym rozdrażnieniem. Ogólnie rzecz biorąc, z RG pracowało się świetnie, lecz intensywny stres sprawiał czasami, że zachowywał się nierozsądnie. Szybko przeanalizowałam możliwe kierunki działania. Czy przeprosić i pobiec wydrukować kolejną kopię, czy też znosić dalsze krzyki? RG chrząknął zdenerwowany, przerzucając jakieś dokumenty. Wyglądało, że jednak zanoszą się na krzyki.

- O, tu jest. Nieważne - powiedział nagle.

Nie wydawał się tak skruszony, jak moim zdaniem powinien być, ale przede wszystkim czułam ulgę, że kryzys został zażegnany.

Obrady się udały, a po nich nastąpiło spotkanie otwarte z mnóstwem uczestników, na którym RG po raz kolejny zabłysnął. Ja sama spędziłam czas na rozmowie z parą, która potrzebowała pomocy w załatwieniu dla syna zwolnienia ze służby wojskowej za granicą, żeby mógł odwiedzić umierającą siostrę, z dyrektorką, która chciała wprowadzić w szkole program przedszkolny dla dzieci z ubogich rodzin Head Start, i z kłótliwym mężczyzną domagającym się od rządu pożyczki, by naprawić tylne zawieszenie w swoim pick-upie. Odkryłam, że moja praca często polegała na żonglowaniu prawdziwie istotnymi i niewiarygodnie absurdalnymi kwestiami. To połączenie utrzymywało mnie w ciągłym pogotowiu i sprawiało, że czułam się zarówno wyczerpana, jak i dumna pod koniec każdego z tych bardzo długich dni.

Gdy spotkanie wreszcie się zakończyło, wróciliśmy do hotelu.

- Dobranoc, Samantho - powiedział opryskliwie RG. - Dobra robota - dodał.

- Dobranoc, sir - odparłam gładko.

Gdyby ktokolwiek inny zachowywał się wobec mnie w sposób tak nieokreślony i zdystansowany jak RG, już dawno bym się od niego odcięła. Jednak wysokie wymagania, zmienne nastroje i lekko obraźliwe reprimendy były niewielką ceną za przynależność do jego zespołu. To właśnie sobie powtarzałam.

Następnego dnia przypadały urodziny mamy, a rano okazał się szary i deszczowy, co było dziwne jak na koniec sierpnia. Może jesień nadeszła zapowiedź przyszłej aury. Po śniadaniu ze strażakami z Toledo wsiedliśmy z RG do pociągu do Columbus. Poczektałam, aż pogrąży się w lekturze sprawozdań, po czym zadzwoniłam do mamy.

- Wszystkiego najlepszego! - wyszeptalam, gdy odebrała.
- Jestem w pociągu, więc porozmawiamy dłużej za parę godzin, ale chciałam ci tylko złożyć życzenia.

- Nie zaśpiewasz? - spytała.

Spojrzałam na RG kątem oka. Wstałam, by odejść nieco dalej, ale przejście blokowali pasażerowie, którzy nie znaleźli miejsc siedzących. Wiele osób rozpoznało RG, gdy wsiadaliśmy, więc przypuszczałam, że część z nich stała tak blisko, by podsłuchać, o czym będzie rozmawiać.

- Hm, teraz to nie najlepszy moment - powiedziałam, uśmiechając się do ludzi, którzy, gdy tylko wstałam, skierowali wzrok na moje miejsce.

Ponownie usiadłam.

- Dalej, słonko. Odkąd miałaś dwa latka, zawsze śpiewałaś dla mnie na urodziny. Nie potrzeba mi prezentów, chcę tylko usłyszeć twój słodki głosik.

Wypowiedź zawierała kilka kłamstw. Po pierwsze zdecydowanie potrzebowała prezentów. Zawsze twierdziła, że nie, albo po prostu mówiła ludziom, by „coś dla niej zrobili”, ale gdy tego dnia nie było stosu podarków - conajmniej w dwóch trzecich bardzo wyszukanych - należało się spodziewać dużych kłopotów. Po drugie, może i miałam „słodki głosik” w rozmowie, ale z pewnością nie w śpiewie. Gdy byłam dziewięciolatką, kierownik kościelnego chóru kazał mi tylko otwierać usta. Piski orangutanów brzmiały bardziej melodyjnie niż mój śpiew. Matka albo była głucha z powodu macierzyńskiej miłości, albo skrycie lubiła się uśmieć co roku na urodziny.

- Mamo, naprawdę nie mogę... - powiedziałam, zerkając na RG. Siedział przy oknie i wydawał się nadal pogrążony w lekturze, ale ja znajdowałam się tuż obok. W idealnym przypadku usiedlibyśmy oddaleni o dwa rzędy po przeciwnych stronach przejścia, by miał dość przestrzeni, ale pociąg okazał się zaskakująco zatłoczony.

- Proszę! - błagała mama. - Nie mam innych dzieci, które by dla mnie śpiewały. Jeśli nie mogę cię zobaczyć, to chociaż chcę usłyszeć piosenkę.

O, dobry Boże. W porządku, niech będzie. Obróciłam się plecami do RG i wcisnęłam w najdalszy kąt siedzenia. Pochyliłam głowę ku podłodze, zakryłam dłonią telefon i zaczęłam śpiewać zduszoną i strasznie dysharmoniczną wersję *Happy Birthday*.

Choć śpiewałam najciszej i najszybciej, jak to możliwe, trwało to okropnie długo. Kilku stojących pasażerów odsunęło się ode mnie, czy tylko to sobie wyobraziłam? Galopowałam właśnie przez finał, gdy poczułam stukanie w ramię. Pospiesznie zakończyłam ostatni wers i obróciłam się do RG, który wyciągał rękę.

- Tak, sir? - spytałam skruszona.

- Mogę na chwilę pożyczyć telefon? - spytał.

Nie pożegnałam się z mamą ani nie zakończyłam rozmowy, tylko podałam komórkę RG. Ku mojemu zaskoczeniu przyłożył ją do ucha.

- Pani Joyce? Witam, tu Robert Gary. Chciałem życzyć pani wszystkiego najlepszego i przekazać, że córka świetnie się spisuje.

O rany. To dopiero dobry prezent dla mamy. Znacznie lepszy niż miniogródek zen, który kupiłam w pośpiechu w Toledo. Niemal czułam dumę i podekscytowanie mamy trzeszczące w słuchawce nadal przyłożonej do ucha RG. Z pewnością coś mówiła - twarz RG przybrała wyraz uważnego zasluchania.

- Cóż, nie jestem najlepszym sędzią w takich sprawach, pani Joyce, ale sądzę, że wygląda zdrowo - odpowiedział.

O mój Boże, co też mama wygadywała? Zanim zdążyłam się powstrzymać, uczyniłam ruch, jakbym chciała mu wyruwać telefon. RG uśmiechał się półgębkiem.

- Zrobię to, pani Joyce. Również się cieszę na spotkanie. Do widzenia.

RG oddał mi komórkę.

- Dziękuję, sir - powiedziałam. - To niezwykle miło z pana strony. Jestem pewna, że mama była w siódmym niebie.

- Nie ma sprawy - odparł, wracając do lektury.

O co, u licha, go spytała? Miałam przeczucie, że lepiej nie wiedzieć, ale i tak zaryzykowałam.

- Hm, sir? Tak z ciekawości, czy mama pytała pana o coś krępującego i niewłaściwego?

RG uśmiechnął się.

- Zależy od definicji. Spytała, czy masz czystą cerę, czy z wypryskami. Powiedziała, że wypryski pojawiają się rzadko, a jeśli tak, to dlatego, że nie pijesz dość wody.

Zamrugałam z bólem.

- Jasne. Dziękuję, że mi pan powiedział. Przykro mi, że to pana spotkało, sir - zdołałam wyjąkać.

- Jak już powiedziałem, nie ma sprawy.

Opadłam głęboko na siedzenie i żałowałam, że nie mogę zniknąć. Zastanawiałam się, czy moja genialna matka wiedziała, że wypryski były też często spowodowane stresem. W takim wypadku bezpośrednio odpowiadała za każdy, który pojawi się w najbliższej przyszłości.

Spotkania w Columbus minęły błyskawicznie i zanim zdążyłam się zorientować, był już ranek i zajeżdżaliśmy na sympozjum na temat opieki zdrowotnej na mojej alma mater, Uniwersytecie Cincinnati. Jenny i chłopcy spotkali się z nami w poczekalni. Moi rodzice wyruszyli tego ranka na wycieczkę niespodziankę do romantycznego hoteliku, inaczej bez wątpienia również by przybyli.

Uwielbiałam, gdy Jenny i chłopcy uczestniczyli w oficjalnych wydarzeniach, bo w ich obecności RG nigdy na mnie nie narzekał i w ogóle wydawał się bardziej na luzie, co miało wpływ również na jego wystąpienia, bo zawsze lepiej mu szło, gdy był zrelaksowany. Chciałam, żeby rodzina towarzyszyła mu cały czas.

Gdy RG rozpoczął sympozjum kilkoma błyskotliwymi uwagami o potrzebie przejścia w opiece zdrowotnej na uniwersalny system jednego płatnika - pogląd, który gorąco

popierałam, ale którego nie potrafiłam wyrazić ani trochę tak przekonująco - rozglądałam się wokół z nostalgią. Konferencja odbywała się w tym samym pomieszczeniu, w którym zdawałam końcowe egzaminy, więc co chwila bezwiednie spoglądałam na zegar, martwiąc się, że zabraknie mi czasu, by udzielić wszystkich odpowiedzi. Ogólnie rzecz biorąc, prześladowało mnie poczucie intelektualnego stresu, co jak przypuszczam nie było złe, skoro ciągle miałam z tego powodu wrażenie, że powinnam się nauczyć więcej. Jediną niedogodność stanowił zdarzający mi się czasami ból brzucha, często mylony z zapaleniem wyrostka.

Jakiś czas po wstępnych uwagach RG, gdy rozgadany prowadzący nadawał o czymś niezbyt związanym z tematem, zabręczała wiadomość od Aarona.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Bitą Śmietana

z powrotem w dc. kierowcy poszli gładko, czy wracasz do domu? przepraszam, że nie mogłem być częściej w kontakcie - rozkład dnia z Bramenem zupełnie szalony, tęsknię bardziej, niż da się wyrazić, i mam nadzieję, że podróż udała się świetnie, nie mogę się ciebie doczekać, to zdecydowanie za długo, zapomniałaś już, jak wyglądam? cieszę się, że wspomniałaś o bitej śmietanie, omówimy szczegóły, gdy wrócisz, sprawuj się grzecznie, AD

Ciekawe. Właśnie uznałam, że mam prawo być na niego wściekła za tak rzadkie odzywanie się w ciągu minionego tygodnia, gdy nadeszła słodka i nieoczekiwane czuła wiadomość. Może powinnam jednak przeobrazić się z chłodnej i wyniosłej we flirtującą i uwodzicielską. Zanim zdążyłam przygotować odpowiedź zgodnie z tą nową linią ataku, otrzymałam kolejnego maila.

Do: Lista AD

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: FW: Senat zamierza zainstalować dodatkowe kamery

Załącznik: Oświadczenie dla prasy.doc (50 kb)

Aha. Wielki Brat patrzy! - AD

W załączniku znajdowała się krótka wiadomość, z której wynikało, że w budynkach senatu zwiększano ochronę i instalowano kamery w korytarzach wszystkich biur. I chociaż niektórzy narzekali na naruszenie prywatności, prace posuwały się naprzód.

Właśnie po raz kolejny studiowałam fragment odpowiedzi, w którym sugerowałam „rozkoszowanie się nago bitą śmietaną”, gdy za moimi plecami stanęła Jenny. Szybko zamknęłam wiadomość, zaczerwieniona i z poczuciem winy.

- Przykro mi, że cię muszę o to prosić, ale czy możesz popilnować Jacka, kiedy pójde przewinąć Jeffreya? - wyszeptowała przepraszająco.

- Oczywiście - skinęłam głową, wrzucając BlackBerry do torebki i biorąc od niej zawiniątko ze śpiącym dzieckiem.

W czasie nieobecności Jenny zaczął mnie swędzieć nos, a BlackBerry zawibrowało, informując o kilku nowych wiadomościach, ale nie mogłam się zająć żadną z tych spraw, bo ręce miałam zajęte Jackiem. Ślinił się słodko na moją koszulę, a jego powieki poruszały się w jakimś dziecięcym śnie. O rany, zaczęły mnie boleć ramiona. Jak Jenny mogła to robić cały dzień? Niech boli, powiedziałam sobie. Udawaj, że to lekcja aerobiku. Myśl ta właściwie mi nie pomogła, ponieważ gdyby faktycznie chodziło o aerobik, zapisałabym zajęcia w organizatorze, ale na nie nie przyszła. Albo przyszłabym, lecz przy pierwszym trudnym ćwiczeniu udała fatalny skurcz. Niezaprzeczalna praca mięśni w moim obecnym kłopotliwym położeniu uniemożliwiała zatem wyobrażanie sobie, że to aerobik. Właśnie zaczęłam znacznie bardziej re-

alistycznie fantazjować, że jestem torturowana za herezje na jakimś średniowiecznym urządzeniu, gdy wróciła Jenny.

- Wielkie dzięki - rzuciła, bez wysiłku unosząc Jacka na jednym ramieniu i sadowiąc Jeffreya na udzie.

Sterydy były jedynym logicznym wyjaśnieniem jej nadludzkiej siły. Próbowалам dostrzec ślady zarostu, ale Jenny już się odwróciła i poszła na swoje miejsce z przodu sali.

Słuchałam RG mówiącego o tym, że należy powstrzymać prywatyzację ubezpieczeń zdrowotnych, i zrobiłam kilka notatek. Później jakaś osoba opisywała swoją smutną walkę z chorobą. Gadatliwy prowadzący przerwał, by zadać kilka uskrzydionych pytań. Wyciągnęłam BlackBerry, żeby kontynuować pracę nad błyskotliwą odpowiedzią na wiadomość Aarona.

Dostałam kilka nowych e-maili. Pierwszy od niego samego. O rany, trzy maile z rzędu, bez ponagleń. Może naprawdę za mną tęsknił. Kliknęłam uszczęśliwiona.

Do: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Re: FW: Senat zamierza zainstalować dodatkowe kamery wcisnęłaś „odpowiedz wszystkim”, pomyślałem, że powinnaś się dowiedzieć ode mnie. zadzwonię później.

O co mu chodziło? Nie wysłałam jeszcze żadnej wiadomości. Kliknęłam na folder „Wysłane”, żeby sprawdzić.

Jasna cholera.

Do: Lista AD

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Re: FW: Senat zamierza zainstalować dodatkowe kamery hej seksowny, dzięki za ostrzeżenie, nawiasem mówiąc, też nie mogę się doczekać spotkania, wrócę w niedzielę - biorąc pod uwagę kamery w senacie, może rozkoszowanie się nago bitą

śmietaną powinniśmy zorganizować w prywatnych apartamentach, gdzie będziemy mieli kontrolę nad nagraniem, przygotuję kamerę, xxx, sammy

Jasna, jasna cholera.

Jak to się stało? Szybko przewinęłam wspomnienia. Z pewnością wtedy, gdy szybko zamknęłam wiadomość z powodu niespodzianego pojawienia się Jenny. Tylko że wcale jej nie zamknęłam. Jedno kliknięcie i wylądowałam na dnie rozpaczy. Dobry Boże, kto znajdował się na „Liście AD”? Spanikowana wysłałam do Aarona zapytanie, zanim z duszącym poczuciem nieodwracalnej katastrofy sprawdziłam pozostałe wiadomości.

O Jezu.

Do: Lista AD

Od: John Bramen [Cjfbremen@bramen.senate.gov]

Temat: Re: FW: Senat zamierza zainstalować dodatkowe kamery

Proszę usunąć mnie z tej listy. Dziękuję.

Do: Lista AD

Od: Clare Yardley [clare.yardley@nbcnews.com]

Temat: Re: FW: Senat zamierza zainstalować dodatkowe kamery
Co to ma być, u diabła? AD, czy wreszcie cię zwolnili i prowadzisz jaką stronę porno?

Nadeszło jeszcze kilka. A Aaron nawet nie próbował mnie uspokoić, że sytuacja nie była całkowicie ponizająca. Jak napisał, na „Liście AD” znajdowało się ponad dwieście osób, zabójcza mieszanka przyjaciół oraz elity świata polityki i mediów, której część również uważał za „przyjaciół”, choć wydawało mi się to niewiarygodne. A ja wysłałam maila do nich wszystkich.

Spowolniłam hiperwentylację, by sprawdzić, jak idzie RG wygłaszającemu końcowe uwagi. W tej chwili nic już nie mogłam zrobić - musiałam wyprowadzić Gary'ego z żoną z kampusu i dowieźć na następne spotkanie. Jeśli gdzieś po drodze wpadnę na urządzenie do podróży w czasie, które cofnie mnie do chwili, zanim spowodowałam swój haniebny upadek, w zamian uczynię naprawę wszystko. Czy Bóg Cofania Czasu słucha? Wątpiłam. Nigdy wcześniej nie przyszedł mi z pomocą.

Resztę poranka spędziłam w rozdygotanym otumanieniu między palącymi wyrzutami sumienia a szalonym pośpiechem. RG miał napięty terminarz, a moje próby ograniczenia szkód musiały ustąpić wobec zawodowych obowiązków. Towarzysząc Gary'emu i jego żonie na licznych spotkaniach, na próżno doszukiwałam się pozytywnego aspektu całego zamieszania. Żaden nie chciał się ujawnić.

Czy narobiłam Aaronowi kłopotów? Trudno było uznać, że nie. O Boże, musiał mnie teraz nienawidzić. O konsekwencjach dla mojej kariery nie mogłam nawet myśleć. A w tej chwili nie miałam i na to czasu. Nadal czekał nas lunch z przedstawicielkami związku zawodowego pielęgniarek z Cincinnati, więc w kampusie o wyższe stawki dla pracowników sektora usług, otwarte spotkanie w ratuszu oraz przyjęcie dla dyrektorów lokalnych szkół.

Wiele godzin później zegar w hotelowym pokoju poinformował mnie, że dochodzi jedenasta, a ja dopiero wtedy padłam wyczerpana na łóżko. Pierwszy raz w czasie tej podróży Aaron odebrał komórkę.

- Mam nadzieję, że nie zaczęłaś mieć wątpliwości co do rozkoszowania się nago bitą śmietaną, ponieważ brzmiało to bardzo intrygująco - powiedział tonem, który oznaczał, że może nie zamierzał mnie rzucić, choć byłam upośledzoną technicznie kretynką.

- Nie nienawidzisz mnie? - przerwałam zaskoczona.

- Oczywiście, że nie. Zaczynam sądzić, że ludzie powinni dostawać upoważnienie na obsługiwane BlackBerry, ale nie nienawidzę cię - odparł.

Więc nienawidził mnie trochę. Okay, mogłam z tym żyć.

- Słuchaj, tak bardzo, bardzo mi przykro. Czuję się jak kompletna idiotka. Czy wszyscy twoi przyjaciele za taką mnie uważają?

Proszę, niech tylko wszyscy jego przyjaciele nie myślą, że jestem idiotką.

- Słyszałem „wyuzdana diablica” znacznie częściej niż „idiotka” - powiedział.

- Cóż, te dwie rzeczy niekoniecznie wzajemnie się wykluczają - odparłam.

Roześmiał się.

- Słuchaj, to rzeczywiście zawstydzające - stwierdził poważnie - i nie da się odwrócić. Ale nie traktuję tego jako powodu do zerwania naszego układu ani do niczego podobnego.

Zerwania układu? Czy mówił o naszym związku? Zwykle uznałabym to za karygodne określenie, które popsułoby mi humor, ale w tej chwili raczej nie miałam mocnego gruntu pod nogami. Znalazłam się na gorszej pozycji.

- Och! Okay. Cóż, to dobrze - tylko tyle zdołałam z siebie wykrztusić.

- Przez jakiś czas może być nieco niemiło, ale to minie. Na świecie dzieją się miliony ważniejszych spraw, którymi wszyscy przejmują się znacznie bardziej niż pomyłką przypadkowej pracownicy mało znanego senatora - powiedział.

Jeśli próbował mnie pocieszyć, kiepsko mu szło.

- Chodziło mi o to, że gdyby zrobił tak ktoś pracujący dla Bramena, sprawa wyglądałaby całkiem inaczej - ciągnął. - Jednak w tym przypadku ludzie szybko zapomną.

No nie.

- Ale ja s p o t y k a m się z kimś, kto pracuje dla Bramena
- powiedziałam. - Czy nie kryje się w tym pewne niebezpieczeństwo?

Aaron nie wyczuł kpiny w moim głosie.

- Tak, to prawda - przyznał. - Ale sądzę, że wszystko się ułoży. Nie przejmuj się tym, skarbie.

- Aha - odparłam.

Gdybym to nie ja była stroną, która właśnie totalnie nawaliła, zaczęłabym z nim kłótnię. Jednak w obecnej sytuacji potrzebowałam wszelkiej możliwej pomocy.

- Słuchaj, jest jakiś sposób, by przekonać ludzi, że to był żart? - spytałam.

- Możesz spróbować - odrzekł - ale Waszyngton zwykle nie zna się na żartach.

Wiedziałam, że ma rację. Mieszkałam tam od niedawna, a już doświadczyłam niezliczonych przykładów szokującego zbiorowego braku poczucia humoru. Tylko najprzaśniejse pojedyncze zwroty uznawano za żarty. Każdy, kto podejmował próbę opowiedzenia bardziej złożonego dowcipu, był z góry skazany na niezrozumienie.

- Dobrze - powiedziałam pokonana. - Chyba po prostu będę musiała przetrwać burzę. Sądzisz, że powinnam przyznać się do tego senatorowi Gary'emu?

Proszę, powiedz nie, proszę, powiedz nie, proszę, powiedz nie!

- Oczywiście. Nie ma wątpliwości, że musisz mu powiedzieć.

Hmmm. Niezbyt duże pole manewru.

- Tak, jasne - westchnęłam.

- Będzie dobrze, Sammy - ciągnął. - Nadal niecierpliwie czekam na nasze spotkanie.

Jakże łaskawie z jego strony. Wyczułam, że powinnam zakończyć rozmowę, zanim zostanie powiedziane za dużo i nie będę mogła utrzymać pokornego i przepraszającego tonu.

- Ja też - byłam zwiężła.

Odłożyłam słuchawkę z nową odmianą niepokoju. Oprócz podstawowego upokorzenia w związku z całym zajściem pojawiło się też wrażenie, że coś poszło nie tak między mną a Aaronem. Sposób, w jaki się zachował, nie do końca odpowiadał obrazowi mężczyzny wrażliwego, kochającego i wspierającego, za jakiego go uważałam do tej pory. Ale może był tylko przemęczony po pracy. Dla okropnego aroganckiego szefa. Czułam, że się denerwuję, na co w tej chwili nie miałam siły.

Przejrzałam liczne wiadomości, które otrzymałam w ciągu dnia. Wśród odpowiedzi od ważnych i potencjalnie urażonych obcych osób znalazły się dwie od znanych reporterów, dwie od szefów biur przewodniczących senatu, jedna od urzędnika Sądu Najwyższego i jedna od znanego konsultanta politycznego. Ta ostatnia była najzabawniejsza.

Do: Lista AD

Od: Bob Espin [bespin@kstreetgroup.com]

Temat: Re: FW: Senat zamierza zainstalować dodatkowe kamery

do nagrania polecam cyfrówkę, bita śmietana zwykle wychodzi zamazana i niewyraźna na 8 mm.

Zachowałam wiadomość z nadzieją, że rozśmieszy mnie kiedyś w odległej przyszłości, gdy będę mogła znieść powrót w myślach do tego horroru.

Najświeższe wiadomości

Następnego dnia po śniadaniu zebrałam się na odwagę, by poruszyć z RG temat mojej najnowszej wpadki. Naprawdę byłam przerażona. Jechaliśmy windą do jego pokoju, gdzie miałam przejrzeć rozkład dnia. Jenny właśnie ubierała chłopców i mimo wszystko miałam nadzieję, że ich obecność pozwoli RG zachować dobry nastrój.

- Hm, sir? - spytałam nerwowo.

- Co? - zerknął znad raportów.

- W moim życiu osobistym wydarzyło się coś, o czym, jak sądzę, powinien pan wiedzieć na wypadek, gdyby miało to wpłynąć na pański wizerunek w jakikolwiek niepomyślny sposób - zaczęłam.

- Tak? - spytał.

Wyczuwałam w jego głosie nutę strachu. Wiedział, że byłam zdolna do spektakularnie okropnych rzeczy. Wzięłam głęboki oddech.

- Wysłałam mailem pewną ryzykowną żartobliwą wiadomość do znajomego, to był tylko żart, ale, hm, przez pomyłkę wysłałam ją do dwustu obcych osób. Większość z nich to ważni ludzie na Capitol Hill. Jednym z nich jest John Bramen. Powinam dodać, że ten znajomy pracuje dla Bramena, co naprawdę niekorzystnie się składa i próbuję przekonać go, żeby przeszedł gdzie indziej, ale niestety pracuje właśnie tam. Jestem skończoną idiotką i rozumiem, jeśli zażąda pan mojej rezygnacji.

Odwróciłam wzrok i wstrzymałam oddech, czekając na odpowiedź RG.

- Jak ryzykowna była ta wiadomość? - spytał po chwili namysłu.

- Hm, wspominałam w niej o bitej śmietanie i sprzęcie wideo - odparłam cicho.

- Interesujące. To był żart?

- Tak, sir.

Właściwie tak. Moje próby bycia uwodzicielską można uznać tylko za żart.

Uniosłam wzrok w chwili, gdy skinął głową.

- Okay, cóż, nie sądzę, by ta sprawa mnie dotyczyła, ale dziękuję za informację.

Rozmowa wydawała się zakończona, ku mojej pełnej zaskoczenia uldze. Po całej tej udręce okazało się, że RG, na szczęście, podszedł do sprawy na luzie. Nawet w kwestii Bramena.

- Czy wysłałaś do wszystkich wiadomość z wyjaśnieniem, że to był żart? - spytał.

Dlaczego u licha tego nie zrobiłam?

- Nie, sir, świetny pomysł. Zaraz się do tego zabiorę.

Skinął ponownie głową, otwierając drzwi. I ruszyliśmy wzdłuż korytarza oraz w dalszy ciąg dnia, jakby nic się nie zmieniło.

Kilka godzin później, gdy czekałam na lot powrotny do Waszyngtonu, ułożyłam i wysłałam wiadomość z wyjaśnieniem.

Do: Lista AD

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Technofobowie górą

Drodzy Państwo, wczoraj otrzymaliście wiadomość, która a) była żartem oraz b) była przeznaczona tylko dla jednej osoby, ale przez przypadek została wysłana do ogromnej rzeszy. Chciałabym przeprosić za błąd i zapewnić, że po tej wpadce będę się trzymać na bezpieczną odległość od mojego BlackBerry, dopóki

nie nauczę się podstaw obsługi. Jeszcze raz przepraszam i życzę miłego dnia. Z uszanowaniem, Samantha Joyce

Gdy wróciłam do mieszkania, natychmiast zauważyłam Shackletona. Pływał dziarsko w akwarium, jakiegokolwiek ślady omszałości zniknęły. Poprosiłam Lizę, by użyła zapasowych kluczy i zadbała o niego, gdy mnie nie będzie. Przymuszczałam, że przyjaciółka tylko czeka, aż wrócę z podróży, by unieszczęśliwić mnie wieścią o zgonie, więc ta metamorfoza była szokująca. Zadzwoiłam do Lizy, by odkryć tajemnicę ożywiania ryb. Twierdziła, że taka nie istnieje.

- Robiłam tylko to, co mi kazałaś, przysięgam - protestowała w trakcie intensywnego przesłuchania.

Dobrze. Zdobędę jedną z tych kamer do podglądania nianiek i nakryję Lizę następnym razem, gdy wyjadę. Musiałam odkryć jej sekret. Nie przechytrzy mnie.

Kolejne piętnaście minut spędziłam na opowiadaniu o katastrofie e-mailowej (jęki i ochy Lizy nie podniosły mnie na duchu), a potem słuchałam, jak minął jej tydzień, w którego trakcie zgodnie z prośbą rozdała moje wizytówki na zjeździe telemarketerów. Naprawdę była świetną przyjaciółką.

Gdy wskakiwałam pod prysznic, żeby przygotować się na powitalne spotkanie z Aaronem, zadzwonił telefon. Chwycałam ręcznik i zdążyłam złapać aparat, zanim przełączył się na sekretarkę.

- Alo - powiedziałam nieco zasapana.

- Czy Samantha Joyce? - spytał obcy męski głos.

Ha, nowy telemarketer! Fantastycznie. Obwiązałam się ciałniej ręcznikiem i radośnie przysiadłam na skraju łóżka.

- Tak, to ja - odparłam pogodnie.

- Tu Charlie Lawton z „Washington Post” - powiedział.

Już miałam prenumeratę. Może dzwonił po prostu, by upewnić się, że ją otrzymuję? A może miał do zaoferowania jakąś fajną promocję.

- Aha. Mam prenumeratę - zachęciłam go.
- Pracuje pani dla senatora Roberta Gary'ego, prawda?
Skąd miał tę informację? A tak, musiał być jedną z osób, którym Liza rozdała wizytówki.

- Tak, to prawda.

- Chciałbym panią zapytać o wiadomość, którą wysłała pani wczoraj. Pracuję nad artykułem o e-mailowych faux pas na Capitol Hill, a pani tekst przesłało mi kilka różnych osób.

- Och... - odparłam, całkowicie oklapła.

To jednak nie będzie radosna rozmowa.

- Czy może pani teraz rozmawiać? - spytał uprzejmie.

Z kimś, kto nie był telemarketerem, i chciał się zagłębić w bardzo bolesny temat? Raczej nie.

- Właściwie właśnie wychodzę - powiedziałam.

- Żeby rozkoszować się bitą śmietaną? - spytał.

Co za przemądrzały dupek. Nie musiałam tego znosić.

- Nie - odparłam ostro. - I wie pan co? Chyba nie będę mogła panu pomóc.

- Przepraszam, nie powinienem był tak zażartować. Proszę posłuchać, to tylko mały artykuł. Będzie pani miała szansę opowiedzieć swoją wersję.

To był pewien argument. Jeśli chciał mi pomóc w zrehabilitowaniu się i złagodzeniu koszmaru, może współpraca nie okaże się takim złym rozwiązaniem. Chociaż opublikowanie tej historii sprawi, że dowie się o niej jeszcze więcej osób. Gdybym mogła, wołałabym ograniczyć ich liczbę do skromnych dwustu.

- Artykuł i tak się ukaże - powiedział, jakby czytał mi w myślach. - Bardzo chciałbym z panią porozmawiać, żeby mieć pełne informacje, zanim go opublikują. Tylko krótka wypowiedź. Obiecuję, będzie bezboleśnie.

Byłam pewna, iż na tym etapie bezbolesność nie jest możliwa. Ale jeśli zamierzał opublikować materiał przy mojej współpracy lub bez niej...

- Tak, dobrze, porozmawiam z panem - zgodziłam się z westchnieniem.

- Świetnie, ma pani czas wieczorem?

Nie, jeśli wszystko dobrze się ułoży.

- Nie, obawiam się, że nie - powiedziałam.

- Cóż, chcę to puścić już jutro. Może znajdzie pani chwilę? Piętnaście minut, nie więcej.

Za półtorej godziny byłam umówiona z Aaronem na kolację w restauracji w Dupont Circle. Zgodziłam się spotkać z Charliem w pobliskiej kawiarni za godzinę. Powiedział, że możemy po prostu porozmawiać przez telefon, ale chciałam się z nim zobaczyć osobiście, żeby bez trudu mógł wyobrazić sobie głębię mego bólu i w rezultacie opisać zajście z wyrozumiałością.

Po krótkim dylemacie dotyczącym garderoby (chciałam wyglądać seksownie dla Aarona, ale skromnie i w sposób budzący współczucie dla reportera) zdecydowałam się na rozwiązanie pośrednie złożone z dżinsów, sandałków i obcisłej koszulki pod przyzwoitą marynarką, którą planowałam zdjąć na wieczór z Aaronem. Popsikałam się perfumami od Lizy i ruszyłam do Afterwords Bookstore i Cafe off Dupont. Umówiliśmy się na spotkanie w dziale humoru. Gdy weszłam, na miejscu nie było nikogo, więc by zabić czas, zagłębiłam się od razu w książkę Gary'ego Larsona. Przeglądając kolekcję Calvin and Hobbes oraz komiks Doonesbury, zaczęłam żywić nadzieję, iż Charlie mocno się spóźni, ale przypomniałam sobie, że przecież zawsze mogę tu wrócić.

Zaśmiewałam się właśnie z pewnego wyjątkowo zabawnego fragmentu, gdy poczułam, że ktoś się zbliża.

- Samantha? - spytał tym razem już nie tak obcy męski głos.

Spojrzałam do góry w skryte za okularami niebieskie oczy Clarka Kenta.

- To pan - jęknęłam zaskoczona.

To był reporter, którego okaleczyłam na przesłuchaniu Alfreda Jackmana. Ten, który zapewne stał się również świadkiem mego upadku na wrotkach. Od razu go rozpoznałam. Przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego, ale potem nagle mnie skojarzył. Szybko zerknął na moje buty. Nie, tym razem nie miałam na sobie dwóch różnych. Ani jakichkolwiek z kólkami. Choć w odpowiednich okolicznościach obecna para mogła się okazać równie zabójcza.

- Cóż, jeszcze oficjalnie się nie poznaliśmy - powiedział z uśmiechem, wyciągając dłoń.

Czy był to zalękniony uśmiech? Tyle, jeśli chodzi o wzbudzanie współczucia. W jego oczach byłam już zwariowanym wrogiem wojownikiem. No cóż. Uścisnęłam mu dłoń.

- Samantha Joyce.

- Charlie Lawton.

- Przepraszam, że zaatakowałam cię w zeszłym miesiącu, Charlie. Naprawdę nie chciałam - powiedziałam.

- Masz paskudny prawy sierpowy. - Uśmiechnął się smutno.

- Cóż, a ty mnie posiniaczyłeś - stwierdziłam, wskazując oskarżycielsko na jego sprzączkę u pasa. - To coś naprawdę zostawia ślad.

Matka wybierająca książki z dwoma synkami rzuciła mi oburzone spojrzenie i szybko odprowadziła dzieci. Co? Co takiego zrobiłam? Charlie również wyglądał na zawstydzonego. O kurczę!

- Gdy pokazywałam na twoją sprzączkę - powiedziałam okropnie czerwona - chodziło mi o to, że ona mnie posiniaczyła. Nie twój...

Zdecydowałam, że najlepiej będzie po prostu zamilknąć.

- Tak. Cóż, usiądziemy, żeby porozmawiać? - zaproponował Charlie i ruszył, nie czekając.

Czemu nie? Musiałam usiąść.

Zdecydowaliśmy się na stół w rogu. Kelnerka spytała, czy podać coś do picia. Charlie wyglądał na zaskoczonego, gdy

zamówiłam margarite. Zamówiłabym coś mocniejszego, gdybym wiedziała, że to przejdzie. On zamówił ziołową herbatę.

- Muszę jeszcze popracować nad artykułem - wyjaśnił, choć wyjaśnienia nie były potrzebne, ponieważ jak na późne niedzielne popołudnie herbata stanowiła znacznie normalniejsze zamówienie.

Zdawałam sobie sprawę, że walka będzie ciężka, ale czułam, iż jest jeszcze mała szansa, by go oczarować. Uśmiechnęłam się najśłodziej, jak potrafiłam i zmrużyłam lekko oczy.

- Wpadło ci coś do oka? - zapytał pomocnie.

Nie, nie wpadło.

- Więc jak się pracuje w „Post”? - spytałam z ciekawioną.

- Och, w porządku. Wciąż jestem tam nowy, uczę się. Zatem, jak szybko po wysłaniu maila zorientowałaś się, że trafił do ponad dwustu osób?

Jasne, koniec pogaduszek.

- Hm, dość szybko. Mój chłop... mój znajomy zaraz odpisał - powiedziałam.

- Aaron Driver to twój chłopak? - Charlie szybko zerknął znad notatnika.

- Cóż, hm, tak sądzę - odrzekłam zdenerwowana. - To znaczy spotykamy się od ponad miesiąca. Ile randek trzeba, żeby ktoś został twoim chłopakiem?

Charlie szybko notował. O Boże, czy Aaron uważał się za mojego chłopaka? Tak naprawdę niczego jeszcze nie uzgodniliśmy.

- To znaczy, to wciąż dość luźne czy coś w tym stylu. Chyba powinnam go nazywać po prostu dobrym znajomym - rzuciłam bezskutecznie.

- Więc skoro Aaron jest twoim chłopakiem, naprawdę nie był to dowcip - powiedział Charlie. - Raczej, hm, „romantyczna” wiadomość, która wpadła w niewłaściwe ręce.

Nie czułam się jeszcze gotowa, by zaniechać obrony wersji z dowcipem.

- Nie, to był dowcip - stwierdziłam stanowczo. - A ty nie żartujesz ze swoją dziewczyną?

Charlie zignorował mnie.

- Chłopakiem czy kimkolwiek? - spróbowałam.

Nie spojrział znad notatnika. Wyczułam, iż sprawy nie układają się korzystnie dla mnie.

- A co pomyślałaś, gdy uświadomiłaś sobie, że miłosny liścik został wysłany do tak wielu obcych osób? - spytał.

- To nie był miłosny liścik! - odparłam ostro.

- Aha. A jakie odpowiedzi otrzymałaś na to zaproszenie na seks od ludzi, do których zostało przypadkowo wysłane?

Staralam się uspokoić. To była szansa, by oczyścić własne imię. Senator Bramen, prezenterka Clare Yardley, urzędnik Sądu Najwyższego i wszyscy inni przeczytają artykuł i zrozumieją, że naprawdę byłam sympatycznym żartownisiem, który padł ofiarą fatalnego kliknięcia. Taka okazja się nie powtórzy. Musiałam odzyskać kontrolę. To sugerowało zapewne, że początkowo ją miałam, co nie do końca odpowiadało prawdzie, ale nieważne.

- Zrozum, to był dowcip, który nie wyszedł. Wcisnęłam zły przycisk na BlackBerry. To całkowicie moja wina. Zachęcam wszystkich innych użytkowników BlackBerry, by dwa razy sprawdzali wiadomości, zanim je wyślą, niezależnie od tego, jak ich gonią w pracy, niezależnie od innych spraw. Zdecydowanie warto, żeby uniknąć podobnych wpadek.

- Więc to by się nie zdarzyło, gdybyś nie wysłała wiadomości w trakcie intensywnej pracy? - spytał.

Zdawało się, że nareszcie do niego dotarłam.

- Właśnie - potwierdziłam. - Byłam na wyjeździe z senatorem Garym i mieliśmy niezwykle napięty plan. Zbyt ciężko pracowałam, by zwracać baczną uwagę na wysyłanego maila - wyjaśniłam.

Charlie kiwał głową.

- Aha. Okay, sądzę, że to wszystko, czego mi potrzeba. Chciałabyś coś dodać? - spytał.

Tak, oczywiście. Wszystko, co tylko ostatecznie przeciągnęłoby go na moją stronę. Nie miałam, niestety, pojęcia, co by to mogło być.

- Hm, chyba tyle, że jest mi naprawdę wstyd i że oczywiście wolałabym, żeby całe zajście nigdy nie miało miejsca. I, hm, miło było cię poznać.

Charlie uśmiechnął się.

- Czy mówiono ci już kiedyś, że wyglądasz jak Clark Kent?
- spytałam.

Poprawił okulary, odkładając notatnik.

- Nie, raczej nie - odparł.

Uznałam, że trudno w to uwierzyć.

- Och, jeszcze jedno pytanie - ciągnął. - Jak twój chłopak zareagował na to wszystko?

Na ile mogę sobie pozwolić na szczerość? Postanowiłam zrobić unik.

- Wolałabym nie wplątywać go w to jeszcze bardziej. Oczywiście trudno mi nawet stwierdzić, czy jest moim chłopakiem - zaśmiałam się.

- Aha. Cóż, informuj mnie na bieżąco - odparł.

Cóż to miało znaczyć? Informować go, jak Aaron mnie traktuje, a może o tym, czy jestem wolna, czy zajęta? Zamiast wyjaśnić, Charlie uściskał mi dłoń, rzucił kilka banknotów na stół i wyszedł. Patrzyłam na niego, gdy mijał drzwi i skręcał za róg, zostawiając mnie w niepewności co do tego, jak poszedł wywiad i co naprawdę sądzi na mój temat. Pewnie dowiem się rano. Przełknęłam resztkę margarity, by oczyścić umysł.

Aaron jak zwykle spóźnił się piętnaście minut, ale tym razem nie przyniósł cukierków. Gdy tylko wszedł do restauracji, rzucając mi figlarny uśmiech, poczułam na szyi palącą wysypkę i przypomniałam sobie, jak bardzo na mnie działa. Prawdę mówiąc, moje zauroczenie było nawet silniejsze. Pomimo napięcia między nami, a może właśnie z jego powodu. Pocałował mnie na powitanie, ale wydawał się nieco

zdystansowany, jakby po moim ostatnim wybryku chciał zachować pewną rezerwę. Ta nieco chłodna postawa czyniła Aarona jeszcze bardziej pociągającym, ponieważ czułam nieodparte pragnienie ponownego zdobycia go. Część mojej istoty protestowała wobec niesprawiedliwości nowego układu, twierdząc, że powinien okazać mi więcej wsparcia i większą wrażliwość wynikającą choćby z dobroci serca i rycerskości, jeśli nie z głębokiego uczucia, afektu i w ogóle. Uciszyłam ten głos whisky z colą i zabrałam się do oczarowywania Aarona.

W trakcie operacji „Odzyskanie” kelnerka przyniosła nam lody z bitą śmietaną, informując, że to od tajemniczego adoratora. Aaron rozejrzał się wokół i dostrzegł przy barze kogoś znajomego. Ukłonił się z uśmiechem.

- Kto to? - spytałam.

- Jordan Blade, rzecznik sekretarza Smithtona - odparł.

- Sekretarza Obrony? - spytałam zaskoczona.

- Tak, Jordan i ja chodziliśmy razem do szkoły, ale nie widziałem go od lat.

Czy wszyscy wiedzieli o moim mailu? Wysłałam go ledwie dzień wcześniej, a przecież jeszcze nie skończył się weekend. Przekłęty internet i jego moc masowej dystrybucji.

- Dobrze lody - powiedziałam pogodnie.

Aaron uśmiechnął się krzywo.

Reszta wieczoru upłynęła w podobny sposób. Aaron wydawał się zadowolony, że mnie widzi, ale lekko skąpował, że jest widziany ze mną. Problem został rozwiązany, gdy wróciliśmy do niego i zgasiliśmy światło.

Następnego ranka obudziłam się z pragnieniem pozostania w domu. To uczucie szczęśliwie zagłuszyła radość z leżenia ponownie w ramionach Aarona. A dokładniej mówiąc, na ramionach Aarona, które w ciągu nocy zdołałam jakoś wepchnąć pod siebie, przez co oba zmartwiały. Potrząsał nimi

niezym wiotkimi gumowymi kurczakami, by pobudzić krąże-
nie. Staraiam się pomóc, jak tylko mogłam.

Wychodząc, stwierdziłam, że w moim najlepszym interesie
będzie ukraść Aaronowi wydanie „Washington Post”, ponie-
waż chciałam przejrzeć artykuł i przygotować się na reakcje,
które wywoła. Przy odrobinie szczęścia tekst okaże się chwaleb-
ną obroną i potwierdzi decyzję Aarona o kontynuacji związku.

Tytuł na pierwszej stronie informował, że Bramen właśnie
otrzymał poparcie sześciu gubernatorów. Z dnia na dzień
jego pozycja stawał się coraz mocniejsza.

Przekartkowałam do sekcji „Styl”, ignorując artykuły
o najnowszym westernie Kevina Costnera (na pierwszy rzut
oka wydawało się, że przywrócił porządek i cywilizację śmia-
łą grą na bandzo), i dotarłam do, niestety, nie dość krótkiego
tekstu pośrodku.

***Recepta na kłopoty:
Specjalistka do spraw opieki zdrowotnej
rozesła masowo sprośne e-maile***

Charles Lawton

W ten weekend ponad dwieście osób z waszyngtońskiego
świata polityki i mediów otrzymało podniecającą wiadomość
od Samantha Joyce, doradczynie do spraw polityki wewnątrz-
nej senatora Roberta Gary'ego z Ohio. E-mail przeznaco-
ny dla jej chłopaka, Aarona Drivera, piszącego przemówienia
dla kandydata na przyszłego prezydenta, Johna Bramena,
brzmiał następująco:

Do: Lista AD

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Re: FW: Senat zamierza zainstalować dodatkowe kamery
hej seksowny, dzięki za ostrzeżenie, nawiasem mówiąc, też nie
mogę się doczekać spotkania, wrócę w niedzielę - biorąc pod

uwagę kamery w senacie, może rozkoszowanie się nago bitą śmietaną powinniśmy zorganizować w prywatnych apartamentach, gdzie będziemy mieli kontrolę nad nagraniem, przygotowuję kamerę, xxx, sammy

Panna Joyce sądziła, że odpowiada tylko panu Driverowi, a w rzeczywistości nieumyślnie wysłała wiadomość do licznego grona jego przyjaciół i znajomych. Panna Joyce wyraziła głęboki żal z powodu pomyłki i wyjaśniła, że nigdy by jej nie popełniła, gdyby nie była tak zajęta pracą. Rzecznik senatora Gary'ego przyznał pod naciskiem, że biuro pokrywa koszty korzystania z urządzeń BlackBerry i telefonów komórkowych przez pracowników, co oznacza, że ów zwielokrotniony błąd został opłacony z pieniędzy podatników. Może w przyszłości panna Joyce powstrzyma się od używania narzędzi pracy do wysyłania zaproszeń na seks i poświęci całą uwagę potrzebom ciężko pracujących Amerykanów, którzy wybrali jej przełożonego na to stanowisko. A może nie.

Usiadłam na krawężniku przed mieszkaniem Aarona, przytłoczona poczuciem klęski. Gdybym tylko trwale okaleczyła Charliego Lawtona w zajściu z Alfredem Jackmanem, nie byłby w stanie napisać tak oszczerczego bełkotu. To zdradziecki robak, niegodny fizycznego podobieństwa do Supermana. Siedziałam, dysząc chęcią zemsty, aż wreszcie zmusiłam się do powstania. Ruszyłam w stronę swojego mieszkania, ale zawróciłam i zadzwoniłam do drzwi Aarona ze stoickim, lecz niewątpliwie przejściowym spokojem.

- Zapomniałaś czegoś? - spytał zaskoczony.

Wyglądał tak pociągająco, świeżo po prysznicu, już w marynarce. Podałam mu gazetę z artykułem.

- Charliemu Lawtonowi powinna stać się krzywda - oświadczyłam.

Aaron zmarszczył przystojną brew i szybko przeczytał.

- Powiedziałaś mu, że pracowałaś, kiedy wysłałaś maila?
- zapytał Aaron z oskarżycielskim wyrazem twarzy. - I określiłaś mnie jako swojego chłopaka?

Moje oczy już płonęły. Chłodna odpowiedź wywołała natychmiastową kondensację. Nastąpił opad.

- Och, daj spokój, nie płacz - powiedział spanikowany Aaron.

Za późno. Nie płakałam - bo to oznaczało zachowanie delikatne i kobiece - tylko zupełnie się rozryczałam, z drgawkami i czkawką. Przez słoną mgłę łez i śluzu dostrzegłam minę Aarona wyrażającą zdumienie oraz bezradność. Wydawał się jednocześnie zszokowany, że potrafię pobić wodospad Niagara, i zdezorientowany co do sposobu, jak to powstrzymać. Objął mnie ramieniem, delikatnie odwracając moją twarz od swojej marynarki. W proteście przytuliłam się z całej siły, zmuszając go, by dosłownie wchłonął część mego bólu. Poddał się i przyjął rolę pocieszyciela, klepiąc mnie po plecach i gładząc po włosach, z czasem coraz mniej niezdarnie.

- Już, już - powiedział niekonkretnie. - Nie jest aż tak źle.

- Aśnie że ak! - zawyłam walecznie ze swojego ukrycia w marynarce.

Stał cicho i nadal gładził mnie po włosach, dopóki wreszcie się nie uspokoiłam, wyczerpana gwałtownym wybuchem. Czy mogłam to zaliczyć do ćwiczeń fizycznych?

- Przepraszam - wymruczałam, wycierając oczy w jego krawat. - Chyba byłam wyczerpana po podróży.

- W porządku - powiedział. - Chcesz, żebym cię zabrał do domu?

Pokręciłam głową. Najlepiej zakończyć ten epizod jak najszybciej. Ochlapałam wodą zaczerwienioną twarz i skierowałam się do drzwi.

- Hej, prześliczna - skłamał.

Obróciłam się. Czułam, że powieki niebezpiecznie mi puchną.

- Tak? - powiedziała cichym przybitym tonem.

Ujął mnie za ramiona i uniósł podbródek w kierunku swojej twarzy. Wbił we mnie spojrzenie zielonych oczu.

- Wiesz, jakim jestem szczęściarzem? - spytał. - Ilu facetów dostaje podobne maile od takiej superlaski jak ty? Każdy, kto przeczyta ten artykuł, po cichu będzie mi zazdrościł. I wiesz co? Słusznie.

Pocałował mnie tylko odrobinę za długo.

- Teraz muszę zmienić marynarkę - szepnął mi do ucha, dłonią sięgając do piersi. - Chcesz zostać i pomóc mi wybrać nową?

Czterdzieści pięć minut później wracałam do mieszkania w zupełnie odmiennym stanie ducha. Tak, Charlie Lawton powinien zostać ukarany, ale moje życie toczy się dalej, znacznie przyjemniejsze dzięki gorącemu romansowi. Przeżyłam już gorsze historie - przetrwam i tę. W mojej głowie rozbrzmiewała piosenka z *Rocky'ego*, gdy wbiegałam po schodach po dwa stopnie na raz.

Kiedy wysiadałam z metra na Union Station, BlackBerry zabrzęczało z wiadomością od RG.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Robert Gary [rgary@gary.senate.gov]

Temat: Washington Post

Samantho, nie przejmuj się artykułem. Do zobaczenia w biurze.

Szłam w stronę Russell Senate Building, czując, że mam po swojej stronie dobrych ludzi. Co pomogło mi niezmiernie, gdy przy punkcie kontrolnym musiałam się zmierzyć z Ralphem.

Jego twarz rozjaśniła się na mój widok, a wrażenie ciągłego zdumienia jeszcze się pogłębiło. Cisnął w moją stronę artykuł z działu „Styl”, potrząsając długopisem.

- Mogę dostać autograf? - spytał.
- Bardzo śmieszne, Ralph. Spieszę się - odparłam skrzywiona.

- Nie wiedziałem, że jesteś taka niegrzeczna - ciągnął.
Czy dało się to zakwalifikować jako napastowanie seksualne? Byłam w nastroju, by kogoś poznać.

Rzuciłam mu groźne spojrzenie, gdy pozwolił mi przejść.

- Czy mogę wysłać ci maila za darmo, czy to jak płatny numer zaczynający się na dziewięćset? - zachichotał w stronę moich pleców.

Spojrzenia, jakie napotkałam przy windzie, sprawiły, że postanowiłam pójść po schodach. Na drugim piętrze z torebki rozległa się melodia *Like a Virgin*. Brzmiała bardziej ironicznie niż zwykle. Wygrzebałam telefon.

- Dobrze się czujesz? - spytała Liza, gdy odebrałam.

- Chyba tak - westchnęłam. - Ale to naprawdę paskudna sprawa.

- Masz numer tego Charliego Dupka? Chciałabym powiedzieć mu, co o nim myślę.

Żałowałam, że nie mam, bo wiedziałam, iż Liza naprawdę by to zrobiła.

- Musimy go kiedyś dopaść - odparłam.

- O tak, na pewno - odparła złowieszczo.

Umówiliśmy się na lunch i skończyliśmy rozmawiać w chwili, gdy weszłam do biura. Janet spojrzała na mnie ze słuchawką przy uchu i uśmiechnęła się krzywo.

- Mieliśmy sporo telefonów z prasy, powinnaś w ich sprawie skontaktować się z Markiem. A RG chce dziś lub jutro zorganizować strategiczne spotkanie dotyczące ustawy. Prosił, żebyś ustaliła odpowiedni termin z ludźmi Bramena, okay?

Nie czekając na odpowiedź, wróciła do odbierania nadchodzących połączeń. Po wizycie przy swoim biurku odszukałam Marka. Przystanął przy boksie Mony. Oboje unieśli głowy, gdy podeszłam.

- Cześć - przywitała się Mona serdecznie.

Mark odwrócił wzrok. Uśmiechnęłam się dzielnie.

- Więc zgaduję, że widzieliście artykuł w „Post” - powiedziałam.

- Jasne - odparła Mona. - Aaron Driver to ten chłopak, o którym mi opowiadałaś?

Mark skrupulatnie badał coś na czubku swojego buta.

- Tak.

- Ha - odparła z namysłem.

To pobudziło moją ciekawość. Może jednak stanowiła źródło informacji na temat Aarona?

- A znasz go? - spytałam nonszalancko.

- Niezupełnie. Tylko trochę przez znajomą.

Wyczułam, że jest więcej informacji do wydobycia, ale Mark chrząknął nerwowo.

- Więc, hm, było kilka telefonów w sprawie artykułu - powiedział szybko, gestem naśladując podnoszenie słuchawki.

- I obstawałem przy twardym „bez komentarza”.

Zaakcentował to, zdecydowanie przecinając dłonią powietrze i potrząsając głową na „nie”. Rozumiałam, że „bez komentarza” stanowiło najlepszą strategię, ale czy nie mogli oficjalnie być nieco bardziej wspierający?

- Okay, jasne - odparłam zdecydowana nie okazywać przygnębienia.

- Powinno wkrótce ucichnąć - dodał. - Czy ty i Aaron nadal jesteście razem?

Próbował przepchnąć pytanie jako usprawiedliwioną taktykę zbierania informacji przez obrotnego sekretarza prasowego, ale nie do końca mu się to udało. Zarumieniłam się lekko, gdy Mona zdecydowanym ruchem uniosła głowę, a Mark ponownie utkwiał wzrok w butach.

- Tak, jesteśmy.

Zwrócenie uwagi na niestosowność pytania byłoby jeszcze gorszym wyjściem.

- To dobrze - powiedział Mark nieprzekonująco. - Było też kilka telefonów w sprawie wyjazdu. W Ohio miał naprawdę świetną prasę - dzielnie parł naprzód. - A także pozytywną wzmiankę w „The Times”.

Przynajmniej z tego powodu mogłam być zadowolona. Ciężko pracowałam, organizując wyjazd, i choć wiedziałam, że spotkania otwarte oraz inne imprezy się udały, cieszyło mnie oficjalne potwierdzenie sukcesu. Z pewnością największa zasługa leżała po stronie RG, ponieważ dzięki niemu wszystko to miało miejsce, ale i ja odegrałam ważną rolę, więc byłam dumna.

- No, to przynajmniej dobre wieści - stwierdziłam.

Ani Mona, ani Mark nie odpowiedzieli. Mona nadal wydawała się zła z powodu zapytania Marka o status mojego związku, więc postanowiłam, że czas wycofać się do swojego biurka.

Tam czekała na mnie na sekretarce wiadomość od Charliego Lawtona. Prosił, bym oddzwoniła. Akurat. Zagłębiłam się w pracy, by odwrócić myśli od artykułu.

Byłam podekscytowana, układając strategię nadchodzącej bitwy o przepchnięcie ustawy w senacie, lecz obawiałam się ponownego kontaktu z Natalie, zwłaszcza w świetle moich ostatnich wyskoków. Niestety, nie mogłam go uniknąć. Odezwała się po pierwszym dzwonku gładkim mechanicznym głosem.

- Och, witaj, Samantho. W czym mogę pomóc tym razem?

Czemu po prostu nie wysłałam maila? Wyjaśniłam powód tak chłodno i zwięźle, jak się dało.

- Muszę sprawdzić plan dnia senatora Bramena - odparła wymijająco. - Jest wyjątkowo zajęty, jak pewnie sobie wyobrażasz. Ma nieco więcej spraw na głowie niż Gary! Ale postaramy się zgrać.

Boże, nienawidziłam jej. Cała ekipa Bramena cierpiała na ostry kompleks wyższości.

- Świetnie - zdołałam odpowiedzieć lekko zduszonym głosem.

- Może wyślę ci później maila? - ciągnęła. - Czy to ci odpowiada?

Czyżby sugerowała, że maile mogą mi już nie odpowiadać? Zapewne. I choć to była prawda, nie mogłam ścierpieć takiej sugestii z jej strony.

- Świetnie! - zakrzyknęłam radośnie.

Po zakończeniu rozmowy ostrożnie przeczytałam maile, superświadoma każdego kliknięcia. Czy kiedykolwiek jeszcze poczuję się swobodnie, wykonując podobne czynności?

Resztę poranka spędziłam, kontaktując się z osobami, z którymi RG rozmawiał w Ohio. Wysłałam maila do Kary, by potwierdzić dane młodego człowieka, którego ojciec nie otrzymywał świadczeń socjalnych. Oddzwoniła.

- I jak tam? - spytała trudnym do odszyfrowania tonem.

Czy wiedziała o artykule w „Post”? Czy prenumerowała gazetę, choć mieszkała aż w Cleveland? Znajac Karę i jej wyjątkowy talent do utrzymywania wszystkiego pod kontrolą, pewnie tak.

- Cóż, chyba w porządku - odparłam ostrożnie.

Nie miałam nic przeciwko byciu szczerą wobec Kary, ale nadal żywiłam nadzieję, że będę dla niej wzorem do naśladowania. To marzenie po prostu nie chciało umrzeć pomimo licznych ciosów.

- Łasica jest tu teraz stałym dodatkiem do programów Ronkina - powiedziała Kara. - Ma nawet własną stronę internetową.

- Możemy ją zhakować? - spytałam półżartem.

- Pracuję nad tym - odparła.

Wierzyłam.

- Nie stwórzmy tylko żadnego Łasicagate - ostrzegłam.

- Och, nie martw się - zapewniła. - Jestem znacznie lepsza.

W to także wierzyłam.

- Słuchaj, widziałam ten artykuł w „Post” i chciałam ci powiedzieć, że twój mail był prześmieszny. Każdy, kto nie dostrzegł w nim żartu, to kretyn. Szkoda, że wysłałaś go do tych wszystkich ludzi, ale hej, dzięki temu życie jest bardziej ekscytujące, prawda?

To był pewien argument. Dzięki skupionej na mnie uwadze i poczuciu upokorzenia nie miałam wątpliwości, że żyję. Ten miesiąc nie minie anonimowo, nie będę tylko nieistotnym trybikiem. Czy to się nie liczyło? Byłam tu. Byłam na Ziemi. Musiała się ze mną zmierzyć, czy tego chciała, czy nie.

- W jakiś pokrętny sposób mi to pomogło - odparłam.

- Dobrze, cieszę się - powiedziała. - Za tydzień wracam na studia, ale zadzwoń, jeśli w ciągu roku będę mogła pomóc przy wyjazdach lub czymkolwiek innym.

Będzie mi brakowało regularnych rozmów z Karą. Rozłączyłyśmy się i wykonałam kilka telefonów do ubezpieczeń społecznych, by zbadać kwestię wypłat. Po siedmiokrotnym przełączaniu poszczęściło mi się i odesłano mnie do kogoś, kto pochodził z Ohio i popierał RG. To umożliwiło mi zrobienie postępów. Godzinę później mogłam zadzwonić do młodego człowieka i poinformować go, że zaległe czeki jego ojca nadejdą następnego dnia przesyłką kurierską. Zdumienie i wdzięczność mężczyzny sprawiły, że poczułam się niczym dobra wróżka rozsiewająca magiczny pył, by problemy zniknęły. Było to całkiem miłe uczucie, więc uchwyciłam się go, pisząc raport dla RG. Wiedziała, że będzie zadowolony.

W przerwie na lunch sprawdziłam wiadomości na domowej sekretarce. Ku mojemu zaskoczeniu otrzymałam jedną od Beverly, dziewczyny od bitej śmietany Cool Whip. Odnalazła mój numer, ponieważ przeczytała w internecie historię o mailu z bitą śmietaną i uświadomiła sobie, że rozmawiała z tą samą Sammy Joyce, bohaterką skandalu.

Beverly wydawała się urażona i pytała, dlaczego nie zasugerowałam „rozkoszowania się Cool Whip”. O rany. Wieści na prawdę szybko się rozeszły. Czułam się przygnębiona dowodem ich niewiarygodnego zasięgu, ale również nie-co winna. Bita śmietana po prostu brzmiała lepiej. Lubiłam produkt Cool Whip i z przyjemnością zapewniłabym im darmową reklamę, lecz nie byłam w stanie przewidzieć takiego obrotu wydarzeń. Zadzwonię do Beverly później i wytłumaczę.

Natalie wysłała maila tuż po tym, jak wróciłam do biurka, informując, że senator Bramen zgodził się wcisnąć RG na lunch następnego dnia. Pokazałam język tej wiadomości i przesłałam ją do Mony, żeby wprowadziła poprawki w terminarzu. Później włączyłam kanał C-SPAN, by obejrzeć reportaż z podpisywania ustawy w Białym Domu.

Prezydent Pile starał się wyglądać jak najbardziej poważnie i stosownie do wagi chwili. Nie było to łatwe zadanie. Wokół stała grupa prawników, a przy prawym łokciu prezydenta kongresman Harris, który powiedział kilka słów o tym, jak ważne jest zachowanie świętości małżeństwa między mężczyzną a kobietą i ochrona naszych dzieci przed niebezpiecznymi skutkami „zbytniej różnorodności”. Gromadka białych ustawodawców kiwała poważnie głowami. Pozostawało zagadką, co to wszystko miało wspólnego z ustawą, która łągodziła przepisy dotyczące wycinki w starych drzewostanach.

Nawet po siedmiu latach prezydentury Pile nie przestawał mnie zaskakiwać. Zawsze miał pusty wyraz twarzy, niczym łoś złapany w światła reflektorów, który nie budził ani zaufania, ani zbytniego szacunku. Jego kariera rozwijała się mimo porażek, ale katastrofalne rządy jako przywódcy wolnego świata wyczerpały to, co dawniej wydawało się dziwnie nieskończonym zapasem szczęścia. Patrzyłam, jak zająknął się na paru fragmentach, zanim wysunął szczękę i złożył pod ustawą zamaszty podpis. Przynajmniej jakiś dowód, że nie

byi analfabetą. Nie chciałam zniżyć się do takiego poziomu, ale do kwestii beznadziejnego prezydenta miałam bardzo osobiste podejście.

Resztę dnia spędziłam, kontaktując się z ugrupowaniami i wyborcami, z którymi RG rozmawiał na spotkaniach otwartych, aktualizując tabelę o stanowiskach członków Kongresu wobec ustawy i odbierając telefony w sprawie artykułu z „Post”. O ósmej wieczorem byłam wyczerpana. Przy automacie do kawy natknęłam się na Marka Herberta. Napotkawszy mój wzrok, szybko spojrzął w inną stronę, ale potem wyprostował nieco ramiona i nieśmiało się obrócił. To był nieoczekiwany rozwój wydarzeń.

- Hm, słuchaj... - powiedział. Wyglądał na bardzo skrępowanego. - Przepraszam, że wcześniej zapytałam o twojego chłopaka. To było niestosowne. - Przerwał i wziął głęboki oddech. - Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa i, eee, miło jest z tobą pracować - dokończył.

Jak na człowieka, którego praca polegała na kontaktach z prasą, miał ogromne trudności, rozmawiając ze mną. Był tak zdenerwowany, że nawet nie gestykułował. Jego ramiona nieco opadły i westchnął głęboko z ulgą.

- Dzięki, Mark, i nie martw się tym - odparłam. - Powinniśmy być przyjaciółmi, wtedy nie będzie nic niewłaściwego w dowiadywaniu się, co słyhać u drugiej osoby.

Wyglądał na tak uszczęśliwionego, że zastanawiałam się, czy mogę oszacować wpływ mojego stwierdzenia i odliczyć go od podatku jako darowiznę na cel charytatywny.

- No więc chodzę z Aaronem - powtórzyłam. - A ty spotykasz się z kimś?

Znałam odpowiedź, ale sądziłam, że uprzejmie będzie spytać, jeśli mieliśmy zostać przyjaciółmi. Poza tym planowałam pociągnąć to wypytywanie nieco dalej. Musiałam zasiać ziarno.

- Hm, nie. Ja, hm... nie. Chyba krótka odpowiedź brzmi po prostu „nie”.

- Z chęcią usłyszę dłuższą odpowiedź - powiedziałam zachęcająco.

- Hm, właściwie dłuższa odpowiedź również brzmi „nie”. Od jakiegoś czasu z nikim się nie spotykam.

Wyglądało na to, że jest zdecydowany, a jednocześnie nieco zawstydzony.

- Cóż, jeśli ma się dobrych przyjaciół, z którymi można spędzać czas, komu potrzebny jest związek? - stwierdziłam wesoło.

Wiedziałam, że kłamię, i on też.

- Lubisz tu pracować? - ciągnęłam.

Wiedziałam, że jest dobry w tym, co robi, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy sprawia mu to przyjemność.

- Tak, lubię. Senator Gary dostarcza dużo inspiracji - odparł.

To z pewnością prawda. Cieszyło mnie, że tak uważał i nie zależało mu tylko na rozbudowaniu CV. Potrzebowaliśmy ludzi, którym mogliśmy ufać.

- Mamy całkiem niezły zespół - zaczęłam. - Mona jest naprawdę świetna.

Mówiłam zwyczajnym tonem. Naprawdę. Byłam z siebie dumna.

- Tak, jest bardzo wesoła - powiedział Mark.

Czyżby? Nigdy tego nie zauważyłam. Ale to świetnie, że tak sądził.

- Jasne, strasznie ją lubię - ciągnęłam. - To znaczy, nie znam jej tak dobrze, jak bym chciała. Ze wszystkich ludzi w biurze to właśnie ją chciałabym poznać bliżej. Wydaje się, że ma dużo do zaoferowania.

Mark wyglądał na zamyślonego. Perfecto. A może powinienam być nieco subtelniejsza? Czy właśnie pomyślałam „perfecto”? To dziwne.

- Cóż, lepiej wróćę skończyć robotę - powiedziałam.

- Do zobaczenia - odparł z uśmiechem.

Wróciłam do biurka z kubkiem pełnym kawy i miłym uczuciem, że zyskałam nowego przyjaciela. Powinnam to robić częściej. Co więcej, rozpoczęłam świeżą karierę swatki z subtelnnością i precyzją. Na ślubie Marka i Mony wzniosą dla mnie taki serdeczny toast, że na samą myśl już teraz łzy napływały mi do oczu. Przez chwilę ćwiczyłam skromną i anielską pozę, którą przybiorę, gdy wszyscy weselni goście zwrócą się w moją stronę. Ta wdzięczność rodziny i znajomych! Była niemal przytłaczająca. Naprawdę, nie zrobiłam aż tak wiele. Czy potrafiłam powiedzieć to przekonująco? Będą mnie uwielbiali.

Bramen miał za dwa dni wygłosić wielkie polityczne przemówienie, co oznaczało, że Aaron będzie zajęty pisaniem przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. RG w zasadzie sam pisał większość swoich przemówień - a z pewnością wszystkie ważne - ale Bramen na ogół tylko nadzorował powstawanie tekstów, co oznaczało tony roboty dla Aarona. Gdy zadzwoniłam, przewidywał, że wyjdzie z biura po północy. Uznałam to za irytujące, ale zdołałam ugryźć się w język, zanim spytałam, czy uważa, że warto pracować do późna, skoro jego szef jest takim okropnym człowiekiem.

Zadzwoniłam do Lizy sprawdzić, czy jest wolna, ale ona i Ryan mieli już plany. Zachęcała mnie, bym do nich dołączyła, lecz stwierdziłam, że to bez sensu. Tak naprawdę nie czułam potrzeby wyjścia - byłam wyczerpana po całym dniu i nadal umęczona po podróży. Wróciłam do domu, zamówiłam chińszczyznę, obejrzałam pierwszą część nowego show pod tytułem *Kto poślubi mojego dentystę?*, którego zdecydowałam się nie oglądać nigdy więcej bez ogromnych ilości środków znieczulających, i o dziesiątej już spałam.

Popsuty bezpiecznik

Święto Pracy na początku września nadeszło i minęło i wszyscy zdawali się gotowi do działania. Kandydaci na prezydenta oficjalnie ogłosili początek kampanii i przemierzali kraj pod różnorodnymi hasłami. Bramen wyruszył w autokarową podróż „Powrót do podstaw”, Spearam wystartowała z „Przyczepą porozumienia”, Rexford jechał okrakiem na „Rozpędzonych motocyklach”, a Wye wsiadł do „Cajun express”. Gdy czytałam o nich wszystkich, wyobrażałam sobie gigantyczny wyścig, który zdecydowałby o nominacji. Musiałby się odbyć na jakimś otwartym płaskim terenie, gdzie ludzie naprawdę mogliby tarzać się w błocie. Może w Kansas. I choć Conrad i Candle nie radzili sobie aż tak dobrze, też wzięliby udział w dowolnie wybranych pojazdach, ponieważ mimo wszystko mieliśmy demokrację. Wyścig zdecydowanie przyspieszyłby etap prawyborów i dodał mu nieco emocji. Może nawet skusiłby tatuśków od wyścigów NASCAR do powrotu na łono partii.

Owi nieznośni tatusiowie romansowali obecnie z drugą stroną, gdzie Brancy nabierał rozpędu i znacznie wyprzedzał w sondażach brata prezydenta oraz przewodniczącego senackiej większości. Aby żaden z potencjalnych rywali nie znalazł się wyżej niż on, Brancy rozpoczął właśnie „Lot wolności”. Zastanawiałam się, czy plan owego lotu sprowadzi go nad Kansas. Mógłby przelecieć tuż nad wyścigiem. Czy ciągnąłby za samolotem prześmiewczy transparent? Albo wypisywał na niebie złośliwe uwagi? W wyobraźni znacznie ubarwiałam poranne wiadomości.

Na Capitol Hill wszyscy także wracali do swych zajęć. W ciągu letniej przerwy mnóstwo wyborców jasno pokazało, że mają dosyć ślamazarnego tempa prac Kongresu i są gotowi w głosowaniu dać upust frustracji. W odpowiedzi skrytykowani ustawodawcy powrócili do Waszyngtonu zdeterminowani doprowadzić sprawę do końca. Wyczuwalny entuzjazm wobec produktywności wpłynął też korzystnie na projekt ustawy o refundacji leków. Miałam nadzieję, że ustawa utrzyma się na fali, zanim ta rozbije się na ideologicznych płyciznach i rozmyje w zastalych stronniczych bajorkach. Zdecyduje o tym czas.

Siostrzana ustawa przebijająca się właśnie przez Izbę Reprezentantów. Jeśli Izba poprze ją w tym samym tygodniu, w którym senat zatwierdzi nasz projekt, obie propozycje będą mogły natychmiast trafić do komisji, która wygładzi różnice między nimi. Wtedy oczywiście ujednoliconą ustawą musiałaby przejść zarówno w Izbie, jak i senacie, a potem trafiłaby do Ovalnego Gabinetu, gdzie prezydent Pile już teraz aktywnie działał przeciwko niej.

Choć Pile powstrzymał się przed zgłoszeniem weta, bo nawet on czuł, że taki ruch byłby niekorzystny politycznie, administracja gorączkowo pracowała w ukryciu, by upewnić się, że poplecznicy rządu szybko zabiją projekt w Kongresie. My pracowaliśmy równie gorączkowo, żeby zagwarantować, że ustawa stanie się prawem, zanim Kongres zakończy obrady na ten rok, co zostawiało nam niewiele ponad dwa miesiące. Wyzwanie dodawało mi sił. Choć projekt nie w pełni odpowiadał moim początkowym wyobrażeniom, zaczęłam wierzyć, że mimo wszystko stanowi krok we właściwym kierunku. I świetnie było czuć przypływ energii.

Niemniej jednak współpraca z zespołem Bramena wystawiła moją cierpliwość na próbę. Wciąż zachowywali się arogancko i władczo, więc zaczęłam obawiać się naszych wspólnych strategicznych spotkań. Aaron nie brał w nich udziału, ale nadal uważałam go za winnego, ponieważ pracował z tak

okropną grupą ludzi. W moim przekonaniu Aaronowi wymyślały się czasem uwagi świadczące, że był równie protekcyjny jak oni. Przysięgał, że źle go zrozumiałam, ale znałam prawdę. Aaron wysłuchiwał zarzutów, powtarzał, jak bardzo szanuje moją pracę, i w ramach pokuty za należenie do ekipy Bramena zwykle robił mi rano śniadanie. Na szczęście dla niego za stałe dostawy naleśników mogłam wybaczyć niemal wszystko, choć ostrzegłam, że będzie musiał wkrótce zmienić stanowisko, jeśli mamy czynić postępy jako para. Skinął głową i tego ranka dodał do ciasta płatki czekoladowe.

W pracy łatwo przestawiłam się na nową rutynę lobbowania i układania strategii. Każdego dnia na podstawie wszelkich informacji, które udało nam się zdobyć, aktualizowaliśmy dużą tabelę pokazującą, jak rozkładają się głosy nad projektem ustawy. W drugim tygodniu września niespodziewanie zyskaliśmy sławę z powodu publikacji wyników badań dwóch niezależnych szanowanych instytucji. Dowodziły one, że system opieki zdrowotnej finansowany przez państwo, który obecnie działał w Kanadzie, zaoszczędziłby Stanom Zjednoczonym dwieście miliardów dolarów rocznie, co stanowiło sumę z nadwyżką mogącą pokryć koszty opieki zdrowotnej dla blisko czterdziestu czterech milionów Amerykanów nieposiadających obecnie ubezpieczenia. Artykuły na temat badań zawsze wymieniały projekt ustawy o refundacji leków jako krok w kierunku tego postępowego systemu.

Gdy przeglądałam owe korzystne publikacje, moją uwagę na krótko przyciągnął niepokojąco pochlebny tekst o Bórdeme Dencie, aktorze aspirującym do fotela prezydenckiego. Dent paradował w kowbojskich butach Prada z jednej konferencji prasowej na drugą, rozdawał autografy i oślepiął kamery firmowym uśmiechem. Dwa razy zagrał prezydenta w filmie i mówił o tych rolach jako świetnym przygotowaniu do funkcji, o którą się ubiegał. Grał również psychotycznego kosmitę, wielką małpę i upośledzonego z kiepskim południo-

wym akcentem, ale jakoś nie chwalił się tym, czego nauczyły go te kreacje. Miał jeszcze czas.

Odłożyłam artykuł o Bordenie Dencie i wróciłam do pracy nad ustawą, gdy nadeszła wiadomość, że w Cleveland i Toledo nastąpiła przerwa w dostawie energii i miasta są bez prądu. Włączyłam telewizor i obejrzałam reportaż. Tłumy zdezorientowanych ludzi wędrowały chaotycznie środkami ulic z popsutymi światłami. Jakie znaczenie miały przepisy drogowe bez elektryczności? Najwyraźniej zostały wchłonięte przez rodzaj prymitywnego zbiorowego umysłu, który wypełnił próżnię powstałą po nagłym zniknięciu prądu, na którym tak bardzo przywykliśmy polegać. Prezenterzy telewizyjni ostrzegali, że o zmroku może dojść do grabieży. Miastem zdawało się rządzić poczucie bezcelowości.

Jakiś przytomny nadzorca sieci wysokiego napięcia zdołał najwyraźniej zapobiec rozszerzeniu się katastrofy na wschodnie wybrzeże, oszczędzając milionom ludzi stresu i frustracji obecnie odczuwanych przez mieszkańców Ohio. Wstępne raporty wskazywały, że przerwy w dostawie prądu nie spowodowało zaniedbanie pojedynczej firmy, lecz był to raczej skutek przestarzałej sieci, przed czym RG przestrzegał już od jakiegoś czasu. Dawno przekonałam się, że RG zwykle dostrzegał obraz całości i czasami był za to wyśmiewany przez tych, którzy zrobili kariery, czerpiąc zyski z mniejszych, bezpieczniejszych kwestii politycznych. RG nie był czarownikiem - zawsze miał przygotowany plan, według którego można było zapobiec przedstawionym problemom - lecz przeciwnicy uznawali go za skłonnego do przesady pesymistę. Nie zauważali lub nie chcieli komentować tego, że co chwila okazywało się, iż miał rację.

RG natychmiast zaapelował, by sprawę gruntownie zbadać, po czym wsiadł w samolot do Ohio, aby odwiedzić szpitale, elektrownie wodne i ośrodki społeczne i zaoferować wszelką pomoc, jakiej mógł udzielić. Resztę dnia spędziłam,

aktualizując tabelę stanowisk w sprawie ustawy i pomagając odbierać tysiące telefonów zalewających biurowe linie. W porze kolacji byłam wykończona po rozmowach z mnóstwem osób martwiących się o bliskich, od których nie mieli wiadomości. Czułam się też oszołomiona i roztargniona, co stanowiło początkowy objaw ataku paniki. U niektórych współczucie wywoływało ból. Ja miałam inne zaburzenia.

Na szczęście gdzieś w środku nocy, zanim powstały zbyt wielkie szkody, w północnym Ohio włączono prąd. RG zakończył podróż i wrócił na Capitol Hill, gdzie reszta tygodnia upłynęła błyskawicznie. W kofeinowej mgłę dochodziliśmy do siebie po awarii i lobbowaliśmy dla ustawy. Niespodziewany kryzys podwoił naszą normalną liczbę obowiązków, ale w tej pracy nauczyłam się już spodziewać niespodziewanego i po prostu odpowiednio aktualizowałam plan zajęć.

Gdy w sobotę zmierzałam do biura, by przekopać się przez stos papierkowej roboty, stwierdziłam, że tego dnia przypada sześćdziesiąta piąta rocznica zwycięstwa Seabiscuit nad niepokonanym War Admiral. Aby ją uczcić, wpadłam do sklepu na rogu i kupiłam kilka zdrapek z obrazkiem konia, dzięki czemu wygrałam darmowy napój. Wybrałam smak wiśniowy i dotarłam do pracy trochę nazbyt pobudzona od cukru. Mark także był w biurze i wyglądał na zestresowanego.

- Hej, co tu robisz? - spytałam.

- RG udziela jutro telewizyjnego wywiadu Timowi Russertowi - odparł, wykonując odpowiednie gesty rękoma.

Ciekawe. Świetna wiadomość, choć nieco niespodziewana. Bramen przechwycił większość medialnego zainteresowania ustawą, relegując RG do mniej zaszczytnej, ale istotnej roli lobbysty. Patrząc, jak Mark szybko odchodzi, uświadomiłam sobie, że w ciągu ostatnich kilku tygodni rzadko go widywałam, choć nasze biuro nie było przecież aż takie duże. Dawniej zwykł przychodzić z każdą niemal wymówką i nieśmiało mijał moje stanowisko, ale teraz jakby celowo mnie unikał.

Dwie godziny później zjawił się przy biurku.

- Słuchaj, Sammy... - zaczął. - Już od jakiegoś czasu chcę cię o coś spytać.

- Pewnie, Mark, strzelaj - odparłam.

- Cóż, wiesz jak to jest, gdy musisz coś powiedzieć, ale masz całkowitą pewność, że druga osoba nie będzie chciała tego usłyszeć? W takiej mniej więcej sytuacji się znalazłem - ciągnął z trudem.

O Boże, co to było? Zauważyłam, że w trakcie przemowy jego dłonie, nietypowo, były nieruchome.

- Aha... - powiedziałam ostrożnie.

- Cóż, myślę, że już znam odpowiedź, ale, hm, czy ty i Aaron spotykacie się też z innymi osobami? Jest powód, dla którego pytam.

O nie. Domyśliłam się już przyczyny, lecz czy naprawdę musieliśmy o tym rozmawiać? Czy już przez to nie przechodziliśmy? Nie chciałam słuchać wyznań Marka. Jego uczucia nadal były dla mnie oczywiste. Cóż, przynajmniej od czasu, gdy Mona mi o nich powiedziała. Czy nie wiedział, że nie ma szans? Więcej razy niż chciałam zliczyć, doświadczyłam boleśnie nieodwzajemnionego zauroczenia, więc sama również wolałam nie dawać nikomu złudnych nadziei. Lubiłam Marka i irytowało mnie, że uparcie stwarzał między nami niezręczne sytuacje. Wzięłam głęboki oddech. Musiałam położyć kres temu w sposób możliwie zdecydowany, ale uprzejmy.

- Nie, spotykamy się tylko ze sobą, Mark. Słuchaj, naprawdę lubię z tobą pracować i sądzę, że jesteś fajny, ale musisz się pogodzić z faktami. Mnóstwo kobiet byłoby ogromnie szczęśliwych, będąc z tobą, pewnie jedną czy dwie znalazłbyś nawet tu, w biurze. Ale nie ja. Ja jestem z Aaronem. I sądzę, że nie powinniśmy o tym więcej rozmawiać, okay?

Mimowolnie gdzieś w połowie tej przemowy zamknęłam oczy, jakbym nie chciała widzieć, dokąd mnie zaprowadzi. Z pewnością łatwiej było mi przez to przebrnąć, nie patrząc

na twarz Marka. Teraz, gdy otworzyłam oczy, ujrzałam, że jego skóra przybrała odcień głębokiego różu i że on sam wygląda na nadzwyczaj zawstydzonego. Uff, nie powinnam ich otwierać.

- Nie o to... nie o to mi... nieważne - wyjąkał. - Zapomnij, że chciałem cokolwiek powiedzieć. To był kiepski pomysł. - I odszedł spiesźnie.

W porządku, rozmowa okazała się bolesna, ale konieczna. Mark musiał pozbyć się jakichkolwiek upartych romantycznych złudzeń. Miałam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, ale nawet gdybyśmy nie mogli nimi zostać, przynajmniej nie będzie między nami nieporozumień. Zabrałam się do pracy nieco przygnębiona, lecz zdecydowana.

Wróciłam do domu o czwartej, dzięki czemu nie czułam się tak, jakbym przepracowała cały dzień w weekend. Każda pora przed siódmą nie liczyła się jako pełen dzień. Gdy weszłam, Shackleton pływał zwrócony pyszczkiem w dół. Skrzela poruszały się niemrawo, wskazując na resztki życia, ale miałam już dosyć. Użyłam polaroidu z kącika alibi, by zrobić zdjęcie jego ostatniej śmiertelnej pozy, i pomaszero wałam z tym dowodem do sklepu pana Lee.

- Nie wyrzuciła go pani jeszcze? - spytał przerażony pan Lee, gdy pokazałam zdjęcie.

A tak. Zgodnie z ostatnimi informacjami, które uzyskałam, Shackleton dawno nie żył. Nie, nie trzymam zwłok w szafie jak Norman Bates. Zmarszczyłam nos na samą myśl o zapachu.

- Nie, nadal żyje, ale z ledwością - wyjaśniłam. - Wiem, w tamtej wiadomości powiedziałam, że umarł, ale to nieprawda. Tylko udaje, że nie żyje. Cały czas. Bardzo się tym przejmuję. Muszę mu jakoś pomóc.

Pan Lee przez kilka chwil miał zadumany i przejęty wyraz twarzy.

- Och, nie martwić się, właśnie coś wymyśliłem! - wykrzyknął, a twarz mu się rozjaśniła. - Pani zobaczy, pani zobaczy!

Podążyłam za nim do działu z rybkami, gdzie z wyrzutem spjrzałam na stadko energicznych i krzepko wyglądających bojowników. Shackleton kiedyś wyglądał bardzo podobnie, podstępnie zdrowo. Pan Lee wskazał na róg akwarium, a dokładniej na jakiś jasnopurpurowy wodorost.

- Właśnie to! - zawołał. - Musi pani spróbować. Wszystko zmieni!

- Ile kosztuje? - spytałam podejrzliwie.

- Dla ulubionej klientki? Specjalna oferta - odparł.

Po powrocie do domu, lżejsza o dwadzieścia dolców, wyчыściłam akwarium i napełniłam je wodorostowym lekarstwem. Jednak gdy włożyłam Shackletona z powrotem, popłynął prosto na dno, by położyć się na kamyczkach, całkowicie ignorując nowy dodatek. Może potrzebował trochę czasu, by go zauważyć. Nie chciałam jeszcze tracić nadziei.

Planowałam spotkać się z Aaronem później, gdy skończy pisać przemówienie, które Bramen miał wygłosić na spotkaniu z organizacją związków zawodowych AFL-CIO. Od wczesnego rana Aaron pracował w domu Bramena w Georgetown, ale przypuszczał, że zwolni go na kolację, ponieważ senator z żoną wybierali się do filharmonii.

Choć i ja musiałam pracować w sobotę, czułam złość, że uprzykrzone obowiązki Aarona ciągle utrudniają nam spotkania. Nie przeszkadzałyby mi to tak bardzo, gdybym cel jego pracy uważała za wartościowy, ale to nie była prawda. A ostatnio tyle podróżował, że nasze kontakty zaczęły przypominać związek na odległość. Jediną dobrą stroną tego napiętego układu stanowił fakt, że naprawdę doceniałam noce, które spędzaliśmy we dwoje. Wyczytałam gdzieś, że szczęśliwe małżeństwa często opierały się na takiej strategii „nocnych randek”, więc może okaże się to dobrym treningiem na przyszłość. Wzięłam gorący prysznic i szykowałam się długo w szczęśliwym oczekiwaniu wieczoru. Około ósmej wreszcie przysłał wiadomość.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Czemu cię ze mną nie ma?

urocza damo riley, jesteśmy w krypcie, wpadniesz?

Krypta był to bar w stylu typowym dla Georgetown. Innymi słowy, bardzo studencki bar. Ale atmosfera panowała fajna, jeśli nie zjawiały się tłumy, podawano też odlotowe nadziewane papryczki, od których lekko się uzależniłam w ciągu pierwszych kilku miesięcy w DC. Zdezorientowało mnie nieco owo „jesteśmy” i dlatego „jesteśmy” w barze, gdy ja od paru godzin zabijam czas, czekając, ale postanowiłam nałożyć nieco szminki i wyruszyć. Dowiem się wkrótce.

Powinłam była się zorientować, że to nie będzie udany wieczór, skoro obrzygano mnie, jeszcze nim dotarłam do baru. Miało to miejsce na stromych schodkach prowadzących do Krypty. Dwóch młodych facetów wspierało między sobą kompana i mozolnie przemieszczali się w kierunku ulicy. Uchwyciłam obraz zielonej twarzy dokładnie w chwili, gdy spoczął na mnie umęczony wzrok dźwiganego faceta, a sam facet pokrył górną część mojego ciała obrzydliwą warstwą wymiocin. Okazało się to mniej paskudne, niż by mogło, ponieważ najwyraźniej w ciągu ostatnich godzin spożywał wyłącznie olbrzymie ilości alkoholu, co przełożyło się na czysto płynny atak. Jednak nie było mi do śmiechu.

Stałam tak przez chwilę, ociekając, a pijany nieszczęśnik oczami wyraził skruchę, po czym pokuśtykał w kierunku akademika. Kierowca taksówki, który po wysadzeniu mnie liczył jeszcze napiwki, szybko odjechał, żebym czasem nie próbowała wsiąść z powrotem i wrócić do domu po świeże ubranie. Najwyraźniej pokryte wymiocinami pieniądze nie miały wielkiej wartości.

Przemyślałam dostępne możliwości. Złapać inną taksówkę, jechać do domu, przebrać się i wrócić - mogło to zabrać

godzinę ze względu na duży ruch na ulicach w sobotni wieczór oraz niezdecydowanie przy wyborze garderoby. Metro nie wchodziło w grę, ponieważ miejscy planiści irytująco nie umieścili przystanku w Georgetown. Nie chodziło o zaniebdanie - podobno ugięli się wobec presji bogatych mieszkańców należących do śmietanki towarzyskiej, którzy chcieli się odizolować od tłumów. Najbardziej elitarne dzielnice stolicy demokracji były najtrudniej dostępne. W tej chwili uznalam tę ironię za niewiarygodnie niewygodną.

Zadzwoiłam do Lizy, by się skonsultować.

- Musisz jechać do domu. To obrzydliwe, Sammy.
- Ale już poświęciłam sporo czasu, by tu dotrzeć, i naprawdę chcę tylko...

- Sammy.

Liza niezbyt często używała tak surowego tonu. Rezerwowała go na sytuacje, gdy miały zostać popełnione poważne występki wobec etykiety.

- Dobrze, w porządku. Zadzwoiłam później.

Rozłączyłam się z rezygnacją, zdecydowana powlec się na M Street i spróbować złapać taksówkę. Ale odkąd otrzymałam wiadomość Aarona, minęło już czterdzieści pięć minut, więc chciałam chociaż zajrzeć do środka i poinformować go, co ze mną. Z pewnością się o mnie martwił.

Z drugiej strony, jak podkreślała Liza, byłam pokryta obrzydliwymi wymiocinami i nie wyglądałam zbyt pociągająco. Może po prostu wyślę wiadomość na BlackBerry.

Do: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Re: Czemu cię ze mną nie ma?

właśnie jestem przed kryptą, ale miałam wypadek, niezawiniony. przysięgam, muszę wrócić do domu się przebrać, chcesz jechać ze mną? - sammy

Usiadłam na schodach, czekając na odpowiedź, której, byłam pewna, będzie towarzyszyć jego szybkie pojawienie się u mego boku. Po dziesięciu minutach i trzech różnych osobach pytających swoich znajomych „jak myślisz, co z nią?” nadal się nie odezwał. Co, u diabła, robił? Czy nie dostał mojej wiadomości? Co było ważniejsze od natychmiastowej odpowiedzi, lub kto? Zbiegłam po schodach, wstąpiłam do łazienki, by się nieco oczyścić, i zagniewana podeszłam do baru.

Znalazłam go pijącego tequile z grupą ludzi. Część z nich rozpoznałam jako pracowników Bramena. Fakt, że Aaron z nimi pracował, był wystarczająco denerwujący, więc czy musiał też dobrowolnie zadawać się z tym towarzystwem po pracy? Spochmurniałam.

- Sammy! - wykrzyknął, gdy pociągnęłam go za łokieć.
- Jeszcze jeden kieliszek - zakrzyknął do barmana.

- Nie, dziękuję - odparłam przez zaciśnięte zęby.

Miałam już dość drinków na ten wieczór. Czy nie zauważył, że potrzebowałam bezalkoholowego wsparcia?

- Dostałeś moją wiadomość? - spytałam, zupełnie ignorując ludzi wokół. I tak ich nie lubiłam.

- He? - rzucił, starając się mnie dosłyszeć, ale niezbyt mocno. Zdecydowanie był pijany.

Lokal okazał się całkiem zatłoczony, nie tak, jak lubiłam. Podobała mi się spocona, szalona atmosfera studenckich barów, gdy studiowałam, ale teraz jedynie się spałam.

- Hej, so ci sie stało? - spytał, gdy wreszcie naprawdę mnie dostrzegł.

- Zwymiotował na mnie jakiś facet - odparłam.

- Obsydliwe. - Odczekał, by słowa przebrzmiały. - Ale chozi mi o to, gdzie byłaś? Jesteźmy tu od fpół do szwartej - wyjaśnił, jeśli można było cokolwiek wyjaśnić, połykając słowa.

Wpół do czwartej? Po południu? Wtedy byłam jeszcze w biurze. Zakładałam, że on także pracuje. Okay, głęboki wdech. Zachowaj spokój.

- Skontaktowałeś się ze mną dopiero o ósmej. Więc nie było mnie tu, bo nie wiedziałam, że ty tu jesteś - powiedziałam, starając się, by nie zabrzmiało to piskliwie.

- He? Och... przepraszam, fsześniej łysiałem ci wiadomość. Pewnie nie doszła.

Aha.

Wyglądał na rozkojarzonego. Nadal pociągający, ale z pewnością w nieodpowiednim stanie. Byłam zazdrosna o ludzi, z którymi się zadawał, i zirytowana, że nie zadzwonił wcześniej. Dlaczego nie chciał się spotkać tylko ze mną? Nie byłam dość rozrywkowa? Co we mnie nie było rozrywkowe? W porządku, może w tej chwili znalazłoby się kilka takich rzeczy, ale dawały się wyjaśnić.

- Cóż, cieszę się, że tak dobrze się bawicie, chłopcy - powiedziałam tonem wskazującym na to, że wcale nie byłam ucieszona. - Przykro mi kończyć imprezę, ale muszę iść do domu. Idziesz ze mną?

Już wymawiając te słowa, wiedziałam, że to niedobre, niedobre posunięcie. Gdybym sama była z przyjaciółmi, czy chciałabym przerwać zabawę po to, by ustąpić pokrytej wymiocinami harpii, która, odkąd się zjawiała, tylko na mnie wrzeszczy? Pewnie nie. Ale, argumentowałam w myślach, jeśli bardzo mi zależało na pokrytej wymiocinami harpii? Może ją nawet kochałam? Czy to się nie liczyło? Postanowiłam nie zastanawiać się, dlaczego w ogóle chodziłam z pokrytą wymiocinami harpią.

Nadal analizowałam swoje uczucia, gdy Aaron poklepał mnie po ramieniu.

- No dalej, nie boż sła. Zostań i zabaf sie z nami. - Uśmiechnął się błagalnie. - Znajdę ci jakież nowe ciuchy. Hej, ty! - zakrzyknął do przechodzącego faceta w koszulce uczelni utrzymującego dwa dzbany piwa na stosie szklanek.

- Dam ci dwaziesięcia dolców za te koszulkę - powiedział, wyjmując portfel.

- Wychodzę, Aaronie - stwierdziłam ostro.

- Szekaj, skarbie, sałatwiam to tobie, szebys nie musiała is do domu sie pszepierać - wyjaśnił, ciągnąc obcego za rękaw.

- Facet, odczep się - krzyknął chłopak, machając łokciem i odpychając Aarona na stolik.

- Masz jakiś problem? - zawołał za nim Aaron.

Potem spojrział na mnie i zaczął się śmiać.

- Sorry, skarbie. Szekaj, p-proszę ogoś innecho - obiecał.

Chwyciłam go za ramię, gdy skierował się do wielkiego mężczyzny w przepoconym podkoszulku, wcale nie lepszym niż mój obecny strój. I z pewnością niewartym dwudziestu dolarów. Lub pobicia.

- Aaron, przestań - nalegałam. - Zapomnij o tym. Nie chcę czyjejs koszulki.

Spojrział na mnie zakłopotany. Uświadomiłam sobie, że nie był dość trzeźwy, by zrozumieć. Równie dobrze mogę powstrzymać gniew do chwili, gdy wyrze większe wrażenie.

- Jeśli tak świetnie się tu bawisz, to zostań - zaproponowałam gorzko.

- Okay, bszmi niesie. Cześ, skarbie - zgodził się Aaron
0 wiele za szybko.

Oszołomiona obserwowałam, jak wraca do bandy Bra-mena przy barze. Kilku obejrzało się przez ramię w moją stronę, ale ich zignorowałam, uniosłam wysoko podbródek i mokra ruszyłam przez hordy pijanych studentów po schodach i na ulicę.

W drodze do taksówki minęłam dom z *Egzorcysty* i rozmyślałam o zbiegu okoliczności, który sprawił, że zostałam pokryta wymiocinami tak blisko miejsca słynnego filmowego rzygnięcia. Czy napastnik był opanowany przez szatana? Nie zauważyłam kręcenia głową wokół szyi, ale kto wie, co się działo w jego akademiku.

Zbliżałam się do właśnie M Street i stanu jeszcze większej wściekłości na Aarona, gdy usłyszałam, że ktoś mnie woła po imieniu. Gdy się obróciłam, stanęłam twarzą w twarz

z Charliem Lawtonem, moim zaszartym wrogiem. Cofnęłam się i wykrzywiłam ze wstrętem. W połączeniu ze śmierdzącym mokrym strojem prawdopodobnie wyglądałam wyjątkowo okropnie. Charlie wydawał się zaniepokojony.

- Zaczekaj chwilę - zawołał do mężczyzny po drugiej stronie ulicy.

Najwyraźniej przebiegł na tę stronę tylko po to, by mnie zatrzymać.

- Hej, wszystko w porządku? - rzucił.

Naprawdę musiał pytać? Przecież wyraźnie nie byłam w porządku. I po wpadnięciu na niego z pewnością nie będę w lepszym stanie. Ta udawana troska mnie zirytowała.

- Jakbyś naprawdę się przejmował - parsknęłam. - Rozmawiamy prywatnie, czy mam po prostu skłamać i powiedzieć, że czuję się świetnie?

Hmm. Powinnam była właściwie poczekać na odpowiedź w kwestii prywatności, zanim wymieniłam sarkastyczną alternatywę. Jeśli rozmawialiśmy oficjalnie, zdradziłam część informacji. Zapamiętam to na wypadek przyszłych wrogich kontaktów z dziennikarzami. Wyglądał na nieco zaskoczonego.

- Posłuchaj, na pewno jesteś zdenerwowana z powodu artykułu. Chciałem z tobą porozmawiać, żeby...

- Żeby co, dowiedzieć się, czy zostałam zwolniona, czy nie? - Zaczęłam wściekle machać na taksówkę. - Nadal pracuję, nie dzięki tobie. Jesteś prawdziwym dupkiem, wiesz?

Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy, głównie dlatego, że przeszkadzały mi włosy opadające na twarz. Choć go nie widziałam, miałam nadzieję, iż jest zraniony i zawstydzony.

- Mogę ci pomóc złapać taksówkę? - spytał rzeczowo.

- Nie! Nie chcę taksówki! - zakrzyknęłam z nadal wyciągniętą ręką. - Idź do diabła!

Opuściłam rękę i odeszłam zdecydowanym krokiem. W odbiciu otwartych restauracyjnych drzwi ujrzałam, jak Charlie wpatruje się we mnie beznamiętnie. Niezłe pożegnanie.

Miałam obolałe nogi i byłam całkowicie przemarznięta, gdy wreszcie oddaliłam się na tyle, by zatrzymać taksówkę. Jechaliśmy szybko po wyboistej jezdni, a nim dotarłam do drzwi mieszkania, po policzkach płynęły mi łzy. Włączyłam światło i pochwyciłam zamglony widok Shackletona owiniętego wodorostami. Nie poruszał się w przypominającym pętlę kokonie, ale byłam zbyt zdenerwowana, by przyjrzeć mu się dokładniej. Zamiast tego postanowiłam wziąć kąpiel. Nadal łkałam.

Nieustannie odtwarzałam w głowie wydarzenia z tego wieczoru. W retrospekcji czułam się tak, jakbym została obrzygana wiele razy. Naprawdę nie chciałam być typem zaborczej zwariowanej kobiety, która wrzeszczy na potencjalnego narzeczonego, gdy on po prostu odpręża się po stresującej pracy. Zapewne jeśli pracowało się dla wielkiego dupka, takie odprężenie było ważne. Ale Aaron zapomniał o naszym spotkaniu - spotkaniu, na które naprawdę się cieszyłam i na które szykowałam się przez godzinę. Potraktował mnie źle. Czyż nie? A może zareagowałam zbyt silnie? Nie byłam pewna. Wyczerpały mnie te wszystkie zgadywanki.

Co do Charliego Lawtona, żałowałam tylko, że wyglądałam tak nędznie i pachniałam tak odpychająco, gdy na niego nakrzyczałam. Bezsprzecznie zasługiwał na jadowitą pogardę i miałam pełne prawo mu ją okazać. Jeśli czuł się z tego powodu choć trochę źle, było warto.

Sprawdź stan Shackletona rano. Zostawiłam wiadomość Zeldzie, ale powstrzymałam się od zadzwonienia do Lizy, bo wiedziałam, że jest teraz z Ryanem na jakimś okropnym spotkaniu jego byłego bractwa studenckiego. Postanowiłam dla relaksu pomedytować i w rezultacie po kilku minutach zasnęłam, nieświadoma, na jakim etapie podróży ku oświeceniu się znalazłam.

Dość gadania

W poniedziałek po południu zarówno w Izbie, jak i w senacie rozpoczęła się debata nad ostatecznym kształtem ustawy. Choć obie wstępne wersje zostały przyjęte szybko i bez przeszkód, wkrótce stało się jasne, że nastąpiła zmiana politycznych prądów. Do wyborów został jeszcze rok, a ostatnie sondaże wskazywały, iż Bramen wyprzedza wszystkich kandydatów z obu partii, próbowano więc pozbawić go znaczących sukcesów legislacyjnych, które mogły dodatkowo umocnić jego pozycję. W konsekwencji kilku senatorów wiernych przewodniczącemu większości Frandowi nagle zagroziło przeciąganiem debaty, by nie dopuścić do głosowania. Czas nie był już po naszej stronie.

Duch partnerstwa szybko wyparował, zastąpiony przez kłótlivy nastrój unoszący się w zimowym powietrzu. I choć senatorowie zgodnie z zasadami etykiety nadal zwracali się do siebie „mój szanowny kolega” i „starszy senator z...”, frazy te stanowiły coraz słabszą przykrywkę dla kipiącej wrogości i agresji. Obawiałam się o los ustawy.

Nadal nie otrząsnęłam się po żalonym popisie Aarona w barze w Georgetown. Zadzwoił następnego popołudnia i zaprosił mnie na spotkanie, jakby nic się nie stało. Przygotowałam się na poważną dyskusję o szczerości i wzajemnym szacunku, ale gdy o tym wspomniałam, po prostu pocałował mnie w czoło i poprosił, żebyśmy odłożyli „rozmowy o naszym związku” na inną porę.

- Dziś chcę po prostu dobrze się bawić z moją dziewczyną
- rzucił.

- Cóż, jeśli kiedykolwiek jeszcze zachowasz się tak, jak wczoraj wieczorem, możesz sobie poszukać innej dziewczyny - odparłam.

Wyglądał na zaskoczonego, a potem na przybitego. Ujął moją dłoń i zwrócił się do mnie poważnie, a właśnie na tym mi zależało.

- Przepraszam, Sammy. Obawiam się, że niewiele pamiętam z zeszłej nocy, i to jest naprawdę krępujące. Bramen strasznie mnie goni i musiałem po prostu trochę się wyluzować, ale nie chciałem aż tak zaszaleć. Wstydzę się tego. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

W jego wielkich zielonych oczach ujrzałam prawdziwy żal, i poczułam, jak nieco topnieję.

- Nie chcę się czepiać - wyjaśniłam. - Po prostu...

- Nie czepiasz się - przerwał mi. - Jesteś cudowna. A ja źle się zachowałem. Przysięgam, że nigdy już tego nie zrobię.

- Dla podkreślenia tych słów uściśniłam moją dłoń. - Nie mogę cię stracić.

Skinęłam głową, myśląc o tym, że wkrótce czeka go kolejny służbowy wyjazd. Nie chciałam, żeby wyjeżdżał. Może Aaron dostrzegł to w moich oczach i zrozumiał, że jest bezpieczny. Tak czy siak, na powrót wpadł w wesoły nastrój.

- Naprawdę dajesz mi niezły wycisk, wiesz - drażnił się. - Ale ja jestem posłusznym żołnierzem.

Pocałował mnie w rękę, zasalutował i poprosił o pozwolenie, by wynagrodzić mi wszystko w łóżku. I wróciliśmy do normalnych układów. Czułam się szczęśliwa, ponieważ uszczęśliwiała mnie samo przebywanie z nim, ale uświadomiłam sobie również, że wzloty i upadki w naszych relacjach mogą kiedyś stracić swój urok.

Drugiego dnia debaty nad ustawą słuchałam, jak Bramen wygłasza w senacie słowa napisane przez Aarona. Były mocne i wzywały członków Kongresu, by wznieśli się ponad

podziały i dostrzegli palącą potrzebę zmiany przepisów dotyczących refundacji leków. Choć oglądanie Bramena nie sprawiało mi przyjemności, czułam się dumna z talentu Aarona. Niestety, ten talent tylko wzburzył opozycję. Senatorowie ustawili się w kolejce, by wygłosić rozwlekłe mowy wykazujące niedopuszczalne usterki ustawy. Staralam się nie brać tego zanadto do siebie.

W czwartek, choć debata była zażarta i nie całkiem cywilizowana, nadal mieliśmy większość zapewniającą uchwalenie ustawy. Tego ranka Izba zatwierdziła ją minimalną większością głosów, co zapewniło dodatkowy napływ adrenaliny. Późnym popołudniem wyglądało na to, że Frand może zostać zmuszony do zarządzania głosowania i ustawa zostanie wreszcie przyjęta. Wtedy to senator Rollings rozpoczął celowe przedłużanie obrad.

Rollings był osiemdziesięcioletnim senatorem z Missisipi. Mówił o „opiece medycznej” z pozycji kogoś, kto ma do tego całkowite prawo. Narzekał na upaństwowienie opieki zdrowotnej i związane z nim widmo socjalizmu. Przemawiał, jakby przewodził na krucjacie. Nie chciał wtrącania się w przemysł farmaceutyczny. Chciał, by rząd po prostu zostawił ludzi w spokoju. Miał dość wszystkich tych prób komplikowania spraw. I przeżywał to bardzo silnie.

Cztery godziny wyjaśniał swoje odczucia, a potem wyjął stos książek telefonicznych. Oglądałam to na kanale C-SPAN, a Rollings wpatrywał się z ekranu prosto we mnie. Najwyraźniej lubił władzę tylko na tyle, by ograniczyć swoje zaangażowanie do wiedzy, gdzie stoją kamery.

- Ta ustawa byłaby katastrofą dla wielu ludzi - grzmiał. Otworzył pierwszą książkę telefoniczną.
- Byłaby katastrofalna dla pana Chestera J. Abbingtona
- powiedział, kciukiem zaznaczając miejsce na stronie.
- I równie fatalna dla pani Alfred A. Abson - ciągnął.

I tak dalej.

O dziesiątej wieczorem Rollings ze swoim niezwykle rozciągniętym sposobem mówienia dotarł tylko do „D”. Oglądałam to zza biurka, nie będąc w stanie iść do domu, podczas gdy ustawa, w którą przelałam duszę, leżała, umierając powolną śmiercią, zabijana przez powolną wypowiedź. Zaczął padać śnieg. Był wczesny listopad i Waszyngton dopiero stygł po letnich upałach, ale nauczyłam się spodziewać wszystkiego po coraz bardziej kapryśnych porach roku.

Gdy byłam młodsza, pierwszy śnieg zawsze prowokował mnie do dzikiego tańca z wymachiwaniem wszystkimi członkami, skierowanego do Boga Ciągłych Zamieci. Wstęp ten wyrażał żarliwe błaganie o pogodę, która spowodowałaby zamknięcie szkół w zimowych miesiącach. Chciałam tańczyć tak, by zadowolone bóstwo spełniło moją prośbę i dało mi zimowe wakacje porównywalne z letnimi. Choć to marzenie nigdy nie spełniło się całkowicie, gdy byłam w trzeciej klasie, z powodu ogromnych śnieżyc nastąpił cudowny trzytygodniowy okres bez szkoły. Taniec, który wykonałam tego roku, różnił się od poprzednich pod jednym ważnym względem - po raz pierwszy zawierał obrót z wymachem, ruch udoskonalony przeze mnie ledwie miesiąc wcześniej. Biorąc pod uwagę radość, jaką w oczywisty sposób wywołałam u Boga Ciągłych Zamieci, ruch ten stanowił odtąd element każdego tańca. Była to jedna z niewielu rzeczy, dzięki którym utrzymywałam jako taką gibkość.

Jednak gdy zauważyłam śniegowe płatki przyklejone do dużego okna w biurze, nie miałam ochoty tańczyć. Nie mogłam zignorować fali czystej radości, jaką nieodmiennie wywoływał we mnie widok śniegu, lecz było to krótkotrwałe uczucie, szybko zastąpione przez ciemne, ponure wrażenia, które bulgotały w moich jelitach, kiedy przypatrywałam się płatkom opadającym coraz prędeziej i gęściej. Lepiej niech to będzie tylko mała kurzawka, pomyślałam, ponieważ w innym wypadku czekają nas dodatkowe trudności na drodze

do uchwalenia ustawy. Po raz pierwszy w życiu uznałam śnieg za niedogodność. Dobry Boże, czyżbym się wreszcie zestarzała?

Tego wieczoru zostałam w biurze, słuchając senatora Rollinsa paplającego bezustannie (ilu osiemdziesięcioletników zarywało nocę w pracy?) i łamiąc sobie głowę nad tym, jak przerwać te destrukcyjne dla ustawy działania. Wiedziałam, że powinnam pójść do domu, przespać się i wrócić wcześniej następnego dnia. Postanowiłam jednak wpaść do mieszkania o szóstej czy siódmej rano, wziąć prysznic, przebrać się i zjawić z powrotem w pracy, by wchłonąć szalone ilości kawy, które pomogą mi przetrwać dzień.

Plan nie został zrealizowany, ponieważ obudziłam się o szóstej nad ranem z czegoś, co miało być szybką drzemką, i wyjrzałam przez okno na świat całkowicie odmieniony przez nieustającą śnieżycę. Ktoś musiał wykonać cholernie dobry śniegowy taniec. Ulice pokrywały ogromne zasy, które niejasno sugerowały kształty pogrzebanych pod nimi samochodów, pożarowych hydrantów i latarni. Naraz wszystko wydało się odizolowane, łącznie ze mną.

Spojrzałam na swoje ubranie. Było żałośnie nieodpowiednie do pogody. Długa do kolan spódnica nie zapewniała ciepła, a buty na śniegu nie zdałyby się na nic. Dlaczego, dlaczego nie trzymałam w biurze na wszelki wypadek dwóch kombinezonów wiszących teraz w domowej szafie? Miałam tu sportowe ubranie w razie, gdybym zapalała nagłą chęcią, żeby poćwiczyć, co jeszcze nie nastąpiło - czemu równie przewidująco nie przygotowałam się na zimową pogodę?

Nie było sensu się zadreć. Postanowiłam wezwać pomoc i pomimo wczesnej pory wykręciłam numer domowy Aarona. I tak niedługo powinien wstawać. Będzie uszczęśliwiony, słysząc mój głos.

Spróbowałam cztery razy, ale nie odpowiedział. Może linie telefoniczne nie działały. Komórkę miał wyłączoną. Posłałam

wiadomość przez BlackBerry, ale nie wiedziałam, czy dotarła. Nagle ratunek przestał być taki pewny.

W porządku. Potrafiłam o siebie zadbać. Poradzę sobie. Rozważyłam możliwości i postanowiłam jeszcze pospać. Gdy obudziłam się po raz drugi pół godziny później, śnieg nadal spływał za oknem grubymi warstwami bieli. Często zjawiałam się w biurze wczesnym rankiem i zawsze najpóźniej o siódmej w budynku panował już spory ruch. Jednak gdy wytknęłam głowę przez drzwi biura, korytarz był ciemny i pusty. Czyżby śnieg powstrzymał nawet Janet? To niesłychane.

Wróciłam do biurka i włączyłam telewizor. Senator Rollings dalej cedził słowa. Zdołał dotrzeć niemal do końca książki telefonicznej, ale inni mówcy już czekali w pobliżu. Z pewnością nie da rady ciągnąć tego sam - czy chodziło o jakąś grupową strategię? Czy mieli przygotowanych zmienników?

Widok Rollingsa zajętego mordowaniem mojej ustawy odegnał jakiegokolwiek myśli o opuszczeniu biura. Miałam zadanie do wykonania. Jeśli inni nie zlekli się pogody i dotrą na miejsce, to świetnie. Jeśli nie, poradzę sobie sama, otępiła po długiej nocy, ale gotowa do akcji. Zaparzyłam dwa dzbanki kawy, wykorzystując w tym celu ekspres zarezerwowany do kawy bezkofeinowej, i przetrząsnęłam minilodówkę w poszukiwaniu starej cynamonowej babeczki, którą ukryłam tam w zeszłym tygodniu. Nieco wzmocniona usiadłam, by przemyśleć strategię.

Przedłużanie obrad rzadko dawało się powstrzymać, gdy prowadzili je doświadczeni i zdeterminowani wrogowie. Jednak musiał istnieć jakiś sposób. Rollings i jego wierna grupa „frandyistów” nie mogli przecież powstrzymać wartościowej ustawy. Przydałaby się jakaś makiaweliczna strategia. Niestety, nie byłam zbyt dobra w podstępny planowaniu.

- Ta ustawa oznaczałaby również wielkie nieszczęście dla Sanforda B. Zinesa - zapewniał z mównicy senator Rollings.

Zawsze podobało mi się imię Sanford. Oczywiście ze względu na komediowy program *Sanford and Son*, ale również z powodu pana Sanforda, strażnika przy przejściu do mojej dawnej szkoły. Był to blady krępy mężczyzna, który rysował małe twarze na żółdziejach i rozdawał je dzieciom. Gdy chodziłam do podstawówki, zbierałam czterystu dwudziestu siedmiu żółdziowych ludzików od pana Sanforda. Kilku z nich ozdobiło nieszczęsną wiewiórczą wioskę, którą zbudowałam, a reszta wypełniała szufladę biurka w moim pokoju. Mama kilka razy próbowała je wyrzucić, narzekając, że gniją i brzydko pachną, ale przeprowadziłam własne dochodzenie i nie wykryłam żadnego przykrego zapachu, zarządziłam więc, żeby pozostały niezniknięte.

Pan Sanford rok temu odszedł z tego świata z powodu starości i dwóch chorych nerek, planowałam więc w nadchodzącym roku odwiedzić jego grób i położyć przy nim kilka żółdzi. Przy odrobinie szczęścia spocznie w cieniu dębu, a towarzystwa już zawsze będą mu dotrzymywać małe twarde nasiona, którym niegdyś nadawał człowiecze oblicza ku zachytwowi mnóstwa uczniów.

Wspomnienia o panu Sanfordzie spowodowały, że wpadłam na pomysł, który nie tylko zapalił, ale wręcz rozsadził żarówkę w mojej głowie. Najpierw zaczęłam się zastanawiać, czy Sanford wymieniony przez senatora Rollingsa miał jakiś związek z panem Sanfordem. Choć jedno było imieniem, a drugie nazwiskiem, może gdzieś istniało powiązanie. Na przykład moje drugie imię, Riley, było panięńskim nazwiskiem babci ze strony matki. Gdyby nie ja, pewnie by zaginęło, ponieważ babcia nie miała braci, którzy przekazaliby je dalej. Teraz nazwisko żyło w postaci mojego drugiego imienia i będzie się cieszyć dalszym życiem jako pierwsze imię nienarodzonej córki mojej i Aarona. Może z Sanfordem wiązała się podobna historia.

To rozumowanie, choć pod wieloma względami znacznie oddalone od najważniejszej kwestii, doprowadziło do tego, że pomyślałam, iż pan Sanford w kwestii ustawy o refundacji leków na pewno zgodziłby się ze mną, a nie z senatorem Rollingsem - ze względu na lokalną więź, ale przede wszystkim dlatego, że nowe prawo przyczyniłoby się do poprawy jego sytuacji.

To z kolei sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy Sanford B. Zines wymieniony przez Rollingsa również poparłby ustawę, niezależnie od tego, czy należał do dalekich krewnych pana Sanforda, czy nie. Jeśli by ją poparł, prawdopodobnie mógłby poczuć się urażony samowolnym wykorzystaniem jego nazwiska do celowego przedłużania obrad.

Szybko zerknęłam na stos książek telefonicznych widocznych obok Rollingsa na ekranie. Czytał właśnie tę z miejscowości Jackson w stanie Missisipi. Musiałam zdobyć jej kopię.

Dwie godziny później byłam pogrążona w lekturze książki telefonicznej. Proces polegał na dzwonieniu do wszystkich ludzi, których nazwiska senator Rollings wyczytał głośno, i dowiadywaniu się, czy niektórzy z nich byli tym dostatecznie zdenerwowani. Zadanie wcale nie okazało się proste. Dziesiątki ludzi uznało mnie za telemarketerkę, ku mojej prywatnej radości, lecz zawodowej frustracji, przez co wielu z nich natychmiast niegrzecznie się rozłączyło.

Z tych, którzy zostali przy telefonie dość długo, by wysłuchać, na czym polega moja misja, dziewięćdziesiąt pięć procent nie miało pojęcia, że w senacie trwa właśnie debata nad projektem ustawy o refundacji leków. Początkowo spędzałam długie minuty, wyjaśniając podstawowe kwestie każdemu, kto chciał słuchać, ale wkrótce doszłam do wniosku, że muszę uprościć ten proces, aby zachować zdrowie umysłowe i nadzieję na jakikolwiek postęp. Jeśli chodzi o mieszkańców Missisipi, po prostu pytałam ich, czy lubią Rollingsa.

Jeśli byli jego zwolennikami, szybko się rozłączałam. Jeśli nie, drażyłam głębiej. W południe miałam dziesięć osób skłonnych oficjalnie oświadczyć, że senator Rollings przemawiał w ich imieniu, nie mając na to zgody, i przedstawiał fałszywe poglądy.

W biurze pojawiły się osoby, które zdołały pokonać śnieżycę, ale ledwie zauważałam ich obecność. Byłam kobietą z misją i nie wypadało mi przeszkadzać.

Jak należało przewidzieć, senator Rollings zakończył trzydziestojednogodzinną przemowę, oddając głos bliskiemu przyjacielowi i koledze senatorowi Łajane, który miał dalej ciągnąć debatę. Inni już czekali w pogotowiu, aż Łajane się zmęczy.

Wczesnym wieczorem skończyłam przeglądać pierwszą książkę telefoniczną, którą wykorzystał senator Rollings, i przedstawiłam swój plan RG. Słuchał uważnie moich wyjaśnień, a oczy mu rozbłysły.

- Rozmawiałaś z tymi wszystkimi ludźmi? - spytał ostrożnie.

Lista, którą mu przekazałam, urosła do niemal dwustu nazwisk. Rozkręciłam się na całego.

- Tak, sir - odparłam. - Jeśli zasiądzie do tego więcej osób, jestem pewna, że zyskamy jeszcze setki chętnych.

Potakiwał.

- W porządku, daj tu Marka. Potrzebujemy przedstawiciela prasy, któremu można zaufać. Czy któraś z tych osób jest skłonna przyjechać?

Podążył za moim wzrokiem, gdy wyjrzałam przez okno. Śnieg nadal mocno padał.

- Racja, to i tak nie wyjdzie - stwierdził, zanim zdążyłam odpowiedzieć. - Dobrze. Zatem my pojedziemy do nich.

W Missisipi nie śnieżyło. Co więcej, większość mediów w tym stanie bardzo chciała odegrać ważną rolę w narodowej historii. Ku mojej wielkiej uciesze pan Sanford B. Zines

okazał się jednym z pierwszych mieszkańców Jackson, który dzięki połączeniu satelitarnemu wystąpił w programie Toma Brokawa. Z przyczyn sentymentalnych zignorowałam zasadę kolejności alfabetycznej i przesunęłam go na górę listy przekazanej RG.

- Panie Zines, twierdzi pan, że senator Rollings nie ma prawa wykorzystywać pańskiego nazwiska w swoim przemówieniu? A jeśli senator Rollings naprawdę uważa, że ustawa, którą chce zwalczyć, negatywnie wpłynie na pańskie życie?

Patrzyłam, jak pan Zines zdenerwowany pociąga kolczyk w ucho i z zakłopotaniem wpatruje się w kamerę. Dalej, Sanford, uda ci się. Odchrząknął.

- Ernest Rollings lepiej niż inni powinien wiedzieć, że ludzie nie lubią, jak rząd miesza się do ich spraw. Ja to widzę tak, że ta ustawa ma mi pomóc. Rollings może pocałować wieprza w ucho.

Mocne zakończenie. Przez telefon omówiliśmy wszelkie sposoby, w jakie ustawa mogłaby pomóc Sanfordowi B. Zinesowi i jego nawrotom artretyzmu, ale nie przeciwiczyliśmy niejednoznacznych epitetów dotyczących części zwierzęcego ciała. Byłam bardzo zadowolona, że jest w nich takim mistrzem. Ujrzałam, jak kącik ust Toma Brokawa nieco się unosi.

- Dziękuję za poświęcony nam czas, panie Zines.

Pozostali byli równie naturalni. Pod koniec zebrano kilka barwnych zarzutów wobec taktyki senatora Rollinga z książką telefoniczną. Bramen zwołał konferencję prasową w celu wezwania osób stojących za przeciąganiem obrad, by poniechały „cynicznego lekceważenia woli ludzi”. C-SPAN nadała to na żywo.

- Twierdzenia opozycji zostały obalone. Amerykanie są zniechęceni i zmęczeni tym, że traktuje się ich jak pionki w politycznej grze. Skończmy ten nonsens i wróćmy do pracy dla dobra ludzi, którzy w nasze ręce powierzyli swój los. Przerwijcie przeciąganie obrad. Głosujmy.

Na szczęście media uczepliły się tematu. Rollings, Łajane i inni przywódcy opozycji nie mogli powstrzymać kolejnych reportaży. Ludzie, których nazwiska odczytano, zaczęli kontaktować się z naszym biurem, a nie odwrotnie. W sobotę w południe zakończono przemówienia i zarządzono głosowanie.

Choć śnieg wreszcie przestał padać, miasto leżało sparaliżowane w jego mocnym uścisku. Senatorowie zjawiali się na Kapitolu powoli, po męczącym przebijaniu się przez trudny teren. Od czwartku rano nie byłam w swoim mieszkaniu. Gdy telefony znów zaczęły działać, Aaron odpowiedział na moje błagania o pomoc i przywiózł mi trochę ubrań, czystych, lecz zupełnie do siebie niepasujących. Czyżby jemu stroje dobierał ktoś inny? Nigdy nie wyglądał tak źle, jak wskazywałby jego gust. Na szczęście nie miałam zbyt wiele czasu, by martwić się o stan garderoby, podekscytowana klapą opozycji. Drżałam od emocji i kofeiny, gdy przypatrywałam się wyczytywaniu nazwisk.

Wszyscy senatorowie stawili się na głosowanie. I ustawa przeszła pięćdziesięcioma trzema do czterdziestu siedmiu głosów.

RG po udzieleniu wywiadów na korytarzu wrócił do biura i niezręcznie objął mnie ramieniem w przyjaznym uścisku.

- Naprawdę świetnie się spisałaś, Samantha - powiedział, a przypatrywali się temu Janet i Mark.

Uśmiechnęłam się i zarumieniłam. Chciałam rozkoszować się chwilą, gdy ludzie nie zastanawiali się, jakim cudem wytrzymałam na tym stanowisku. Przywykłam być dumna z RG i jego wysiłków. Odwrotna sytuacja była mi dość obca.

- Gratulacje, sir. Ta ustawa pomoże wielu ludziom.

RG uśmiechnął się.

- No a gdzie przyjęcie? - spytał nieoczekiwanie.

O rany. No właśnie, gdzie?

- Zaraz się dowiem, sir - odparłam szybko.

- Mam trochę szampana w lodówce - zaproponowała Janet.

Naprawdę?

- Otwórz go - powiedział zadowolony RG.

Pospieszyłam do biurka i zadzwoniłam do Aarona.

- Hej, skarbie, wciąż w biurze? - spytał.

- Tak i potrzebuję pomocy. RG chce świętować. Gdzie go powinnam zabrać? Szybko, szybko, on nigdy nigdzie nie wychodzi!

- Okay, uspokój się. Zaczekaj chwilę.

Usłyszałam jakieś stłumione głosy w tle. Czy to Natalie? Fuj. Aaron odezwał się ponownie.

- Nasza ekipa wybiera się do Capitol Lounge. Bramen wpadnie na drinka z paroma reporterami. Chcecie się tam z nami spotkać?

Nieszczególnie, ale jaki miałam wybór? Postanowiłam zachować się dorośle. Pracowałam z Bramenem nad ustawą, więc zapewne mogliśmy się z nim spotkać na wspólne świętowanie. W przeciwnym wypadku musielibyśmy zorganizować osobne imprezy, co byłoby nieco dziwne. W ten sposób upewnię się też, że ich nie będzie lepsza. I przynajmniej nie stawię im czoła sama. Będę z własną bandą. No, pokażemy tym od Bramena. W głowie rozbrzmiewał mi motyw z *West Side Story*. Spojrzałam na korytarz, gdzie Mark, Janet i RG popijali szampana. Lepiej niech nie wypiją wszystkiego.

- Tak, spotkamy się tam z wami - rzuciłam do słuchawki.

- Świetnie. Nie mogę się ciebie doczekać. I, hej, Sammy...
- ciągnął.

- Tak?

- Gratulacje.

Uśmiechnęłam się tak szeroko, że zabołały mnie policzki. Mój mężczyzna też był ze mnie dumny. Co za fajny dzień.

- Do zobaczenia - powiedziałam najseksowniej, jak potrafiłam.

Odłożyłam słuchawkę i popędziłam korytarzem. Do niewielkiego grona świętujących dołączyła Mona, ale nadal zostało nieco szampana. Spłynął gładko i utworzył w moim żołądku małe ciepłe jacuzzi.

- Za nasz zespół - powiedział ciepło RG, unosząc kieliszek w toaście. - Nie osiągnąłbym tego bez was.

Mój kieliszek był już pusty. Spojrzałam ukradkiem na pozostałych. Hmm... nadal mieli nieco szampana. Przesunęłam dłoń z nóżki na górną część kieliszka, starając się zakryć braki. O, tak dobrze. Z perspektywy innych pod moimi palcami nadal mogło się znajdować kilka przyzwoitych łyków.

- Zdrowie - rzuciła Janet.

Stuknęliśmy się kieliszkami i uśmiechaliśmy się czule do siebie. Nie było całej ekipy - tylko nasza mała grupka, więc panowała zażyła atmosfera. Gdy udawałam, że piję razem z resztą, połykając pachnące szampanem powietrze, czułam się szczęśliwa i spełniona.

- Picie powietrza może wywołać gazy - powiedział stojący obok RG.

I zawstydzona. Wszystko w porządku.

Nieczyste zagrania

PÓŁ godziny później nasza wesoła grupka podreptała radośnie przez śnieg do Capitol Lounge. Była to mała wyprawa, a pokonywanie zimowego terenu sprawiło, że poczułam się jak nieustraszony odkrywca. Dopiero po kilku minutach rozgrzały mi się zmarznięte nogi. Na szczęście w koszmarnym zestawie, który dostarczył Aaron, znalazła się para zimowych botków, więc przynajmniej w trakcie wędrówki byłam odpowiednio obuta.

Gdy pozostali rozmawiali, zostałam nieco w tyle, by podziwiać efekt przedwczesnego opadu śniegu. Miasto wydawało się nienaturalnie spokojne i wyobraziłam sobie, że ziemia leży otępiała pod warstwami zmarzliny i śniegowych płatków. Idąc i wsłuchując się w ciszę lodowatego powietrza, zamknęłam na chwilę oczy. Gdy je otworzyłam, na nowo uderzyło mnie, jak wszystko wokół błyszczy w srebrnym błękiecie.

W Capitol Lounge, przytulnie oświetlonym niedawno zainstalowanymi świątecznymi lampkami, ludzie Bramena zarezerwowali na przyjęcie osobną salę. Natychmiast zamówiłam ajerkoniak, częściowo z powodu pogody, ale głównie dlatego, że była to trzysta dziewięćdziesiąta szósta rocznica pierwszego odnotowanego picia ajerkoniaku w Ameryce (w osadzie Jamestown, jak to opisał kapitan John Smith, zgodnie z przeprowadzonymi przeze mnie badaniami). Sączyłam deserowego drinka i zastanawiałam się, czy Pocahontas sprawiał on równą przyjemność co mnie, oraz obserwo wałam RG rozmawiającego w rogu z Markiem. Miło było

zobaczyć Gary'ego na imprezie z resztą załogi. Zwykle gdy wreszcie oderwał się od pracy, szedł prosto do domu, kontakty towarzyskie z podwładnymi ograniczając do zaplanowanych wyjazdów i corocznego świątecznego przyjęcia.

Skończyłam właśnie ajerkoniak i zamówiłam kolejny, kiedy zjawił się Aaron z kolegami z biura. Kilkoro rozpoznałam jako uczestników spotkania w Krypcie i poczułam przypływ gniewu, który próbowałam zdusić, ponieważ tego wieczoru chciałam być szczęśliwa. Aaron uśmiechnął się do mnie, podszedł i położył mi dłoń na plecach. Policzki miał rumiane od zimna, a kilka niesfornych płatków śniegu zaplątało mu się we włosy. Poczułam, że wysypka na szyi pali mnie pod apaszką.

- Jak tam moja dziewczyna? - spytał.

Odchyliłam głowę i pocałowałam go.

- Hej, skarbie, może powinniśmy zostawić to na później - powiedział, rozglądając się wokół.

Choć przez chwilę chciałam przypomnieć, że powinien być szczęśliwy, iż w ogóle go całuję, przyznałam mu rację. Otaczali nas ludzie z pracy, a publiczne okazywanie uczuć nie było najbardziej profesjonalnym sposobem zachowania. Daliśmy się porwać chwili. I zapewne ajerkoniakowi.

- Przepraszam, po prostu cieszę się, że cię widzę - wyjaśniłam.

- Ja też, ja też - zapewnił. - I zaraz wrócę, muszę tylko wykonać szybki telefon. Poznałeś już Matthew? - spytał, kierując mnie w stronę jednego z kolegów, po czym nas przeprosił.

Poznałam Matthew bardzo przelotnie na jakimś przyjęciu charytatywnym. Chciałam mu właśnie o tym przypomnieć, gdy potrząsnął głową.

- Nie, nie przypuszczam, że miałem już tę przyjemność - powiedział.

Dobra, w porządku. Postanowiłam się tym nie przejmować, choć zawsze drażniło mnie, gdy ludzie nie pamiętali,

że się poznaliśmy. Nienawidziłam czuć się nieistotna, lecz przywykłam już do takiego traktowania ze strony pracowników Bramena. Matthew uśmiechał się do mnie wyczekująco bez śladu rozpoznania w spojrzeniu.

- Miło cię poznać - powiedziałam łaskawie.

Naszą rozmowę przerwało przybycie Bramena i oddziału reporterów. Usadzili się przy barze. Gdy podeszłam po kolejnego drinka, przyjrzałam się im bliżej i zaalarmowana rozpoznałam w grupie Charliego Lawtona. Nie chciałam, by ów zdradziecki mały robak był tu tego wieczoru, gdy zamierzałam świętować. Musiał zostać ukarany za swój okropny artykuł. Rzuciłam mu groźne spojrzenie i zastanawiałam się, gdzie jest Aaron. Mój honor wymagał obrony.

Zanim zostałam odpowiednio pomszczona, Bramen zaczął robić przedstawienie, zapraszając do siebie RG.

- A ten facet to prawdziwy żołnierz - powiedział serdecznie.

Odwrociłam się, by spojrzeć na uśmiechniętego RG, i zauważyłam, że mała linia między jego prawym okiem a uchem napięła się, co oznaczało, że jest poirytowany. Nie zdradzało tego nic innego w jego postawie, ale ja miałam dużo doświadczenia w napinaniu tej linii.

Rozumiałam irytację Gary'ego. Oprócz innych paskudnych cech Bramen słynął także z pogoni za pozytywnym wizerunkiem w mediach za pomocą wszelkich dostępnych środków, co często oznaczało sprzedawanie członków własnej partii, by samemu wyglądać lepiej. Zwykle spoufalał się z jakimś dziennikarzem i karmił go historią, która służyła jego celom, ale dbał, by nigdy nie wyszło na jaw, że jedynym i bezpośrednim źródłem był on sam.

W działaniach Bramena zdumiewała mnie desperacja, z jaką nieustannie szukał poklasku, nawet w najbardziej trywialnych kwestiach. W tej bezpardonowej walce nie wahał się atakować nawet najbliższych sojuszników. Przez lata Bra-

men dorobii się kilkudziesięciu pochlebnych artykułów i palącej niechęci ze strony wielu kolegów w senacie.

Obserwowałam RG uchylającego się od fałszywych pochwał Bramena i uciekającego ze szponów reporterów, jak szybko się dało. Gdy odchodził, Bramen ponownie zwrócił się do dziennikarzy, a coś w jego wyrazie twarzy skłoniło mnie do podejścia bliżej. Udawałam, że chcę wziąć z baru serwetkę, i nadstawiłam ucha.

- Nie zrobił nic dla tej ustawy, ale zawsze dobrze jest, gdy mali ludkowie czują się doceniani - powiedział Bramen przytłumionym głosem, który mogli dosłyszeć tylko dziennikarze i ja. - Nawet jeśli to ty odwalasz całą robotę.

Wzruszył ramionami i poklepał Charliego po ramieniu.

- To oczywiście nieoficjalna wypowiedź. A teraz, kto się jeszcze napije?

Przeżazona, walcząc z odruchem, by rzucić się z zaciśniętymi pięściami na Bramena, wzięłam serwetkę i wycofałam się do rogu. Czując, że mogę wybuchnąć, przełknęłam ajerkoniak i rozmyślałam nad zemstą. Czy powinnam powiedzieć o tym RG? Gdzie u diabła był Aaron? Gary'ego odnalazłam najpierw.

Nie wydawał się poruszony moim sprawozdaniem. Westchnął tylko i pokiwał głową.

- Tak, to w stylu Johna.

- Ale czy nie możemy czegoś zrobić? Czy nie powinien pan tego wyjaśnić? - bełkotałam.

RG uśmiechnął się do mnie znużony.

- Po prostu ciesz się, że ustawa przeszła, Samantho, i nie przejmuj się resztą. Rozmyślanie o tych bzdurach może tylko zaszkodzić, a my mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

Wolno skinęłam głową. I gdy patrzyłam, jak grupka przechodzących osób zarzuca RG gratulacjami, nieco się uspokoiłam. Miał rację. Byliśmy ponad paskudne zagrania Bramena. I choć miałam nadzieję, że prędzej czy później mu się za nie

oberwie, postanowiłam nie marnować więcej energii na tę sprawę.

Nieco później, gdy gratulowałam sobie owego nowego podejścia, dostrzegłam Aarona rozmawiającego i śmiejącego się z Bramenem, Natalie oraz grupką reporterów. Znowu poczułam gniew, lecz nie byłam w stanie nic zrobić oprócz wściekłego wpatrywania się w to małe towarzystwo. Nikt tego nie zauważał, aż wreszcie, gdy dziennikarze notowali, Charlie uniósł głowę i napotkał mój wzrok. Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie, co było bardzo niepokojące. Aaron także dostrzegł brak skupienia Charliego i obrócił się, by sprawdzić powód tego roztargnienia. Na mój widok przeprosił i się zbliżył.

- Dobrze się bawisz? - spytałam lodowato.

- Hej, nie kłómy się dziś wieczorem, skarbie - odparł Aaron.

- Wiesz, co właśnie zrobił Bramen? - rzuciłam władczo.

- Sammy... - powiedział Aaron na wpół błagalnym, na wpół wyczerpanym tonem.

- Przypisał sobie całą zasługę. Słyszałam go. I wiesz, kim on jest? Kłamcą. Okropnym kłamcą. Nie mogę uwierzyć, że dla niego pracujesz. I nie mogę uwierzyć, że właśnie rozmawiałeś z dziennikarzami. Wiesz, że siedzi tam Charlie Lawton? Zmieszał mnie z błotem! Dlaczego zadajesz się z tymi wszystkimi paskudnymi ludźmi?

Aaron wyglądał na zatroskanego.

- Więc to on - zamyślił się.

Czułam, że zaraz zacznę krzyczeć. Aaron chyba wyczuł, iż jestem na skraju wytrzymałości. Przystawił się na łagodny ton.

- Skarbie, przykro mi. Nie wiedziałem, że to Charlie Jakiś-tam. I nie wiedziałem, że Bramen to zrobił. Chcesz, żebym tam poszedł i pobił ich obu?

Byłby do tego zdolny? Kusząca propozycja, ale wiedziałam, że przemoc nigdy nie jest rozwiązaniem.

- Bo zrobiłbym dla ciebie wszystko - ciągnął. - Uwielbiam w tobie tę pasję. Uwielbiam to, jak ci zależy. I wiesz, że to ty jesteś prawdziwą bohaterką dnia - powiedział słodko, ujmując moją dłoń. - Odwaliłaś niewiarygodną robotę i dlatego powinniśmy świętować. Więc skoncentrujmy się na tym, dobrze?

W ciszy, która nastąpiła, słowa RG odezwały się echem w mojej głowie. Zarówno Gary, jak i Aaron byli przekonujący. Westchnęłam głęboko, próbując opanować gniew, by móc znowu dobrze się bawić. N a p r a w d ę odwaliłam świetną robotę. I ustawa przeszła!

- Okay - skinęłam ku wyraźnej uldze Aarona.

- Cudownie. Teraz usiądź tu i zrelaksuj się, a ja przyniosę ci drinka.

Na nieszczęście, gdy Aaron odszedł, zbliżył się Charlie Lawton.

- Samantho, zastanawiałem się, czy mógłbym z tobą przez chwilę porozmawiać - powiedział, odkładając długopis i notatnik.

Pokręciłam głową jeszcze zanim skończył mówić.

- Nie. Nie możesz - powiedziałam stanowczo.

Charlie nie zdążył nic dodać, bo wrócił Aaron.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał ostro.

Czy jednak dojdzie do bójki? To wydawało się nieco sztampowe.

- Nie, wszystko w porządku - odparł spokojnie Charlie.

I odszedł. Aaron usiadł obok mnie.

- Dobrze się czujesz, prześliczna? - spytał.

Skinęłam głową. Podał mi drinka i ujął za rękę.

Trzy godziny później, gdy RG, Bramen oraz pozostali dawno już wyszli, Aaron i ja marudziliśmy przy barze nieco podpici i flirtowaliśmy. Choć nienawidziłam jego szefa, nie miałam dość Aarona i czułam się dobrze z powodu niezwykle udanych dokonań tego dnia. Kogo obchodziło, czy Bramen jest idiotą? Ostateczny wynik był taki, że ustawa przeszła.

Gdy Aaron owinał wokół palca pasmo moich włosów, spojrzałam przez ramię i z zadowoleniem dostrzegłam Marka i Monę pograżonych w czymś, co wyglądało na intymną rozmowę. Oboje chichotali, a pochylona Mona delikatnie dotykała ramienia Marka. Zaciągnęłam do nich Aarona.

- Chcecie coś z nami przekąsić? - spytałam ciepło.

Podwójna randka byłaby idealna, by uczcić sukces moich starań jako swatki. Mona i Mark spojrzeli po sobie.

- Hm, właściwie chcieliśmy z Moną, hm, obejrzeć film - powiedział Mark, gestem naśladując staroświecki projektor filmowy.

Wątpiłam, czy pokaz odbędzie się na właśnie takim.

- O, świetnie - uśmiechnęłam się szczęśliwa.

Czy kwestia projektora miała w ogóle znaczenie, skoro wreszcie się zeszli? To było najważniejsze.

- Jaki film? - spytałam miło.

- Jeszcze nie wiemy - powiedziała szybko Mona.

Przez przyjemne otumanienie wywołane siedmioma ajerkoniakami zaczęło mi świtać, że może powinnam po prostu zostawić Marka i Monę samych.

- Miłego oglądania - zainterweniował Aaron. - Do zobaczenia.

Mark i Mona pomachali nam z uśmiechem. Obróciłam się i dostrzegłam, że pochylają się ku sobie, rozmawiając konspiracyjnie. Czy mówili o mnie i Aaronie? Zanim zdołałam to ustalić, potknęłam się na wystającej klepce podłogowej.

- Chodźmy do domu - zaśmiał się Aaron, podtrzymując mnie.

Okay, brzmiało niezłe.

Następnego ranka obudziłam się z przyjemnym uczuciem, że wydarzyło się coś bardzo dobrego. Gdy mój umysł wrócił do stanu przytomności, natychmiast przypomniałam sobie

uchwalenie ustawy i uśmiechnęłam się wdzięczna, że przyjemne uczucie dotyczyło rzeczywistości, a nie snu. Wyskoczyłam z łóżka, by przeczytać artykuły w internecie, Aaron zaś został otulony w koc, który zawłaszczyl na większość chłodnej nocy. Przeżywając na nowo wydarzenia z ostatnich dwóch dni, w podskokach pobiegłam ku drzwiom, lecz zmarłam z dłonią na klamce.

Powoli i celowo tyłem wróciłam do pokoju. Wstrzymując oddech, wycofałam się po swoich śladach, aż przystanęłam przy akwarium Shackletona. Pływał do góry brzuszkiem opłatany w cudowne wodorosty, do których kupna namówił mnie pan Lee. Widziałam go już w tej śmiertelnej pozie, ale tym razem coś było inaczej. W akwarium panował spokój, jakby cząsteczki wody uległy przemianie w odpowiedzi na ciche, lecz doniosłe wydarzenie.

Jeszcze zanim użyłam siatki, by dotknąć opuszczonego ciała, wiedziałam, że tym razem naprawdę nie żył. Opadłam na podłogę, by przetrwać ten fakt. Byłam nieco zaskoczona, iż pomimo pewnej niewrażliwości, którą wykształciłam w odpowiedzi na upodobanie Shackletona do udawania zmarłego, wobec ostatecznej straty ogarnęła mnie taka rozpacz. Tyle razy płakałam z jego powodu, że tym razem łzy wydawały się bliskie, jakby już znały ulubione ścieżki na mojej twarzy. Siedziałam na podłodze, próbując powstrzymać płacz, bo mimo wszystko była to tylko rybka, ale nie mogłam się opanować.

- W porządku? - wymruczał Aaron z łóżka.

- Nic mi nie jest - zatkałam nieprzekonująco. - Shackleton nie żyje - wyjaśniłam po chwili.

- Skarbie, on zawsze nie żyje - odparł Aaron. - Czemu nie wrócisz do łóżka?

Uniosłam na niego wzrok.

- Nie, tym razem n a p r a w d ę nie żyje. Dotarł do końca.

- Niemożliwe. Naprawdę?

To wystarczyło, żeby Aaron wstał. Podszedł i zbadał akwarium. Nawet sam dotknął rybki, co odebrałam jako profanację. Wyrwałam mu siatkę.

- Rany, tym razem rzeczywiście - zgodził się Aaron.

Obrócił się i wziął mnie w ramiona.

- Przykro mi, skarbie, chcesz, żebym go wyrzucił?

Może sądził, że to rycerski gest. Ja czułam inaczej. Wywinęłam się z objęć.

- Nie, nie chcę - powiedziałam gorzko.

Nagle zaczęłam go winić za śmierć Shackletona. Może po prostu wybuchłam, a może nabierał się we mnie gniew za inne sprawy, w których w moim przekonaniu zbyt łatwo odpuściłam Aaronowi. Lecz jeśli słusznie przypisywałam mu winę? To w końcu on jako ostatni miał kontakt z Shackletonem - poprosiłam, by się nim zajął, gdy wpadł do mieszkania po moje rzeczy.

- Nakarmiłeś go tak, jak prosiłam? - spytałam oskarżycielko.

Aaron wyglądał na zdezorientowanego.

- Kogo? Shackletona? - spytał, jakby chcąc zyskać na czasie. - Oczywiście, że tak, skarbie. Słuchaj, wiem, że jest ci smutno. Naprawdę mi przykro - zakończył.

Czy w jego głosie pobrzmiwało poczucie winy, czy była to tylko moja wyobraźnia? Mogłam się założyć, że nie nakarmił Shackletona, tym samym pozbawiając go pożywienia niezbędnego, by kontynuował walkę ze śmiercią. Aaron na pewno zapomniał, tak samo jak zawsze zapominał naładować komórkę, tak jak zapomni odebrać naszą córkę Riley z przedszkola. Cóż, nie będę tego tolerować.

- Chyba muszę przez chwilę być sama - powiedziałam irracjonalnie, wycierając kąciki oczu.

Aaron wyglądał na bardzo zaskoczonego.

- Och, okay, jasne - odparł. - Daj mi tylko chwilę, żebym się ubrał.

Gdy tylko wyszedł, ogarnął mnie żal. Czy naprawdę właśnie zmusiłam go do odejścia? Oby nie pomyślał, że to już na zawsze. Co też uczyniłam? Teraz miałam w perspektywie długą, śnieżną niedzielę na kacu, i nic do roboty oprócz wpatrywania się w martwą rybkę, a mój chłopak wyruszył w poszukiwaniu innych przygód. Był to całkowicie samodzielnie zawiniony, paskudny splot okoliczności. A do tego wszystkiego po ajerkoniaku bolał mnie brzuch, co stanowiło kolejny dowód, że mogę cierpieć na nietolerancję laktozy.

Skończyło się na krótkiej, prostej ceremonii w łazience, której towarzyszyło pełne powagi wykonanie *Octopus's Garden* Beatlesów. Gdy patrzyłam, jak Shackleton w klozetowej muszli odpływa na zawsze z mego życia, zmówiłam gorącą modlitwę i rozmyślałam o rybim niebie. Cokolwiek się w nim mieściło, miałam nadzieję, że mój dzielny mały odkrywca będzie miał dużo radości z nowej ekspedycji.

Potem zmartwiona usiadłam przed komputerem, żeby wyszukać w Google'u wiadomości o przerwaniu przedłużania obrad i uchwaleniu ustawy. Pomimo szczerego smutku z powodu zgonu Shackletona, zdołałam odzyskać pogodne poczucie dumy wobec wydarzeń ostatnich dni i chciałam przejrzeć wszystkie artykuły. Ale w miarę lektury moja satysfakcja szybko wyparowała. Właściwie w każdym z tekstów całą zasługę przypisywano Bramenowi. Najwyraźniej jego „nieoficjalne” komentarze wywołały zamierzony efekt. Zdołał wmówić dziennikarzom, że był główną siłą sprawczą.

Co gorsza, większość artykułów zawierała paskudną wypowiedź anonimowego pracownika Bramena, który opisywał, jak w batalii o ustawę „RG i jego ekipa byli ciężarem, który Bramen musiał targać na plecach. To amatorzy, a my spędziliśmy dużo czasu, sprzątając po nich bałagan”.

Zdrada! Wiedziałam, że powinniśmy włożyć więcej wysiłku w prostowanie wypowiedzi dla prasy. Bramen unikał bezpośrednich komentarzy, ale jego załoga najwyraźniej nie.

A ten tekst pachniał Natalie. Jak śmiała?! To nowy szczyt podłości, nawet jak na złowieszczonego robota. Aaron miał szczęście, że wyszedł, bo na pewno wyładowałabym na nim świeżo rozgorzałą wściekłość. Milion razy pytałam go, jak może pracować z tak okropnymi ludźmi? Wypowiedź zamieszczona w artykułach była bezsensownie destrukcyjna i złośliwa, nie mówiąc już o tym, że kłamliwa. Pracowaliśmy razem i ustawa przeszła. Dlaczego Natalie musiała zatruwać zwycięstwo, oczerniając nas w paskudny sposób? Czy naprawdę trzeba było grać według takich reguł? W takim razie głosowałam za ich zmianą. I jakimś zadośćuczynieniem, jeśli można.

Jedynym artykułem, który nie przypisywał całej zasługi Bramenowi i nie zawierał tego obrzydliwego cytatu, był tekst Charliego Lawtona w „Washington Post”. Zdumiałam się. Uważałam go za niesprawiedliwego i krytycznego, więc założyłam, że i w tej kwestii poparł wroga. Może chciał pokazać się z innej strony. Doceniłam fakt, iż napisał artykuł znacznie bardziej odpowiadający prawdzie niż inne, ale nie zatarł tym swych dawnych występków. Nadal go nienawidziłam. Bogowie, ostatnio nienawidziłam tylu osób. To nie mogło być zdrowe. Spojrzałam na puste akwarium Shackletona i ogarnęło mnie przytłaczające poczucie straty.

Liza nalegała, bym uciekła z mieszkania. Zgodziłam się, gdy zaproponowała wycieczkę do Narodowego Muzeum Historii Naturalnej. Była to altruistyczna propozycja - wiedziała, że uwielbiam tam chodzić. Postanowiłam się odwzajemnić i w trakcie spotkania oderwać od własnych problemów, a skoncentrować na jej.

- A jak tam Ryan? - spytałam, gdy Liza przekrzywiła głowę, by przyrzeć się afrykańskiemu słoniowi w głównej rotundzie muzeum.

Lubiłam słonia, lecz tak naprawdę nie mogłam się doczekać Sali Dinozaurów, gdzie mogłam przeczytać wszystkie te

dziwne nazwy gatunków. Najbardziej podobał mi się albertozaurus.

- Szczerze mówiąc, zaczynam mieć co do niego wątpliwości - odparła.

Naprawdę? Dobra wiadomość. Czyżby nastąpiło długo oczekiwane oświecenie?

- Och? - rzuciłam zwyczajnym tonem. - Jak to?

Skrzywiła się niepewnie.

- Trochę mnie męczy, że tak często źle się przy nim czuję. To urodzony flirciarz, zdaje sobie sprawę, więc nie powinnam traktować tego zbyt poważnie, ale on przystawia się do innych kobiet nawet w mojej obecności - powiedziała słabo.

- To znaczy nie naprawdę - wyjaśniła pospiesznie. - Gdyby znały Ryana, wiedziałyby, że nie mówi serio, ale go nie znają, więc patrzą na mnie dziwnie. Nie wiem, może po prostu mam paranoję.

Byłam całkiem pewna, że nie.

- Nie powinnaś się na to godzić - stwierdziłam.

- Racja - westchnęła. - Czy Aaron tak się zachowuje?

- Nie - odparłam łagodnie. - Ale wszyscy faceci mają wady. Aaron z pewnością nie jest ideałem.

- To na pewno - parsknęła Liza.

- Co masz na myśli? - spytałam zaskoczona.

Zawsze zakładałam, że Liza lubi Aarona.

- Och, nic, nic - powiedziała szybko.

Nie uwierzyłam. A ona wzięła głęboki wdech, odchrząknęła i wyjaśniła.

- Tylko, e... może on nie jest dla ciebie odpowiedni - wypuściła powietrze. - Może jest - dodała szybko. - Ale może nie.

Nie patrzyła na mnie i wiedziałam, że walczy ze sobą, by podzielić się swoją opinią. Jej wyraźna niepewność pomogła mi kontrolować gniew. Była moją najlepszą przyjaciółką i choć zaskoczyło mnie, jak szybko rozmowa przeszła z kwestionowania jej uczuciowych wyborów do kwestionowania

moich, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że może do czegoś zmierzała.

Ostatnio zaczęłam unikać zbyt intensywnego rozmyślania o mojej i Aarona przyszłości, ponieważ gdy to robiłam, wydawała mi się niewyraźna i mętna. Czy to oznaczało, że jestem z niewłaściwą osobą? A może po prostu powinnam cieszyć się chwilą, korzystać z młodości i dobrze się bawić? Wolałam to drugie wytłumaczenie. Wiedziałam, że Aaron nie jest idealny, ale nikt nie był. Przecież na Capitol Hill romans, jak wszystko inne, wymagał różnych ustępstw. Pracowaliśmy w miejscu pełnym kompromisów, więc nie dziwiło mnie, że ich duch przekradł się do naszego związku.

- Może tak, może nie - odparłam wreszcie. - Za wcześnie, by stwierdzić. Ale co zamierzasz zrobić z Ryanem?

Liza wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

- Chyba po prostu przyjrzę mu się świeżym okiem.

Wydawało się, że to najlepsza rzecz, jaką obie możemy w tym momencie zrobić. Gdy w Sali Odkryć podeszliśmy do wystawy poświęconej Braille'owi, Liza ponownie na mnie spojrzała. W jej oczach dało się wyczytać cierpienie.

- Czy ja zawsze wybieram okropnych facetów? - spytała żałośnie.

Choć cieszyłam się, że wróciłyśmy do rozmowy o niej, ze smutkiem patrzyłam na jej oczywisty ból.

- Jasne, że nie - skłamałam. - Po prostu trudno znaleźć faceta, który naprawdę zasługiwałby, żeby z tobą być.

Ostatnia część była prawdziwa. Liza miała skłonność do wybierania sobie niewłaściwych chłopaków, ale to nie oznaczało, że na nich zasługiwała. Nie wiedziałam, jak jej pomóc, oprócz modlenia się, by jakiś wspaniały mężczyzna pojawił się na jej drodze, zanim zbyt mocno zwiąże się z jednym z tych głupców.

- Dzięki - powiedziała z wdzięcznością.

Poniedziałkowy ranek nadszedł szybko i wracając do pracy po odniesionym zwycięstwie, byłam szczęśliwa. Wyczuwałam pozytywną zmianę w sposobie, w jaki patrzyli na mnie ludzie w biurze. Nawet Janet zdawała się traktować mnie nieco bardziej serio. Starałam się kontrolować i nie marzyć o tym, że zostałam biurową gwiazdą rocka, ale nie było to łatwe. Zawsze chciałam zostać gwiazdą rocka. Nadawali sobie takie przydomki jak Slash czy The Edge zupełnie na poważnie.

Senat przyjął ostateczną wersję budżetu i zawiesił obrady do Nowego Roku, co całkowicie zmieniło gorączkową atmosferę, która panowała na Capitol Hill od początku września. Choć prace trwały, nastrój był bardziej rozluźniony, świąteczny. I zanim zdążyłam się zorientować, od Święta Dziękczynienia dzieliły mnie już tylko dwadzieścia cztery godziny.

Znowu byliśmy z Aaronem w dobrych stosunkach. Po tym, jak wyrzuciłam go z mieszkania, kupił mi kwiaty i uczynił małą donację w imieniu Shackletona na rzecz Towarzystwa Cousteau. A najważniejsze, że zadzwonił, by wyrazić oburzenie z powodu wypowiedzi Natalie.

- Powiem Natalie, co o niej sędzę. I porozmawiam z Bramenem. Wiem, że go nie lubisz, ale można się z nim dogadać. A taka sprawa nie może nikomu uść na sucho. Wypowiedź Natalie jest kłamliwa i źle się odbija na nas wszystkich. Poza tym rani cię, co jest niewybaczalne. Natalie się nie wywinie. Nie pozwolę na to.

Brzmiało to tak, jakby był szczerze oburzony. Uznałam, że zapewni mi odpowiednią obronę i wsparcie. Później opisał kłótnię, w którą wdał się z Natalie, i jak Bramen zgodził się poruszyć tę kwestię na zebraniu zespołu. Choć potrafiłam o siebie zadbać, doceniałam, że Aaron stanął po mojej stronie. Dobrze było znaleźć się w jego ramionach, wiedząc, jak o mnie dba. Tuliłam się do niego i żałowałam, że muszę wyjechać.

- Będiesz za mną tęsknił? - spytałam.

- Oczywiście. Bez ciebie to miejsce nie będzie takie samo
- odparł, pomagając mi zebrać kilka ubrań, które rozrzuciłam w jego pokoju.

Powiedział to w drodze na lotnisko. Mieliliśmy do pokonania jeszcze dwa przystanki i w sennym otumanieniu wywołanym jazdą metrem oparłam głowę na ramieniu Aarona. Ukrył twarz w moich włosach.

- Hej, kochanie? Nie śpisz? - spytał.

Wbrew samej sobie natychmiast usiadłam wyprostowana. Czy właśnie nazwał mnie „kochaniem”? Nigdy nie zwracał się do mnie inaczej niż po imieniu lub „skarbie”. Co oznaczało użycie tego nowego, czulego zwrotu? Czy powinniśmy o tym porozmawiać?

- Jak mnie właśnie nazwałeś? - spytałam z niedowierzaniem.

Wyglądał na zakłopotanego. Zbyt późno uświadomiłam sobie, że nie powinnam robić z tego wielkiego halo.

- Nic nie powiedziałem - odparł słabo.

Świetnie, wprowadziłam go w zakłopotanie. Dlaczego nie potrafiłam przyjąć tego spokojniej?

- Sądzę, że właśnie nazwałeś mnie „kochaniem”, co mi bardzo odpowiada - powiedziałam mniej ostrym, a bardziej zachęcającym tonem.

Wyglądało na to, że mu ulżyło. Nie chciałam się nad tym rozwodzić, ale „kochanie” wzięło mnie z zaskoczenia. Tak nie pasowało do stylu Aarona, że chciałam się po prostu upewnić, iż naprawdę to powiedział. Pocałował mnie czule i zapewnił, że tak.

Zbyt szybko znaleźliśmy się na właściwym przystanku. Niechętnie opuściłam Aarona i przebiłam się przez tłum pasażerów do Cincinnati, szczęśliwa z powodu bycia czymś kochaniem.

Brak zaufania

Rodzice razem odebrali mnie z lotniska, przez co miałam wrażenie, że naprawdę się zestarzelili. W moim przekonaniu tylko starsze pary, które nie musiały się już przejmować miliardami problemów dnia codziennego, miały czas lub cierpliwość, by wspólnie wybierać się po dziecko. Zatem choć ucieszyłam się na ich widok, wywołał on również lekkie przygnębienie.

Gdy ruszaliśmy sprzed lotniska i wyjeżdżaliśmy na autostradę, która miała nas poprowadzić pięćdziesiąt mil od Cincinnati do naszej farmy, oparłam się na siedzeniu i wczułam w rolę jedynaczki. Mama obróciła się, by skupić całą uwagę na mnie.

- Jadłaś kiedyś indykaczkurczaka? - spytała podekscytowana.

- Co? - spytałam ostrożnie.

- Indykaczkurczak - odparła cierpliwie mama. - To indyk nadziewany kaczką nadziewaną kurczakiem. Indykaczkurczak.

Przez chwilę wyobrażałam sobie, że mama bierze udział w jakimś zaklinaniu pszczół. Jej wymowa była całkiem profesjonalna.

- Chyba nigdy o tym nie słyszałam - odpowiedziałam.

W rzeczywistości byłam pewna, że nie. Indykaczkurczak. Ciekawe. Brzmiało jak coś, co przyśniłoby się obrońcy zwierząt w najbardziej paranoidalnym koszmarze.

- Twoja matka postanowiła podać to jutro zamiast tradycyjnego nudnego indyka - wyjaśnił tata, uśmiechając się do mnie w lusterku.

- Interesujące - odparłam. - Ale, mamó, czy nie chciałaś czasem zostać wegetarianką?

Wspominała o tym kilka tygodni wcześniej. Przypisałam to przewlekłemu wpływowi Paula McCartneya. Ostatnio sporo było o nim w prasie.

- Tak, próbowałam nawet - odpowiedziała. - Właściwie przez kilka dni byłam wegetarianką, ale potem zobaczyłam na History Channel program, w którym powiedzieli, że Hitler był wegetarianinem, i zaczęło mi to wyglądać na ciemną ścieżkę.

Tylko pokiwałam głową, a mama ciągnęła:

- Więc szykuj się na indykaczkurczaka. Przygotowuje się go nieco dłużej niż indyka.

Tak właśnie podejrzewałam. Na myśl o szczegółach technicznych czułam pewien wstręt i miałam nadzieję, że rodzice zajmą się wszystkim. Nadrobię to w dziale tłuczonych ziemniaków i sosów.

Później, rozpakowując się w swoim dawnym pokoju, odkryłam, że zapomniałam wziąć ładowarki do BlackBerry. Biorąc pod uwagę fakt, iż farma rodziców była zbyt odosobniona, by nawet komórka miała tu zasięg, zapewne brak ładowarki niepotrzebnie mnie sfrustrował. Na szczęście pamiętałam, jak wysyła się e-maile z normalnego komputera. Niestety, rodzice zrezygnowali z łącza internetowego, które zafundowałam im z okazji rocznicy ślubu, bo uważali je za zbyt drogie.

- Ale przecież ja za nie płaciłam - zaprotestowałam.

- Wiemy, kochanie - powiedziała mama. - I doceniamy to. Po prostu nie korzystaliśmy z niego tyle, żeby warto było ponosić aż takie wydatki. Nie zarabiasz za dużo.

Miała rację, nie mogłam więc oponować, ale w wyborze prezentu kierowałam się dość egoistycznymi pobudkami, ponieważ podczas wizyt w domu gwarantował mi dostęp do internetu. Najwyraźniej plan zawiódł.

Zwalczyłam krótki atak paniki na myśl o tym, jak bardzo uzależniłam się od elektroniki. Nie jestem w pułapce, powiedziałam sobie. To ma być czas relaksu, do cholery.

- Czy przynajmniej wciąż mamy telefon? - spytałam z wymuszonym spokojem.

Może przestawili się na tańszy system z gołębiami pocztowymi?

- Oczywiście, kochanie - powiedziała mama. - A do kogo tak ostatnio wydzwaniasz?

Zawahałam się. Czy chciałam im powiedzieć o Aaronie? Czy nowiny o romansie ucieszyłyby ich, czy też spowodowały przyływ nadmiernej opiekuńczości? Nigdy nie byłam pewna, jak zareagują. Rodzice zawsze z szalonym powodzeniem wprawiali moich chłopaków w zakłopotanie, choć stosowali różne metody, by osiągnąć ten wspólny cel. Mama była nadmiernie nadskakująca, niczym sprzedawczyni moich wdzięków, a ojciec po cichu krytyczny i zdystansowany. Nic dziwnego, że mężczyźni często oskarżali mnie o wysyłanie sprzecznych sygnałów. Tak zostałam wychowana. Weszło mi to w krew.

Z drugiej strony miałam dwadzieścia sześć lat i jeśli Aaron wyrzeknie się swojego szefa oraz zmieni kilka innych rzeczy, może skończyć jako zięć moich rodziców. Chyba lepiej poinformować ich o jego istnieniu.

- Cóż, spotykam się kimś - zaczęłam.

- Och, naprawdę? - pisnęła mama.

- Czy to jakiś bufon z Waszyngtonu? - spytał ojciec nieco ostro.

Zaczęło się.

- Ma na imię Aaron i nie jest z DC, ale pracuje tam od czterech lat. Pisze mowy dla senatora Bramena - powiedziałam spokojnie, zwalczając dławiący odruch, gdy doszłam do jego nazwiska.

Czułam się trochę tak, jakbym wygłaszała szkolną prezentację. Z tą różnicą, że recytowałam fakty dotyczące mojego

chłopaka, a nie Beatlesów. Dzięki uwielbieniu matki dla brytyjskiego rocka był to pierwszy i jedyny rodzaj muzyki, z jaką miałam kontakt w dzieciństwie. Lubiłam wszystkie zespoły, ale zapalałam wyjątkową sympatią do Beatlesów, co w okresie podstawówki przerodziło się w rodzaj obsesji. Wszystkie moje szkolne wypracowania aż do siódmej klasy dotyczyły Beatlesów. Nauczyciele na próżno posyłali do domu listy z prośbami, by rodzice spróbowali poszerzyć te zainteresowania. Słuchałam ich spokojnie, a potem zupełnie nieporuszona drobniaczkowo planowałam następną wypowiedź ustną na temat Cudownej Czwórki.

Zanim uświadomiłam sobie istnienie Steve'a Martina, świat mojej wyobraźni kręcił się wokół Johna Lennona, George'a Harrisona, Ringo Starra i Paula McCartneya. Nadal potrafiłam zaśpiewać każdą piosenkę, jaką kiedykolwiek nagrali, nie opuszczając ani słowa czy gitarowego akordu, ale z biegiem lat wykształciłam też dalsze zainteresowania, zapewne ku uldze rodziców i nauczycieli.

- Nie lubię Bramena - powiedział ponuro tata. - Jest w nim coś śliskiego.

W pełni podzielałam tę opinię, ale zastanawiałam się, na ile antypatia taty wynikała z faktu, że Aaron dla niego pracował.

- I wygląda, jakby zbyt dużo czasu poświęcał na szczotkowanie włosów - ciągnął ojciec. Fryzura Bramena rzeczywiście była napuszona.

- Ma większe problemy niż z włosami - dołączyła mama. - Zawsze zwraca się do ludzi z góry. Tak naprawdę to dureń.

No nie. Zgadzałam się z krytyką rodziców, ale miałam nadzieję, że nie przeleją negatywnych odczuć w stosunku do Bramena na mojego potencjalnego męża. Sama musiałam mocno się starać, by tego nie robić.

- Tak, Bramen to okropny człowiek, ale Aaron nie jest taki zły - powiedziałam łagodnie.

- Och, jestem pewna, że jest cudowny, kochanie - odparta mama. - Opowiedz mi o nim wszystko!

Tata wrócił do krzyżówki, ale widziałam, że słucha.

- Okay, zobaczmy. Jest przystojny, inteligentny i słodki, i...

- Jak przystojny? - przerwała mama. - Wywołuje u ciebie trądzik na szyi?

- To wysypka, mamó - odparłam gniewnie. - I tak, wywołuje.

Mama kiwała głową.

- Poszłaś z tym kiedyś do dermatologa? - spytała. - Na pewno znalazłby się na to jakiś krem czy coś.

Spojrzałam na nią ostro.

- Co? - spytała niewinnie. - Och, przepraszam, kontynuuj. Więc jest naprawdę przystojny...

- Tak. I ambitny, i zabawny, i...

- Ile ma lat? - spytał ojciec, udowadniając, że nie był zajęty krzyżówką, co wcześniej sugerowała jego postawa.

- Dwadzieścia dziewięć - odparłam.

- Więc jest na tyle dorosły, by wiedzieć, że nie warto pracować dla kogoś takiego jak Bramen.

Ciekawa uwaga. Może skończylibyśmy już rozmawiać o Aaronie.

- Tak, to pewien problem w naszym związku, ale związki polegają na kompromisach, prawda? Poza tym może go kiedyś poznacie i sami ocenicie.

Tata wyglądał na nieprzychylnego, mama promieniała. Miałam nikłą nadzieję, że skoro moje uczucia dla Aarona różniły się od tych, które żywiłam wobec byłych chłopaków, rozmowa na jego temat może odbiec od zwykłego schematu. Nie spotkało mnie takie szczęście. Najwyraźniej powrót do domu oznaczał również powrót do ról odgrywanych zawsze w niekończącej się rodzinnej sztuce. Zapewne rodzice nie uważali, że Aaron był na tyle wyjątkowy, by zasługiwać na nowy scenariusz, w którym tata nie musiałby się irytować

i być krytyczny, a mama nie musiałyby mnie zawstydząć. A czy ja sama wierzyłam, że Aaron na to zasługuje? Miałam taką nadzieję. Zamierzałam się dowiedzieć przed rozpoczęciem drugiego aktu.

Gdy później tego wieczoru wykręcałam numer Aarona, nasłuchiwałam ostrzegawczego dźwięku wydawanego przez matkę starającą się nie oddychać za głośno. Nie podsłuchiwała często, ale raz na jakiś czas zwyciężała jej ciekawość. Przypuszczałam, że popołudniowe rewelacje na temat nowego chłopaka mogły się do tego przyczynić, więc nastawiałam ucha. Nigdy nie była w tym dobra. Jak można sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę jej opinię na temat łącza internetowego, mama nie znała się na najnowszych osiągnięciach technologii. By podsłuchiwać, nie używała opcji wyciszenia, po prostu starała się podnieść słuchawkę w odpowiednim momencie i być bardzo cicho. Potem, koncentrując się na zachowaniu ciszy, czyniła to zbyt świadomie i w rezultacie oddychała głośniej, aż wreszcie spanikowana przyduśczała słuchawkę poduszką lub kocem. Moje wyćwiczone ucho rejestrowało cały proces, nawet gdy nie przerywałam konwersacji z rozmówcą.

Nie usłyszałam jej od razu, co i tak nie miało znaczenia, bo Aaron nie odbierał komórki. Naprawdę nienawidziłam sytuacji, gdy nie mogłam się z nim skontaktować. Wywoływało to u mnie spiralę paniki, która była zarówno wyczerpująca, jak i niewłaściwa. Ale nie umiałam jej zwalczyć. Musiałam wiedzieć, gdzie Aaron jest i dlaczego nie odbiera. A żebym uzyskała tę informację, musiał odebrać i mi powiedzieć. Wszystko to doprowadzało mnie do wściekłości.

Nie żywiłam też entuzjazmu wobec funkcji nieodebranych połączeń na telefonach komórkowych. Ponieważ na początku kariery w Waszyngtonie tak się sparzyłam przy incydencie z identyfikacją dzwoniącego, byłam boleśnie świadoma istnienia technologii, która pozwalała udokumentować moją

manię. Za każdym razem, gdy telefon Aarona przestawiał się na pocztę głosową, wiedziałam, że zapisuje również kolejne nieodebrane połączenie z numeru moich rodziców. Tylko to powstrzymało mnie przed zadzwonieniem więcej niż sześć razy.

Jednak przy tym dozwolonym szóstym razie jego sygnał, zamiast podzwonić dłużej, przeszedł natychmiast na pocztę głosową. To oznaczało, że Aaron albo wyłączył telefon, albo rozmawiał z nim ktoś inny. Tak czy siak, nie byłam zadowolona. Jeśli wyłączył telefon, musiał wcześniej zobaczyć nieodebrane połączenia i wiedział, że starałam się z nim skontaktować. W takim wypadku na pewno by się odezwał. Zostawiłam na poczcie wiadomość, by oddzwonił do moich rodziców. Jeśli ktoś inny dzwonił w tym samym czasie, kto to był i jak się połączył? Postanowiłam przełamać limit i zadzwonić po raz siódmy, by rozstrzygnąć tę kwestię.

Przeszedł od razu na sekretarkę. Hm, wciąż z kimś rozmawiał. Na ósme połączenie również natychmiast odpowiedziała poczta głosowa. Okay, zatem pewnie wyłączył telefon. Po dwudziestu minutach tortury zmusiłam się do zakończenia spekulacji, dlaczego Aaron zrobił coś takiego bez odsłuchania mojej wiadomości i oddzwonienia. Postanowiłam pójść spać i zgłębić tajemnicę następnego dnia.

Gdy weszłam do swojego pokoju, Kitty rozłożyła się zaborczo na łóżku. Kitty była siedemnastoletnią kotką, której na pewno nie ja nadałam imię. Choć zawsze kochałam zwierzęta, koty wprawiały mnie w zakłopotanie. Nawet gdy jako mała dziewczynka spędzałam długie godziny w zoo, planując misję ratunkową dla uwięzionych tam stworzeń, nigdy nie ułożyłam pewnej drogi ucieczki dla lwów, tygrysów i panter. Całkowicie odbierały mi odwagę.

Kitty zaś musiała wyczuwać tę niezdolność do kontaktu z wszystkim, co kocie, ponieważ od początku traktowała mnie z litością zmieszaną z pogardą. Tolerowała moje istnienie,

ale nie chciała mieć ze mną wiele wspólnego. Wielokrotnie przyłapałam ją na mierzeniu mnie diabelskim wzrokiem, jakby planowała, jak pozbyć się czegoś, co można było określić jako kłopotliwą przeszkodę na drodze do nieprzerwanego karmienia i czułości ze strony moich rodziców. Dzięki Kitty odczułam, czym może być rywalizacja między rodzeństwem.

Oceniałam sytuację, a Kitty spoglądała na mnie lekceważąco przez półprzymknięte powieki. Choć była już starym kotem, nadal promieniowała energią. Przybrała lekko wyzywającą postawę. Uznałam, że sobie poradzę.

- Tak jest, wróciłam - powiedziałam zdecydowanym tonem.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Wiem, że nie chcesz spać w jednym pokoju ze mną, więc w końcu będziesz musiała wyjść - ciągnęłam.

Mrugnęła i ziewnęła szeroko.

- Dobra, nie żartuję, kładę się spać - ostrzegłam.

Podeszłam i ostrożnie odgarnęłam pościel. Gdy wsuwałam się pod przykrycie, Kitty machnęła lewą łapą, zostawiając na mojej skórze długie płaskie zadrapanie, po czym zeskoczyła na podłogę. Auć. Obejrzałam ranę, próbując przypomnieć sobie objawy choroby kociego pazura. Linię zadrapania znańczyły maluteńkie kropelki krwi. Okay, pamiętałam, że najważniejszym symptomem były obrzmiałe węzły chłonne pod pachami, na szyi lub w pachwinach. Pewnie trzeba poczekać kilka godzin, by to sprawdzić, choć szyję już miałam obolałą.

Księga chorób i dolegliwości leżąca na stoliku przy łóżku poinformowała mnie, że innymi objawami, na które powinnam zwrócić uwagę, były niewysoka gorączka, brak apetytu, ogólne zmęczenie i bóle głowy. Czy powinnam powiadomić rodziców o moim stanie? A co, jeśli w środku nocy stracę przytomność i popadnę w jakąś wywołaną podrapaniem przez kota śpiączkę? Tylko Kitty wiedziałaby, co się ze mną stało, a jej z pewnością nie mogłam ufać.

Spojrzałam na zegar. Wiedziałam, że rodzice już śpią, a nie byłam przekonana, czy obudzenie ich w sprawie niepokojącego stanu mojego zdrowia okazałoby się najlepszym posunięciem. Ale co z ryzykiem śpiączki? Postanowiłam napisać list. Gdy ukończyłam wstępną wersję, która łagodnie, lecz jasno tłumaczyła rodzicom, co dokładnie się wydarzyło i kogo należy za to winić, posmarowałam ranę maścią i wróciłam do łóżka. Moim ostatnim posunięciem było nastawienie budzika na środek nocy. Jeśli się obudzę, to znaczy, że nie zapadłam w śpiączkę, co z pewnością będzie wielką ulgą.

Obudziłam się gwałtownie o trzeciej w nocy przy zenujących dźwiękach piosenki Hansonów. Powoli uświadomiłam sobie swoje położenie. Przebywałam w domu, Kitty była moim zaciętym wrogiem, a o ile mogłam stwierdzić, nie znajdowałam się w śpiączce. Chciałam sprawdzić, czy mam opuchnięte węzły chłonne, lecz nie udało mi się to, ponieważ moja ręka zasnęła. Zamknęłam oczy i wkrótce do niej dołączyłam.

Cały następny dzień zdominowało przygotowywanie indykaczkurczaka. Okazał się bardzo smaczny, choć jedzenie go przypominało nieco eksperyment naukowy. Po posiłku odegraliśmy kilka rund dupka, pijackiej gry, której nauczyłam rodziców w pewne bardzo długie i samotne ferie zimowe na pierwszym roku studiów. Nie była to w zasadzie gra trzy osobowa ani taka, w którą powinno się grać z rodzicami, ale dorastając jako jedynaczka, nauczyłam się dostosowywać gry do mniejszej liczby zawodników oraz tolerować mamę i tatę jako jedynych dostępnych partnerów. Na szczęście rodzice byli otwartymi ludźmi, którzy potrafili zaskakująco dobrze się bawić. Natychmiast polubili dupka, akceptując nieprzyzwoitą nazwę jako część surowego uroku gry. Tata nadal się wahał, gdy reguły wymagały, by nazwał mamę lub mnie

dupkiem, za to mama nie miała żadnych oporów. Zawsze ogarniał ją duch współzawodnictwa i bywała nieco agresywna, gdy udało jej się zdobyć najwyższe „prezydenckie” stanowisko.

- Pij, dupku! - warknęła na mnie.

Posłusznie wlałam w siebie coronę, zbyt już nawykła do gry, by uważać za dziwną sytuację, w której matka namawiała mnie do popijawy.

- A ty, wicedupku, idź przygotuj nam więcej limonek - zakrzyknęła na tatę.

Jego spojrzenie, gdy odłożył karty i skierował się do kuchni, komunikowało, że mamy wspólny cel. Naprawdę musieliśmy ją pobić w następnej kolejce. Nieważne, które z nas uzyska promocję. Skinięciem głowy potwierdziłam gotowość do współpracy.

Właściwie zajęło nam to trzy kolejne rundy, ale w końcu mama została zdegradowana do dupka. Przypadkiem w tym samym czasie zdążyła znudzić się grą. Zamiast wszczynać kłótnię, następną godzinę graliśmy w kalambury, a potem w mini-football na podwórzu i zorganizowaliśmy konkurs jedzenia placka dyniowego. Po zapadnięciu zmroku byłam wyczerpana i tak objedzona, że czułam dyskomfort i wyrzuty sumienia.

Gdy wróciłam do pokoju, a rodzice szykowali się do snu, przejrzałam album zdjęć z liceum i pomyślałam o Ricku Hagenie, moim byłym chłopaku. Chodziliśmy ze sobą przez ostatnie dwa lata szkoły i pewnie z radością zostałabym z nim dłużej, gdyby nie rzucił mnie tydzień po zakończeniu nauki dla drugorocznej cheerleaderki. Patrząc wstecz, zdecydowanie dobrze się stało, że zerwaliśmy, choć wtedy oczywiście czułam inaczej. Rick odnalazł mnie w połowie pierwszego roku studiów, by wyrazić skruchę oraz nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. W chwili łaskawości zgodziłam się. Od tamtej pory widywaliśmy się sporadycznie, zawsze gdy wracałam do domu. Nie chciałam znowu go poderwać czy

dokonać zemsty - po prostu miło było utrzymywać z nim kontakt. Zamknęłam album i wykręciłam numer Ricka.

Umówiliśmy się na drinka w Czarnym Ogierze, barze w sąsiedztwie, który istniał, odkąd pamiętam. Zawsze przyciągał mnie stojący dęba tekturowy koń nad drzwiami i często błagałam rodziców, by mnie zabrali do środka. Gdy miałam dwanaście lat, mama jedyny raz pozwoliła mi tam zajrzeć, i teraz dziwnie się czułam, legalnie przebywając w zaciemnionym postarzałym wnętrzu.

Rick był równie przystojny, jak zapamiętałam. Zaprosiliśmy jeszcze kilkoro znajomych i gdy czekaliśmy na nich przy stoliku w rogu, czas upływał nam na żartach oraz wspomnianiu wydarzeń z liceum. Po kilku drinkach mogłam nawet udawać, że podchodzę do naszego zerwania dojrzałe.

- Więc nadal utrzymujesz kontakt z Misty? - spytałam luźno.

Tak się nazywała cheerleaderka. Była pewna siebie, sprężysta i w niczym niepodobna do mnie.

- Nie - pokręcił głową Rick.

Ucieszyłam się. Choć twierdziłam, że nie życzę jej niczego złego, po cichu pragnęłam, by Misty wiodła nudne nieudane życie w jakiejś bardzo nieciekawej okolicy. Wiedziałam, że to dziecinne i nieżyczliwe podejście. Dlatego utrzymywałam je w tajemnicy.

- Słyszałam, że jest modelką we Włoszech - dodał Rick.

Hm. Cóż, może była znudzoną, nieodnoszącą sukcesów modelką mieszkającą w wyjątkowo kiepskim rejonie Włoch. Zawsze trzeba mieć nadzieję. Zmieniłam temat rozmowy i spytałam Ricka o jego ojca, który w zeszłym roku po wylewie doznał paraliżu. Rick wrócił niedawno, by zająć się rodzicami i farmą. Nie wydawał się przygnębiony takim obrotem spraw, a ja w jakiś sposób zawsze przeczuwałam, że tu skończy. We wspomnieniach należał do miejsc z mojej młodości, więc naturalnie wyobrażałam go sobie w tym otoczeniu.

O 23.30 stało się jasne, że pozostali znajomi się nie zjawią. Z powodu piwa i bliskiej zażyłości wpadłam w ciepły nostalgiczny nastrój. Wróciłam z toalety tuż po tym, jak barman oznajmił, że przyjmuje ostatnie zamówienia, a Rick spojrział na mnie z dłońmi leniwie opartymi na kolanach. Zawsze wyjątkowo podobały mi się jego kolana.

- Hej - uśmiechnął się.

- Co jest? - odpowiedziałam uśmiechem.

Fajnie było znowu się przy nim znaleźć. Szcątkowe emocje nadal wisiały w powietrzu między nami, ale w słodki odleżany sposób.

- Naprawdę świetnie cię zobaczyć, Sammy. Nieźle wyglądasz. Bardzo ładnie.

Rick nigdy nie nadużywał słów, więc potraktowałam komplement poważnie.

- Dzięki - powiedziałam z wdzięcznością.

Spojrzałam mu w oczy i stwierdziłam, że powinnam wracać. Nie zgodził się ze mną.

- Możemy spędzić jeszcze trochę czasu razem? - spytał, biorąc mnie za rękę. - Pokazałbym ci dom. Nie byłaś tam od lat.

To prawda. Uwielbiałam jego dom. To był dom pierwszych razów, a teraz mężczyzna, w którym po raz pierwszy się zakochałam, chciał mnie z powrotem. Zastanawiałam się, czy powiedzieć „tak”, częściowo ze względu na dawne czasy, a częściowo dlatego, że ostatnie dziewięć lat zdecydowanie się Rickowi przysłużyło, ale wiedziałam, że to nie wchodzi w grę.

- Och, nie mogę - odpowiedziałam ze śladem szczerego smutku w głosie. - Wiesz, mam chłopaka.

Rick skinął głową.

- Spodziewałem się, że masz - powiedział ze spuszczonym wzrokiem.

Nie puścił mojej dłoni, więc nieco mi ulżyło. A potem, gdy ponownie na mnie spojrział, poczułam się jeszcze lepiej.

- Mam nadzieję, że jesteś z nim szczęśliwa, Sammy. I że traktuje cię dobrze i nigdy nie popełni takiego błędu jak ja.

To było słodkie. Rick odwiózł mnie do domu i pocałowaliśmy się w policzek na pożegnanie, obiecując zostać w kontakcie. Jednak jego słowa jeszcze długo rozbrzmiewały w mojej głowie, wywołując nowe pytania, nad którymi nie chciałam się zastanawiać. Czy byłam szczęśliwa z Aaronem? Czy traktował mnie dobrze? Z pewnością popełniał błędy - czy wszystkie kompromisy były ich warte? Wykreśliłam numer Aarona z nadzieją, że usłyszę od niego trochę zapewnień.

Zamiast tego okazało się, że znowu ma wyłączoną komórkę. Zostawiłam wiadomość i siedziałam na łóżku, tłumiąc w sobie mieszanię alkoholu i irytacji. W umyśle tłoczyły się kolejne wątpliwości. Uciszyłam je bez przekonania.

Pokręciłam głową, wzięłam głęboki oddech i próbowałam przeanalizować fakty najlepiej, jak w danej chwili potrafiłam. Jasne, kilka razy zdarzyło się, że Aaron nie był dostępny pod telefonem czy BlackBerry i wiele nocy spędzaliśmy osobno. Jednak łatwo dało się to wytłumaczyć jego odpowiedzialnym, ważnym stanowiskiem. Będąc częścią tego samego środowiska, choć na niższym szczeblu, miałam świadomość, że praca na Capitol Hill może kompletnie podkopać życie osobiste.

W dodatku spędziłam z Aaronem dość czasu, by wiedzieć, że naprawdę byłam dla niego ważna, niezależnie od tego, czy miłosne wyznanie złożył na trzeźwo. I wyraźnie widziałam u niego dumę z niewzruszonych poglądów, więc przypisywałam mu wysokie normy etyczne. Pomijając to, że często się upijał. Ten niezaprzeczalny fakt kłócił się z założeniem o moralnych standardach. Tak samo jak praca dla Bramena. Hmm. Czy Aaron byłby zdolny do zdrady? Nawet jeśli jeszcze tego nie uczynił, czy istniało zagrożenie, że zrobi to w przyszłości? Nie potrafiłam pozbyć się wątpliwości co do naszego związku. Musiałam ustalić, czy wynikały z mojego charakteru, czy ze

sposobu, w jaki mnie traktował. Z pewnością nie czułam się spokojniejsza.

Gdy tak siedziałam w niepewności, ogarnęła mnie paląca potrzeba dotarcia do prawdy. Musiałam zebrać więcej dowodów, by przypisać winę jednej ze stron. Nie mogłam pozwolić, by paraliżowała mnie niewiedza, i w kółko roztrząsać nieprzyjemne możliwości. Ale jak zdobyć niezbędny materiał dowodowy? Jakie kroki podjąć, by dowiedzieć się więcej?

Spojrzenie na bezużyteczną komórkę sprawiło, że w mej głowie zabłysnął pomysł. Choć na farmie nie było zasięgu, nadal mogłam zadzwonić z linii stacjonarnej na swój numer i sprawdzić wiadomości. Odkryłam odpowiednią sztuczkę (niewymagającą zapamiętywania osobnego numeru do poczty głosowej), która polegała na wybraniu własnego numeru, a po zgłoszeniu się sekretarki wciśnięciu gwiazdki. Potem musiałam wklepać hasło, nacisnąć krzyżyk i zyskiwałam bezpośredni dostęp do wiadomości. Przypuszczałam, że mogę zrobić to samo z komórką Aarona. Potrzebowałam tylko jego hasła.

Wątpię, czy podjęłabym się tego nocnego szpiegowskiego eksperymentu, gdybym nie była lekko pijana, ale gdy już zaczęłam, zadziałał mój instynkt rywalizacji. Do diabła, musiałam odgadnąć ten kod. Nie mogłam przegrać z irytującym głosem informującym, że podałam złe hasło. Wybierałam numer Aarona raz po raz. Natychmiast przechodził na pocztę głosową, a ja naciskałam gwiazdkę i próbowałam odgadnąć kombinację. I raz po raz byłam odrzucana. Wykorzystałam wszystko, co zapamiętałam o Aaronie. Wpisałam imię jego pierwszego zwierzątka (chomik Stinky, którego przerobiłam nawet na pornopseudonim Stinky Funker, co uznałam za wyjątkowo zabawne), numer na koszulce bejsbolisty Dereka Jetera połączony z kodem pocztowym rodzinnego miasta Aarona, datę urodzin (był spod znaku Raka, czego astrologiczne znaczenie musiałam dopiero ustalić), jak również do-

wolne kombinacje numerów, które w moim przekonaniu mogły mu się podobać. Nic nie działało. Po godzinie zrezygnowałam, czując frustrację i zawstydzenie.

Obudziłam się następnego ranka z mocnym postanowieniem, by nigdy już nie zrobić czegoś równie okropnego. W kogo lub w co się zmieniałam? Nikomu nie mogę zdradzić, co próbowałam zrobić poprzedniej nocy. Powiem wyłącznie Lizie. Ale tylko w bardzo specjalnych okolicznościach połączonych z martini.

W południe wreszcie zadzwonił Aaron.

- Gdzie byłeś? - spytałam natychmiast.

Nie chciałam zabrzmieć jak zaborcza dziewczyna, ale do prawdy nie rozmawialiśmy od dobrych paru dni.

- Z rodziną. Pomyślałem, że jesteś z rodzicami równie zajęta co my, więc nie chciałem ci przeszkadzać - odparł.

Wydawał się zaskoczony moją postawą. I ogólnie niewinny. Czyżbym reagowała przesadnie?

- Kilka razy dzwoniłam do ciebie na komórkę - powiedziałam, starając się zachować spokojny ton. - Naprawdę chciałam z tobą porozmawiać.

- O Boże, przepraszam - odparł. - Zgubiłem ładowarkę i nie miałem czasu kupić nowej, kiedy wszyscy się zjechali.

Och. Okay. Tak jakby.

- Powinieneś był zadzwonić - stwierdziłam po prostu.

- Przepraszam, skarbie - odpowiedział. - Rodzina nie daje mi spokoju. Ale strasznie mi ciebie brakuje - ciągnął. - Jak tam Dzień Dziękczynienia?

Mówił tak normalnie i rozsądnie, że postanowiłam także przestawić się na ten ton. Może byłam nieco czepialska. Jasne, pewne siebie dziewczyny zwykle nie panikowały od razu, gdy tylko nie mogły się skontaktować ze swoimi chłopakami. Spróbuję udawać, że jestem jedną z nich.

- Hm, dobrze. Mieliśmy indykaczkurczaka - powiedziałam normalnym głosem.

- Naprawdę? Słyszałem o nich. Dużo drobiu - odparł Aaron.
- Tak, choć nadał nie rozumiem tego całego systemu. Czy indykaczkurczak to koncepcja dotycząca również innych mięs?
- Na przykład wołowięprzryba?

Wołowina nadtępowana wieprzowiną nadtępowana rybą, domyśliłam się.

- Właśnie, czy to kolejny smakołyk, o którym nic nie wiem? Bo nigdy nie słyszałam o indykaczkurczaku. Zaczynam podejrzewać, że jestem niedoinformowana kulinarnie - stwierdziłam.

- Hm, tak, będziemy musieli nad tym popracować. Sam nie jestem ekspertem, ale może coś się w tym kryje. Moglibyśmy stworzyć mnóstwo nowych dań, po prostu wpychając jedne zwierzęta w drugie.

Był to potencjalnie zabawny kierunek rozmowy, ale zaczęłam mieć lekkie mdłości. Postanowiłam zmienić temat.

- Dobrze się bawiłeś z rodziną? - spytałam.

- Tak, świetnie jest się z nimi zobaczyć. Spotkałem też paru znajomych, było całkiem fajnie. A ty? Widziałaś się z kimś oprócz rodziców?

Opowiedziałam mu skróconą wersję wydarzeń z zeszłego wieczoru, rozpluwając się nad spotkaniem z Fickiem i kończąc tuż przed sesją łamania kodu do poczty głosowej.

- Brzmi nieźle. Chodziłaś kiedyś z Rickiem? - spytał nonszalancko.

- Cóż, właściwie tak, chodziliśmy ze sobą w liceum, ale przez prawie dziesięć lat byliśmy tylko przyjaciółmi - odparłam.

- Aha, aha - odpowiedział nieco zbyt szybko. - Podrywał cię?

Oj, dylemat. Czy powinnam być z nim szczerą? Próbowałam szybko przeanalizować sytuację. W końcu chciałam, żeby był szczerzy ze mną, więc zdecydowałam się na podejście „nie rób drugiemu, co tobie...”, aczkolwiek ostrożnie.

- Zabawne, że pytasz. Trochę tak. Ale to nic takiego. Zdecydowanie mu się nie udało.

- Co powiedział? - spytał Aaron. - Zaprosił cię, żebyś poszła z nim do domu?

Nagle mówił jak prawnik, którym był z wykształcenia. Czy to oznaczało, że jest zazdrosny? Och, miałam taką nadzieję. Czułam się osamotniona w roli jedynej niepewnej osoby w naszym związku.

- Tak, zaprosił. Odmówiłam i nie nalegał.

- Okay. Sądziś, że jeszcze się z nim zobaczysz w czasie pobytu u rodziców? - ciągnął Aaron.

Był zazdrosny.

- Nie, nie sądzę. Hej, naprawdę za tobą tęsknię - spróbowałam.

- Ja za tobą też. Przepraszam za to wypytywanie. Po prostu nie lubię, jak podrywają cię twoi byli faceci - powiedział przepraszająco.

- Tak, ja też nie - skłamałam. - Co robisz wieczorem?

- Nie wiem. Na pewno znajdę sobie coś do roboty - odparł niekonkretnie.

- Aha. Słuchaj, masz jakąś szczęśliwą liczbę czy coś takiego? - spytałam i natychmiast pożałowałam, że nie zakamuflowałam lepiej tej kwestii.

- Słucham?

- Och, właśnie rozmawiałam z rodzicami o szczęśliwych liczbach i kolorach. Wiem, że nie lubisz pomarańczowego. Ulubioną cyfrą mojej mamy jest trzy. A ty masz jakąś?

Odezwała się jak nadpobudliwa czterolatka napchana lekami. Oby uznał to za słodkie.

- Hm... - wydawał się nieco zdezorientowany. - Chyba lubię pięćdziesiąt siedem - powiedział niepewnie.

- Jak sos Heinza pięćdziesiąt siedem? - spytałam.

- Nie, po prostu pięćdziesiąt siedem. Czy powinienem mieć szczęśliwą liczbę?

- To może pomóc - powiedziałam rzeczowo.

- Okay. Cóż, w takim razie decyduję się na pięćdziesiąt siedem. Albo dziewięć.

Był to wartościowy materiał do opracowania. Chociaż, zaraz, przysięgałam, że nigdy już nie będę próbowała odgadnąć jego hasła. Tak czy siak, dobrze było dowiedzieć się o Aaronie czegoś więcej.

- Wracasz jutro? - spytał.

- Tak, zgodnie z planem. Spotkamy się?

- Nie mogę się doczekać - powiedział poważnie.

Ja też byłam ucieszona tą perspektywą.

- I powiedz Rickowi, żeby się trzymał od ciebie z daleka - dodał z lekką pogroźką.

O rany. Nagle w porównaniu z nim to ja wydawałam się dobrze przystosowana. Uznałam za słodkie, że zachowywał się tak opiekuńczo. Odłożyłam słuchawkę z poczuciem lekkiego triumfu.

Weszłam do kuchni, gdzie rodzice zmywali właśnie naczynia.

- Jak się miewa Aaron? - spytała mama, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Gdy zadzwonił, odebrała, przedstawiła się i spytała o pogodę w Waszyngtonie, zanim oddała mi słuchawkę.

- W porządku - odparłam niezobowiązująco.

- Jest równie obrotny co Bramen? - spytał szorstko tata.

- Nie wiem - westchnęłam. - Nie sędzę.

- Mmm-hmm - wymamrotał krytycznie tata.

Nagle poczułam się wyczerpana interakcją z rodziną. W dodatku Kitty wkroczyła do kuchni i złożyła u mych stóp martwą mysz. Tak, zdecydowanie pora wracać.

Następnego popołudnia rodzice odwieźli mnie na lotnisko. Gdy ich ściszałam, tata wsunął mi kopertę.

- Taki drobiazg dla uczczenia tego, jak świetnie sobie radzisz w pracy - mrugnął do mnie. - Idź i spraw sobie coś ładnego. Jesteśmy z ciebie naprawdę dumni, Sammy.

I to natychmiast usunęło złe emocje. Nie chodziło o pieniądze - miałam nadzieję, że nie jestem aż tak płytka - lecz gest przypomniał mi, jak troskliwi i wspierający byli zawsze rodzice. Jasne, wychowali mnie w nieco zbrakowany sposób, ale nigdy nie wątpiłam, że jestem ogromnie kochana. W miarę jak dorastałam, coraz mocniej uświadamiałam sobie, jakie to wyjątkowe uczucie, i ogarniała mnie jeszcze większa wdzięczność. Wiedziałam, że niezależnie od tego, co mnie czeka, mam wsparcie małej, bardzo bliskiej domowej drużyny.

- Bezpiecznej podróży, dupku! - zawołała mama, gdy zniknęłam w ruchomych drzwiach.

Cokolwiek powiesz

Grudzień nadszedł w pośpiechu. Nagle miasto zmieniło się w tunel, w którym dmuchał agresywny zimowy wiatr. Przy tak zmiennej pogodzie nie mogłam wykluczyć przypadkowego powrotu ciepła, ale w powietrzu czuć było nowy, trwalszy zapach mrozu, a wczesne zmierzchy upewniły mnie, że przez dłuższy czas nie mam co liczyć na wysokie temperatury.

Atmosfera w biurze również uległa zmianie. Wydawało się, że po sukcesie ustawy RG wszystko nabrało nowego znaczenia. Pile czuł się zmuszony ją podpisać, co zrobił bez pompy i bez wątpienia z ciemnym grymasem na wydętych ustach. Grupy starszych obywateli i obrońców systemu opieki zdrowotnej powitały nowe prawo uśmiechami i wiwatami. Prasa poświęciła wydarzeniu znaczną ilość tuszu i pomimo największych wysiłków Bramena (oraz paru kolejnych, jeszcze gorszych wypowiedzi „anonimowych źródeł”) zainteresowanie osobą RG rosło, co przyczyniło się do przemiany biura w zabiegane i radosne miejsce. Odkąd Kongres zawiesił obrady, Gary spędzał większość czasu w Ohio, lecz prace trwały.

Plan zajęć Aarona stał się jeszcze bardziej szalony, ponieważ Bramen wykorzystywał parlamentarną przerwę na prowadzenie gorączkowej kampanii. W rezultacie Aaron nieustannie podróżował, wracając do DC tylko na parę dni w tygodniu. Choć było to uciążliwe, rozbudziło ogień w naszym związku, ponieważ gdy mogliśmy spędzać razem tak niewiele nocy, wszystkie nabrzmiałe urazy ustępowały wobec seksualnego napięcia. Jeśli związki opierały się na kompro-

misach, to nasze kompromisy dotyczyły głównie łóżkowych pozycji. Nie narzekałam. I choć nie miałam poczucia stabilności czy pewności, na pewno było podniecająco, co wystarczało, bym pozostawała uzależniona.

Tymczasem w drugim tygodniu grudnia na Capitol Hill zawitała grypa i uderzyła z podwójną siłą. Zwiększyłam przyjmowane dawki witaminy C i zastanawiałam się, jak zareagowałiby inni, gdybym założyła maskę chirurgiczną. Postanowiłam, że tymczasem się powstrzymam.

W ten czwartek Mona i ja towarzyszyłyśmy RG do Nowego Jorku, gdzie miał wystąpić w charakterze gościa na zjeździe Amerykańskiego Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów. Senator Bramen wycofał się w ostatniej chwili, by wziąć udział w bardzo ważnym przyjęciu z grillem w Des Moines, a Gary zgodził się go zastąpić. Poprosił Monę i mnie, żebyśmy z nim pojechały i służyły pomocą. Gdy wysiedliśmy na Penn Station, przygotowałam się na bezduszną atmosferę Nowego Jorku. To miejsce wydawało mi się pełne życia, ale przytłaczające. Chciałam poćwiczyć kontakty z metropolią i cieszyłam się, że mam ku temu okazję.

Na miejscu utorowaliśmy sobie drogę przez tłum aktywnych politycznie starszych obywateli, którzy powitali RG niczym bohatera. Gary wygłosił porywającą mowę i spędził na sali jeszcze godzinę, nim o ósmej wieczorem wrócił do hotelu. By usprawiedliwić nocleg, Mona zaplanowała śniadanie połączone ze zbiórką na cele charytatywne oraz spotkanie z miejscowymi przedstawicielami opieki zdrowotnej. Gdy przygotowywałyśmy materiały na następny dzień, wypiliśmy z nią dla rozluźnienia nieco wina.

- Więc chyba dobrze się wam układa z Markiem - powiedziałam pogodnie, gdy sączyłyśmy wino i układałyśmy dokumenty.

Nie obnosili się z romansem, ale był oczywisty dla wszystkich, którzy przyglądali się im uważniej. Codziennie jedli

razem lunch i zostawiali sobie na komputerach samoprzylepne karteczki ze słodkimi zaszyfrowanymi wiadomościami. Nie potrafiłam stwierdzić, czy są mi wdzięczni za zeswatanie, ale czułam satysfakcję z dobrze wykonanego zdania.

- Tak, świetnie. On naprawdę jest wspaniały - powiedziała z uśmiechem.

Nie wykazywała żadnej niepewności co do swojego związku. Biorąc pod uwagę dawne zadurzenie Marka, martwiłam się, że Mona będzie żywić wobec mnie niechęć. Nie wyglądało jednak na to, co przyjął z ulgą, ale i pewnym zaskoczeniem. Wątpiłam, czy na jej miejscu zachowałabym się równie dorośle.

- Ty i Aaron nadal jesteście razem? - spytała Mona po chwili przerwy.

- Aha - potaknęłam. - Ostatnio dużo podróżuje - westchnęłam.

- Z Bramenem? - spytała.

Czy w jej głosie pobrzmiwała krytyka? A może po prostu byłam przewrażliwiona?

- Tak. Fatalnie, że dla niego pracuje, ale wiesz, to dobre stanowisko - odparłam.

Mona skinęła głową. Wyglądała tak, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale zachowała to dla siebie. Upiła nieco wina. Niepewnie przełknęłam łyk i zaczęłam bełkotać na temat poświęceń, które są konieczne w związku. Skończyliśmy z raportami, po czym rozmowa na szczęście potoczyła się znacznie gładziej. Gdy każda z nas dopiła drugi kieliszek wina, Mona zaprosiła mnie na przyjęcie, na którym miała się wieczorem spotkać ze swoją przyjaciółką Jane.

- Tatą Jane jest Trey Gandon, facet od PR-u. Wydaje wielkie przyjęcie dla magazynu „CW” - wyjaśniła.

„CW” było nowym miesięcznikiem o tematyce politycznej i kulturalnej, który właśnie zaczął się ukazywać. Nie wiedziałam o związkach Mony z nowojorskim towarzystwem.

- Jane i ja dorastałyśmy razem w Chicago - wyjaśniła.
- Trey Gandon to stary przyjaciel moich rodziców. Jego niedawno zmarła żona była najlepszą przyjaciółką mojej mamy z liceum. Wiele nas łączy.

Zapomniałam o chicagowskich korzeniach Mony. Zawsze zakładałam, że każdy w biurze Gary'ego tak jak ja urodził się i wychował w Ohio, ale było kilka wyjątków. Mona ukończyła studia w Case Western Reserve w Cleveland i przeprowadziła się do Waszyngtonu wkrótce potem.

Udałyśmy się do centrum na przyjęcie i w wejściu spotkałyśmy Jane. Wewnątrz błyski fleszy rozświetlały pomieszczenia wypełnione olśniewającymi i ważnymi ludźmi.

- Jest jakaś szansa, że będzie tu Steve Martin? - spytałam Jane z nadzieją.

- Przejrzałam listę gości, ale chyba nie widziałam jego nazwiska - odparła.

W porządku. I tak nie wyglądałam zbyt kusząco. Nieświadoma możliwości, że znajdę się na uroczystej imprezie, nie zapakowałam niczego wyjątkowego. Moja luźna bluzka, która nagle wydała mi się bardziej bezkształtna niż powiewna, zwisała ospale nad czarnymi spodniami, a buty nie były tak eleganckie, jak powinny. Tak, zdecydowanie czułam się niemodna. Jediną pociechę stanowił fakt, że Mona stała obok w swetrze w renifery, a ona wiedziała, czego oczekiwać.

- To mój tata. - Jane wskazała na przystojnego mężczyznę po pięćdziesiątce. - Zaraz go przyprowadzę, wiem, że będzie chciał się przywitać - powiedziała i spiesznie odeszła.

Gdy sięgnęłam po kieliszek szampana, ujrzałam wkraczającą na przyjęcie senator Speara w stylowym spodniem. Zastanawiałam się, czy RG chciałby tu być. Czy Mona go zaprosiła?

- Odmówił - poinformowała, gdy zapytałam.

To miało sens. Zapewne czuł się o wiele szczęśliwszy w hotelowym pokoju, nadrabiając zaległości w lekturze. Jane powróciła z ojcem, który mocno uściskał Monę.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś - powiedział ciepło. - Dziś po południu rozmawiałem z twoim tatą.

Natychmiast polubiłam Treya Gandona. Gawędził z nami kilka minut, ale dość szybko został odciągnięty. Tuż potem zawołał Jane, żeby przywitała się z senatorem Spearam. Obracając się do Mony, zauważyłam, że zmrużyła oczy, przez co jej brwi zaznaczały się jeszcze wyraźniej niż zwykle.

- Coś nie tak? - spytałam.

Mona popatrzyła na mnie i zamrugała. Dokończyła szampana.

- Umiesz dotrzymać tajemnicy? - spytała.

Tak, z pewnością umiałam. Miałam nadzieję, że będzie tego warta.

- Oczywiście - powiedziałam najbardziej godnym zaufania tonem.

- W porządku. - Mona odetchnęła łagodnie, gdy upewniła się, że nikt nie stoi zbyt blisko, by nas podsłuchać. - Trey nigdy ponownie się nie ożenił, ale wiesz, z kim się ostatnio spotyka? Z Melanie Spearam.

Szczeńka mi opadła. Miał romans z senatorem Spearam? Senator Spearam była mężatką! Jasne, jej mąż to notoryczny kobieciarz, ale przecież... Nie mogłam uwierzyć, że zrobiłaby coś podobnego, ubiegając się o prezydenturę. Po tak starannych wieloletnich przygotowaniach. Dlaczego, u diabła, miałyby ryzykować?

- Żartujesz. Naprawdę?

Mona skinęła głową.

- Są razem od sześciu miesięcy. Trey ma z tego powodu wyrzuty sumienia, ale wiesz, jaki jest Jeff Spearam - powiedziała. - Trey nie rozbija szczęśliwego małżeństwa.

- Czy Spearam zostawi dla niego męża? - spytałam.

Mona wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie powinnam nawet wiedzieć o ich romansie. Trey powiedział mojemu tacie, a poza tym Jane mi się zwierza, ale naprawdę n i k t o tym nie wie. Są zaskakująco dyskretni.

- A Treyowi... e, panu Gandonowi bardzo zależy na Spear-
ram? - spytałam niedowierzająco.

- Tak, naprawdę się w niej zadurzył. Choć przypuszczam,
że mają pewne problemy. Podobno jest niesamowicie za-
zdrosna - powiedziała Mona.

Naprawdę? O rany. I kto by przypuszczał, że Mona okaże
się źródłem takich wybuchowych plotek?

- To wstrząsające - podsumowałam.

Obserwowałyśmy, jak senator Spearam oddala się od pana
Gandona i Jane, przechodząc do kolejnej grupy przyjęcio-
wego towarzystwa. Oprócz spojrzenia przez ramię na pana
Gandona nic nie wskazywało na to, by żywiła wobec niego
głębsze uczucia. Z mojego punktu widzenia całkiem nieźle
ukrywali prawdę.

- Pójdę po szklankę wody. Chcesz też? - spytała Mona.

Nie, chciałam więcej szampana. Skinęłam jednak potaku-
jąco głową i gdy Mona odeszła, udawałam, że sprawdzam
BlackBerry, by nie wyglądać na całkowicie zagubioną i bez
przyjaciół. Po kilku sekundach tej szarady wyczułam na sobie
czyjeś spojrzenie. Szybko uniosłam wzrok i ujrzałam senator
Spearam obserwującą mnie z drugiej strony sali. Czyżby do-
myśliła się, że o niej rozmawiałyśmy? Na pewno nie. Obró-
ciłam się, żeby sprawdzić, na kogo naprawdę patrzy, ale nie
dostrzegłam nikogo. Gdy ponownie spojrzałam na panią se-
nator, zdążyła już odwrócić wzrok, pozostawiając mnie z py-
taniem, czy wyobraźnia nie płata mi czasem figla.

Przypatrywałam się Spearam nieco dłużej, rozmyślając,
jakie to uczucie być nią. Jeszcze zanim usłyszałam pikant-
ne historie o jej życiu prywatnym, karierę senator uważałam
za fascynującą. Poświęciła się przygotowaniom do zostania
pierwszą kobietą-prezydentem Stanów Zjednoczonych. A te-
raz była bliska celu.

Bramen nadal prowadził w sondażach, ale Spearam dep-
tała mu po piętach, licząc, że się potknie. Od miesięcy trzema

głównymi kandydatami byli Bramen, Spearam i Rexford. W powszechnej opinii Spearam czekała tylko, aż Rexfordowi skończą się pieniądze, by przejąć jego stronników i wyprzedzając Bramena, zdobyć nominację. Nie miała gwarancji, że jej się to uda, ale gdy na nią patrzyłam, sprawiała wrażenie opanowanej i pewnej siebie. W profesjonalny sposób urabiała co ważniejszych gości.

Jakaś kobieta o wyglądzie modelki podeszła do mnie ukradkiem. Miała długie falujące włosy i ubrana była w krótką czerwoną sukienkę.

- Znasz dobrze Gandonów? - spytała miłym głosem.

Nie od razu uświadomiłam sobie, że mówi do mnie.

- Czy znam? Och nie, poznałam ich dopiero dziś. A ty? - zapytałam.

- Nie, jestem tu w interesach.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Więc nic cię nie łączy z Treyem Gandonem? - spytała. Co? To było dziwaczne.

- O ile mi wiadomo, nie - odpowiedziałam wolno. - Przepraszam, jak się nazywasz?

- Christy - odparła z uśmiechem. - Do zobaczenia.

Z tymi słowy wcisnęła się między dwie osoby i zniknęła w tłumie, zostawiając mnie zupełnie zdezorientowaną. Zastanawiałam się, o co jej, u diabła, chodziło. A także dlaczego wszystkie modelki, które kiedykolwiek spotkałam, miały imiona kończące się na „isty”. Zaczynałam podejrzewać jakąś konspirację łączącą ją z Misty.

Obeszłam salę, by otrząsnąć się z dziwnej rozmowy, i trafiłam w szpony starszej kobiety, która prosiła, bym zidentyfikowała zgromadzone wokół znane osobistości, jak również rozmaite przystawki wnoszone na tacach. Trudno było stwierdzić, czy większe emocje wywoływała w niej Meryl Streep, czy krewetkowe szaszłyki. Po dwudziestu minutach zdołałam wreszcie wykręcić się od rozmowy, mówiąc, że

muszę pójść do toalety, co w tym momencie odpowiadało już prawdzie.

Nienawidziłam, gdy modne lokale miały sprytnie ukryte łazienki. Musiałam się przebić przez ogromny labirynt roślin skrywający drewnianą ścianę, która, jak zapewnił kelner, po naciśnięciu w odpowiednim miejscu otwierała się na damską toaletę. Kiedy tam dotarłam, byłam w podłym nastroju. Weszłam, potrząsając głową z odrazą. Nic dziwnego, że łazienka świeciła pustkami. Wątpiłam, czy ktokolwiek zdołałby odnaleźć to miejsce bez szczegółowej mapy.

A jednak komuś się to udało, sądząc po zduszonym łkaniu, które usłyszałam, myjąc ręce. Wszystkie drzwi do ciężkich dębowych komór były uchylone, ale najwyraźniej ktoś przebywał w tej na samym końcu.

- Halo? - zawołałam. - Wszystko w porządku?

Za drzwi wyjrzała Christy.

- Och, to ty - powiedziała słabo i ponownie wybuchnęła płaczem.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu pomocy, ale na próżno. Co powinnam zrobić? Zostawić ją samą? Wydawało się niewłaściwe, by w tak dobrze ukrytej damskiej toalecie zostawić samotną modelkę, której przez lata może nikt nie odnaleźć. A jeśli Christy oszaleje z rozpacz? Albo umrze tu z głodu? Wyglądało na to, że już jest wygłodzona.

- Nie płacz - rzuciłam bezradnie.

- Nigdy nie powinnam się była zgodzić na tę pracę - stwierdziła, wydmuchując nos. - Czuję się przez nią jak dziwka. Nie jestem dziwką, jestem modelką i aktorką - powiedziała dobitnie.

Dobrze było zachowywać to rozróżnienie.

- Okay - rzekłam wspierającym tonem. - To świetnie.

- Nie świetnie, kiedy jedyna praca, do jakiej chcą cię przyjąć, to bycie wabikiem - odparła gorzko, po czym ponownie się rozkleiła.

O czym ona mówiła? Postanowiłam się nie odzywać, wyglądając współczująco i pozwolić jej wyjaśnić wszystko we własnym tempie.

- Więc właśnie za pięćset doliców zrobiłam z siebie idiotkę - stwierdziła, dusząc płacz. - Narzucałam się temu zupełnie porządnemu facetowi, a jego córka stała tuż obok. A wszystko tylko dlatego, że ta kobieta jest przekonana, że on ją zdradza. Czuję się jak zupełna kretyńska. To nie w moim stylu i takie upokarzające. Boże, jak on na mnie spojrzał - powiedziała, wzdrygając się.

- Mówisz o Treyu Gandonie? - spytałam zaskoczona.

W końcu to o Gandona nagabywała mnie wcześniej.

- Tak - zatkęła Christy. - I przepraszam, że cię wypytywałam, ale w ramach zapłaty musiałam się dowiedzieć, czy się z kimś związał. Ta kobieta jest szalona - powiedziała.

- Masz na myśli Melanie Spearą? - spytałam szybko.

Nie mogłam uwierzyć w historię, która się przede mną odkrywała. Czy Spearą była aż tak zazdrosna? Christy wahała się przez chwilę. W jej mokrym i nieprzytomnym spojrzeniu dostrzegłam wątpliwość.

- Nie, nie wiem, jak się nazywa - powiedziała nieprzekonująco.

Wiedziałam, że kłamie. Sama będąc wyjątkowo kiepską kłamczuchą, umiałam wyczuć podobną nieumiejętność u innych. Nagle zapragnęłam poznać prawdę.

- Spearą, oczywiście. Wiem o wszystkim - stwierdziłam autorytatywnie. - Boże, tak mi przykro, że miałaś z nią do czynienia - dodałam współczująco.

Ten ostatni ruch zadziałał. Z oczu Christy ponownie trysnęły łzy.

- Najpierw wydawała się taka miła - powiedziała z prostotą. - Mówiła, że Trey jest mężem jej siostry i że chce zdobyć mocne dowody na jego niewierność. Potrzebowałam pieniędzy, a praca wydawała się łatwa, ale nie przyszło mi do

głowy, jak będę się potem czuć - ciągnęła z przygnębieniem Christy. - Nie chodzi o to, że mnie nie chciał... to wszystko...

Pochyliła się i zwymiotowała do toalety. Współczułam jej. Na pewno nie była twardą sztuką, jaką miała odegrać. Przez własne postępowanie dosłownie się pochorowała. Melanie Spearam niezbyt dobrze wybrała wabik.

- W porządku - powiedziałam, ostrożnie gładząc ją po plecach.

- Chcę iść przeprosić pana Gandona - wyznała cicho.
- Nie zależy mi już na pieniądzech. Ona nawet nie uwierzyła, gdy ją poinformowałam, że mnie odtrącił. Stwierdziła, że mówię tak pewnie dlatego, bo mi się spodobał.

Rany, Spearam n a p r a w d ę miała paranoję.

- Ale on mnie odtrącił. Wyglądał na tak... przerażonego
- powiedziała z lekką chrypką. - Uważasz, że powinnam mu wszystko wyjaśnić? Żeby wiedział, że taka nie jestem?
- spytała.

Wydawała się zagubiona i bezradna - i naprawdę zwracała się po radę, co nieco mnie przerażało. Czy powinna wyznać wszystko Treyowi Gandonowi? Trudno było przewidzieć, jak zareaguje względem Melanie Spearam, ale lubiałam go i uważałam, że powinien znać naturę kobiety, z którą się związał. Właściwie współczułam wszystkim wplątany w tę sytuację. Nawet Spearam postępująca tak pochopnie i nierozsądnie zasługiwała na współczucie. Lata małżeństwa z rozpustnikiem, dla którego według wszelkich pogłosek władza była substytutem miłości, najwyraźniej zbierały żniwo. Nie potrafiła już zaufać. Niemniej, biorąc pod uwagę jej aspiracje polityczne, taka lekkomyślność wydawała się szokująca. Christy pociągnęła nosem.

- Uważam, że powinnaś wszystko wyjaśnić - powiedziałam pod wpływem impulsu. - Jeśli możesz zapobiec temu, by ktoś miał o tobie błędną opinię, czemu tego nie zrobisz? Pewnie od razu poczujesz się lepiej.

- Naprawdę? Tak sądzisz? - spytała gorączkowo.

Dziesięć minut później odnalazłam Monę popijającą wodę i wyglądającą na nieco senną.

- Chodź popatrzeć, a ja wyjaśnię później - powiedziałam, ciągnąc ją za dużą kolumnę.

Obserwowałyśmy pana Gandona i Jane rozmawiających z jakąś parą w końcu sali. Gdy skończyli i zwrócili się w naszą stronę, podeszła do nich Christy. Jane obronnie otoczyła ojca ramieniem. Christy uczyniła łągodzący gest.

Nie słyszałyśmy, co powiedziała, ale przez następne kilka minut obserwowałyśmy twarze pana Gandona i Jane, na których odbijały się obawa, niedowierzanie, a wreszcie przerażenie. Pan Gandon pocieszającym gestem objął Christy i szybko się rozejrzał. Ciekawiło mnie, czy uwierzył w opowieść, czy też uznał dziewczynę za niezrównoważoną. Podążyłam za jego spojrzeniem tam, gdzie Melanie Spearam rozmawiała z jakimś fotografem i dziennikarzem. W tym samym momencie ona spojrzała na Gandona. Widziałam, jak urywa w połowie zdania. Dziennikarz i fotograf obrócili się, by odkryć, co przyciągnęło jej uwagę.

- Co się dzieje? - spytała Mona.

Jej głos nie brzmiał już jakby była śpiąca.

- Kobieta w czerwonej sukience została wynajęta przez Spearam, by sprowokować pana Gandona do zrobienia czegoś, co udowodniłoby, że nie jest jej wiemy - wyszeptałam szybko.

- Co? - zapytała z niedowierzaniem Mona.

Zgodziłam się, że brzmiało to nieprawdopodobnie. Jak i sama wiadomość o romansie.

- A teraz ona opowiada panu Gandonowi o wszystkim. Tak w ogóle, to ma na imię Christy. Słodka dziewczyna. Niezbyt mądra, ale miła. Naprawdę źle się czuje z powodu tej całej afery.

Mona gapiała się na mnie.

- Zmyślasz? - spytała.

- Nie, przysięgam. To wyznanie z kobiecej toalety. O mój Boże, co u diabła wyczynia Spearam?

Spearam maszerowała do Gandonów i Christy. Fotograf podążył za nią, bez wątpienia wężąc dramat. Nawet z tej odległości widziałyśmy, że normalny wyraz twarzy Spearam zmienił się w straszliwie drwiącą maskę.

- Słynie z gwałtownego charakteru - szepnęła Mona.

Pewnie, ale słynęła też z niesłychanej inteligencji i politycznego wyrobienia. Z pewnością nie zrobi tutaj sceny i nie przyzna się do romansu. W lokalu pełno było dziennikarzy, a dwóch z nich siedziało jej na ogonie.

- Wiedziałam, że jesteś taki sam jak Jeff! - wykrzyknęła Spearam na tyle głośno, że usłyszałyśmy.

A może jednak zrobi scenę.

Na naszych oczach rozegrała się katastrofa, od której nie mogłam oderwać wzroku, choć chwilami bardzo tego chciałam. Wpatrywałam się tylko i kuliłam ze strachu, zszokowana, że ktoś, kto spędził tyle czasu, ostrożnie wspinając się na szczyt, w przyływie emocji był w stanie dokonać takiej autodestrukcji. Melanie Spearam nigdy nie zaszkodziła swojej karierze politycznej wybuchem z powodu romansów męża, o których szeptano wokół. Co sprawiło, że zareagowała tak gwałtownie na wymagowaną zdradę kochanka?

- Więc tego właśnie chcesz? Małej dziwki? Mówiłeś, że mnie kochasz! - wykrzykiwała, a fotografowie szybko zaczęli uwieczniać tę niezwykłą scenę.

Trey Gandon, jak tylko umiał, starał się uspokoić Spearam i przejąć kontrolę nad sytuacją, ale Melanie przebywała w swoim świecie. Nie dała się okiełznać. Wraz z Moną bezwiednie podeszłyśmy bliżej.

- Mówiłam pani, że mnie odtrącił - protestowała Christy.

Spearam rzuciła jej wściekle spojrzenie, po czym na powrót zaatakowała Gandona.

- Ile ich jeszcze jest? - wysyczała.

- Melanie, uspokój się - powiedział zdecydowanie Gandon.
- Ty się uspokój, do diabła - wrzasnęła i wymierzyła mu policzek.

Coś w tej scenie sprawiło, że zaczęłam podejrzewać, iż wykorzystuje ten stereotypowy gest nie po raz pierwszy. Wszyscy patrzyli, jak Spearam odchodzi. Trzech jej pracowników stało w świetle błyskających fleszy i wyglądało na mocno wstrząśniętych.

Trey Gandon natychmiast znalazł się pod obstrzałem.

- Czy pan i senator Spearam mieliście romans?
- Ile ten romans już trwa?
- Kim jest dziewczyna?
- Jak według pana wpłynie to na kampanię prezydencką?
- Czy zamierza pan zostać pierwszym dżentelmenem?

Wystawne przyjęcie zwróciło się przeciw organizatorowi. Przedstawiciele prasy i ciekawi goście zbiegli się wokół ofiary. Patrzyłam, jak Gandon unosi dłoń w geście człowieka zdecydowanego zachować kontrolę, czy mu na to pozwolą, czy nie.

- Dziękuję wszystkim za przybycie. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Jak rozumiem, senator Spearam nie czuje się dobrze. Mam szczerą nadzieję, że nie zaszkodziło jej jedzenie. Dobranoc.

Skierował Jane i Christy w kierunku prywatnego pomieszczenia, ignorując pytania, które nadal wykrzykiwano w jego stronę. Patrzyłyśmy, jak znikają, i przez pół minuty stałyśmy niezdolne wydobyć słowa. Czy całe zajście naprawdę miało miejsce? To chyba niemożliwe. Zwróciłam się do Mony, która ze zdumienia nadal nie zamknęła ust.

- Rany - powiedziałam słabo.
- Napijmy się jeszcze - stwierdziła zdecydowanie Mona.

Po czymś takim nikt nie piłby wody. Po drinku i kilkakrotnych wzajemnych zapewnieniach, że to, co widziałyśmy, rzeczywiście się wydarzyło, wróciłyśmy do hotelu.

- Sprawdzić, czy RG nie śpi? - spytałam.

Mona wyglądała na niezdecydowaną.

- Chyba możemy mu posłać wiadomość na BlackBerry
- odparła.

Napisałam, że mamy informacje, które go zainteresują, ale mogą poczekać do jutra. Odpowiedział, że jeszcze czyta i chce wiedzieć, co się stało. Poszliśmy z Moną do jego apartamentu. I rozpoczęła się moja pierwsza sesja ploteczek z RG.

- Żartujecie - powiedział, gdy skończyliśmy opowiadać.
- Naprawdę tak wybuchła?

Potwierdziłyśmy.

- Biedna Melanie. Nigdy nie byliśmy blisko, ale zdaje się, że przechodzi ciężki okres. Musi się czuć upokorzona - stwierdził, smutno potrząsając głową.

Słyszałam, jak prywatnie RG porównywał Spearam do Bramena, ponieważ ze wszystkimi konkurowała i albo wykorzystywała ludzi, albo czuła się przez nich zagrożona. Stąd współczucie RG mnie zaskoczyło, choć zapewne nie powinno. Podziwiałam jego wyrozumiałość, ale wątpiłam, bym sama mogła się na taką zdobyć. Złośliwa satysfakcja z czyichś porażek była zbyt przyjemnym uczuciem.

- Sądzi pan, że to koniec jej kampanii? - spytałam RG.
- Na to by wyglądało - odparł. - Choć nie jestem pewien, bo Melanie z pewnością umie walczyć. Zobaczymy, jak sobie poradzi w najbliższych dniach.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Zwykle pod każdym względem zachowuje się tak profesjonalnie. Z drugiej strony, jeśli kiedykolwiek miała się załamać, to przypuszczam, że właśnie teraz, gdy trwa intensywne kampania. To napięcie, które jej towarzyszy, w przeszłości złamało wielu kandydatów. Melanie musiała po prostu pęknąć. A ten facet chyba naprawdę jej dopiekleł.

Ironia polegała na tym, że Trey Gandon był całkowicie wierny Melanie Spearam, jak zapewniała Mona i dodała, iż Spearam musi być szalona, żeby nie dostrzegać jego wyjątkowości.

- Cóż, Spearam jest toksyczną osobą - podsumował RG. Wydawało się, że wreszcie zatrąła samą siebie. Medialna wrzawa w ciągu kolejnych dni dowiodła, iż antidotum było niedostępne. Spearam wydała oświadczenie o „nieporozumieniu” i potwierdziła swe oddanie mężowi, nazywając plotki o romansie „rynsztokowymi kłamstwami”. Jednak zdjęcia przedstawiające awanturę z Gandonem i wypowiedzi wzburzonych świadków w połączeniu z tym, że gospodyni Gandona zdradziła prasie, jak często senator Spearam bywała gościem w jego domu, szybko pograżyły Melanie.

Gandon odmawiał wszelkich komentarzy poza uwagą, iż „popiera” senator Spearam i życzy jej wszystkiego najlepszego. Poza tym na wszystkie natarczywe pytania odpowiadał „bez komentarza”. Miał reputację specja od PR-u, ale wydawał się nieprzygotowany do sprawnego poprowadzenia tej osobistej kampanii.

Christy była bardzo uczciwa co do swojej roli w dramacie. Chciałam wierzyć, że to próba całkowitego oczyszczenia się, a nie cyniczny akt autopromocji, ale tak czy siak, z pewnością przyciągała ogromną uwagę.

Aaron nie mógł uwierzyć, że byłam naocznym świadkiem całego wydarzenia, i słuchał z całkowitym skupieniem, gdy racyłam go dogłębnym, osobistym komentarzem na temat tej skandalicznej sytuacji. Czując się jak reporter, który właśnie wrócił z frontu, szczęśliwa chłonęłam zainteresowanie. Moje zadowolenie zmąciły tylko jego pospieszne przewidywania, że upadek Spearam wyjdzie na korzyść Bramenowi. Przypomniałam Aaronowi, co na ten temat sądzę, i przestał otwarcie się tym cieszyć, ale nie odpowiednio wcześniej.

Choć niezbyt lubiłam Spearam, ta nieoczekiwana porażka nieco mnie zasmuciła. Dzięki silnej pozycji senator w początkowych sondażach czułam dumę, że kraj wreszcie zdaje się gotowy na głównodowodzącą-kobietę - coś, co wiele znanych mi osób uważało za nieosiągalne przez jeszcze co

najmniej jedno pokolenie. Byłam zatem skonsternowana, bo wydawało się, że obecnie ta możliwość odpadła. Drażniło mnie również, że stało się tak z powodu skandalu seksualnego. Naprawdę zaczynałam mieć ich dość.

Tymczasem Monę i mnie zbliżył udział w niewiarygodnym wydarzeniu. Zaczęłyśmy regularnie ze sobą rozmawiać. Informowała mnie na bieżąco o stanie Jane, która była całkowicie wstrząśnięta, ale jakoś się trzymała. Mona właśnie opowiadała mi o ich ostatniej rozmowie, gdy CNN podało wiadomość, że Spearam oficjalnie wycofała się z wyścigu o fotel prezydencki.

- Zaczekaj chwilę - powiedziałam, podkreślając głos.

- Oświadczenie senator Spearam zostało wydane kilka godzin po wypowiedzi jej męża zarejestrowanej przypadkowo na zjeździe przedsiębiorców - zaintonował prezyenter.

A to co?

CNN pokazało ujęcie Jeffa Spearama rozmawiającego z jakimś mężczyzną. Jego postawa sugerowała, iż rozmowa miała charakter prywatny. Kąt kamery zdradzał, że kręcono z dużej odległości. Jeff i mężczyzna śmiali się. Nagraniu towarzyszyły trzaski, ale dźwięk był wyraźny.

- Jak się nazywa ta dziewczyna, Cindy czy jakoś tak? Wszędzie teraz o niej mówią - stwierdził mężczyzna.

- Och, przyjrzałem się jej - odparł Jeff Spearam. - Do diabła, żałuję, że Melanie zmarnowała ją na Treya, ja bym połknął taką przynętę.

Jego towarzysz wybuchnął rubasznym śmiechem.

- Jeff Spearam najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że jego komentarz został usłyszany.

Wyobrażałam sobie, że teraz w zupełności zdaje sobie z tego sprawę.

Śledztwo trwa

Środek grudnia zaowocował mnóstwem świątecznych przyjęć. RG wydał coroczną imprezę dla pracowników w małej kręglarni, którą wynajęliśmy specjalnie na tę okazję. Przeprowadziłam Aarona, napchałam się skrzydełkami i piwem i udały mi się trzy rozbicia, a osiem razy całkiem spudłowałam. Moja gra nigdy nie odznaczała się spójnością. Małżeństwo Garych było w dobrej formie i świetnie się bawili, choć ich uwagę w znacznej mierze przyciągali bliźniacy, którzy zajęli się badaniem wszystkiego, co pozostawiono bez opieki na poziomie podłogi. W tym mnóstwa torebek. Jenny Gary właśnie ze mną rozmawiała, gdy zauważyłyśmy, że Jeffrey maluje się na czarno tuszem do rzęs. Impulsywnie zaczęłam nucić piosenkę Rolling Stonesów *Paint It Black*, a Jenny pognała zająć się synkiem.

- O Boże. Na szczęście to moja mascara - wykrzyknęła, starając się wyrwać kosmetyk.

Przyłączyłam się do prób oczyszczenia Jeffreya i zaimponowało mi, ile zdołał osiągnąć w tak krótkim czasie. Za wyjątkowo inspirujący uznałam obszar na brzuszku. Pogratulowałam Jenny talentu artystycznego syna.

- Mówisz jak Robert - odparła ze śmiechem.

- Kto tak mówi? - usłyszałam dobiegający z góry głos RG. Razem z Aaronem właśnie się zbliżali.

- Sammy uważa, że Jeffrey to artystyczny geniusz - poinformowała go Jenny.

RG promieniał.

- Och, po prostu się podlizuje - dokuczył mi Aaron.
- Rzuciłam mu ostre spojrzenie, ale RG stłumił śmiech.
- Musisz dobrze znać Sammy - powiedział.
- Nie, sir, tylko żartowałem - odparł Aaron.

Byłam zdumiona, widząc, że mała linia między prawym okiem a uchem RG jakby się napięła - ostrzegawczy znak irytacji. O nie, czyżby nie lubił Aarona? Początkowo obawiałam się ich spotkania, szczególnie biorąc pod uwagę ohydny pracę Aarona, ale przypomniałam sobie, że RG miał ten dobry i wyjątkowy zwyczaj nieoceniania ludzi z góry. Więc jeśli się zirytował, to pewnie dlatego, że nie lubił Aarona jako osoby. Ale może tylko to sobie wyobraziłam. Albo zdenerwował się, bo Jack właśnie ściągnął pieluchę i nasiusiał do bili.

- Jacksonie Wade Gary, co ty sobie wyobrażasz? - zakrzyknął.

Jack spojrzał na niego tak, jakby wiedział, że zrobił coś bardzo złego. RG zabrał go na bok na prywatną rozmowę. Jenny, wzruszając ramionami, zwróciła się ponownie do nas.

- Ciągłe coś - powiedziała radośnie. - A wy jak długo już jesteście razem? - spytała.

Obróciłam się do Aarona, ciekawa jego odpowiedzi, jak również lekko zaniepokojona pozostawioną na podłodze bilą pełną niemowlęcego moczu. Aaron uśmiechnął się do mnie.

- Nie dość długo - odparł.

To była wystarczająca odpowiedź. Jenny też tak chyba pomyślała.

- To słodkie - powiedziała. - Ups, Jeffrey zwymiotował trzcina cukrową. Przepraszam.

- To rzeczywiście było bardzo słodkie - zauważyłam, gdy Jenny pospiesznie odeszła.

- Cóż, to prawda - stwierdził Aaron, pochylając się, by mocno mnie pocałować.

Pachniał jak krem po goleniu z domieszką piwa.

Następnego dnia odbywało się przyjęcie dla pracowników Bramena, które zorganizowano w elegancko urządzonej domu senatora w Georgetown. Niechętnie zgodziłam się towarzyszyć Aaronowi po tym, jak zapewnił mnie, że będę chroniona przed Natalie i że nie zostaniemy długo. Zdawał sobie sprawę, iż to niezwykle łaskawe ustępstwo z mojej strony, i odpowiednio je doceniał.

Gdy weszliśmy, pierwsza rzuciła mi się w oczy nedorzecznie przerośnięta choinka. Albo została udekorowana przez profesjonalistów, albo rodzinę Bramena cechowała przerażająca precyzja. Obok drzewka stała duża menora. Obok memory kinara udekorowana barwami kwanzaa. A obok kinary, jako ukoronowanie politycznie poprawnego wystroju, ustawiono wielki napis „Wesołego Święta Eid”, żeby każdy mużłmanin czuł się dobrze.

- Jako pół hinduistka, pół buddystka uważam ten dom za nietolerancyjny - powiedziałam do Aarona, gdy wchodziliśmy przez wielki korytarz.

- Spokojnie - poprosił.

- W porządku, tylko żartuję. To zapewne miłe, że tak się starają - stwierdziłam, ujmując jego dłoń i postanawiając być ciepłą i wspierającą. Choć nienawidziłam Bramena i praktycznie wszystkich, którzy dla niego pracowali, mogłam zachowywać się uprzejmie ze względu na Aarona. Miejmy nadzieję, że nie będzie to nadmierny wysiłek.

- To jest miłe - odparł Aaron. - Nie tłuste skrzydełka kurczaka i wrzeszczące dzieci, ale ujdzie.

Słucham?! Puściłam jego dłoń. Czy naprawdę uważał, że zadzieranie nosa i krytykowanie RG było mądrym posunięciem? Może się pożegnać z „ciepłą i wspierającą”. Miałam już zacząć wyliczać, pod iloma względami przyjęcie Gary'ego było fajniejsze i luźniejsze niż ten duszny koszmar przed nami, ale Aaron zaczął właśnie rozmawiać z kolegą, który wszedł tuż po nas. Świetnie, później przemówię mu do ro-

zumu. Może uciekać, ale i tak go dopadnę. Rzuciłam Aaronowi gniewne spojrzenie, wzięłam rożek z przenoszonej obok tacy i przyjrzałam się sytuacji.

Bramen i jego żona kręcili się między gośćmi w pokoju gustownie udekorowanym wyglądającymi na drogie meblami. Wyczułam, że Aaron zamierza włączyć mnie do rozmowy, więc szybko zanurkowałam, by pogłaskać przechodzącego obok cocker spaniela o niesamowicie długich i jedwabistych uszach. Zastanawiałam się, czy dobrze słyszy, gdy tak zwisając. I czyżby miał zaćmę? To biedne stworzenie mogło być głuche i ślepe. Poklepałam współczująco psa i obróciłam tabliczkę, by przeczytać imię. Andromeda.

- Masz bardzo wyszukane imię - wyszeptalam.

W odpowiedzi Andromeda, zanim zdołałam ją powstrzymać, połknęła rożek, który trzymałam w dłoni. Jak na upośledzonego psiaka szybko sobie z nim poradziła.

- Och, Boże, proszę nie karmić psa, kochanie - usłyszałam rozkazujący głos nade mną.

Spojrzałam na surowe podwinięte rzęsy Pameli Bramen. Obładowane tuszem, przyćmiewały oczy.

- Przepraszam, nie zamierzałam jej karmić. Wzięła to prosto z mojej dłoni - wyjaśniłam, wstając.

Pani Bramen uśmiechnęła się, jakby mi nie uwierzyła.

- Andromeda ma mały problem z nadwagą. Nie możemy pozwolić, żeby goście ją karmili - powiedziała szorstko.

- Ale ja nie...

Już się oddaliła, by wydać instrukcje przechodzącej osobie z obsługi. Podeszłam do okna i wyjrzałam na podwórze, udając, że podziwiam światełka rozwieszane na drzewach. Proszę, żebym nie musiała już z nikim rozmawiać i żebyśmy wkrótce poszli, cicho błagałam Bożka Bolesnych Przyjęć Świątecznych. Zastanawiałam się, czy mogę po prostu wymknąć się niezauważona. Usłyszałam dźwięczny głos Pameli Bramen.

- Aaronie, kochanie, jak się masz? - rzuciła wylewnie.

- Witam, pani Bramen, wygląda pani uroczo - odparł.

Zerknęłam w ich stronę i ujrzałam Aarona, panią Bramen i paskudną Natalie gawędzących w pobliżu. Faj. Jak mógł tak stać i z nimi rozmawiać? Już sam widok Natalie mnie irytował. Od uchwalenia ustawy pojawiło się jeszcze kilka wypowiedzi „anonimowego źródła”. Wszystkie krytykowały RG i naszą ekipę, a przesadnie podkreślały rolę Bramena i jego ludzi. Jednak zrugawszy Natalie za jej wstrętne zachowanie, Aaron najwyraźniej wrócił z nią do dobrych układów. Zdecydowanie mi się to nie podobało. Pochwycił mój wzrok w chwili, gdy pani Bramen podziwiała sukienkę Natalie, i przybrał wyraz twarzy mówiący „pomóż mi, jestem w pułapce”. Nie uśmiechnęłam się.

- No, to jest jakaś szansa, że wy dwoje się znowu zejdziecie?
- spytała głośno pani Bramen zachęcającym tonem. - Byliście przesłanką parą - ciągnęła, opierając dłoń na ramieniu Aarona.

Nadal na mnie patrzył. Nie byłam pewna, co robiła moja twarz, ale na jego dojrzałam błysk paniki. Obrócił się, by spojrzeć na panią Bramen.

- Chciałbym, żeby poznała pani moją dziewczynę - powiedział z pewnym naciskiem.

- Och, tak mi przykro, nie zdawałam sobie sprawy, że przyjdzie. John mówił...

- Jest tutaj - odrzekł Aaron, przerywając jej nieco szorstko.

Pani Bramen wyglądała na zaskoczoną, gdy stanęła twarzą w twarz ze mną.

- Och, witam - powiedziała, wyciągając dłoń z zaskoczeniem. - Nie poznałyśmy się jeszcze oficjalnie.

Nie, nie poznałyśmy się. Ale nie czułam, żeby była to moja wina. Gdy ścisnęłam dłoń pani Bramen, dołączył do nas senator.

- Senatorze i pani Bramen, to Samantha Joyce. Sammy, to senator i pani Bramen - dokonał prezentacji Aaron z delikatnym drżeniem w głosie.

W innej sytuacji poświęciłabym temu spotkaniu więcej uwagi, ale nie mogłam się skupić. Aaron i Natalie chodzili ze sobą? Jak długo? Jak dawno temu? Dlaczego o tym nie wiedziałam?

- Pani nazwisko brzmi znajomo - mówił właśnie senator Bramen.

Jasne, z e-maila porno, który wysłałam ci kilka miesięcy temu, odpowiedziałam w myślach. Dlaczego Aaron musiał wymienić moje nazwisko? Dlaczego w ogóle kiedykolwiek chodził z Natalie? Była jedną z najgorszych osób, jakie znałam.

- Pracuję dla senatora Gary'ego - odparłam. - Dużo czasu spędziłam nad ustawą o refundacji leków.

Którą skaziłeś, a potem przypisałeś sobie całą zasługę, dodałam po cichu.

- Och, wspaniale - odrzekł Bramen tonem, który wskazywał, że wcale mnie nie pamięta. - Cóż, mam nadzieję, że dobrze się pani bawi na naszym małym spotkaniu.

- Dziękuję za zaproszenie - odpowiedziałam nieco zduszonego głosem.

Natalie mądrze przeprosiła nas, gdy tylko Bramenowie odeszli. Aaron obrócił się do mnie ze skruszonym wyrazem twarzy.

- Przykro mi, że o tym wspomniała. To było dawno temu. I wcale się nie liczy - zapewnił mnie. - W porządku?

Wzięłam głęboki oddech. Byliśmy w miejscu publicznym, upomniałam samą siebie. To nie pora, by robić scenę. Spearam mnie tego nauczyła.

- Tak, w porządku - powiedziałam ostrożnie. - Nie jestem pewna, czemu nie poinformowałaś mnie, że chodziłeś kiedyś z moim zaciekleym wrogiem, ale chwilowo o tym zapomnijmy.

- Okay, świetnie - stwierdził Aaron z ulgą.

- Więc czemu mi nie powiedziałaś? - spytałam natychmiast. - Nie sądzisz, że to coś, o czym powinnam była wiedzieć? Ze wszystkich możliwych osób chodziłeś właśnie z Natalie? Nie mogę w to uwierzyć. Spałeś z nią? - zapytałam.

- Daj spokój, Sammy...

Czyli tak. O Boże, to ona była pewnie owym podbojem w biurze, o który pokłóciliśmy się przed miesiącami. Zrobiło mi się niedobrze.

- Jak długo to trwało? - spytałam z napięciem.

- Jakies cztery czy pięć miesięcy. I nic nie znaczyło - odparł.

- My chodzimy ze sobą od pięciu miesięcy, Aaronie.

- Racja - powiedział nerwowo. - I między nami jest coś. Coś zupełnie innego i wyjątkowego. Nigdy nie czułem do nikogo tego, co do ciebie - ciągnął, ujmując moją dłoń. - Jejku, ale masz zimną rękę.

- Ty i Natalie musieliście stanowić niezłą parę. Pamela Bramen była wyraźnie rozczarowana waszym rozstaniem - zauważyłam, wycofując dłoń z jego uścisku.

- Cóż, ja nie byłem. A to ja się liczę. Chodzisz ze mną. Nie z Pamelą Bramen - odparł.

- Tylko dlatego, że John Bramen pierwszy ją dopadł - powiedziałam.

Tak naprawdę nie miałam nastroju do żartów. Po prostu mi się wymknął. Aaron roześmiał się, jednak wyraz mojej twarzy przestrzegł go, że nie wszystko jeszcze było w porządku. W moich oczach naprawdę nawalił, nie mówiąc mi o historii z Natalie. Powinien był mnie poinformować, choćby tylko po to, by uniknąć takich niezręcznych sytuacji jak ta, która właśnie się wydarzyła. Ale rozumiałam, że faceci często mieli inne spojrzenie na te sprawy, i naprawdę nie chciałam tracić czasu na zazdrość i wściekłość, gdy znajdowaliśmy się razem na przyjęciu. Nawet na tak nędznym przyjęciu. Liczyło się zachowanie pozorów, a ja z całej siły pragnęłam wyjść na pewną siebie i swobodną, nawet jeśli wymagało to nieco aktorskiej gry.

Gdy wracaliśmy do domu taksówką, Aaron ujął mnie za rękę.

- Chcę, żebyś wiedziała, że moje dawne związki nic dla mnie nie znaczą. Nigdy nie powinienem był spotykać się z Natalie, całe to doświadczenie okazało się katastrofą. I teraz

też się nie dogadujemy. Żałuję, że nie poznałem cię wcześniej, ale chyba musiałem popełnić kilka błędów, zanim trafiłem w dziesiątkę. Przepraszam, jeśli przeze mnie źle się poczułaś. Nie chciałem tego, wierz mi - powiedział.

Odetchnęłam głęboko, nim odpowiedziałam.

- Okay, ale możesz wyświadczyć mi przysługę i od tej pory informować mnie o takich sprawach? Wystarczająco trudne jest, że pracujesz dla Bramena. Chciałabym uniknąć dalszych niemiłych niespodzianek. Ufasz mi przecież?

- Całkowicie - odparł.

Brzmiało to szczerze. Gdy tej nocy w jego łóżku zapadaliśmy w sen, obrócił mnie, bym na niego spojrzała.

- Sammy, muszę ci coś powiedzieć - wyszeptał.

Z kim jeszcze chodził? Z szatanem?

- Tak? - spytałam lękliwie.

- Chciałem ci to powiedzieć już od jakiegoś czasu. Nie wiedziałem tylko, jak to zrobić - ciągnął.

- O co chodzi? Co się stało?

Zrobił coś strasznego. Może popełnił jakieś przestępstwo. Wiedziałam. Nie powinnam była przez cały ten czas ignorować swojej intuicji. Z przepowiednią dotyczącą spinacza mama dowiodła, że jest genialnym medium. Zapewne część tej mocy krążyła w moich żyłach.

- Zakochałem się w tobie - powiedział.

To nie było straszne. Ha. Wreszcie słowa, które chciałam od niego usłyszeć, i nawet nie był przy tym pijany. Po prostu to powiedział. I nie mógł tego cofnąć. Prawda? Odetchnęłam powoli.

- To się stało już jakiś czas temu i chciałem powiedzieć ci wcześniej, ale chwila nigdy nie była odpowiednia. Uważam, że jesteś cudowna. Kocham cię.

Trzy i pół miesiąca po terminie, ale oto było. Gdy wpatrywał się we mnie z uwielbieniem, poczułam, że fale radości odganiają senność. Byłam całkowicie przytomna.

- Ja też cię kocham - odpowiedziałam.

- Nie musisz tego mówić - odparł.

Ale chciałam. Prawda? Do tej pory tylko raz naprawdę kogoś kochałam, choć przeszłam przez znaczną liczbę zbliżonych do miłości zauroczeń. To uczucie ich nie przypominało, ale nie przypominało też tej wcześniejszej miłości. Więc może była to jakaś nowa dorosła miłość? Lub bardziej dojrzałe zauroczenie? Nie miałam pewności. A on zaczął mnie całować, zanim zdążyłam to rozgryźć.

- Jesteś od niego uzależniona - powiedziała Liza przez telefon następnego dnia, gdy przekazałam jej ekscytujące wieści.

- Przepraszam?

- Jesteś uzależniona. To uzależnienie. Jest dla ciebie jak narkotyk - podkreśliła.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparłam.

Ale gdy tylko przeanalizowałam jej stwierdzenie, musiałam się z nim zgodzić. Byłam uzależniona od Aarona. Dlatego nie umiałam zidentyfikować tego uczucia.

- Wiem, że nigdy dotąd nie byłaś od niczego uzależniona - mówiła Liza. - Więc nie możesz tego od razu zrozumieć...

- A co z nadziewanymi papryczkami? - przerwałam. - I piosenką Profesora Longhaira?

Nie wiedziałam, dlaczego nagle tak bardzo chciałam dowieść, że w przeszłości uzależniałam się już od różnych rzeczy. Piosenka była wyjątkowo trudna do zwalczania. Bardzo chwytliwa.

- Może powinnaś się nad tym zastanowić - powiedziała zwyczajnie Liza.

Już się nad tym zastanawiałam.

- Tak, chyba się z tobą zgadzam - stwierdziłam.

- To było szybkie - odparła zaskoczona.

- Cóż, dla mnie ma sens. Aaron sprawia, że zachowuję się czasami w szalony sposób, i jakby obserwuję siebie z bo-

ku, nie wierząc, że robię coś takiego, ale nie mogę się powstrzymać - powiedziałam, myśląc o incydencie z hasłem do poczty głosowej.

- Na przykład? - spytała Liza.

Zawahałam się.

- Pijesz teraz martini?

Planowałam zwierzyć się Lizie ze swojego upadku w Święto Dziękczynienia, ale wyobrażałam sobie, że stanie się to przy martini.

- Mogłabym. Już prawie pora lunchu - odparła.

Dwadzieścia minut później siedziałyśmy w Bottom Line, przed nami martini i talerz taco w drodze. Liza wyglądała na nieco zmęczoną, ale jak zawsze gotową do pomocy.

- Więc czy uzależnienia zawsze są złe? To znaczy, czy to złe, że jestem uzależniona od Aarona? - spytałam.

Uzależnienie w nieunikniony sposób kojarzyło się nieco negatywnie. Ale co, jeśli ktoś był uzależniony na przykład od spełniania dobrych uczynków? To nie wydawało się złe, czyż nie?

- Uzależnienia zazwyczaj są złe, tak - odparła Liza.

Kurczę.

- To znaczy, jeśli chcesz zachować nad sobą kontrolę - ciągnęła. - Ale zapomnij na chwilę o uzależnieniach. Najważniejszą kwestią jest to, czy Aaron jest dla ciebie niedobry?

Czekała na moją odpowiedź. Staralam się pozbierać myśli.

- Nie sądzę - powiedziałam niepewnie. - To znaczy, są rzeczy, które mnie wkurzają, rzeczy, które zdecydowanie chciałabym zmienić. Oczywiście nienawidzę tego, że pracuje dla Bramena, co wywołuje mnóstwo napięć. Więc ten problem raczej nie zniknie. Ale w innych sprawach jest cudowny. Szalenie mi się podoba. Jest mądry i uczuciowy, i...

- Jest uczuciowy? - przerwała sceptycznie Liza.

- Cóż, kocha mnie. To dość uczuciowe.

Nie czułam się zbyt swobodnie w sytuacji, kiedy to Liza zadawała mi trudne pytania o moich chłopaków, ale ona sama wreszcie zerwała z Ryanem, więc nie mogłam zmienić tematu.

- Nie chcę się z tobą sprzeczać - ciągnęła. - Chcę tylko być pewna, że jesteś szczęśliwa.

- Wiem. I to prawda, że Aaron ma pewne poważne wady, ale wiesz co? Ja też. Jeśli on potrafi żyć z moimi niedoskonałościami, ja powinnam zaakceptować jego. Na tym polega kompromis, prawda? A skoro już o tym rozmawiamy, to dzięki Aaronowi życie wydaje mi się bardziej ekscytujące. Więc raczej nie potrafię sobie wyobrazić, żebym miała z niego zrezygnować - powiedziałam.

Liza spoglądała na mnie przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Więc na razie dobrze ci z byciem uzależnioną. Ale powiedziałaś, że nie jesteś pewna, czy go kochasz - przypomniała mi.

Racja. Nie byłam pewna. Dlaczego nie byłam pewna?

- Może dopiero się w nim zakochuję?

- Mnie pytasz? - odparła Liza.

- Nie, na pewno o to chodzi. Dopiero się w nim zakochuję. A tymczasem całkowicie się od niego uzależniłam.

Liza wskazała na pusty kieliszek po martini.

- Jestem już gotowa oburzać się twoim postępowaniem - powiedziała.

A, tak. Dopiliśmy swojego drinka i opowiedziałam jej skróconą wersję nocy spędzonej na próbach odgadnięcia hasła do poczty głosowej. Liza cały czas kiwała głową.

- Całkowicie akceptowalne zachowanie - podsumowała, gdy skończyłam.

To była jedna z rzeczy, które uwielbiałam w Lizie. Okazywała niewiarygodną wyrozumiałość, gdy tego najbardziej potrzebowałam.

- Nie uważasz, że staję się psychopatką? - spytałam.

Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie. Wzbudził w tobie podejrzenia. Gdy byliście daleko od siebie, nieopatrznie postąpił niezbyt uczuciowo. Musiał zatem ponieść konsekwencje.

Brzmiało to tak, jakby wydawała wyrok. Czułam się pokrępią i dość silną, by poradzić sobie z resztą dnia, nawet jeśli nadal nie byłam pewna swoich uczuć do Aarona. Podziękowałam Lizie i obiecałam zadzwonić później.

W biurze odbyłam rozmowę z kobietą z Akron, która pytała, czyjej zwierzątkom przysługują nowe zniżki na leki, po czym przypadkiem rzuciłam okiem na datę. Nie tylko była to dziesiąta rocznica podarowania mi przez rodziców puzatej lalki (Annabeth Sue, moja pierwsza przybrana własność), ale również już za cztery dni miałam wylecieć do domu na święta. Co oznaczało, że mam mniej niż cztery dni na kupno wszystkich prezentów. W pośpiechu odnotowałam atak paniki.

Po każdym chaotycznych, maniakałnych zakupach świątecznych obiecywałam sobie, że następnym razem zacznę gromadzić prezenty powoli w ciągu roku, by uniknąć doświadczenia podobnego bólu. I nigdy, przenigdy nie dotrzymywałam postanowień. Zwykle na tydzień przed świętami starałam się szybko nauczyć jakiegoś hobby, które przełożyłoby się na oryginalne podarki. W zeszłym roku wybrałam wypalanie w drewnie. Dwa lata temu szydełkowanie. Jak można było przewidzieć, nigdy nie zdołałam osiągnąć takiego poziomu, by stworzyć prezenty warte ofiarowania, ale to nie powstrzymało moich starań. Gdy tak siedziałam wpatrzona w kalendarz, zastanawiałam się, czy bardzo trudno będzie znaleźć jakieś warsztaty garncarskie, na które mogłabym uczęszczać w kolejnych dniach.

Po kilku lekko irytujących telefonach do rozmaitych lokalnych sklepów z przyborami artystycznymi porzuciłam plan z garncarstwem. Tego wieczoru zdołałam jednak upiec w domu kilka w miarę smacznych piernikowych ludzików, co

uznałam za ogromne osiągnięcie. Rozdałam je przyjaciołom i znajomym ostatniego dnia w biurze. W przypiływie świątecznej wielkoduszności dałam nawet jednego Ralphowi. Wydawał się bardzo wzruszony i zjadł ludzika jednym kęsem.

Tuż przed odlotem do domu przypominałam sobie, że właśnie dobrowolnie miałam wkroczyć w informacyjną próżnię, bez możliwości skorzystania z BlackBerry, komórki, i co najboleśniej, internetu. Jak wiele mnie ominie? Spędziłam godzinę, czytając „The Note” i „The Hotline”, by nasycić się wiadomościami o kampanii, póki wciąż dysponowałam takim luksusem.

Widowiskowe samozniszczenie Spearam wyraźnie zachwiało dynamiką pola, a skutki dopiero się ujawniały. Po jej odpadnięciu z wyścigu wszyscy pozostali kandydaci wydali oświadczenia o poparciu i podziwieniu dla senatora, jednocześnie gorączkowo przechwytyjąc najwyższych rangą pracowników i kluczowych popleczników Spearam. Kierownik jej kampanii najął się u Bramena, dyrektor do spraw komunikacji dołączył do szeregów Rexforda, a błyskotliwy konsultant polityczny wstąpił do ekipy Wye'a. Jednakże główni organizatorzy funduszy wraz z wolontariuszami i szeroką siecią zwolenników chwilowo siedzieli cicho, przynajmniej według najnowszych doniesień. Wyobrażałam sobie, że zapewne nie siedzą cicho celowo, lecz nadal są w szoku po ostatnich wydarzeniach.

Czy za rogiem czekało się więcej niespodzianek? Do pierwszych zjazdów partii i prawyborów pozostał tylko miesiąc. Postanowiłam w czasie pobytu w domu regularnie włączać CNN, by w miarę możliwości pozostać na bieżąco. Przez chwilę zazdrościłam Aaronowi, którego rodzina przyjeżdżała z wizytą do Waszyngtonu, i to tylko na trzy dni. Jak innym udawało się tak załatwiać sprawy? Potrzebowałam jakiegoś poradnika. Gdy tylko te myśli pojawiły się w mojej głowie, poczułam wyrzuty sumienia. Z radością oczekiwałam spotkania z rodzicami i cieszyłam się, że zawsze nalegali, bym

przyjechała do domu, nawet jeśli nie było to dogodne. Przyjemna była pewność, że jestem chciana.

W ramach gwiazdkowej niespodzianki Aaron pojechał ze mną aż na lotnisko.

- Obiecuję tym razem częściej się kontaktować - powiedział, gdy marudziliśmy przy punkcie ochrony. - Dla pewności kupiłem zapasową ładowarkę. Wiesz, że między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem muszę lecieć do New Hampshire, prawda?

Tak, wiedziałam. Zdobyłam kopię harmonogramu Brame-na, żeby być lepiej przygotowana na nieobecności Aarona. Skinęłam głową.

- Powodzenia - życzyłam mu słodko. - Ale tobie, nie Bramenowi. Mam nadzieję, że jego spotkają same niepowodzenia.

Aaron nie przejął się moją wrogością.

- Zdziorna jak zawsze. - Uśmiechnął się. - Do zobaczenia w sylwestra, skarbie - powiedział, nim pocałował mnie po raz ostatni.

Pocałowałam go również, myśląc o tym, że po tamtym jednym razie, gdy tak bardzo się przejęłam, nigdy nie nazwał mnie już „kochaniem”. Odtąd uparcie trzymał się „skarbie”. No cóż, czyniliśmy postępy w innych dziedzinach.

- Kocham cię, Sammy - wyznał z twarzą bardzo blisko mojej.

- Jestem od ciebie uzależniona - odparłam.

Jego mina wskazywała, że uznał to za romantyczne i miłe, więc wszystko jakoś się ułożyło. Nie musiałam kłamać, a on nie poczuł się źle. Gdy tylko się rozstaliśmy i zostałam na lotnisku sama, poczułam ukłucie tego uzależnienia. Czy kiedykolwiek tak szybko za kimś zatęskniłam? Musiałam skupić uwagę na czymś innym.

W kiosku przejrzałam spis treści w zimowej antologii „New Yorkera”. Dostrzegłam nazwisko mężczyzny, z którym

chodząc na zajęcia na studiach. Przypomniałam sobie, że specjalizował się w literaturze. Jego opowiadanie nosiło tytuł *Kobiety z papierowymi torbami* i wyglądało na debiut. Zaintrygowało mnie. Choć wyczyściłam portfel, goniąc za prezentami dla rodziców, byłam pewna, że zostało mi jeszcze kilka banknotów.

Przy kasie zabrakło mi siedemdziesięciu pięciu centów.

- O rany, przepraszam, chyba tyle nie mam - powiedziałam do nachmurzonej kobiety po przeszukaniu całej torby w nadziei odnalezienia drobnych.

Czułam niecierpliwość kolejki, która uformowała się za moimi plecami. Naprawdę nie chciałam się do nich odwrócić. Przyszło mi do głowy, że może mam drobne w małej tajemnej kieszonce, o której istnieniu właśnie sobie przypominałam.

- Oj, proszę poczekać, jeszcze jedna kieszka - uśmiechnęłam się. - Dobrze ukryta, gdzieś tutaj. Kiedyś myślałam, że zgubiłam klucze, i znalazłam je w takiej sekretnej kieszonce. To była inna torba, nie ta...

- Spiesz mi się na samolot - powiedziała ostro kobieta z końca kolejki.

- Cóż, chyba nie ma tu dodatkowej kieszeni - oznajmiłam zakłopotana.

- Siedemdziesiąt pięć centów, proszę - usłyszałam znajomy głos, a wybawiciel włożył drobne w dłoń kasjerki.

- Dzięki Bogu - powiedziała kobieta za mną.

Odeszłam od wścieklej kolejki i obróciłam się do Charliego Lawtona, który stał naprzeciw mnie bez uśmiechu, ale z dość miłym wyrazem twarzy.

- Wesołych świąt - rzucił. - To dobra antologia.

I zaczął się oddalać.

- Hej - powiedziałam, nie będąc pewna, co potem dodać. Obrócił się.

- Dziękuję - rzuciłam.

Może sprawiła to atmosfera świąt, a może poruszyło mnie wielkie poszukiwanie drobnych, ale nie czułam wobec niego

wstrętu. Czyżbym nauczyła się wybaczać? Nauczyciel ze szkółki niedzielnej byłby ze mnie taki dumny.

Charlie zaczął coś mówić.

- Ostatnie wezwanie dla pasażerów na lot United dwadzieścia-trzy do Bostonu - przerwał mu przez megafon sztuczny głos.

- To mój lot - powiedział. - Muszę już iść. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia - odparłam, gdy szybko odszedł.

Czekając na start samolotu i żałując, że trafiło mi się miejsce na środku, zastanawiałam się nad moim nowym nastawieniem do Charliego Lawtona. Po namyśle stwierdziłam, że nadal go nienawidzę, ale w jakiś sposób owa nienawiść wydawała się odległym, zapamiętanym skądś uczuciem. Może w minionych miesiącach widziałam tyle gorszych rzeczy przydarzających się różnym ludziom, a może czułam się dość zadowolona ze swojego życia, ale jego zdrada już tak mną nie wstrząsała. Albo wystarczyła zimowa antologia „New Yorkera”, by kupić moje przebaczenie. Nie byłam pewna. Nim zdołałam zgłębić tę zagadkę, BlackBerry zabręczało z wiadomością. Sprawdziłam ją ukradkiem, gdyż wszystkie elektroniczne urządzenia powinny już zostać wyłączone.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Re: Najlepsza randka

była z tobą pół roku temu. właśnie wróciłem do siebie i znalazłem twój włos na poduszce, tęsknię i kocham cię i mam nadzieję, że będziesz mieć bezpieczny i miły lot. twój a

Zacząłam wstukiwać odpowiedź na tę nieoczekiwane ciepłą i satysfakcjonującą wiadomość, ale przyłapała mnie stewardesa.

- Proszę to odłożyć - fuknęła.

Na chwilę stanęła mi przed oczami Pamela Bramen.

- Och, przepraszam. O rany, czy to naprawdę zakłóca sygnały kontroli lotów? - spytałam ze skruszonym uśmiechem.

- Tak - odparła ostro.

Cóż, w porządku. Później odpowiem Aaronowi. Usadziłam się wygodniej, by poczytać zimową antologię. Sporo mnie kosztowała - nawiązanie uprzejmych stosunków z Charliem Lawtonem. Miałam nadzieję, że było warto.

Mój dawny kolega Steve Hipistead napisał poruszającą historię. Nie całkiem ją zrozumiałam, co tylko wzmocniło we mnie wrażenie, że była to wybitna literatura. Resztę lotu spędziłam na zastanawianiu się, czy mogłam nieumyślnie zainspirować go do stworzenia jakiegoś dzieła, jeśli nie tego właśnie, to innych, lub czegoś, co dopiero powstanie. Choć nie przyjaźniliśmy się blisko, być może zrobiłam jakąś drobną rzecz, która utkwiła mu w głowie i napędzała jego twórczy proces. Gdy się nad tym zastanowić, to często przynosiłam na wykłady lunch w brązowych papierowych torbach. Czyżbym stanowiła pierwowzór „kobiety z papierową torbą”? Poruszyła mnie myśl, że byłam tak anonimowo sławna.

Przejrzałam resztę wydania i zamówiłam piwo imbirowe u stewardesy, która mnie ofuknęła. Napelniła kubek tylko do połowy, może w ramach kary. Miałam porównanie, ponieważ osoba siedząca przy oknie również zamówiła piwo imbirowe i z jej kubka dosłownie wylewała się piana. Już chciałam coś powiedzieć, ale stwierdziłam, że jakakolwiek krytyczna wypowiedź w świetle naszej wcześniejszej rozmowy może zostać błędnie odebrana jako obraźliwa, co z kolei doprowadziłoby do oskarżenia o agresywne zachowanie w czasie lotu. Ryzyko było zbyt duże. Postanowiłam zatem uznać kubek za w połowie pełny i wypić piwo imbirowe jednym szybkim haustem, przez co spora ilość powietrza powędrowała w przykry sposób z powrotem przez mój przelyk.

Kolejne dni upłynęły leniwie i ciepło. Było dużo przesiadywania w rodzinnym gronie, nieco gry w dupka, sporo walk z Kitty - wszystkie zwykłe zajęcia charakteryzujące święta.

W bożonarodzeniowy poranek rozmawiałam przelotnie z Aaronem, ale miał na głowie obowiązki rodzinne, co nie było zaskakujące. Obiecał zadzwonić później, a wcześniej wyszeptał, jak bardzo mnie kocha. Powiedziałam, że go nie słyszę, ale potem zapewniłam, że tylko żartowałam, bo wydawał się tym zestresowany.

Trzy dni później, gdy rodzice już spali, zadzwoniłam do niego na komórkę. Zanim wykręciłam numer, wcisnęłam gwiazdkę, a po niej 67. W ten sposób numer dzwoniącego wyświetlał się jako „nieznany”. Liza nauczyła mnie tej sztuczki, gdy przyznałam się do incydentu w Święto Dziękczynienia. Obiecałam stosować ją w razie konieczności wykonania wielu obsesyjnych telefonów na ten sam numer. Czuję się podekscytowana, wykorzystując technologię w celu ochrony własnej reputacji, choć do tej pory Aaron nieźle się spisywał, jeśli chodzi o kontakty i niewyłączanie komórki.

- Wesołych Świąt! - powiedział młody kobiecy głos, którego nie rozpoznałam.

Zirytowałam się. Rodzina Aarona wyjechała, a on udał się w podróż służbową z Bramenem, wiedziałam więc, że nie była to jego matka ani siostra. Nigdy jeszcze nikt poza Aaronem nie odebrał jego telefonu. Znałam jednak ludzi, którzy odbierali połączenia na komórkach innych. Pewnie jakaś nadgorliwa pracownica z New Hampshire. Aaron zwykle miał telefon ze sobą, ale w przeszłości zdarzało się, że zostawiał go na biurku.

- Och, witam - odparłam, starając się nie okazywać ogarniającego mnie popłochu. - Jest Aaron?

- Bierze prysznic. Tu Darlene, czy to Julian?! Tak bardzo chciałam panią poznać! - powiedziała z entuzjastycznym chichotem.

Poczułam lodowate uklucie w sercu. Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło. Zawsze zakładałam, że to tylko takie powiedzenie, nieuzasadnione medycznie, ale teraz już wiedziałam. Serce naprawdę oziębło w mojej piersi, jakby krew nieoczekiwanie zamarzła.

Jillian była siostrą Aarona, o której dużo słyszałam, ale której nigdy nie poznałam. A Darlene? Cóż, była kimś, kto chciał poznać rodzinę Aarona i kto odbierał jego telefon (czego ja nigdy nie ośmieliłabym się zrobić), gdy Aaron najwyraźniej brał w pobliżu prysznic.

- Nie jestem Jillian - zdołałam odpowiedzieć, choć miałam trudności z oddychaniem.

- Och... - Głos Darlene brzmiał tak, jakby była zdezorientowana. - Cóż, czy mam mu coś przekazać? Nie zaśniemy jeszcze przez godzinę czy dwie, więc jestem pewna, że może do pani oddzwonić.

Czułam się tak, jakby ktoś zadał mi cios w żołądek, co potwierdzało prawdziwość kolejnego stereotypowego wyrażenia, w które powątpiewałam. Zdołałam coś wymamrotać i odłożyłam słuchawkę. A potem usiadłam na łóżku, starając się przetrwać uzyskane przed chwilą informacje.

Przez ułamek sekundy próbowałam wyobrazić sobie scenariusz, w którym to, co powiedziała właśnie ta obca kobieta, pasowałoby do całkiem niewinnej rzeczywistości. Może była współpracownicą, z którą musiał dzielić pokój w hotelu, by zaoszczędzić na kosztach kampanii? I całkiem przypadkiem okazała się młoda, kobieca i rozchichotana? Nie, nie dałam rady wymyślić odpowiedniego uzasadnienia. Co się, u diabła, działo?

Nagle moja pamięć ożyła, a wspomnienia znalazły bolesne wytłumaczenie. Aaron i ja jechaliśmy metrem. Gładził moje włosy.

- Hej, *darling*, kochanie? Nie śpisz? - spytał nieuważnie.

Byłam zaskoczona nieoczekiwanie czułym i tak niezwykłym w jego ustach zwrotem.

- Jak mnie właśnie nazwałeś? - zapytałam z niedowierzaniem.

Wyglądał na zakłopotanego. Pamiętam.

- Nic - odparł słabo.

A ja pospiesznie uratowałam go z nieprzyjemnej sytuacji, zapewniając, że to miło i wspaniale, że nazwał mnie „kochaniem” w ten słodki, niewyraźny sposób. Teraz jednak uświadomiłam sobie, iż wcale nie nazwał mnie „kochaniem”. Przez pomyłkę powiedział „Darlene” i niewiarygodnie mu ulżyło, gdy wybawiłam go z opresji.

Niedowierzaniu i przerażeniu towarzyszył gniew. Kim była Darlene? I co ważniejsze, kim był Aaron? Najwyraźniej nie tym kochającym mężczyzną, za jakiego go uważałam. Zdradzał mnie?! Jak śmiał mnie tak traktować? Co powinnam teraz zrobić?

Wzięłam telefon, by zadzwonić do Aarona i zażądać odpowiedzi na kilka pytań, ale się powstrzymałam. Nie miałam gotowego planu, a nie chciałam po prostu wpaść w histerię. Musiałam sobie z tym poradzić, nie ograniczając się do krzyków. Potrzebowałam więcej informacji.

Odetchnęłam głęboko kilka razy. Kim była Darlene? Musiała pracować w New Hampshire - Aaron nie mógłby mieć dwóch dziewczyn w DC. Czy ufałam któremukolwiek z jego przyjaciół na tyle, by poprosić o informacje? Pomyślałam o współlokatorze Mike'u. Odbyłam z nim parę nocnych dyskusji na temat rzeźb z puszek po piwie i wiedziałam, że lubi zatrzymywać filmy w kluczowych momentach, by tworzyć swego rodzaju artystyczne pauzy, ale poza tym nasze relacje nie były zbyt bliskie. Zresztą Aaron wspomniał, że Mike wyjechał poza miasto na zwiedzanie wirów energetycznych w Sedona.

Na myśl o pustym mieszkaniu zapragnęłam je przeszukać. Czy istniał sposób, by włamać się tam z daleka? Nagle, jakby Bóg Odkrytego Cudzołóstwa bezpośrednio przesłał mi wiadomość, przypomniałam sobie, że Aaron miał w domu osobną

linię telefoniczną. Początkowo nie doceniłam wagi tego faktu. Głos czekał cierpliwie, aż zrozumie. Oczywiście. Wiedziałam, co zrobić. Wybrałam numer.

Gdy odezwała się sekretarka, wcisnęłam gwiazdkę i oczywiście nagrany głos spytał o hasło. Spróbowałam 5757 ze względu na rozmowę z Aaronem o szczęśliwych numerach. Ku mojemu niewypowiedzianemu zaskoczeniu i wdzięczności dla sprzyjającego bóstwa zadziałało.

- Masz... siedem... zapisanych wiadomości - powiedział głos w nienaturalny, dwutonowy sposób. - Aby wysłuchać, wciśnij jeden.

Wcisnęłam.

- Otrzymano... dwudziestego dziewiątego września o... dwudziestej drugiej trzydziści - poinformowało nagranie.

- Hej, słodki, to ja - usłyszałam głos, który, jak teraz wiedziałam, należał do Darlene. - Dzwonię, żeby powiedzieć dobranoc. Myślałam o tobie cały dzień. A ty o mnie? Nie mogę się doczekać, aż przytulę cię znowu w przyszłym tygodniu. Śpij dobrze. Pa.

- Aby zachować wiadomość, wciśnij dwa. Aby skasować, wciśnij trzy. Aby przejść do pozostałych opcji, wciśnij cztery.

Automatycznie wcisnęłam dwa, chwytając się za brzuch, w którym właśnie złapał mnie bolesny skurcz. Dwudziesty dziewiąty września? Trzy miesiące temu.

- Następną wiadomość, otrzymana... czwartego października o... dziewiętnastej pięć.

- Hej, skarbie, to ja. Dzięki za kwiaty. Chciałam ci tylko powiedzieć, jak bardzo za tobą tęsknię.

Wszystkie pozostałe były podobne. Wszystkie od Darlene, wszystkie nagrane w ciągu ostatnich trzech miesięcy, wszystkie zachowane przez Aarona najwyraźniej z sentymentalnych powodów. Wiadomości jasno dowodziły, że widywali się dość często i utrzymywali intensywne stosunki fizyczne. Szóste nagranie zawierało przesłankę co do jej tożsamości.

- Otrzymało... dwunastego grudnia o... godzinie jedenastej.

- Hej, misiu, pewnie wracasz teraz do domu. Tankujemy samolot i udajemy się do Trenton, ale zobaczę cię za kilka dni. Przy okazji dzięki za zatankowanie mnie. Kocham cię, skarbie.

Dwunastego grudnia byłem w Nowym Jorku - w tym samym czasie Aaron wybrał się na barbecue w Iowa. Wyciągnęłam kopię terminarza Bramena. Jasne, dwunastego grudnia odnotowano „powrót z Des Moines”.

Sprawdziłam inne daty wymienione przy wiadomościach. Wszystkie odpowiadały wyjazdowi Aarona z Bramenem. Celem wielu z nich, ale nie wszystkich, było New Hampshire. Jednak zawsze odbywały się lotem czarterowanym. Czy Darlene mogła być pilotem? Miałam dużo wyciętych z gazet zdjęć przedstawiających Bramena wysiadającego z samolotu z Aaronem w tle. Często zaczerpiałam twarz Bramena lub dodawałam mu diabelskie rogi. Teraz zrozumiałam, że to samo powinnam była zrobić z Aaronem. Wyciągnęłam zbiór wycinków.

Oto Bramen w Iowa schodzący po schodach obok Aarona. Widziałam w kokpicie pilota, ale z pewnością był to mężczyzna.

Okay, kolejne ujęcie - tym razem Aaron z tyłu. Nie widziałam pilota, ale Aaron wyraźnie rozmawiał jeszcze z kimś w kabinie.

A teraz ujęcie z większej odległości. Na schodach za Aaronem stewardesa.

I ponownie ona.

I znowu.

Znowu.

Przyjrzałam się jej uważniej. Mniej więcej w moim wieku, może młodsza. Nosila krótką spódniczkę i dopasowany żakiet. Wyglądała na szykowną i pewną siebie, a na siedmiu

z piętnastu fotografii, które zgromadziłam, stała bardzo blisko Aarona. Chciałam zabić ich oboje.

Wcześniej nawet jej nie zauważyłam. Dlaczego bym miała? We wszystkich samolotach pracowali piloci i stewardesy - nie powinna się wyróżniać. Nigdy nie spotkałam jej osobiście. Nigdy nie zastanawiałam się nad jej istnieniem. A ona spała z moim chłopakiem przez trzy ostatnie miesiące, a prawdopodobnie dłużej.

Torturowałam się wizjami tego, co działo się właśnie w tej chwili w hotelowym pokoju Aarona. Czy Darlene w ogóle wspomniała mu o moim telefonie, zanim namiętnie rzuciła się na siebie sekundę po tym, jak wyszedł z łazienki świeżo wyprysznicowany i gotowy do działania? A jeśli tak, co mu przekazała? Nim się rozłączyłam, zdołałam wydusić „spróbuję z nim porozmawiać za tydzień w biurze”. Nie wiedziałam, czemu to powiedziałam - słowa po prostu wydostały się z mojego gardła martwe i monotonne. Nie były przemyślaną częścią sprytnego planu, ale zastanawiałam się, czy mogę je teraz jakoś wykorzystać.

Próbowałam myśleć strategicznie. Aaron nie wiedział, że dzwoniłam. Jeśli Darlene mu powiedziała, zapewne określiła mnie jako nieznaną koleżankę z pracy, odwołując się do mego pożegnalnego stwierdzenia. Jeśli Aaron sprawdził listę połączeń, co prawdopodobnie zrobił, odkrył, że był to nieznanym numer, dzięki sztuczce z gwiazdką i 67. Stąd miał powód sądzić, iż Darlene nie mówiła o mnie, choć z pewnością dostrzeże ryzyko, że taka rozmowa faktycznie mogłaby się odbyć. Zapewne od tej pory podwoi środki bezpieczeństwa.

Nie miałam jeszcze w głowie gotowego planu, ale przyszło mi na myśl, że powinnam zyskać nieco czasu, by móc stawić czoło Aaronowi i zemścić się w najbardziej satysfakcjonujący sposób. Najlepiej w tym celu wykonać jeszcze jeden telefon i zachowywać się normalnie, jakbym dzwoniła po raz pierwszy tego wieczoru. Czy uda mi się to zrobić? Przy sporym wysiłku.

Po kilku minutach oddychania głęboko, poczułam się spokojna i zdecydowana. Wybrałam ponownie numer, tym razem bez gwiazdki i 67, ale i tak nie miało to znaczenia, bo od razu odezwała się sekretarka. Oczywiście wyłączył telefon. Wzięłam kolejny głęboki oddech, szybko dodałam sobie animuszu i czekałam na sygnał.

- Hej, Aaronie, tu Sammy. Dzwonię tylko, żeby powiedzieć ci dobranoc. Mam nadzieję, że w New Hampshire wszystko się udało. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Kocham cię. Pa, pa.

Mój głos brzmiał prawie normalnie. Odetchnęłam z ulgą. Wiadomość uspokoił go, że wszystko między nami w porządku - i że nie ma potrzeby martwić się o połączenie, które odebrała Darlene. Chciałam, żeby poczuł się bezpiecznie. A potem, żeby cierpiał. Ta część nadal wymagała zaplanowania.

Sen nie wchodził w grę, choć czułam zmęczenie ciała. Poszłam na ustępstwo i położyłam się w łóżku ze zgaszonymi światłami, lecz mój umysł pracował gorączkowo, jakbym siedziała wyprostowana w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Czy Darlene zakładała, że ma Aarona na własność? Spora szansa, że tak, skoro i ja sądziłam podobnie. Zastanawiałam się, co by pomyślała, gdyby odkryła, że dzieli go ze mną. Jaką była osobą? Czy by się tym przejęła?

Postanowiłam zdobyć nieco więcej informacji. Usiadłam, zapaliłam światło i obejrzałam wycinki. Nazwa na czarterowanym samolocie brzmiała „Share-Air”. Postanowiłam zadzwonić do nich rano.

Nieco uspokojona ułożeniem tego planu, ponownie zgasiałam światło, zamknęłam oczy i pozwoliłam napłynąć emocjom. Nie byłam pewna, w którym momencie ustało łkanie, a nastąpił brak świadomości - czułam, że drzę i szamoczę się przez całą posępną noc.

Skończona gra

Share-Air Incorporated, czym mogę służyć? - powitał mnie następnego ranka szczebioczący głos w słuchawce.

- Tak, witam, jestem z biura senatora Bramena, który prosił, bym zadzwoniła w sprawie listy załogi na jego lot powrotny jutro z Manchesteru - powiedziałam bardzo profesjonalnym tonem.

- W porządku, proszę chwilę poczekać.

Serce biło mi jak szalone, gdy czekałam na ich kolejny ruch.

- Proszę pani? W komputerze jest informacja, że przesłaliśmy te dane wczoraj faksem. Czy życzy sobie pani, żebym ponownie wysłała faks?

Nie, to mi nie pomoże. Nie mogłam im podać numeru w Ohio bez bardzo dobrego powodu, którego teraz nie miałam pod ręką. W dodatku nie byłam pewna, czy rodzice posiadali faks.

- O rany, ktoś to musiał gdzieś zapodziać. Wie pani co, proszę się tym nie martwić. To zwykła załoga, prawda?

- Tak, proszę pani - odparł głos.

Share-Air nie brzmiało ani trochę podejrzliwie. Świetnie.

- **Jasne.** Darlene Smith będzie obsługiwać? - spytałam i wstrzymałam oddech.

Chwila ciszy.

- Stewardesą jest Darlene Templeton, proszę pani.

- Ach, racja. Zawsze to robię. Chodziłam do szkoły z Darlene Smith. Templeton, oczywiście - powiedziałam nieco zbyt nerwowo. - Cóż, świetnie, wielkie dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani. A z kim rozmawiam?

Szybko się rozłączyłam. Na szczęście wcisnęłam gwiazdkę i 67 na wypadek, gdyby mieli identyfikację numerów, ale miejmy nadzieję, że moja przyjaciółka z Share-Air szybko otrząśnie się z tej końcowej podejrliwości.

Darlene Templeton. Brakowało mi Google'a. Jednak do czasu, gdy za kilka dni odzyskam dostęp do stałego łącza, musiałam polegać na dobrej, starej dedukcji. Gdzie bym mieszkała, gdybym była Darlene Templeton? Po postawieniu tego pytania natychmiast się otrząsnęłam. Nie chciałam w żaden sposób identyfikować się z Darlene Templeton - już i tak łączyło nas zbyt wiele. Postanowiłam postawić pytanie inaczej, „gdzie prawdopodobnie mieszka ta zdzira Darlene Templeton?”, i zabrałam się za układanie listy możliwości. Po pierwsze Trenton w New Jersey - rodzinne miasto Bramena i częsty cel lotów.

Informacja w Trenton nie miała jej danych. Za to w liście numerów figurowało dziewięciu innych Templetonów i przyszło mi do głowy, że mogła nadal mieszkać z rodzicami lub innymi krewnymi, ale postanowiłam nie rezygnować z możliwości osobnego adresu, póki nie podejmę jeszcze kilku prób.

Ponieważ wcześniej połączyłam się z Share-Air w Newark w New Jersey, więc następnie wypróbowałam informację w Newark. Znowu wielu Templetonów, ale brak Darlene. Jeden D. Templeton okazał się schorowanym mężczyzną o imieniu David, który nie lubił, by mu zwracano głowę, gdy wybielał sobie protezy. Mogłam to zrozumieć. Moje doświadczenia z paskami wybielającymi nauczyły mnie, że takie czynności wymagały pewnej koncentracji. Wspomniałam o tym, przepraszając, ale nie zmiękł.

Poszczęściło mi się z Manhattanem. Było aż szesnaście D. Templetonów, w tym trzy Darlene. Z pewnością jedna z nich musiała być właściwa. Zapisałam numery i podziękowałam

pani z informacji, która okazała się zaskakująco miła. Może jeszcze kiedyś do niej zadzwonię.

Pierwsza Darlene, choć bardzo rozmowna, zdecydowanie nie była tą, której szukałam. Wyjaśniła, że do operacji zmiany płci tydzień temu nazywała się Daniel Templeton i że jestem pierwszą osobą, która zadzwoniła do niej, odkąd zmieniła dane. Nie lubiła imienia Daniele, ale chciała zachować początkowe D.

- W końcu mam teraz rozmiar miseczki D! - wyrzuciła.

Rozumiałam jej podekscytowanie, ale naprawdę nie miałam czasu na rozmowę. A szkoda, bo wydawała się osobą, która mogłaby opowiedzieć fascynujące rzeczy.

Druga Darlene niedawno przeprowadziła się do San Francisco i Gilbert, nowy lokator, był rozdrażniony, że nadal musi odbierać telefony do niej. Wykręciłam numer trzeciej Darlene, zastanawiając się, czy Manhattan okaże się całkowitą porażką. Po sześciu dzwonekach włączyła się sekretarka. Proszę, niech to nie będzie automatyczne nagranie, błagałam Boga Tropienia Odkrytego Cudzołóstwa. Niech nie zgłosi się maszyna informująca, że dodzwoniłam się do „dwa, jeden, dwa...” itd. Raz jeszcze sprzyjało mi szczęście.

- Cześć, tu Darlene. Nie ma mnie teraz w domu, ale chętnie oddzwonię!

Głos brzmiał lekko i charakterystycznie. To była ona.

Zgodnie z terminarzem Bramena Aaron przylatywał do DC tego popołudnia. Przypuszczałam, że wkrótce potem Darlene wróci do domu, ponieważ ja planowałam powrót do Waszyngtonu trzydziestego pierwszego, a w przeszłości, o ile mogłam stwierdzić, nasze pobyty nigdy się nie nałożyły. Ciekawe, jak Aaron wykręcił się ze spędzenia sylwestra z Darlene? Może miała inne zobowiązania, tak jak ja na Boże Narodzenie. Uff, to podły drań.

Aaron zadzwonił w południe, ale poprosiłam tatę, by przekazał mu, że ucięłam sobie drzemkę. Tata spojrział na mnie szybko, po czym spełnił prośbę.

- Oczywiście - odparł łagodnie.

Nie rozmawialiśmy o tym, choć wiedziałam, że podejrzewa, iż coś jest nie tak. Następnego ranka zebrałam się na odwagę, by zadzwonić do Darlene. Tym razem odebrała.

- Halo? - powiedziała z wigorem.

- Cześć, Darlene, nazywam się Sammy Joyce. Jestem przyjaciółką Aarona - zaczęłam celowo.

Nie chciałam zacząć od przedstawienia się jako jego dziewczyna i wywołać zbytniego szoku. Musiałam ją nieco przygotować.

- Och, nie ma go teraz. Wrócił do DC do pracy - odpowiedziała.

Nie ma go teraz? Wiedziałam o tym, ale to znaczyło, że bywał u niej często.

- Powinnaś spróbować na telefon domowy. Masz jego numer? Ma komórkę, ale używa jej tylko w sprawach zawodowych.

Była wyjątkowo radosna i pomocna i ani trochę podejrzliwa czy niepewna wobec telefonu od przypadkowej dziewczyny do jej chłopaka. W ogóle mnie nie przypominała. Wzięłam głęboki oddech dla uspokojenia.

- Właściwie nie dzwonię do Aarona, tylko w sprawie Aarona. Widzisz, on i ja spotykamy się od pięciu miesięcy - powiedziałam wolno.

- Słucham?

Głos Darlene brzmiał nieco mniej radośnie. Było mi przykro, ale musiałam przejść do sedna.

- Tak. I właśnie odkryłam, że najwyraźniej ty również się z nim spotykasz, nie jestem pewna, od jak dawna, ale pomyślałam, że fakt, iż obie się z nim spotykamy, a nic o sobie nie wiemy, może być wart przedyskutowania.

Nastąpiła chwila przerwy.

- Czy to jakiś żart? - spytała.

- Obawiam się, że nie - odparłam znużona.

- Aaron i ja jesteśmy razem od czerwca. Nie tylko się spotykamy. Jesteśmy w poważnym związku. Sądzę, że się pomyliłaś

- powiedziała spokojnie, choć słyszałam w jej głosie cień wątpliwości.

Czerwiec, hę? Niedobrze. Miała nade mną dwa miesiące przewagi. Choć z drugiej strony zaczął ją zdradzać, żeby być ze mną. Czy to się liczyło? Pewnie w jakiś żaloszny sposób, nad którym nie powinnam się zastanawiać.

- Cóż, ja jestem z nim od sierpnia. I również uważałam to za poważny związek. Obawiam się, że oszukał nas obie.

- Nie rozumiem - powiedziała Darlene.

Współczułam jej. Nie była to miła rzecz do zrozumienia. Pomyślałam, czy nie wysłać jej artykułu z „Post” na potwierdzenie moich słów. Przypomniałam sobie, że Aaron był niezadowolony, iż określiłam go jako swojego chłopaka. Darlene pewnie nie czytała „Post”.

- Jak często się widujecie? - spytała łagodnie.

Może powoli zaczynała rozumieć.

- Cóż, mieszkamy w tym samym mieście, więc...

- Mieszkasz w Waszyngtonie? - przerwała mi.

- Tak, więc o ile nie podróżuje z senatorem Bramenem, na ogół jest ze mną - odparłam.

Długa cisza.

- Nie jesteśmy razem tylko wtedy, gdy przebywa w DC - rzuciła wreszcie Darlene.

Ustaliśmy, że w ciągu ostatnich gorących miesięcy dzieliliśmy się nim mniej więcej pół na pół. Darlene powiedziała, że ona sama cały czas podróżuje, a wiedziała, jak ciężko pracuje Aaron, więc ich urywane fizyczne kontakty wydawały się koniecznym poświęceniem.

- Rzadko się widzimy, ale gdy jesteśmy razem, to jest takie intensywne - mówiła właśnie.

Uderzyły mnie jej słowa. Spotkania z Aaronem były intensywne. To stanowiło o jego uroku.

- Kochasz go? - spytałam.

- Oczywiście - powiedziała.

Słyszałam, jak dusi chlipnięcie.

- A ty? - spytała niemal niedosłyszalnie.

Czy chciałam się wdawać w te wszystkie wyjaśnienia na temat miłości i uzależnienia? Nie bardzo.

- Nie w tej chwili - odparłam zgodnie z prawdą.

- Jak mógł to zrobić? - spytała z bólem.

- Nie wiem. To kłamliwy sukinsyn - podsumowałam.

Z trudem mogłam sama w to uwierzyć. Jednak taki był jedyny możliwy wniosek. Mężczyzna, z którym wyobrażałam sobie przyszłość, mężczyzna, wobec którego rozwinęłam jedyne prawdziwe uzależnienie w moim życiu, okazał się zdradliwym dupkiem. Wybacz mi, Stevie Martinie, nigdy nie powinnam była zbłądzić.

- Rozłączę się teraz i zadzwonię do niego - powiedziała Darlene.

- Nie, nie, zaczekaj - poprosiłam gorączkowo.

Czego zamiast tego chciałam? Nie byłam pewna.

- Po prostu nie sądzę, że powinno mu to ująć na sucho - ciągnęłam.

- Ja też nie. Dlatego zamierzam do niego zadzwonić. Ma dużo do wyjaśnienia - zgodziła się Darlene.

- Tak, ale jeśli do tej pory udawało mu się tak nas omamić, nie podda się łatwo. Jest bardzo sprytny. Założę się, że spróbuje rozegrać nas przeciwko sobie. Na przykład powie ci, że jestem obłąkana czy coś - powiedziałam.

- A jesteś? - spytała Darlene z lekką nadzieją.

- Nie, nie jestem - zapewniłam.

Przynajmniej nie w sensie medycznym.

- Więc co powinnyśmy zrobić? - spytała.

Dobre pytanie. Miałam na wpół ułożony plan. Po prostu musiałam go jej sprzedać.

- Myślę, że powinien zmierzyć się z nami obiema naraz, żebyśmy usłyszały, co ma nam do powiedzenia - rzekłam po prostu.

- Co masz na myśli? - spytała.
- Cóż, jutro wracam do DC. Aaron przyjdzie po mnie i pójdziemy na sylwestra...

Darlene znowu zaczęła popłakiwać.

- Przykro mi - powiedziałam. - Dla mnie też jest okropnie myśleć o nim z tobą.

- Powiedział mi, że spędza sylwestra z przyjacielem, który przechodzi ciężki rozwód - odparła. - Spotykamy się znowu za tydzień, więc nawet się nad tym nie zastanawiałam.

To było wyjątkowo zdradzieckie. Używanie wymówki, dzięki której wyglądał na troskliwego i zaangażowanego przyjaciela. Nikczemne.

- Masz plany na sylwestra? - spytałam.
- Tylko wyjście do baru z koleżankami. Nic wielkiego - odparła.
- Okay. Więc zamiast tego może przylecisz do DC? Przyjdź na przyjęcie. Stawimy mu czoło obie naraz.
- Sama nie wiem - powiedziała Darlene niepewnie.
- Wolisz spędzić tę noc, wiedząc, że on jest ze mną? - spytałam nieco okrutnie.

I nieco obłudnie. Wątpiłam, czy czas spędzony z Aaronem będzie choć trochę romantyczny. Ale zadziałało.

- Będę tam - powiedziała zdecydowanie.

Wymieniłyśmy numery telefonów komórkowych i umówiłyśmy się, że żadna z nas nie porozmawia z Aaronem, dopóki nie spotkamy go następnego wieczoru. Miałam nadzieję, że mogę jej zaufać.

- Mogę zapytać, co robisz w DC? - spytała, gdy kończyłyśmy rozmowę.

- Pracuję dla innego senatora - powiedziałam. - Specjalizuję się w sprawach opieki zdrowotnej.

Nastąpiła krótka przerwa, w czasie której zastanawiałam się nad własnymi słowami. Moja praca była ważna i ją lubi-

lam. Do tej tożsamości powinnam wrócić. Muszę zapamiętać o Aaronie, jeśli tylko się da.

- Pewnie dlatego jesteś taka mądra. Aaronowi naprawdę musi się to podobać - stwierdziła tęsknie Darlene.

O Boże, nie chciałam, żeby dołowała się jeszcze bardziej. W dodatku czułam, że nie powinnam zgłębiać tej uwagi, która wynikała z jej poczucia niepewności. Stwierdziła, że zasadniczo Aaron lubił mnie ze względu na inteligencję. Więc za co lubił Darlene, za wygląd? Za jej umiejętności w łóżku? Nie były to zdrowe rozmyślenia.

- To dupek, nie zapominaj o tym - odparłam. - Nie jest takim facetem, za jakiego go uważałyśmy, więc kogo obchodzi, co mu się podoba?

- Chyba tak - odrzekła słabo.

Potrzebowałam współpracownika z mocniejszym charakterem.

- Po prostu powiedział, że mnie kocha - ciągnęła płaczliwie.

Natychmiast przypomniał mi się incydent z Melanie Spear. Wykrzyczała coś podobnego tuż przed wymierzeniem policzka Treyowi. Wiele razy kręciłam z niedowierzaniem głową, wspominając tę szaloną scenę. A jednak może Melanie Spear miała rację. Gdybym ja dawno temu wynajęła „przynętę”, mogłabym sobie zaoszczędzić wiele bólu.

- Tak, cóż, też mi mówił, że mnie kocha - powiedziałam z pewną dozą egoistycznej satysfakcji.

W końcu był to mój najświeższy triumf.

- Zabiję go - odparła Darlene.

Oto mocny charakter, którego szukałam. Była mordercza. Świetnie. Odłożyłam słuchawkę zajęta rozmyśleniami o zemście. Wiedziałam, że czuję inne, rozpaczliwe emocje, gdy gniew osłabnie, więc trzymałam się go mocno, niczym koła ratunkowego wypełnionego wściekłością.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku, skarbie? - spytała następnego dnia mama w samochodzie w drodze na lotnisko.

Staralam się zachowywać normalnie w ostatnich chwilach spędzonych z rodzicami, ale była to z góry przegrana sprawa.

- Och, wszystko dobrze - odparłam. - Mój chłopak przez cały czas, odkąd jesteśmy razem, sypiał z kimś innym, ale to nic wielkiego. Wracam dzisiaj, by zaskoczyć go razem z tą drugą kobietą. Poza tym wszystko świetnie.

Był to rzadki moment, w którym mama nie wiedziała, co powiedzieć. Tata wpatrywał się w drogę.

- Tak, ma na imię Dartene. Zabawne, bo raz przez pomyłkę zwrócił się tak do mnie, a ja pomyślałam, że mówi „darling”¹. Czyż to nie tragikomiczne?

Po prostu mówiłam dalej. Wreszcie mama mi przerwała.

- Mam trochę valium, jeśli chcesz - powiedziała zwyczajnie.

Nie byłam pewna, czy to rozsądne dodawać valium do niebezpiecznej emocjonalnej mieszanki, którą już miałam w środku. Podziękowałam, ale odmówiłam.

Gdy ścisakałam ich na pożegnanie, tata położył mi rękę na ramieniu.

- Nie martw się tym zbyttnio, Sammy - rzekł. - Zaslugujesz na coś znacznie lepszego i to zdobędziesz.

Bardzo słodka uwaga jak na kogoś, kto od początku był nastawiony przeciwko Aaronowi. Uważałam jego niechęć za irracjonalną, ale może jednak przejawiała się w niej ojcowska intuicja.

- Dzięki, tato - odparłam z wdzięcznością.

Mama próbowała wcisnąć mi w rękę tabletki.

- Nie, naprawdę wszystko w porządku - powiedziałam.

- Tylko trochę aspiryny - odrzekła z przesadnym mrugnięciem.

Sądziła chyba, że staram się zachować pozory. Byłam ponad to, ale zamiast się kłócić, wsunęłam tabletki do kieszeni i pocałowałam ją na pożegnanie.

¹ *Darling* (ang.) - kochanie.

Czekając przy bramce, przejrzałam zaległe maile na BlackBerry, które odzyskało zasięg. Na szczęście pogoda była dobra i loty odbywały się punktualnie. Aaron i ja planowaliśmy spotkanie o szóstej po południu w moim mieszkaniu, by wymienić prezenty i wyjść na kolację, nim udamy się na przyjęcie, ale wiedziałam, że nie będę w stanie zachowywać się przekonująco przez tak długi czas. Kliknęłam na „nowa wiadomość”.

Do: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: Powrót do domu

hej - przepaszam, że nie odzywałam się przez ostatnie dni, ale dopadł mnie poświąteczny wirus i spałam właściwie czterdzieści osiem godzin, teraz już zdrowa i stęskniona, miałam zmiany w locie i będę później - może spotkamy się na przyjęciu? będę o dziewiątej - s.

Przeczytałam przed wysłaniem. Wiadomość nie była ciepła, zdecydowanie niezabawna, ale musiała wystarczyć. Nie czułam się zdolna do większego entuzjazmu. Miejmy nadzieję, że nie zauważy. Zauważył.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Od: Aaron Driver [aidriver@bramen.senate.gov]

Temat: Re: Powrót do domu

dobrze się czujesz? jesteś jakaś nieswoja, przykro mi, że byłaś chora, nie mogę się Ciebie doczekać - myślałem o Tobie cały czas. o której przylatujesz? chcę Cię zobaczyć wcześniej, Kocham, a.

Postanowiłam zastosować jego taktykę i twierdzić, że nie dostałam tej wiadomości, gdy zobaczę go później. Czułam się jak idiotka, bo uwierzyłam w historie o niesfunkcjonujących BlackBerry i zgubionych ładowarkach do komórki.

Wszystko to było częścią większego oszustwa. Głupio przypisywałam te incydenty ogólnej nieodpowiedzialności, ale prawda była znacznie bardziej złowieszcza, pozostawiła mnie oziębłą i pozbawioną iluzji.

Wracając do mieszkania, tym boleśniej odczułam nieobecność Shackletona. Stęchła ciemność na krótko opuszczonego miejsca sprawiła, że poczułam się bardzo samotna. A po dzisiejszym wieczorze zapewne będę tu spędzać jeszcze więcej czasu sama. Ogarniała mnie drętwość.

Na szczęście Liza była w mieście i natychmiast przyszła. Opowiedziałam jej wszystko od początku, przez co mój gniew rozpalił się na nowo. Gdy postanowiła towarzyszyć mi na przyjęciu, czułam się gotowa do odkrycia kart.

Lizę oczywiście zszokowało zachowanie Aarona, ale nie tak bardzo, co z kolei okazało się szokujące dla mnie. Próbowała wytłumaczyć mi, że było w nim coś zasadniczo podejrzanego. Że pomimo charyzmatycznego uroku nie promieniował solidnością i uczciwością.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - spytałam nieco oskarżycielsko.

- Staralam się! - odparła.

To prawda. A ja nie słuchałam. Nie słuchałam też Zeldy. Ani nie zważałam na początkowe ostrzeżenia RG, by uważać na ludzi Bramena. Gdybym po prostu wzięła je do serca, uniknęłabym tego całego bałaganu. Zastanawiałam się, kto jeszcze miał poważne wątpliwości co do Aarona.

Gdy Liza spędziła kolejną godzinę, robiąc mnie na bóstwo jako zasadzkę na Aarona, ten zadzwonił siedem razy. Byłam zadowolona, że gorączkowo chce się ze mną skontaktować, i usatysfakcjonowana, że udaremniałam te próby. Nigdy wcześniej go nie unikałam. Odbierałam telefon nawet w absolutnie nieodpowiednich momentach, żeby z nim porozmawiać. Ignorowanie Aarona po raz pierwszy wywoływało we mnie uczucie dziwnego wyzwolenia.

Po dodającej animuszu przemowie Lizy zadzwoniłam do Darlene. Była w pociągu, wciąż o godzinę drogi. Przekazałam jej wskazówki, jak dotrzeć na przyjęcie, i poprosiłam, żeby zadzwoniła, gdy będzie przed domem, żebyśmy skoordynowały atak. Zgodziła się i zapewniła, że nie kontaktowała się z Aaronem. Ucieszyłam się, słysząc twardszy ton w jej zazwyczaj radosnym głosie. Po chwiejnym starciu okazała się wartościową partnerką.

Miałam ochotę przebrać się w barwy maskujące i pokryć policzki farbą, ale Liza nalegała, że mała czarna będzie bardziej podstępny strojem. Nalałyśmy sobie po drinku, zjadłyśmy nieco pizzy i przygotowałyśmy się do wyjścia.

- Przysięgam, że nadal jestem bardzo zainteresowana twoim życiem i chcę o nim rozmawiać - powiedziałam, nim wyszłyśmy.

- Będzie na to jeszcze mnóstwo czasu. Teraz chodzi o ciebie i „Operację Wyzwolenie” - stwierdziła stanowczo.

Pomyślałam, że mogłyśmy wymyślić fajniejszą nazwę, ale postanowiłam nie przesadzać z krytyką. Byłam nieco pedantyczna, gdy chodziło o etykietkę „operacja”. Wciąż zdumiewało mnie, jak często władze nieodpowiednio nazywały kampanie wojskowe. Jednym z moich najnowszych faworytów była „Operacja Pomożemy”. Gdy słyszałam jej nazwę, w mojej głowie rozgrywał się mały dialog.

- Dlaczego najechaliśmy ten kraj? - pytał jeden głos.

- Bo możemy - odpowiadał drugi ze wzruszeniem ramion.

Zdecydowanie mogli się postarać o lepszą nazwę. Jak również Liza, ale ona przynajmniej uchwyciła militarny charakter naszej misji.

- Gotowa? - spytała słodko.

- Gotowa - odparłam.

Dotarcie na przyjęcie nie zabrało nam dużo czasu, nawet przy wzmożonym ruchu w sylwestrowy wieczór. Grupa przyjaciół Aarona wynajęła bar na dachu w Adams Morgan,

a gdy nasza taksówka zajechała, po ulicy skakali podekscytowani imprezowicze. Po stromej wspinaczkę na piąte piętro weszliśmy na dach, gdzie powitała nas typowa scena. Weseli goście tworzyli nieustający grzmot towarzyskich rozmów otoczeni okratowanymi ścianami upstrzonymi świecidełkami i confetti. Las wysokich lamp utrzymywał wszystko w ciepłym i blasku.

Powstrzymałam chęć przyjrzenia się tłumowi i zamiast tego skierowałam się do baru, z Lizą tuż za sobą. Ona przeprowadziła bardziej szczegółową inwigilację, co mnie nie zaskoczyło.

- Jest tu, jeszcze cię nie zobaczył. Nie obracaj się - poinformowała mnie.

Co oczywiście spowodowało, że natychmiast zaczęłam się obracać, ale Liza przewidziała to i mocno dźgnęła mnie w plecy, by powstrzymać mój ruch. Przyszło mi do głowy, że byłaby niezłym treserem zwierząt.

- Tak lepiej. A teraz się napijmy - zaproponowała.

Pochwała wzmacniana nagrodą. Miała naturalny talent.

Zamówiliśmy drogiego szampana i kazałyśmy obciążyć rachunek Aarona.

- Okay, teraz cię dostrzegł - poinformowała mnie łagodnie Liza. - Idzie tu.

Przygotowałam się, ale nadal patrzyłam prosto przed siebie.

- Tu jesteś! - powiedział Aaron, całując mnie w szyję.

- Dzwoniłem do ciebie.

- Tak? - odparłam, obracając się i beznamiętnie odwzajemniając uścisk.

- Hej, Liza, jak się masz? - powiedział mi przez ramię.

- Nie chciałem być nieuprzejmy, ale po prostu nie mogę się oderwać od mojej dziewczyny.

- Z pewnością - odrzekła szorstko Liza.

Zadzwoił mój telefon.

- O, a zatem działa - powiedział Aaron z żartobliwym spojrzeniem.

- Właśnie go włączyłam - odpowiedziałam, sprawdzając numer. To była Darlene. - Przepraszam, muszę odebrać. Za-raz wracam.

Wymknęłam się na schody. Zakładałam, że Liza go przez chwilę zajmie.

- Halo? - rzuciłam, żałując, że nie umówiliśmy się z Darlene na pseudonimy. Nie były niezbędne, ale fajnie się ich używało.

- Cześć. Już jestem - odparła Darlene.

Jej głos był zmęczony i zrezygnowany.

- Okay, gdy się rozłączymy, zaczekaj pięć minut, a potem wejdź po schodach. Na dachu skieruj się w lewo. Będziemy tuż przy barze. Dopilnuję, żeby stał plecami do ciebie.

Wróciłam do Aarona i Lizy, która natychmiast przeprosiła i udała się do toalety. Aaron i ja zostaliśmy sami.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak, przepraszam za to. - Uśmiechnęłam się. - Po prostu przyjaciel dzwonił.

- Ten facet Rick czy jak mu tam? Dawny chłopak, który podrywa cię za każdym razem, gdy jedziesz do domu?

Niemal się roześmiałam, słysząc wielką zazdrość w jego głosie.

- Nie, nie on - powiedziałam. - Chodźmy tam, chcę z tobą porozmawiać.

Poprowadziłam go do baru i ustawiłam plecami do drzwi.

- Widziałaś się z nim w święta? - spytał Aaron.

- Nie - odpowiedziałam uczciwie. - A ty widziałeś się z kimś, o kogo powinnam być zazdrosna? - zapytałam.

- Oczywiście, że nie, nie bądź głuptaskiem - powiedział Aaron bardzo przekonująco. - Jesteś tylko ty, skarbie, wiesz o tym. Tylko na tobie mi zależy.

Aha.

- Więc tęskniłeś za mną? - spytałam.

Starłam się, by zabrzmiało to nieco uwodzicielsko. Nawet położyłam dłoń na jego ramieniu. Gdy uśmiechałam się do

niego obiudnie, kątem oka obserwowałam zbliżającą się do nas Darlene. Była piękna. Ziarniste wycinki z gazet nie oddawały jej sprawiedliwości. Nie potrafiłam stwierdzić, czy jestem zadowolona, że znalazłam się w tak dobrym towarzystwie, czy też czułam się przez to jeszcze gorzej. Skoncentrowałam się wyłącznie na czekającym mnie zadaniu. Później zastanowię się nad swoimi emocjami.

- Żartujesz? - powiedział Aaron, gdy Darlene zatrzymała się za nim. - Umierałem z tęsknoty za tobą. To było straszne. Może nawet będziemy musieli wymknąć się stąd wcześniej, żebyś jak najszybciej miał cię całą tylko dla siebie.

Gdy pochylał się, by mnie pocałować, odwróciłam głowę, a w tym samym momencie Darlene chrząknęła.

- Coś nie tak, skarbie? - spytał zatroskany.

Spojrzałam mu w oczy.

- Cóż, przez wzgląd na Darlene, nie sędzę, że powinniśmy się nadal spotykać - powiedziałam spokojnie.

- Hę? Kim jest Darlene? O kim, u diabła, mówisz? - odparł.

Widziałam, że szybko opracowuje strategię, ale było za późno.

- Ja jestem Darlene - powiedziała Darlene, stając obok.

- Pamiętasz mnie?

Aaron wyglądał na osłupiałego.

- Co tu robisz? - spytał słabo.

- Cześć, Darlene, jestem Sammy - powiedziałam, wyciągając dłoń. - Dobrze, że się wreszcie poznałyśmy. Przykro mi, że w takich okolicznościach.

Darlene uściśniła moją dłoń, nie odrywając oczu od Aarona, który wyglądał, jakby potrzebował czasu, by ułożyć odpowiedź.

- Nienawidzę cię - wyrzekła cicho.

Aaron wyglądał na wstrząśniętego.

- Nie mów tak, skarbie - błagał, zanim przypomniał sobie, że stoję obok.

- Czy tak unikałeś przejęzyczeń? Zwracając się do nas obu „skarbie”? Naprawdę sprytna strategia - zauważyłam.

W sarkastycznej wypowiedzi nie dało się usłyszeć głębokiego bólu, który poczułam, gdy usłyszałam, że mówi tak do kogoś innego. Ale odsunęłam na bok cierpienie. Nie chciałam być teraz słaba. Aaron zwrócił się do mnie.

- Nie, Sammy, czekaj. Słuchaj, mogę to wytłumaczyć - spróbował. - Daj mi tylko minutę z Darlene, a potem wyjaśnię wszystko tobie - powiedział poważnie.

- Nie - rzuciłyśmy obie jednocześnie.

- Obawiam się, że wszystkie próby wyjaśnień musisz kierować do nas obu. Ale ciekawi nas, co masz do powiedzenia - ciągnęłam, stając bliżej Darlene. - Więc zaczynaj.

Była ode mnie znacznie niższa i drobniejsza, przez co miałam wrażenie, że jestem przytłaczająca. A może posągowa? Czy też gigantyczna? Starłam się o tym nie myśleć. Pachniała jaśminem, co poznałam tylko dlatego, że mama, gdy byłam młodsza, przez trzy lata z rzędu próbowała uprawiać jaśmin. Spędzała w ogrodzie całe godziny, czego nie nawidziłam, ponieważ często były to godziny, które moim zdaniem powinna poświęcić mnie. Pomimo ciężkiej pracy jaśminowa altana nigdy nie powstała. Pamiętałam jednak zapach i odpowiednio kojarzyłam go z czymś, co konkurowało ze mną o czas i uwagę, których pragnęłam i na które zasługiwałam.

Aaron spoglądał na zmianę na nas obie.

- Chyba zaszło jakieś nieporozumienie - powiedział wreszcie.

Darlene tylko patrzyła na niego z niedowierzaniem szeroko otwartymi zielonymi oczami.

- Chyba masz rację - odparłam. - Nie zrozumiałam cię, gdy twierdziłeś, że mnie kochasz i nie spotykasz się z nikim innym. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak naprawdę chodziło ci o to, że jesteś kłamliwym zdradzieckim dupkiem.

Może na przyszłość uda ci się uniknąć takich nieporozumień, a teraz po prostu pieprz się.

Aaron wyglądał na zranionego. W przypiływie paniki ujął mnie za rękę.

- Sammy, musisz mi uwierzyć. Darlene to była dziewczyna, nic teraz dla mnie nie znaczy - zaczął. Ścisząc głos, ciągnął: - Jest nieco stuknięta, rozumiesz? Robiła to już wcześniej.

Mimo że szeptał, Darlene dobrze usłyszała, iż Aaron kwestionuje jej zdrowie psychiczne.

- Jesteś kłamcą - powiedziała nagle zdławionym głosem.
- Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć.

Pobiegła do drzwi. Aaron obserwował ją z udręczoną miną człowieka zmuszonego dokonać trudnego wyboru. Odwrócił się do mnie.

- Nie jest najmądrzejszą dziewczyną - wyznał. - I ma hopla na moim punkcie, ale przysięgam, odkąd cię poznałem, nic między nami nie było.

Wydawało się to szczere, jednak nie przyszło mi do głowy, że może mówić prawdę. Nie miałam też satysfakcji z faktu, iż w ogniu konfrontacji wybrał mnie zamiast Darlene i że to ona otrzymała etykietkę „zachwianej emocjonalnie”, którą przewidywałam dla siebie. Potrafiłam się skoncentrować tylko na wyglądzie Aarona. Nie był już przystojny i czarujący - dostrzegłam teraz brzydotę wcześniej ukrytą przez moje projekcje. Miałam ochotę się odwrócić.

- Nie wierzę ci - powiedziałam spokojnie. - Nigdy już ci nie uwierzę. Żegnaj.

- Sammy, zaczekaj - protestował, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Żałowałam, że za Aaronem nie ma lustra, które pozwoliłoby mi pochwycić spojrzenie, jakie mu rzuciłam. Nie sędzę, żebym kiedykolwiek wcześniej tak na kogoś spojrzała, ponieważ w przeszłości nigdy nie czułam równie skoncentrowanej, in-

tensywniej odrazy. Ale sądząc po reakcji, spojrzenie było za-
bójcze.

Puścił moje ramię, a w jego zawsze niesłuchanie pewnym
sobie wzroku pojawił się prawdziwy lęk. I odebrało mu mo-
wę, co było równie niesłuchane.

- Nie dotykaj mnie - powiedziałam z poczuciem osta-
teczności.

A potem wyszłam. Byłam rozgorączkowana i kręciło mi
się w głowie, gdy szłam w kierunku schodów. Czekala tam
Liza. Ujęła mnie pod ramię, gdy schodziłyśmy.

- Po twoim odejściu wyglądał na załamane - poinform-
mowała. - Jak się czujesz?

Dobre pytanie. Czułam się na pewno silna, nieco wyzwolona,
ale podejrzewałam, że mogła to być przykrywka dla
głębokiego zranienia i dezorientacji, które tkwiły we mnie
gdzieś w środku.

- W porządku - odparłam optymistycznie.

Liza ścisnęła moją dłoń, gdy wyszłyśmy na ulicę. Darlene
stała na rogu, próbując zatrzymać taksówkę. Jej twarz lśniła
od łez. Na chwilę zapomniałam o sobie i po prostu jej współ-
czułam. Dokąd się teraz uda? Czy wróci do Nowego Jorku?
Czy potrzebowała kogoś, by się wygadać?

- Darlene - przyciągnęłam jej uwagę. - To moja przyjaciół-
ka Liza. Może dołączysz do nas na chwilę?

Czułam, że to wyjątkowa i niezwykle łaskawa propozycja.
Darlene wyglądała na niezdecydowaną, a potem w trauma-
tyczny sposób wdzięczną. Po prostu skinęła głową.

- Jesteś głodna?

Ponownie skinęła.

We trzy przecisnęłyśmy się przez podchmielony tłum na
ulicy do pobliskiej restauracji. Nad kawą i ciastkiem pod-
dałyśmy autopsji nasze związki z Aaronem. Choć Darlene
żywiła wobec niego silne uczucia, podczas rozmowy okazało
się, że właściwie tylko to nas łączy. Trudno odbyć wieczór

babskich rozmów, gdy nie znajdujesz z drugą kobietą wspólnego języka. Nie była złą osobą, ale po prostu różniła się ode mnie pod każdym względem. A ta świadomość szybko i cicho doprowadziła do tego, że poczułam wobec niej delikatną niechęć, co zapewne było nieuniknione, biorąc pod uwagę okoliczności naszego spotkania. Nie obwiniałam Darlene tak jak obwiniałam Aarona, ale nie czułam też wobec niej wielkiego ciepła. Słuchając jej narzekań, że pewnie teraz nie będzie mieć na palcu obrączki w swoje dwudzieste drugie urodziny, jak planowała, zdusiłam w sobie chęć, by trącić pod stołem nogę Lizy. Wiedziałam, że nie było to konieczne - Liza z pewnością cierpiała równie mocno jak ja.

- Naprawdę wierzyłam, że Aaron jest tym jedynym - podsumowała Darlene po dwóch godzinach.

Znałam to uczucie.

- I już nie mogłam się doczekać, kiedy rzucę pracę i po prostu będę dla niego gotować, masować mu stopy i kochać go, wiesz? - ciągnęła.

Okay, tego uczucia nie znałam. Tak, zdecydowanie się różniłyśmy. Nie chodziło o to, że nie potrafię się dogadać z kimś 0 pięć lat młodszym - byłam gotowa natychmiast przyjąć Karę do grona mojej rodziny. Po prostu Darlene i ja nie pasowałyśmy do siebie. Jak Aaron mógł być z nami obiema, skoro tak wyraźnie się różniłyśmy? Może właśnie o to chodziło. Spojrzałam na zegarek.

- Cóż, dobre wieści są takie, że to dosłownie nowy dzień 1 nowy rok.

Niedługo potem, choć i tak nie dość wcześnie, pożegnaliśmy się i Darlene pojechała na stację, by wrócić do życia bez Aarona. Gdy znalazłam się w swoim mieszkaniu, dokonałam własnych poprawek. Wyrzuciłam kilka fotografii, pudełko po cukierkach i fluorescencyjny zielony pierścionek, który Aaron wygrał dla mnie na automatach, po czym przesunęłam łóżko pod okno, nabawiając się bólu w plecach. Zażyłam

aspirynę i miałam nadzieję, że nowy punkt widzenia pomoże mi otrząsnąć się ze wspomnień o niezliczonych nocach spędzonych przy Aaronie.

Z tej nowej perspektywy spójrzałam na nadchodzący rok. Zatem będzie inny. Już bez chłopaka, ale przynajmniej nadal miałam pracę, w którą mogłam się zanurzyć z nową energią. Przyszły mi też do głowy niezliczone choroby, na jakie powinienam się przygotować i umieć się przed nimi obronić, oraz setki pomysłów na samodoskonalenie. Zwykle odkładałam wszelkie postanowienia do nadejścia chińskiego Nowego Roku, ale poświęciłam chwilę, by przypomnieć sobie o licznych dobrodziejstwach w moim życiu. Byli w nim mężczyźni niebędący oszukańczymi zdradliwymi szczurami. RG to solidny rodzinny człowiek, mój ojciec również. Zasłyszane historie świadczyły o istnieniu co najmniej kilku innych.

Aaron mnie uwiódł, zdradził i oszukał. Byłam naiwna, gdy go spotkałam, a teraz czułam się otepiała. Miałam nadzieję, że kiedyś w przyszłości wyciągnę wnioski z tego straszego doświadczenia, jednak w tej chwili dopadło mnie zmęczenie. Doprowadziłam się do całkowitego wyczerpania.

Westchnęłam głęboko i spójrzałam na ulicę w dole. Nie leżał na niej śnieg, ale mroźne powietrze lśniło białawo. Przyłożyłam usta do szyby i stroiłam miny w noc. Na zamglonym owalu zostawionym przez oddech narysowałam palcem uśmiechniętą buzię. Szkic wyglądał mizernie, jakby zdawał sobie sprawę, że zupełnie nie pasuje do sytuacji. Uśmiechnęłam się do niego łzawo. Więc jednak nie byłam niczym „kochaniem”. Z tym dało się żyć. Co najważniejsze, nie byłam niczyją „Darlene”. Ułożyłam głowę na poduszce i zapadłam w sen z nadzieją, że rano poczuje się lepiej.

Naga prawda

Następny tydzień oznaczał powrót do pracy, gdyż senatorem rozpoczęli obrady po zimowej przerwie. Siedziałam otępiała przy biurku, próbując zagłębić się w liczne zadania i udając, że czuję się świetnie. I choć tak samo jak zawsze dostosowałam się do gorączkowego tempa, miałam wrażenie, iż otacza mnie ciemnoszara mgła. Po napędzanej wściekłości sylwestrowej konfrontacji cała moja furia ulotniła się, a zastąpiła ją apatyczna melancholia. Nie pomagał fakt, że trwała zima, co zazwyczaj oznaczało krótkie, mroźne, pochmurne dni. Jednak nawet wtedy, gdy znajdowałam się w ciepłych, pełnych pogody pomieszczeniach, kolory wyglądały na bledsze, niż podpowiadał mi rozum.

Nie pomagało również, że to wszystko wydawało się bardzo melodramatyczne, chociaż ból był prawdziwy. Przeżyłam rozstanie, zdradę, ale czy nie miały one miejsca każdego dnia? I często przytrafiały się ludziom, których związki trwały dłużej niż kilka miesięcy? Nie potrafiłam otrząsnąć się z uczucia, że w sprawie Aarona postępowałam nieco głupio, dlatego też nie zwierzałam się nikomu i zachowywałam się tak, jakby wszystko było w porządku. Pomyślałam, że póki będę wykonywać rutynowe zadania, nikt się nie domyśli, jaka jestem słaba i smutna.

Byłam nieco zaskoczona, że życie wokół mnie toczy się dokładnie tak samo, jak zawsze, najwyraźniej nieporuszone moim nieszczęściem. Sprawy szły swoim torem w świecie polityki i poza nim. Pierwsze oficjalne głosowanie w wyścigu

prezydenckim miało się odbyć już za trzy tygodnie w Iowa, a potem w New Hampshire, wyczuwałam więc na Capitol Hill olbrzymie oczekiwanie. Kongresman Candle odpadł w czasie świąt z powodu braku funduszy, a najnowszy sondaż Time / CNN wskazywał, że przewaga Bramena w obydwu stanach nieco się zmniejszyła, odkąd Rexford i Wye nabrali pary. Wydarzenia te wywołały sporo komentarzy, każdy w mieście miał swoją opinię na temat ostatecznego wyniku. Odwracałam uwagę od wewnętrznej pustki, nasłuchując wiadomości i starając się angażować.

W wieczór debaty kandydatów zostałam nieoczekiwanie wezwana do biura RG, gdzie zastałam go wpatrzonego w ekran.

- Na miłość boską, John, udziel bezpośredniej odpowiedzi - rzekł z irytacją, gdy senator Bramen odpowiadał na pytanie prowadzącego.

Zauważyłam, że linia między prawym okiem a uchem RG dosłownie pulsowała.

- Czy on nie mówił tak, jakby się nad wszystkim za długo namyślał? - zwrócił się do mnie. - Ale z drugiej strony bardzo łatwo leje wodę. Całe życie przygotowywał się do tego wyścigu, można by przypuszczać, że będzie nieco śmielszy.

Pokręcił głową zirytowany. Obserwowałam Bramena czytającego gotowe anegdoty, które, jak wiedziałam, napisał Aaron, i poczułam przypływ gniewu. Zaczęłam mówić, jeszcze zanim sobie to uświadomiłam.

- Co za skandal, że Bramen nadal prowadzi - wyrzuciłam. - Nie mogę go znieść i ludzi, którzy dla niego pracują. Banda kłamliwych łajdaków.

RG wydawał się zaskoczony moim wybuchem, więc było nas dwoje.

- Cóż, nie wiem, czy posunąłbym się aż t a k daleko - odparł z uniesioną brwią - ale z pewnością mogliby prowadzić lepszą kampanię.

Skinęłam głową z buzią na kłódkę, by powstrzymać dalsze ostre słowa. Choć żałowałam tej jadowitej wypowiedzi, było dziwnie pocieszające poczuć coś innego poza apatycznym przygnębieniem. I na szczęście Gary nie wydawał się bardzo oburzony.

- To z założenia pompatyczna kampania - ciągnął zirytowanym tonem. - John zachowuje się tak, jakby zasługiwał, by po prostu wręczyć mu nominację. Oburzające. Tymczasem Max Wye mówi jak człowiek, który dałby sobie obciąć rękę, byle tylko pomóc mieszkańcom Ameryki.

Zgadzałam się. I z całego serca pragnęłam, by Wye, Rexford czy Conrad zyskali w sondażach i zdobyli nominację. Ktokolwiek oprócz Bramena.

- Lubi pan Wye'a? - spytałam. - Chciałby pan, żeby wygrał?

RG nie odrywał oczu od ekranu.

- Sympatia do kogoś nie kwalifikuje go na dobrego prezydenta - odparł.

Tak, racja, słuszna uwaga. Można lubić kretyna, ale to nie czyni go kompetentnym.

- Lecz uważam, że Wye lepiej by się spisał - ciągnął RG. - Nie dlatego, że lubię go bardziej niż Bramena, ale dlatego, że nie sprawia wrażenia, jakby siedział w tym wyłącznie dla własnej chwały. Wydaje się szczerze zaangażowany. Oczywiście mogę się mylić, nie spędziłem z nim odpowiednio dużo czasu, jednak spędziłem dość czasu z Bramenem, by wiedzieć, że nie można mu ufać. Podejmuje tchórzliwe decyzje, których celem często jest jedynie poprawa własnego wizerunku. Nie sądzę, żeby to był właściwy sposób rządzenia krajem - podsumował RG. - Co do innych, Rexford ma za małe doświadczenie, a Conradowi po prostu brak poparcia. Więc uważam, że Wye jest najlepszym kandydatem.

Zastanawiałam się, czy RG żałuje, że tym razem nie zgłosił się do wyścigu. Z pewnością miałby duże szanse na nomina-

cję. Wierzyłam w to jeszcze mocniej, obserwując kandydatów powoli grzęznących w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Czy Gary chciałby zmienić swoją decyzję? Czy żałował, że nie zagroził Bramenowi? Czy miałam odwagę go o to zapytać?

Odchrząknęłam. Nie, nie byłam dość odważna. Wolałam założyć, że nie żałował, bo po prostu lubiałam wierzyć w jego nieomylny instykt.

RG odwrócił się od telewizora i skupił uwagę na jakichś dokumentach na biurku. Czy skończyliśmy oglądać debatę? Wydawało się, że zostałam wezwana tylko w tym celu, co bardzo mi schlebiało. Gdy rozmawiałam z RG, szara mgła jakby się przeredzała. Nie chciałam wracać do biurka, gdzie zawisła grubą chmurą. Wysiliłam umysł, by znaleźć coś ciekawego do powiedzenia i przedłużyć swój pobyt.

- Lubię sposób, w jaki Wye się pochyla, gdy coś chce podkreślić - wypaliłam. - Wygląda, jakby miał zaraz wypaść z telewizora, przez co wydaje się bardziej dostępny. I nieco zakręcony, co również lubię. Zakręcony w dobrym, nie złym znaczeniu - wyjaśniłam.

RG zerknął na mnie obojętnie, po czym wrócił do lektury dokumentów, które akurat miał przed sobą. Tak, zabiłam czar chwili. Teraz będę musiała odsłużyć swoje w boksie, gdzie znacznie trudniej było czuć się ważną osobą ze znaczącymi opiniami. Czułam, że szybko pograżam się w ponurym nastroju, od którego na próżno starałam się uciec.

- Och, Samantha. - Zatrzymał mnie RG, gdy wlokłam się do drzwi. - Zapomniałem prawie, po co cię tu wezwałem.

Oczywiście nie zaprosił mnie tylko na pogaduszki. Byłam idiotką.

- Chciałbym zorganizować kilka bankietów połączonych z seminariami na temat poszukiwania leku na alzheimera, parkinsona i inne choroby tego typu - powiedział RG, wskazując na dokumenty na biurku. - Sprawdziałem wysokość

funduszy przeznaczanych obecnie na badania i uważam je za niewystarczające. Chciałbym niezależnych opinii, nic na pokaz - powiedział.

- Tak, sir - odparłam.

- Czy mogłabyś rano dostarczyć mi zarys całej serii? - spytał, obracając się do telewizora, by podkreślić, że nie było to naprawdę pytanie.

Skinęłam do jego profilu i udałam się do ekspresu do kawy. Była już dziewiąta wieczorem. Będę potrzebować kofeiny.

Mona minęła mnie, zdążając ku wyjściu.

- Późna nocka? - spytała, spoglądając na dwa kubki, które sobie nalewałam.

Potwierdziłam. Choć po wycieczce do Nowego Jorku nawiązałam z Moną bliższe kontakty, w minionym tygodniu oddaliłam się od niej tak samo, jak od wszystkich innych.

- Słuchaj, wiem o tobie i Aaronie - ciągnęła. - I wiem, pewnie nie chcesz o tym rozmawiać, ale pomyślałam sobie, że powiem ci tylko, iż dobrze się stało. To nie jest porządny facet.

Wypowiedź sugerowała, że Mona miała jakąś ukrytą wiedzę na temat Aarona. Była profesjonalistką i nie wygłaszała by uwag o czyimś charakterze, gdyby nie opierała się na twardych dowodach.

- Dzięki, ale z ciekawości, dlaczego twierdzisz, że nie jest porządnym facetem? - spytałam. - To znaczy, masz jakieś powody, by tak uważać?

Mona wbiła wzrok w ziemię. Och, zdecydowanie miała.

- Cóż, hm, tak, wydaje mi się, że tak.

Była wyraźnie zawstydzona. Poczulałam ukłucie ciekawości.

- Tak? - zachęciłam ją.

Mona jeszcze chwilę się wahała, zanim wyrzuciła z siebie potok słów:

- Wiedziałam, że Aaron cię zdradza. Chodził z młodszą siostrą mojej współlokatorki ze studiów, gdy poznał Darlene, i spotykał się z obiema w tym samym czasie, a kto wie, z kim jeszcze, zanim siostra mojej koleżanki się domyśliła. A potem Mark zobaczył Aarona z Darlene w Nowym Jorku kilka miesięcy temu, kiedy podobno byłaś z nim poważnie związana. Obściskiwali się w barze. Mark chyba próbował ci o tym powiedzieć, ale ty pomyślałaś, że cię podrywa - zakończyła, nie odrywając wzroku od podłogi.

Co?! O, dobry Boże. Więc o to chodziło Markowi, gdy zachowywał się tak dziwnie i pytał, czyja i Aaron spotykamy się też z innymi osobami? Czy nie mógł być nieco bardziej bezpośredni? Choć pewnie dość szybko go zawstydziłam, z góry oświadczając, że nie ma u mnie szans. Dlaczego nie potrafiłam się czasem zamknąć i dać ludziom powiedzieć, co mają do powiedzenia?

- Och - tylko tyle zdołałam wydusić.

- Naprawdę mi przykro - ciągnęła Mona. - Powinnam ci była powiedzieć.

- Tak, dlaczego tego nie zrobiłaś? - spytałam.

Miała mnóstwo okazji. W odwrotnej sytuacji ja bym jej powiedziała. To nie w porządku, że ukrywała przede mną prawdę.

- Nie chciałam, żeby Mark znowu się tobą zainteresował - powiedziała łagodnie. - Martwiłam się, że gdy będziesz wolna, jego zauroczenie wróci. To znaczy, nawet jeśli było nieodwzajemnione, wiesz, pomyślałam, że może Mark zacznie znowu myśleć o tobie, a przestanie o mnie.

O rany. Gdy Mona i ja rozmawiałyśmy w Nowym Jorku, wydawała się całkowicie pewna swego związku. Ale teraz uświadomiłam sobie, że czuła się bezpieczna, tylko dopóki ja uwikłana byłam w romans z innym mężczyzną.

- Och, Mona - powiedziałam z mieszaniną niedowierzania i współczucia. - To jasne, że Markowi zależy wyłącznie na tobie - przekonywałam.

Widziałam, jak Mark patrzy na Monę, i wiedziałam, że to niemożliwe, by zostawił ją dla mnie. Był w niej zakochany. Może początkowo stanowiłam przeszkodę na drodze, żeby to odkrył, ale ten okres należał już do przeszłości.

- Cóż, tak czy siak, to okropne z mojej strony, że ci nie powiedziałam - stwierdziła z żalem Mona. - Przepraszam. I naprawdę się cieszę, że nie jesteś z Aaronem.

Ja też się z tego cieszyłam. I czułam się jeszcze większą idiotką, że w ogóle się z nim związałam.

Następnego ranka przekazałam RG zarys serii seminariów i zagłębiłam się w pracy, by uniknąć myślenia o czymkolwiek innym. Cały dzień spędziłam na tropieniu grupy brytyjskich naukowców, którzy niedawno odkryli proteinę przydatną w ochronie organizmu przed chorobami neurologicznymi. Choć proteina nie stanowiła leku na alzheimera, parkinsona, huntigtona i inne tego typu schorzenia, pozwalała zahamować ich wyniszczające działanie. Pod koniec tygodnia zlokalizowałam naukowców i przekonałam ich, by zaprezentowali swoje odkrycia na pierwszym bankiecie z serii. I gdzieś podczas tych wszystkich zagranicznych rozmów zakochałam się w wyspiarskim akcencie. Długo odporna na anglofilię matki, nagle zachorowałam na łagodną odmianę.

Naukowcy przyjeżdżali, a RG był zadowolony z moich propozycji, więc zakończyłam tydzień, czując się dumna z tego, czego dokonałam, co było pierwszą pozytywną emocją od dłuższego czasu. Pojawił się przebłysk nadziei. Czy to oznaczało, że wreszcie uczyniłam krok naprzód i jestem gotowa, by odpędzić przygnębienie? Następnego ranka postanowiłam wybrać się do pana Lee w celu przyspieszenia terapii. Przyszło mi na myśl, by wypróbować inny sklep ze zwierzętami, ale biorąc pod uwagę całe niedawne zamieszanie, potrzebovałam w życiu pewnej stałości. Nawet jeśli polegała na przekonaniu, że zostanę naciągnięta na grube pieniądze.

- Brakowało nam pani! - wykrzyknął pan Lee. - Czego potrzeba? Japoński bojownik? Mamy naprawdę ładne!

Tak. Założę się, że tak.

- Chcę się tylko rozejrzeć - odparłam niezobowiązująco.

- Oczywiście. Proszę się nie spieszyć - odparł.

Zajął się czymś za ladą, ale czułam, że obserwuje każdy mój ruch. Przez jakiś czas przyglądałam się węzom i zastanawiałam się, czemu ludzie trzymają je w domach. To znaczy, rybki też nie można przytulić, ale węże to już przesada. Nie rozumiałam powodów ich hodowania, chyba że właścicielom sprawiało przyjemność przyglądanie się, jak pożerają mrożone myszy, szczury i żaby. Ale czy po pewnym czasie nie staje się to nużące? Wtedy zostaje ci tylko olbrzymi znudzony pyton. Co raczej nie jest komfortową sytuacją.

Miałam już problemy z pytonami, bo przeczytałam kiedyś, że na Florydzie jeden z nich uciekł z klatki i wszedł do kanalizacji. Odkryto go wychodzącego z toalety u jakiejś biednej, niczego niepodejrzewającej kobiety, która chciała umyć zęby. Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym. Co gorsza, nie był to pierwszy artykuł opisujący podobną historię. Raczej dziewiąty czy dziesiąty, na który natrafiłam, co sugerowało, że pytony wpełzające z rur należały do stosunkowo częstych zjawisk. W rezultacie nie potrafiłam usiąść w toalecie, nie zaglądając najpierw do sedesu. I nawet gdy wszystko wydawało się w porządku, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że przebywając w tym miejscu, narażam się na wielkie niebezpieczeństwo. Biorąc pod uwagę fakt, jak często musiałam korzystać z ubikacji (nie częściej niż zwykła osoba, ale chodzi o regularność), spędzałam mnóstwo czasu, martwiąc się pytonami.

Przeszłam dalej i przyjrzałam się rybkom.

- Wezmę tę - wskazałam zdecydowanie na średniej wielkości bojownika z pomarańczową plamką, z którym poczułam

natychmiastową więź z powodu kontaktu wzrokowego.

- Nadal kosztują trzy dolary za sztukę?

Pan Lee uniósł w górę palec wskazujący i kciuk, gest oznaczający „ciut więcej”.

Wzruszyłam ramionami. Koszt rybki, choć w królestwie pana Lee ciągle wzrastał, nie stanowił końca wydatków. Dochodziły: akwarium, żwirek, karma, egzotyczne wodorosty i małe podwodne zamki, które, jak przekonywał klientów pan Lee, były niezbędne. Co prawda miałam już to wszystko, ale obawiałam się, że było w jakiś sposób skażone po śmierci poprzedniej rybki, więc na ogół kupowałam nowe, nieco inne zestawy. Pan Lee podał mi zakupione akcesoria w plastikowej torbie. Czy mogłabym odpisać je od podatku? W końcu kolejna istota znalazła się na moim utrzymaniu.

Wróciłam do mieszkania godzinę później, obładowana kompletnym wyposażeniem dla najnowszego zwierzątka. Liza zadzwoniła w chwili, gdy uważnie sprawdzałam temperaturę wody i przygotowywałam się do umieszczenia rybki w luksusowej posiadłości.

- Tym razem zdecydowałam się na pomarańczowy żwirek, żeby pasował do tej małej plamki - poinformowałam Lizę.

- Mam też skrzynię skarbów, w której może się chować. Zrezygnowałam z zamku. Zamki są nieco przytłaczające.

- To świetnie - odparła Liza tonem, który wskazywał, że nie dzwoni, by wysłuchać moich pomysłów na udekorowanie akwarium.

Bardzo mnie wspierała po rozstaniu z Aaronem, ale wyczuwałam, że coś ją zajmuje. Co powitałam z radością, bo zwyczajne rozmowy poprawiały mi humor bardziej niż cokolwiek innego.

- Co u ciebie? - spytałam usłużnie, choć naprawdę interesowały mnie jej pomysły na imię dla nowego lokatora.

Wahałam się między Dr. Cincinnati, Clockwork i innymi imionami, które jeszcze nie przysły mi do głowy. Nie szko-

dzi. Nadal zostało sporo czasu do chrzcin, z reguły odbywających się około tygodnia po zakupie. Ten przejściowy tydzień stanowił ważny okres w procesie znajdowania imienia, ponieważ ujawniała się wtedy osobowość rybki lub, jak w przypadku Shackletona, wysiadał prąd, przez co akwarium zmieniało się w mroźne pustkowie.

- Cóż, zabawne, że pytasz - odparła Liza.

Jej głos sugerował, że powinnam usiąść i przygotować się na wieści. Zakładałam, iż mają związek z futbolistą, z którym się ostatnio spotykała. Nazywał się Scooter i grał jako pomocnik w Redskins. Był wygadany, pewny siebie i ciągle mówił o tematycznej restauracji, którą otwierał z kumplami z drużyny. Najwyraźniej starał się nakłonić cheerleaderki, by pracowały w roli kelnerek. Nie sprawił na mnie wrażenia pokrewnej duszy Lizy, ale postanowiłam nie być krytyczna, skoro najwyraźniej sama miałam problemy z dostrzeżeniem, że wybrałam sobie na chłopaka kłamliwego zdrajcę. Niech ci, którzy nie odkryli zdrady swego ukochanego dzięki agresywnemu łamaniu kodu do poczty głosowej, rzucają pierwszy kamień. Zamknęłam buzię na kłódkę.

- Co się dzieje? - spytałam, przygotowując się na szok.

- Jak wiesz, popieram twoją teorię o spaniu z facetem w ramach upewniania się, czy nie wykazuje jakichś perwersji, które później mogłyby stać się przeszkodą w związku - zaczęła. - Ponieważ mówi do rzeczy, chcesz wiedzieć, co cię czeka, zanim zbytnio zaangażujesz się emocjonalnie. Ale czy kiedykolwiek wypróbowałaś to w praktyce? To znaczy, skąd wiesz, że ktoś ma problem? Jak sprawdzić, czy usterka jest poważna i powinnaś się wycofać?

Ta teoria powstała po moim jedynym i ostatnim razie, gdy przespałam się z kimś na pierwszej randce. Tym kimś był Aaron, więc teoria okazała się katastrofalnie zawodna, choć wcześniej tego nie wiedziałam. Zdawałam sobie sprawę, że Liza często szła z facetem do łóżka szybciej, niż mnie by to

przyszło do głowy, ale nie chciałam jej niczego wytykać ani być krytykancką, więc nie sądziłam, że powinnam wprost odpowiedzieć na pytanie.

- Co się właściwie stało? - rzuciłam zatem.

- On prowadzi dziennik rozgrywek - wyjaśniła Liza zrezygnowanym tonem. - Lubi szkicować i omawiać pozycje, zanim to zrobimy. A w trakcie czasem wyznacza kary za złe zagrania.

- Och, Lizo.

- Wiem - odparła.

- Czy przynajmniej wolno ci założyć ochraniacze? - spytałam.

- To nie jest śmieszne - zrugła mnie.

Moim zdaniem trochę było.

- Jakie kary wyznacza? Za przeszkadzanie w podaniu?

Liza mnie zignorowała.

- Ostatnio zaczął wspominać o kamerze wideo - powiedziała kwaśno. - Martwię się, że chce nas filmować i potem oglądać powtórki.

- Powinnaś z nim zerwać - wygłosiłam oczywisty wniosek.

- Wiem - odparła. - Po prostu chciałam o tym najpierw porozmawiać.

Gdy się rozłączałyśmy, chyba czuła się lepiej, a ja musiałam przyznać, że cieszyło mnie, iż będzie miała więcej wolnego czasu. Choć w rezultacie pewnie nie spotkam rozwiedzionego gracza liniowego, z którym chciała mnie zeswatać. Jakoś to przeżyję.

Przez resztę dnia nadawałam mieszkaniu możliwie pogodny wygląd i zachęcałam rybkę, by się zaaklimatyzowała. Właśnie włączyłam muzykę z filmu *Mala Syrenka*, gdy zadzwoniła Zelda.

- Dzwonię tylko, żeby sprawdzić, jak się masz. Trochę się tu o ciebie martwiłam - wyznała.

Od Nowego Roku nie odpowiadałam na jej wiadomości, co było zupełnie nie w moim stylu.

- Przepraszam, że się nie odzywałam. Jak się okazało, miałaś rację co do Aarona. Powinnam była mieć oczy otwarte i mu nie ufać. Żałuję, że cię nie posłuchałam.

Po stronie Zeldy nastąpiła chwila ciszy.

- Gdybyś to zrobiła, nie przekonałabyś się na własnej skórze - powiedziała łagodnie. - Ale przykro mi, że cię zranił. Chciałabym się na nim zemścić.

Mogła to zrobić? Czy istniał jakiś szwadron telemarketów mścicieli? Na wszelki wypadek podałam jej numer Aarona. Zapisała go dla żartu, kazała się nie przejmować i obiecała wkrótce zadzwonić.

W ciągu następnych tygodni, w miarę zbliżania się chińskiego Nowego Roku, humor mi się poprawiał i rozważałam, jakie podjąć postanowienia. Lubiłam robić to z niewielkim opóźnieniem, ponieważ zyskiwałam dodatkowy czas na badania. Gdy patrzyłam, jak obietnice tych, którzy trwali przy bardziej konwencjonalnym noworocznym terminarzu, pękają i załamują się z każdym tygodniem, przekonywałam się, które postanowienia można realistycznie podjąć, by przetrwały. Obserwacje wykazały, że najlepiej unikać ścisłej diety czy założeń w stylu „nauczę się nowego języka”, bo te zwykle padały pierwsze.

Biorąc pod uwagę moje posępne nastawienie wobec życia uczuciowego, skłaniałam się ku postanowieniom dotyczącym jedynie pracy. Wahałam się jedynie w związku z Dr. Cincinnati, ponieważ unikając miłosnych podboi, dobrowolnie pozbawiałam go silnego męskiego wzorca. Postanowiłam wynagrodzić mu to, od czasu do czasu odzywając się w mieszkaniu grubym głosem.

Postanowienie, by jeszcze intensywniej poświęcić się pracy, zbiegło się idealnie z planami RG dotyczącymi projektu nowej ustawy. Mieliśmy w tym celu wykorzystać serię wieczornych seminariów, które dzięki brytyjskim naukowcom i ich fantastycznemu akcentowi okazały się wielkim sukcesem.

Ustawa miała zwiększyć fundusze dla Narodowych Instytutów Zdrowia przeznaczane na badania nad chorobami neurologicznymi, ponieważ RG wierzył, że odpowiednie przepisy i wsparcie finansowe w połączeniu z niedawnymi przełomami naukowymi mogą zaowocować odkryciem leku na parkinsona, alzheimera i huntingtona szybciej, niż wielu przewidywało. Zgadzałam się z tym poglądem i zabrałam się za przygotowywanie projektu ustawy z nową energią i poczuciem celu.

Pod koniec stycznia Liza wreszcie namówiła mnie do powrotu na scenę towarzyską. Po długim przekonywaniu dałam się wyciągnąć na otwarcie restauracji Scootera, według Lizy „najgorętszą imprezę roku”. Zapewniała, że zaproszono pół miasta i że to idealna okazja, bym się znowu pokazała. Próbowałam wycofać się w ostatniej chwili, udając atak alergii, ale Liza przyniosła mi lekarstwo i wepchnęła do takśówki.

Gdy czekałyśmy w zatłoczonym foyer w kolejce do szatni, rozejrzałam się ostrożnie. Rzeczywiście było tu wiele osób.

- To miło, że Scooter zaprosił cię po tym, jak zerwaliście - zauważyłam.

- Aha - powiedziała Liza radośnie.

Chwileczkę, znałam ten ton.

- Zerwaliście ze sobą, prawda? - spytałam podejrzliwie.

Liza nie patrzyła na mnie. O Boże.

- Próbowałam - odparła. - Ale zaczął płakać i błagać, żebym dała mu szansę, a potem przysiągł, że się zmieni i... cóż... może to zrobić. To znaczy, mam problem tylko z seksem - usprawiedliwiła się. - Tak czy siak, powinnam pewnie pójść się z nim przywitać, ale potem całą uwagę poświęcę tobie. Będziemy się dobrze bawić. Chcę cię znowu zobaczyć szczęśliwą.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową, gdy odbiegła.

- Zaraz wracam! - rzuciła przez ramię.

Gdy oddawałam płaszcze, wszedł Charlie Lawton. Nie miałam jeszcze okazji odpowiednio mu podziękować za uratowanie mnie na lotnisku przed rozzłoszczoną kolejką w kiosku dzięki ofiarowaniu niezbędnych siedemdziesięciu pięciu centów. Poza tym po raz pierwszy uderzyło mnie, że nieźle wygląda. W trakcie poprzednich spotkań byłam zbyt zażenowana, wzburzona lub zagniewana, by skoncentrować się na tym fakcie. I choć zawsze wołałam raczej Aąumana niż Supermana, co oznaczało zapewne stawianie Arthura Curry'ego ponad Clarkiem Kentem, to umiałam docenić dobrą prezencję. Nie byłam snobką, jeśli chodzi o superbohaterów.

- Charlie? - rzuciłam.

Spojrzał i uśmiechnął się do mnie.

- Cześć - powiedział.

Tak, zdecydowanie był przystojny. Teraz to widziałam. O nie, czy pojawiła się wysypka na szyi? Modliłam się, by leki na alergię zatuszowały wszelkie dowody seksualnego podniecenia. Choć właściwie teraz, gdy Charlie i ja nawiązaliśmy kontakt wzrokowy, mogłam myśleć tylko o tym okropnym niesprawiedliwym artykule, który o mnie napisał. Nie powinnam była do niego zawołać. Nie potrafiłam zachowywać się wobec niego przyjaźnie. Czułam, jak mój uśmiech znika.

- Tak, hm, dziękuję, że pomogłeś mi na lotnisku - rzuciłam szybko. - Okay, muszę lecieć.

- Chwileczkę - powiedział spokojnym głosem, który mnie zatrzymał.

Mimo woli ponownie spojrzałam mu w oczy.

- Muszę ci coś wyjaśnić, choć rozumiem, że możesz mi nie uwierzyć - ciągnął Charlie. - Pod artykułem o tobie widniało moje nazwisko, ale nie był to artykuł, który napisałem. Redaktorzy dodali fragment o marnotrawieniu funduszy. Chcieli opublikować coś złośliwego. Przykro mi, że nie mogłem temu zapobiec. Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Gdy mówił, obserwowałam jego usta, ponieważ były wygięte w oryginalny łuk. Słuchałam każdego wypowiedzanego słowa i natychmiast uwierzyłam Charliemu. Promieniował jakąś spokojną uczciwością - jakby miał nadzieję, że ludzie docenią jego prawdomówność, ale nie będzie kopał i wrzeszczał, by ich do tego zmusić.

- Okay - odparłam.

- Próbowałam powiedzieć ci o tym wcześniej, ale nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego. A potem na lotnisku musiałem biec na samolot. Więc czy teraz się dogadaliśmy? - spytał, wyciągając dłoń.

- Tak - odrzekłam zakłopotana, podając mu rękę i zbyt późno przypominając sobie, że była lepka po popołudniowym wypadku z dwustronną taśmą klejącą.

Nie zareagował w widoczny sposób na lepkość. A jego skóra była bardzo ciepła. Nie chciałam, żeby puścił moją dłoń, ale stało się oczywiste, że trzymam ją wyciągniętą za długi. Wzburzona cofnęłam rękę i wbiłam wzrok w ziemię. Czemu nie odpowiedziałam na jego telefony? Dlaczego nie dopuściłam go do głosu tego wieczoru w Georgetown i tylko na niego krzyczałam? Albo w Capitol Lounge po zakończeniu przedłużania obrad? Cała sprawa mogła zostać wyjaśniona dawno temu. Zastanawiałam się, czy to by coś zmieniło.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział jakiś głos nie należący do Charliego.

Spojrzałam na kobietę, której nigdy wcześniej nie widziałam. Co oznaczało, że z pewnością nie spóźniła się na spotkanie ze mną. Oczy Charliego oddaliły się ode mnie i skierowały na jej twarz.

- Cześć - powiedział, gdy stanęła na palcach, by pocałować go w usta.

Spojrzała na mnie badawczo.

- Samantha, to Veronica Dodd. Veronico, Samantha Joyce.

Charlie dokonał prezentacji z niewzruszoną miną. Wymuszenie się uśmiechnęłam, co, jak wiedziałam, sprawiło, że wyglądałam tak, jakby część mojej twarzy została sparaliżowana (ale nie sztucznie, jak po wizycie u kosmetyczki), i wymamrotałam, że muszę sprawdzić wiadomości na Black - Berry.

Właśnie je wyjęłam i udawałam, że czytam ważnego maila, po cichu mając nadzieję, że Charlie i Veronica się oddalą, gdy wróciła Liza.

- Co robisz? Dziś wieczorem szlaban na BlackBerry - zbe-sztala mnie.

- Tak, to potrafi wpędzić człowieka w kłopoty, prawda?
- powiedziała Veronica ze złośliwym uśmiechem.

Charlie spojrział na nią ostro, ale ona nie odrywała wzroku ode mnie. Czy próbowała być zabawna? Wyraźnie odwoływała się do mojej mailowej katastrofy. Czy chodziła wtedy z Charliem? Czy miało to jakieś znaczenie? Nie lubiłam jej.

- Co masz na myśli? - spytała Liza wyzywającym tonem. Wiedziałam, że mogę liczyć na jej wsparcie.

- Och, przepraszam, nie chciałam żartować na delikatny temat - powiedziała nieprzekonująco Veronica. - Pracuję z Charliem w „Post”. Jestem Veronica - przedstawiła się, wyciągając dłoń do Lizy.

- Liza - odparła Liza. - A to pewnie Charlie Lawton?
- spytała.

Charlie skinął głową i uściśnął jej dłoń, sprawiając wrażenie nieco zawstydzonego. Niemal jakby wiedział, że Liza zawiesiła przedstawiającą go laleczkę wudu na wentylatorze pod sufitem. Planowałam szybko poinformować ją o wyjaśnieniach Charliego na temat redaktorów.

- Więc pracujesz nad kolejnymi idiotycznie niesprawiedliwymi artykułami? - spytała Liza.

Nie byłam dość szybka.

- Hej, nie, okazuje się, że było to swego rodzaju nieporozumienie - przerwałam, ciągnąc Lizę za rękaw. - Artykuł zmieniła redakcja. Charlie właśnie mi o tym powiedział.

Liza przyjrzała mu się krytycznie.

- A ty nie mogłeś ich powstrzymać, hę? - spytała sceptycznie.

- Próbowałem - odparł poważnie Charlie.

Liza patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, nim skinęła głową.

- A ty czym się zajmujesz? - spytała Veronica Lizę.
- Oprócz wyciągania zbyt pochopnych wniosków i obrażania ludzi?

- Czy ktoś ma ochotę na drinka? - spytałam głośno.

- Wodę sodową proszę - złożyła zamówienie Veronica, nie odrywając oczu od Lizy.

Ha. Nie oczekiwałam, że odpowie na propozycję. Ale w porządku.

- Ja się tym zajmę - powiedział szybko Charlie.

Spojrzałam badawczo na Lizę. Czy bezpiecznie było zostawić ją samą z Veronica? Pewnie nie dla Veroniki.

- To co zwykle? - spytałam.

Liza skinęła głową. Charlie i ja udaliśmy się do baru.

- Czy straszne z nas mięczaki, że uciekamy przed bójką? - spytałam go.

- Tak. - Uśmiechnął się.

No cóż, potrafią o siebie zadbać. A ja cieszyłam się, że mogę jeszcze chwilę porozmawiać z Charliem, skoro przestał być moją nemezis.

- Więc z czego składa się to, co zwykle? - spytał.

- Z wódki waniliowej z tonikiem i odrobiną soku pomarańczowego - powiedziałam.

- Naprawdę? Nigdy nie słyszałem o takim drinku - odparł.

- Wiem. Sama go wymyśliłam. Właściwie powinna to być wódka waniliowa plus sekretny składnik, ale w podobnych

miejscach nigdy nie mają sekretnego składnika, więc zastępuję go tonikiem - tłumaczyłam. - Wtedy drink nie jest aż tak dobry, ale ujdzie.

- Co to za sekretny składnik? - spytał z zainteresowaniem.

- Powiem ci, ale najpierw musisz się spić - odparłam.

Charlie uśmiechnął się.

- Zatem jesteś wynalazcą - zauważył.

Skinęłam dumnie głową. Cieszyłam się, że moje dokonania spotkały się z uznaniem. Odkąd w czwartej klasie przeczytałam biografię Benjamina Franklina, co pewien czas próbowałam coś wynajdować, odnosząc minimalne sukcesy. Oprócz smacznego drinka moje jedyne poważne osiągnięcie stanowił napędzany ręcznie wentylator, który jednocześnie dla ochłody przyskałał wodą. Byłam oszołomiona, gdy odkryłam ten sam przyrząd sprzedawany na rozgrywkach bejsbolu. Z jednej strony cieszyło mnie, że tłumy ludzi mogą czerpać przyjemność z tego wspianego wynalazku, z drugiej strony miałam wrażenie, iż ograbiono mnie z milionów. Powinnam była zgłosić się po patent.

Dotarliśmy do baru. Przekazałam instrukcje barmanowi, a potem Charlie zamówił wodę sodową.

- I jeszcze jeden drink taki jak tej pani - dodał.

Promieniałam. Moje dzieło się upowszechniało.

- Wiesz, skoro już rozmawiamy o wynalazkach, dziś jest siedemdziesiąta pierwsza rocznica wynalezienia filadelfijskiego burgera serowego - poinformowałam.

Zwykle zachowywałam takie informacje dla siebie, ale nagle poczułam chęć podzielenia się wiedzą. Charlie wyglądał na zaintrygowanego.

- Cóż, trzeba to uczcić - odparł.

Uśmiechnęłam się. Niewiele osób rozumiało te rzeczy.

- Zajęłam się tym już w czasie lunchu - odparłam, klepiąc się po brzuchu. - Właściwie ser zaczęli dodawać dopiero w latach czterdziestych. Oszukałam nieco i zamówiłam z serem - dodałam.

Dobrze było móc przyznać się do wszystkiego.

- Nikomu nie powiem - zapewnił Charlie przyciszonym głosem.

- Będę wdzięczna. - Uśmiechnęłam się do niego.

Odebraliśmy drinki i zostawiliśmy napiwek. Zanim opuściliśmy bezpieczną orbitę baru, Charlie zwrócił się do mnie:

- Przykro mi, że Veronica cię wcześniej obraziła. Bywa nieco szorstka, ale wychodzi z niej reporterka. Naprawdę jest wyjątkowo inteligentna.

W mojej ocenie zaczął dobrze, lecz na koniec się pogrzyżył. Miło, że zauważył, iż jego dziewczyna była nieco nieuprzejma, jednak nie musiał psuć nastroju, chwając ją. Uśmiechnęłam się sztywno.

- Nie ma sprawy - powiedziałam.

- Nie żeby to stanowiło jakąś wymówkę - podsumował.

Poczułam, że mięknę. Powoli wracaliśmy do Lizy i Veroniki, gdy Charlie rzucił mi długie spojrzenie.

- Tak się zastanawiałem, czy nie chciałabyś czasem... co się stało?

Na mojej twarzy niewątpliwie odbiło się przerażenie, które odczułam w całym ciele. Nie potrafiłam odpowiedzieć. Mogłam tylko wpatrywać się w drzwi, gdzie właśnie pojawił się Aaron z Darlene. Spotkanie Aarona było wystarczająco okropne i poważnie się tego obawiałam. Ale spotkanie go z Darlene? To nie powinno się zdarzyć. Obie z nim zerwałyśmy. Prawda? Patrzyłam, jak Aaron pomaga Darlene zdjąć modny płaszcz. Pochylił się, by pocałować ją czule w szyję. Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku. Jeszcze mnie nie zauważyli - zbyt byli zajęci wpatrywaniem się w siebie zakochanym wzrokiem. Poczułam osłupienie, mdłości i całkowitą niezdolność wykonania jakiegokolwiek mchu. O Boże, a jeśli zobaczą, że po prostu się na nich gapię? Czemu nie mogłam się poruszyć? Dostałam skurczów żołądka.

Poczułam na łokciu dłoń Charliego.

- Tędy - powiedział cicho, prowadząc mnie w przeciwną stronę, z powrotem do naszego kącika i z dala od nich. - Nic ci nie jest? - spytał łagodnie.

Aaron i Darlene wrócili do siebie? Nie, nie, nie, nie - czułam, że potrząsam głową.

- Samantha?

Przestałam kręcić głową i pozwoliłam, by oczy Charliego skupiły się na jednym punkcie. Wyglądał na zmartwionego.

- Och tak, w porządku. Czuję się świetnie - powiedziałam zbyt głośno, wypijając drinka, odstawiając szklanekę na stół i zabierając się za ten przeznaczony dla Lizy.

Musiałam się opanować. I musiałam stąd wyjść.

- Na pewno wszystko w porządku?

Nawet gdy Charlie był miły, a teraz z pewnością taki był, zachowywał pewien dystans obserwatora. Poczułam, że całkowicie mu ufam, lecz jednocześnie boję się jego oceny. Najwyraźniej przyglądał mi się bacznie.

- Przepraszam, nie wyobrażam sobie, co o mnie teraz myślisz - powiedziałam, pozwalając, by zalała mnie fala nieśmiałości.

Czułam, że za chwilę wybuchnę płaczem. Charlie położył mi rękę na ramieniu.

- Myślę, że jesteś tylko nieco zagubiona - odparł.

Zaskoczył mnie. Nie oczekiwałam, że mi odpowie. Było to pytanie retoryczne i powinno pozostać w zawieszeniu. Teraz potwierdziły się moje obawy, że jestem osądzana, co tylko zwiększyło ciężar związany z widokiem Aarona i Darlene. Za kogo uważał ją Charlie? Nie potrzebowałam kazań.

- Och, doprawdy - rzekłam wyniośle.

Miałam dodać, że według mnie zachowuje się nieco protekcyjnie i może sam jest zagubiony, skoro spotyka się z wiedźmą pokroju Veroniki, ale nagle zjawiała się Liza.

- Wiesz, która godzina? - powiedziała bardzo napiętym tonem. - Naprawdę musimy już iść. Cześć. - Obróciła się, by

pomachać Veronice, i skinęła do Charliego, po czym mnie wyprowadziła.

Nawet nie zadałam sobie trudu, by się pożegnać. Liza, patrząc prosto przed siebie, skierowała mnie pod ścianę restauracji. Wiedziałam, co próbuje zrobić.

- Już ich widziałam - oświadczyłam.

- A niech to - odparła. - Miałam nadzieję, że szybko i sprawnie wyprowadzę cię stąd pod fałszywym pretekstem, a potem łagodnie przekażę wieści. - Wzięła głęboki oddech.

- Więc chcesz stawić temu czoło? Ja z pewnością mam im parę rzeczy do powiedzenia - dodała groźnie.

Musiałam przyznać, że nie czuję się na siłach. Zapewne dostrzegła to na mojej twarzy.

- Boczne drzwi - powiedziała zdecydowanie.

Tyle, jeśli chodzi o mój powrót.

Luty był na zmianę pochmurny i słoneczny, przez co czułam się niespokojna. Nie potrafiłam otrząsnąć się z wrażenia, że wkroczyłam w miesiąc, któremu nie mogę ufać. I czułam się wyjątkowo wystawiona na ciosy, skoro tak paskudnie sparzyłam się w styczniu, gdy pokonałam ciemną mgłę, odkurzyłam własne „ja” i ośmieliłam się myśleć, że najgorsze już za mną, tylko po to, by zostać okrutnie zepchnięta w przepaść. Czy luty okaże się równie bezlitosny?

Jedynym pocieszeniem było, że luty miał do dyspozycji nieco mniej dni, by mnie dręczyć. Choć koncentrowałam się na pracy, najnowsze wiadomości ze świata polityki tylko pogorszyły mi humor. Jak przewidywano, Bramen wygrał nominacje partyjne w Iowa i nie wykorzystał okazji, by nabrać pokory.

- To zwycięstwo całego kraju - krzyczał ze sceny w Des Moines. - Czempion Ameryki niepowstrzymanie prze nas przód!

Byłam mocno przekonana, że „czempion Ameryki” nie jest tytułem zwykle nadawanym sobie samodzielnie. Czy Aaron odpowiadał za to określenie? Było niezwykle aroganckie, więc istniało duże prawdopodobieństwo, że tak. I czy spytał o zdanie Darlene, tak jak w kwestii pewnych zwrotów zasięgał mojej opinii? Uff.

W następnym tygodniu Wye zadziwił wszystkich, wygrywając prawyborcy w New Hampshire, ale Bramen szybko otrząsnął się z porażki i wyjaśnił, że jego kampania nie była skierowana do „wąskiej, jednolitej grupy ludzi, którzy z powodu przestarzałych przepisów zachowali zbyt ni wpływ na system”. Nadal byłam w pewnym stopniu nowicjuską kampanii prezydenckich, ale nawet ja miałam pewność, że krytykowanie całego stanu to niezbyt dobry pomysł.

Jednak ku mej irytacji ten krok Bramenowi nie zaszkodził. W połowie miesiąca nastąpił wysyp prawyborów, a Bramen wygrał prawie wszystkie. W lutym miało się odbyć jeszcze co najmniej dziesięć, a potem drugiego marca trzynaście naraz. Większość osób uważała, że poznamy nominację właśnie tego dnia, za niecały miesiąc, i większość zgadzała się, że otrzyma ją Bramen. Uznałam to za wyjątkowo przygnębiające wieści. Jeśli nie zdarzy się cud, Bramen wkrótce zostanie namaszczony.

Po drugiej stronie w prawyborach prowadził do tej pory Brancy, ale ani Frand, ani Pile nie wydawali się skłonni złożyć broni. Obaj mocno liczyli na wyniki z południa kraju, gdzie Pile podobno zaangażował się w podziemną kampanię oczerzniania Brancy'ego. Jeśli odniesie sukces, brudna strategia może zapewnić mu wygraną.

Pewnego deszczowego ranka przeglądałam wiadomości i starałam się nie wyobrażać sobie życia w kraju rządzonym przez prezydenta Bramena, lub, nie daj Boże, kolejnego Pile[^]. Na samą myśl czułam fizyczne mdłości.

Sięgnęłam po tabletki na żołądek i spojrzałam na Monę mijającą moje biurko i przeglądającą jakiś folder. Wydawała się ubrana staranniej niż zwykle. Przyjrzałam się jej uważnie.

- Mona? - spytałam ciekawie. - Co takiego masz na palcu?

- Och, to - zaczerwieniła się, niechętnie pokazując nowiu-
teńki pierścionek zaręczynowy. - Tak, Mark się oświadczył
- powiedziała zakłopotana.

Spotykali się dopiero od dwóch miesięcy! Czy na tym eta-
pie zaręczyny były dozwolone?

- Gratulacje - zdołałam wykrztusić mimo zaskoczenia.

Przynajmniej teraz Mona mogła mieć pewność, że Mark
nie skrywa żadnych zadawnionych uczuć wobec mnie. Oświadczył się, gdy byłam wolna i dostępna tuż pod jego
nosem, o kilka kroków wzdłuż korytarza. Wątpiłam, czy po-
trzebowała innego dowodu jego oddania.

- Tak, trochę się pospieszyliśmy - roześmiała się. - Ale
jeśli mówisz „kocham cię” na pierwszej randce, to nieco
przyspiesza sprawy.

Zatem istniały pary, które robiły podobne rzeczy bez kata-
strofalnych konsekwencji? Fascynujące. Czułam się jak Jane
Goodall studiująca gatunek tak zbliżony do niej samej, a jed-
nocześnie tak niezaprzeczalnie obcy.

- O rany - tylko tyle zdołałam wykrztusić.

Słyszałam Jane Goodall wypowiadającą się w telewizji
i wiedziałam, że była nieskończenie bardziej elokwentna.

- Ustaliliście już datę? - spytałam.

Biorąc pod uwagę ich tempo, powinni się pobrać w ciągu
następnych sześciu tygodni czy coś koło tego.

- Myśleliśmy o sierpniu, w trakcie przerwy w obradach
- odparła. - W ten sposób nie musielibyśmy tak bardzo za-
niedbać pracy.

W moim przekonaniu ślub i miesiąc miodowy stanowiły
idealne wymówki, by zapomnieć o obowiązkach. Za każdym

razem, gdy fantazjowałam o zaręczynach ze Steve'em Martinem, wyobrażałam sobie także, dokąd się potem udamy oraz ile dni pracy uda mi się opuścić. Praca z pewnością była dla mnie ważna, ale budowa solidnych podstaw wspólnego życia ze Steve'em wydawała się warta zainwestowania poważnej ilości czasu. W końcu nasza miłość miała nam pomóc przetrwać ciężkie czasy.

- A wesele będzie pewnie bardzo skromne - dodała Mona.

Czy była to wskazówka, że nie powinnam oczekiwać zaproszenia?

- Skromne wesela są miłe - rzuciłam ostrożnie.

Nie mogłam uwierzyć, że nie zostanę zaproszona. Ale co tam, komu zależało na wyprawie w sierpniu do Chicago? Równie łatwo mogłam dostać zawału serca gdzie indziej. Uśmiechnęłam się nieszczerze do Mony i udałam, że muszę wracać do pracy.

Gdy nie pracowałam, zostawałam w domu. Otwarcie restauracji okazało się wystarczająco okropne, by na jakiś czas odstraszyć mnie od udziału w życiu towarzyskim. Liza niechętnie zaakceptowała moją dobrowolną izolację. Spędzała dużo czasu ze Scooterem, który najwyraźniej czynił ogromne postępy dzięki terapii. Wyznaczał znacznie mniej kar w czasie seksu. I niemal wszystkie były łagodne.

Pozostawieni sami sobie, Dr Cincinnati i ja, zaczęliśmy słuchać Blind Blake'a niemal każdego wieczoru przed zaśnięciem. Zapragnęłam zdobyć jakiś instrument. Żyłam bluesem, czemu więc nie spróbować go zagrać? Jeśli stawienie czoła bólowi pozwoli mi odkryć jakiś wcześniej nieznaną, odjazdowy talent, to może warto było cierpieć. Może.

Kierując się impulsem, kupiłam w lombardzie lśniącą, ale używaną harmonijkę. Po dezynfekowaniu jej przez trzy dni, by pozbyć się zarazków na tyle, na ile pozwalała chemia, ściągnęłam z internetu parę samouczków, nalałam sobie kieliszek wina i zabrałam się do pracy. Było strasznie.

Próbowałam wmówić sobie, że każdy na początku brzmiałby równie źle, ale nie dałam się nabrać. Postanowiłam zaakceptować nieszczęśliwy fakt, że trzeba czegoś więcej niż depresji, by rozpocząć karierę muzyka bluesowego i rozwinąć nowe talenty.

Okazałam się za to wyjątkowo sprawna w zdobywaniu chińszczyzny na wynos. Wracalam właśnie z kolejnej udanej misji, gdy zauważyłam na chodniku Charliego i Veronice. Zatrzymali się przed wystawą, a Veronica wskazywała na coś za sklepową szybą. Charlie spoglądał uważnie. Obejmował ją ramieniem, a ona trzymała różę, którą pewnie jej podarował. Typowa romantyczna scena. Zamarłam. Gdy odeszli, zbliżyłam się do wystawy. Był to sklep papierniczy, a w oknie wystawiono kilka rodzajów zaproszeń ślubnych. Pochwycił mnie strach. Dobry Boże, czy Veronica i Charlie się pobierali? Co za fatalny pomysł.

Ta reakcja mnie zaskoczyła. Dlaczego obchodziło mnie, czy się pobierają? To nie moja sprawa. Przecież nawet nie znałam ich zbyt dobrze, powiedziałam sama do siebie, próbując przestać marszczyć brwi.

Ale to po prostu niewłaściwe. Veronica była okropna i choć nie poznałam Charliego bliżej, naprawdę miło się z nim rozmawiało na otwarciu restauracji. Przynajmniej do chwili, gdy dostrzeżliśmy Aarona i Darlene. A potem Charlie protekcyjnie zdiagnozował mnie jako „zagubioną”. Jeśli się nad tym zastanowić, może jednak był arogancki i obłudny. Nie miałam pewności.

W mieszkaniu zjadałam kurczaka mushu i rozmyślałam o romantycznych związkach. W tej chwili zdawało się, że każdy poza mną w jakimś jest. A wiele osób w niewłaściwych. W moim przekonaniu Veronica nie była odpowiednia dla Charliego, Scooter nie był odpowiedni dla Lizy, a Bramen dla Ameryki. Aarona i Darlene nawet nie chciałam rozważać. Fakt, iż wszystkie te związki zdawały się kwitnąć

pomimo ich podstawowej nieprawidłowości, wywołał u mnie poczucie bezradności i odosobnienia. Ale pocieszyłam się myślą, że gorzej być nie może.

Następnego dnia okazało się, że jednak tak.

Oglądałam w biurze wywiad z Bramenem, w którym celowo kreował się na bardziej centrowego polityka i ostro wystąpił przeciwko projektowi ustawy RG o większych funduszach dla Narodowych Instytutów Zdrowia. Ustawy, którą przygotowywałam i która zyskiwała coraz większe poparcie - mówiono, że zapewne zostanie uchwalona. Z pełnym odraży zaskoczeniem obserwowałam, jak Bramen atakuje dobry projekt.

Większość przemądrzałych specjalistów twierdziła, że Bramen ma już nominację w kieszeni i powinien się skoncentrować na właściwej kampanii. W tym celu miał się odwołać do szerszego grona wyborców i zwalczyć swój dość rozpowszechniony wizerunek jako gaduły oddanego tylko interesom swojej partii. Bramen najwyraźniej wziął te rady do serca.

Widziałam po wyrazie jego twarzy, że sądzi, iż wyróżnia się w śmiały i zaskakujący sposób.

- W pewnym momencie członkowie mojej partii muszą przestać wydawać ciężko zarobione dolary obywateli, jakby nie ciążyła na nich żadna odpowiedzialność - grzmiał Bramen. - Ja również bardzo chciałbym, żeby odkryto lek na te straszne choroby, ale powinniśmy podchodzić do problemu w mądry i konsekwentny sposób. Nie możemy wydawać pieniędzy z podatków bez sprawdzonej strategii.

Przeprowadzający wywiad był równie zaskoczony jak ja.

- Senatorze Bramen, przecież z senatorem Garym przeforsował pan ustawę o refundacji leków, która będzie sporo kosztowała podatników. Czy żałuje pan teraz swojego udziału? - spytał reporter CNN.

- Oczywiście, że nie - odciął się Bramen. - Jest ogromna różnica między ustawą senatora Gary'ego o Narodowych Instytutach Zdrowia, będącą tylko lekkomyślnym dodatkiem do

budżetu, a moim pakietem dotyczącym refundacji leków, który pomoże milionom znajdujących się w potrzebie Amerykanów.

- Czy to nie senator Gary był początkowo autorem ustawy o refundacji leków? - spytał reporter.

- Masz cholerną rację! - zakrzyknęłam do ekranu.

Ani Bramen, ani reporter nie zwracali na mnie uwagi. Bramen lekceważąco machnął dłonią, jakby odganiał od siebie tę kwestię.

- Senator Gary rzucił niedorobiony pomysł, przy którym potrzebował sporej pomocy - odparł. - Mówienie, że ustawa była jego dziełem, to jak mówienie, że Nestle wynalazło ciasteczka z czekoladą. Przepis istniał już od dłuższego czasu. I to ja naprawdę zabrałem się za pieczenie.

Gdy dotarłam do biurka Marka, ten wyglądał tak, jakby się mnie spodziewał.

- Wiem, widziałem - rzekł, zanim zdołałam rozpocząć tyradę.

- To była najgorsza piekarska metafora, jaką kiedykolwiek słyszałam - powiedziałam przez zaciśnięte zęby. - Czy ktoś powiadomił RG?

- On też to widział - odparł Mark.

- I co powiedział? - spytałam z ciekawością.

- Jest wkurzony - stwierdził Mark.

Dobrze. Ale już dawniej bywał wkurzony i nie decydował się na kontratak. Choć uwielbiałam w RG to, że poświęcał się dla zbiorowego dobra i starał się być ponad przepychankami, pragnęłam zemsty. Miałam dość walki o wyższe cele i zgody na to, by na każdym kroku nas kopano. Zadzwoił telefon Marka.

- I oto nadchodzi - westchnął z determinacją, podnosząc słuchawkę. - Mark Herbert - powiedział.

To brzmiało tak profesjonalnie. Zapamiętałam, by od tej pory podobnie odpowiadać na telefony. Mona dołączyła do mnie, gdy Mark rozmawiał z dziennikarzami.

- Niewiarygodne - oświadczyła, kręcąc głową. - Właśnie widziałam powtórkę na CNN. Serwis Drudge Report już zamieścił informację o Bramenie krytykującym RG.

- Nie pojmuję, dlaczego to zrobił - odparłam.

Mówiłam prawdę. Wiedziałam, że Bramen to dupek, ale takie zachowanie wydawało się całkowicie nieracjonalne. Na Capitol Hill było mnóstwo nieprzemyślanych ustaw, które mógł krytykować. Czemu wybrał tę ważną, naprawdę mającą pomóc ludziom? Czy żywił do RG osobistą urażę? Tak sugerowały złośliwe komentarze „anonimowych źródeł” w ostatnich miesiącach. Jednak zawsze słyszałam, że Bramen to dupek równych szans.

- Jest wredny dla wszystkich - zgodziła się Mona. - Ale czuł się wyjątkowo zagrożony przez RG, jeszcze odkąd w tym samym roku zostali wybrani do Kongresu. Gary nie ma tak wielkich ambicji, lecz zyskuje większy szacunek każdego, kto z nimi współpracował, a to naprawdę wkurza Bramena.

Ciekawe. Zakładałam, że Bramen traktuje RG z góry tylko przez arogancję - nie przyszło mi do głowy, iż ta wrogość może wynikać z zazdrości.

Zastanawiałam się nad tym, wracając do biurka, gdzie zaraz zadzwoniła po mnie Janet.

- Chce cię widzieć - powiedziała szorstko.

- Teraz? - spytałam z niedowierzaniem.

- Teraz.

Pobiegłam do biura RG. Gdy weszłam, siedział spokojnie przy biurku w zamyślonej pozie.

- Witaj, Samantha - powiedział.

- Dzień dobry, sir - odparłam.

Przez chwilę milczał, a potem przybrał poważny wyraz twarzy. Jego mina od czoła po podbródek świadczyła o zdecydowaniu. Widywałam ją już wcześniej. RG podjął ważną decyzję.

- Oglądałaś Bramena? - spytał.

Skinęłam głową.

- To niewiarygodne, sir. On nawet nie...

Uniósł dłoń. Umilkłam, czując się nieco zbesztana. Moja twarz musiała to zdradzać, bo w odpowiedzi rysy RG złagodniały.

- Wiem - powiedział delikatniej. - Właśnie zadzwonił do mnie James Satchel - ciągnął.

Satchel był senatorem z Kalifornii i przewodniczącym komisji do spraw opieki zdrowotnej, którego RG przekonał niedawno, by wysłuchał zeznań na temat potrzeby zwiększenia wydatków na badania nad parkinsonem, huntingtonem i alzheimerem.

- James uważa, że terminarz komisji jest obecnie zbyt napięty, żeby mogli poświęcić odpowiednio dużo czasu na przesłuchania. Na razie chce je odłożyć - zakończył.

Sapnęłam.

- Co?

Mieliśmy rozpocząć przesłuchania w przyszłym tygodniu. Ustawa wywołała już mnóstwo reakcji i pojawiło się sporo głosów poparcia.

- Najwyraźniej Satchel czuje się zobowiązany popierać Bramena - ciągnął RG.

Satchel od początku pomagał Bramenowi i został przewodniczącym jego sztabu wyborczego na Zachodnim Wybrzeżu. Czytałam, że należeli do tego samego stowarzyszenia w Princeton. Ale był przecież przewodniczącym kluczowej komisji. I powiedział RG, iż jego zdaniem ta ustawa jest bardzo ważna. Najwyraźniej nie tak ważna, jak zbieranie politycznych punktów w roku wyborów.

- Ale... - zaprotestowałam.

- Nie ma żadnego „ale”, Sammy. Ustawa poległa - powiedział spokojnie RG. - Prawda jest taka, że Bramen siedzi w kieszeni przemysłu ubezpieczeniowego. Pewne firmy, z którymi jest związany, nigdy nie będą zainteresowane na-

sileniem badań nad chorobami neurodegeneracyjnymi, o ile nie dostrzegą w tym pewnego zysku. Wolą, żeby pieniądze wydano na co innego. Chcieli, aby ustawa upadła, i Bramen ją dla nich zabił. To skorumpowany układ. Koniec pieśni.

W jego głosie nie było goryczy, lecz raczej poczucie ostateczności. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Ale... - wyjąkałam.

- Jak już powiedziałem, nie ma żadnego „ale” - przerwał mi RG. - Po prostu tak się sprawy mają. Jednak jest pewne „a”. Brudne interesy Bramena zniszczyły naszą ustawę. A ja mam go już dość.

Był to promyk nadziei, którego szukałam. Czułam, że nawet moje ubranie pojaśniało w odpowiedzi.

- Chciałem po prostu, żebyś o tym wiedziała, skoro włożyłaś w przygotowanie ustawy tyle pracy. Nie poddajemy się. Po prostu zostaliśmy opóźnieni - powiedział.

Słyszałam niemal, jak rozbrzmiewa wokół nas wezwanie do boju.

- Tak, sir - odparłam.

Wyczuwałam, że zaraz mnie odprawi.

- Co zamierza pan zrobić z Bramenem, sir? - usłyszałam, jak zadaję pytanie.

- W przyszłym tygodniu w Cleveland poprę Maxa Wye'a. Proszę, żebyś na razie zachowała to dla siebie.

Związła, mocna, budująca odpowiedź. Wspaniale! Wiedziałam, że większość ludzi uważa Bramena za pewniaka, ale wierzyłam w instynkt RG. W dodatku prawyборы w Ohio, tak jak w wielu innych stanach, miały się odbyć drugiego marca. Jeśli ktokolwiek mógł zapewnić kandydatowi głosy mieszkańców, to RG. Niektórzy już od dłuższego czasu zabiegali o jego poparcie. Więc przy odrobinie szczęścia Gary dołączy do zwycięzcy. I dokona przy tym słodkiej zemsty.

- To świetna wiadomość, sir - odparłam.

- Od początku lubiłem Wye'a. Trzymałem się z boku z szacunku dla pozostałych kolegów, ale nie uważam, by John Bramen nadal zasługiwał na mój szacunek. Muszę tylko wyjaśnić swoje stanowisko Conradowi i Rexfordowi, a potem to zrobię.

- Czy mogę w czymś pomóc, sir? - spytałam.

- Tak. Udzielając Wye'owi poparcia, chciałbym poruszyć kwestię opieki zdrowotnej. Zobacz, co zdołasz przygotować.

Z chęcią. Wróciłam do biurka z poczuciem, że zdjęto ze mnie wielki ciężar. Co prawda w moim życiu osobistym sprawy nadal nie układały się za dobrze, ale kto by się tym przejmował. Wolałam nie mieć chłopaka, niż być związana z kimś niewłaściwym. A życie zawodowe dostarczało mi mnóstwa emocji. Walczyłam o słuszną sprawę i brałam udział w zmienianiu świata na lepsze.

Najwyraźniej musiałam tylko dobrze dobierać sobie cele. Wątpiłam, bym zdołała rozdzielić Charliego i Veronicc czy Lizę i Scootera. I choć sądziłam, że rozbiłam związek Aarona i Darlene, najwyraźniej mi się to nie udało. Może odniosę większy sukces, pomagając poróżnić Bramena z Ameryką. Nie będzie to łatwe, wiedziałam, ale czułam, że warto spróbować. Bramen i jego ekipa nie zasługiwali, by zdobyć nominację, więc byłam zdecydowana w miarę możliwości im to utrudnić. Gra toczyła się o wysoką stawkę, lecz szara mgła ustępowała, a mój wzrok się wyostrzał. W odbiciu na ekranie komputera ujrzałam na twarzy zaczątek uśmiechu.

Oddychaj głęboko, to tylko świeże powietrze

Przez następne kilka dni miałam poczucie ukrytego celu. Lekko zaniepokoił mnie fakt, jak bardzo spodobała mi się idea zemsty. Nie chciałam tak bardzo się wciągać - zawsze żywiłam nadzieję, że moje pobudki będą czystsze i bardziej pozytywne, ale nie mogłam zaprzeczyć, że jestem podekscytowana perspektywą odegrania się. Czy w głębi duszy byłam zła? Postanowiłam dla równowagi zgłosić się do wolontariatu.

W piątek rano towarzyszyłam RG do Cleveland i zawiozłam go na prywatne lotnisko, gdzie mieliśmy się spotkać z przylatującym Maxem Wye'em. Choć wielokrotnie widziałam Wye'a w telewizji, nigdy nie spotkałam go osobiście. Okazał się niższy, niż oczekiwałam. Podeszedł do nas i oboje spojrzeliśmy na RG, który wyciągnął dłoń, gdy tylko Wye znalazł się w zasięgu ramienia.

- Gubernatorze - powiedział Gary przyjaznym tonem zarezerwowanym tylko dla tych, których szanował.

Innego rodzaju przyjacielskiego tonu używał wobec osób, których nie znał lub nie podziwiał. W trakcie pracy z RG zaczęłam rozpoznawać tę szczególną odmianę, jakiej użył teraz, i zwracałam wtedy baczniejszą uwagę na rozmówców. Już wcześniej byłam skłonna dobrze myśleć o gubernatorze Wye'u. Teraz miałam pewność, że powinnam.

- Miło pana widzieć, senatorze - odparł Max Wye.

Uścisnęli dłonie.

- To Samantha Joyce, moja guru od opieki zdrowotnej
- przedstawił mnie RG.

Najwyraźniej lekko sobie zażartował, ale był to pierwszy raz, kiedy nazwano mnie guru, żartem czy nie. Co charakteryzowało guru? Czy powinnam nosić jakieś szaty?

- Miło cię poznać, Samantha - mówił właśnie gubernator Wye, ściskając moją dłoń. - Od dawna popieram stanowisko twojego szefa w kwestiach zdrowotnych, więc możesz mnie uważać za jednego ze swoich popleczników.

Uśmiechnęłam się i na próżno próbowałam zmusić język, by się rozwiązał. Wye chyba zaakceptował fakt, że nie wydam żadnego ludzkiego dźwięku w odpowiedzi na jego uwagę. Wraz z RG ruszył do czekającego samochodu.

- Miło pana poznać - rzuciłam, zamykając drzwi.

Byłam całkiem pewna, że powiedziałam to zbyt cicho, by mnie usłyszeli, nawet jeśli wybrałabym bardziej odpowiedni moment.

Pomagałam w przygotowaniach do wizyty Wye'a i RG w lokalnym szpitalu, który był wyjątkowo zaangażowany w przeprowadzanie prób klinicznych mających pomóc w leczeniu chorób neurodegeneracyjnych. Administracja szpitala zdecydowanie poparła też ustawę o refundacji leków, więc łączyły nas przyjazne stosunki. Weszłam do vana naszej ekipy ustawionego za samochodem Wye'a i RG i uśmiechnęłam się do wszystkich nieznanymi twarzami. Ludzie Wye'a wyglądali na zajętych i ważnych. Wykorzystałam okazję, by skontaktować się z Karą, która zrobiła przerwę w pisaniu pracy magisterskiej i pomagała organizować spotkanie.

Do: Kara Linden [klinden@csuohio.edu]

Od: Samantha Joyce [srjoyce@gary.senate.gov]

Temat: W drodze

U was wszystko w porządku?

Wysłałam wiadomość, zanim uświadomiłam sobie, że Kara nie miała BlackBerry. A niech to, musiałam wrócić

do tradycyjnej technologii i zadzwonić z komórki. Doce-
niałam cichą prywatność BlackBerry - coś, co zaczęłam
uważać za pewnik. Czułam się lekko speszona, wykręcając
jej numer.

- Hej, Sammy - odpowiedziała.

Raczej nie była zestresowana. Tylko zajęta.

- Hej, jesteśmy w drodze. U was wszystko w porządku?

- Tak, choć oddział przygotowawczy Wye'a strasznie się
wtrąca - użalała się dobrodusznie.

Ściszyłam głos w komórce, rozglądając się ukradkiem. Nikt
inny w vanie tego nie usłyszał, prawda?

- Naprawdę? O co chodzi? - spytałam niejasno.

Oddziały „przygotowawcze” wyprzedzały kandydatów, by
wszystko ustawić i zapewnić gładki przebieg wydarzeń. Mieli
ułatwiać sprawy.

- Wiesz, po prostu wszystko sprawdzają dwa razy - od-
parła Kara. - Komenderują personelem ze szpitala. Są bardzo
entuzjastyczni i profesjonalni, lecz niekoniecznie zjednują
sobie sympatię. Próbuje zapobiegać wpadkom, jak mogę. Ale
nie martw się, wszystko będzie dobrze - zapewniła.

- Nie martwię się - powiedziałam nieco za szybko.
- Chcesz, żebym zadzwoniła, gdy się zbliżymy?

- Och, mnóstwo ludzi tego pilnuje - odrzekła ze śmie-
chem. - Tim, kierownik ekipy, wciąż dzwoni do kogoś, py-
tając, czy są „bravo”. Wiesz może, co to znaczy?

- Chyba tyle, że ktoś przyjedzie za dziesięć minut - od-
parłam niepewnie. - Albo pięć. Tak mi się wydaje.

Nie byłam pewna. Czy nie mówiło się też „alpha”? W tej
chwili kobieta za mną szczerknęła do komórki.

- Odbiór, Tim, jesteśmy bravo od waszej lokalizacji.

- Słyszałaś? - wyszeptałam do telefonu.

- Tak - odpowiedziała Kara. - Cokolwiek to oznacza, zo-
baczymy się wkrótce.

- Świetnie.

Byłam nieco zazdrosna o mistrzowskie posługiwanie się tajemniczym kodem przez ekipę Wye'a. Na pewno nie musieli go używać - powiedzenie „jesteśmy bravo od waszej lokalizacji” zabierało tyle samo czasu, co „za pięć minut będziemy na miejscu”. Właściwie trwało nawet dłużej. O całe trzy sylaby dłużej. Przypomniłam mi się komediowy skecz o żargonie szpitalnym, który usłyszałam kilka lat temu. Komik wyśmiewał się z terminu „GSW” jako skrótu na „gun shot wound”. Dowodził, że ze względu na dwusylabową wymowę „w” skrót był dłuższy niż jego rozwinięcie. Dostrzegłam podobną nieefektywność w systemie „bravo”. Ale i tak kod brzmiał fajnie, co zapewne wynagradzało braki.

Rzeczywiście dojechaliśmy do szpitala w chwili, gdy przebrnęłam myślami przez ciąg skojarzeń bravo-GSW. Ujrzałam Karę czekającą w drzwiach obok bardzo wysokiego młodego człowieka z opadającymi ramionami i słuchawką w uchu. Zapewne Tim? Rzeczywiście wyglądał na agresywnie zaangażowanego. Zastanawiałam się, czy słuchawka działa, czy jest tylko na pokaz. I czy ja mogłabym taką mieć? Wyglądała fajnie.

Wyskoczyliśmy z vana, gdy tylko się zatrzymał. Towarzysze jazdy ignorowali mnie przez większość czasu, tworząc harmider i ogólną atmosferę ważności wokół samochodu z Wye'em i RG w środku. Udałam się do Kary, by uściskać ją szybko i nieprofesjonalnie.

- Miło cię zobaczyć - powiedziałam szczerze.

Uśmiechnęła się.

- Ciebie też.

Odwróciłyśmy się, by obserwować, jak otwierają się drzwi samochodu. Gdy Wye i RG wyszli, pospieszyło do nich małe stadko reporterów. Wykrzykiwane pytania potęgowały wrażenie gorączkowej atmosfery.

- Senatorze Gary, czy dziś poprze pan gubernatora Wye'a?
- krzyknął pewien reporter głośniej od pozostałych.

RG i Wye uśmiechali się, machali, po czym poszli prosto do budynku. Nadal nie przywykłam do koniecznej praktyki ignorowania takich pytań, ale najwyraźniej była to politycznie usprawiedliwiona i akceptowalna forma nieuprzejmości.

Gdy RG i Wye zaczęli zwiedzanie obiektu, Kara i ja wśliznęłyśmy się do kawiarni, by sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na konferencję prasową, która miała się odbyć na zakończenie wizyty. Z tyłu sali Zack objadał się właśnie pączkami. Kara i ja skierowałyśmy uwagę na przód, gdzie oddział przygotowawczy Wye'a przedstawiał krzesła. Kara wywróciła oczami.

- Od samego rana martwili się ustawieniem - wyjaśniła.
- Tim w pewnym momencie zarządził, by Wye miał inne krzesło. Nie mogłam zrozumieć dlaczego, póki nie zobaczyłam, że jest o kilka cali wyższe od innych. Nie wiem, czy Wye ma kompleks na punkcie swego wzrostu, ale jego ekipa na pewno.

Naprawdę? I potrzebowali słuchawek do takiej roboty?

- On przecież nie jest aż tak niski - zaprotestowałam.

Kara wzruszyła ramionami.

- To tylko czubek góry lodowej. Oszczędzę ci opowieści o ich innych żądaniach.

Hmm, to mogło pokrzyżować moje plany, by nieugięcie popierać Wye'a. Czy on również wykazywał cechy primadonny? Trochę się tego obawiałam.

- Przykro mi, że to wszystko na ciebie spadło - powiedziałam.

- A mnie nie - odparła. - Ciekawe doświadczenie. I dzięki niemu jeszcze bardziej doceniam RG.

To na pewno. Z Garym nie zawsze pracowało się lekko, ale nie wiązało się to z powierzchownymi rzeczami. Wszystko traktował poważnie, łącznie z nakładaniem na nas poważnych

obciążeń, ale nawet w tych chwilach wyraźnie koncentrował się na misji, a nie na sobie samym. Im lepiej poznawałam innych polityków, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, jaka to rzadka cecha.

Komórka zadzwoniła właśnie w chwili, gdy dostrzegłam Zacka ochlapującego sobie krawat czekoladowym kremem.

- Halo? - rzuciłam, choć chciałam powiedzieć „Sammy Joyce” bardzo profesjonalnym tonem. Ciągle o tym zapomniałam. Może następnym razem.

To była Janet.

- Samantha, mam tu senatora Bramena odpowiadającego na telefon RG. Gary prosił wcześniej, bym przełączyła go na twoją komórkę. Powiedział, że będziesz mu towarzyszyć.

Cholera!

- Zaczekaj sekundę - krzyknęłam, ruszając do windy.

Wokół kłębił się tłum. Pobiełam do schodów i przez trzy kondygnacje przeskakiwałam po dwa schodki. Płuca mnie paliły. Właśnie wpadłam na korytarz i dostrzegłam RG i Wye'a z grupą administratorów wychodzących z pokoju jakiegoś pacjenta, gdy w słuchawce odezwał się Bramen.

- Robert? - spytał.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie spróbować naśladować głosu RG, zanim szczęśliwie nie wybrałam innej opcji.

- Przepraszam, senator Gary za sekundę będzie przy telefonie - powiedziałam, z trudem łapiąc oddech.

Jak profesjonalnie zabrzmiała moja zadyszka? Gorączkowo zamachałam do RG, po czym podeszłam i przykryłam telefon dłonią.

- Przepraszam, sir?

Zarówno RG i Wye spojrzeli na mnie. Nie dało się rzucać na lewo i prawo „sir” w obecności więcej niż jednej osobistości.

- Ważny telefon do pana, senatorze - tym razem zwróciłam się wyraźnie do RG.

Przeprosił i szybko podążył za mną do pobliskiej pustej sali.

- To Bramen - wyszeptałam melodramatycznie.

RG skinął głową i wziął telefon.

- Witaj, John, dziękuję, że się ze mną skontaktowałeś - powiedział spokojnie. - Chciałem cię poinformować, że postanowiłem udzielić poparcia gubernatorowi Wye'owi.

W przerwie, która nastąpiła, wstrzymałam oddech. Zastanawiałam się, co się dzieje w głowie Bramena. I czy jest z nim Aaron. Czy myśli teraz o mnie?

- Cóż, przykro mi, że tak uważasz - stwierdził spokojnie RG. - Ale jeśli moje poparcie jest tak mało znaczące, nie masz powodu się martwić, że go nie otrzymasz.

Poczułam falę gniewu, wyobrażając sobie, co Bramen musiał powiedzieć, by sprowokować taką ripostę. Naprawdę go nienawidziłam. I każdego, kto dla niego pracował.

- Do widzenia, John - rzucił RG, kończąc rozmowę.

Dobrze go splawił. Gary pokręcił głową i popatrzył prosto na mnie.

- Pora na konferencję prasową - powiedział zdecydowanym tonem, oddając mi komórkę. Podał mi również swoje BlackBerry, co było jedynym dowodem, że rozmowa go poruszyła. Choć z ciekawością przejrzałam jego wiadomości, odchrząknęłam.

- To chyba należy do pana, sir - wielkodusznie wskazałam na BlackBerry.

- A, racja - powiedział z roztargnieniem. - Dzięki.

Dołączyliśmy do Wye'a i innych, po czym udaliśmy się na dół do stołówki. Gdy weszliśmy na salę, ujrzałam, jak Kara klepie Tima po ramieniu. Przyłożył dłoń do ucha i gestem zasygnalizował jej „zaczekaj chwilę”. Czy właśnie informowano go o naszym przybyciu? Mógł po prostu spojrzeć w odpowiednią stronę. Kara wywróciła oczami.

Na szczęście wszystko poszło gładko. Administratorzy szpitala promienieli, gdy RG chwalił ich ogromne wysiłki

i dokonania. Zdecydowanie i przekonująco udzielił poparcia Wye'owi, co zostało przyjęte z wdzięcznością. Gary wyraził swój podziw dla Wye'a, który zebrał niespotykane wcześniej poparcie wśród stowarzyszeń obywatelskich.

- W trakcie mojej kariery poznałem wielu polityków - zaintonował RG. - Ale niewielu przywódców. Max Wye jest przywódcą w najlepszym znaczeniu tego słowa - takim, za którego wypowiedziami idą czyny. Decyzji o udzieleniu mu poparcia nie podjąłem pochopnie. Jestem całkowicie przekonany, że gubernator Wye będzie następnym prezydentem tego narodu i że wprowadzi ważne i wartościowe zmiany. Z dumą pomogę mu realizować ten cel i zachęcam wszystkich mieszkańców Ohio, by dołączyli do naszej drużyny.

Tłum zebrany za kordonem prasy zaczął wiwatować. Ogarnęło mnie przyjemne ciepło dumy. Byłam przyzwyczajona, że wystąpienia RG są świetne, ale w jego osobistym zaangażowaniu się w tę kampanię był jakiś nowy element. W powietrzu wokół nas krążyły pewne możliwości, nad którymi się wcześniej nie zastanawiałam. W tej chwili, w tym ciepłe, czułam, iż stoimy u szczytu czegoś wielkiego. I to było ekscytujące.

Wye przemówił krótko, a potem on i RG spędzili kilka chwil, odpowiadając na pytania prasy, dopóki Tim nie zwołał z boku „ostatnie pytanie”. Czy dziennikarze naprawdę się na to zgodzą? Kto ustala! te zasady?

- Gubernatorze Wye, gdyby by! pan członkiem senatu, czy głosowałby pan za pakietem o refundacji leków senatora Gary'ego?

Byłam zaskoczona, że ktoś puścił taką łatwą piłkę. Choć gdy byłam młodsza, często miałam problemy z odbijaniem łatwych piłek i z pierwszej ręki wiedziałam, że to błędne określenie. Co nie powstrzymało mnie od jego używania, lecz zawsze dodawałam powyższe uzupełnienie, nieco wydłużając cały proces. Pewnie łatwiej i szybciej byłoby, gdy-

bym trzymała się przymiotników takich jak „prosty” czy „bezpośredni”.

Gubernator Wye wykorzystał okazję, by pochwalić starania RG o uchwalenie ustawy o refundacji leków i ponownie wyrazić swoje zdecydowane poparcie dla niej.

- I niech mi będzie wolno również powiedzieć - ciągnął Wye - że uważam za bardzo niekorzystne, iż John Bramen wypowiedział się przeciwko zaproponowanemu przez senatora Gary'ego projektowi ustawy o funduszach dla NIZ. To dobry projekt, który pomógłby we wspieraniu takich wartościowych działań, jakie podejmują ludzie w tym szpitalu. Ta ustawa wynika zarówno ze szlachetnych pobudek, jak i pragmatyzmu, i zamierzam ją podpisać, jeśli powierzony zostanie mi urząd prezydenta.

Gdy Wye skończył pierwsze zdanie, promieniałam. Był to z jego strony niezwykle hojny gest, by tak oficjalnie wypowiedzieć się o ustawie, która umarła smutną śmiercią kilka dni temu z powodu zaniedbania przewodniczącego. Cieszyłam się, że Wye rzucił na tę sprawę więcej światła i wypomniał Bramenowi jego działania.

Konferencja prasowa skończyła się i wróciliśmy na lotnisko. Byłam wyczerpana, ale usatysfakcjonowana. I nie mogłam się doczekać powrotu do Waszyngtonu, by rzucić się na łóżko, lecz RG i Wye najwyraźniej w czasie jazdy poczynili inne plany.

- Postanowiłem dołączyć do gubernatora Wye'a w objeździe Ohio w ten weekend - poinformował mnie RG, gdy wysiedliśmy z pojazdów. - Możesz mi towarzyszyć?

Zastanowiłam się. Na pewno nie miałam żadnych planów, z których musiałabym zrezygnować. Jedyne zobowiązania dotyczyły Dr. Cincinnatiego, ale zawsze mogłam poprosić Lizę, by została magiczną rybią nianią. Dołączenie do oddziału Wye'a brzmiało ekscytująco. W dodatku czy naprawdę dano mi wybór?

- Oczywiście - odparłam.

- Dobrze - stwierdził krótko RG. - Joe upewnia się, czy wszystko jest w porządku. Odlatujemy za dziesięć minut.

Cóż, nie było to zbyt wiele czasu. Czy będzie stanowiło jakiś problem, jeśli polecimy towarzyszyć kampanii Wye'a, skoro oficjalnie płacono mi za pracę wyłącznie nad sprawami senatu? Przypuszczałam, że Joe Noon szybko to sprawdzi i znajdzie sposób, by zatwierdzić zmiany. Był obrotnym szefem kadr.

Rzeczywiście, wkrótce dołączyliśmy do stadka Wye'a i poleciliśmy w kierunku Toledo. RG i Wye siedzieli w prywatnej kabinie z przodu samolotu, a ja starałam się nawiązać kontakt z niektórymi pracownikami zajmującymi miejsca obok mnie z tyłu, ale najwyraźniej byli zbyt zajęci, by otworzyć się na moje gesty przyjaźni. Jak zwykle schowałam się więc za BlackBerry.

- Przez te rzeczy można oślepnąć, jeśli człowiek się nie pilnuje - powiedział jakiś głos nade mną.

Zgarbiona i z nosem przy ekranie uniosłam wzrok, by dostrzec atrakcyjnego dojrzałego mężczyznę uśmiechającego się do mnie, jakby rozważał, czy warto kontynuować rozmowę. Zbliżał się do czterdziestki lub niedawno ją przekroczył! i miał uderzająco inteligentne oczy. Nawet nie zauważyłam ich koloru, błyszczały bardziej inteligencją niż jakimś szczególnym odcieniem.

- Albo najpierw moje kciuki sparaliżuje artretyzm - odparłam.

Jego połowiczny uśmiech rozciągnął się na trzy czwarte, po czym mężczyzna usiadł na miejscu obok mnie. Wyciągnął dłoń.

- Jestem Bob Espin - powiedział.

Zatem to był Bob Espin. Niegdyś cudowne dziecko wśród konsultantów politycznych, a teraz nieco starszy cudowny superkonsultant. Należał do założycieli K Street Group, jed-

nej z najbardziej znanych grup konsultingowych w Waszyngtonie. Spearman korzystała z jego usług przed swoim załamaniem, a później Espin został zatrudniony przez ekipę Wye'a, gdzie nie tracił czasu i od razu zaczął wprowadzać zmiany. Z tego, co czytałam, w znacznej mierze przyczynił się do wyjątkowego wzrostu poparcia dla gubernatora. Znałam więc jego imponującą reputację, ale nigdy wcześniej go nie widziałam. Choć niechęć wysłałam mu maila, ponieważ znajdował się na „Liście AD”, której członkowie otrzymali moją katastrofalną wiadomość dla Aarona dotyczącą kamer i seksualnych igraszek. W trakcie tego okropnego epizodu Bob Espin jako jedyny wysłał odpowiedź, przez którą nie poczułam się całkowicie upokorzona. Sugerował, bym użyła cyfrówki zamiast taśmy ośmiomilimetrowej, by oddać sprawiedliwość bitej śmietanie.

- Sammy Joyce - przedstawiłam się, ściskając jego dłoń.

- Wiem, kim jesteś.

Świetnie. Miałam nadzieję, że nie zapamiętał nazwiska.

- Najwyraźniej senator Gary bardzo polega na tobie w sprawach opieki zdrowotnej.

Och. Cóż, to było miłe. Poczulałam, że się czerwienię. Dobry Boże, czyżby pojawiła się wysypka na szyi?

- I czytałam o twoich innowacyjnych pomysłach na wykorzystanie produktów deserowych - ciągnął.

Uśmiechnęłam się, choć byłam zawstydzona. Nie miałam wrażenia, że chce mnie zdenerwować, a jego ton był nie stosowny, ale w czarujący sposób.

- Lepiej o tym nie mówmy - rzuciłam lekko.

Bob skinął głową.

- Więc będziesz w ekipie przez kilka dni? - spytał.

- Tak, tak sądzę - odparłam, zakrywając szyję ręką.

Udawałam, że powoli drapię śwędzące miejsce, co pozwalało mi przez pewien czas utrzymać dłoń w tej ochronnej pozycji. Czemu nie mogłam rozkazać wysypce, by znikła?

Albo po prostu postanowić, że Bob Espin mnie nie pociąga? Na pewno był dla mnie za stary. Ukradkiem sprawdziłam, czy ma obrączkę. Nie miał. Więc albo jej nie nosił, albo nadal był kawalerem. Choć oczywiście mógł mieć dziewczynę. Musiał mieć dziewczynę. Był zbyt przystojny i inteligentny, by nie mieć. Żadna z tych myśli nie złagodziła wysypki.

- To właściwie decyzja podjęta w ostatniej chwili - wyjaśniłam. - Sądziłam, że wracamy do Waszyngtonu.

- Cóż, musimy się postarać, żebyś nie była rozczarowana zmianą planów - powiedział i uśmiechnął się do mnie szeroko.

Trzymałam buzię na kłódkę, by nie powiedzieć czegoś głupiego albo nieodpowiedniego do mojego wieku. Nie miałam doświadczenia we flircie ze starszymi mężczyznami. I od razu poczułam do Boba pociąg, ale czy on nie uważał mnie za dziecko? Wyprostowałam plecy. Liza mówiła mi, że postawa bardzo pomaga sprawiać wrażenie osoby wyrafinowanej.

Bob wstał w chwili, gdy skierował się do nas steward.

- Pani Joyce? Senator Gary panią prosi - powiedział.

- Ja również zmierzam w tamtą stronę - stwierdził Bob.

Wstałam szybko i ruszyłam na przód samolotu. W małej prywatnej kabinie po prawej stronie RG i Wye siedzieli pograżeni w rozmowie. Unieśli wzrok i RG wskazał, że mam zająć miejsce obok.

- Witam ponownie - powiedział do mnie Wye.

- Witam, sir - odparłam.

- Gubernator i ja właśnie omawialiśmy powstrzymanie przedłużania obrad - wyjaśnił RG.

- Śledziłem oczywiście wiadomości - przerwał Wye. - Ale twój szef opowiedział mi prawdziwą historię. Wymyśliłaś świetną strategię.

Czułam, że wszyscy wpatrują się we mnie, ale szczególnie byłam świadoma wzroku Boba.

- Sanford B. Zines to twoje dzido? - spytał cicho. - Genialne posunięcie.

Z poruszeniem zauważyłam w jego oczach ślad czystego podziwu.

- Dziękuję - wymamrotałam nieśmiało.

- Nikt nie wiedział, że Samantha to wymyśliła, bo Bramen przypisał sobie całą zasługę - ciągnął RG. - Ale gdyby na to nie wpadła, ustawa by nie przeszła.

- Imponujące - zgodził się Wye.

Co tu się działo? Doceniałam tę sesję pochwał zainicjowaną przez absurdalnie wpływowych ludzi, ale nie rozumiałam jej celu i czułam, że zaraz zemdleję z wrażenia. Czy to możliwe, że chcieli, bym dołączyła do nich w kabinie jako żywy uczestnik historii z obradami? Na to wyglądało.

- Miałam szczęście, że zadziałało - odparłam.

Czy teraz mogłam już iść? Z jednej strony wyjść, zanim mnie odprawiono, stanowiłoby dość śmiałe posunięcie. Z drugiej, nie był to dwór królewski i nie rozumiałam, dlaczego w ogóle zostałam tu wezwana.

- Cóż, sądzę, że teraz zostawię panów samych - powiedziałam, wstając.

- Zanim to zrobisz, Samantha, czy mogłabyś coś nam wyjaśnić? - spytał Wye.

A jednak powinnam była zaczekać na odprawę. Usiadłam.

- Tak, sir?

- Twój szef próbuje mnie przekonać, że ustawa, o którą walczyliście, nie jest wystarczająca - zaczął Wye. - W jego opinii musimy stawić czoło faktowi, iż w Kanadzie leki na receptę dostępne są po niższych cenach. Ja uważam, że wprowadzone przepisy o refundacji leków załatwiają sprawę i na tyle stać obecnie nasz kraj. Ale twój szef zapewnia, że masz mnóstwo informacji, które przekonają mnie, iż jestem w błędzie.

Spojrzałam na RG.

- Podaj mu statystyki - rzucił zachęcająco.

I wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że może odgrywam dla niego istotną rolę. Znał dobrze podłoże prezentowanych poglądów, ale polegał na ludziach takich jak ja, którzy służyli za przechowalnię drobnych szczegółów. Często zaskakiwał rozmówców znajomością detali i głębokim zrozumieniem wielu różnych problemów, ale gdy przychodziło do konkretnych kwestii związanych z opieką zdrowotną, ja wiedziałam więcej. Oczywiście tylko dlatego, że cały czas spędzałam na ich studiowaniu, podczas gdy on sprawował kontrolę nad całością, ale nadal było to szokujące odkrycie.

Odchrząknęłam. Naprawdę nie wiedziałam, od czego zacząć - tyle istotnych informacji zapychało mój umysł. Postanowiłam przejść prosto do sedna.

- Cóż, proszę mi wybaczyć, jeśli powtórzę to, co już panowie wiedzą, ale fakty są następujące. Z powodu kontroli cenowych w Kanadzie leki można tam kupić około połowy taniej niż w Stanach - zaczęłam.

Wyraz twarzy wszystkich potwierdził, że nie mówiłam im nic nowego. Brnęłam dalej.

- Obecne prawo w Stanach Zjednoczonych zabrania komukolwiek oprócz producenta sprowadzania leków na receptę. Jednak przedstawiciele prawa od dłuższego czasu przysmykają oko na Amerykanów wracających z Kanady z zapasami leków, które nabyli tam o połowę taniej niż w Stanach. A przez ostatnie kilka lat wiele niezależnych firm otworzyło apteki, zarówno w internecie, jak i w centrach handlowych w różnych miastach, i sprowadza pocztą leki z Kanady. Starszy obywatel może udać się do takiego sklepu z receptą i przefaksować ją lub przemailować do apteki w Kanadzie, a tam nadają przesyłkę. Tego typu działalność jest niezwykle popularna i dochodowa.

- Słyszałem już kilkakrotnie dane o tańszych o połowę lekach - przerwał mi gubernator Wye. - Ale jak to się przekłada na przeciętnego starszego obywatela?

- Cóż, różni się to w zależności od przypadku - odparłam.
- Ale większość ludzi, z którymi rozmawiałam, cierpi na zwykle schorzenia wieku starczego i dzięki kanadyjskiemu systemowi zaoszczędzają na lekach około czterech tysięcy dolarów rocznie. Choć rozmawiałam z wieloma, u których ta suma dochodziła nawet do dziesięciu tysięcy.

- Ten mężczyzna zeznający przed komisją jesienią był idealnym przykładem - wtrącił RG.

Dobry stary Alfred Jackman. Wyobrażałam sobie, że znajdował się teraz gdzieś na północy, bez wątpienia bardzo naćpany.

- Pan Jackman nie korzystał z usług placówek sprawadzających leki pocztą. Jeździł do Kanady autobusem, by realizować recepty. Dla niego i większości starszych obywateli oszczędność kilku tysięcy dolarów wiele znaczy - ciągnęłam.
- Znaczna część tych osób dawniej zmuszona była przyjmować mniejsze dawki, sprzedawać posiadane rzeczy, by kupić leki, dochodziło wręcz do przypadków „dziedziczenia” leków zmarłych przyjaciół. W tej naprawdę trudnej sytuacji opcja kanadyjska okazała się prawdziwym błogosławieństwem. Więc teraz, gdy Departament Sprawiedliwości oraz Agencja do Spraw Żywności i Leków zamykają tanie apteki, starsi obywatele zaczęli panikować.

- Agencja zaś argumentuje, że nie ma nadzoru nad tymi lekami, więc nie może zagwarantować ich bezpieczeństwa - powiedział Wye.

- Jasne - skinęłam głową. - Choć nic nie wskazuje na to, że kontrole kanadyjskie są mniej surowe. Ale gdy ludzie tacy jak Don Ronkin krzyczą w radiu o rządzie, który chce wytruć naszych dziadków, wszystko się komplikuje.

Wye skinął głową.

- Więc jak według ciebie powinno wyglądać rozwiązanie tego problemu? - spytał.

Pytanie skierował do mnie. Wzięłam głęboki oddech.

- Muszę przyznać, że zazdrozczę Kanadzie kontroli cenowych. Myślę, że w rezultacie ich sytuacja jest znacznie lepsza niż nasza. Ustawa o refundacji leków uchwalona jesienią to duży krok, by pomóc starszym ludziom ograniczać wydatki, ale uważam, że powinniśmy zalegalizować import leków. Przynajmniej dopóki nie uporamy się z długotrwałym problemem wyższkujących cen w Ameryce. Agencja do Spraw Żywności i Leków mogłaby współpracować z kanadyjskimi koncernami farmaceutycznymi, by zagwarantować, że sprzedawane leki będą dokładnie tymi, których potrzeba w aptekach. Nie byłoby to prawdopodobnie takie trudne, gdyby Kongres zwrócił uwagę na tę kwestię. Jednak do tej pory zwykle okazywało się, że wielu przeciwników podobnych pomysłów w znacznym stopniu finansuje swoje kampanie dzięki pomocy przemysłu farmaceutycznego.

- Jak John Bramen - dodał RG. - Zgodził się poprzeć naszą ustawę o refundacji leków, gdy zrezygnowaliśmy z punktów dotyczących importu.

Wye skinął głową.

- Ale obecnie prowadzenie tych tanich sklepów i internetowych aptek, od których aż się roi, jest niezgodne z prawem, racja? - spytał Wye.

- Tak - zgodziłam się. - Jednak w moim przekonaniu to złe prawo. Stoi w sprzeczności zarówno z przepisami antymonopolowymi, jak i zasadami wolnego handlu. Czy złe prawo nie powinno być zmieniane, jeśli przeczy dobrem założeniom i pogarsza sytuację milionów Amerykanów?

Gubernator Wye przez moment odwzajemniał moje spojrzenie.

- A Agencja do Spraw Żywności i Leków oraz Departament Sprawiedliwości kierują swe działania wyłącznie przeciw dostawcom, prawda? - spytał.

- Tak, nie zwrócili się jeszcze przeciwko obywatelom kupującym „nielegalne” leki. Próbują tylko zablokować dostawę

wy. Druga pod względem wielkości spółka farmaceutyczna na świecie już grozi, że przestanie sprzedawać leki do kanadyjskich aptek, które biorą udział w dostarczaniu zamówionych produktów do Stanów Zjednoczonych. Jeśli wyeliminują tę opcję, potrzebujący będą nadal udawać się na męczące wyprawy do Kanady, ale wielu mieszka zbyt daleko lub jest zbyt chorych, żeby była to realna alternatywa. Nasz kraj z pewnością może zaoferować swoim obywatelom coś lepszego.

Czułam, że przemawiam już zbyt długo. A mój głos nabrał apelacyjnego, błagalnego tonu. Wiedziałam, iż RG podziela moje stanowisko w tej sprawie, co było jednym z powodów, dla których uwielbiałam dla niego pracować. Ale rozumiałam, jak ważne jest przekonanie Wye'a, ponieważ miał on możliwość uczynienia z tego ważnej kwestii w kampanii wyborczej.

- Cóż, to bardzo przekonujący argument. - Uśmiechnął się do mnie Wye.

- Żaden kandydat w tej kampanii nie był dość odważny, by poruszyć tę kwestię - dodał RG. - Każdy opowiada się za małutkimi krokami, co jest z pewnością najbezpieczniejszym sposobem, ale niekoniecznie najbardziej skutecznym. Ta sprawa potrzebuje śmiałego adwokata.

Wye zwrócił się do Boba Espina, który czytał notatkę wręczoną mu właśnie przez stewarda.

- A co ty o tym sądzisz? - spytał go Wye.

Bob odpowiedział bez zastanowienia. Może miał już dość czasu, by zebrać myśli.

- Nada to kampanii odpowiedni rozgłos wśród starszych obywateli, co pomoże nam znacznie na Florydzie i w Arizonie, i nie musisz omawiać szczegółów aż do po wyborach. Ludzie będą się dopytywać, oczywiście, ale jest tyle rzewnych historii o starszych paniach zmuszonych wybierać między kupnem jedzenia a leków, że starczy na świetną reklamę. To śmiałe posunięcie, a ludzie dobrze przyjmują wszelkie śmiałe pomysły. Powinieneś tak zrobić.

Ha, nie najczystszy argument, ale przypuszczałam, że Bobowi nie płacili absurdalnie dużych pieniędzy za udawanie zaangażowanego społecznie.

- I oczywiście uważam, że skorzystają na tym mieszkańcy Ameryki - dodał z uśmiechem skierowanym w moją stronę.

- A teraz wybaczone mi, ale muszę przyjąć ten telefon - zakończył, wskazując na notatkę w dłoni, i wyszedł z kabiny.

- Cóż, senatorze - Wye zwrócił się do RG - z pewnością ma pan szczęście, że ktoś taki jak Samantha pracuje dla pana. Byłaś bardzo przekonująca - powiedział do mnie. - Poważnie się nad tym zastanowię.

- Dziękuję, sir - odparłam.

Zanim ktokolwiek zdołał coś dodać, w kabinie ponownie pojawił się Bob i włączył stojący w rogu telewizor na program CNN.

- Najwyraźniej Bramen schrzanił dziś po południu występ na temat opieki zdrowotnej - poinformował Bob.

Wszyscy skierowaliśmy wzrok na ekran, gdzie prowadzący dyskusję zwracał się właśnie do zaproszonych gości.

- W zeszłym tygodniu senator Bramen obraził mieszkańców New Hampshire. Dziś udało mu się urazić osoby z nadwagą. Co się dzieje? Czy po prostu nie liczy się ze słowami? A może to tylko potknięcie?

Goście zawtórowali, a CNN odtworzyło nagranie, by wszyscy widzowie wiedzieli, o co chodzi. Zaczęło się od Bramena stojącego na podium w ratuszu. Instynktownie przyjrzałam się tłumowi w poszukiwaniu Aarona, ale go nie dojrzałam. Bramen odchrząknął, gdy kobieta na widowni zadała pytanie o plany Agencji do Spraw Żywności i Leków, by wprowadzić czytelniejsze oznaczenia kalorii na produktach spożywczych.

- Czytanie nie pomoże ludziom pozbyć się nadwagi - odparł Bramen z czymś, co zapewne uważał za prezydenckie groźne spojrzenie. - Będę bezceremonialny, bo sądzę, że tego potrzebuje nasz kraj. Ci ludzie muszą przestać się napychać,

ruszyć swoje grube tytki i wziąć się do roboty. Zanim zmarnujemy więcej rządowych pieniędzy na rozpieszczanie leni, musimy wezwać ich do wysiłku.

Szczęka mi opadła. Czy ta nowa bezceremonialność miała sprawić, że Bramen zacznie się bardziej podobać? Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by miało mu to pomóc.

Bob chichotał.

- Dziękujemy, Johnie Bramenie - powiedział.

RG kręcił głową. Wye wyglądał na zdecydowanego.

- Przygotujmy oświadczenie na czas lądowania - zwrócił się do Boba. - Potępiające Bramena, zapewniające o szacunku dla wszystkich Amerykanów walczących z nadwagą, mówiące o potrzebie wyrozumiałego przywódcy etcetera. Powinniśmy szybko się za to zabrać.

Bob skinął głową, ciągle się śmiejąc. Mrugałam zaskoczona.

- Bramen jest taki z a g n i e w a n y - zauważyłam, nie chcąc powiedzieć tego głośno.

RG spojrział na mnie.

- Będzie coraz bardziej zagniewany - powiedział.

Uwierzyłam mu. Zostawiłam ich trzech przy pracy i wróciłam na swoje miejsce, zdumiona najnowszymi wydarzeniami. Gdy piloci włączyli hamulce, zamknęłam oczy i opadłam na siedzenie. I nawet gdy się zatrzymaliśmy, czułam, że nadal poruszam się naprzód.

Zwarc i gotowi

W następnych tygodniach wrażenie przyspieszenia tylko się nasiliło. Dzięki pomocy RG i kolejnym wpadkom Bramena gubernator Wye wygrał drugiego marca prawybory w Ohio. Wye wziął również osiem z dwunastu pozostałych stanów, odbierając rolę prowadzącego Bramenowi, którego najwyraźniej nieodwracalnie pogrzyżyły polityczne potknięcia. Odczuwałam ogromną radość z tych wydarzeń, upajając się słodką zemstą. Rozważałam nawet wysłanie maila do Aarona, ale się powstrzymałam. Nie trzeba przesadzać.

Kongresman Rexford i senator Conrad odpadli z wyścigu w ciągu kilku dni. Rexford oświadczył, że odchodzi z polityki i zamierza wydawać magazyn polityczny. Odmówił udzielenia komukolwiek oficjalnego poparcia. Conrad, wycofując się, wygłosił poruszającą mowę i zwrócił się do swoich stronników, by zagłosowali na gubernatora Wye'a. Przedstawił go jako „człowieka, który sprawia, że dzieją się dobre rzeczy, a nie muszę wam mówić, że w tym kraju potrzebujemy dobrych rzeczy”.

Bramen trzymał się jeszcze przez dwa tygodnie, gorączkowo próbując odzyskać utracony rozpęd. Choć jego niepowodzenie napawało mnie radością, byłam zszokowana, że potknięcia Bramena w lawinowym tempie doprowadziły do klęski. Znacznie przyczyniły się do tego gruboskórne uwagi o ludziach z nadwagą. Bramen najwyraźniej nie docenił faktu, jak otyła i mściwa może być Ameryka. Nie poprawił swojej sytuacji, odmawiając przeprosin i gniewnie atakując każdego, kto sugerował, że powinien je wygłosić.

A potem, na tydzień przed prawyborami drugiego marca, „Washington Post” opublikował ostry artykuł Charliego Lawtona, który analizował szerokie związki Bramena z przemysłem ubezpieczeniowym bardziej wnikliwie niż jakikolwiek autor do tej pory. Dla Bramena moment nie mógł być gorszy. Historię zamieszczono w prasie tuż przed udzieleniem mu poparcia przez Amerykańskie Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów, a zarzuty dotyczyły głównie konfliktu interesów między układami Bramena z biznesem a jego obietnicami zapewnienia starszym Amerykanom wysokiej jakości opieki zdrowotnej, na którą będzie ich stać. Zgodnie z artykułem Bramen nieprzerwanie działał na korzyść bogatych zaprzyjaźnionych przemysłowców i na niekorzyść ciężko pracujących zwykłych ludzi.

Charlie podał dziesiątki przykładów, wiele z nich dotyczyło również niejakiego doktora Reynoldsa, w którym rozpoznałam ojca paskudnej Natalie - mężczyznę spotkanego w dniu, gdy odkryłyśmy z Natalie karty w sprawie ustawy. Doktor Reynolds najwyraźniej był w bardzo bliskich stosunkach z Bramenem, ponieważ przez lata zapewniał mu znaczną część funduszy w zamian za działania legislacyjne zgodne z jego interesami.

Artykuł Charliego zawierał również osłupiający fragment ujawniający agresywne starania Bramena, by przypisać sobie całą zasługę za uchwalenie ustawy o refundacji leków:

„Bramen często bezpośrednio manipuluje reporterami, polega jednak również na lojalnych pracownikach, by wyszukiwali dziennikarzy i proponowali im „poufne informacje”, które stawiają go w dobrym świetle. Z naszą redakcją skontaktował się zeszłej jesieni Aaron Driver piszący przemówienia senatora Bramena, oferując «ujawnienie nieudolności ekipy Gary'ego». Ustawa o refundacji leków właśnie została uchwalona i pan Driver zadzwonił, by poinformować, że

«RG i jego ekipa byli ciężarem, który Bramen musiał targać na plecach. To amatorzy, a my spędziliśmy dużo czasu, sprzętając po nich bałagan». Redakcja nie znalazła dowodów na poparcie słów pana Drivera i odmówiła ich zamieszczenia. Jednak pan Driver zdołał przekonać innych do opublikowania jego «informacji»".

Po przeczytaniu akapitu przez kilka minut siedziałam zszokowana. Aaron był tym anonimowym źródłem? Co za dwulicowy drań! Kiedy pierwszy cytat został opublikowany, założyłam, że pochodzi od Natalie. A Aaron potwierdził to przypuszczenie i udał zagniewanego. Podobne wypowiedzi ukazywały się w ciągu ostatnich kilku miesięcy i nadal obwiniałam o nie Natalie, ale teraz zrozumiałam, że cały czas winny był Aaron. Te kłamstwa naprawdę zaszkodziły. Nie tylko mnie, ale RG. Zdrada uczuciowa stanowiła wystarczająco okropne przewinienie, ale żeby dopuścić się również oszustwa politycznego? Aaron powinien się modlić, abyśmy już nigdy się nie spotkali.

Bramen jak zwykle nie zareagował właściwie na zarzuty postawione w artykule. Jego wypowiedzi po opublikowaniu tekstu tylko dodatkowo mu zaszkodziły. Ginął od własnego miecza, od politycznych ciosów spowodowanych niezdarnością i agresją. Uznałam to za niespodziewaną i ważną lekcję na temat tego, jak szybko zmienia się sytuacja w świecie polityki. Bramen prowadził w wyścigu przez wiele miesięcy, ale po kilku fatalnych tygodniach był skończony. Stało się to tak nagle. Podejrzewałam, że dostał za swoje również za sprawą karmy.

Bramen ustąpił wreszcie w połowie marca po tym, jak przegrał z Wye'em na Florydzie, w Luizjanie, Missisipi i Illinois. Oglądałam jego wystąpienie na CNN. Choć wypowiedzane słowa brzmiały odpowiednio gładko, zachowywał się tak, jakby go okradziono. Udzielił poparcia gubernatorowi Wye'owi, ale zaznaczył, że temu przydałyby się umiejętności, którymi sam

Bramen dysponował w nadmiarze. Była to dziwna metoda ubiegania się o pozycję wiceprezydenta, ale z pewnością typowo bramenowska - polegająca na poniżaniu człowieka, którego rzekomo popierał. Większość ekspertów uznała, że Bramen po upadku chwyci się każdej okazji, by się jeszcze na coś załapać.

Wyłączyłam telewizor, oddychając głęboko. Więc stało się. Przecucia RG były trafne. Operacja z Wye'em okazała się niezwykle skutecznym posunięciem i gubernator został oficjalnym kandydatem ze strony partii. Byłam zadowolona i czułam ulgę, że sprawy tak się ułożyły.

Po drugiej stronie gubernator Cain Brancy całkiem zrzęcznie uzyskał nominację. Właściwie nigdy nie było co do tego wątpliwości, pomimo wpływów establishmentu pod władzą jego rywali, brata prezydenta i przywódcy senackiej większości. Gdy Brancy'emu udało się ich nierozzerwalnie powiązać z nieudaną i niezwykle niepopularną polityką oraz wizerunkiem obecnej administracji, nie mieli szans.

Jeśli chodzi o Bordena Denta, choć nigdy oficjalnie nie wycofał się z wyścigu, wyjechał do Maroka na plan filmowy, co większość ludzi odebrało jako sygnał, że porzucił marzenia o prezydenturze.

Czekała nas zatem siedmioipółmiesięczna rywalizacja między Wye'em a Brancym. Wstępne sondaże wskazywały remis. Choć większość ludzi nie mogła się doczekać, by pozbyć się gangu Pile'a, widzieli, że Brancy nie jest ulepiony z tej samej gliny. Ten zaś faktycznie zyskiwał popularność i wydawał się zdolny przywrócić wiele rozczarowanych środowisk na łono partii. Co czyniło z niego godnego przeciwnika.

Na całym Capitol Hill panowała atmosfera wyścigu. Wszystko nabrało szybszego, bardziej gorączkowego tempa, a zawałone terminami tygodnie przelatywały rozsmazane w mgnieniu oka. Zanim zdołałam do tego przywyknąć, był już środek maja, a na Capitol Hill huczało od plotek o potencjalnych nominacjach kandydatów na wiceprezydenta. Wye

spropokował je, oświadczając, że dokona wyboru wcześniej, niż się spodziewano, ponieważ chciał sformować ekipę najszybciej, jak to możliwe. Kandydaci zwykle czekali do połowy lata, by obsadzić pozycję wiceprezydenta, ale Wye zademonstrował już swoją niekonwencjonalność i do tej pory dobrze mu służyła.

Byłam bardziej zaskoczona, niż powinnam, że nazwisko RG wymieniano na czele listy kandydatów na wiceprezydenta z ramienia Wye'a. W końcu odkąd Gary poparł gubernatora, spędzali razem sporo czasu i dobrze się dogadywali. A jednak nadal nie w pełni uświadamiałam sobie konsekwencje ich zbliżenia. Czy Wye rzeczywiście wybierze RG na swojego zastępcę? Ja oczywiście uważałam Gary'ego za najlepszego kandydata, ale czy Wye również? Zastanawiałam się nad tym tak jak reszta narodu, a przynajmniej jak cała mniejszość politycznych świrów.

W programach telewizyjnych zaczęto używać sloganu „Wye-Gary? Why Gary?!”¹, omawiając wady i zalety wyboru RG. Szybko znudziła mi się ta gra słów. Jak wszyscy pracownicy Gary'ego czułam stres i ekscytację wywołane jego obecnością na liście kandydatów na wiceprezydenta, ale także poznałam krępujący i inwazyjny proces znany jako „prześwietlenie przez służby specjalne”. Drużyna selekcyjna gubernatora Wye'a sprawdzała całe otoczenie RG, zdeterminowana, by odkryć wszystkie potencjalnie szkodliwe fakty, które wpłynęłyby na decyzję o przyznaniu mu nominacji. Byłam przekonana, że nie znajdą niczego niewłaściwego - ślepo wierzyłam w przykładne życie prywatne i zawodowe Gary'ego. Jednak w sobotnie popołudnie pod koniec maja sprawy przybrały osobisty obrót.

Czyściłam właśnie akwarium Dr. Cincinnatego i słuchałam starego albumu Johnny'ego Casha, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi. Liza wyjechała na weekend ze Scooterem, a ja sama

¹ Dlaczego Gary?

pomimo flirtu z Bobem Espinem z pewnością nie oczekiwałam mężczyzny, więc dźwięk mnie zaskoczył. Podeszłam ostrożnie do drzwi, dzierżąc gaz pieprzowy. Był to środek jasnego dnia w bezpiecznej okolicy, ale obejrzałam o jeden horror za dużo (wbrew swojej woli), więc musiałam natychmiast wymyślić niebezpieczny i melodramatyczny scenariusz. W stanie największej gotowości, z bijącym sercem otworzyłam drzwi.

Dwóch mężczyzn przedstawiło się jako byli agenci Secret Service, wynajęci przez ekipę Wye'a, by zająć się procesem prześwietlania. Spytały, czy mogą ze mną porozmawiać. Pokazali mi odznaki, którym przyjrzałam się nieco za długo (jak łatwo mogli je sfalszować?), po czym ich wpuściłam.

Usiedli na kanapie naprzeciwko i uśmiechnęli się przyjaźnie. Dałam się nabrać.

- Jak pani wie, senator Gary obiecał pełną współpracę w trakcie procesu weryfikacji i zapewnił nas, że jest pani wyjątkowo godną zaufania członkinią jego zespołu - zaczął agent Davis.

Naprawdę? Cóż, to miłe. Może powinnam ich spytać, czy dodał jeszcze jakiś komplement na mój temat? Szczególnie o projekcie ustawy o zdrowiu środowiskowym, którym się właśnie zajmowałam? Ostatnio RG był zbyt zajęty, by brać udział w naszych regularnych spotkaniach. Może ci faceci to dobry sposób, by uzyskać nieco informacji zwrotnych.

Coś w sposobie, w jaki ich broń rysowała się pod marynarkami, sprawiło, że uznałam, iż lepiej nie zmieniać tematu i pozwolić im mówić. Byłam przyzwyczajona do służb specjalnych na Capitol Hill i miałam sporo doświadczeń z agentami Secret Service, ale żadne z nich nie było tak bliskie i osobiste. Zaczęłam się pocić już przez samą wyjątkowość sytuacji. Oraz ponieważ zdawałam sobie sprawę z panującego w mieszkaniu bałaganu. Czy dołączą to do moich akt? Gdyby tylko przyszli kilka godzin później... Przynajmniej miałam w planach sprzątanie. Ale czy potrafili stwierdzić, że byłam

osobą, która nie zawsze trzyma się planów, tylko po sposobie, w jaki mrugałam oczami? Szybko ogarnęła mnie zaawansowana paranoja na temat tego, czego ci agenci mogli lub nie mogli dowiedzieć się o mnie dzięki tajnemu szkoleniu.

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań dotyczących pani życia osobistego - ciągnął agent Davis.

Nie brzmiało to jak pytanie, ale i tak skinęłam głową. I zaczęłam mocno mrugać. Nie umiałam się powstrzymać. Dobry Boże, czy to jakiś tik? Pora zdecydowanie nie była odpowiednia.

- Świetnie - powiedziałam pogodnie. - Proszę strzelać.

Natychmiast pożałowałam wyboru tego zwrotu. Mój oślepiający uśmiech zbladł. Na szczęście sprawdzali właśnie notatki.

- Czy to pani rybka? - spytał drugi z nich, agent Ozols.

- Tak jest - powiedziałam, chcąc okazać gotowość do współpracy. - Nazywa się Dr Cincinnati. To japoński bojownik.

Czy mogłam dodać jeszcze jakieś informacje? Zamierzałam go zmierzyć, by śledzić jego wzrost, ale nigdy się jakoś za to nie zabrałam.

- Dlaczego nazwała go pani Dr Cincinnati? - spytał agent Ozols.

- Cóż, pochodzę z Cincinnati. To znaczy, nie dosłownie, ale z okolic, i chodziłam tam do szkoły. Lubię ryby i pracuję nad ustawami dotyczącymi opieki zdrowotnej, a ta mała pomarańczowa plamka przypomina stetoskop, jeśli się zmruży oczy, i... Nie wiem, po prostu nie przyszło mi do głowy lepsze imię.

Agent coś notował. Miałam wrażenie, że nie spisuję się tak dobrze, jak powinnam.

- Czy zawsze hodowała pani rybki? - przerwał agent Davis.

Czy to standardowa seria pytań?

- Hm, miałam złotą rybkę w dzieciństwie. Nazywała się Złotko Złotogłówka - jeśli już rozmawiamy o kiepskich imionach. A potem miałam, hm, dziewięć japońskich bojowników przed Dr. Cincinnatim.

- W jakim okresie?

Uff, musieliśmy się w to zagłębiać? Nie byłam dumna z moich osiągnięć w mordowaniu rybek. Nie stawiało mnie to w dobrym świetle, choć zawsze przysięgałam, że zrobię co w ludzkiej mocy, by utrzymać je przy życiu.

- W ciągu ostatnich dwóch lat - odparłam. - Właściwie nieco mniej.

Agenci wyglądali na zaintrygowanych.

- Więc to pani dziesiąta rybka w ciągu dwóch lat? - spytał agent Davis. - Czy wszystkie nabyła pani w tym samym sklepie?

- Tak, choć przez chwilę podejrzewałam, że sprzedają tam kiepskie rybki. Po prostu uznałam to raczej za wyzwanie niż powód do rezygnacji.

- Więc ta sama osoba sprzedała pani wszystkie dziesięć rybek? - ciągnął agent Davis.

Czy była to szansa, by wrobić pana Lee? Czy wezwą go na przesłuchanie? Nadarzała się okazja zemsty! Choć mogłam się założyć, że służby specjalne mają lepsze rzeczy do roboty niż zastraszanie nieuczciwych właścicieli sklepów zoologicznych.

- Tak, nazywa się pan Lee.

- I długo zna pani pana Lee? - spytał.

- Odkąd się tu przeprowadziłam. Prawie dwa lata.

- A czy w trakcie wielokrotnych wizyt w jego sklepie rozmawiała z nim pani o czymkolwiek poza rybkami?

O co tu chodzi?

- Cóż, rozmawialiśmy o wodorostach. I kolorowych kamkach do akwarium. I małych zabawkowych skrzyniach skarabów, i tym podobnych.

- Aha.

Agent Davis kontynuował robienie notatek, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, agent Ozols wyciągnął zdjęcie pana Lee.

- Czy to jest pan Lee, o którym pani mówiła? - spytał.

Skinęłam głową zdezorientowana. Naprawdę byli bardzo drobiazgowi w tym prześwietlaniu.

- I zna pani tego mężczyznę dopiero od przeprowadzki do Waszyngtonu, kiedy zaczęła pani pracować dla senatora Gary'ego?

Skinęłam głową.

- I twierdzi pani, że rozmawiała z nim tylko o rybkach?

- O japońskich bojownikach - wyjaśniłam. - I akcesoriach. I długości ich życia.

- Więc byłaby pani zaskoczona, dowiadując się, że mężczyzna znany pani jako pan Lee to naprawdę Sung Whang Koh, agent rządu Korei Północnej?

Wątpię, czy gdybym ćwiczyła nawet przez miesiąc, potrafiłabym wyglądać na bardziej oszołomioną.

- Ta-ak - wyjąkałam. - Byłabym bardzo zaskoczona.

Pan Lee? Nie zalewajcie. Nic dziwnego, że nie miał pojęcia o rybkach. O mój Boże, a oni myśleli, że coś mnie z nim łączy poza kupowaniem wybrakowanych artykułów morskich? Nie, nie, nie. Zostałam nabrana. Podejrzywałam go o nieuczciwość, ale nie miałam pojęcia, że jest szpiegiem! Byłam w szoku.

Obserwowali mnie uważnie. Na pewno czekali, aż się zdradzę.

- Więc zaprzeczy pani, że pod pozorem kupowania rybek od pana Lee, co wymagało regularnych wizyt, przekazywała mu pani rządowe sekrety?

Rany, myśleli, że ja jestem szpiegiem? Oprócz zaskoczenia i przerażenia czułam dumę. Niemal jakbym osiągnęła życiowy cel. Z tą poprawką, że nie byłam szpiegiem i musiałam utrzymać się z zupełnie innej pracy.

- Zdecydowanie bym zaprzeczyła - powiedziałam z naciskiem. - To po prostu nieprawda. Nie miałam pojęcia o panu Lee.

Agent Davis coś zanotował. Żałowałam, że nie widzę, co pisze.

- A to Kim Lee Joon? - spyta! agent Ozols, wyciągając kolejną fotografię.

Tym razem była to kobieta. Kobieta, którą skądś znałam. Obok niej widniało coś, co przypominało arbuza. Już wiem! To ona sprzedawała owoce obok sklepu zoologicznego. Od czasu do czasu, wracając do domu, kupowałam u niej brzoskwinie i jabłka, ponieważ stoisko wydawało się czarujące. Czułam się lepiej, kupując tam, a nie w supermarkecie. Najwyraźniej byłam głupia.

- Sprzedaje owoce - odpowiedziałam. - Robiłam u niej zakupy. Czy ona również jest tajnym agentem? - zapytałam nerwowo.

- Tak - potwierdził agent Ozols. - Więc oczekuje pani, że uwierzemy, że regularnie odwiedzała pani dwoje agentów z Korei Północnej zupełnie przez przypadek i w sprawach, które nie miały nic wspólnego z rządowymi?

Tak? Wiedziałam, że to brzmi niewiarygodnie w świetle tych wszystkich szalonych wiadomości, ale mówiłam prawdę.

- Przysięgam, nie miałam o tym pojęcia. Naprawdę kupowałam tylko rybki i owoce. Nigdy nie rozmawialiśmy o innych rzeczach.

- Możliwe, że utrzymywali z nią znajomość, ale jeszcze jej nie zwerbowali - rzucił agent Davis do agenta Ozolsa.

Wydawało się dziwnie nieprofesjonalne, że powiedział to w mojej obecności, ale serce zabiło mi na myśl, iż biorą pod uwagę inne wytłumaczenia i mogą mi uwierzyć. Musiałam się powstrzymać przed kiwaniem gorączkowo głową dla potwierdzenia słów agenta Davisa. Nie chciałam ich antagonizować.

- To po prostu naprawdę dużo rybek. - Agent Ozols kręcił głową.

I mnie to mówisz? To ja musiałam walczyć z kompleksem anioła śmierci.

- Nie wiem, jak was przekonać, chłopaki - powiedziałam nieco desperacko. - Mogę tylko przysiąc, że mówię prawdę.

Agent Davis przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

- A czy kiedykolwiek rozmawiała pani o swoich wizytach u obu agentów z senatorem Garym? - spytał.

- Nie - odparłam z przekonaniem.

Byłam całkowicie pewna, że nigdy nie wspomniałam przy RG o tak trywialnych sprawach. Po dalszych piętnastu minutach wypytywania i upewniania się agenci podziękowali mi za poświęcony im czas i wyszli.

Poszłam prosto do kuchni i nalałam sobie „to, co zwykle”. Gdy upiłam pierwszy łyk, zadzwonił telefon. Zelda zgłosiła się w odpowiedzi na zostawioną przeze mnie wiadomość.

- A czy ty jesteś tajną agentką z Korei Północnej? - spytałam lekko oskarżycielskim tonem.

- Nie - odparła. - Ale byłabym, gdyby dobrze płacili. Szukają kogoś na to stanowisko?

Doceniłam dowcip, lecz zaraz potem ogarnął mnie lęk, że Secret Service podsłuchuje moje rozmowy. Czy wyglądało to na werbowanie ochotników? Szybko się rozłączyłam, obiecując zadzwonić później. Potem puściłam głośno *Fokom Prison Blues* i wypiłam powoli drinka, zastanawiając się, czego jeszcze nie wiem o życiu.

W poniedziałek rano zebrałam się na odwagę i poprosiłam Janet, by zarezerwowała dla mnie chwilę u RG. Musiałam go powiadomić o prześwietlaniu. I pewnie powinnam zacząć szukać adwokata. Czekałam na odpowiedź Janet i piłam trzeci kubek kawy, dziko trzęsąc pod stołem kolanami, gdy CNN powróciło do tematu, kogo wybierze Wye na wiceprezydenta. Źródła z jego obozu donosiły, że był bardzo blisko podjęcia decyzji i spekulacje na temat RG sięgnęły szczytu. Choć oczywiście zajmowało mnie głównie potencjalne oskarżenia o szpiegostwo, nerwowo czekałam na wynik. W pewnym momencie CNN przerwało program, by poinformować,

że według źródła bliskiego gubernatorowi Wye'owi, ten właśnie wybrał RG.

Z hukiem odstawiłam kubek na biurko, wylewając kawę, i zerwałam się z krzesła. Czy to prawda? Czy nie pogrzebałam szans RG przez przypadkowe kontakty z tajnymi agentami? I czy rzeczywiście został kandydatem na wiceprezydenta? Rozejrzałam się w poszukiwaniu potwierdzenia. CNN nie zawsze miało rację.

Korytarzem nadbiegła Mona.

- Widziałaś? - spytała zadyszana.

Skinęłam głową.

- Czy to prawda? - wykrzyknęłam.

- Tak. Janet powiedziała mi, że gubernator Wye zadzwonił do RG dwadzieścia minut temu - poinformowała.

O rany. Nie powinnam być taka oszołomiona - wiedziałam, że od kilku tygodni Gary był w czołówce kandydatów, ale i tak nigdy dokładnie nie rozważyłam możliwości, że zostanie wybrany.

W ciągu godziny zwołano zebranie pracowników. Tysiące przedstawicieli mediów próbowało skontaktować się z RG, a on musiał złapać samolot do Luizjany, gdzie wraz z Wye'em mieli wydać oficjalne oświadczenie. Znalazł jednak dziesięć minut, by przemówić do nas w biurze. Wyglądał na bardzo spokojnego, ale wyczuwałam jego podekscytowanie.

Podziękował nam za ciężką pracę oraz poddanie się intensywnej weryfikacji. Zawstydzona wbiłam wzrok w podłogę. Czy wiedział? Mówił dalej. Powiedział, że czeka nas ważna i emocjonująca przygoda, i przysiągł uczynić wszystko, żebyśmy byli dumni. A potem nas odprawił.

Wróciłam do biurka, gdzie zastałam wiadomość od Janet wzywającą mnie do biura RG. Poszłam tam z uczuciem ogromnego przerażenia. Na pewno zaraz mnie wyleją. Mona, Mark i Karen - cicha specjalistka do spraw ochrony środowiska, która nigdy z nikim nie rozmawiała - już się zebrali.

Joe Noon, szef kadr, wyglądał zza rogu. Czy wszyscy mieli być świadkami mojego zwolnienia? A może oni także nieopatrznie związali się z wrogim podziemiem?

RG zamknął za mną drzwi.

- Dziękuję, że wróciliście. - Uśmiechnął się, podczas gdy Joe Noon obserwował nas z tyłu pomieszczenia. - Poprosiłem was tu, ponieważ chciałem, żebyście zastanowili się nad dołączeniem do kampanii i przeniesieniem się w listopadzie do kwatery w Luizjanie. Oczywiście nie mamy czasu, by zatrudnić nowych ludzi, ale z waszą czwórką będę się czuł pewnie.

Spojrzałam na pozostałych. Wyglądali na szczęśliwych, ale nie tak zaskoczonych jak ja. Naprawdę? To dlatego zostaliśmy wezwani?

- Sir, czy jest pan świadomy, że według służb specjalnych mogę być północnokoreańskim szpiegiem? - spytałam natychmiast.

Teraz to Mona, Mark i Karen wyglądali na zaskoczonych. Czułam, że się na mnie gapią. RG się roześmiał.

- Słyszałem o tym, ale ucieszy cię wiadomość, że zostałaś oczyszczona z zarzutów - poinformował mnie. - Odradzałbym tylko powrót do tego sklepu zoologicznego, jeśli nie jest to konieczne.

Odetchnęłam z ulgą. Oczywiście, że zostałam oczyszczona. A RG nie był szalony. Cała sprawa zdawała się go nieźle bawić. Choć czułam się lekko urażona, że uzna! moją szpiegowską tożsamość za tak nieprawdopodobną. Czy w jego oczach brakowało mi sprytu? Potrafiłabym tego dokonać. Może wystrychnęłam ich wszystkich na dudka, sprzedawałam państwowe sekrety za miliony dolarów i planowałam zbiec do Pjongyang.

Zapanowałam nad swoim ego i skoncentrowałam się na wdzięczności, że znalazłam się poza podejrzeniami. I poproszono mnie o dołączenie do kampanii! To zdecydowanie oznaczało promocję! Czyż nie?

Sprawa wyjaśniła się następnego dnia w samolocie do Luizjany, gdy RG odciągnął mnie na bok.

- Chciałem cię poinformować, że jednak nie przenosisz się do Luizjany - powiedział.

Poczułam łomotanie serca. Oczywiście zmienił decyzję. Było mnóstwo bardziej kompetentnych osób, na których mógł polegać. Próbowalam nie spuszczać głowy.

- Zamiast tego będziesz przez cały czas podróżować z kampanią - powiedział.

O rany. Naprawdę?

- Dzięk-dziękuję, sir - na wpół wyjąkałam w odpowiedzi.

- Dam z siebie wszystko.

- Jestem tego pewien - powiedział z małym uśmiechem.

- Parę miesięcy temu świetnie się spisałaś, pomagając mi przekonać Wye'a, by zmienił stanowisko w sprawie opieki zdrowotnej. Gdy kampania nabierze tempa, potrzebni mi będą ludzie zdolni do takich rzeczy.

Zanim miałam szansę odpowiedzieć, odszedł, by porozmawiać z kimś innym. Godzinę później wciąż rozmyślałam nad jego pochwałami, obserwując z tyłu wzniesionego na otwartym powietrzu podium, jak RG, Jenny, Jack i Jeffrey dołączyli do gubernatora Wye'a, jego żony i dzieci na oczach wiwatującego tłumu oraz przedstawicieli narodowych mediów, po czym oficjalnie ogłoszono kandydaturę Gary'ego na wiceprezydenta. Moja promocja niewiarygodnie mi schlebiała, a jednocześnie mnie przerażała. Czułam dosłownie, jak rosną wokół mnie stawki. Proszę, proszę, obym tylko tego nie spieprzyła, modliłam się do wszystkich słuchających bogów. Zastanawiałam się, jakie mam na to szanse.

Zastanawiałam się też, w jaki sposób państwo Gary nie wyglądali jak spocone nieszczęścia, skoro świeciło słońce i temperatura wynosiła trzydzieści pięć stopni. Gubernator Wye wygłosił lekką i płynącą z głębi serca mowę, wyjaśniając, dlaczego wybrał RG, a ten z kolei odpowiedział prosto, ale

elokwentnie, że czuje się zaszczycony, iż może być częścią tej niezwykle ważnej podróży. Jack i Jeffrey gapili się otwartymi oczami na morze koloru i ruchu przed nimi. Mieli prawie dwa lata. Czy rozumieli cokolwiek z tego, co się działo? Czy czuli tę energię? Ja z pewnością tak.

Polecono mi spakować niewiele rzeczy, ale miały starczyć przynajmniej na tydzień. Wrzuciłam dwie pary ciemnych spodni, dwie spódnice, sześć ładnych bluzek, marynarkę i buty, bardziej wygodne niż modne. Plus koktajlowa sukienka w kolorze głębokiej czerwieni, którą spanikowana dodałam w ostatniej chwili i która teraz tylko zajmowała potrzebne miejsce. Gdy już oficjalnie porwała nas trąba powietrzna kampanii Wye'a, ten wyjątkowy wszechświat nagle stał się naszym. Był to wszechświat złożony z kawalkad samochodów, planowania strategii, służb specjalnych i wciąż rosnącej świty. Starłam się notować niezwykle szczegóły nowego otoczenia, ale i tak miałam dość problemów z utrzymaniem szalonego tempa.

Zazdrościłam ludziom z ekipy Wye'a, ponieważ oni już umieli sobie radzić z tym dziwnym gorączkowym trybem życia. Żałowałam, iż nie ma jakiegoś poradnika, który mogłabym szybko przeczytać, ale byłam zachwycona, że biorę we wszystkim udział, przygotowana czy nie.

Bob Espin nie zwracał na mnie uwagi i ciągle rozmawiał przez telefon. Udawałam, że się nie przejmuję. Gdy sprawdziłam BlackBerry, by upewnić się, iż znam rozkład na tyle dobrze, by nadażyć za kolejnym posunięciem (nie moje określenie, ale regularnie stosowane, co wywoływało u mnie dziecinne rozbawienie), wyczułam obok jego obecność. Uniosłam głowę i ujrzałam, że zakrył telefon dłonią.

- Wiszę ci drinka. - Uśmiechnął się.
- Mam nadzieję, że będzie dobry - odparłam.

Mrugnął, a potem wrócił do rozmowy i odszedł.

Do zmroku zdążyliśmy objechać Ohio, Kalifornię i wrócić do Nowego Orleanu po długim, wyczerpującym dniu oficjal-

nego ogłaszania kandydatury RG. Gdy ciągnęłam swoją nie dość małą walizkę przez hotelowy hol, zastanawiałam się, ile czasu zajmie mi przyzwyczajanie się do tej egzystencji na najwyższych obrotach. Byłam nawykła do długich godzin w pracy, terminów i stresu w normalnych warunkach na Capitol Hill, ale czułam, że weszliśmy w całkiem nowy wymiar intensywności. Rozumiałam, iż jestem tylko jedną osobą w wielkiej ekipie, od której oczekiwano świetnego działania pod niewyobrażalną presją i przy śmiesznie małej ilości snu, i że każdy popełniony błąd będzie miał konsekwencje na bacznie obserwowanej politycznej scenie. To dosyć, by sparaliżowało mnie zdenerwowanie, ale niestety paraliż nie wchodził w grę. Naszą nową egzystencję wyznaczał przede wszystkim ruch. Stanie nieruchomo oznaczało pozostanie w tyle.

Ledwo dotarłam do pokoju, który miałam dzielić z nieznaną pracownicą Wye'a, i w ubraniu padłam na łóżko, próbując zebrać energię, by zamówić budzenie na 5.30, gdy zadzwonił telefon.

- Halo? - rzuciłam ciekawie.

- Och, dobrze, podano mi numer do właściwego pokoju. Jesteśmy w barze. Dołącz do nas.

Był to głos Boba. Pomimo całkowitego wyczerpania poczułam małą falę podekscytowania. Czy powinnam odmówić, żeby zachować zdrowie fizyczne i psychiczne? Czy pomyśli, że jestem mięczakiem?

- Zaraz schodzę - odparłam.

Kilka minut później przyjrzałam się sobie w lustrze w windzie. Wyglądałam na zmęczoną i rozmemlaną. Wykonałam trzy szybkie pajacyki, by wprawić się w inny nastrój, przy okazji mocno uderzając łokciem o awaryjny telefon. Miejmy nadzieję, że w barze jest ciemno i że ktoś będzie miał aspirynę.

Bob uśmiechnął się i wstał, gdy dostrzegł, że podchodzi do stolika w rogu, który zajmował z trzema innymi osobami. Z bliska je rozpoznałam. Byli to Gabe Ramper, menadżer

kampanii, Lana Martinez, dyrektor do spraw komunikacji, i Walt Patton, rzecznik prasowy Wye'a. Sami najważniejsi pracownicy. Widziałam ich w samolocie, czytałam o nich w „The Note” i „The Hotline” przez kilka minionych miesięcy, ale żadnego nie poznałam dotąd oficjalnie. Przedstawiliśmy się i Bob zapytał, czego się napiję.

Co było odpowiednie dla rozczochranej kobiety z obitym łokciem, czującej, że znalazła się poza swoją ligą? Zdecydowałam się na margaritę. Gdy Bob machał do kelnerki, rozważałam, czy jest jakiś sposób, by czuć się mniej zawstydzoną. Przyjmując zaproszenie Boba, nie przypuszczałam, że spotkam się z najwyższym dowództwem kampanii. Lana uśmiechnęła się do mnie.

- Jak się trzymasz? - spytała.

- Zbyt zmęczona, by stwierdzić - odparłam szczerze. - Ale to wszystko jest niezwykle ekscytujące.

- Cóż, świetnie mieć ze sobą Gary'ego - rzucił Walt.

Byli dla mnie miłsi, niż się spodziewałam. Może dlatego, że wiedzieli, iż to Bob mnie zaprosił.

- Hej, czy po cyklu oświadczeń robimy następny nabór? - spytał Walt Gabe'a.

- Tak - ten skinął głową.

Przyszedł mi do głowy świetny pomysł.

- Jeśli szukacie członków ekipy przygotowawczej, mogę kogoś polecić - wypaliłam.

Gabe spojrzął na mnie nieco zaskoczony.

- Okay. Zawsze potrzeba nam dobrych ludzi do przygotowania - odparł.

Zapewne była to prawda. I zdecydowanie potrzebowali lepszych, jeśli Tim stanowił jakiś wskaźnik.

- Kara Linden odwaliała kawał świetnej roboty dla senatora Gary'ego - powiedziałam. - Pomagała przygotować oficjalne ogłoszenie poparcia dla Wye'a i wiem, że świetnie sprawdziłaby się w tej kampanii.

Nie wyobrażałam sobie nikogo, kto umiałby lepiej organizować wydarzenia i dbać, by wszystko szło gładko. Praca w przygotowaniu byłaby idealna dla Kary, która zawsze wyprzedzała pozostałych o krok. I wiedziałam, że będzie mieć na uwadze dobro RG, co również się liczyło.

- Możesz przeliterować jej nazwisko? - spytał Gabe, wklepując coś na BlackBerry.

Uczyliłam to i dodałam, jak się z nią skontaktować.

- Już przejęłaś kontrolę, co? - zażartował Bob.

To było nieco śmiałe posunięcie z mojej strony, ale z radością skorzystałam z okazji, by włączyć do zespołu inteligentnych, pracowitych ludzi, przypadkiem będących moimi dobrymi znajomymi. Czy posunęłam się za daleko? Czy Gabe się zirytował? Zanim na powrót ogarnęło mnie poczucie całkowitej niepewności, Bob odwrócił temat od polityki i opowiedział zabawną historię o swojej pierwszej pracy polegającej na przyjmowaniu zamówień w kwaciarni. Sączyłam margarite i delektowałam się brzmieniem jego głosu.

Dwie godziny później odprowadził mnie do pokoju. Na tym etapie byłam już znacznie weselsza, choć by utrzymać tę wesołość, musiałam unikać myślenia o tym, że zostały mi tylko cztery godziny na sen. Gdy sprawdzałam numer pokoju na karcie, Bob delikatnie położył dłoń na moim ramieniu. Czy w ogóle poszłam w dobrą stronę?

- Cieszę się, że jesteś z nami. - Uśmiechnął się, obracając mnie ku sobie.

Boże, ależ był atrakcyjny. Przyciągnął mnie do siebie. Flirtowaliśmy sporadycznie przez prawie cztery miesiące i w pocałunku odzwierciedliło się nagromadzone napięcie. Może Bob zawsze dobrze całował, a może była to kwestia wieloletniego doświadczenia, ale niezależnie od powodu, czułam, że jestem w rękach eksperta. Moje serce zabiło mocniej, gdy pocałunki stały się bardziej intensywne.

Lecz nagle przypomniałam sobie dokładnie, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy. RG i Wye z rodzinami przebywali dwa piętra wyżej, gdzie w rezultacie stacjonowała również większość Secret Service, choć podejrzewałam, że agenci włączają się również po innych piętrach. Poza tym może ktoś nas usłyszał i podgląda! przez dziurkę od klucza? I co pomyśli moja współlokatorka, jeśli nie wrócę na noc? Nie, żebyśmy robili z Bobem coś złego, ale czy nie jest zbyt wcześnie, by psuć sobie reputację? Niechętnie się odsunęłam.

- Pewnie powinnam z tego skorzystać - stwierdziłam, wskazując na klucz do pokoju.

Bob się uśmiechnął. Sprawiał wrażenie człowieka przyzwyczajonego do szybkich posunięć - kogoś, kto miał powody, by być pewnym, że zawsze skończy na górze.

- Dobranoc - powiedział, całując mnie ponownie.

Wróciłam do pokoju z zawrotami głowy, unoszona na fali szczęścia. Cóż za rozwój wydarzeń. Dotknęłam ust, przypominając sobie dotyk jego warg. Czy Bob Espin mógł być tym jedynym? Sądząc po pocałunku, należało poważnie rozważyć taką możliwość. Z uśmiechem otworzyłam drzwi i weszłam na palcach, by nie obudzić osoby, która spała w jednym z łóżek. W pokoju panowały egipskie ciemności. Wyczuwałam drogę na ślepo, modląc się, bym wśliznęła się do właściwego łóżka. Na szczęście tak zrobiłam. Zamknęłam oczy i pozwalałam myślom wirować pod wpływem ekscytacji, tequila i pocałunków. Pragnęłam, by wszystko potoczyło się dalej tak samo jak te pierwsze, młode godziny nowej, przesyconej możliwościami przygody.

Przeegrzany silnik

Po tygodniu wypełnionym podróżami, bieganiną i bezsennością wróciłam do Waszyngtonu na dwudziestoczerogodzinną „przerwę”. W ciągu ostatnich sześciu dni byliśmy w Luizjanie, Ohio, Kalifornii, Arizonie, Nowym Meksyku, Newadzie, Minnesocie, Alabamie i Arkansas. Czułam się wykończona. Liza wpadła do mojego mieszkania, gdzie właśnie zastanawiałam się, czy robić pranie, czy po prostu odłożyć to na później i spakować nowy zestaw ubrań. Byłam zbyt zmęczona i rozgorączkowana, by myśleć rozsądnie. Tydzień wcześniej przed wyjazdem do Luizjany wyłączyłam klimatyzację i pomieszczenia wchłonęły upał późnego czerwca, a teraz trzymały go zachłannie. Mój zaufany mały klimatyzator charczał z wysiłkiem, by przegonić gorąco, ale dosłownie słyszałam rozgrzane cząsteczki powietrza wyśmiewające jego próżne starania.

- Nic ci nie jest? - spytała Liza, gdy zwalczałam łzy.
- Po prostu jest tak gorąco - narzekałam.

Naprawdę chodziło mi raczej o poczucie przytłoczenia i, mówiąc w przenośni, przegrzania. Byłam podekscytowana nowym życiem w drodze, ale negatywnie reagowałam na wrażenie zbyt dużego napięcia.

- Będzie dobrze - zapewniła mnie Liza. - Może wyjdziemy gdzieś na godzinkę lub dwie, póki twój klimatyzator się nie rozkręci?

Spojrzałam na nią. Czy rozumiała, że jednostka czasu w wymiarze godziny lub dwóch była niezwykle cenna

i rzadka? Miałam tyle do zrobienia w tych nielicznych wolnych chwilach. Może wiodłyśmy z Lizą zbyt różny tryb życia, by się dogadać. Ona nadal przebywała w starym świecie.

- Albo dobrze, po prostu zostanmy tutaj - ciągnęła, odczytując mój wyraz twarzy. - Przyniosę ci trochę wody z lodem.

Zgodziłam się usiąść na łóżku i przez pięć minut spokojnie pić wodę. W tym czasie Liza mierzyła mnie zatroskanym spojrzeniem.

- Obawiam się, że mam złe wieści - powiedziała niespiesznie.

Co? Ona i Scooter zerwali? Żadna tragedia. Naprawdę czekałam, aż to się stanie. A może chodziło o Aarona? Już się nim nie przejmowałam. Byłam teraz z Bobem i pracowałam nad kampanią wyborczą, podczas gdy Aaron tkwił tutaj, rozpaczając nad nieudanym występem Bramena. Wszystko to były dobre wiadomości.

- Dziś rano odszedł Dr Cincinnati.

To nie była dobra wiadomość. Umarł? Ale był taki zdrowy! Poprosiłam Lizę, by się nim zajęła, gdy mnie nie będzie. Zabrała go do siebie, żeby nie musieć dojeżdżać do mojego mieszkania tylko w celu nakarmienia rybki. Czy Dr Cincinnati spanikował w nowym otoczeniu? Czy to oznaczało, że Liza go zabiła? Wybuchnęłam płaczem.

- Przykro mi - powiedziała bezsilnie Liza. - To stało się bardzo nagle. Wydawał się zdrowy i szczęśliwy, a następnego dnia leżał po prostu brzuszkiem do góry.

- Sprawdziłaś, czy czasem nie udaje martwego? - zapytałam.

Zapewniła mnie, że tak. Dr Cincinnati nie był Shackletonem. Pod wieloma względami. Choć się do niego przywiązałam, nigdy nie łączyła mnie z nim taka więź, jak z jego poprzednikiem. Moja emocjonalna reakcja na zgon Dr. Cincinnatego, choć częściowo szczerza, w dwóch trzecich wynikała z całkowitego wyczerpania.

- Naprawdę nic mi nie jest - powiedziałam przez łzy. - Nie obwiniam cię.

Liza wzięła w cugle moje melodramatyczne odruchy. Osuszyła mi twarz, pomogła w pakowaniu i zaproponowała, że kupi nową rybkę, tym razem z pewniejszego źródła. Zdecydowałam jednak, że na jakiś czas muszę odpocząć od zwierzątek.

- Okay... cóż, jest coś, co powinnyśmy dziś świętować? - spytała, próbując mnie pocieszyć.

Podążyłam za jej spojrzeniem i popatrzyłam na kalendarz. BlackBerry poinformowało mnie już, że dziś była dwudziesta siódma rocznica dnia, gdy Roy C. Sullivan został po raz siódmy rażony piorunem, jak napisano w pewnym artykule o ludziach, którzy przeżyli uderzenie pioruna. Oczywiście tych siedem uderzeń miało miejsce w ciągu trzydziestu pięciu lat, ale i tak był to rekord jak na jedną osobę. Kto powiedział, że piorun nigdy nie strzela dwa razy w to samo miejsce? Na pewno nie Roy C. Sullivan.

Podobnie jak w przypadku wszystkich rocznic z ubiegłego tygodnia nie czułam, żebym miała czas czy energię, by odpowiednio uczcić osiągnięcie Roya. Próbowałam wytłumaczyć to Lizie.

- Wypalisz się, jeśli nie będziesz ostrożna - powiedziała złowieszczo.

Wiedziałam, że ma rację. Musiałam zebrać siły. Był już koniec czerwca. Konwencja wyborcza odbędzie się za sześć tygodni, a potem czeka nas trzymiesięczny sprint do dnia wyborów. Wiedziałam, że czas będzie pędzić. Potrafiłam sobie z tym poradzić. Chciałam być częścią wydarzeń.

- Nic mi nie będzie - stwierdziłam pewnie.

Resztę dnia spędziłyśmy, stawiając mnie na nogi. Zmusiłam się nawet, by położyć się do łóżka nienaturalnie wcześnie i spróbować odbudować zapasy snu. Wiedziałam, że wkrótce będą mi potrzebne.

Następnego dnia, gdy siedziałam w autobusie, przemierzając Missouri wraz z RG i Wye'em, Liza zadzwoniła, by sprawdzić, jak się czuję.

- Spluczę teraz Dr. Cincinnatego - powiedziała poważnie.

Zaczekała z tym na wypadek, gdybym chciała wziąć udział w ceremonii. Dzień wcześniej nie byłam w stanie powlec się do mieszkania Lizy, więc ustaliłyśmy, że będę uczestniczyć w pogrzebie przez komórkę.

- Masz dla niego jakieś ostatnie słowa? - spytała.

Owszem, miałam. Kazałam jej powtarzać za mną.

- *Namu amidą butsu* - powiedziałam.

Musiałam powtórzyć trzy razy, zanim wymówiła to poprawnie. A przynajmniej w taki sposób, w jaki według mnie powinno być wymawiane.

Po trzecim razie zauważyłam na sobie wzrok agenta Roberta, siedzącego o kilka rzędów dalej. Przypuszczałam, że on i reszta Secret Service zostali poinformowani przez zespół weryfikujący o moich związkach z północnokoreańskimi szpiegami. Zakryłam telefon dłonią.

- To japoński, nie koreański - zapewniłam.

Czy dla niego stanowiło to jakąkolwiek różnicę? Zastanawiałam się, jak rozbudowana jest siatka japońskich szpiegów w Stanach Zjednoczonych. Przynajmniej Japonia ostatnio była wobec nas bardziej przyjazna niż Korea Północna.

- Właśnie odbywa się ceremonia pogrzebowa mojej rybki - dodałam.

Nie wyglądało na to, żebym zdołała uspokoić podejrzenia agenta Roberta. Nadal uważnie mnie obserwował. Wzruszyłam ramionami i wróciłam do Lizy.

- Co oznacza ten zwrot? - spytała.

- To japońska modlitwa buddyjska, którą znalazłam w internecie - wyjaśniłam. - Na stronie napisano, że wypowiedzenie jej z wiarą gwarantuje ponowne narodziny w Zachodnim Raju. Nie wiem, czy Dr Cincinnati był buddystą, czy

shinto, czy w ogóle wyznawcą jakiejś religii, ale jestem pewna, że doceniłby ten gest.

Liza zgodziła się ze mną. Na moje specjalne życzenie włączyła *Octopus's Garden* i wcisnęła spłuczkę. Powiedziałam cięhe słowa pożegnania. Potem rozłączyłam się i wróciłam do świata żywych w autokarze pędzącym przez środkową Amerykę.

Tego popołudnia, gdy wysiadłam w St. Louis, wpadłam na Karę.

- Próbowałam się z tobą skontaktować - wykrzyknęła.
- Żeby ci podziękować za załatwienie mi tej pracy! Zadzwo-
nili w świetnym momencie, właśnie skończyłam studia i za-
stanawiałam się, jak najlepiej pomóc przy kampanii. Pomyś-
lałam, że zgłoszę się jako wolontariuszka, ale ta robota
w przygotowaniu jest niesamowita!

Promieniałam zadowoleniem, szczęśliwa, że wszystko uło-
żyło się zgodnie z moim planem. Rzadko tak się działo.

- To świetnie - powiedziałam szczerze.

Byłam znacznie mniej szczęśliwa chwilę później, gdy Kara delikatnie powiadomiła mnie, że Aaron będzie na spotkaniu, ponieważ niedawno dołączył do ekipy piszącej przemówie-
nia dla Wye'a. To zdecydowanie nie powinno się było wy-
darzyć. Aaron miał zniknąć z mego życia na zawsze, a teraz
po prostu znowu do niego wskakiwał? Przyjęty dobrowolnie
do naszej kampanii po tym wszystkim, co zrobił? Ludzie
Wye'a musieli nie wiedzieć, że Aaron był w minionych mie-
siącach źródłem kilku wypowiedzi skierowanych przeciwko
RG. Na pewno nie zatrudniliby go, gdyby wiedzieli. Prawda?
Dlaczego nie spytano mnie o zdanie? Uff. To okropne i iry-
tujące.

- Zapomnij o nim - poradziła Kara. - Zespół jest duży.
Można będzie go unikać.

Miałam nadzieję, że ma rację. Próbowałam się uspokoić. RG i Wye prowadzili obecnie znaczną część kampanii wspólnie, ale bezpiecznie mogłam przyjąć, że w lecie rozdziela się, by objechać większy obszar. Do tej pory po prostu musiałam zaakceptować obecność Aarona, choć była irytująca i niesprawiedliwa. Przynajmniej miałam po swojej stronie Boba, jak na razie. Zastanawiałam się, czy Aaron nadal jest z Darlene.

- Cóż, pechowo się złożyło - podsumowałam.

- Przykro mi - powiedziała Kara współczująco. - Aaron to dupek i zasługuje na karę. Ale bądź pewna, że osoby odpowiedzialne na przykład za kwatery mogą w tym pomóc - dodała niegodziwie.

Uśmiechnęłam się. Dobrze było mieć po swojej stronie kogoś takiego jak Kara. Jej krótkofalówka zatrzeszczała.

- Zaraz tam będę - rzuciła.

Wywróciła oczami na to, jak ważna się nagle stała, po czym przepchnęła się przez tłum. Czy niedługo będzie nosić słuchawkę w uchu? Nawet jeśli dostanie taki sprzęt, wiedziałam, że nigdy nie stanie się jednym z Timów.

Spotkanie poszło dobrze i choć żołądek mi się ścisnął, gdy dojrzałam Aarona, zdołałam odwrócić od niego uwagę i zachować zdrowy dystans. Musiał wiedzieć, że tu jestem i że unikanie spotkania stanowiło dla niego najlepsze wyjście. Obecność Aarona tylko wzmogła stres związany z kampanią, ale nie mogłam nic na to poradzić. Byłam zdecydowana za wszelką cenę ignorować jego i wszelkie wspomnienia o tym, jak mnie zranił, a całą energię skierować na cel ważniejszy od nas wszystkich.

Następnego ranka, gdy zajechaliśmy pod budynek sądu w małym miasteczku liczącym około dwóch tysięcy mieszkańców, poczułam, jak mój żołądek ścisną ją skurcze. Bob właśnie ze mną rozmawiał, kiedy uderzyła pierwsza fala. Wśliznął się na siedzenie obok.

- Nie ci nie jest? - spytał ze znacznym niepokojem. Przy-
najmniej jak na niego.

Staralam się wyglądać pociągająco, ale stać mnie było tyl-
ko na skrzywienie.

- Coś nie tak z moim żołądkiem - poinformowałam.

- Może tym razem zostaniesz w autobusie? - zapropono-
wał pomocnie.

Skinęłam głową. Potrzebowałam trochę spokoju, by po-
pracować nad platformą zdrowotną na konwencję, uspra-
wiedliwiłam samą siebie.

- Sprawdzę, czy da się zdobyć krople żołądkowe lub coś
podobnego - powiedział Bob. Zabrzęczało jego BlackBerry.
Pocałował mnie w rękę i wstał.

- Za jakiś czas sprawdzę, co z tobą - obiecał.

Odchodząc, już zaczął czytać wiadomość. Choć naprawdę
lubiłam z nim być, nie pozwalałam, by sprawy zaszły za
daleko. Nie umiałam stwierdzić, czy był zaintrygowany, czy
urazony moją postawą. Zdecydowanie mnie pociągał - chcia-
łam tylko poczuć się bezpiecznie, zanim całkiem się zaan-
gażuję. A nic w osobie Boba czy w naszej obecnej sytuacji
nie wydawało się stabilne.

Gdy wszyscy wysiedli z autobusu, zamknęłam oczy i pró-
bowałam rozluźnić żołądek, by osiągnąć bezskurczowy stan
medytacji. Nie podziałało. Wiedziałam, że za bardzo mnie
boli, bym poczyniła jakiegokolwiek postępy w przygotowaniu
platformy wyborczej, pomimo najlepszych chęci. Wyrzłałam
przez okno, by odwrócić uwagę od uczucia, że przebijają
mnie nożem od środka. Przed budynkiem sądu i przygotowa-
ną trybuną kłębił się niewiarygodny tłum. Po drugiej stronie
ulicy ciągnął się rząd sklepików. Dostrzegłam szyld „Apteka
rodziny Lacey" i z trudem wstałam. Wiedziałam, że w trakcie
spotkania Bob będzie z Wye'em i RG, a ja jak najszybciej
potrzebowałam jakiegoś środka przeciwbólowego, postano-
wiłam więc wziąć sprawę we własne ręce.

Przechodząc przez ulicę, minęłam gromadkę dziennikarzy. Część z nich zawsze kręciła się na obrzeżu tłumu, by zanotować wypowiedzi „zwykłych obywateli” biorących udział w wydarzeniu. Reporterzy lubili ubarwiać artykuły lokalnym kolorytem i myszkowali w poszukiwaniu ciekawych szczegółów. Zwykle natrafiali na mnóstwo.

Kilku dziennikarzy zerknęło w moją stronę z wyrazem twarzy świadczącym, że szukają materiału na artykuł. Szłam nieco niepewnie. Zastanawiałam się, czy sądzili, że jestem pijana o dziewiątej rano. To mogło stanowić ciekawy kąsek. Cierpiałam tak bardzo, iż nie byłam w stanie rozwiewać jakichkolwiek błędnych wrażeń.

Złapałam się za brzuch, a drugą ręką sięgnęłam ku drzwiom apteki. Zanim ich dotknęłam, otworzyły się, ukazując Charliego Lawtona z puszką gazowanego napoju. Dobry Boże, co tu się działo? Dlaczego moje życie nagle stało się tak małe, a jednocześnie rozrosło się do skali narodowej? Nim zdołałam przeanalizować ten fenomen, złapał mnie wyjątkowo brutalny skurcz i poczułam, że padam na ziemię.

- Samantha! - usłyszałam Charliego, który próbował mnie złapać.

Musiałam zablokować odbiór bólu, bo następną rzeczą, którą pamiętam, jest to, że siedziałam na łóżku w małym szpitalnym pokoju. Sądząc po przytłumionych okrzykach tłumu, szpital znajdował się jakieś pół mili od budynku sądu. Charlie stał obok i rozmawiał z lekarzem. Lekarz wyglądał na sześćdziesięciolatka, miał brzuszek i promieniował kompetencją. Wyglądał na zaskoczonego, że nas widzi, ale przygotowanego do działania. Gdy nie patrzyłam, pielęgniarka ukłuła mnie w ramię.

- Au! - zaprotestowałam.

- To tylko coś na uśmierzzenie bólu, kochanie - powiedziała łagodnie.

Charlie i doktor zwrócili się do mnie. Lekarz sprawiał wrażenie spokojnego, a Charlie zmartwionego. Nie byłam pewna, czy to ze względu na mnie, czy na artykuł, który uciekał mu sprzed nosa.

- I cóż tam się dzieje? - spytał doktor, wskazując na moje podbrzusze.

Najlepiej jak potrafiłam, opisałam nagły przyпіływ paraliżujących skurczy i spasmów. Doktor skinął głową.

- Musisz na chwilę wstać, skarbie - poinstruował mnie.

Wiedziałam, co jest grane. Chciał, bym stanęła mocno na piętach, i sprawdzić efekt. Czytałam, że to standardowe badanie na wyrostek robaczkowy. Jednak gdy dotknęłam stopami ziemi, ból się nie zwiększył. Nie byłam nawet pewna, czy mógł się zwiększyć.

- Hm - zastanowił się lekarz. - Czy istnieje możliwość, że jest pani w ciąży?

Nie, na pewno nie, dzięki Bogu. Ale pytanie wydawało się nieco zbyt osobiste, zwłaszcza gdy Charlie stał tuż obok.

- Hm, nie - odparłam cicho.

Zerknęłam nieśmiało na Charliego, który wpatrywał się we mnie z prawdziwym zatroskaniem w oczach skrytych za okularami.

Doktor zamyślił się głęboko.

- Zrobisz badania ultradźwiękowe na cysty i wrzody. Muszę tylko przygotować sprzęt.

Skinęłam głową. Zgodnie z moją pogłębioną w wyniku hipochondrii wiedzą było to właściwe podejście. Lekarz wyszedł.

- Chcesz, żebym się z kimś skontaktował? - spytał Charlie.

Podaliśmy mu BlackBerry, zbyt skoncentrowana na bólu, by wspomnieć o ironii sytuacji, gdy przekazałam urządzenie, które wpędziło mnie w kłopoty, osobie, która się do nich dołożyła.

- Moi rodzice są pod „Joyce”. Czy możesz ich zawiadomić, że jestem w szpitalu, ale zadzwonię później? - odparłam z trudem. - I muszę do dziesiątej wysłać notatkę, która jest w wersjach roboczych, do kwatery głównej kampanii. Na adres Feldman, mała, wye-gary kropka...

Urwałam, widząc wyraz twarzy Charliego. Co też mi przyszło do głowy? To przecież dziennikarz, którego zadaniem jest opisywanie wydarzeń. Powinien zachować bezstronność. Na pewno nie mógł legalnie wykonywać żadnych czynności związanych z kampanią.

- Zapomnij o tej ostatniej sprawie - powiedziałam. - Tylko do rodziców, proszę. A potem powinieneś wrócić do autokarów - dodałam. - Odjeżdżają za godzinę.

Znałam rozkład. Przed zapadnięciem zmroku mieliśmy odwiedzić jeszcze pięć miast. Czy powinnam poprosić Charliego, by poinformował Boba o moim stanie? Albo RG? Żaden z nich i tak nie mógł tu ze mną zostać.

- Poślę wiadomość do senatora Gary'ego - zapewnił Charlie.

Drgnęłam z bólu i wdzięczności.

- Będzie dobrze - powiedział, kładąc mi dłoń na czole.

Był to dość intymny gest jak na dwoje nieznajomych. I uczynił go Charlie, co mogłoby wywołać wysypkę na szyi, gdybym była sobą. Doceniałam jego wysiłki, by mnie pocieszyć, ale mogłam się skupić tylko na okropnym bólu w podbrzuszu. Musiałam stęknąć, bo Charlie zaczął się nagle rozglądać za pielęgniarką. Chwyciłam jego dłoń, zanim zdołał ją cofnąć. Zaprzestał poszukiwań i obrócił się do mnie. Gdy pochwyciła mnie kolejna fala bólu, ścisnęłam jego palce o wiele za mocno.

- Wkrótce wydobrzejesz - stwierdził zdecydowanie.

Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na oddechu, starając się, by był możliwie płytki i nie przeszkadzał protestującemu ciału. Charlie wyszedł, gdy lekarz zjawił się ponow-

nie i przeprowadził badania ultradźwiękowe, które nie ujawniły nic niezwykłego. Doktor wyglądał na zamyślonego.

- Dam pani środek przeciwbólowy, który może na jakiś czas panią uspić - poinformował mnie. - Muszę jeszcze raz sprawdzić parę rzeczy, ale mam już teorię, o co tu chodzi.

Chciałam mu zadać kilka pytań, lecz nie byłam w stanie mówić. Musiałam się całkowicie koncentrować na stawianiu czoła powalającemu skurczom. Pielęgniarka wróciła i zrobiła mi kolejny zastrzyk. Zamknęłam oczy i czekałam, aż zacznie działać.

Potem nagle był już środek nocy. Zabrało mi kilka chwil, by się dobudzić i przypomnieć sobie, gdzie się znalazłam. Żołądek nadal mnie bolał, ale nie tak okropnie. I miałam wysuszone gardło. Czy ktoś usłyszy, jeśli zawołam?

- Halo? - wyszeptałam.

Jakaś postać poruszyła się na pobliskim krześle.

- Sammy? - powiedział znany głos.

- Bob? Aaron?

Kto to był? Czulałam, że wiem, ale mój umysł był niemrawy i pracował powoli.

- Tu Charlie - powiedział głos z bliższej odległości.

Oczywiście, Charlie Lawton. Był w aptece. Zabrał mnie tutaj.

- Czego ci trzeba? - pochylił się nade mną.

Nie miał okularów, a jego włosy wyglądały na zmierzwiowane. Gdy przyniósł mi wodę, wyjaśnił, że moi rodzice zostali już powiadomieni, tak samo jak RG i reszta ekipy. Autokary odjechały i wszyscy spędzali noc w Jefferson City, ale chcieli być na bieżąco informowani o moim stanie.

- Dlaczego wciąż tu jesteś? - spytałam zaskoczona.

Ucieszyłam się, ale nie widziałam w tym sensu. Charlie nie miał wobec mnie zobowiązań, a co więcej, gdzie indziej czekała na niego praca.

- Obiecałem twojej mamie - odpowiedział.

To wszystko wyjaśniało. Mama przedstawiała poważną siłę przez telefon. Nie chciałam być jednak odpowiedzialna za narażanie kariery zawodowej Charliego.

- Cóż, nie jesteś już zobowiązany wobec mojej mamy - stwierdziłam. - Powinieneś iść.

- Wolałbym zostać, jeśli nie robi ci to różnicy - odparł.

- A co powiedziałaś redakcji „Post”? - spytałam.

- Że przygotowuję niezwykle ważny artykuł. Co jest prawdą - powiedział. - I tak mają bardziej doświadczonego faceta wyznaczonego do Wye'a, który przez najbliższe trzy dni będzie pisał o jego wspólnych wystąpieniach z Garym. Ale nie mają nikogo pracującego nad pogłębionym artykułem o wpływie senatora Gaiyego na kierunek polityki gubernatora Wye'a w kwestiach zdrowotnych.

Czy próbował mnie wykorzystać jako źródło informacji, gdy znajdowałam się pod wpływem leków? To nie wydawało się zbyt honorowym postępowaniem.

- Nie wydaje mi się, żebym mogła zostać twoim informatorem - odparłam.

- W porządku, mam inne źródła - stwierdził. - Potrzebuję tylko czasu, a ty mi go dajesz.

Więc mimo wszystko nie martwił się o mnie. W porządku. Jeśli tego chciał. Właśnie postanowiłam nie odzywać się do niego przez resztę nocy, gdy poczułam na czole chłodną dłoń.

- Nadal cię boli? - spytał Charlie. - Zaczekaj chwilę, sprowadzę pielęgniarkę.

Nie chciałam, by zabierał rękę, ale nie odezwałam się i pozwoliłam mu wyjść.

Następnego ranka lekarz poinformował mnie, że cierpię na zespół wrażliwego jelita wywołany nadmiernym stresem. Wiedziałam wszystko o zespole wrażliwego jelita i często modliłam się, by nigdy mnie nie spotkał, w znacznej części

z powodu nazwy. Jakby sama dolegliwość nie była wystarczająco zła, lekarze musieli w dodatku nadać jej tak zawstydzającą nazwę. Wydawała się niepotrzebnie okrutna. Żałowałam, że Charlie był w pokoju i usłyszał diagnozę.

- Niestety nie ma lekarstwa na zespół wrażliwego jelita - kontynuował lekarz. - Musi pani po prostu ograniczyć stres, ponieważ jest on główną przyczyną zespołu wrażliwego jelita. W zespole wrażliwego jelita...

- Czy moglibyśmy nazywać to jakoś inaczej? - przerwałam poirytowana.

Lekarz wyglądał na zaskoczonego. Charlie się uśmiechnął.

- To znaczy, słyszałam, że określają tę dolegliwość jako ZWJ - ciągnęłam. - Co jest znacznie krótsze.

To była prawda. Skrót, który naprawdę skracał.

- W porządku - odparł lekarz. - Więc ma pani ZWJ i pani okrężnica jest bardzo podrażniona. Chciałbym podać pani lek przeciwskurczowy i zatrzymać tu panią na jeszcze jedną noc, by upewnić się, że zadziała. Mogę panią wypuścić jutro, o ile obieca pani unikać stresu.

- Czy to bezpieczne wypuszczać ją tak wcześnie? - spytał Charlie.

Tak wcześnie? Całe dwie noce w szpitalu. Czyżby Charlie potrzebował po prostu więcej czasu, by popracować nad artykułem? A może naprawdę się mną przejmował?

Lekarz zapewnił go, że to bezpieczne. Resztę dnia i nocy spędziliśmy w tym samym pokoju, a ja na zmianę budziłam się i zapadałam w niespokojny sen. Charlie przynosił mi wodę i kontrolował poziom bólu, ale głównie spędzał czas przy laptopie ustawionym w kącie przy oknie. Przez chwilę zastanawiałam się, jak wyglądam, ale zasnęłam, zanim zdołałam ruszyć się do lustra w łazience. Poprzez mgłę wymuszonego lekami otępienia słyszałam, jak pielęgniarka i Charlie rozmawiają o tym, że sen jest dla mnie najlepszym lekarstwem.

Następny dzień rozpoczął się podobnie, ale godziny czuwania stopniowo zaczęły przeważać nad godzinami snu. I na szczęście lek przeciwskurczowy zadziałał. O szóstej wieczorem zostałam zwolniona ze szpitala i razem z Charliem popędziliśmy wynajętym samochodem w stronę Kansas City, by dogonić resztę grupy. Była to pięciogodzinna jazda, choć karawana autokarów pojechała krętą, okrężną trasą, wymagającą dwóch dni. Wybraliśmy prostszą drogę, omijając wszystkie małe miasteczka, i mknęliśmy autostradą, nadrabiając stracony czas w takt największych hitów Led Zeppelin. Najwyraźniej Charlie zawsze podróżował z ich płytą.

Dwie godziny przed Kansas City obudziłam się z niespokojnej drzemki i patrzyłam, jak ciemność przelewa się za oknem. Po raz pierwszy w ciągu tych najdłuższych trzydziestu pięciu godzin mojego życia poczułam potrzebę sprawdzenia wiadomości na BlackBerry i komórce. Telefon znalazłam wyłączony w torbie.

- Nadal masz moje BlackBerry? - spytałam Charliego.

Wyjął je z kieszeni marynarki i podał mi.

- Pachnie pomarańczami - skomentował.

Naprawdę? Powąchałam. W plastikowym zapachu rzeczywiście wyczuwałam nutę pomarańczy. Zdumiało mnie to, dopóki nie przypomniałam sobie, że dwa dni wcześniej miałam w torbie pomarańczę. Pewnie teraz była już popsuta.

Przytrzymałam BlackBerry przed sobą i ponownie wciągnęłam powietrze. Nic nie poczułam. Charlie mógł zauważyć pomarańczowy zapach, tylko jeśli przysunął urządzenie do nosa. Czy to nie dziwne? Dlaczego tak postąpił? Czy zastanawiał się, jak pachnę z bliska, i zabawił się w detektywa? Jeśli wyczuł pomarańczę, czy wyobrażał sobie, że mój naturalny zapach jest słodki i egzotyczny - zapach damy z pomarańczowego zagajnika?

A może stara! się przeczytać wiadomości na BlackBerry bez okularów, więc musiał przytrzymać urządzenie tuż przy twarzy? Rzuciłam w jego stronę oskarżycielskie spojrzenie, ale zdawał się tego nie zauważać.

- Przeczytałeś jakieś moje wiadomości? - spytałam podejrzliwie.

W końcu był dziennikarzem. A ja miałam mnóstwo maili, które zaciekawiłyby kogoś piszącego o kampanii wyborczej.

- Naprawdę sądzisz, że bym coś takiego zrobił? - spytał.

Nie wyglądał na urażonego, raczej na zdumionego. Co wystarczyło, żebym się zawstydzila i przeprosiła.

- Sorry, przez te leki chyba mam paranoję.

Uśmiechnął się, dzięki czemu poczułam się znacznie lepiej.

Na następne pół godziny zatopiłam się w lekturze wiadomości. Otrzymałam ich ponad trzydzieści. Wiele dotyczyło mojej ostatniej przygody. Trzy wysłane przez Boba stanowiły typowy przykład.

Najpierw:

Do: Samantha Joyce [srjoyce@wye-gary.com]

Od: Bob Espin [bespin@kstreetgroup.com]

Temat: gdzie jesteś?

mam krople żołądkowe, autokar zaraz odjedzie, jesteś w pobliżu? mogę ich trochę zatrzymać, odezwiw się.

Potem:

Do: Samantha Joyce [srjoyce@wye-gary.com]

Od: Bob Espin [bespin@kstreetgroup.com]

Temat: Re: gdzie jesteś?

nie mogą dłużej czekać, nic ci nie jest?

Około czterdziestu minut później:

Do: Samantha Joyce [srjoyce@wye-gary.com]

Od: Bob Espin [bespin@kstreetgroup.com]

Temat: Re: gdzie jesteś?

mówią, że jesteś w szpitalu?!?!?! z dziennikarzem z post? co się dzieje? czy w tym mieście w ogóle jest lekarz? tylko niech cię nie uszkodzą.

I wreszcie:

Do: Samantha Joyce [srjoyce@wye-gary.com]

Od: Bob Espin [bespin@kstreetgroup.com]

Temat: jeśli masz wrażliwe jelito, zgłoś się przykro mi, słyszałem wieści, daj znać, jeśli trzeba cię uratować. napisz, jak będziesz mogła, czekamy - b.

Wiadomości od Marka, Mony i Kary były nieco bardziej uczuciowe, ale podążyły po tej samej trajektorii. Zabawnie było czytać je naraz. Stanowiły jakby opowiadanie o ostatnich dwóch dniach mojego życia - przedstawionych z różnych punktów widzenia. I choć żałowałam, że wszyscy dowiedzieli się o niemiłej dolegliwości, miło było wiedzieć, iż się o mnie troszczą. Dostałam też krótką słodką wiadomość od RG. I nawet jedną od agenta Robertsa z pytaniem, czy potrzebuję pomocy w dołączeniu do reszty. Może chciał mnie podejść. A może po prostu denerwował się, że gdy nie ma mnie pod nosem, nie jest w stanie kontrolować moich poczynań.

Z niecierpliwością oczekiwałam powrotu do ekipy. Nie przyszło mi do głowy, by zwolnić się na dłużej, niż to było absolutnie konieczne, niezależnie od tego, co powiedział lekarz. Unikanie stresu nie wchodziło w grę. Będę brać leki i spróbuję być spokojna, ale miałam zbyt wiele pracy, bym mogła z niej zrezygnować.

- Jak się czujesz? - spytał Charlie.

- Dobrze - odparłam zdecydowanie. - Choć jestem trochę zażenowana moją całkowitą niezdolnością do radzenia sobie ze stresem.

- Nie patrzyłbym na to w ten sposób - odrzekł. - Znalazłaś się w wyjątkowych okolicznościach. Najwyraźniej wchłaniasz w siebie stres, co nie jest zbyt zdrowe, ale odreagowywanie i wrzeszczenie na wszystkich też nie, a w taki sposób radzi sobie wiele osób w tej kampanii. Ty po prostu jesteś na to za miła.

- A na dowód mam podrażnioną okrężnicę - odparłam.

Charlie uśmiechnął się. Oparłam się wygodnie i patrzyłam, jak prowadzi. Za kierownicą zachowywał się w ciekawy sposób - z jednej strony całkowicie kontrolował sytuację, a z drugiej odczuwał jakby nadmierną ciekawość wobec pozostałych pojazdów na drodze. Nieustannie obserwował, w inteligentny, absorbujący sposób. Zastanawiałam się, co sobie myśli.

- Lubisz pracę dziennikarza? - spytałam.

Przez chwilę milczał, co mi się spodobało. Nie lubiłam dostawać gotowych wyćwiczonych odpowiedzi, nawet gdy wiedziałam, że zadałam pytanie, na które dana osoba odpowiadała już zapewne milion razy. Cieszyło mnie wrażenie, że ktoś dzieli się ze mną świeżymi przemyśleniami. Z Charliem miałam taką pewność.

- Nie lubię, ale to dla mnie dobre zajęcie - odparł. - Lubię zgłębiać nowe historie, badać je i pisać o nich. Lubię docierać do sedna spraw. Choć zapewne miałem zbyt idealistyczne wyobrażenie o tym, że będę pracować dla ludzi, których jedynym celem jest przekazywanie czytelnikom prawdy o świecie. Tak nie jest. Wiem, byłem naiwny, ale te pozostałe cele mnie przygnębiają.

Odczekałam chwilę, by zapadły we mnie wszystkie jego słowa.

- Wolałbyś robić coś innego? - spytałam.

- Nie - odparł. - Wolę robić to, co dotychczas, tylko zmieniać rzeczywistość na lepsze. Czy te słowa mają jakiś sens?

Dla mnie miały. I dowodziły, że Charlie, tak jak ja, nadal był idealistą. Szanowałam go za to, że stara się naprawiać świat. A jego wypowiedź uświadomiła mi, iż nasza praca jest w gruncie rzeczy podobna.

Rozmowa nabrała lżejszego tonu, ale pozostała daleka od banału. Naprawdę lubiłam słuchać Charliego. Okazał się fascynującym rozmówcą, dającym wrażenie bliskości, a jednocześnie intrygującym. To, co mówił, wywoływało oddźwięk, zarazem pobudzając do myślenia. Przyzwyczaiałam się, że partnerzy w rozmowach oddziaływali na mnie na jeden z tych sposobów. Przywykłam do kompromisów. Miło było dla odmiany poczuć, że nie muszę godzić się na mniej, niż chciałam - nawet jeśli mieliśmy do dyspozycji tylko kilka godzin, pędząc w wynajętym fordzie taurusie po ciemnej autostradzie w Missouri.

Około jedenastej stanęliśmy przed hotelem. Dziennikarze mieli pokoje na innym piętrze niż reszta pracowników, więc rozdzieliliśmy się w windzie.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziałam szczerze, gdy drzwi otworzyły się na jego piętrze.

- Zawsze do usług. - Uśmiechnął się.

- Cóż, miejmy nadzieję, że był to jednorazowy wypadek - powiedziałam, wskazując na brzuch.

Roześmiał się. Drzwi zamknęły się w momencie, gdy mówił „do zobaczenia”, i jadąc na swoje piętro, żałowałam, że nie zdążyłam niczego odpowiedzieć.

Bob czekał na mnie w pokoju. Postarał się, żebym dostała jedynekę, co było wielkim wyjątkiem wobec surowych zasad wprowadzonych przez osoby odpowiedzialne za budżet kampanii.

- W porządku, mała? - spytał, delikatnie biorąc mnie w ramiona.

Protestowałam przeciwko temu przezwisku, odkąd Bob użył go po raz pierwszy, ponieważ a) nie byłam niska i b) „mała” wymawiało się nie krócej niż „Sammy” (wracając do kwestii GSW7bravo). Bob przyjął mój sprzeciw, a potem spytał, czy w ciągu ostatnich pięciu lat słuchałam rapu lub hip-hopu. Na te słowa zamilkłam i postanowiłam przystać na ksywkę, aby być bardziej cool. Może wzmocni to moją pozycję w grupie. Tak czy siak, zdołałam trochę ją polubić. Bob potrafił być bardzo przekonujący.

- Tak, wszystko dobrze, dzięki - odparłam. - Cieszę się, że wróciłam.

Położył się na łóżku i pocałował mnie.

- Cieszymy się, że z nami jesteś.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam mu leżeć obok. Spędziliśmy razem noc, po prostu odpoczywając. Nie spałam tak dobrze jak Bob. Leżąc przy nim, nie potrafiłam oprzeć się myśli, że żałuję, iż nadal nie jestem w samochodzie z Charliem. Albo w szpitalu z Charliem. Naprawdę gdziekolwiek bądź z Charliem. Gdy Bob przez sen ujął moją dłoń, postanowiłam przerwać te rozmyślania. Spotykałam się z Bobem. Byłam szczęśliwa, spotykając się z Bobem. Powtarzałam to sobie, póki nie zasnęłam, a nad ranem przypisałam całą tęsknotę za Charliem ciężkim szpitalnym przejściom. Dzięki temu poczułam, że wróciłam na właściwy tor.

I dobrze się stało, bo musieliśmy poruszać się szybko. Kontynuowaliśmy autokarową podróż, przemierzaliśmy setki miast i miasteczek, przejeżdżaliśmy wzdłuż pasaży sklepowych i pastwisk, obok dzierzących transparenty tłumów i pustych pasm asfaltu. Porwani pędem mknęliśmy w deszczu, upale i na wietrze. Podczas happeningu na rzecz ochrony środowiska w St. Mary w Montanie - obok topniejących przełęczy Parku Narodowego Glaciar - zdarzyło się nawet gradobicie. Jeden znudzony i bystry dziennikarz wykorzystał okazję, by zatytułować artykuł *Grad brow*.

Nawet gdy pojazdy się zatrzymywały, ruch nie ustawał. Oddzieliliśmy się od Wye'a, spotkaliśmy, znowu odbiliśmy i raz jeszcze połączyliśmy siły - w układanym zawsze na ostatnią chwilę tanecznym popisie dla mas. RG w pół tygodnia objechał Kalifornię, Oregon, Waszyngton, Idaho, Illinois i Florydę. Czyste ubrania, brak worków pod oczami i wewnętrzny spokój stały się relikdami epoki, która już tak bardzo oddaliła się we wstecznym lusterku, że nie można jej było dostrzec. A cel wcale nie znajdował się bliżej, niż się wydawało.

Dostosowałam tempo do pozostałych - udając, że częsta obecność Aarona mi nie przeszkadza, i działając jakby na automatycznym sterowaniu. Byłam zdecydowana dać z siebie wszystko i nie zostawiałam sobie miejsca na oddech potrzebny do osiągnięcia celu. Kompromisy nie dotyczyły już polityki, ale stylu życia. Mogliśmy tylko kontynuować bieg, wbrew rozsądkowi żywiąc nadzieję, że linia mety nieco się zbliżyła. Jednak nawet w tym zamęcie zdołałam szczęśliwie zyskać nowy punkt widzenia na szaleństwo kampanii. Pobyt w szpitalu zmusił mnie, by spojrzeć na wszystko w większej perspektywie. W efekcie czułam się mniej przytłoczona i dostrzegałam, jak wszystkie fascynujące części układanki pasują do całości. Dzięki temu czerpałam większą naukę z doświadczeń.

RG zawsze był pracoholikiem, a teraz trafił na misję godną swoich sił. Kontaktowałam się z nim codziennie i miałam wrażenie, że stopniowo się zmieniał. Przemawiał z mocą, ponieważ w kampanii liczyła się siła słowa. Ścisnął więcej dłoni, ponieważ tłumy były większe i bardziej podekscytowane niż dawniej. Odpowiadał na więcej pytań, udzielał więcej wywiadów i przedstawiał więcej opinii - po prostu dlatego, że tego od niego oczekiwano. Pod wieloma względami zdawał się rozkwitać i nabierać sił w całym tym chaosie.

Jenny i chłopcy towarzyszyli mu, gdy tylko mogli, ale wszystkim było trudno dostosować się do jego tempa. Od czasu do czasu rozmyślałam o Jenny - patrząc na nią, gdy

pojawiła się na scenie z RG albo siedziała z przodu autokaru, słuchając raportów, a jednocześnie błagając Jacka i Jeffreya, by przestali oblizywać obicia. Wydawała się szczęśliwa i zaangażowana, ale zastanawiałam się, czy wolałaby odgrywać większą bądź mniejszą rolę. Czy żałuje tego nagłego zwrotu w swoim życiu, na który nie mogła się przygotować? Czy taką ścieżkę by wybrała, gdyby zawnocześnie wiedziała więcej?

Ludzie gubernatora Wye'a nadal rządzą, choć próbowali zintegrować nas ze swoim zespołem. Mimo tych starań wy-czuwałam silne poczucie wyższości u niektórych z nich - jak-by byli dziwnie dumni z faktu, że są częścią tej podróży znacznie dłużej, i uważali resztę osób za irytujących nowi-cjuszy i intruzów. Oczywiście nie każdy zachowywał się w ten sposób, ale podobne nastawienie zawsze nam towa-rzyszyło. Przypominało mi to nieprzyjemne układy z Brame-nem i drażniło mnie, że Aaron znowu jest obecny.

Pomimo delikatnego napięcia między zespołami Wye i RG nadal współpracowali ze sobą tak gładko, jak podczas pierw-szego wspólnego wystąpienia w Ohio. Gdy obserwowałam ich razem, dostrzegałam prawdziwe partnerstwo. Choć po-dejrzewałam, że Wye musiał się mocno starać, by stłumić naturalną potrzebę rywalizacji i zaakceptować fakt, iż są z RG w jednej drużynie i dążą do tego samego celu.

Delikatna równowaga ich stosunków została zachwiana w połowie lata z powodu serii artykułów, które opisywały wpływ RG na ton i kierunek kampanii. Zamiast silnego part-nerstwa sugerowano raczej, że to RG jest prawdziwą siłą sprawczą rosnącego poparcia.

Serię artykułów rozpoczął Charlie historią o tym, jak Wye zaakceptował całość postulatów oraz inicjatyw RG w dziedzi-nie polityki zdrowotnej. Cytował wypowiedź anonimowego źródła, że „kwestie opieki zdrowotnej nigdy nie należały do jego [Wye'a] najmocniejszych stron. Z chęcią dowiaduje się wszyst-kiego od Gary'ego i z pewnością w programie wyborczym

będzie się trzymać jego wskazówek". Ten fragment mnie zszokował, ponieważ już go kiedyś czytałam - w e-mailu wysłanym do mnie przez Susan Lambert, doradczynię do spraw zdrowotnych Grega Saxerta, senatora z rodzimego stanu Wye'a, Luizjany. Wcześniej, po mojej pierwszej rozmowie z Wye'em w samolocie, wysłałam do niej zapytanie o doświadczenia i stanowisko Wye'a w kwestiach opieki zdrowotnej. Pracowałam dawniej z Susan nad różnymi ustawami i pozostawałyśmy w przyjacielskich stosunkach. Dostarczyła wielu informacji o Wye'u. Wiedziałam, że szef Susan jest zazdrosny o gubernatora, ale ona sama była bardzo bystra i ufałam jej ocenie.

Czy Susan wysłała ten e-mail do kogoś jeszcze? A może słusznie podejrzewałam Charliego o czytanie moich wiadomości? Choć Charlie na stałe towarzyszył RG, spotykaliśmy się tylko sporadycznie, bo zawsze jechał w autokarze dla prasy i oboje byliśmy wyjątkowo zajęci. W dodatku tydzień po przygodzie w szpitalu widziałam, jak spaceruje pod rękę z Veronica przed hotelem w Carson City. Uznałam to za irytujące. Choć skutecznie stłumiłam wszelkie wywołane przez ZWJ urojenia na temat uczuć do Charliego, to miałam nadzieję, że uświadomił sobie, iż zasługuje na coś więcej niż Veronica. Mdlilo mnie, gdy patrzyłam na nią, jak pochyła się ku Charliemu w konspiratorski i władczy sposób.

Rankiem po ukazaniu się artykułu rozważałam, co powinnam zrobić. Z jednej strony tekst był pochlebny dla RG i trafnie opisywał jego znaczny wpływ na pewne dziedziny polityki - zwłaszcza zdrowotnej, ekologicznej i zagranicznej. Z drugiej strony mógł zaszkodzić Gary'emu i całej kampanii poprzez wywołanie tarć między RG a Wye'm, co było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy.

Wye pozornie potraktował całe zajście jako przezabawny żart. Czekając przed spotkaniem w Milwaukee, on i RG rozmawiali i podjadali warzywa z tacy, gdy Wye powiedział na tyle głośno, by usłyszeli stojący w pobliżu pracownicy:

- Chyba wezmę czerwoną papryczkę. Ale tylko, jeśli lubisz papryczki, Robercie. Popierasz papryczki? Czekam na twoją zgodę.

Obaj zachichotali. Dla wyćwiczonego ucha ich śmiech brzmiał jakby trochę wymuszenie, ale był to bohaterski wysiłek. Bob i ja rozmawialiśmy właśnie, gdy go usłyszeliśmy.

- Mamy kłopoty - wymruczał Bob i wszedł do sali, by zainterweniować.

Obserwowałam go, czując przypływ dumy, że jest taki świetny w swoim zawodzie. Wiedziałam, iż nie stanowimy idealnie dobranej pary, ale obecność Boba na scenie dodawała osobistego dreszczyku do tego, co już stanowiło niezwykłą przygodę. Bob był grubą rybą w kampanii, specjalistą szanowanym ze względu na doświadczenie i błyskotliwość. I spotykał się ze mną. Nie chciałam wyjść na płytką dziewczynę, ale uważałam to za ekscytujące.

Słuchałam przez chwilę, jak Bob przyłącza się do żartów, a potem kieruje rozmowę na inny temat. Następnie poszukałam Charliego. Po ominięciu przeszkód takich jak taśmy odgradzające i szpony agentów Secret Service dotarłam na tyły budynku, gdzie często zbierali się dziennikarze. Ale zanim minęłam drzwi, drogę przeciął mi Aaron.

- Sammy - powiedział z naciskiem, kładąc silną dłoń na moim ramieniu.

Nie cofnęłam się, ale też się nie ugięłam. Wytężyłam wolę, by zachować spokój.

- Witaj, Aaronie - odparłam. - Czego chcesz?

Uśmiechnął się lekko urażony, najwyraźniej nieświadom, że nie wydawał mi się już wcale przystojny, jedynie niegodny zaufania.

- Cóż, chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi - powiedział. - Chodzi mi o to, że będziemy często na siebie wpadać. A oboje jesteśmy dorośli...

- Jesteśmy? - przerwałam mu ostro.

Zastanawiałam się, czy nie pociągnąć go do odpowiedzialności za krzywdzące wypowiedzi „anonimowego źródła”, za które, jak wiedziałam, był odpowiedzialny. Chciałam narzucić na niego za wszystkie popełnione zdrady, ale postanowiłam tego nie robić. Nie dam mu satysfakcji z faktu, że nadal obchodzi mnie na tyle, bym czuła wściekłość.

- Tak, jasne, Aaronie, oboje jesteście dorośli. Wszystko w porządku. Lepiej się czujesz?

- Właściwie, Sammy, jest parę spraw, które chciałbym...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Rzucił mi przeprasające spojrzenie, szperając w kieszeni.

- Przepraszam, zaczekaj sekundę. Aaron Driver - powiedział do słuchawki.

Na jego twarzy pojawił się wyraz wyjątkowej irytacji.

- Nie, nie jestem zainteresowany waszymi nowymi taryfami zamiejscowymi. Powtarzam po raz setny, proszę przestać dzwonić na ten numer! - zakrzyknął, z trzaskiem zamykając aparat.

Patrzyłam, jak próbuje odzyskać spokój.

- Telemarketer? - spytałam niewinnie.

- Nie przestają dzwonić! - odparł Aaron. - Nie wiem, skąd mają mój numer. Przez ostatnie trzy tygodnie całkowicie zapchali mi pocztę głosową głupimi reklamami. Nikt inny nie może się nagrać!

- Rany, to rzeczywiście okropne - powiedziałam z cichą satysfakcją.

Muszę później podziękować Zeldzie.

- Przepraszam. Nie chciałem się tak zdenerwować, ale jestem po prostu niewyspany - wyjaśnił Aaron, usprawiedliwiając swój poprzedni ton. - Z jakiegoś powodu ciągle dostaję pokoje obok głośnych agregatów, maszyn do lodu, placów budowy lub czegośkolwiek przeszkadzającego.

I muszę podziękować Karze. Przyjaciółki się postarały.

- Ale dość już o mnie - ciągnął Aaron znacznie łagodniejszym tonem. - Chciałem po prostu, żebyś wiedziała, że nadal się o ciebie troszczę. Mam nadzieję, że będziemy się dogadywać.

- Tak, jasne - odparłam obojętnie. - Teraz wiem, jaki jesteś, więc uniknę przykrych niespodzianek. Mogę być pewna, że będziesz kłamał, oszukiwał i puszczał paskudne wypowiedzi do prasy. A ty możesz być pewien, że nie mam już na to czasu. Muszę lecieć.

Zostawiłam Aarona z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Cieszyłam się, że nie zdołał mnie zdenerwować. Pchnęłam drzwi i wyszłam na słońce, po czym rozejrzałam się za Charliem i wkrótce dojrzałam go spacerującego i rozmawiającego przez telefon. To spacerowanie nie wydawało się niespokojne, raczej medytacyjne. Poddałam się hipnotyzującemu rytmowi kroków, dopóki Charlie nie skończył i nie skierował się w moją stronę. Podeszłam do niego przez słoneczny blask.

- Hej - powiedział łagodnie.

Oslonił oczy od słońca. Czy zawsze był tak wysoki, czy to cień stwarzał tę iluzję?

- Jak się czujesz?

- Och, świetnie - odparłam lekceważąco. - Słuchaj, czy ten cytat w artykule zaczerpnąłeś z wiadomości na moim BlackBerry?

- Nie - odparł bez wahania.

Odpowiedź nie była zbyt pospieszna czy obronna, lecz prosta i bezpośrednia. I natychmiast mu uwierzyłam. Przyszło mi do głowy, że obiektywnie rzecz biorąc, nie powinnam tak robić, ale nie mogłam nic na to poradzić. Charlie promieniował po prostu czymś czystym, czego nie dało się zignorować.

- Okay - powiedziałam zgodnie. - A powiesz mi, skąd go wzięłeś?

Charlie spoglądał na mnie przez chwilę.

- Chciałbym - odparł poważnie. - Ale nie mogę zdradzać swoich źródeł.

Tak, zawsze słyszałam coś w tym stylu. No dalej, nawet mnie nie powiesz? Choćby po to, by całkowicie wyeliminować wszelkie podejrzenia, które mogą się jeszcze kryć gdzieś w mojej podświadomości? Proszę?

Wyglądał na dość zdecydowanego.

- A gdybym spróbowała zgadnąć? Mógłbyś kiwać głową na tak lub nie?

Uśmiechnął się.

- Obawiam się, że nie - odparł. - Ale przyrzekam, że nie wziętem tej wypowiedzi z twojego BlackBerry. Mówiłem ci już, nie czytałem na nim żadnych wiadomości. Ale brakuje mi go i jego cytrusowego zapachu. To najbardziej zbliżona do świeżych owoców rzecz, jaką zdarzyło mi się dostać od tygodni.

Spojrzałam na niego szybko w poszukiwaniu klasycznych oznak szkorbutu. Wiele osób nie zdawało sobie sprawy, że nadal można na to zachorować. W ciągu minionych dwóch lat cztery czy pięć razy podejrzewałam nawet szkorbut u siebie. Ale Charlie wyglądał na całkiem zdrowego.

- W porządku - ciągnęłam. - Chyba ci uwierzę, niezależnie od tego, czy masz szkorbut czy nie.

- Doceniam to - odpowiedział.

Jeszcze przez chwilę patrzyłam mu w oczy, dopóki brzęczące BlackBerry nie odwróciło mojej uwagi.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@we-gary.com]

Od: Bob Espin [bepin@kstreetgroup.com]

Temat: znowu w szpitalu?

czy wciąż masz wrażliwe jelito? zdobyłem sześciopak najlepszego piwa w milwaukee. zgłoś się natychmiast po przydział, dziś zalewamy robaka.

Uśmiechnęłam się i spojrzałam na obserwującego mnie Charliego.

- Dobra wiadomość? - spytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Ujdzie.

Nadał na mnie patrzył.

- Muszę wracać - powiedziałam, wskazując drzwi prowadzące na zaplecze.

- W porządku. Do zobaczenia - odparł.

Jakaś część mnie chciała, by wyciągnął rękę i ponownie dotknął mojego czoła, ale tego nie zrobił. Odchodząc, postanowiłam jeść więcej pomarańczy. Nagle zapragnęłam pachnieć jak one.

Przetrwać rozgrywki

Trzydzieści sześć stanów i cztery tygodnie po moim pobycie w szpitalu kampania dotarła do Miami na krajową konwencję wyborczą. Jeden z dużych sondaży wskazywał, że zespół Wye-Gary nieznacznie wyprzedza przeciwników, a inny twierdził, że jest tuż za nimi. Wydawało się bezpiecznym założeniem, że nadal możemy wygrać.

Gubernator Brancy wybrał jako kandydata na wiceprezydenta senatora Blake'a Wallocka z Południowej Dakoty. Wallock odsłużył w senacie piętnaście lat i miał wizerunek siwowłosego kompetentnego weterana. Do tej pory on i Brancy skutecznie prezentowali odnowione oblicze swojej zdyskredytowanej partii. Obecna administracja wściekała się na nich za ten dystans i w rezultacie skąpiła poparcia, co bardzo odpowiadało Brancy'emu i Wallockowi. Gdy obserwowałam start ich platformy, martwiłam się, że ekipa Pile'a może w nadchodzących miesiącach zrobić coś okropnego, choćby tylko z wściekłości, że tak mało się liczą. Kraj nie wydawał się bezpieczny w ich rękach. Ale nie było czasu na zmartwienia. Mogliśmy jedynie pędzić ku przyszłości tak szybko, jak ona toczyła się ku nam.

Nasz pobyt na konwencji był krótki i zadyszany. Przyjechaliśmy na kilka godzin przed wyznaczoną porą przemówienia RG. Minione dni spędziłam na poprawianiu fragmentu dotyczącego inicjatyw w dziedzinie opieki zdrowotnej dla „nowej Ameryki”. Potrójnie sprawdzałam wszystkie dane i upewniałam się, że poglądy zostaną wyjaśnione zrozumiale

i potoczyście. Na szczęście RG wiedział, jak zachować równowagę między ogólną wizją a szczegółami. Gdybym zaczęła pisać przemówienie od zera, obawiam się, że powstałoby słabe i nudne dzieło. Jednak pracując nad z góry wytyczonymi zarysami, czułam się znacznie pewniej co do mojego wkładu.

RG i ja przeglądaliśmy właśnie w hotelowym pokoju moje minimalne poprawki, a Jenny przysłuchiwała się i rzucała własne sugestie, gdy wszedł Joe Noon.

- Ekipa Wye'a chciałaby przed wieczorem zerknąć na waszą ostateczną wersję - oświadczył. - Dopracowują jego przemówienie i nie chcą, żeby zbyt wiele się powtarzało.

RG skinął głową.

- Dobrze, dobrze - powiedział.

Pozostał skupiony na obecnym zadaniu niczym laser.

- Czy jest kopia, którą mógłbym dać im teraz? - spytał Joe.

RG wskazał tę na stole.

- Nie jest ostateczna, ale bliska - wyjaśnił.

Patrzyłam, jak Joe bierze kopię i idzie do drzwi. Gdy je otworzył i obrócił się, by powiedzieć coś jeszcze do RG, dostrzegłam czekającego na korytarzu Aarona. Nasze oczy spotkały się, więc celowo skierowałam wzrok na notatki na moich kolanach.

Aaron i ja ciągle wpadaliśmy na siebie, ale ze wszystkich sił starałam się unikać bezpośredniej interakcji. Niedawno wysiadłam z windy na złym piętrze i widziałam, jak wolontariuszka o imieniu Laurie opuszczała nad ranem jego pokój. Nie zauważyli mnie, całując się na pożegnanie. Wróciłam do windy i modliłam się do Boga Szybko Zamykających się Drzwi, by mi pomógł. Na szczęście to zrobił.

Z okna pokoju widziałam też Aarona z Darlene palących papierosy przed hotelem w Cedar Rapids w Iowa. I byłam pewna, że ma też inne znajome. Od czasu do czasu czułam pokusę, by sprawdzić nagrania na jego poczcie głosowej,

ale zdołałam się powstrzymać. Wiedziałam, że tak naprawdę mnie to nie obchodzi. Minęło już dość czasu. Po prostu nadal byłam zszokowana moją całkowitą pomyłką co do niego. Nawet teraz na jego widok krzywiłam się i potrząsałam głową.

Gdy Joe Noon wyszedł, wróciliśmy z RG do pracy nad tekstem. Nie zgodził się na wszystkie proponowane poprawki, ale wydawał się zadowolony z mojego wkładu. Widziałam, że denerwuje się przed przemówieniem, bo wyliczał rzeczy na palcach. Ten gest oznaczał u niego niepokój. Jenny masowała mu ramiona, proponując poprawki stylistyczne w końcowym akapicie. Wiedziałam, że niedługo Bob przyjdzie przejrzeć przemówienie i poczynić ostatnie sugestie, więc zaczęłam się zbierać. Czy powinnam powiedzieć RG coś dodającego otuchy? Czy zobaczę go jeszcze przed wystąpieniem? Nie miałam pewności.

- Powodzenia, sir. Na pewno będzie pan inspirujący - powiedziałam.

Spojrzał na mnie, ale nie uśmiechnął się. Za to Jenny tak, co doceniłam.

- Dzięki - odparł RG. - Wykonałaś świetną robotę.

To wystarczyło, by dodać mi skrzydeł. Skierowałam się do drzwi.

- Aha, Samantho - rzucił.

Obróciłam się z pytającym spojrzeniem. Czy było jeszcze coś do omówienia?

- Tak, sir?

- Dobrze, że rzuciłaś tego faceta od przemówień. Nie zasługiwał na ciebie.

Po czym ponownie skierował wzrok na dokumenty, a w tej samej chwili otworzył drzwi Bob, więc nie miałam okazji odpowiedzieć. Bob, przechodząc, dyskretnie ścisnął moją dłoń, a ja znalazłam się na korytarzu, rozmyślając nad spozstrzegawczością RG. Aaron i ja zerwaliśmy ponad osiem mie-

sięcy temu i nawet gdy chodziliśmy ze sobą, RG nigdy nie zdradził w jakikolwiek sposób, że zwraca uwagę na moje życie osobiste. A jednak w jednym z najważniejszych dni w swojej politycznej karierze, gdy był całkowicie skupiony na przemówieniu, które miał wygłosić w godzinach największej oglądalności do dziesiątków milionów Amerykanów, zauważył, że spojrzałam na Aarona i poczułam się niemiło. I zrobił coś z tym. W tej chwili byłam pewna, że mogę pracować dla niego do końca życia.

Później tego wieczoru siedziałam w poczekalni za kulisami z Markiem i Moną, oglądając RG wygłaszającego przemówienie. Śledziliśmy tekst na skserowanych kopiach. Musiałam przypominać sobie, by oddychać. W ciągu minionych miesięcy przyzwyczaiałam się, że RG zwracał się bez przygotowania do nieformalnej publiczności wymachującej transparentami własnej roboty, i dziwnie było widzieć zorganizowany, jednolity tłum na konwencji wyborczej klaszczący w skoordynowany sposób. Ale pomimo nieuchronnego wrażenia, że wszystko toczy się według scenariusza, czułam, jak RG nawiązuje kontakt z widownią, tą na ogromnej sali i poza nią. Słyszając jego słowa odbijające się echem po pomieszczeniu, a jednocześnie transmitowane na ekranie telewizora przed nami, wyobraziłam sobie wszystkich ludzi w kraju przysłuchających się w tej chwili przemówieniu. Poczułam przypływ dumy. Zasłiśmy tak daleko.

RG jak zwykle zakończył z mocą. Odetchnęłam z niejaką ulgą, gdy zobaczyłam balony i konfetti sypiące się na Gary'ego, Jenny i chłopców machających energicznie do wiwatującego tłumu.

Kolejnego wieczoru znowu znalazłam się za sceną, czekając na gubernatora Wye'a, który miał wygłosić przemówienie i przyjąć oficjalną nominację partii. Trzymałam się na dystans od pomieszczenia, gdzie Aaron informował o ostatnich poprawkach obsługę odpowiedzialną za telepromptery. RG

i Jenny znajdowali się w poczekalni obok. Mieli tam obejrzyć przemówienie, a potem dołączyć do Wye'a na scenie. Kara przebiegła w pobliżu, przyjaźnie machając mi dłonią. Przygotowywała jakieś spotkania delegatów, a wieczorem wyruszyła, by zorganizować nasz objazd po Południowej Karolinie. Od czasu do czasu, mniej więcej raz na tydzień, udawało nam się porozmawiać, byliśmy też w ciągłym kontakcie mailowym. Gdy Kara dołączyła do kampanii, wreszcie otrzymała BlackBerry. Jak się okazało, jej obecność, zarówno fizyczna, jak i w cyberprzestrzeni, pomagała mi zachować koncentrację i poczucie kontroli.

Gubernator Wye wychylił głowę ze swojej poczekalni i zawołał, by przynieść mu dietetyczny napój gazowany. Patrzył na mnie, gdy wykrzykiwał zamówienie, ale nie ruszyłam się, by je zrealizować. Ta reakcja nieco mnie zaskoczyła, lecz przynoszenie napoi po prostu nie należało do moich zadań. Wye zniknął w pomieszczeniu, a różni pomocnicy popędzili z zapasami płynów. Czy wkroczyłabym do akcji, gdyby to RG zażądał oranżady? Wątpiłam, by postąpił w ten sposób.

Kilka minut później z poczekalni Wye'a wyłonił się Bob, wyglądając na nieco zestresowanego. Gdy mnie zobaczył, mrugnął i pospieszył dalej korytarzem. Nie przypuszczałam, że coś jest nie tak, jedynie że napięcie przed przemówieniem stało się nieprzyjemne.

Wkrótce potem Fiona Wye zapowiedziała męża i pocałowała go, gdy wszedł na podium. Obserwowałam to z pewnej odległości, skąd mogłam widzieć plecy Wye'a i jego twarz na ogromnym ekranie ustawionym w sali. Tłum dopiero po dziesięciu minutach przycichł na tyle, aby gubernator mógł przemówić, co było absurdalnie długim czasem. Gdy rozpoczęła, usłyszałam jakieś zamieszanie w kontrolce. Obserwowałam twarz Wye'a na ekranie. Przez chwilę wyglądał na zdenerwowanego, zanim odzyskał panowanie nad sobą. Co się działo? Wye wygłosił kilka początkowych linijek tekstu, moc-

no gestykulując. I nagle to zobaczyłam. Telepromptery były puste, choć na przezroczystych tablicach powinny się przesuwają słowa widoczne tylko dla Wye'a. Monitor tuż naprzeciwko niego również stał ciemny. Wye nie miał tekstu przemówienia. A występował na żywo w krajowej telewizji.

Pobiegłam do kontrolki, gdzie Aaron krzyczał na pracowników, którzy gorączkowo stukali w klawiatury. Nikt chyba nie wiedział, na czym polega problem. Nikt nie umiał go naprawić. Czy to po prostu krótkie spięcie? Czy nie mieli zapasowego generatora lub czegoś podobnego? Chwila wydawała się zbyt ważna, żeby był to zwykły przypadek, ale widziałam już, jak ważne rzeczy nie udawały się w najgorszych momentach.

Czułam się bezradna i niepotrzebna, więc wróciłam do telewizora, by sprawdzić, jak Wye radzi sobie z sytuacją. Dzięki Bogu, miał kopię przemówienia na podium i wydawało się, że albo zna większą część na pamięć, albo niezłe improwizuje. Tłum dobrze reagował na jego słowa i zdawał się nie zauważać, że cokolwiek jest nie tak.

Wye przemawiał w ten sposób przez pięćdziesiąt dwie minuty. Zmaltretowani pracownicy w kontrolce nie zdołali przywrócić tekstu przemówienia na ekrany. Gdy Wye skończył, Aaron stanął obok mnie.

- To była katastrofa - powiedział gorzko.

Spojrzałam na niego zaskoczona. W moim przekonaniu Wye świetnie się spisał. Powiedziałam to Aaronowi możliwie lekceważącym tonem.

- Dlaczego tak uważasz? - dodałam.

Choć chciałam po prostu go splawić, zdołał mnie zaintrygować.

- Czytałaś przemówienie, które miał wygłosić? - spytał.
- Było niesamowite. Zapomniał najbardziej błyskotliwych fragmentów.

Czułam, że się dławię. Po tonie Aarona domyśliłam się, iż owe „najbardziej błyskotliwe fragmenty” odnosiły się do

tego, co właśnie on napisał. Jego opinia o sobie samym przyprawiała o mdłości. Nie potrafiłam w porę ugryźć się w język.

- Masz na myśli materiał, nad którym pracowałeś? - spytałam.

Najwyraźniej przyjął z ulgą, że ktoś to rozumie.

- Harowałam nad tym przemówieniem jak niewolnik. Było niesamowite - oświadczył.

Pokręciłam głową ze wstrętem.

- Powinieneś przynajmniej udawać, że nie myślisz wyłącznie o sobie - poradziłam.

Spojrzał na mnie zaskoczony, a potem jego twarz przybrała mściwy wyraz.

- I kto to mówi! Jaki jest Bob Espin w łóżku? - wysyczał. - Warty prestiżu i większej pensji?

Odeszłam, by nie musieć użyć gazu pieprzowego. I nagle uświadomiłam sobie, że jestem całkowicie wyczerpana. Z powodu kampanii, użerania się z Aaronem i stresu związanego z koniecznością ograniczenia stresu. Nie chciałam skończyć w szpitalu. Potrzebowałam odpoczynku. Więc gdy wszyscy wokół mnie zaczęli rozchodzić się na różne imprezy, złapałam kurs do hotelu.

Po drodze zadzwoniła Liza, by powiedzieć mi, że w telewizji wszystko wyglądało świetnie.

- Płaczesz? - spytałam.

Usłyszałam, że pociąga nosem.

- Scooter i ja zerwaliśmy - potwierdziła. - Ale nic mi nie jest.

- Co się stało? - spytałam.

- Sypiał z mistrzem cukiernictwa z restauracji - załkała.

Spotkałam tego mistrza cukiernictwa. Miał prawie dwa metry wzrostu i nazywał się Francois, co uznałam za imię stereotypowe, a jednocześnie zdradzieckie w wymowie. Au. Paskudna sprawa.

- Och, Lizo, tak mi przykro.

- Dzięki - wyjąkała.

- Przynajmniej nie sypiał z Sandrą - rzuciłam po chwili milczenia.

Sandra była zdzirowatą kierowniczką sali, o którą niepokoiła się Liza.

- Chyba tak - zgodziła się.

Współczułam jej. Ona i Scooter wytrwali razem całkiem długo, przynajmniej jak na Lizę. Postanowiłam posłać jej kosz ciasteczek, gdy tylko się rozłączymy. Do tego czasu zabawiałam ją opowieściami zza kulis. Przysięgła, że się nie zorientowała, żeby coś było nie tak z przemówieniem Wye'a, według niej całkiem dobrym. I wściekła się na zachowanie Aarona.

- Daj mi jego numer - zażądała.

Odmówiłam. Zelta już wystarczająco go dręczyła.

- Jest żaloszny - oznajmiła Liza, cedząc słowa.

To prawda. I przygnębiające było, że kiedykolwiek miałam z nim coś wspólnego. Naprawdę okazał się okropny. Ale postanowiłam już o tym nie rozmyślać. Stanęliśmy przed hotelem.

- Trzymasz się jakoś? - spytałam.

- Tak. - Westchnęła. - Przynajmniej Red Soxom dobrze idzie. Naprawdę sędzę, że w tym roku mogą wygrać.

- Aha.

- Zadzwoń do mnie jutro?

Zapewniłam, że tak.

Po konwencji poleciliśmy z Wye'm i jego ekipą do Nowego Jorku i objechaliśmy kilka miast na północy. Na pierwszym postoju w Champlain, na granicy Nowego Jorku i Kanady, oniemiałam, kiedy z przodu przy scenie dostrzegłam Alfreda Jackmana. Ubrany był elegancko, miał marynarkę i krawat i stał, podziwiając tłum dookoła oraz bawiąc się

liną, którą rozwieszono jako prowizoryczną barierę. Wye i RG nadal przebywali w poczekalni, więc miałam nieco czasu. Skierowałam się ku Jackmanowi.

- Samantha! - wykrzyknął z zadowoleniem.

Objęłam go i dyskretnie sprawdziłam źrenice. Wydawały się normalnej wielkości.

- Co pan tu robi? - spytałam.

Byliśmy daleko od Ohio.

- Och, przeprowadziłem się do Kanady! - oświadczył.

- Mieszkam tuż przy granicy - wyjaśnił, wskazując na coś za sobą.

- Co? - odparłam zaskoczona. - Naprawdę?

- O tak - odpowiedział. - Wszystko jest znacznie prostsze. Oszczędzam sporo na wszystkich potrzebnych lekach. Lipitor, nexium, marihu...

- Tak, jasne - przerwałam mu.

Czy reporterzy słuchali? Zawsze słuchali.

- To świetnie! - ciągnęłam, by szybko zmienić temat.

- Więc przyjechał pan specjalnie na to wydarzenie?

- Aha. - Skinął głową uszczęśliwiony. - Miałem nadzieję, że znowu cię zobaczę! I ubrałem się odpowiednio, żeby tym razem pasować do reszty.

To naprawdę słodkie z jego strony. O ile mogłam się zorientować, był czysty. Uśmiechnęłam się do niego. Wydawało się, że przyszedł sam. Czy ktoś się nim opiekował?

- Wygodnie panu stać? - spytałam z pewnym niepokojem.

- Mogę załatwić krzesło.

Poklepał mnie po dłoni.

- Nie martw się o mnie. Ale daj znać, czy mogę coś zrobić, żeby pomóc. Wiesz, na przykład osobiście powiedzieć wszystkim, jacy porządni ludzie z ciebie i twojego szefa.

Oj, wiedziałam. I tego się obawiałam. Zdawałam sobie sprawę, że nie miała to być groźba, ale tak zabrzmiały dla mnie słowa Alfreda. Cieszyłam się, że go widzę, lecz modli-

tam, by zbytnio się nie udzielał i pozostał z dala od kamer. Był zbyt otwarty i szczery, bym zachowała spokój. Może po prostu powinnam z nim zostać, by nadzorować sytuację.

Wymieniliśmy dane kontaktowe i obiecałam wysłać mu podpisaną nalepkę na zderzak. A potem patrzyliśmy, jak RG i Wye weszli na scenę przy ryku najnowszego przeboju towarzyszącego kampanii. Twarz Alfreda Jackmana rozjaśniła się, gdy wiwatował dziko z resztą tłumu. Obserwowałam jego pomarszczoną głowę podskakującą do rytmu i czułam, że poprawia mi się nastrój. Alfred Jackman oznaczał kłopoty, ale takie kłopoty, które wywoływały uśmiech na twarzy.

Czterdzieści pięć minut później wdrapałam się z powrotem do autokaru, czując radość i ulgę, że nie doszło do żadnych zajść. Przez resztę dnia zwalczałam chorobę lokomocyjną i kto wie, jakie jeszcze dolegliwości, sprawdzając ostatnie wypowiedzi Brancy'ego na temat opieki zdrowotnej i starając się przeanalizować jego stanowisko w przygotowaniu na zbliżającą się debatę. Przyjętą taktyką w takim procesie było krytykowanie konsekwencji politycznych posunięć oponenta. Na przykład: „Według chybionych planów Brancy'ego nieubezpieczona czteroosobowa rodzina utrzymująca się z minimalnych dochodów płaciłaby za opiekę medyczną w nagłych wypadkach dwa razy więcej niż rodzina zarabiająca ponad sto tysięcy dolarów rocznie”. I najlepiej ową nieubezpieczoną czteroosobową rodzinę wymienić z nazwiska. Dopóki trend się nie zmieni, gra toczyła się pod hasłem indywidualnych przykładów i osobistych odniesień. Zawsze uważałam takie sztuczki za tanie i populistyczne, dopóki sama nie spędziłam dłuższego czasu na rozmowach z nieubezpieczonymi czteroosobowymi rodzinami, które znalazły się w kłopotach. Teraz myślałam o tych ludziach i robiłam co w mojej mocy, by poprawić ich sytuację.

Wczesnym wieczorem zajechaliśmy do Madison Square Garden na ogromną zbiórkę pieniędzy. Kręciło się tam mnóstwo gwiazd, niestety brakowało Steve'a Martina. Nie byłam potrzebna, więc wcześniej udałam się do hotelu, skąd po raz pierwszy w ciągu dwóch tygodni zadzwoniłam do rodziców.

- Żyjesz! - wykrzyknął tata.

Mama podniosła drugą słuchawkę.

- Szukaliśmy na wszystkich kanałach, ale nie widzieliśmy cię w telewizji - poinformowała.

- Tak, reporterzy nie bardzo skupiają się na mnie - odparłam. - Całą energię poświęcają kampanii prezydenckiej, przy której pracuję.

- Wiedzą, że byłeś w szpitalu? To poruszająca historia o poświęceniu ze strony pracowników - zasugerowała poważnie mama. - Kampanie polityczne powinny mieć ludzkie oblicze, jeśli chcemy, by zaangażowali się w nie młodzi.

Mama prowadziła na uczelni wykłady o rozczarowaniu młodych Amerykanów światem polityki.

- Jak się czujesz? - spytał tata.

- Całkiem nieźle - odparłam uczciwie.

- Co ci podpowiada żołądek? - spytała mama, zanim dodała, że może powinna była ująć to inaczej.

Mój żołądek nadal był w dość delikatnym stanie. Ale wiedziałam, co miała na myśli. Czy sądziłam, że Wye i RG wygra? W pierwszym odruchu chciałam powiedzieć, że tak. Lecz czy rzeczywiście tak sądziłam? Uważałam, że zasługują na wygraną. I że mają spore szanse. Jednak naprawdę nie wiedziałam, co się wydarzy.

- Nie jestem pewna - wciąż są blisko - powiedziałam. - Ale mam nadzieję, że nam się uda.

Każda cząstka mnie żywiła taką nadzieję.

- A co tam u was? - ciągnęłam. - Coś nowego?

- Zdecydowaliśmy się jednak na internet - odparła mama.

- I magnetowid. Bez nich umykało nam za dużo wiadomości

0 przebiegu kampanii, a mnie przeszkadzało, że nie wiem, co się dzieje. Teraz jesteśmy ze wszystkim na bieżąco.

- Lubi czytać błogi - poinformował tata.

Ja też to lubiłam. I po cichu podejrzewałam, że byłabym świetną bloggerką, choć musiałabym przeboleć samą nazwę. Może mogłabym stworzyć nową. Po paru minutach zakończyłam rozmowę, obiecując częściej się kontaktować. Właśnie się położyłam, korzystając z cennej chwili odpoczynku, gdy w drzwiach stanął Bob.

- Mogę do ciebie dołączyć? - spytał.

Byłam zaskoczona, że nie jest na żadnej z imprez. Ale również zadowolona. Pomimo długiego dnia pracy wyglądał bardzo pociągająco. Wkrótce zwinęłam się w kłębek na jego kolanach, a on całował mnie po szyi i słuchał, jak opowiadam o swoim dniu. Zaśmiał się z mojego naśladowania Aarona i przyznał, że to kretyn. Masował moje dłonie, gdy mówiłam. Czułam, że Bob naprawdę lubi ze mną przebywać, ale zastanawiałam się, czy nie frustruje go, że nie posunęliśmy się daleko w sferze fizycznej. Zdecydowanie mnie pociągał - po prostu miejsce i pora nigdy nie były odpowiednie, żebyśmy zdecydowali się na ten krok.

Jakby na potwierdzenie, w chwili, gdy zaczęło się robić gorąco, usłyszeliśmy w drzwiach klucz mojej współlokatorki i oderwaliśmy się od siebie. A potem, kiedy udaliśmy się do pokoju Boba, by zacząć tam, gdzie skończyliśmy, otrzymał pilną wiadomość od Wye'a. Nasze położenie niemal mnie bawiło. Spotykałam się z trzydziestodwuletnim, a był to najbardziej platoniczny związek od czasów liceum. Zastanawiałam się, czy Boba też to śmieszy. Przynajmniej nadal się u mnie pokazywał.

Następnego ranka na jakiś czas rozdzieliliśmy się z Bobem i resztą grupy Wye'a, by udać się na solowy wypad do Południowej Karoliny. RG nadal utrzymywał szaleńcze tempo. Jedynym problemem było to, że tracił głos, przez co uzależnił

się od pastylek na kaszel. Zaczęłam się martwić o stan jego układu trawiennego, ale postanowiłam trzymać buzię na kłódce. Na szczęście Jenny dołączyła do nas w Columbia na wizytę na stanowym festynie i przejęła kontrolę nad sytuacją.

Gdy zjawiliśmy się na placu targowym, moje BlackBerry zapiszczało, by poinformować mnie, że minęło już siedemnaście lat od chwili, gdy nauczyłam się na pamięć *The Lorax* Dr. Seussa. Wysiedliśmy z samochodów, by RG zrobił obchód, a w moich myślach powtarzało się ciągle „I am the Lorax, I speak for the trees”.

Na targach było mnóstwo farmerów i turystów, a wszyscy zjawili się, by uczcić „kwitnący przemysł spożywczy i rolniczy Południowej Karoliny”. Gdy lawirowaliśmy w tłumie, Gary przyciągał uwagę w różnym stopniu. Wielu ludzi przybiegało w nadziei na uścisk dłoni lub autograf. Z tej grupy tylko nieliczni brali RG za kogoś innego, najbardziej spodobała mi się pomyłka „facet, który gościnnie występował w «Seinfeldzie»”. Pozostali zachowywali się spokojniej - machali dłońmi lub kiwali głowami, co sugerowało, że wiedzieli, kim jest RG, ale nie uważali go za ważniejszego od innych osób. Takie zachowanie z reguły świadczyło o odmiennych poglądach politycznych lub wysokim mniemaniu o sobie. Zdarzali się też tacy, co pokazywali Gary'ego palcami, ale nie inicjowali bezpośredniego kontaktu, jakby był zwierzęciem w zoo, które można obserwować i komentować jego zachowanie, ale nie należy się zbliżać, bo istota z innego gatunku nie mogła ich przecież zrozumieć. Istniała też podgrupa wśród zwiedzających zoo - ci, którzy się gapili, ale nie mieli pojęcia na co. Wiedzieli, że RG jest kimś ważnym, i dlatego się w niego wpatrywali, lecz bez najmniejszego błysku rozpoznania w oczach. I byli też nieliczni ludzie, którzy zdawali się go w ogóle nie zauważać - zbyt zajęci lub za mało zain-

teresowani, by zwolnić kroku i spojrzeć w odpowiednim kierunku.

Przypatrywałam się tym różnorodnym reakcjom, gdy spacerowaliśmy w palącym skórę słońcu przez labirynt stoisk z produktami rolnymi i wyglądających na niebezpieczne karuzel. RG uśmiechał się niewymuszenie i udzielał szybkich odpowiedzi, niezależnie od tego, z czym miał do czynienia. A zdarzały się najróżniejsze sytuacje. Olbrzymia kobieta w średnim wieku w kombinezonie w kratę poprosiła go, by pocałował jej świnkę na szczęście. Siedmiolatek podbiegł, by pokazać swoje bicepsy. Chuderlawy beżpański pies próbował kopulować z jego nogą. Podstarzały robotnik z jakiejś farmy spytał, co sądzi o premierze Wielkiej Brytanii. Młoda matka chwaliła go za poparcie dla ustawy o urlopach macierzyńskich. Młody ojciec poprosił, by RG zatrzymał na pamiętkę łożysko jego dziecka. Sprzedawca waty cukrowej pytał, czy jeśli on i Wye zostaną wybrani, każą zainstalować w Białym Domu maszynę do waty cukrowej.

RG rozmawiał z każdym tak, jakby pytanie lub prośba tej osoby była dla niego najważniejszą kwestią. Ten talent imponował mi i wprawiał w zakłopotanie. Miałam pewność, że nigdy nie będę w stanie wykazywać tak niezachwianej tolerancji. Wytrwałość Gary'ego mnie zdumiewała. Pomagała także zrozumieć, dlaczego czasem miał niewiele cierpliwości dla pracowników - zapasy wyczerpywały się podczas kontaktów z wyborcami i kolegami z pracy. W końcu nikt nie dysponował nieskończonymi zasobami łagodności.

Minęliśmy wystawę poświęconą Chubby'emu Checkerowi (Andrews w Południowej Karolinie było najwyraźniej rodzinnym miastem słynnego muzyka i popularyzatora twista) i stanowisko z „Ogromnymi Warzywami Wyglądającymi Jak Sławni Ludzie” (ostrożnie przechodząc obok wielkiej marchwi niezwykle podobnej do Roba Reinera), po czym wróciliśmy do czekających samochodów. Ogólnie rzecz biorąc,

była to bardzo udana wizyta na stanowym festynie. Mnóstwo dobrej prasy, minimalne otarcia.

Gdy ruszyliśmy w kierunku wybrzeża, Mark rozdał nieco ciasteczek, które przysłała mu rano Mona. Podczas gdy on dołączył do ekipy w autokarze, Mona stacjonowała w głównej siedzibie kampanii w Luizjanie, nadzorując nasz szalony terminarz. Pomimo nawału pracy co kilka dni posyłała coś Markowi i nieustannie rozmawiali przez telefon. Ja także starałam się utrzymywać regularne kontakty. Gdy RG został kandydatem na wiceprezydenta, Mona i Mark przełożyli datę ślubu na po wyborach i planowali teraz małą wakacyjną ceremonię. Nadal nie miałam pojęcia, czy zostanę zaproszona. Pocieszałam się smacznymi wypiekami Mony i obserwowałam, jak Jenny stara się podmienić cukrowe pastylki RG na krople na kaszel.

Przypuszczałam, że zanikający głos Gary'ego był skutkiem zbyt wielu wygłaszanych przemówień, ale nie mogłam wykluczyć zapalenia krtani lub infekcji oskrzeli. Zaraźliwe choroby to zupełnie co innego, gdy spędza się siedemnaście godzin dziennie albo w środku wielkich nieprzebadanych tłumów, albo w bardzo małych zamkniętych pomieszczeniach z tą samą grupą ludzi. Jeden wirus mógł powalić nas wszystkich. Wstrzymywałam oddech, gdy podchodziłam do RG, zwiększyłam racje witamin i bacznie się obserwowałam. Przynajmniej upowszechnił się mój nawyk noszenia przy sobie butelek z płynem dezynfekcyjnym do rąk i teraz wszyscy w autokarze tak robili. Nawet reporterzy przyłączyli się do akcji. Byłam dumna, że w krótkim czasie skutecznie rozpowszechniłam w ekipie zarazkową paranoję. Na pewno zmniejszyła to liczbę zachorowań.

Wysłałam do Mony maila, by poinformować ją, że ciastka były przepyszne. Z pozoru stanowiło to tylko miły gest, a nie kolejny krok w ramach nieustannego zabiegania o zaproszenie na wesele. W końcu byłam miłą osobą. Taką, którą zaprasza się na wesela, do diabła. Odpisała szybko.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@wye-gary.com]

Od: Mona Richmond [mlrichmond@wye-gary.com]

Temat: Re: a może jednak wyjdiesz za mnie?

Hej Sammy, cieszę się, że ciastka smakowały. Zgadnij, kogo widziałam wychodzącego z pensjonatu w Dzielnicy Francuskiej? Portera Daltona i Susan Lambert! Skandaliczne, nie? Byli taaa-acy wściekli, że zostali dostrzeżeni. Informuj mnie o całej auto-karowej zabawie, która mnie omija! Trzymaj się,

Mona

No, to rzeczywiście było skandaliczne. Rozejrzałam się za kimś, z kim mogłabym natychmiast podzielić się plotką. Niestety, wszyscy wyglądali na zajętych. Ich strata. Porter Dalton był menedżerem kampanii gubernatora Brancy'ego i głównym strategiem politycznym. Nie wiedziałam o nim wiele, poza tym, że miał ogromny wpływ na kampanię, żonę i dwoje dzieci. Susan Lambert była doradcą senatora Grega Saxerta do spraw zdrowotnych. Saxert i Wye pochodzili z Luizjany, należeli do tej samej partii i zwykle grali w tej samej drużynie - w opozycji do Brancy'ego i Portera Daltona.

To z Susan korespondowałam na temat stanowiska Wye'a w sprawach zdrowotnych - podejrzewałam, że właśnie wiadomość od niej Charlie przeczytał potajemnie na moim Black - Berry. Jeśli Susan sypiała z Porterem, mogłam się założyć, że ten znał jej poglądy na temat Saxerta i Wye'a. I na pewno bardzo go one interesowały, bo wykorzystałby wszystko, by wspomóc zespół Brancy'ego-Wallocka. Czy Susan była tego świadoma? Czy ją to obchodziło? A może ona też zdobywała informacje - kto wie?

Zastanawiałam się nad znaczeniem tych fascynujących wieści i ulżyło mi, ponieważ miałam dowód na to, że Charlie Lawton powiedział prawdę, jeśli chodzi o anonimowe źródło informacji do artykułu o wpływie RG na politykę Wye'a.

Najwyraźniej mógi uzyskać te wiadomości innymi drogami. Niestety, ekipa Brancy'ego natychmiast pochwyciła artykuł Charliego, by dowieść, że Wye pozwala się dominować i jest nieudolnym przywódcą. Sprawnie wykorzystali ten temat. Jeśli Wye nie potrafi rządzić własną ekipą, pytali, to jak ma rządzić krajem?

Na następnym przystanku odszukałam Charliego, który wysiadał właśnie z autokaru dla prasy.

- Hej - powiedział lekko.

Włosy na czole miał nieco przydługie, ale podobało mi się, jak opadały na czarne oprawki okularów. Czy stałam na tyle blisko, by poczuł zapach cytrusowego szamponu, który niedawno kupiłam?

- Hej - uśmiechnęłam się. - Zgadnij, co słyszałam?

Wyglądał na zaintrygowanego.

- Znajoma widziała Portera Daltona i Susan Lambert w motelu w Nowym Orleanie - ciągnęłam.

- Ha - odparł niewzruszenie.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Czy przez przypadek znasz może Susan Lambert? - spytałam.

- Tak, faktycznie - odparł. - Była w mojej grupie na Uniwersytecie Nowojorskim.

Aha! Powstrzymałam się od głośnego „ahania” i starałam dostosować do jego nonszalanckiej pozy.

- Och, to ciekawe - rzuciłam bez emocji.

RG skierował się na scenę.

- Lepiej przejdę do sekcji dla prasy - powiedział Charlie z uśmiechem. - Do zobaczenia.

Z poczuciem, że wyjaśniłam zagadkę, obserwowałam, jak Charlie udaje się na miejsce wśród dziennikarzy i wyciąga notes. Razem z pozostałymi śledził zapowiedź RG, ale obrócił się na chwilę i raz jeszcze popatrzył na mnie, a ja odwzajemniłam spojrzenie. Nie chciałam ciągle się w niego wpatrywać,

lecz ogarnął mnie obserwacyjny trans. Szybko zerknęłam na BlackBerry i pospiesznie odeszłam.

Po długim dniu spędzonym w obu Karolinach, który okazał się jeszcze bardziej stresujący przez wiadomości o zbliżającym się huraganie (w rezultacie przez większość czasu rozglądałam się dookoła i zastanawiałam, czy mijane tereny znajdują się w zasięgu kataklizmu - i czy go wyczuwały? Czy były przestraszone?), wsiedliśmy do samolotu i poleciliśmy do Madison w Wisconsin. Tam powitał nas gigantyczny wiec zarówno zwolenników, jak i przeciwników. Łasica Ronkina nadal pojawiała się regularnie w różnych miejscach, a gdy kampania nabierała tempa, dołączyło do niej mnóstwo innych agitatorów, w kostiumach i bez. Na tym etapie byłam już przyzwyczajona do ich obecności i pocieszałam się myślą, że wznoszone przez nich okrzyki zagłuszał znacznie bardziej przyjazny ryk tłumów.

Następnego dnia dołączyliśmy w Kalifornii do ekipy Wye'a na następny ogromny wiec i zbiórkę funduszy. Moje ciało już dawno temu przestało się przystosowywać do kolejnych stref czasowych. Wydawało się, że wiodę stymulowaną kofeiną i lekami egzystencję zombie.

Próbując uspokoić swoją zbuntowaną okrężnicę, zaczęłam stosować bardzo mdłą dietę, ale nie mogłam nic zjeść czy zrobić, by zrekompensować bezsenne noce i stresujące tempo. Czulałam się tak, jakbym nieustannie spadała. Przez wiele dni budziłam się niepewna, gdzie jestem. Wyglądałam przez hotelowe okno w poszukiwaniu wskazówek. Czy znajdowały się tu jakieś punkty orientacyjne? Przesłanki co do północnego bądź południowego klimatu? Wielokrotnie musiałam sprawdzać nagłówek w dostarczanej bezpłatnie przed drzwiami pokoju gazecie, by połapać się w lokalizacji. To wszystko było bardzo dezorientujące.

Miałam jednak całkowitą pewność, że nocujemy w San Francisco przed ponownym oddzieleniem się od konwoju

Wye'a i podróżą na wschodnie wybrzeże oraz powrotem okrężną drogą trzy dni później. Przepraszałam swój organizm, że wciąż serwuję mu środki stymulujące, ponieważ zanim mogłam się nieco przespać, musiałam przygotować mnóstwo raportów.

Właśnie po raz trzeci udawałam się do automatu z napojami i zastanawiałam się, czy nie warto kupić większej ilości naraz i przechowywać ich w pokoju (uznałam, że nie, ćwiczenie i zmiana scenerii dobrze mi robiły), gdy wpadłam na Charliego. Niósł całe mnóstwo napoi.

- Hej - powiedziała ciepło. - Ciebie też gonią terminy?

- Właściwie dziś wieczorem mam małą przerwę. Jutro przenoszę się do załogi Wye'a - odparł z uśmiechem.

Co? Naprawdę? Dlaczego się z tego cieszył?

- Czy to rodzaj awansu? - spytałam.

- Tak przypuszczam - wzruszył ramionami. - Lubię pisać o Garym. Ale zmiany też są dobre. Jest kilka tematów, którymi chciałbym się zająć.

Czułam się bardzo niepewnie. Próbowałam się jakoś pozbierać.

- Okay, cóż, powodzenia - powiedziała.

- Dzięki - odparł poważnie. - Jakies wskazówki na pożegnanie?

Namyślałam się gorączkowo. Nie jedź? Pewnie nie zadziała.

- Nie zapomnij o nas.

Uśmiechnął się do mnie.

- Nie martw się - powiedział.

- Pomóc ci z tym? - usłyszałam dochodzący z korytarza głos.

Obejrzałam się i zobaczyłam Veronicc wystawiającą głowę z hotelowego pokoju. Pokoju Charliego? Na to wyglądało.

- Hm, poradzę sobie - odparł Charlie.

Spojrzał na mnie nieco smutno. Szperałam w poszukiwaniu drobnych.

- Cóż, lepiej już pójść, zanim skończą się napoje - powiedziałam pogodnie.

Pospieszyłam korytarzem, czując się paskudnie i zastanawiając, czy jest jakaś szansa, że Charlie nadal patrzy w moją stronę.

Następnego ranka, gdy się pakowałam, wpadł Bob. Chciałam, żeby pokazał się poprzedniego wieczoru, ale tego nie zrobił. Krążyła plotka, że Wye był w złym humorze i po nocy wyładowywał się na wyższych rangą pracownikach.

- Całą noc byłem u Maksa - potwierdził z żalem Bob.

Nadal szokowało mnie, że mówił o Wye'u „Max”, ale taki mieli układ.

- Jakies problemy? - spytałam.

- Nic nadzwyczajnego - odparł Bob. - Prognozy nadal wyglądają dobrze. Wydaje mi się, że posuwamy się naprzód.

Był wrzesień. Musieliśmy posuwać się naprzód, jeśli chcieliśmy skończyć jako pierwsi. Zasunęłam torbę, usiadłam na łóżku i spojrzałam na niego.

- A ty jak się masz? - spytałam.

Wydawał się nieco zaskoczony moim poważnym tonem. Uśmiechnął się do mnie w taki sposób, jak zwykle, gdy nie zamierzał być poważny.

- Miałbym się lepiej, gdybyś zdjęła bluzkę - odparł.

Zignorowałam go.

- Jakies wieści od byłej żony? - ciągnęłam.

Dowiedziałam się o niej niedawno. Najwyraźniej pojawiała się i stwarzała problemy, gdy tylko usłyszała, że Bob spotyka się z kimś nowym. Przypuszczałam, że taka działalność musi ją bardzo angażować, ponieważ Bob zdawał się typem, który miewał w przeszłości liczne znajome.

- Ona też chciałaby, żebyś zdjęła bluzkę - odparł.

- Ha. Wyczuwam nadciągający konsensus.

Skinął głową uszczęśliwiony.

Zaczęłam się rozbierać, ale potem zrobiłam wielkie przedstawienie, że zatrzymuję się na widok zegarka.

- Nie mam czasu - powiedziałam, wygładzając bluzkę.
- Może gdybyś zjawił się nieco wcześniej...

Bob jęknął.

- Przeklęty Max i jego głupia kampania prezydencka - narzekał.

Uśmiechnęłam się.

- Kiedy znowu przetną się nasze drogi? - spytałam.

Byłam zbyt zmęczona, by przejrzeć najbliższy terminarz.

- Za dziesięć dni - odparł, przyciągając mnie na swoje kolana.

To wydawało się długo. Zwłaszcza gdy myślałam o Charliem. Bob pocałował mnie w szyję, a ja udawałam, że się smucę ze względu na niego.

- Wiesz, że pachniesz jak pomarańcze? - spytał.

Odepchnęłam go i wstałam.

- Muszę iść - powiedziałam w pośpiechu.

- Nie, zaczekaj, to był komplement - zaprotestował.

- Tak, wiem. Przykro mi. Po prostu nie chcę się spóźnić na autokar... - odparłam.

Podniosłam torby, pocałowałam go na pożegnanie i pospiesznie odeszłam. Potem wpadłam do autokaru i pogrążyłam się w pracy, przenosząc uwagę na tysiące codziennych obowiązków.

Kto to mógł wiedzieć?

W połowie września Charlie Lawton opublikował wstrząsający artykuł dowodzący, że gubernator Wye w niedawnych przemówieniach skopiował słowa mało znanego indyjskiego polityka. Charlie cytował wypowiedzi Tilaka Kumara, człowieka, który zasłynął głównie w południowej części Indii, a po nich niemal identyczne fragmenty z trzech przemówień Wye'a. Przeczytałam artykuł z sercem podchodzącym do gardła.

Dziesięć lat temu Tilak Kumar wezwał mieszkańców swojego rejonu do walki o poprawę warunków życia. Jego wypowiedzi na temat ludzkiej solidarności i potrzeby zaangażowania się w służbę publiczną były porywające. Jak się okazało, Wye próbował osiągnąć to samo w Ameryce, niestety, przemawiając niemal identycznymi słowami.

Charlie zamieścił oświadczenie Wye'a, że ten był „całkowicie nieświadomy podobieństwa i że z jego strony chodzi o niedopatrzanie”. Ale nic więcej.

Skończyłam czytać artykuł i ukryłam twarz w dłoniach. O Boże, co się teraz stanie? Czy to koniec nadziei? Czy wszystko, na co tak ciężko pracowaliśmy, zawali się na nas? Wiedziałam, że w przeszłości kampanie upadały z powodu mniejszych skandali.

Zanim zdołałam pogrążyć się w żałobie, BlackBerry i komórka zaczęły głośno domagać się uwagi. I tak było już przez cały dzień. Znaleźliśmy się w środku poważnego kryzysu. Fakt, że do wyborów pozostało ledwie sześć tygodni,

przyczyniał się do fali panicznych mdłości. Może nie starczyć nam czasu, by się odbić.

RG najwyraźniej został całkowicie zaskoczony, ale robił, co mógł, biorąc pod uwagę niejasne i niejednoznaczne okoliczności. Nie chował się przed prasą i odpowiadał na pytania ciągłymi zapewnieniami, że gubernator Wye jest uczciwym i honorowym człowiekiem, który równie mocno jak inni chce, by prawda wyszła na jaw.

A prawda ukazała się nieco później następnego dnia. Kolejny artykuł z pierwszej strony autorstwa Charliego Lawtona przedstawiał dalsze szczegóły afery. Charlie zidentyfikował Aarona Drivera jako głównego architekta podejrzanych przemówień i zasugerował, że gubernator Wye mógł mówić prawdę, gdy twierdził, że nie ma pojęcia o plagiacie. Zgodnie z artykułem było „dobrze wiadome, iż gubernator Wye nie interesuje się pisaniem własnych przemówień. Od dawna polega na ciągle zmieniającym się zespole ludzi, którzy nadają kształt jego wypowiedziom, podczas gdy on koncentruje się na ważniejszych sprawach”.

W moim przekonaniu nie stawiało to Wye'a w najlepszym świetle, ale przynajmniej sugerowało, że nie popełnił plagiatu, lecz, co ciekawe, że uczynił to Aaron. Ten ostatni udowodnił już swoją zdolność do niewiarygodnych politycznych oszustw, gdy zeszłej jesieni przekazywał do prasy owe oszczercze wypowiedzi, ale najnowszy cios powalił nawet jego. Zgodnie z artykułem, „Aaron Driver odmówił komentarza i zaangażował prawnika”.

Następnego dnia Aaron został oficjalnie zwolniony z kampanii i w rezultacie spadły na niego oskarżenia wszystkich, którzy wypowiadali się dla gazety. Tylko Wye złagodził ton, twierdząc, że jest raczej „zasmucony” niż rozgniewany. O zmroku przedstawiono oświadczenie Aarona przyjmującego na siebie całą odpowiedzialność. Potwierdziło ono, że Wye nie wiedział nic o „tym, co pan Driver określi! jako «zapożyczenie pewnych zwrotów»”.

By pogłębić upadek Aarona, „Post” opublikował informację o jego ogromnych długach hazardowych. Najwyraźniej Aaron był winien ponad siedemset tysięcy dolarów kasynom w Connecticut, New Jersey, Las Vegas i Nowym Orleanie. Zezłoszczony menedżer kasyna na łodzi skontaktował się z „Post”, gdy przeczytał o plagiacie, a dziennikarze szybko odkryli liczne dowody na to, co wyglądało na uzależnienie od hazardu. Według pracowników kasyna, którzy udzielili wywiadów, Aaron miał w zwyczaju chodzić na całonocne imprezy z alkoholem i „znaczną ilością kokainy”, jak doniósł jeden bardzo spostrzegawczy i bardzo głupi szef. Dobrowolne przyznanie w mediach, że w lokalu zażywano kokainę, nie było w moim przekonaniu najinteligentniejszym posunięciem.

Choć wszyscy byli zszokowani, czułam, że mam zarówno większe prawo, jak i mniejszą wymówkę, by się oburzać. Gdy się nad tym zastanawiałam, wiedziałam, że gdyby ktoś zapytał mnie, czy Aaron jest zdolny do takich czynów, odpowiedziałabym twierdząco. Przecież postępował jak hazardzista w sprawach uczuciowych. Obstawiał, że Dartene i ja nie dowiemy się o sobie nawzajem, obstawiał, że może zostać przyjęty do kampanii Wye'a nawet po tym, jak objechał RG w prasie, i obstawiał, że może „pożyczyć” czyjeś słowa i ujdzie mu to na sucho. Był hazardzistą w każdej dziedzinie życia, więc nic dziwnego, że z pieniędzmi postępował podobnie. Pociągały go łatwe wyjścia, niezależnie od ryzyka. A ja, nawet będąc nim zauroczona, od czasu do czasu odczuwałam palący lęk, że ukrywa jakieś przestępcze skłonności. Pamiętam, raz oczekiwałam wręcz, że przyzna się do jakiegoś strasznego czynu. Powiedział mi wtedy, że mnie kocha. Co, patrząc wstecz, samo w sobie było wielkim występkiem.

Pod wieloma względami było dla mnie zrozumiałe, że Aaron jako oszust na ogromną skalę okazał się winny nie tylko niewierności i politycznego wbijania noża w plecy. Jednak z drugiej strony zaskoczyło mnie, iż ktoś tak ambitny

jak on zachował się równie nieprzemyślanie. Wiedziałam o jego wielkich planach na przyszłość - czy sukces dał mu poczucie, że jest niezwykły? Czy Aaron zaczął myśleć, że sprzyja mu jakieś wyjątkowe niewyczerpane szczęście?

Choć uważałam, że zasługuje na wszystko, co go spotkało, zaczęłam się czuć odrobinę winna - jak bym, nienawidząc Aarona i życząc mu samych porażek, zdołała naprawdę sprowadzić wielkie nieszczęście. To on popełnił błędy, ale było dość niezwykle, że te najgorsze odbiły się na nim w tym samym momencie. Czy owa zbieżność miała coś wspólnego z moimi mentalnymi praktykami wudu? Czy posiadałam znacznie większą moc, niż sądziłam? Nadal pogardzałam Aaronem, ale również mu współczułam. Czy czeka go więzienie? A może tylko hańba?

W następnych dniach kampania dzielnie starała się znowu nabrać rozpędu. Bez dwóch zdań zadano jej poważny cios. Nic dziwnego, że zespół Brancy-Wallock wykorzystał w pełni niedawne rewelacje, a ich ataki oraz ujawniona prawda zbierały żniwo. Zanim ukazał się artykuł, prowadziliśmy pięćdziesiąt punktami. Teraz zostaliśmy w tyle o cztery.

Choć złościły mnie konsekwencje opublikowania artykułu, nie obwiniałam o nie Charliego. Zastanawiałam się, jak wpadł na właściwy trop, czy myślał o mnie, pisząc, i jakie to uczucie być autorem podobnego zamieszania. Żałowałam, że nie mogę go o to spytać, ale nawet gdy dołączyliśmy do konwoju Wye'a, stało się jasne, że lepiej nie kontaktować się z prasą. A zwłaszcza nie z Charliem Lawtonem. Zdecydowanie wyrobił sobie nazwisko.

Bob nie miał już czasu, by prosić mnie o striptiz, ponieważ starał się minimalizować straty i wyprowadzić Wye'a z pozycji obronnych do ofensywy. Pod kierownictwem Boba Wye zrobił wszystko, co możliwe, by oczyścić się z zarzutów, wyjaśnić, jak doszło do całej sytuacji, i udowodnić, że nigdy świadomie nie ukradł niczych słów. Jednak ludzie nie lubili

wysłuchiwać jego wielowarstwowych, złożonych wyjaśnień. Martwili się, że zostali oszukani - że nowy głos, któremu odważyli się zaufać, brzmiał zbyt dobrze, by być prawdziwym.

Mijały dni. Skandal nie przycichł, notowania nadal spadały, a my zaczęliśmy się bać, że znaleźliśmy się w pułapce, z której nie ma ucieczki. Ale nie mogliśmy sobie pozwolić na bezruch, nie mogliśmy się załamać! Po prostu nie było na to czasu! Czułam zbiorową panikę i narastającą frustrację. Wydawało się, że niewiele możemy zrobić, by temu przeciwdziałać.

Gdy wlokłam się po schodach w hotelu w Seattle, wpadłam na RG wracającego z sali gimnastycznej. Była piąta rano na początku października, a sprawy nadal wyglądały kiepsko. Spojrzałam na niego markotnie.

- Co teraz będzie? - spytałam żałośnie. - Czy odbijemy się od dna?

Spojrzał na mnie ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

- Postaramy się - powiedział energicznie.

I postarał się. Gdy nikt nie był pewien, czy można ufać Wye'owi, czy nie, RG wkroczył, by przywrócić wiarę. Narzucił sobie jeszcze bardziej szalone tempo, prowadził spotkanie po spotkaniu, przemawiał jasno i z mocą, bezpośrednio odpowiadając na kryzys zaufania u ludzi. Gorąco zapewniał, że jedynym błędem Wye'a było zatrudnienie osoby o wątpliwym charakterze. Oczywiście nie zaprzeczył fragmentom przemówień wychwalającym wzrost siły i świadomości społecznej, ponieważ w to właśnie wierzył Wye. Ponownie zwrócił uwagę na potrzebę powszechnego porozumienia i pokonania uprzedzeń, bo o tym mówiła jego kampania. Jedynym przestępstwem Wye'a była próba zachęcenia obywateli Ameryki do kształtowania przyszłości, na jaką zasługują. A to oczywiście czyniło z niego świetnego przywódcę.

Słuchałam RG i gorączkowo modliłam się do wszystkich rozmaitych bożków, by ludzie mu uwierzyli. Wystarczająco

wielu mnie wysłuchało. Gdy RG przedstawił swe stanowisko w eterze i na wiecach, notowania stopniowo wzrosły. W połowie października mieliśmy statystyczny remis.

Debaty w ostatnim miesiącu były ostre i osobiste. Gdy obserwowałam, jak Brancy i Wye roznoszą się na strzepy, obawiałam się, że wielu ludzi zniechęci sam ton ich wypowiedzi. Wzdrygałam się i miałam ochotę odwrócić wzrok. Jednak Wye, nawet pełen jadu, był zdecydowanie bardziej ujmujący. Zastanawiałam się, czy potrafię ocenić to obiektywnie i czy inni podzielają moją opinię. Z dwuosobowego pokoju w hotelu w Minneapolis przeprowadziłam małą ankietę.

- Prowadzicie - obstawała mama. - Polityka Wye'a jest bardziej postępową, a on dobrze ją sprzedaje. Brancy różni się od Pile'a, ale nie dość. Ludzie są zniechęceni tymi głupimi starymi pomysłami.

Uznałam spostrzeżenia mamy za uspokajające. I nieco brytyjskie.

- Krawat Wye'a podoba mi się znacznie bardziej - uznała Liza. - I jego ładna opalenizna.

Pozostawię jej kwestie mody. Choć z pewnością ich nie lekceważyłam. Mnóstwo ludzi podejmowało decyzje według, w moim przekonaniu, nieco szalonych kryteriów. Bob setki razy mówił mi, że wygląd znaczy więcej niż treść. Nie chciałam w to uwierzyć, ale i tak czułam się lepiej z myślą, że oba czynniki są po naszej stronie.

- I oczywiście zgadzam się z jego poglądami - dodała Liza. - Wye po prostu wygląda bardziej interesująco.

Zgodziłam się z nią. Charakterystyczne pochylenie się naprzód Wye'a sprawiało wrażenie ogromnej energii i rozpędu. W przeciwieństwie do niego Brancy wydawał się opamnowany i na pokaz zrelaksowany - jak osoba, która liczy, ile razy przeżuwa, nim przełknie. Robiła tak jedna z moich znajomych ze studiów - przeżuwała każdy kęs jedzenia do-

kładnie dwadzieścia pięć razy. Mogłam napisać pracę semestralną w czasie, który zajmowało jej zjedzenie porządnego posiłku.

- Uważam, że propozycja Wye'a, by wprowadzić ulgę podatkową dla rodziców płacących za studia dzieci, brzmi dobrze - poinformowała mnie Zelda, gdy sprawdzałam jej opinię. - Wye sprawia wrażenie, że mu zależy. Gdybym miała wybór, wołałabym się spotkać z nim, rozumiesz? Nie wiem, co powiedziałabym temu drugiemu.

Szanowałam opinię Zeldy we wszystkich sprawach związanych z marketingiem, więc jej analiza dodała mi nadziei.

- Upewnię się, że wszyscy tutaj pójdą na wybory - obiecała. - Wykonujesz dobrą robotę, byle tak dalej. I daj znać, jeśli będziesz jeszcze potrzebowała pomocy w dokonaniu zemsty. Dziewczynom naprawdę się spodobało nagabywanie tego osła Aarona. Nadało to nowe znaczenie naszej pracy. Więc powiedz tylko słowo - jesteśmy chętne pomóc w każdej chwili.

Podziękowałam i powiedziałam, że będę o tym pamiętać. Poprosiłabym też Zeldę, żeby do swoich zwykłych marketingowych kwestii dołączyła kilka słów za zespołem Wye-Gary, ale wiedziałam, że uznano by to za przestępstwo federalne. Zrobiła dla mnie już dość. Miałam tylko nadzieję, że specjaliści w naszej kampanii byli równie przekonujący jak Zelda w sprawie niższych taryf na rozmowy pozamiastowe.

Przez kilka minut oglądałam program po debacie. Jak zwykle zebrali w studio grupę niezdecydowanych wyborców, którzy mieli bezpośrednio informować o swych wrażeniach. Te ludzkie świnki morskie musiały nawet w trakcie oglądania debaty włączać przyciski, by zaznaczyć momenty, w których to, co mówiono, wywoływało ich pozytywną bądź negatywną reakcję.

Jednak pomimo wszystkich zaawansowanych technicznie metod członkowie grupy, których prowadzący program

określali jako „niezdecydowanych”, nie odczuwali większego przymusu, by się zdecydować. Większość oświadczyła, że nadal nie jest pewna. Co było z nimi nie tak? Czy żyli pod ziemią? Przecież Brancy i Wye różnili się jak ogień i woda. Uznałam tę niezdolność do podjęcia decyzji za niezwykle irytującą. I podejrzewałam, że jest to tylko sposób na przyciągnięcie uwagi, skoro „niezdecydowani” byli tak upragnionymi wskaźnikami demograficznymi. W moim przekonaniu nadużywali cierpliwości pozostałych.

Wiedziałam, że moje zniecierpliwienie wynika z wysokiego poziomu stresu i niepewności, w której żyłam i którą oddychałam przez ostatnie kilka tygodni. Brałam leki i próbowałam zachować spokój, ale czułam się przesycona różnymi toksynami. Pomimo nieustannego wyczerpania nie sypiałam dobrze, nawet gdy nadarzała się rzadka okazja, by nadrobić kilka godzin snu. Po prostu miałam za dużo zmartwień, za dużo do zrobienia, za dużo rzeczy znajdowało się całkowicie poza moją kontrolą.

W ostatnim tygodniu kampanii towarzyszyłam Jenny Gary do Pensylwanii, gdzie wygłosiła przemówienie na temat nadchodzących wyborów skierowane do grupy kobiet. Jenny poprosiła mnie, bym z nią pojechała, ponieważ chciała poruszyć kwestie opieki zdrowotnej, na które nadchodzące cztery lata mogły mieć wielki wpływ. Z radością dostarczyłam jej potrzebnych informacji na uzasadnienie przedstawionych tez, jak również zapewniałam moralne wsparcie.

Jenny stała się swobodniejsza wobec tłumów, a gdy przemawiała, czuło się jej naturalne ciepło. Dzięki uganianiu się za dwoma dwulatkami w środku kampanii prezydenckiej miała na podorędziu mnóstwo zabawnych anegdot, a tłumnie przybyła publiczność dobrze na nie reagowała.

Wracając do RG i pozostałych w Illinois, siedziałyśmy w samolocie obok siebie.

- Uważasz, że się udało? - spytała spokojnie Jenny.

Naprawdę tak sądziłam. W moim przekonaniu poszło świetnie. Powiedziałam jej o tym.

- To dobrze - stwierdziła zdecydowanie i zamknęła oczy.

Obserwowałam jej twarz, gdy odpoczywała. Czy martwiła się tak bardzo jak ja? Czy sądziła, że wygramy? Bob przesłał mi najnowsze wyniki sondaży, w których prowadziliśmy jednym punktem, z marginesem błędu wynoszącym cztery punkty. To zdecydowanie mnie nie uspokoiło. Jenny otworzyła oczy i zobaczyła, że się jej przyglądam. Ku mojemu zaskoczeniu ujęła mnie za rękę.

- Och, skarbie, wyglądasz na taką zdenerwowaną! - zawołała.

Naprawdę? Nie chciałam tego okazywać. Otworzyłam usta, by wytłumaczyć, że nie ma się czym przejmować, i przeraziłam się, bo nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa. Dobry Boże, czy w oczach zbierały mi się łzy? Moje emocje wymykały się spod kontroli. To bunt!

Próbowałam powstrzymać się od płaczu, bezskutecznie.

- Sammy, wszystko będzie dobrze. Niezależnie od tego, co się stanie - mówiła łagodnie Jenny.

Nie mogłam uwierzyć, że zmuszam ją do roli pocieszycielki. Co ze mnie za pracownik? To żalosne.

- Dzięki - jęknęłam. - Przepraszam. Nic mi nie jest - dodałam nieprzekonująco.

Zdołałam się uspokoić i odzyskać nad sobą kontrolę.

- Po prostu tak strasznie chcę, żeby wszystko się udało - próbowałam wytłumaczyć. - Stawka jest taka wysoka.

Jenny uśmiechnęła się do mnie.

- Dlatego Robert ma do ciebie słabość - powiedziała uspokajająco. - Naprawdę za bardzo się przejmujesz. I to jest w tobie cudowne. Wierzę, że wygramy, ponieważ większość ludzi w najważniejszych kwestiach zgadza się z Maxem i Robertem. Musimy wierzyć. Zostawmy smutek na następny tydzień.

Skinęłam głową. Jenny trzymała mnie za rękę przez resztę podchodzenia do lądowania i po raz pierwszy od bardzo dawna czułam się mniej udręczona.

Dzień wyborów rozpoczął się w różnym tempie w poszczególnych rejonach kraju. W Ohio, gdzie obserwowałam, jak RG i Jenny oddają głos, powitał mnie chłodny blask słońca przebijający przez wir opadających liści. Sprawdziłam w telewizji pogodę, by wczuć się w inne rytmy. Zawieje w Minnesocie, rześysty, gnany huraganem deszcz w Wirginii, nastrojowe mgły w południowej Kalifornii. W każdym z tych miejsc wyobrażałam sobie wyborców zdążających do urn. W co byli ubrani, ze względu na panującą modę i warunki pogodowe? Skoncentrowana śledziłam ich oczami duszy, dopóki nie oddali głosu na Wye'a i RG.

Przez większość dnia czułam się tak, jakbym unosiła się gdzieś w pobliżu swojego ciała, ale nie przebywała w nim. To dziwne, oderwane, ponadczasowe uczucie pomogło mi przetrwać to, co w innym wypadku byłoby ciągnącymi się bez końca, nieznośnymi minutami.

RG odwiedził organizacje obywatelskie w Ohio, Massachusetts, Nowym Jorku i Pensylwanii, zanim późnym popołudniem wylądowaliśmy w Luizjanie i udaliśmy się do dużego hotelu w centrum Nowego Orleanu, który zarezerwowano na ten wieczór dla całego zespołu Wye-Gary.

O szóstej wieczorem niewiele było do roboty poza oczekiwaniem na wyniki. RG i Jenny przebywali z chłopcami i innymi członkami rodziny w dużym apartamencie na końcu korytarza. Wye i jego rodzina znajdowali się na piętrze dokładnie nad nami. Reszta ekipy rozproszyła się po dziesiątkach pokoi na obu piętrach. Ja siedziałam przed telewizorem w sali, gdzie tłoczyło się dwadzieścia osób, wśród nich Kara, Mark i Mona.

O siódmej wieczorem poznaliśmy wyniki z trzydziestu procent okręgów, które były niezłe, ale nie fenomenalne. Gdy ogłaszano kolejny stan, wybuchały hłaśliwe wiwaty albo zapadała martwa cisza. Uświadomiłam sobie, że przez cały dzień zjadłam tylko pudełko irysków.

O ósmej dwadzieścia pięć nadeszła fala wyników, po czym CNN ogłosiło zwycięstwo Wye'a i Gary'ego. Na sali wybuchło, ale ja siedziałam w szoku, a czas sączył się powoli. Ledwo słyszałam strzelanie korków od шамpana, czułam uderzenie chłodnego listopadowego powietrza, gdy ktoś otworzył okno, pochwytiłam w telewizji obraz rozkrzyczanego, falującego nowoorleańskiego tłumu oddającego się dzikiemu świętowaniu. Uniosłam się nad tym wszystkim, naokoło i w środku, kontemplując surrealistyczną sytuację jakby nie z tego świata. Wreszcie zmusiłam się do skoncentrowania na wypowiedziach reporterów, którzy informowali, że przy wynikach z osiemdziesięciu procent okręgów prowadzimy dziesięcioma punktami i zyskaliśmy niemal jedną trzecią głosów więcej niż Brancy. Gdy dotarła do mnie prawda, poczułam, jakbym nagle wróciła do swego ciała i musiała ponownie się do niego przyzwyczaić. Czy zawsze używałam tych oczu do patrzenia? Moje mięśnie, zmysły, skóra wydawały się inne i świeże. Wiedziałam, że jestem odnowiona.

Na ogromnej scenie wzniesionej przed hotelem świętowałam ze wszystkimi zwycięstwo i wykonywałam gorączkowo-ekstatyczne telefony do Lizy i rodziców. Rozmowy nie były długie, nie chciałam odrywać uwagi od toczących się wydarzeń.

Dziko wiwatowałam, gdy Wye zwrócił się do tłumu w imieniu swoim i RG. Zastanawiałam się, czy jest szansa, że zacznę płakać ze szczęścia. To była jedyna trzeźwiąca myśl.

Kilka godzin później Kara i ja otwieraliśmy butelkę шамpana na skraju tego, co przemieniło się w taneczny parkiet. Salę nadał wypełniali ludzie - nowo wybrani prezydent

i wiceprezydent, senatorowie, gubernatorowie, członkowie Kongresu i zwykli porządni obywatele oraz pracownicy kampanii świętowali razem. Mona i Mark tańczyli szczęśliwi tuż obok.

- Kiedy odpowiesz na zaproszenie na nasz ślub? - wykrzyknęła do mnie wesoło Mona.

Co to niby miało znaczyć?

- Nie wiedziałam, że jestem zaproszona - odparłam zaskoczona.

- A czy w ciągu ostatnich trzech miesięcy sprawdzałaś pocztę? - spytał Mark.

Ciekawe. Niby powinnam. Liza ją odbierała, a ja nie zwracałam sobie tym głowy. Sprawy takie jak listy i przebywanie w jednym miejscu przez więcej niż kilka godzin oraz ogólna normalność ostatnio nie stanowiły części mego życia.

- Przyjadę! - Rzuciłam im promienny uśmiech.

Pomachali nam i oddalili się w tańcu. Obróciłam się do Kary i uśmiechnęłam, gdy ponownie napełniała mój kieliszek. Czułam wobec niej tyle ciepła.

- Musisz jechać z nami do Waszyngtonu - nalegałam.

Potrzebowałam pomocy w przystosowaniu się do nowej rzeczywistości. Potrzebowałam własnej specjalistki do przygotowania.

- Och, pojedę. - Uśmiechnęła się. - Potrzebujesz współlokatorki?

Czy potrzebowałam? Tak, jeśli znalazłabym nowe mieszkanie. Nowe, fajne, niesamotne mieszkanie!

- Co sądzisz o japońskich bojownikach? - spytałam.

Zadzwoił telefon Kary. To był jej chłopak, więc przeprosiła mnie na chwilę.

- Powiedz mu, że w DC zawsze potrzebni są dobrzy aktorzy! - krzyknęłam, gdy odchodziła.

Uśmiechnęła się do mnie. Poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Och, proszę, niech to będzie Charlie.

To był Bob.

- Hej, mata. Gratulacje - powiedział, pochylając się, by mnie pocałować.

Pachniał zwycięstwem. Pocałowałam go w odpowiedzi. Gdy się odsunęłam, spojrzałam poza niego na tłum. I dostrzegłam Charliego - pierwszy raz od tygodni! Przystanął, a jego spojrzenie było utkwione we mnie i Bobie.

Próbowałam odsunąć się nieco od Boba. Żałowałam, że nie mogłam cofnąć czasu i nie odpowiedzieć na jego pocałunek. Jak zwykle nie potrafiłam odcyfrować wyrazu twarzy Charliego. Bob zauważył, że coś jest nie tak.

- Jak się czujesz? - spytał.

Ponownie spojrzałam na niego. Naprawdę, uczciwie, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jego inteligentne oczy skierowały się badawczo na moją twarz.

- Parę osób wybiera się świętować na dachu - powiedział powoli. - Zabieramy szampana.

Patrzyłam na niego, starając się uporządkować myśli. Jego oczy wreszcie coś dostrzegły.

- Nie idziesz, prawda? - spytał.

Przez chwilę odpowiadałam na jego spojrzenie, a potem powoli pokręciłam głową. Skinął potakująco.

- Do zobaczenia, mała - uśmiechnął się do mnie smutno.

A potem odszedł w tłum. Nie zastanawiałam się, czemu nam nie wyszło. Bob był zabawny i ekscytujący, ale nie dla mnie. Nie, kiedy znalazł się ktoś inny. Natychmiast ruszyłam ku Charliemu, lecz ten znikł. Gdzie? Jak go znaleźć? Musiałam z nim porozmawiać. Pomyślałam, że chyba umrę, jeśli tego nie zrobię.

Wybiegłam i wpadłam na scenę, na którą spoglądałam parę godzin temu. Teraz była opustoszała, choć usłana serpentynami i konfetti. Poczułam nagły smutek - żal wydawał się nie na miejscu, ale mimo wszystko był prawdziwy. Rozglądałam się, a ramiona mi opadły. Podium i mikrofon nadal

stały. Kto odpowiadał za ich usunięcie? Czy mikrofon działał? Podeszłam i popukałam w niego palcem. W porządku, działał. Co miałam do powiedzenia?

- Czy to będzie oficjalna wypowiedź? - spytał jakiś głos za mną.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję, wyszeptałam z zamkniętymi oczami, zanim obróciłam się do Charliego. Trzymał w dłoni dwa drinki. Podał mi jeden.

- Twój ulubiony - powiedział.

Upiłam łyk.

- Jak zjadłeś, co jest tajnym składnikiem? - spytałam.

Charlie wzruszył ramionami.

- Mam swoje źródła.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Widziałeś pewnie, że przed chwilą całowałam Boba? To skończone. Właściwie nigdy naprawdę się nie zaczęło. Mam na myśli, że już się z nim nie spotykam. Jestem wolna - wyrzuciłam z typową prostotą. Liza pewnie by się wzdrygnęła.

- Co nie znaczy, że coś jest między nami... I oczywiście ty masz dziewczynę, a...

- Właściwie to zerwaliśmy - przerwał mi Charlie.

Tak?

- Dlaczego? - spytałam, choć naprawdę przyczyna była mi obojętna, o ile mówił prawdę.

- Nie widziałem jej jako części życia, które chciałbym prowadzić - powiedział po prostu.

- Och, cóż, świetnie. To znaczy, przykro mi - zaplątałam się. - Wiem, że zerwania mogą być trudne. Sama w trzeciej klasie zerwałam z chłopakiem za pomocą dioramy, a nawet...

Przerwał mi, tym razem pocałunkiem. Potem wyprostował się i spojrzał mi w oczy.

- Chcesz mnie pocałować? - spytał wprost.

- Tak - odparłam uszczęśliwiona i delikatnie zdjęłam mu okulary.

Całowaliśmy się przez długą chwilę, objęci. Czułam, że moja skóra dziko mrowi. A gdy oderwaliśmy się od siebie, Charlie wskazał na moje ramię - to samo, które posiniaczył sprzączką od pasa ponad rok temu.

- Wszystko w porządku? Chyba masz wysypkę - powiedział.

Spojrzałam w dół zaskoczona. Rzeczywiście. Miałam piękną, szaloną wysypkę, nie tylko na szyi, ale całkowicie pokrywającą ramiona i nogi. Objęłam go radośnie.

- To wspaniały znak - powiedziałam.

- Skoro tak mówisz - odparł, a potem znowu mnie pocałował.

Wiele godzin później w naszym własnym hotelowym pokoju obserwowałam, jak Charlie śpi spokojnie, i starałam się kontrolować emocje. Byłam szczęśliwa, że z nim jestem, że upajam się uczuciami, których nigdy wcześniej naprawdę nie doświadczyłam, a także z ulgą stwierdziłam, iż mogę sobie wyobrazić poważną wspólną przyszłość. Ogarnęła mnie spokojna radość, ponieważ Charliemu i mnie na pewno zależało w życiu na tych samych rzeczach. Wiedziałam, że rzadko znajduje się kogoś, kto szczerze chce zmieniać świat na lepsze - kogoś, kto jest gotowy zwalczać najgorsze praktyki w polityce i na ich miejsce wprowadzać właściwe. Charlie będzie tak robić na stronach „Post” i poza nimi. Ja będę robić to w administracji zdeterminowanej, by wprowadzić zmiany. Stworzymy fantastyczny zespół. Popatrzyłam na niego z miłością i delikatnie pogładziłam go po twarzy. Nie chciałam obudzić Charliego, ale już się nie mogłam doczekać, by znowu go pocałować. Zamiast tego próbowałam uspokoić łomot serca, na próżno. Tak wiele dobrych rzeczy wydarzyło się naraz, że miałam stanowczo za dużo energii, by wypoczywać.

Postanowiłam podzielić się swoim szczęściem z wszystkimi ludźmi, którzy cierpieli i radowali się ze mną w tej szalonej

podróży. Wyjęłam BlackBerry i napisałam masowy e-mail - choć wcześniej nie przypuszczałam, że jeszcze kiedyś zrobię to dobrowolnie. Jednak sytuacja uległa zmianie. Czułam, że jestem w domu.

Na liście zamieściłam rodziców, dziadków, kuzynów, znajomych z podstawówki, liceum i studiów oraz tych poznanych później. Dodałam też RG i Jenny oraz całą ekipę z senatu i kampanii. Dołączyłam nawet pracowników NIZ, lobbystów, członków związków zawodowych, Sanforda B. Zinesa i Alfreda Jackmana. Uwzględniłabym też Ralpha i Steve'a Martina, gdybym znała ich adresy mailowe. I do wszystkich napisałam serdeczną wiadomość:

Do: Przyjaciele Sammy

Od: Samantha Joyce [srjoyce@wye-gary.com]

Temat: Dziękuję

Za najbardziej niewiarygodny rok mojego życia i za przyczynienie się do tego wspaniałego sukcesu. Udało nam się!!! Nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa i nigdy nie czułam się tak dumna. Wybaczcie te cliche słowa, ale po raz pierwszy jestem równie pewna mojego życiowego celu. Dzisiejszy wieczór przekonał mnie, że dziś i zawsze muszę robić wszystko, co w mojej mocy, by służyć domu publicznemu. A teraz będę to robić w Białym Domu!!! Xoxoxoxoxo, Sammy

Przytuliłam się szczęśliwa do Charliego i właśnie odpływałam w sen, gdy na stoliku obok zabrzęczało BlackBerry. Obróciłam się i sprawdziłam wiadomości.

Do: Samantha Joyce [srjoyce@wye-gary.com]

Od: Robert Gary [rgary@gary.senate.gov]

Temat: Re: Dziękuję

Chyba chodziło ci o „dobru publicznemu”. Tak czy siak, wszystkim najlepszemu. Do zobaczenia jutro - RG